

TRZECI TOM CYKLU „KAMPANIE CIENIA”



CENA MĘSTWA

DJANGO WEXLER



REBIS

DJANGO WEXLER
CENA
MĘSTWA

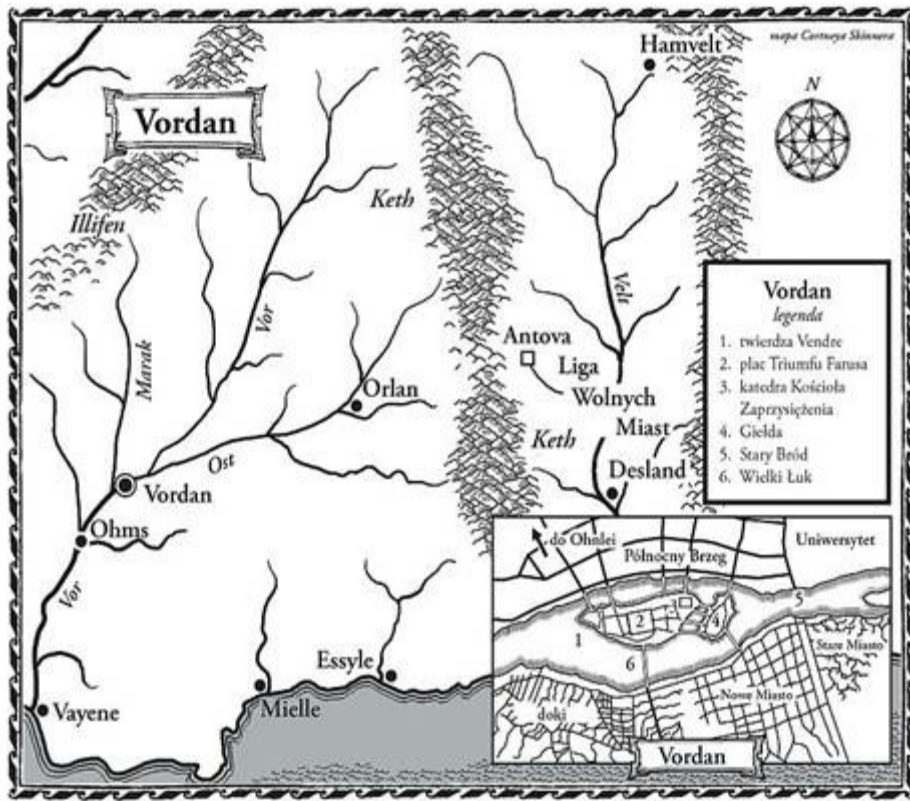
TRZECI TOM CYKLU „KAMPANIE CIENIA”

Przełożył Zbigniew A. Królicki



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAŃ

*Moim przyjaciołom, dzięki którym
zachowuję zdrowe zmysły (przeważnie)*



Podziękowania

Ta powieść była dla mnie zupełnie nowym wyzwaniem. Ponieważ Mroczny tron był prawie ukończony, zanim ukazało się Tysiąc imion, dopiero teraz pisałem książkę, znając reakcję czytelników na poprzednie tomy. Miałem to szczęście, że reakcja była przeważnie pozytywna, lecz z tego powodu odczuwałem wyraźną presję i potrzebę sprostania powszechnym oczekiwaniom.

Na szczęście, jak zwykle, miałem przy tym wielu pomocników. Tym razem pierwszą osobą, w której ręce wpadł maszynopis, była Rhiannon Held. Oderwała się od własnego pisarstwa, żeby mi pomóc, za co będę jej dożywotnie wdzięczny; powinniście natychmiast zacząć czytać jej książki. Casey Blair nie czytała maszynopisu, ale przez godzinę słuchała mojej paplaniny, po czym spokojnie rozwiązała dręczący mnie od kilku tygodni problem z intrygą, ponownie udowadniając, że jest najlepsza. Lu Huan był tak uprzejmy, że przeczytał kilka początkowych wersji i poradził mi, co robić dalej.

Mój agent Seth Fishman był jak zawsze niesamowity i zanim jeszcze skończyłem tę powieść, przyniósł mi pilnie wyczekiwaną wiadomość, że mamy umowę na czwarty i piąty tom „Kampanii Cienia”, zamykające cykl. Jestem również winien podziękowania Willowi Robertsowi, Rebecce Gardener i Andy’emu Kiferowi z Gernert Company oraz wszystkim, którzy pomogli mi przedstawić te książki światu.

Moi wydawcy, Jessica Wade z Roc i Michael Rowley z Del Rey UK, znosili moje napady niepokoju, wybacжали mi spóźnienia i jakoś zdołali jak zwykle doskonale wykonywać swoją pracę pomimo moich wygłupów. Szczególne podziękowania jestem winien Michaelowi, który był moim gospodarzem i przewodnikiem podczas mojego pierwszego pobytu w Londynie; a także wszystkim londyńczykom, którzy pomagali zagubionemu, poruszającemu się po niewłaściwej stronie drogi Amerykaninowi.

I na koniec znowu dziękuję dwóm naprawdę niezastąpionym grupom osób: wszystkim tym, którzy dopilnowali, żeby ta książka powstała i znalazła się w księgarniach z odpowiednią okładką, niewydrukowana do góry nogami lub jako słownik języka norweskiego; a także wszystkim tym, którzy przeczytali Tysiąc imion oraz Mroczny tron i uznali, że warto o nich rozmawiać. Bez was byłbym facetem opowiadającym te historie swoim kotom.

Prolog

Ignahta Sempria

*T*aki piękny kraj, a ma spływać krwią.

Na południe od miasta Desland dolina rzeki Velt rozszerzała się w rozległy dywan pól poprzecinanych równymi żywopłotami i usianych punkcikami schludnych osad z wysokimi wieżami kościołów zwieńczonych podwójnymi złotymi kręgami. Sama rzeka meandrowała łagodnymi zakolami, jakby wyczerpana gwałtownym spływaniem z wyżyn i migocząca jak topione srebro w ciepłym jesiennym słońcu. Tu i ówdzie samotne wzgórki wznosiły się z bezkresnej równi pól uprawnych niczym wyspy z morza, porośnięte starymi karłowatymi drzewami – ostatnią twierdzą wielkiej puszczy zajmującej te ziemie przed przybyciem ludzi.

Na szczycie jednego z tych wzgórz, na skraju jednego z tych mateczników jakiś człowiek siedział ze skrzyżowanymi nogami na głazie i patrzył na równinę w dole. Był to młody mężczyzna, podrostek zaledwie, o kasztanowych włosach i cienkich wąsach. Odziany w skóry i samodiał mógł zostać omyłkowo wzięty za tubylca, syna jakiegoś wieśniaka, który przybył tu zastawiać sidła lub zbierać drewno w starym lesie.

W rzeczywistości był bardzo daleko od domu i nie interesowało go zbieranie chrustu czy zastawianie wnyków. Nazywał się Strzyżyk. W jukach siodła, starannie zwiniętą i zamkniętą w szkatułce, wiózł aksamitną maskę z naszytą warstwą błyszczących i pobrzękujących kawałków obsydianu. Ten przedmiot identyfikował go jako sługę legendarnego zakonu, uważanego za nieistniejący od stu lat: Kapłanów Czerni, gorliwych agentów Kościoła Elizejskiego, jego szpiegów i inkwizytorów.

Nawet w tym tajnym bractwie wykonującym polecenia Kapłanów Czerni Strzyżyk był niezwykłą postacią. Wypowiedział prawdziwe imię demona i miał go nosić w sobie do końca swoich dni. A po śmierci miał zostać skazany na wiekuiste męki za to, że ośmielił się paktować z siłą nieczystą. Zaakceptował to brzemię oraz nieuchronność swego losu, aby służyć Kościołowi i uchronić innych przed podobną karą. Był jednym z Ignahta Sempria, Przeklętym Penitentem.

Spoglądał na równinę, na odległe o wiele mil miejsce, gdzie niedawno liczne ogniska płonęły jak świetliki. Z tak daleka większość ludzi widziałaby tylko pola i rzeki, lecz Strzyżyk miał w sobie demona. Czuł go w swoich oczach, ten ucisk, jakby ktoś zaciskał węzłasty sznur na jego czaszce, z bolesną ostrością wyostrzający mu wzrok. Małeńkie postacie w niebieskich mundurach uwijały się, formowały szeregi i maszerowały, końskie zaprzęgi ciągnęły działa, a kawaleria sprawdzała siodła i dosiadała koni. Armia szykowała się do bitwy.

Zaszeleściły krzaki za jego plecami. Gdy cała moc demona skupiła się na wyostrzeniu jego wzroku, słuch Strzyżyka nie był lepszy niż u przeciętnego człowieka i tylko nabyte w trakcie długich ćwiczeń opanowanie sprawiło, że nawet nie drgnął. Wypuścił tylko powietrze z płuc i odprężył się, pozwalając demonowi powrócić w stan spoczynku. W mgnieniu oka stracił tę nadzwyczajną ostrość widzenia, chociaż wciąż miał sokoli wzrok. Odgłosy lasu natychmiast napłynęły falą, wszystkie najcichsze szmery i dźwięki teraz były głośnie jak fanfary. Słyszał

bicie serc tych dwóch mężczyzn, którzy stanęli przy nim, a ich oddechy były niczym bicie dzwonów.

– Vordanajowie zwijają obóz – rzekł. Powiedział to po murnskajsku, w ojczyściej mowie tych ludzi wychowanych w świątyni-twierdzy Elizjum. – Jednak nie do odwrotu. Vhalnich wyda bitwę di Pfalenowi.

– Śmiały – rzekł mężczyzna po lewej.

Był znacznie starszy od Strzyżyka, w mocno zaawansowanym średnim wieku i z łysiną okoloną wiankiem czarno-siwych włosów. Zwano go Łgarzem i Strzyżyk nigdy nie słyszał, by ktoś nazywał go inaczej. Też miał na sobie zwyczajny wieśniaczy strój, lecz jego dłonie o ponaddwucentymetrowej długości paznokciach pomalowanych lśniąca białą żywicą mogły wzbudzić podejrzenia.

– Di Pfalen ma przewagę liczebną – zauważył Strzyżyk. – Podzielił swoje siły na trzy kolumny, próbując odciąć Vhalnichowi drogę ucieczki.

Łgarz prychnął.

– Na jego miejscu nie byłbym taki pewny siebie, zważywszy na reputację Vhalnicha.

Strzyżyk wzruszył ramionami. Łgarz lubił udawać eksperta od wojskowości i wszystkiego innego, ale w zasadzie sytuacja była oczywista. Rewolucja, która wybuchła po śmierci króla Farusa VIII, wstrząsnęła cywilizowanym światem, podporządkowując świętą władzę monarszą wybranemu przez pospólstwo parlamentowi. Zachęcane przez Elizjum zachodnie mocarstwa – Borel, Murnsk i Liga Wolnych Miast – wypowiedziały Vordanowi wojnę, aby przywrócić odwieczny porządek. Jednak wypowiedzenie wojny to jedno, a działania to co innego. Panujący na morzu Borel wolał powolnie działające blokady i narzędzia ekonomicznego nacisku, rozległy i odległy Murnsk zaś mógł miesiącami gromadzić swoje wojska.

Natomiast Liga nie była właściwie państwem, lecz swarliwą i podzieloną koalicją na poły niezależnych miast. Vheed, Norel i co odleglejsze miasta przysłały tylko symboliczne kontyngenty lub puste obietnice pomocy ponoć wspólnej sprawie. Jedyne Hamvelt i jego najbliżsi sojusznicy ochoczo skorzystali z okazji do pokonania odwiecznego rywala. Tak więc tutaj, na te znajome równiny pomiędzy Essyle i Deslandem, gdzie przebiegała zawsze niespokojna granica pomiędzy Vordanem i Ligą, Vordanajowie przysłali swego niedawno wyłonionego bohatera. Janusa bet Vhalnicha. Zdobywcę Khandaru, zwycięzcę Ostatniego Diuka, zbawcę Vordanu. Heretyka. Czarownika.

– Będziemy obserwować przebieg bitwy – rzekł Łgarz. – Jeśli Vhalnich padnie lub dostanie się do niewoli, nasze zadanie będzie łatwiejsze. Jeśli nie...

Trzeci mężczyzna odkaslnął. Stał z rękami założonymi na szerokiej piersi, o ponad głowę wyższy od swoich towarzyszy. Gęsta i skołtuniona, podobna do ciernistego gąszczu czarna broda nadawała jego grubo ciosanej twarzy groźny wygląd, a głęboko osadzone czarne oczka spoglądały złowrogo. Chociaż był odziany tak jak dwaj pozostali, nikt nie wziąłby go za zwykłego robotnika. Nie tylko z powodu jego olbrzymiego wzrostu, ale też otaczającej go groźnej aury. Zwał się Skręt. Strzyżyk rzadko słyszał, by Skręt wypowiadał więcej niż jedno słowo, a często nawet nie tyle.

– Tak czy inaczej – powiedział Strzyżyk – musimy podjechać bliżej.

Nadal znajdowali się o dobry dzień jazdy od miejsca, które niebawem miało się stać polem

bitwy.

– Poszukamy innego punktu obserwacyjnego. – Łgarz skinął głową. – Szykujcie konie.

Strzyżyk podniósł się i stanął na nogach obolałych od zbyt długiego pozostawania w całkowitym bezruchu. Powstrzymał się od zmarszczenia brwi. Przekłęci Penitenci nie mieli hierarchii ani łańcucha dowodzenia, byli tylko absolutnie posłuszni pontifeksowi Czerni. W tych rzadkich wypadkach, kiedy nie pracowali samotnie, ich rozkazy wyraźnie wyjaśniały, kto dowodzi. Kłamca był agentem o wieloletnim doświadczeniu, a dla Strzyżyka była to pierwsza misja poza Murnskiem, tak więc logiczne było, że dowodził starszy z nich. Strzyżyk jednak czasem podejrzewał, że Łgarz wykazuje zamiłowanie do nieróbstwa i ziemskich przyjemności nieodpowiednie dla osoby na jego stanowisku, i dlatego traktuje Strzyżyka jak sługę, a nie równego sobie. Zamierzał po powrocie przedstawić tę sprawę pontifeksowi.

Mieli sześć koni, które niosły ich bagaż i mogły służyć jako zapasowe, gdyby musieli jechać szybciej. Strzyżyk przystąpił do znajomego rytuału przygotowania siodła i uprzęży, ładowania sprzętu obozowego i sprawdzania kolejnych rumaków swoimi nadnaturalnymi zmysłami, nasłuchując ich oddechów i bicia serc. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, poprowadził jednego konia po drugim na skraj lasu. Ostatni szedł wierzchowiec Skręta, wielki i krępy wałach dopasowany do ciężaru ogromnego jeźdźca.

Skręt z kolejnym pomrukiem wziął od niego wodze i niezdarnie wgramolił się na siodło, wywołując pogardliwe parsknięcie rumaka. Łgarz dosiadł konia zręcznie, spędziwszy w siodle pół życia w służbie zakonu. Strzyżyk przystanął przed swoją ulubioną kłaczą, spoglądając na północ.

– Strzyżyk? Czy coś się stało? – zapytał Łgarz.

Strzyżyk zamknął oczy i pozwolił, by demon gwałtownie wzmocnił jego słuch. Dźwięki, które jeszcze przed chwilą były zaledwie drzeniem powietrza, teraz stały się głośnie i wyraźne – głuche tąpnięcia i łoskoty podobne do huków gromów w oddali. W przerwach słyszał nawet cichy warkot werbli.

– Strzyżyk? – powtórzył Łgarz, a jego słowa rozdarły uszy Penitenta niczym głos Boga.

Otworzył oczy i pozwolił demonowi skryć się z powrotem w głębi jego czaszki.

– Zaczęło się – powiedział.

CZEŚĆ PIERWSZA

Jeden

Winter

Wytrzymać! Tamci słabną! – krzyknęła Winter Ihernglass. Powietrze było gęste od kwaśnego dymu przecinanego jasnymi rozbłyskami wystrzałów. Huk muszkietów wokół Winter był jak nieustający ryk gromu, nie miała więc pojęcia, czy jej podwładne ją usłyszały. Cały jej świat zawęził się do tego małego odcinka pierwszej linii, gdzie dwanaście dziewcząt z Pierwszego Dziewczęcego stało za poszarpanym kulami żywopłotem, wykonując kolejne czynności ładowania muszkietów: wpychając kulę do lufy, odwodząc kurki i ponownie unosząc broń do strzału.

Hamveltajczycy byli niewidoczni w półmroku, zauważalni tylko w rozbłyskach swych wystrzałów. Słabli jednak – Winter czuła to – i odpowiadali coraz bardziej chaotycznym i rzadszym ogniem. Jeszcze minuta. Przeszła wzdłuż linii, chrypnąc od krzyku i tnąc powietrze szabłą, a od nieustannego trzasku wystrzałów czuła ćmiący ból zębów.

Przed sobą zobaczyła jedną z grup ratunkowych, złożoną z dziewcząt zbyt młodych lub za małych, żeby unieść muszkiet. Pracowały trójkami i czwórkami, podbiegając do żywopłotu, ilekroć któraś z żołnerek padła, i odciągając ją kilka kroków dalej, żeby ocenić rodzaj rany. Winter widziała, jak ta grupa zostawia kobietę trafioną kulą w pierś, z której szeroki strumień krwi wypływa na błotnistą ziemię. Wróciły po pulchną matronę leżącą na boku i ściskającą strzaskaną rękę. Gdy podnosiły ją z ziemi, jedna z dziewcząt nagle zgięła się wół, przyciskając obie dłonie do brzucha. Jedna z jej towarzyszek obejrzała ją, pokręciła głową i zostawiła ją tam, gdzie padła.

Na spiżowe jaja Bestii. Winter nie raz widziała taką scenę, ale nie przestawała się dziwić, jak szybko dziewczęta, które niecałe trzy miesiące wcześniej widywała sprzedające kwiaty w Vordanie, przystosowały się do brutalnej rzeczywistości pola bitwy. Stłumiła poczucie winy. Teraz nie czas na to. Trzeba myśleć tylko o tym, jak przeżyć.

Winter przebiegła obok grupy ratunkowej, pospiesznie omijając umierającą dziewczynę i podążając dalej wzdłuż linii. Wypatrywała Bobby. Ta młoda kobieta, która miała stopień kaprała w kompanii Winter podczas kampanii Janusa w Khandarze, teraz nosiła naramienniki z białymi paskami porucznika. Grupka kobiet kryła się za osłoną gęstego żywopłotu, gdzie z trudem ładowały muszkiety w kucki i wstawały, żeby oddać kolejne strzały w gęstniejącą chmurę dymu.

– Bobby! – krzyknęła Winter, łapiąc ją za ramię i przyciągając do siebie, żeby porucznik usłyszała ją w tym hałasie. – Idź do Jane i powiedz jej, żeby ruszyła!

Jasna skóra Bobby była już usmarowana resztkami spalonego prochu. Tak jak Winter, była jedną z nielicznych w Pierwszym Dziewczęcym noszącą porządny regulaminowy mundur; w przeciwieństwie do Winter, jej nie był już skrojony tak, aby skryć przed wścibskimi oczami jej prawdziwą płęć. Kiedy Janus utworzył całkowicie kobiecy piąty batalion ochotniczy z tej zbieraniny, którą Winter i Jane poprowadziły do bitwy w Midvale, Bobby postanowiła porzucić przebranie. Była tą, która nazwę Pierwszy Dziewczęcy – nawiązującą do dawnego pierwszego pułku królewskiego oraz serii książkowych poradników dla chłopców – zmieniła

z uszczypliwej w zaszczyną. Obok Winter i Jane była chyba najbardziej poważanym oficerem tego batalionu.

Była także dotknięta klątwą lub magią – Winter nie wiedziała, jak to nazwać – khandarskiego naath, które ratowało jej życie. Winter wiedziała, że jej rany goją się, nie pozostawiając różowych blizn, lecz są gładkie i lśniące niczym żywym marmur.

Bobby zsalutowała, potwierdzając przyjęcie rozkazu, oddała swój muszkiet najbliższej stojącej i pobiegła, nisko pochylona, by nie wystawiać głowy nad żywopłot. Jakby to coś mogło pomóc. Żywopłot czasem mógł zatrzymać kulę, ale przeważnie tylko zasłaniał kryjących się za nim przed celnymi strzałami nieprzyjaciela. Teraz nikt już nie celował; gdyby nie błyski i grzechot wystrzałów, Winter nie wiedziałaby, czy wróg wciąż tam jest. Odwróciła się w przeciwną stronę, wypatrując oznak słabnącego morale lub rosnącej paniki, i z zadowoleniem odkryła, że jej podwładne nadal dzielnie wykonują swoją krwawą robotę. Hamveltajczycy prowadzili zaciekły i gęsty ogień, lecz na razie Pierwszy Dziewczęcy zdawał się wytrzymać ich napór.

Kierując się w lewo, przez huk muszkietów usłyszała basowy pomruk artylerii. Żywopłot doprowadził ją do małej osady złożonej z tuzina budynków bronionych przez batalion ochotniczy i pół baterii dział. Coś się paliło – nawet przez gęsty dym dostrzegła łunę – lecz odgłosy świadczyły, że obrońcy wciąż zażarcie walczą.

Po prawej stronie linii żywopłot ostro skręcał i ciągnął się jeszcze pięćdziesiąt metrów, po czym kończył się szeroką zwirową alejką. Jane czekała za tym załosem z czterema innymi kompaniami, przyczajonymi i milczącymi do tej pory, czekającymi w zasadzce. Winter nie chciała, by jej żołnierze stawiali czoło batalionowi regularnego wojska dłużej niż to konieczne.

Dotarłszy na środek linii, Winter przywarła do żywopłotu między parą żołnierzy i nasłuchiwała. Parę minut, zanim Bobby dobiegnie do Jane, parę minut na przyszykowanie...

Chór ochrypłych bojowych okrzyków, wyraźnie kobiecych nawet w tym grzechocie i trzasku muszkietów, przetoczył się w dymie po prawej. Wzdłuż całej linii żołnierze Winter podjęli ten okrzyk, któremu natychmiast zawtórowała wzmożona palba. Kolejne rozbłyski przeszły kłęby dymu na prawo od pozycji Hamveltajczyków, gdy Jane poprowadziła swoje oddziały do ataku na bagnety. Zgodnie z przypuszczeniami Winter, ten atak z flanki przekonał ich, że pozycja jest nie do utrzymania, i przed upływem minuty nieprzyjacielski ogień ustał. Wzdłuż żywopłotu kobiety z Pierwszego Dziewczęcego wiwatowały, aż ochryply.

– Pamiętajcie o załadowaniu muszkietów! – przekrzyczała je Winter. – Oni wrócą.

– Szkoda, że nie widziałas ich min – powiedziała Jane. – Ci dranie byli tak zaskoczeni, że nawet nie zdążyli odpowiedzieć ogniem.

– Dobra robota – pochwaliła Winter. Chociaż plotki o cieszącym się złą sławą kobiecym pułku do tej pory na pewno rozeszły się w nieprzyjacielskim obozie, żołnierze Ligi zawsze byli zaskoczeni, gdy stanęli oko w oko z Pierwszym Dziewczęcym. Winter z przyjemnością wykorzystywała to wahanie, jeśli pozwalało zmniejszać straty w ludziach. – Jacyś jeńcy?

– Kilkudziesięciu – odparła Jane. – Wielu rannych, ale nie brałyśmy tych, którzy nie mogli chodzić.

Przykucnęły w błocie, kilka metrów od żywopłotu. Korzystając z przerwy w działaniach, niektóre dziewczęta pomagały zespołom ratunkowym, przenosząc rannych do tymczasowego

punktu opatrunkowego na tyłach i ściągając zabitych z pola ostrzału. Winter przestrzegła je, żeby nie zapuszczały się za daleko. Zbyt łatwo było dostać się do niewoli, pomagając rannej towarzyszce i zapominając, że bitwa jeszcze się nie skończyła.

Na lewo wciąż huczały działa, lecz ogień z muszkietów ucichł, co świadczyło, że atak na osadę został odparty i tylko kanonierzy Ligi z daleka kontynuowali swój pojedynek z vordanajskimi artylerzystami. Dym zaczął się rozchodzić, rozrywany na strzępy podmuchami porannego wiatru. Spojrzawszy na słońce, Winter skonstatowała, że do południa została jeszcze co najmniej godzina; miała wrażenie, że są tutaj kilka dni. Na moment zamknęła oczy, zrobiła głęboki wdech i znów skupiła myśli na bieżących sprawach.

– Sprawdź, czy któryś z waszych jeńców mówi po vordanajsku. Bardzo chciałabym wiedzieć, co jeszcze tam mają.

– Myślisz, że spróbują znowu?

– Myślę, że muszą. Chcą przedrzeć się tędy, żeby uderzyć na siły Janusa od tyłu. – Dziwnie się czuła, mówiąc tak poufale o dowódcy armii, w dodatku vordanajskim arystokracji, lecz było to powszechną praktyką wśród jego podwładnych, którzy w ten sposób okazywali swe oddanie dla tego dziwnego generała. – Próbowali zająć go, mijając osadę, i natknęli się na nas. Co zrobią teraz?

Jane wzruszyła ramionami.

– Ty jesteś żołnierzem.

Winter skrzywiła się, ale w pewnym sensie Jane miała rację. Chociaż czasem wciąż czuła się jak oszustka – trudno było się tak nie czuć, gdy wszyscy prócz kilku wybranych uważali ją za mężczyznę – ale trudno zaprzeczyć, że miała więcej wojskowego doświadczenia niż ktokolwiek w Pierwszym Dziewczęcym, może z wyjątkiem jej byłych kaprali Graffa i Folsoma. Skoro o tym mowa, to chyba miała więcej bojowego doświadczenia niż ktokolwiek we wschodniej armii Janusa, będącej dziwnym konglomeratem dawnych sił królewskich i pospiesznie sformowanych batalionów złożonych z ochotników-rewolucjonistów.

Jane miała inne doświadczenia. Były kochankami, dawno temu, w więzieniu dla młodych dam pani Wilmore, zanim Jane została przymusowo wydana za mąż brutalnemu farmerowi, a Winter uciekła i wstąpiła do wojska. Gdy Winter spędziła trzy lata w Khandarze, ukrywając swoją płęć, Jane wyrwała się z niewolniczego związku, uwolniła pozostałe dziewczęta z więzienia i przyprowadziła je do stolicy Vordanu. Tam walczyły z przestępcami, poborcami podatków i wszystkimi, którzy stanęli im na drodze, formując zręby Skórzanych Kurtek i usiłując zaprowadzić surową sprawiedliwość w Dokach. Gdy Winter i Jane ponownie spotkały się w zamęcie rewolucji – dzięki dyskretnej pomocy Janusa bet Vhalnicha, jak domyślała się Winter – dziewczęta Jane przyłączyły się do walki, której celem było uwolnienie miasta od Orlanka.

Teraz jej podopieczne stanowiły niemal połowę Pierwszego Dziewczęcego, a sama Jane przyjęła stopień oficerski, ale nie udawała, że wie cokolwiek o taktyce. Winter czubkiem buta nakreśliła linię na ziemi.

– Na ich miejscu spróbowałabym uderzyć na naszą prawą flankę. Jeśli mają jeszcze parę batalionów, mogliby rzucić jeden na nas, a drugi posłać na drogę, żeby zaszedł nas od tyłu.

– A gdybyśmy się wycofały, mogliby otoczyć miasto – powiedziała Jane. Spojrzała na południe, gdzie tylko żywopłoty sporadycznie przecinały bezkresną otwartą przestrzeń.

Samotne, porośnięte lasem wzgórze, oddalone o wiele mil, wznosiło się na horyzoncie jak szary monolit. – Gdyby ich jazda dopadła nas na tej równinie...

Winter skinęła głową. Może Jane nie miała wojskowego wykształcenia, ale miała instynkt. Pierwszy Dziewczęcy był dzielnym i zdyscyplinowanym batalionem, ale niedostatecznie wyszkolonym, żeby sformować czworobok i odeprzeć szarżę kawalerii na otwartej przestrzeni. To samo dotyczyło ochotników tworzących większość sił, które Janus pozostawił, aby powstrzymały pochód Ligi. Mieli tylko jeden pułk królewskich – zawodowych żołnierzy dawnej armii – a odwrót w tych warunkach łatwo mógł się przerodzić w paniczną ucieczkę.

– Poślę Bobby do pułkownika de Ferre – zdecydowała Winter. – Jeśli ściągnie tu odwody, zanim tamci uderzą, możemy sprawić im kolejną przykrą niespodziankę. W końcu odechce im się walić głową w mur.

Jane kiwnęła głową i wstała.

– Wyślę kilka dziewcząt za tę chmurę dymu, żeby ostrzegły nas wcześniej.

Winter podniosła się nieco wolniej, gdyż już bolały ją nogi. Nagle ścisnęło ją w gardle w sposób niemający nic wspólnego z tym, że przez cały ranek pokrzykiwała ile tchu w płucach.

– Uważaj – powiedziała.

Jane uśmiechnęła się tak znajomo, łobuzersko, i niedbale zasalutowała. Winter powstrzymała nagłą chęć objęcia jej ramionami. Sztywno kiwnęła głową tylko i patrzyła, jak Jane maszeruje z powrotem na pierwszą linię.

Widok dowódcy batalionu namiętnie ściskającej podwładną mógłby być nieco zaskakujący według wojskowych norm, ale Winter nie była pewna, czy sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę, gdyby uległa pokusie. Jednak ostrożność była jej od dawna zakorzenionym nawykiem, który starała się przekazać Jane. Żyły w upiornym oparze półprawd i kłamstw – fakt, że kapitan Ihernglass sypia z porucznik „Szaloną Jane” Verity, był tajemnicą poliszynela, przynajmniej w Pierwszym Dziewczęcym, rozplotkowanym tak samo jak każdy oddział wojsk kolonialnych. Jednak tylko wąski krąg dziewcząt, dawnych członkiń Skórzanych Kurtek Jane, znał tajemnicę prawdziwej płci Winter. Na razie nie zawiodły jej zaufania – podopieczne Jane były bardzo lojalne – ale Winter denerwowało, że jej sekret jest znany tylu osobom.

Bobby przybiegła i sprężyście zasalutowała. Jeden rękaw miała czerwony od krwi.

– Jane powiedziała, że mam się zameldować, kapitanie – powiedziała.

– Nic ci nie jest?

Głupio zapytałam, pomyślała Winter. Na tym polu bitwy Bobby była jedyną osobą, która z pewnością przeżyje dzięki ochronie, jaką zapewniły jej wydarzenia w Khandarze.

– Co takiego? – Bobby zauważyła plamę krwi i pokręciła głową. – Och, to nic, pomagałam przy rannych.

Winter skinęła głową.

– Muszę posłać cię do pułkownika de Ferre. Powiedz mu, że potrzebne nam posiłki, co najmniej batalion, żeby wydłużyć linię obrony na prawej flance. Nie mamy dość sił, żeby ją rozciągnąć, a jeśli nas ominą, cała obrona się rozsypie.

– Tak jest, kapitanie!

Bobby ponownie zasalutowała i biegiem wróciła na tyły. Był tam niewielki punkt opatrunkowy, gdzie batalionowi chirurdzy robili co mogli dla rannych, zanim ci trafią pod opiekę lekarzy. Obok stały przywiązane konie, przygotowane dla kurierów i na wszelki

wypadek. Winter popatrzyła, jak dziewczyna wsiada na konia, a potem znów w kierunku pierwszej linii.

Ciała poległych zniesiono już z pola bitwy, a rannych odprowadzono na tyły. Teraz małe grupki ostrożnie przeskakiwały przez żywopłot i w rzedniejącym dymie szukały rannych nieprzyjaciół. Każdego, który rokował przeżycie, brano do niewoli i odprowadzano do punktu opatrunkowego za pierwszą linią.

Przeciwnikiem były regularne hamveltajskie oddziały zwane żółtymi kubrakami od ich cytrynowych kurtek z czarnymi wyłogami, noszonych do czarnych spodni. Nosili czarne czapki ze złotymi zdobieniami z przodu i długimi czerwonymi piórami powiewającymi na czubku. Wyglądali jak idealni zawodowi żołnierze, w przeciwieństwie do Vordanajów, którzy zamiast mundurów nosili luźne niebieskie bluzy narzucone na cywilne ubrania. Jednak schludne mundury nie były żadną osłoną przed kulami z muszkietów.

Traktowano ich łagodnie, na osobisty rozkaz samego Janusa. Powód był nie tyle humanitarny, ile brutalnie praktyczny. Dowódcy Ligi zapowiadali, że wziętych do niewoli vordanajskich ochotników będą traktować jak partyzantów lub bandytów, a nie z szacunkiem należnym żołnierzom, najlepszą ochroną przed takimi represjami było więc zdobycie przez Vordanajów jak największej liczby jeńców, żeby w razie potrzeby móc zagrozić odwetem. W jeszcze większym stopniu dotyczyło to kobiet z Pierwszego Dziewczęcego, które nie miały pojęcia, czego się spodziewać, gdyby wpadły w ręce wroga. Winter wiedziała, że wiele jej podwładnych nosi sztylety schowane pod ubraniem, aby w ostateczności odebrać sobie życie. Nie zachęcała do tego, ale nie mogła ich za to winić.

Znoszenie poległych często było połączone z grabieżą. Oficjalnie miano zbierać tylko amunicję, żywność i inne elementy wojskowego wyposażenia, ale Winter zauważyła, że wiele grup wraca z insygniami, piórami z hełmów i innymi trofeami. Kolejna praktyka, na którą musiała przymknąć oko. Nie chciała, żeby jej podwładne zmieniły się w wampiry odcinające palce, by zdjąć pierścionki, ale takie przejawy dumy z wywalzonego z trudem zwycięstwa należało popierać.

Wybuch śmiechu zwrócił jej uwagę. Po lewej grupka młodych kobiet otaczała krępą postać porucznika Drake'a Graffa, który próbował zademonstrować właściwy sposób celowania z muszkietu. Trudno było mieć pewność z powodu jego gęstej brody, ale Winter miała wrażenie, że się rumienił. Jeszcze jedna kobieta w prowizorycznym mundurze porucznika przyglądała się temu, a Winter podeszła i stanęła przy niej.

– Kapitanie – powiedziała Cyte, salutując niemal tak sprężyście jak Bobby.

Winter odpowiedziała skinieniem głowy.

– Jaka sytuacja?

– Najgorsze nas ominęło – odparła Cyte. – Anna oberwała odłamkiem i trochę krwawiła, ale nic jej nie będzie. Poza nią w naszej kompanii nie było żadnych ofiar.

Nic dziwnego, że mają ochotę się śmiać, pomyślała Winter, gdy wokół Graffa rozległa się kolejna salwa śmiechów. Idąc w ślad za spojrzeniem Winter, Cyte westchnęła.

– Lubią się z nim przekomarzać – powiedziała. – Próbowałam je powstrzymać, ale...

Winter pokręciła głową.

– Nie trudź się. I tak nie zdołasz. – Żołnierze mają swoje zabawy, niezależnie od tego, czego sobie życzą dowódcy. – Tylko dopilnuj, żeby to nie wymknęło się spod kontroli.

– Jakiej kontroli? W zeszłym tygodniu kilka z nich odkryło, gdzie on się kąpie w rzece, i wskoczyły do wody, żeby mu towarzyszyć. Lubią widzieć, jak się rumieni.

Winter z trudem powstrzymała chichot, wyobraziwszy sobie mrukliwego i szorstkiego Graffa pospiesznie odwracającego wzrok i mamroczącego coś pod nosem. Kiedy Janus zaproponował, że przydzielą do pułku Winter jej dawnych kaprali, próbowała im wytłumaczyć, w co się pakują. Folsom dopasował się od razu, gdyż jego spokojna pewność siebie i niecenzuralne tyrady na polu bitwy budziły coś w rodzaju nabożnego podziwu ochotniczek. Bobby, oczywiście, nie miała żadnych problemów. Graff zastanawiał się najdłużej, narzekając na niewłaściwość tego wszystkiego, zanim w końcu zgodził się, mówiąc, że ktoś musi się tym zająć. Jak na starego wiarusa miał zaskakująco purytańskie poglądy, co kobiety szybko odkryły i ochoczo wykorzystywały.

Cyte była zupełnie innym przypadkiem. Winter była zdziwiona, znajdując tę studentkę uniwersytetu wśród pierwszych ochotniczek. Cyte należała do tych rewolucjonistów, których zmobilizowały przemówienia Dantona Aurenne'a, i razem z Winter walczyła, żeby uwolnić więźniów Vendre. Po zwycięstwie rewolucji i objęciu władzy przez Zjazd Generalny Winter oczekiwała, że Cyte wybierze nieco bezpieczniejsze życie polityka. Tymczasem wkrótce po wypowiedzeniu Vordanowi wojny przez obce mocarstwa Cyte pojawiła się z egzemplarzem regulaminu i musztry królewskiej armii Vordanu pod pachą oraz cichą determinacją, która Winter wydała się dziwnie znajoma. Szybko awansowała ją na sierżanta sztabowego, gdyż złożony głównie z dziewcząt z południowego brzegu batalion rozpaczliwie potrzebował osób z choćby podstawowym wykształceniem, mogących pełnić obowiązki oficerskie.

– Ktoś się zbliża – ostrzegła Cyte, wskazując na pole, gdzie istotnie jakaś samotna postać biegła przez utrzymującą się jeszcze mgiełkę dymu, zmierzając w kierunku żywopłotu.

Winter rozpoznała Chris, jedną z przybocznych Jane w Skórzanych Kurtkach, teraz noszącą naszywkę sierżanta. Chris zauważyła ją niemal równocześnie i skierowała się ku niej, przedzierając się przez żywopłot.

– Winter! – krzyknęła, nawet nie próbując salutować. Wojskowe maniery nie były najmocniejszą stroną starej kadry Jane. – żółte kubraki wróciły.

– Do diabła! – zaklęła Winter, oglądając się przez ramię. Wciąż ani śladu Bobby, a tym bardziej nadchodzących posiłków. – Ilu?

– Wygląda na dwie grupy – odrzekła Chris. – Rozstawiają się na wprost nas, po drugiej stronie tamtego wzniesienia.

Dwa bataliony, przetłumaczyła to w myślach Winter, formujące szyk bojowy.

– Jedna z nich przy drodze?

Chris kiwnęła głową, łapiąc powietrze.

Winter skrzywiła się.

– Gdzie jest Jane?

Chris pokazała palcem, a Winter pospieszyła wzdłuż linii. Jane pomagała wracającym ze zwiadu przejść przez żywopłot, gdy Winter złapała ją za ramię i odciągnęła na bok.

– Słyszałaś? – spytała Jane.

– Bobby jeszcze nie wróciła. – Winter skinęła głową. – Widocznie de Ferre się opiera.

– Drań. – Jane uderzyła pięścią w dłoń. – Chcesz, żebym wbiła mu trochę rozumu do głowy?

– Wyślę Folsoma – powiedziała Winter. – Jesteś mi potrzebna tutaj.

– Zamierzasz spróbować ich tu zatrzymać?

Winter zacisnęła zęby. Jeśli się wycofamy, cała linia obrony może się rozsypać. Jednak pozostając tutaj i walcząc z tak przeważającym liczebnie wrogiem, poniosą ciężkie straty, nawet jeśli zdołają się utrzymać. A jeśli nie, wybiją nas do nogi.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli wybór – powiedziała.

Jane spojrzała na nią z dziwnym błyskiem w zielonych oczach.

– Ty tu dowodzisz – powiedziała. – Jaki masz plan?

Po kilku minutach cztery kompanie, które Jane wyprowadziła na hamveltajską flankę, zaczęły formować na żwirowej drodze dwuszereg o długości stu metrów. Jane z innymi oficerami z trudem ustawiała je w szyku, gdyż jak większość ochotników, kobiety z Pierwszego Dziewczęcego przywykły do swobodnych działań, a nie walki pozycyjnej. Ktoś jednak musiał powstrzymać pochód żółtych kubraków tą drogą i dopóki de Ferre nie przyśle tu odwodów złożonych z regularnych żołnierzy, Winter miała tylko te cztery kompanie.

Porucznik James Folsom był wysoki i muskularny, miał długie ciemnoblonde wąsy i nieco flegmatyczny sposób bycia. Ożywał się tylko w ogniu bitwy. Uważnie wysłuchał rozkazów Winter i pokręcił głową.

– Powiniennem być tutaj – powiedział spokojnie. – Z moją kompanią.

– Wiem. – Konieczność opuszczenia swoich żołnierzy w chwili, gdy szli do boju, irytowała każdego oficera. – Jednak to bardzo ważne. Nie utrzymamy tej pozycji, jeśli de Ferre nie przyśle posiłków. Jesteś żołnierzem królewskiej armii. To ma swoją wagę.

I jesteś mężczyzną, dodała w duchu. Wysoki, budzący respekt Folsom prędzej zrobi wrażenie na takim starym arystokracie jak de Ferre.

– A jeśli tego nie zrobi?

– Jeśli będzie zwlekał, nie czekaj na odpowiedź. Wróć tutaj i zawiadom mnie, a wtedy zrobimy co się da, żeby się wymknąć.

Byłaby to nie lada sztuka, skoro wróg będzie siedział im na karku, ale Winter usiłowała o tym nie myśleć.

Folsom smętnie pokiwał głową.

– Zatem zaraz wrócę.

Odwrócił się i długim, swobodnym krokiem ruszył w kierunku punktu opatrunkowego.

Kiedy szyk został mniej więcej sformowany, Winter zajęła swoje miejsce pośrodku. Po jej prawej Jane i Abby czekały ze swymi kompaniami. Dwie kompanie po lewej były dowodzone przez Chris i jeszcze jedną z dawnych Skórzanych Kurtek Jane, niską i bladą dziewczynę imieniem Becca, mającą niepokojące upodobanie do noży. Teraz wyjęła jeden i podrzuciła, tak że złowrogo zawirował w powietrzu, zanim zręcznie złapała go drugą ręką.

Winter z zadowoleniem zobaczyła, że stojące w dwuszeregu kobiety są spokojne. Trochę plątały się i zderzały ze sobą, kiedy ładowały broń, ale to było nieuniknione. Tu i ówdzie któraś spoglądała przez ramię, sprawdzając, czy droga za nimi jest wolna, ale Winter nie sądziła, żeby naprawdę rzuciły się do ucieczki. Przynajmniej nie od razu. Każdy oddział żołnierzy, choćby nie wiem jak odważnych, może pójść w rozsypkę; ciało i krew mają swoje granice wytrzymałości. Winter miała nadzieję, że dzisiaj nie pozna swoich.

– Nadchodzą! – zawołał ktoś.

Ziemia była mokra, chmura kurzu nie zapowiadała więc nadejścia nieprzyjaciela, tylko

gdzieniegdzie słońce odbiło się od polerowanej stali lub srebra, gdy zza wzgórza wyłonił się rząd żółtych mundurów. Po chwili doleciał stamtąd dźwięk werbli miarowo wybijających marszowy rytm. Nieprzyjaciel szedł już w szyku bojowym, rozciągającym się na boki po obu stronach drogi.

Czas włókł się jak ślimak. Hamveltajskie oddziały zdawały się być jednocześnie niezwykle blisko i potwornie daleko, jakby już dopadały Winter i jej podwładne, a zarazem były za daleko, żeby do nich w ogóle dotrzeć. Jednak każde uderzenie werbli, któremu towarzyszył miarowy stuk tysiąca buciorów, zmniejszało dzielącą ich odległość. Kiedy znajdą się dostatecznie blisko, niektóre z kobiet stojących przed Winter umrą. Niektórzy z tamtych mężczyzn również. Winter zadawała sobie pytanie, czy oni również mają to straszne przecucie...

Odległość zmniejszyła się do pięćdziesięciu metrów, a żółte kubraki najwyraźniej nie zamierzały przystanąć, by otworzyć ogień.

– Gotuj broń! – zawołała Winter.

Stojące w pierwszej linii kobiety zdjęły muszkiety z ramion.

– Cel!

Cztery luf skierowało się w stronę wroga. Winter odczekała jedno uderzenie serca, dając im czas na wycelowanie.

– Ognia!

Huknęła salwa. Z odległości około czterdziestu metrów nie była najbardziej skuteczna – z tak daleka łatwo było oddać zbyt wysoki lub za krótki strzał, pomijając nawet słabą celność gładkolufowego muszkietu – lecz Winter chciała, żeby chmura dymu skryła Pierwszy Dziewczęcy. Nie mogła pozwolić, by Hamveltajczycy zobaczyli, kto naprawdę przed nimi stoi; gdyby pojęli, że mają nad obrońcami ponaddwukrotną przewagę liczebną, mogliby natychmiast przypuścić atak, a Winter nie sądziła, aby jej oddziały wytrzymały uderzenie tysiąca bagnetów. Prowokując żółte kubraki do wymiany ognia, zyska trochę czasu.

W długim szeregu nacierający ludzie padali i natychmiast byli połykani przez zwierającą szereg formację. Hamveltajczycy kontynuowali marsz, a Pierwszy Dziewczęcy gorączkowo ładował: kobiety rozrywały zębami papierowe tutki i wsypywały odmierzone wcześniej porcje prochu do luf, a potem wypluwały w nie kule. Najszybsze z nich oddały drugi strzał w chwili, gdy werble wybiły rytm innego rozkazu i żółte kubraki przystanęły. Pierwsze dwa szeregi podniosły broń. Winter spojrzała na rząd luf sterczących jak igły na jeżozwierzu i opanowała instynktowną chęć przypadnięcia do ziemi i przybrania pozycji embrionalnej. Znajdowała się dostatecznie blisko, żeby usłyszeć, jak oficerowie tamtych krzyczą po hamveltajsku:

– Envir!

Hamveltajski szereg rozjaśnił się jak rozbłysk błyskawicy, natychmiast pochłoniętej przez kłęby dymu. I znów Winter usłyszała świst kul przelatujących jej nad głową, z głuchym stukiem trafiających w ziemię, i plaśnięcia ołowiu uderzającego w ciało. Kobiety padały, osuwały się na swoje sąsiadki albo zataczały się w tył, wrzeszcząc i klnąc.

– Zewrzeć szereg! – krzyknęła Winter. Zabrakło jej powietrza, gdyż wstrzymywała oddech. – Zewrzeć szereg! Utrzymać szyk!

Jane, Abby i inni porucznicy podjęli okrzyk, a sierżanci – wybrane z ochotniczek, które

zdaniem Winter nie spanikują w ogniu bitwy – zawtórowały im. Kobiety zwierały szyk, odpychając padające towarzyszek lub przechodząc nad nimi. Huknęły kolejne strzały, w nieregularnym rytmie deszczu bębniącego w okno, gdyż każda z nich wypaliła, gdy tylko nabiła broń. Druga hamveltajska salwa była równie zabójcza jak pierwsza i kolejny chór krzyków dołączył do znajomych odgłosów bitwy.

Tego chciała Winter – wymiany ognia, a nie ataku – lecz było gorzej, niż się spodziewała. Żółte kubraki były dobrze wyszkolone, a ich salwy regularne jak tykanie zegara. Przy każdej ginęły kolejne ochotniczki, a pozostałe przy życiu zamykały luki albo trafione padały martwe na zabite lub umierające towarzyszek. Huk ich muszkietów stał się żałośnie słaby, nierówny i nieskuteczny w porównaniu z miarowymi salwami elitarnych oddziałów hamveltajskich.

– Zewrzeć szereg! – zawołała Jane po prawej. – Trzymać szyk!

– Zewrzeć szereg, wy zafajdane córki pieprzonych kóz! – wrzasnęła Becca głosem ochryłym z emocji lub przestrochu. – Trzymać pieprzony szyk!

– Zewrzeć sz... – zaczęła Chris i urwała.

Winter zerknęła w lewo, mrużąc oczy w gryzącym dymie, i zobaczyła, że kula przeszła postawnej kobiecie szyję, z której trysnęła fontanna krwi. Chris przycisnęła dłoń do rany, lecz pulsujący czerwony strumień dalej płynął między jej palcami i osunęła się na ziemię.

Pójdą w rozsypkę. Było to nieuniknione; nie miały innego wyjścia. Upór, duma i niechęć do okazania strachu w obecności towarzyszek przez jakiś czas powstrzyma uczestniczki tego zdecydowanie nierównego boju, ale finał mógł być tylko jeden. Hamveltajczycy z pewnością nie odstąpią teraz, kiedy przeciwnik odpowiada coraz słabszym ogniem. Gdy osłabnie jeszcze bardziej, nałożą bagnety i przypuszczą atak.

Musimy się wycofać. To jednak byłoby równie fatalne jak ucieczka. Chociaż gdybyśmy pobiegły do wioski, niektóre zdołałyby tam dotrzeć. Można by zabarykadować się w jakimś budynku i wytrzymać jeszcze chwilę. Dopóki de Ferre nie wyjmie głowy z tyłka. Chyba że pułkownik dojdzie do wniosku, że bitwa jest przegrana, i nakaże odwrót. Wtedy, odcięte i otoczone, nie miałyby innego wyjścia, jak poddać się lub walczyć do śmierci. Winter nie wiedziała, czy byłaby w stanie wydać którykolwiek z tych dwóch rozkazów. Jak sparaliżowana patrzyła na swoje podwładne koszone kolejnymi salwami, regularnymi jak tykanie zegara, nie mogąc nic zrobić, żeby zabrać je stąd...

Ktoś złapał ją za ramię i krzyknął jej coś do ucha. Minał moment, nim przez huk muszkietów zrozumiała słowa, i kolejny, zanim rozpoznała Bobby.

– ...nadjadą drogą! – wołała Bobby.

Winter zamrugnęła. Zerknęła przez ramię i zobaczyła konie oraz gromadę mężczyzn uwijających się wokół dział. Jakiś oficer energicznie rozstawiał baterię i jaszczce, a artylerzyści już wpychali ładunki do luf.

Bobby wciąż coś mówiła, lecz jej słowa były ciche i niezrozumiałe dla ogłuszonej Winter. Jednak sens tego, co działo się za nimi, był oczywisty.

– Wycofać się! – krzyknęła Winter. – Do tyłu! Formować szyk za działami!

Inne głosy podjęły ten okrzyk. Usłyszała Jane – dzięki Bogu, dzięki Bogu – oraz basowy głos Folsoma. Widocznie wrócił z Bobby. Podwładne Winter już od pewnego czasu opuszczały szereg, odprowadzając ranne towarzyszek, w tym zapewne i takie, które wcale ranne nie były. Okrzyki oficerów przerwały pęta dumy i obowiązku powstrzymujące dotychczas kobiety i szyk

Pierwszego Dziewczęcego pękł jak nagle zepsuty mechanizm. Winter musiała pospiesznie się cofnąć, żeby nie stratował jej tłum żołnierzy; wprawdzie niewrzeszczący i nierzucający broni, ale gnany cichą determinacją, żeby nie pozostać w tyle.

Hamveltajczycy wystrzelili jeszcze jedną salwę, powalając najwolniejsze i te, które nie mogły uciec z powodu odniesionych ran. Winter usłyszała wiwaty żółtych kubraków i ich oficerów wykrzykujących rozkazy. Werble zabiły szybciej, do ataku.

Odwróciła się i pobiegła z innymi. Po chwili była już przy działach, przemknęła między wielkimi kołami o wielu szprychach, a potem na otwartą przestrzeń za baterią. Zatrzymanie się wymagało znacznego wysiłku woli, gdy się miało w oczach wizję tych wszystkich bagnetów tuż za plecami, ale Winter z zadowoleniem zobaczyła, że większość jej podwładnych zrobiła to. Stawały, zgięte w pół i zdyszane, padając na kolana lub kładąc się na ziemi. Jedna z nich zwróciła uwagę Winter: z kurczowo splecionymi dłońmi gorączkowo odmawiała modlitwę dziękczynną.

Za ich plecami kanonierzy szykowali się do otwarcia ognia. Większość kobiet z Pierwszego Dziewczęcego już minęła linię dział i tylko kilka utykających rannych jeszcze wlokło się ku nim. Gdy ostatnie z nich chwiejnie mijały baterię, mgiełka dymu rozwiała się i wyłonił się z niej zbity tłum żółtych kubraków, wciąż maszerujących miarowo. Na widok dział tyraliera lekko zafalowała, ale było za późno, żeby mogli się zatrzymać. Z ochrypłym okrzykiem runęli do ataku.

Młody porucznik artylerzysta opuścił rękę niedbałym i władczym gestem. Kanonierzy przytknęli płonące lonty do otworów zapalowych. Winter zdążyła jeszcze zakryć uszy rękami i w następnej chwili cały świat znikł w oślepiającym rozbłysku oraz potwornym huku.

Winter widziała, że pułkownik Broanne de Ferre już się poci w za ciasnym kołnierzyku.

– Milordzie... – zaczął.

– Ponieważ jesteśmy żołnierzami czynnej służby – krótko rzekł generał Janus bet Vhalnich – mój tytuł nie jest teraz istotny.

Siedząc za swoim składanym stołem do map i trzymając dłoń o długich palcach na stosie raportów wywiadowczych, Janus chłodnym wzrokiem mierzył de Ferre'a. Trudy kampanii wymizerowały generała, pomyślała Winter, który i tak był szczupły. Te niezwykle duże szare oczy wciąż dominowały w jego twarzy, lecz teraz zdawały się spoglądać z zapadniętych oczodołów niemal trupiej czaszki.

– Ach – rzekł de Ferre z nieszczęśliwą miną. Wyraźnie wolałby rozmawiać z Janusem jak szlachcic ze szlachcicem, a nie jak ze swoim dowódcą. – Tak jest. Oczywiście, generale.

– Proszę mówić.

De Ferre przełknął ślinę, usiłując odzyskać kontenans. Był krępyim mężczyzną w średnim wieku i doskonale uszyty mundur nie mógł ukryć jego wydatnego brzucha. Będące oznaką jego rangi srebrne orły na epoletach miały błyszczące oczka z maleńkich rubinów.

– Porucznik Archer nie usłuchał mojego wyraźnego rozkazu – powiedział. – Jego działania mogły zagrozić rozbiciem całego mojego oddziału.

Janus przez chwilę spoglądał na leżące na stole papiery.

– Wtedy, gdy pchnął swoją baterię naprzód, żeby wesprzeć piąty batalion ochotniczy? – Tak oficjalnie nazywał się Pierwszy Dziewczęcy. – Który według wszelkich danych został w ten sposób uchroniony przed wzięciem do niewoli lub całkowitym zniszczeniem.

– Tak jest, generale. – De Ferre wyprężył się z całą służbistością starego wojaka. – Fakt, że to działanie przypadkiem zakończyło się sukcesem, nie usprawiedliwia niesubordynacji. Gdybym potrzebował tej baterii w innym miejscu, bitwa mogłaby zostać przegrana w wyniku jego pochopnego działania.

– Bzdura – wypaliła stojąca obok Winter Jane. – Gdyby Archer nie przyprowadził tych dział...

– Jane – powiedziała Winter, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Jane strząsnęła jej rękę.

– Pieprzyć to. – Wskazała palcem de Ferre'a. – Moje przyjaciółki nie żyją, bo ten skurwiel nie miał jaj, żeby walczyć, a teraz muszę tu stać i słuchać, jak obwinia tych, którzy nam pomogli?

Okrążyła twarz de Ferre'a poczerwieniała.

– Protestuję – zaperzył się. – Stanowczo protestuję. Dlaczego ta... ta kobieta w ogóle tu jest? – Zmierzył Jane wzrokiem, jakby była jakimś dziwnym okazem nieznanego gatunku. – Masz szczęście, że chroni cię twoja płeć, madam, bo gdybyś była mężczyzną, to oskarżenie o tchórzostwo zostałoby rozstrzygnięte zimną stalą.

– Gdybyś był mężczyzną, może zechciałabym użyć stali – odpaliła Jane. – A tak chętnie załatwię cię gołymi rękami, jeśli zechcesz wyjść ze mną na zewnątrz, panie.

– Dość tego – warknął Janus. – Porucznik Verity jest oficerem piątego ochotniczego i tak właśnie będzie traktowana. – Przeszył wzrokiem Jane. – I zechce się powstrzymać od takich uwag.

Winter musiała to przyznać Jane. Większość ludzi w zetknięciu z siłą spojrzenia Janusa natychmiast ustępowała, ale ona przez długą chwilę spoglądała mu w oczy, zanim z westchnieniem odwrócił wzrok.

– Generale – znów zaczął de Ferre – może moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy i...

– Pułkownik de Ferre – przerwał mu sucho Janus. – Proszę wyjaśnić, dlaczego po otrzymaniu dostarczonej przez porucznik Forester wiadomości od kapitana Ihernglassa postanowił pan ją zignorować?

– Moim obowiązkiem jako dowódcy była ocena wszystkich zagrożeń dla moich oddziałów...

– Pułk regularnej armii hamveltajskiej pojawiający się na pańskiej prawej flance nie wydawał się zagrożeniem?

De Ferre przeniósł spojrzenie z Janusa na Winter, pospiesznie przemykając wzrokiem po rozwścieczonej Jane. Odchrząknął.

– Nie uznałem tej informacji za wiarygodną, generale.

– A co mieliśmy zrobić? – wybuchła Jane. – Wysłać ci pieprzone ozdobne zaproszenie?

Tym razem Jane dała się uciszyć. Janus nie oderwał oczu od de Ferre'a.

– Wątpił pan, że wiadomość przyniesiona przez porucznik Forester pochodzi od kapitana Ihernglassa? – zapytał.

– Nie – odparł de Ferre. Pocił się. – Jednak zna pan tych oficerów ochotniczych formacji. Jeśli... jeśli wybaczy pan porównanie, oni zawsze są przekonani, że niebo wali im się na głowy. Obowiązkiem dowodzącego jest oszczędne szafowanie odwodami i nierozsyłanie ich, gdziekolwiek jakiś kapitan uważa, że wali się na niego cała armia.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że dowódca powinien zająć taką pozycję, z której sam może

obserwować sytuację na polu bitwy – rzekł Janus z lodowatym spokojem szermierza zadającego zabójczy cios.

– Ja... to znaczy... – De Ferre otarł czoło. – Wygraliśmy tę bitwę, generale. Moje oddziały zrobiły wszystko, czego pan chciał.

– Głównie dzięki wysiłkom kapitana Ihernglassa. – Janus odchylił się do tyłu na swoim obozowym krześle. – Pułkownikowi de Ferre, zostaje pan zwolniony z dowodzenia. Zabierze pan swoje manatki i zamelduje się w Dyrektoriacie Vordanu, który być może znajdzie dla pana jakieś użyteczne stanowisko. Ja takiego nie mam.

– Nie może pan tego zrobić – warknął de Ferre. – Mam patent pułkownika podpisany przez króla Vordanu.

– Moim zdaniem przekona się pan, że mogę – powiedział Janus. – Moja nominacja na głównodowodzącego armii Wschód została zaaprobowana zarówno przez deputowanych, jak i królową, w tym zakresie więc moja władza jest nieograniczona. Jeśli jednak uważa pan moje postępowanie za bezprawne, jak najbardziej może pan przedstawić swoje stanowisko deputowanym. Sierżancie!

Poła namiotu odchyliła się, wpuszczając do środka podmuch ciepłego, cuchnącego dymem powietrza. Olbrzymi mężczyzna w niebieskim mundurze wetknął głowę w szparę.

– Panie generale?

– Proszę odprowadzić pułkownika de Ferre do jego namiotu i dopilnować, żeby zabrał swoje rzeczy. Opuści nas rano.

Sierżant nie mógł nie słyszeć, co się działo w namiocie za jego plecami, ale z nieprzeniknioną miną uprzejmie zwrócił się do de Ferre'a:

– Panie pułkowniku. Zechce pan pójść ze mną?

– Popelniasz błąd, Vhalnich – powiedział de Ferre. – Mam wielu przyjaciół...

– I niektórzy z nich dołączą do ciebie rano – rzekł Janus. – Mam nadzieję, że utworzycie wesołą gromadkę. Teraz bądź tak dobry i idź z sierżantem. Mam dużo pracy.

De Ferre jeszcze przez chwilę stał jak wmurowany, a jego twarz coraz bardziej przypominała przejrzały pomidor. Winter już myślała, że pęknie i obryzga ich wszystkich posoką, gdy obrócił się na pięcie i wymaszerował z całą godnością, jaką zdołał jeszcze zebrać, oraz eskortującym go sierżantem idącym dwa kroki za nim.

Winter wiedziała, że koncepcja utworzenia stanowiska głównodowodzącego nie budzi zachwytu w królewskiej armii, w której przez wieki nie było rang wyższych niż pułkownik. Teraz o tym, który pułkownik wydaje rozkazy siłom zbrojnym, już nie decydowały skomplikowane zależności uwzględniające starszeństwo, wiek i prestiż jego jednostki. Zazwyczaj dowodzenie przypadało najstarszym i najpotężniejszym szlacheckim rodom, mającym najstarsze i najbardziej szanowane pułki.

W kilkutygodniowym chaosie wywołanym wypowiedzeniem wojny Zjazd Generalny napędce stworzył wiele nowych stanowisk w celu skoordynowania wojennego wysiłku narodu i było oczywiste, że jedno z nich przypadnie zbawcy stolicy. Tylko że choć Janus był hrabią, to jego ród nie zaliczał się do najpotężniejszych, a on nie dowodził zasłużonym pułkiem. Winter słyszała, że pułkownicy królewskiej armii niezbyt dobrze przyjęli jego awans. Jednak nigdy nie sądziłam, że zobaczę, jak jeden z nich zostaje wykopany. W dawnej królewskiej armii pułkownik pozostawał na służbie, aż umarł, przeszedł w stan spoczynku lub

stał się żenująco dziecinniały; z pewnością nigdy nie został pozbawiony dowództwa, które było jego dziedzicznym i finansowym przywilejem.

Janus westchnął przeciągle i przyglądał dłoń włosy.

– Kapitanie Ihernglass, czy możemy porozmawiać w cztery oczy?

– Oczywiście, panie generale. Jedną chwileczkę. – Winter odwróciła się z mocno bijącym sercem i nachyliła do Jane. – Wróc do obozu. Wkrótce tam przyjdę.

– Na pewno nic ci nie będzie? – spytała Jane.

– Nic. Jestem pewna, że to... nic poważnego. Idź i zajmij się rannymi.

Jane odwróciła się, niezgrabnie zasalutowała Janusowi i wyszła. Augustin, służący Janusa, jak duch przemknął pod uchyloną połą wejścia do namiotu i z szacunkiem skłonił się Winter. Był siwowłosym i dystyngowanym staruszkim, ale wiernie służył Janusowi od lat, nawet podczas kampanii khandarskiej.

– Herbata – rzekł Janus. – I przynieś kapitanowi coś do siedzenia.

– Oczywiście, panie hrabio – rzekł Augustin.

Zajął się rozkładaniem drugiego krzesła dla Winter, a potem dzbankiem na drugim końcu namiotu. Winter ostrożnie usiadła i czekała, aż Janus zacznie mówić, ale pułkownik się nie spieszył. Po kilku minutach Augustin postawił na stoliku dwie śnieżnobiałe filiżanki z parującą zawartością.

– Mocna z odrobiną cukru, jeśli dobrze pamiętam – powiedział do Winter. – Obawiam się jednak, że to inny gatunek herbaty.

Winter się uśmiechnęła. Pomimo narzekań na jakość żywności, herbaty i wyposażenia staruszek był istnym czarodziejem nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach zapewniającym wygody swemu panu i jego gościom, co w obozowych warunkach było nieocenioną zaletą.

Janus wydał wargi i podmuchał na herbatę, a potem ostrożnie upił łyk.

– Doskonała – pochwalił. – Dziękuję, Augustynie.

– Oczywiście, panie hrabio.

Służący uklonił się i wyszedł.

Winter sięgnęła po swoją filiżankę i głęboko wciągnęła aromatyczny zapach, zanim skosztowała napoju. Tak jak się spodziewała, herbata była dobra.

Janus nadal milczał, wpatrując się w filiżankę, i w końcu Winter uznała, że powinna rozpocząć rozmowę. Odkaszlnęła i dowódca spojrzał na nią.

– Muszę zapytać, panie generale – powiedziała. – Czy to było rozsądne?

– Co? – Janus przez chwilę miał taką minę, jakby naprawdę zapomniał o tym, co przed chwilą zrobił. – Och, ta sprawa z de Ferrem. Oczywiście, że tak. Ten człowiek to dureń.

– I hrabia. To nie ucieszy innych pułkowników królewskiej armii.

– Rano będą jeszcze mniej uszczęśliwieni. – Janus odstawił filiżankę. – Działania naszej armii były po prostu nie do przyjęcia.

– Bitwa została wygrana. Czyż nie?

Janus machnął ręką.

– Tylko dlatego, że baron di Pfalen jest kompletnym głupcem. Trzy zgrupowania pozbawione sprawnej łączności w wielojęzycznej armii bez porządnego łańcucha dowodzenia? – prychnął.

– Mogliśmy nic nie robić i patrzeć, jak sami pójdą w rozsypkę. Śmiem twierdzić, że ty, jeszcze

trzymając się matczynej spódnicy, byłabyś lepszym dowódcą niż di Pfalen.

Winter, która nie pamiętała swojej matki, powstrzymała się od komentarza.

– Pewnego dnia ta armia stawi czoło prawdziwemu dowódcy – ciągnął Janus. – Wiem, że jest tam kilku takich. Na przykład diuk Brookspring i na pewno są jeszcze inni. Nawet taka klika stetryczalnych sztywniaków jak hamveltajska Wysoka Rada nie mogła się pozbyć wszystkich zdolnych ludzi. Kiedy ten dzień nadejdzie, musimy być przygotowani.

– Sądzi pan, że potrzebne są ćwiczenia?

– Obawiam się, że to nie wystarczy. Wasz konflikt nie był jedynym między żołnierzami królewskiej armii a ochotnikami. Drugi batalion piechoty oddał salwę do trzeciego ochotniczego, bo jakiś dureń pomyślał, że przeszli na stronę wroga.

Winter skrzywiła się.

– Jednak ma pan jakiś pomysł, jak to rozwiązać?

– Zreorganizuję armię. Królewskie oddziały są za duże, a ochotnicy muszą się nauczyć działać jako część większych sił. Rozwiążemy wszystkie stare jednostki i utworzymy nowe. W skład każdego nowego regimentu wejdzie jeden batalion ochotników i jeden królewskich żołnierzy. Dodatkową korzyścią będzie pozbycie się wszystkich tych tępawych pułkowników.

– Niektóre z tych oddziałów istnieją od wieków – powiedziała Winter. – Oni nie...

– Nie będą uszczęśliwieni. Już o tym wspomniałaś. – Janus uśmiechnął się. – Pułkownicy na pewno nie będą zadowoleni i niektórzy szlachetnie urodzeni oficerowie także. Mogą złożyć rezygnację i przedłożyć skargę deputowanym. Myślę jednak, że zwykli żołnierze będą radzi, że się ich pozbyli.

Winter skinęła głową. W dawnej królewskiej armii były dwa rodzaje oficerów – ci, którzy kupili lub odziedziczyli swój patent, jak de Ferre, oraz ci, którzy ukończyli szkołę wojskową, tak jak kapitan Marcus d'Ivoire. Pierwsi zajmowali stanowiska głównodowodzących, ale to dzięki tym drugim armia w ogóle istniała.

– Kto będzie dowodził nowymi pułkami? – zapytała, zastanawiając się, z jakiego rodzaju nowym dowódcą będzie musiała się użerać.

– Najbardziej kompetentni oficerowie, zawodowi lub ochotniczy. – Ponownie postukał w stertę papierów. – Daję ci drugi batalion osiemnastego pułku, dowodzonego przez kapitana Sevrana.

– Ja... pan... co takiego, panie generale?

– Twoja nowa jednostka będzie nosiła nazwę trzeciego pułku liniowego. Oczywiście dostaniesz awans na pułkownika.

– To śmieszne – wypaliła Winter. – Zostałam kapitanem tylko dlatego, że potrzebny był ktoś, żeby dowodzić wszystkimi tymi dziewczynami, które chciały się zaciągnąć, a teraz...

– Uważasz, że się do tego nie nadajesz?

– Oczywiście, że nie!

Pułkownicy byli szlachcicami, często hrabiami lub synami hrabiów, ludźmi wpływowymi i znanymi. Nie można było tak po prostu zostać jednym z nich, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Zatem nasze zdania w tej sprawie się różnią. Ponieważ jednak to rozkaz, możesz go wykonać lub złożyć dymisję. – Janus przechylił głowę na bok. – Chcesz złożyć dymisję?

Winter opanowała zamęt w głowie.

– Ja... nie, panie generale.

– Bardzo dobrze. Czy masz jakiś pomysł na to, kto powinien dowodzić Pierwszym Dziewczęcem?

Była tylko jedna odpowiednia kandydatka.

– Porucznik Verity, panie generale.

– Doskonale. Proszę, poinformuj porucznik, że od tej chwili jest awansowana na kapitana i może sobie wybrać młodszych oficerów. Pod twoim nadzorem, rzecz jasna.

– Panie generale... – Winter zaczerpnęła tchu. – Królewscy. Ten kapitan Sevrán. A jeśli nie zechcą słuchać moich rozkazów? – Myśl o tym, że ona, Winter Ihernglass, uciekiniarka z domu dla niechcianych dzieci ma wydawać rozkazy dumnym zawodowym żołnierzom królewskiej armii, wydawała jej się po prostu śmieszna. – Nie jestem pewna, czy...

Janus spochmurniał.

– Jeśli odmówią wykonywania twoich rozkazów, masz prawo powiesić ich za niesubordynację i zdradę. Wyżsi oficerowie w trakcie trwania kampanii mają prawo podejmować takie decyzje. Gwarantuję, że nie będzie potrzeba wielu przykładów, żeby zaprowadzić porządek.

– Mówi pan poważnie.

– Oczywiście. Każdy, kto nie akceptuje łańcucha dowodzenia, praktycznie nie uznaje mojej władzy. Nie będę tego tolerował.

– Tak jest, panie generale. – Winter była oszołomiona. – Rozumiem.

– Oficjalne rozkazy zostaną odczytane jutro całemu obozowi. Do tej pory, proszę, zachowaj to dla siebie i twoich oficerów.

– Tak jest.

– Jeszcze jedno. – Janus przeszył ją swoim niezgłębionym spojrzeniem. – Według moich raportów byłaś dzisiaj w samym ogniu bitwy.

– Ja... tak jest. Chyba byłam.

– To właściwe i odpowiednie dla porucznika, ale w przyszłości musisz bardziej uważać. Bóg wie, że mam niewielu równie obiecujących oficerów jak ty i nie mogę pozwolić, żeby jakaś zabłąkana kula z muszkietu przedwcześnie zakończyła twoją karierę. Są również... inne obowiązki, które tylko ty możesz pełnić. Rozumiesz?

Winter sądziła, że tak, nawet to, o czym Janus nie chciał głośno mówić. „Inne obowiązki” oznaczały Wszystkożercę, demona, którego nosiła w sobie od czasu stoczonej w Khandarze walki o zdobycie Tysiąca Imion. Przeważnie spoczywał w najciemniejszych zakamarkach jej jaźni, lecz jeśli tylko dotknęła innego nosiciela demona, budził się i pożerał pokrewnego sobie stwora. Zdaniem Janusa to czyniło z niej broń przeciwko jego prawdziwemu wrogowi: kapłanom Czerni i ich Przekłętemu Penitentowi. I nie możemy pozwolić, żeby ten oręż złamał się zbyt szybko. Gdyby Winter poległa na polu bitwy, Janus musiałby znaleźć kogoś innego do noszenia Wszystkożercy, a z tego, co mówił, wynikało, że przeżywalność ludzi wpuszczających w siebie demony nie jest zbyt wysoka. Niepowodzenie w tym wypadku oznaczało śmierć w męczarniach; wciąż przechodził ją dreszcz na myśl o ryzyku, jakie bezwiednie podjęła.

– Tak jest, panie generale. Rozumiem.

– To dobrze. – Wyprostował się i znów posłał jej ten swój przelotny uśmiech. – Doskonale

się dziś spisaliście, pułkowniku Ihernglass. Dobra robota.

Winter zamilkła zaskoczona, a potem wstała i zasalutowała.

– Dziękuję, panie generale!

Jako kapitan, Winter przysługiwał namiot odrobinę większy niż zwykle, chociaż wciąż nie tak wysoki, żeby mogła stanąć w nim wyprostowana. Zerknęła przez szparę przy wejściu i wcale się nie zdziwiła, ujrawszy w środku Jane siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na poduszce przy polowym łóżku. Winter westchnęła i pogodziła się z koniecznością uspokojenia Jane, rozwścieczonej po spotkaniu w namiocie Janusa.

Kiedy weszła, Jane nie wybuchła. Nawet nie podniosła głowy. Z dłońmi opartymi na kolanach wpatrywała się w podłogę. Jej miękkie rude włosy, sięgające teraz prawie do ramion, pozlepiane w strąki opadały jej na twarz.

– Jane? – powiedziała lekko zaniepokojona Winter. – Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiedziała ochryłym głosem Jane.

– Co się stało?

– Poszłam popatrzeć na... – Urwała i zaczerpnęła tchu. – Na rannych.

– Och.

Winter zdjęła buty i postawiła je przy wejściu, a potem cicho przeszła po nakrytej plandeką ziemi do Jane. W milczeniu usiadła obok i objęła ją. Jane oparła się o nią, skulona i zgnębiona. Na twarzy miała ślady pozostawione przez łyzy zmywające warstwę brudu i resztek spalonego prochu.

– Zginęła Chris – powiedziała szeptem.

– Wiem – rzekła Winter. – Stałam tuż przy niej.

– Nikt mi nie powiedział. Nawet nie zauważyłam, że jej nie ma. – Jane przełknęła ślinę. – Była ze mną od samego początku. Od czasów pani Wilmore. Jak wiele innych dziewcząt.

– Wiem. – Winter ścisnęła jej ramię. – Przykro mi.

– Poszłam do lazaretu. Myślałam, że mogę... może pomóc. Była tam ta dziewczyna, Forti. Skrót od Fortuna. Pewnie jej nie znałaś.

Winter pokręciła głową.

– Znalazłyśmy ją wkrótce po tym, jak przybyłyśmy do Vordanu. Kiedy jeszcze mieszkaliśmy na bagnach. Po prostu pewnego dnia przyszła do naszego obozu, chudzina w łachmanach, prosząc o jedzenie i kuląc się, ilekroć ktoś na nią popatrzył. Jakby bała się bicia.

Jane ścisnęła dłońmi kolana, aż zbielały jej knykcie. Winter nic nie powiedziała.

– Pozwoliłam jej iść z nami – ciągnęła Jane. – Nikt nie znał jej wieku, ale nabrała ciała, kiedy dałyśmy jej się najeść. Tak bardzo chciała iść z nami, a ja jej pozwoliłam.

– Czy ona... – zaczęła Winter i urwała.

Jane przycisnęła głowę do ramienia Winter.

– Kiedy tam przyszłam, do lazaretu, leżała na stole. Mieli... piłę, taką do cięcia drewna, i odcinali jej rękę. – Jane nieświadomie podniosła dłoń i zacisnęła ją na bicepsie drugiej ręki.

– Wypluła knebel, który jej dali, i krzyczała „nie, nie, nie”, raz po raz, nawet kiedy już skończyli. Jeden z chirurgów podniósł rękę i rzucił ją na stos innych. Tyle rąk... i...

– Boże – cicho powiedziała Winter. – Och, Jane.

– Zwróciłam lunch – powiedziała Jane. – A może wczorajszą kolację, bo dziś nic nie jadłam. Wyrzygałam się na oczach wszystkich. Potem uciekłam, z rzygami wciąż ściekającymi

z koszuli.

– W porządku – powiedziała Winter. – Oni to rozumieją. Oglądanie czegoś takiego...

– To ja je tu przyprowadziłam! Miałam je chronić, a przyprowadziłam je tutaj. Co ja, kurwa, robię? – Jane spojrzała na Winter szeroko otwartymi, pełnymi udręki oczami. – Powinnyśmy odejść. Zabrać je wszystkie i wrócić do domu, z powrotem do miasta lub na wieś, wszędzie, byle nie tu.

Winter wpatrywała się w nią. To była Jane, jakiej jeszcze nie widziała, wrażliwa strona tej zapalczywej kobiety, która chciała zabić złośliwego poborcę Krwawego Cecila i była gotowa szturmować Vendre, nie zważając na ogień armatni. W jej wyrazie twarzy było coś dziecinnego, jakaś rozpaczliwa potrzeba znalezienia poparcia, którego Winter nie była w stanie jej dać.

– Zaczniemy od tego – powiedziała – że wcale ich tu nie sprowadziłaś. Przyszły same, dobrowolnie. Wiesz o tym. Każdy, kto z nami tu przyszedł, wiedział, co może się stać.

– Mogłam je powstrzymać.

– Kapitan d'Ivoire chciał powstrzymać ciebie, ale mu nie pozwoliłaś.

– Ja... – Jane nabrała tchu. – Myślałam, że to szybko się skończy. Jednak... – Potrząsnęła głową. – Wszyscy, którzy przeżyli dzisiejszy dzień, będą robić to samo jutro i pojutrze, i popojutrze. Nie mogę patrzeć, jak wszystkie giną. Nie mogę.

Miała łzy w oczach. Winter niezgrabnie przytuliła ją i po chwili Jane położyła głowę na jej podołku. Przycisnęła twarz do munduru Winter, wstrząsana cichym szlochem. Pozostały w tej pozycji przez długi czas. Dłoń Winter spoczywała na ramieniu Jane, która płakała niemal bezgłośnie. W końcu przestała, a jej oddech stał się wolniejszy i regularny.

– Jane? – spróbowała ją zagadnąć Winter.

– Mm? – Jane spojrzała i zmarszczyła brwi na widok miny Winter. – Na co patrzysz?

– Przepraszam. – Winter pozwoliła sobie na nikły uśmiech. – Jeden z moich guzików odcisnął królewskiego orła na twoim czole.

Jane dotknęła zaczerwienionego miejsca i odpowiedziała słabym uśmiechem. Winter pochyliła się i delikatnie pocałowała to miejsce.

– Przepraszam – powiedziała Jane, gdy Winter się odsunęła. – Nie chciałam ci się tak rozklejać. Po prostu... nie mogłam...

– W porządku. – Winter przesunęła dłonią po włosach Jane, rudych i jedwabistych, choć tak skołtunionych i brudnych. – Posłuchaj. Każda, która zechce, może odejść, wiesz o tym. Zatrzymanie ich to mój obowiązek, ale nie zamierzam tego robić. Jednak one nie odejdą. Są tutaj, ponieważ uważają, że trzeba bronić Vordanu.

– Wiem. Wiem! Nie to miałam na myśli. I nigdy nie zostawiłabym cię tu samej, to także wiesz.

– Bogu za to dzięki.

Tym razem Jane uśmiechnęła się szerzej. Winter znów ją pocałowała, tym razem w usta, ale po chwili znowu się odsunęła.

– Smakujesz – zauważyła – wymiotami i prochem.

Jane westchnęła i pociągnęła strąk włosów.

– Racja. Powinnam się umyć. – Pokręciła głową. – A właściwie czego chciał od ciebie Janus?

– Nic ważnego – odparła Winter. – Powiem ci rano.

Dwa Raesinia

Claudia zakręciła w powietrzu swą elegancką parasolką i popatrzyła na szare jesienne niebo.

– Cóż – powiedziała wesoło – przynajmniej nie zaczęło padać!

Och tak, pomyślała królowa Raesinia Orboan. Byłoby szkoda, gdyby niepogoda zakłóciła egzekucje.

Powstrzymała się od uwag, pamiętając o czujnej obecności Sothe u swego boku. Dwudziestopięcioletnia Claudia Nettalt sur Tasset była niezwykle bogata i piękna. Raesinia słuchała jej zafascynowana, ponieważ wszystko, co oczy lub uszy tej kobiety przekazywały do głowy, natychmiast wychodziło ustami, najwyraźniej bez jakiejkolwiek próby namysłu. Ponieważ umieszczono je w królewskiej loży, Claudia wyraziła swoje zdanie o liczbie zgromadzonych ludzi (całkiem sporej), sukni Raesinii (ślicznej), kolorze nieba (szarym) i oczywiście pogodzie (bezdeszczowej). Teraz znów popatrzyła wokół szeroko otwartymi, bezmyślnymi oczami.

– Patrz, Emilu, jeszcze sprawdzają maszynę – powiedziała, pokazując miejsce, na którym wszyscy skupiali uwagę i gdzie odziany na czarno uczonec i dwóch jego asystentów istotnie robili coś przy potężnej maszynie.

Syn Claudii, chłopiec w wieku siedmiu lub ośmiu lat, był ubrany w ciemny prosty strój właściwy dla szlachcica w żałobie. Opierał się ramieniem o poręcz loży, zatopiony w lekturze grubej, oprawionej w skórę książki, w której Raesinia rozpoznała egzemplarz krwawej powieści przygodowej *Serce Khandaru*. Claudia przedstawiła go, kiedy weszli do loży, ale królowa Vordanu najwidoczniej była kiepską alternatywą dla wyczynów kapitana Merrica i jego ludzi walczących z krokodyłami oraz wodospadami.

Przy drugim boku Raesinii siedział krępy dżentelmen w szarym ubraniu, który – jak sobie przypominała – miał coś wspólnego z przemysłem zbrojeniowym. On, na szczęście, nie czuł się zobowiązany do prowadzenia rozmowy i skupił się na wypatrywaniu znajomych, od czasu do czasu mamrocząc pod nosem zjadliwe uwagi. Ich charakter dobitnie świadczył o tym, że jest ogromnie zadowolony, że posadzono go obok królowej, podczas gdy jego rywale muszą siedzieć z pospólstwem.

Środek placu Triumfu Farusa, z okazałą fontanną i mównicą, niezbyt się nadawał na miejsce tego rodzaju publicznych widowisk. Tak więc na jego północnym końcu, przed hotelem Ancerre – siedzibą nowego rządu – wzniesiono półkole trybun. Na środku tego łuku znajdowała się odgradzona loża królowej i jej gości, w której Raesinia czuła się jak czekająca na ubój krowa w zagrodzie.

Miejsca na krańcach półokręgu zajmowali członkowie Zjazdu Generalnego, przy czym opozycyjne frakcje siedziały tak daleko od siebie, jak to tylko było fizycznie możliwe. Po lewej byli radykałowie w swych kolorowych, wielobarwnych strojach i kapeluszach, które z jakiegoś niepojętego dla Raesinii powodu stały się modne w ich kręgach. Po prawej konserwatyści wyglądający jak stado wron w swych czarnych płaszczach z wysokimi

kołnierzami. Ziemię niczyją pomiędzy tymi zwaśnionymi partiami zajęli inni szlachcice Vordanu, mieszanina bogatych mieszczan i arystokratów, którzy opowiedzieli się za nowym ładem.

Naprzeciw tego półkola długi szereg stojących na baczność żołnierzy z Gwardii Patriotycznej, w niebieskich mundurach z białymi szarfami, powstrzymywał tłum pospółstwa wypełniającego resztę placu. Gwardziści mieli halabardy, lecz w geście dobrej woli ich ostrza były zakryte lnianymi kapturami.

Na otwartej przestrzeni pomiędzy tłumem a trybunami wzniesiono dwa drewniane podwyższenia. Jedno dla pięciu członków Dyrektoriatu Obrony Narodowej, otoczonych przez inny oddział Gwardii Patriotycznej. Na drugim, większym podium, na którym skupiła uwagę Claudia, stał solidnie wyglądający metalowy stół, dostatecznie duży, żeby mógł się na nim położyć człowiek. Obok podwyższenia, w podwójnym kręgu strażników, stała grupka nieszczeńników w szarych więziennych strojach.

Królewską lożę wypełniał tłum szlachciców i prominentów zaproszonych do towarzyszenia królowej w podziękowaniu za ich poparcie. Na przykład Claudia znalazła się tutaj, ponieważ jej ojciec, hrabia Tasset, należał do mniejszości tych szlachetnie urodzonych, którzy wyrazili poparcie dla nowego rządu. Większość szlachty odpowiedziała na patriotyczne apele Dyrektoriatu, chowając się w wiejskich posiadłościach, postanawiając przetrwać burzę i przeżyć, niezależnie od tego, jak ostatecznie ułożą się sprawy.

Oczywiście zaproszeniami zajęła się Sothe. Dopóki kłócący się deputowani nie uzgodnią ostatecznej wersji konstytucji, Raesinia nie miała żadnej władzy, lecz to nie powstrzymywało śmietanki vordanajskiego społeczeństwa od prób przeciągnięcia jej na swoją stronę. Sothe została oficjalnie awansowana z pokojówki Raesinii na jej ochmistrzynię, stanowisko dające jej ogromną, choć nieformalną władzę, na którym wykazała zadziwiającą zrećność w kontaktach z petentami i pieczeniarczami tłoczącymi się u drzwi królowej. Zapytana o to przez Raesinię odpowiedziała, że jedyna różnica między dworakami a agentami Konkordatu polega na tym, że pierwsi nie używają sztyletów.

Teraz stała tuż za Raesinią, wraz z dwoma grenadierami w niebieskich mundurach. Z trzech formacji, które kiedyś chroniły króla, Strażnicy zostali oficjalnie wcieleni do Gwardii Patriotycznej, a noreldrajscy szarzy rozwiązani w niesławie, tak więc obowiązki królewskiej eskorty pełniła teraz tylko ta elita królewskiej armii. Gwardia Patriotyczna oczywiście miała strzec bezpieczeństwa wszystkich obywateli Vordanu, ale podlegała Zjazdowi Generalnemu, a konkretnie Dyrektoriatowi Obrony Narodowej. Co oznacza, że podlegają Mauriskowi.

W tym momencie jeden z asystentów pomachał do ludzi stojących na podium dla Dyrektoriatu i pokazał uniesiony kciuk. Następnie obaj pospiesznie zniknęli z oczu, pozostawiając w centrum wydarzeń tylko odzianego na czarno uczonego. Ten skłonił się pięciu siedzącym na podium członkom Dyrektoriatu, a jeden z nich wstał i wszedł na mównicę. Claudia spojrzała na Emila, zmarszczyła brwi i szturchnęła go palcem w skroń.

– Odłóż tę książkę i skup się – powiedziała.

Chłopiec westchnął i usłuchał, niechętnie spoglądając na mówcę.

Przewodniczący Dyrektoriatu Obrony Narodowej Johann Maurisk nie był imponującą postacią. Był wysoki, ale żałośnie chudy i w wiszącym na nim jak na kiju od miotły czarnym płaszczu oraz z bladą twarzą pod szarym trójgraniastym kapeluszem wyglądał jak strach na

wróble. Miał jednak wystarczająco donośny głos, by usłyszano go na całym placu, i uciszył pomruk tłumu.

– Obywatele Vordanu! – rzekł. – Zebraliśmy się tutaj, aby być świadkami wielkiego kroku naprzód. Jeszcze jeden relikwiarz przeszłości, obciążony balastem przesądów, zostaje zmieciony przez cudowny wytwór nowoczesności!

Tłum odpowiedział owacją, ale niezbyt głośną. Proporczyki falowały i trzepotały na wietrze, trzymane w uniesionych rękach lub na drzewcach. Niebiesko-białe radykałów, czarne konserwatystów. Frakcje parlamentu znajdowały odzwierciedlenie w pospółstwie i obok kolorowo odzianych grup w tłumie były też czarne. Barwione atramentem prześcieradła i powłoczki zafalowały, gdy zwolennicy konserwatystów owacyjnie powitali swego bohatera, natomiast radykałowie zachowali złowrogie milczenie.

– Geniuszem, któremu to zawdzięczamy, jest doktor profesor Sarton – ciągnął Maurisk. – Pozwolę, by sam wyjaśnił zasadę działania tego urządzenia.

Emil, który spuścił głowę znudzony, gdy przemawiał faktyczny władca Vordanu, podniósł ją, gdy stojący przy metalowym stole uczony wyprostował się. Był to doktor profesor George Sarton, którego dzieło zostało tak entuzjastycznie przyjęte przez Dyrektoriat. Zanim umarł ojciec Raesinii, gdy królowa wymykała się z pałacu, żeby organizować ruch studenckich radykałów przeciwko Ostatniemu Diukowi, Maurisk i Sarton byli członkami ścisłego kierownictwa tego spisku. Był niezgrabnym, kościstym mężczyzną, który strasznie się jąkał; aż mu twarz czerwieniała z wysiłku, gdy wydobywał z siebie słowa. Zwracał się do Mauriska, pozwalając pozostałym dygnitarzom spoglądać na tył jego głowy.

– Ss-tudiowałem metody egzekucji ss-tosowane przez królów Vordanu – rzekł. Wyglądało to na przećwiczoną przemowę. – Wszystkie były okrutne i niehumanitarne. Nowoczesne państwo może skazywać zbrodniarzy na śmierć, ale nie czerpie przyjemności z okrucieństwa. Pragnąłem znaleźć metodę pozbawiania życia możliwie bezboleśnie.

Sarton odwrócił się do metalowego stołu i z wyraźnym zadowoleniem przesunął dłonie po jego blacie.

– Wieszanie – ciągnął – wymaga sporej zręczności ze ss-trony kata, jeśli śmierć ma być natychmiastowa. Wyznaczanie człowieka, który miałby pełnić rolę kata, jest sprzeczne z zasadami równości wyznawanymi przez Zjazd Generalny. Znacznie odpowiedniejszy jest mechanizm. Jak każdy wie, serce jest siedzibą emocji, włącznie z takimi jak ból i udręka. Tak więc zniszczenie serca powoduje bezbolesną i natychmiastową śmierć. Aby to uzyskać, wykorzystałem siłę i precyzję nowoczesnej maszynery. Niepotrzebna jest wprawa. Skazaniec zostaje umieszczony tutaj – poklepał środek stołu – i przywiązany, a wtedy wysstarczy tylko przełożyć dźwignię.

Nacisnął coś z boku stołu. Nieco na lewo od środka, w miejscu, gdzie znalazłoby się serce skazańca, prawie półmetry stalowy szpikulec wyskoczył z szybkością atakującej kobry i metalicznym szczękiem.

– Ta metoda jest całkowicie bezbolesna – powiedział Sarton. – Ss-erce zostaje przebite, zanim zdąży zareagować. Kończyny mogą się jeszcze poruszać, lecz dusza już uleciała. – Uśmiechnął się błogo i na moment przestał się jąkać. – Nazywam to Kolcem Sprawiedliwości.

Zapadła długa cisza. Potem tłum zaczął wiwatować, zarówno radykałowie, jak i konserwatyści. Sarton uprzejmie skinął głową Mauriskowi i przewodniczący znów wstał.

– Ci ludzie – zagrział, wskazując na skulonych więźniów – przyznali się do swych zbrodni! To borelgajscy szpiedzy. Opłacani przez naród sklepikarzy i sługusów Kościoła Zaprzysiężenia, żeby działali przeciwko nam, szpiegowali i sabotowali. Przez lata znosiliśmy obecność Borelgajów wśród nas, tolerowaliśmy ich jadowite kłamstwa i pozwalaliśmy, by wywierali swój złowrogi wpływ. A wszystko to skuszeni sakiewką złota!

Raesinia zeszywniała. Maurisk spoglądał w jej stronę i przez moment miała wrażenie, że mówi to bezpośrednio do niej. Jej ojciec, Farus VIII, był w dużej mierze odpowiedzialny za tę „tolerancję”, która tak bardzo nie podobała się przewodniczącemu. Częściowo istotnie dla złota – pożyczki wielkich borelgajskich bankierów zapobiegały krachowi królestwa – ale była też drobna sprawa Wojny Książąt, która zakończyła się śmiercią jej starszego brata, księcia Dominika, i upokarzającą kapitulacją Vordanu.

– Koniec z tym – rzekł Maurisk dźwięcznym głosem, który przeleciał nad kamiennymi płytami bruku. – Zasłona została zdarta. Wrogowie, którzy latami intrygowali przeciwko nam, zostali zmuszeni do działania przez to, że powołaliśmy Zjazd Generalny, aby zapewnić sprawiedliwość wszystkim Vordanajom. Toczmy wojnę, przyjaciele, a to oznacza, że nie możemy tolerować takiej zdrady, żeby nie ranić uczuć kupców z Viadre! Wreszcie możemy rozprawić się z takimi niegodziwymi czynami w sposób, na jaki w pełni zasługują.

Znów rozległy się wiwaty, głośnie i nieskładne, zmieszane z okrzykami „Śmierć zdrajcom!” oraz „Precz z niewolnikami Elizjum!”. Przerodziły się w miarowy okrzyk, powszechny i coraz głośniejszy, który wstrząsnął placem.

– Na Kolec! Na Kolec!

Emil przyłączył się do niego entuzjastycznie, dopóki matka nie dała mu w ucho.

– Emilu! Dżentelmen nie wyje z tłumem. Wystarczy aplauz. – Emil ograniczył się więc do oklasków, a Claudia nachyliła się do Raesinii. – Jest dobrym mówcą, nie uważasz? Ma donośny głos. Słyszałam każde słowo!

– Och, tak – mruknęła Raesinia. – Bardzo dobrze.

Maurisk skinął na strażników, którzy złapali jednego z więźniów i zawlekli go na podium. Ponownie zjawili się asystenci Sartona i z pomocą strażników umieścili mężczyznę na metalowym stole, twarzą do dołu. Skórzanymi jarzmami przeciągniętymi przez przyśrubowane do stołu klamry unieruchomili mu ręce, nogi i głowę, a szeroki pas przytrzymujący go w talii nie pozwalał mu wygiąć pleców.

Gdy więzień został przymocowany do stołu, strażnicy się cofnęli. Doktor profesor Sarton spojrzął na członków Dyrektoriatu i Maurisk machnął ręką. Odziany na czarno uczony przesunął dźwignię i Kolec brzęknął. Jego metalowy koniec wyrósł z pleców więźnia niczym dziwny metalowy pęd. Mężczyzna drgnął konwulsyjnie i znieruchomiał. Raesinia poczuła wzbierającą w gardle kulę i przełknęła ślinę.

Pod podium z Kolcem najwidoczniej ktoś ponownie nastawiał mechanizm. Stalowe ostrze znikło, a ustawiana machina głośno zatykała. Gdy strażnicy rozpięli pasy i zabrali trupa, na stalowym blacie pozostała tylko niewielka plama krwi.

– Uroczo – powiedziała Claudia. – To o wiele bardziej cywilizowane od wieszania. Zawsze nienawidziłam, jak wierzgają i podrygują.

– Mamo, a gdzie podziała się krew? – zapytał Emil. – Myślałem, że obryzga wszystko wokół.

– Sądzę, że jest tam jakiś specjalny odpływ – powiedziała Raesinia.

– Specjalny odpływ – powtórzyła Claudia. – Oczywiście. Jakie to pomysłowe.

– Tak – beznamyślnie powiedziała Raesinia, patrząc na siedmiu pozostałych więźniów. – Doktor Sarton zawsze był bardzo... pomysłowy.

Zdrajcy, którzy przyznali się do winy, tak nazwał skazańców Maurisk. Skuleni, w łachmanach, nie wyglądali na niebezpiecznych zdrajców. Sothe opowiadała jej o metodach, jakie stosował Orlanko, żeby wydobyć potrzebne zeznania. Zastanawiała się, czy Maurisk korzystał z tej samej książki. Odwróciła wzrok, czując wzbierające mdłości.

– Chodź – powiedziała do Sothe. – Idziemy stąd.

– Idziemy? – Sothe nachyliła się do niej i zniżyła głos do szeptu. – Przyszliśmy tu zaproszone przez Dyrektoriat. Jesteś pewna, że to będzie rozsądne?

Ton jej głosu powiedział Raesinii, że Sothe jest pewna, że nie, ale królowa postanowiła nie zwracać na to uwagi.

– Powiemy Mauriskowi, że ten spektakl źle wpływał na mój delikatny układ pokarmowy. To powinno go uszczęśliwić.

Sothe wyduła wargi, ale nie oponowała. Raesinia wymamrotała coś niezrozumiałego, lecz uprzejmie brzmiącego w kierunku Claudii, skłoniła się grubemu kupcowi i precyzyjnie się na tył łoża. Jej ochrona, po chwili zaskoczenia, ruszyła za nią. Raesinia pospiesznie zbiegła po schodkach na bruk placu, gdy tłum wydał kolejny owacyjny okrzyk świadczący, że Kolec zabrał następną ofiarę.

Maurisk. Na myśl o nim miała ochotę splunąć. Kiedy działali razem, uważała go za idealistę, pełnego śmiałości, lecz niepraktycznych pomysłów. Kiedy jednak zapuścił się w gąszcz polityki Zjazdu Generalnego, w rekordowo szybkim tempie zaczął rezygnować ze swych szczytnych ideałów w pogoni za władzą. Skomplikowane rozgrywki różnych frakcji, powstających i zmiennych jak piana w garnku z gotującą się zupą, jakimś dziwnym sposobem posłużyły wyniesieniu dawnego towarzysza Raesinii na wyżyny władzy.

Oczywiście wojna działała cuda dla jego autorytetu. Kiedy sprawy szły dobrze, deputowanym wystarczała niekończąca się debata nad konstytucją. Gdy rozeszła się wieść, że Vordan jest w stanie wojny z trzema mocarstwami – w tym imperialnym Murnskiem, siedzibą Kościoła Zaprzysiężenia – deputowani mocno się przerazili. Nadali szerokie uprawnienia kierowanemu przez Mauriska Dyrektoriatowi Obrony Narodowej, a te, których mu nie nadali, sam sobie przyznał, odkrywszy, że nikt nie zamierza się sprzeciwić. Tylko Durenne, nowy minister wojny i jedyny radykał w Dyrektoracie, był dla niego pewną przeciwwagą, a i to niezbyt skuteczną. Ponieważ wojna toczyła się na północy, wschodzie i zachodzie, Maurisk energicznie tropił w stolicy nieprzyjacielskich szpiegów, opracowywał nowe metody egzekucji i pilnował, aby wydawcy gazet i ulotek publikowali tylko to, co „właściwe i korzystne dla nowoczesnego państwa”.

– No? – zagadnęła Sothe królowa, gdy szły w kierunku północnego krańca placu, gdzie czekał królewski powóz.

– No co?

– Co o tym myślisz? – Ruchem głowy Raesinia wskazała za siebie, na trwający na placu spektakl.

Ochmistrzyni wzruszyła ramionami.

– Jeden sposób zabijania ludzi jest podobny do drugiego.
– Maurisk zawsze nienawidził Borelgajów. Teraz ma ludzi, którzy widzą ich za każdym rogiem.

– Nie byłabym taka pewna, że się myli. Konkordat niewątpliwie przejął wielu borelgajskich szpiegów i nie wyobrażam sobie, żeby zaprzestali swoich wysiłków teraz, kiedy toczymy wojnę.

– Nie wątpię, że oni tu są. Pytam tylko, czy ludzie Mauriska potrafią ich znaleźć.

Dyrektoriat nie tracił czasu, rozbudowując Gwardię Patriotyczną w znaczącą siłę, znacznie liczniejszą niż dawna Straż, lecz dotychczas chyba bardziej zainteresowaną zdobywaniem prestiżu niż zwalczaniem szpiegów. Z pewnością Maurisk nie dysponował sprawną siatką wywiadowczą dorównującą dobrze naoliwionej maszynie wywiadowczej diuka Orlanki, superszpiega, który niemal objął władzę.

Raesinia westchnęła.

– Może powinniśmy odbudować Ministerstwo Informacji.

Sothe uniosła brwi.

– Nie wiem, czy zostałoby to dobrze przyjęte.

– Oczywiście nadalibyśmy mu inną nazwę. Jednak musimy znaleźć jakiś sposób zdobywania informacji bez...

Na moment świat znikł w oślepiającym rozbłysku. Potworny huk, jakby salwy ze stu armat, uderzył Raesinię niczym cios pięści, szarpiąc koronkę sukni, i pomknął dalej, żeby roztrzaskać szyby wystawowe przed nią. Ziemia zadrżała, wstrząśnięta jak od uderzenia olbrzymiego młota.

Sothe zareagowała pierwsza i sztylety pojawiły się w jej dłoniach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy stanęła pomiędzy Raesinią a źródłem tego łoskotu. Dwaj ochroniarze za późno zaczęli gmerać przy swoich muszkietach, wciąż oszołomieni wybuchem. Raesinia, której dzwoniło w uszach, odwróciła się i zobaczyła słup paskudnego czarnego dymu unoszący się w niebo.

– Co... – zdołała wykrztusić.

– Tędy – powiedziała Sothe, błyskawicznie chowając jeden sztylet i łapiąc Raesinię za ramię.

Pociągnęła ją na skraj placu i w zaułek pomiędzy dwoma sklepami, gdzie przycisnęła ją do ściany. Przejście było tak wąskie, że Sothe zatarasowała je własnym ciałem, czekając, gdyby ktoś spróbował się tam wdrzeć.

Rozległy się krzyki i tupot butów na bruku, gdy tłum przybyły na egzekucję zaczął się rozpierzchać. Większość pospólstwa uciekała na południe; tutaj, na północnym końcu placu, było więcej dygnitarzy, deputowanych i kupców, konserwatystów i radykałów przepychających się i potrącających w pospiesznej ucieczce. W ciżbie widać było także wielu żołnierzy Gwardii Patriotycznej, używających drzewc swych halabard do torowania sobie drogi.

– Czy coś mogło się zepsuć w maszynie Sartona? – spytała Raesinia.

– Nie, chyba że była napakowana prochem – krótko odparła Sothe, nie odrywając oczu od gawiedzi. – To była bomba.

– Tak myślałam. – Raesinia pokręciła głową, usiłując otrząsnąć się z oszołomienia. – Muszę

tam wrócić.

– Nie bądź śmieszna – odparła Sothe. – Może właśnie na to liczą. Bomba, żeby wywołać panikę tłumu, i zabójca gotowy uderzyć w zamieszaniu. Stara sztuczka.

– Wiesz, że nie musimy się tym przejmować. – Raesinia zniżyła głos.

– Wiem, że jeśli na oczach wszystkich wpakują ci kulę w głowę, a potem odżyjesz, ludzie na pewno zaczną to komentować – ponuro stwierdziła Sothe. – Byłby to cud lub czary, a z doświadczenia wiem, że ludziom łatwiej uwierzyć w działanie demonów niż bogów.

Przed czterema laty księżniczka Raesinia Orboan leżała na łożu śmierci, wypływając krwawe strzępy płuc. Ponieważ król zapadł na chorobę, która w końcu miała go zabić, a księżę Dominik poległ dwa lata wcześniej pod Vansfeldt, Ostatni Diuk dopilnował, żeby dziedziczka tronu dostała się pod jego przemożny wpływ. Kapłani Czerni, tajny zakon Kościoła Zaprzysiężenia używający czarów do zwalczania wszelkiej wiedzy o magii, poddali Raesinię rytuałowi, w trakcie którego wypowiedziała prawdziwe imię demona.

Ten stwór zamieszkał w jej jaźni, wiążąc się z jej ciałem i duszą. Jego moc przywróciła jej doskonałe zdrowie, zblizniając niemal natychmiast każdą zadaną ranę. O ile Raesinia była w stanie to ocenić, nie można było jej zabić. Od tamtej chwili nie postarzała się nawet o dzień – co stawało się coraz większym problemem, gdy zbliżała się do dwudziestki – i nawet nie potrzebowała snu. Chociaż teoretycznie wciąż żyła, zaczynała uważać, że nie jest już ludzką istotą.

Tylko garstka ludzi знаła prawdę. Oczywiście Orlanko, który kiedyś zamierzał wykorzystywać tę wiedzę do kontrolowania królowej. Jego sojusznicy spośród kapłanów Czerni i Sothe, która kiedyś była jego najlepszą agentką. I Janus bet Vhalnich, któremu król powierzył zadanie uwolnienia swojej córki z tej magicznej pułapki.

Tłum rzedniał. Nigdzie nie było widać dwóch grenadierów eskorty i Raesinia miała nadzieję, że uciekający tylko ich unieśli ze sobą, a nie stratowali. Wokół słupa dymu wciąż słychać było wrzaski i krzyki, a teraz zobaczyła, że wzbija się on z miejsca, w którym znajdowała się królewska łoża. Żołnierze Gwardii Patriotycznej otaczali je z odsłoniętymi halabardami, nerwowo spoglądając na biegających wokół ludzi.

– Muszę tam iść – powiedziała Raesinia. – Muszę zobaczyć, co się dzieje.

– Wasza Wysokość – syknęła Sothe. – Proszę...

Lecz Raesinia już przeciskała się obok niej przez wylot zaułka i z powrotem na plac. Sothe cicho zaklęła i pospieszyła za panią, która ominęła kilku maruderów i dotarła do kręgu gwardzistów. Ci najwidoczniej nie dostali żadnych rozkazów i nie wiedzieli, czy mają trzymać ludzi z daleka od podium, czy ich chronić, lecz tak czy owak żaden z nich nie próbował zatrzymać królowej.

Raesinia weszła w ich krąg i prawie się zakrztusiła gęstym odorem prochu. Kłęby gęstego czarnego dymu wciąż unosiły się w niebo, ale zauważyła, że wybuch istotnie nastąpił na środku królewskiej łoży, gdzie stała przed kilkoma minutami. Gwardziści i deputowani miotali się w półmroku, pomagając rannym i wykrzykując niezrozumiałe rozkazy.

– Pomocy! – usłyszała piskliwy chłopięcy głos. Emil. – Niech mi ktoś pomoże!

Raesinia podbiegła i zobaczyła go w oparach dymu. Kuśtykał po osmalonych płytach bruku, rozpaczliwie ciągnąc za sobą bezwładne ciało. Łzy płynęły mu z oczu, żłobiąc bruzdy w warstwie brudu.

– Proszę, pomóż – rzekł słabnącym głosem. – Mama nie może wstać. Myślę, że jest ranna.

Prawą rękę mocno zaciskał na przegubie matki, a z rany w łydce spływała mu strużka krwi. Pod szarą sadzą jego skóra była mlecznobiała. Raesinia tylko zerknęła na Claudię i odwróciła wzrok; kamienie wokół niej były śliskie od krwi, jakby ktoś wylał tam wiadro czerwonej farby.

– Wasza Wysokość!

Sothe pojawiła się przy Raesinii, a za nią trzej żołnierze z Gwardii Patriotycznej. Ona zawsze umie przejąć dowodzenie w razie potrzeby.

– Pomóżcie chłopcu! – warknęła Raesinia.

Gdy jeden z gwardzistów uwolnił bezwładną rękę Claudii z uścisku Emila, chłopiec krzyknął i stracił przytomność. Żołnierz podtrzymał go z niepewną miną.

– W głębi tej ulicy – powiedziała Sothe – tworzą prowizoryczny lazaret. Trzeba go opatrzyć.

– Gwardzista wyprężył się i usłuchał, a ona zwróciła się do królowej. – Wasza Wysokość musi pójść ze mną.

– Powinnam... pomóc.

Raesinia jak zahipnotyzowana spoglądała na pobojowisko.

To miałam być ja. Gdyby nie postanowiła odejść pod wpływem nagłego impulsu, stałaby na tym podium, kiedy wybuchła bomba. Kolejni ludzie zginęli, ponieważ stali przy niej w nieodpowiednim momencie. Tak jak Ben. I Faro.

– Raesinio – syknęła jej do ucha Sothe. – Chodź. Gwardziści poradzą już sobie z tym, kiedy dostali kopniaka w tyłek. Powinniśmy umieścić cię w bezpiecznym miejscu.

Raesinia spojrzała na Sothe i nagle wszystko jej się poukładało.

– Gdzie jest Maurisk?

Nie odrywała od niego oczu od chwili, gdy weszła do kawiarni, którą Dyrektoriat wybrał na schronienie dla ocalałych. Maurisk zawsze lepiej wyrażał swoje uczucia, niż je ukrywał. Jego reakcja była ledwie zauważalna – na chwilę wstrzymał oddech i zmrużył oczy – ale wystarczająco wymowna.

Wiedział, co się stanie. Nie spodziewał się zobaczyć mnie żywej.

– Wasza Wysokość!

Przewodniczący Dyrektoriatu podniósł się od stołu, przy którym on i jego koledzy spierali się nad rozwiniętą mapą stolicy Vordanu. Żołnierze Gwardii Patriotycznej byli wszędzie, stali przy drzwiach i pod ścianami, uzbrojeni w halabardy i wojskowe muszkiety. Najwyraźniej Dyrektoriat dbał o swoje bezpieczeństwo.

– Nie potrafię wyrazić, jak dobrze widzieć cię całą i zdrową – rzekł z namiastką uśmiechu Maurisk. – Słyszałem doniesienia, że odeszłaś przed tym... wydarzeniem, ale było takie zamieszanie... Obawialiśmy się najgorszego.

– Jej Wysokości nic nie jest – powiedziała Sothe. – Mogłabym dodać, że nie dzięki wysiłkom Gwardii Patriotycznej. Jednak wielu innych nie miało tego szczęścia.

– Posłałem po pomoc – rzekł Maurisk. – Medycy z uniwersytetu są w drodze. I ogłosiliśmy alarm w mieście.

Raesinia nie odrywała odeń oczu, nic nie mówiąc. Jego uśmiech przygasł na moment.

– Nie sądzicie – powiedziała po chwili – że przewodniczący i ja powinniśmy porozmawiać w cztery oczy?

Maurisk wyglądał na zaskoczonego, ale dał znak pozostałym członkom Dyrektoriatu. Szybkość, z jaką opuścili pomieszczenie, wiele mówiła o tym, kto dzierży władzę w Dyrektoriacie. Tylko Durenne, wysoki i niezgrabny mężczyzna z haczykowatym nosem i grzywą długich czarnych włosów, zwlekał z wyjściem dostatecznie długo, żeby pochwycić spojrzenie Raesinii. Gwardia Patriotyczna wyszła za nim, ale Sothe się ociągała.

– Zaczekaj na zewnątrz – poprosiła Raesinia. – To nie potrwa długo.

Sothe po chwili wahania podążyła za gwardzistami. Maurisk i Raesinia zostali sami w kawiarni, wśród porzucanych i przewracanych przez gości krzeseł, z witryną rozbitą wybuchem. Szkło zatrzęszczało jej pod nogami, gdy podeszła bliżej.

– Nie zamierzam cię pytać, czy jesteś za to odpowiedzialny – powiedziała. – Jestem pewna, że zaprzeczyłbyś, nawet gdy jesteśmy sami.

– Nie wiem, czy nadażam, Wasza Wysokość – odparł Maurisk.

Powiedział to uprzejmie, ale z żarliwą nienawiścią w oczach. Po śmierci króla i zamieszkach, które doprowadziły do utworzenia Zjazdu Generalnego, odkrył podwójne życie Raesinii jako spiskującej rewolucjonistki i księżniczki. Nienawidził jej za to i za wykorzystanie idealistycznego zapału jego przyjaciół jako narzędzia do obalenia Ostatniego Diuka. Śmierć tych ludzi, wywołująca wyrzuty sumienia Raesinii, wydawała się dla niego mniej istotna niż to, że był narzędziem tej monarchii, którą tak pogardzał.

Niefortunnie dla Mauriska nawet po powołaniu Zjazdu Generalnego królowa nadal była ważnym symbolem dla ludu i miała poparcie bohaterskiego generała Janusa bet Vhalnicha. Gdyby Maurisk samodzielnie sprawował władzę, niewątpliwie kazałby ją już aresztować i stracić, ale deputowani i poddani nie zamierzali na to pozwolić. Tak więc musi się uciekać do bardziej brutalnych działań, nie zważając na postronne ofiary.

Napotkała jego spojrzenie i nawet nie mrugnęła.

– Czego ode mnie chcesz?

Maurisk uśmiechnął się. Nie sztucznym uśmiechem dla publiczności, lecz swym prawdziwym szyderczym grymasem. Przypominał Raesinii jaszczurkę.

– Myślę, że najlepiej będzie – powiedział – jeśli przez jakiś czas odpoczniesz na wsi. Vordan najwidoczniej został zinfiltrowany przez agentów wroga. Oczywiście rozpocznę energiczne działania w celu ich usunięcia, ale nim to nastąpi, z żalem stwierdzam, że nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa. Korona posiada liczne niewielkie posiadłości doskonale nadające się na schronienie i jestem pewny, że jeśli udasz się tam pod eskortą Gwardii Patriotycznej, to będziesz zupełnie bezpieczna.

– Rozumiem.

Maurisk rozłożył ręce, jakby nie było rozsądniejszego rozwiązania.

– Oczywiście mam na myśli wyłącznie interes państwa, Wasza Wysokość.

Raesinia wypuściła powietrze z płuc.

– Rozważę twoją... propozycję.

Twarz przewodniczącego skamieniała.

– Proszę, zrób to. Każda chwila, w której tu pozostajesz, daje wrogowi następną sposobność do ataku.

Raesinia odwróciła się i skierowała do drzwi. Szkło trzeszczało i pękało pod jej stopami. Gwardia Patriotyczna utworzyła kordon, przez który przepuszczono tylko ją i innych członków

Dyrektoriatu. Na zewnątrz pozostali dwaj grenadierzy w niebieskich mundurach, którzy głośno kłócili się z sierżantem Gwardii Patriotycznej. Zamilkli na widok wychodzącej królowej.

– Wracamy do powozu – powiedziała Raesinia, zerknąwszy na Sothe.

Dym się rozchodził, odsłaniając płytki krater w gładkiej nawierzchni placu Triumfu Farusa. Z pobliskiej przerwanej rury tryskała woda, tworząc krwawą kałużę błota. Gwardziści najpierw przenieśli rannych do punktu opatrunkowego, gdzie mieli czekać na personel uniwersytetu, a teraz układali zabitych w równych rzędach. Claudia leżała w jednym z nich, z rozerwanym brzuchem ukazującym błyszczące wnętrzności. Raesinia odwróciła wzrok, czując mdłości.

Nic nie powiedziała, dopóki nie znalazły się z Sothe same w głębi powozu, a eskorta jak zwykle zajęła miejsca na dachu. Gdy Sothe zamknęła drzwi, uciszając krzyki i rozkazy dobiegające z zewnątrz, Raesinia powiedziała:

– Maurisk za tym stał.

Mina Sothe nigdy nie zdradzała takich ludzkich uczuć jak zdziwienie, lecz teraz pytająco uniosła brew.

– Jesteś pewna?

Raesinia pokręciła głową i zakłęła.

– Przysięgłabym, że nie spodziewał się mnie już zobaczyć. Jeśli nie on podłożył tę bombę, to przynajmniej wiedział o niej.

– Na pewno ktoś z rządu musiał wiedzieć – rzekła Sothe. – Tak silna eksplozja wymagała umieszczenia sporej ilości prochu pod podłogą łoży. Trudno byłoby przemycić go przez kordon gwardzistów...

– Zatem i oni brali w tym udział.

– Tak, przynajmniej niektórzy z nich. Jednak to samo w sobie nie obciąża Mauriska.

Raesinia zmarszczyła brwi. Musiała przyznać, że jest stronnica; niechęć między nią a jej byłym towarzyszem była obopólna. A jednak. Sposób, w jaki na mnie spojrzał, gdy tam weszłam, był wystarczającym przyznaniem się do winy.

– Problem – ciągnęła Sothe – polega na tym, że mamy nadmiar wrogów.

– To niedopowiedzenie – mruknęła Raesinia. – Na pewno jest nim Orlanko. Borelgajscy szpiedzy, hamveltajski Komerzint, murnskajscy fanatycy. Stare arystokratyczne rody nienawidzą mnie za oddanie władzy Zjazdowi Generalnemu, a radykałowie za to, że nie abdykowałam na rzecz republiki.

– Nie wspominając już – dodała Sothe – o kapłanach Czerni.

– Myślisz, że oni fatygowałiby się podkładaniem bomb? – rzekła Raesinia.

– Zdaniem Elizjum ujawnienie twojej tajemnicy opinii publicznej byłoby równie skuteczne jak zabicie cię. – Sothe spojrzała na nią gniewnie. – Co próbowałam ci wcześniej wyjaśnić.

– Zatem albo Maurisk próbuje mnie zabić, bo nie wie, że nie zdoła, albo kapłani Czerni usiłują rozerwać mnie na kawałki w obliczu wielu świadków, żeby wszyscy mogli zobaczyć, co się stanie. – Raesinia przechyliła głowę. – Gdyby rzeczywiście im się udało, sądzisz, że brakujące fragmenty same by odrosły, czy musiałabyś je dla mnie pozbierać?

– Wasza Wysokość...

– Przepraszam. – Raesinia nabrała tchu. – Maurisk powiedział mi, że chce, żebym opuściła stolicę. Mam ukryć się gdzieś na wsi, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

Sothe wydeła usta.

– Tam byłoby łatwiej zapewnić ci bezpieczeństwo. W mieście jest zbyt wiele niewiadomych.

– Nie, nie umknę do nory jak przestraszony królik. Ponadto, jeśli Maurisk istotnie jest w to zamieszany i zostawię go samego w stolicy, równie dobrze mogłabym przekazać mu koronę.

– Wasza Wysokość...

Raesinia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Chyba nie uważasz, że powinnam wyjechać, prawda?

Zazwyczaj gładkie czoło Sothe zmarszczyło się. Powiedziała powoli i stanowczo:

– Jeśli tego nie zrobisz, odpowiedzialny za ten atak spróbuje ponownie, a nie jestem pewna, czy potrafię cię ochronić.

Teraz Raesinia zamrugnęła zdziwiona. Wyznanie, że nie jest pewna, czy potrafi coś zrobić, było w ustach Sothe taką samą rzadkością jak śnieżyca w lecie.

– Dotychczas nieźle sobie z tym radziłaś.

– Tym razem uratowało cię tylko szczęście, Wasza Wysokość. Tutaj jesteś zbyt powszechnie znaną postacią. Znają twój rozkład dnia i trasy podróży. Mogę cię obronić przed zabójcami uzbrojonymi w miecze lub pistolety, ale to... – Pokręciła głową. – Prędzej czy później im się uda.

– Zatem musimy ich wytropić, zanim to zrobią.

– Nie jestem pewna, czy zdołam wygrać ten wyścig – odrzekła Sothe. – A jeśli Maurisk istotnie jest w to zamieszany? On ma Gwardię Patriotyczną w kieszeni.

– Gdybyśmy miały dowód, mogłybyśmy przedstawić go deputowanym.

Raesinia wiedziała, jak słaby jest ten argument. W miarę jak zbliżał się wybuch wojny, Zjazd Generalny stawał się coraz bardziej uległy Dyrektoriatowi.

– Znalezienie solidnych dowodów potrwa tygodnie, a może miesiące. Przez cały ten czas będziesz zagrożona.

Raesinia zmarszczyła brwi. Z pewnego punktu widzenia to istotnie miało sens. Jednak za bardzo wyglądało na opuszczenie posterunku. Nie wspominając o tym, że temu, kto podłożył bombę, uszłoby to na sucho. Wszyscy ci, którzy zginęli, ponieważ chcieli stanąć blisko królowej, zasługiwali na coś lepszego.

Jednak Sothe ma rację. Dopóki zostaną w mieście...

Zaświtał jej pewien pomysł. Dopóki królowa pozostaje w mieście...

– Masz rację – powiedziała powoli. – Królowa powinna udać się do swych wiejskich posiadłości, gdzie będzie bezpieczna.

Sothe spędziła dostatecznie dużo czasu w towarzystwie Raesinii, żeby wiedzieć, że to nie może być takie proste.

– I?

– Królowa uda się na wieś – oznajmiła Raesinia. – A ja zostanę tutaj.

Znów zapadła długa cisza. Sothe w zadumie patrzyła na Raesinię, która niespokojnie wierciła się pod jej badawczym spojrzeniem.

– To nic takiego, czego nie robiłybyśmy wcześniej – powiedziała. – I jeśli nikt nie będzie wiedział, że tu jestem, nie będą mnie tu szukać.

– A jeśli spróbują czegoś na wsi, nic im to nie da – przytaknęła Sothe, rozważając ten

problem.

– To pozwoliłoby mi również szybko „powrócić”, nie tracąc czasu. Wyobrażam sobie, że byłaby to niespodzianka dla Mauriska.

– Warto byłoby mieć taką kartę w rękawie – orzekła Sothe. – O ile zdołamy ich zwieść.

– Zwodziłaś Orlankę przez dobry rok. Jestem pewna, że sobie poradzisz.

Sothe zmrużyła oczy i Raesinii ścisnęło się serce.

– Chcesz mnie odprawić?

– Przykro mi – pospiesznie powiedziała królowa. – Nie przychodzi mi do głowy żaden inny pomysł. Może nam się uda sfingować wyjazd na wieś, ale nawet jeśli powiemy ludziom, że szukam samotności w żałobie, ktoś musi utrzymywać pozory.

– Nie wspominając o likwidowaniu szpiegów, którzy przyjdą węszyć.

To było logiczne i Sothe o tym wiedziała, ale Raesinia widziała, że ochmistrzyni się waha.

– Tylko że kiedy ostatnio zostawiłam cię samą, weszłaś prosto w zasadzkę i Orlanko o mało cię nie dopadł.

To była ta noc, kiedy zginął Ben – jeszcze jedna niepotrzebna ofiara złożona dla niej. Jakoś opanowała rosnące poczucie winy.

– Będę ostrożna. I wciąż mam kontakty z dawnych czasów...

– Żadnemu z nich nie możesz ufać. – Sothe pokręciła głową. – To zbyt niebezpieczne. Gdyby coś poszło źle, nie będziesz miała wsparcia.

Raesinia zastanowiła się.

– Ufasz Janusowi?

– Na razie – odparła Sothe. – Jednak on dowodzi armią Wschód, walczącą z Ligą.

– Marcus d’Ivoire jest tutaj, a Janus mu ufa.

– Jest to jakiś pomysł – przyznała Sothe. – Myślisz, że zgodzi się pomóc?

– Nie sądzę, że to mu się spodoba – powiedziała Raesinia. – Jednak jestem królową i nie zamierzam dać mu możliwości wyboru.

– Nie – powiedział Marcus. – To absolutnie wykluczone. Cały ten pomysł jest śmieszny.

Siedzieli w salonie Bliźniaczych Wieżyczek, rezydencji służącej Janusowi za główną kwaterę podczas obrony stolicy Vordanu. Większość zabudowań z czasem przekształcono na koszary przybocznej gwardii Janusa, złożonej z kompanii mierantajskich ochotników, kosztowne meble odsunięto na bok lub wyniesiono na korytarze, a lśniące parkiety zostały poniszczone żołnierskimi buciorami. W tym pokoju wciąż zachowały się obite skórą fotele z wysokimi oparciami, ustawione półkolem przed kominkiem, ale upchnięto tu zbyt wiele stołów, toaletek i innych zbytecznych sprzętów.

Większość Mierantajów wyruszyła z Janusem na wschód, lecz kilku pozostało z Marcusem. Ponieważ Raesinia zaproponowała, że odda się pod ich opiekę, z zadowoleniem stwierdziła, że wyglądają krzepiąco profesjonalnie, nawet jeśli mówią z tym chrapliwym akcentem mieszkańców gór i z trudem może ich zrozumieć. Każdy z nich miał karabin z bardzo długą lufą i nosił regulaminowy, ale ciemnoczerwony mundur.

Marcus przyjął ją kurtuazyjnie, ale miał ponurą minę. Raesinia rzadko go widywała, od kiedy walczył w jej obronie, pomagając jej uciec przed zdradzieckimi noreldrajskimi szarymi. Jego twarz była bardziej pobrużdżona niż wtedy, a w krótko przyciętej brodzie zauważyła nitki siwizny. Nosił nienagannie wyprasowany niebieski mundur żołnierza, a nie zielony uniform

Strażnika jak poprzednio, a na naramiennikach błyszczące orły pułkownika.

Raesinia siedziała w jednym z tych wielkich foteli, w których czuła się malutka. Sothe stała po jej prawej, grając rolę obowiązkowej służącej. Marcus wiedział, że Sothe jest kimś więcej – widział, jak zabiła pół tuzina szarych – ale nie znał jej wszystkich umiejętności. Co najważniejsze, Janus powiedział jej, że Marcus nie zna tajemnicy Raesinii. Miało to sens – im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej – ale komplikowało sytuację.

– Słyszałeś, co zdarzyło się dziś po południu? – zapytała Raesinia.

– Otrzymałem raport – odparł Marcus. – Byłem rad, że nic ci się nie stało.

– Niewiele brakowało, co mi się nie podoba. Przewodniczący Dyrektoriatu Maurisk poprosił mnie, żebym dla własnego bezpieczeństwa udała się na wieś.

– Co wydaje się dobrym pomysłem – rzekł Marcus. – Wybacz mi, Wasza Wysokość, ale...

– Nie mogę opuścić miasta – powiedziała Raesinia. – Nie teraz, w trakcie tego kryzysu. Ponadto jest kwestia zidentyfikowania zamachowca.

– Z pewnością możesz to zostawić Gwardii Patriotycznej? – Ton głosu Marcusa świadczył, że podziela kiepską opinię Raesinii o tej formacji.

– Przynajmniej kilku żołnierzy Gwardii Patriotycznej musiało brać w tym udział, inaczej nie zdołano by podłożyć bomby. Muszę odkryć, jak wysoko sięga korupcja. – Raesinia spojrzała mu w oczy. – Proszę cię o pomoc, pułkowniku.

Marcus zakręcił się niespokojnie, gdy wspomniała o jego randze, najwyraźniej jeszcze do niej nieprzyzwyczajony.

– Wasza Wysokość stawia mnie w bardzo niezręcznej sytuacji. Mam wyraźne instrukcje odnośnie do mojej misji tutaj i mieszanie się do polityki zdecydowanie nie jest jej częścią.

– Nie musisz się do niej mieszać, chyba że sprawy przybiorą bardzo zły obrót – powiedziała Raesinia.

– Niezbyt to uspokajające – rzekł Marcus. – Wiem z doświadczenia, że sprawy zawsze przybierają zły obrót. Nie byłbym w stanie zapewnić ci bezpieczeństwa.

Raesinia zgrzytnęła zębami. Miała serdecznie dość tego, że traktują ją jak świeże jajko, które umieszcza się w kokonie z wełny i przenosi, wstrzymując oddech. Gdyby wiedziała, że tak będzie, kiedy zostanie królową, nie starałabym się tak usilnie tego dopiąć.

– Nikt nie oczekuje, że odeprzesz tu oblężenie – powiedziała. – Przecież Sothe podtrzyma złudzenie, że jestem na wsi, więc moja obecność tutaj pozostanie tajemnicą. To powinno zapewnić mi bezpieczeństwo.

– Nie zdołamy ukryć prawdy przed moimi gwardzistami – przypomniał Marcus.

– Sądzę, że możemy liczyć na ich dyskrecję. – Żołnierze gwardii przybocznej Janusa pochodzili z jego rodzinnego okręgu, leżącego daleko w górach. Tworzyli zamknięty klan, lojalny i podejrzliwy wobec obcych, oddany swojemu ukochanemu hrabiemu. Janus sprowadził ich do stolicy właśnie dlatego, że agentom Konkordatu trudno byłoby przeniknąć do ich szeregów. – I cała służba także jest mierantajska?

– Tak. – Marcus westchnął. – Będę musiał zapytać o instrukcje.

– Janusa? To potrwa parę tygodni.

– Mamy... inne kanały łączności – rzekł Marcus. – Powinienem dostać odpowiedź najdalej pojutrze.

Raesinia zerknęła na Sothe, która skinęła głową.

– Tyle zajmą nam przygotowania, Wasza Wysokość.

– W porządku. – Raesinia wstała. – Zatem na razie, pułkowniku.

Marcus zerwał się na równe nogi, gdy wstała, i odpowiedział ukłonem na jej skinienie głowy. Miał minę człowieka, któremu wręczono bombę z zapalonym lontem.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

Trzy Winter

O budził ją cichy szelest rozsypanych papierów i otworzywszy oczy, zobaczyła łagodne światło poranka sączące się przez brezent namiotu.

– Przepraszam – powiedziała Jane. – Szukałam czegoś do picia.

– W porządku. – Winter ziewnęła i obróciła się na bok na swej wąskiej pryczy, która wydawała się znacznie większa bez drugiej osoby wciśniętej obok. Jej ciało nadal było rozgrzane i drżące od skrupulatnych zabiegów Jane, a słaby wietrzyk wpadający przez szparę przy wejściu był chłodny. Mocniej owinęła się prześcieradłem. – Pewnie już dawno weszło słońce. No już, zapal lampę.

Płomień zapalki na moment rozjaśnił mrok namiotu, a cieplejszy blask lampy naftowej zupełnie go rozproszył. Winter nie odrywała oczu od Jane, cudownie nagiej w tym świetle, z odchyłoną do tyłu głową pijącej z manierki. Pustą odrzuciła na bok i wróciła na pryczę, ostrożnie przestępując przez stertę papierów, którą przewróciła. Winter uniosła koc, żeby mogła się pod niego wcisnąć, ciesząc się ciepłem przytulonego do niej ciała. Jane pocałowała ją, jeszcze mokrymi wargami.

– Co to za papierzyska? – spytała Jane, trącając palcem stertę. – Myślałam, że Cyte załatwia za ciebie papierkową robotę.

– To oficjalne skargi. – Winter westchnęła. – Muszą być podpisane przez dowódcę na dowód, że je czytał, a potem odesłane do archiwum.

– Skargi? Czyje?

– Spróbuj zgadnąć.

– Królewskich.

„Królewskimi” wszystkie z Pierwszego Dziewczęcego nazywały żołnierzy dawnego drugiego batalionu osiemnastego pułku królewskiej armii Vordanu, obecnie drugiego batalionu trzeciego pułku liniowego armii Wschód i powodu bólu głowy Winter. Kapitan Sevrán, ich dowódca, był stosunkowo skory do współpracy, ale niektórzy z jego podwładnych mniej.

– Konkretnie porucznik Novus, starszy oficer sztabowy.

– Niech zgadnę – powiedziała Jane. – Pochodzi z wpływowej i bogatej rodziny.

– Mniej więcej.

Porucznicy królewskiej armii dzielą się na dwa rodzaje. Jedni pochodzili z gminu i ze względu na swoje zdolności zostali zarekomendowani do szkoły wojskowej, w której uczyli się przez kilka lat; niektórzy kapitanowie, tak jak Marcus d’Ivoire, odsłużyli turę jako młodszy oficerowie, po czym wracali tam na dalsze szkolenie. Inni dostawali oficerskie patenty za zasługi swoich szacownych rodzin lub znaczące finansowe datki do królewskiego skarbcza.

Rewolucja i wojna zmieniły to wszystko, rzecz jasna, a Janus zmieniał to jeszcze bardziej, awansując pochodzących z gminu oficerów nawet do stopnia pułkownika, w oparciu o swoją osobistą ocenę. Jednak niektórzy ludzie zawsze próbują udawać, że nic się nie zmieniło.

– Na co on narzeka? – zapytała Jane.

– Dzisiaj? Na to, że drugi batalion pomimo swego miejsca w historii maszeruje za

pierwszym.

– Czy królewscy naprawdę mają miejsce w historii?

– I to najwyraźniej od trzystu lat. Porucznik Novus opisał mi to bardzo dokładnie. Wygląda na to, że jeden z jego przodków został zabity, prowadząc oddziały do zaszczytnej klęski w czasie panowania Farusa Piątego.

– I ponieważ jacyś idioci dali się wyróżnić sto lat temu, powinniśmy przez cały dzień łykać wzbijany przez nich kurz? – prychnęła Jane. – To istotnie rozumowanie typowe dla królewskiej armii. Janus powinien odesłać ich wszystkich na tyły i pozwolić ochotnikom zrobić całą robotę.

– Janus potrzebuje każdego, kto potrafi utrzymać karabin – przypomniała Winter.

– Zakładając, że oni będą walczyć, w co wątpię. – Jane pokręciła głową, ocierając się policzkiem o ramię Winter. – Czy mówiłam ci, że złapaliśmy kolejnych dwóch królewskich próbujących zakraść się nocą do naszego obozu?

– O Boże. Znowu?

– Oni chyba nigdy się nie nauczą.

– Mam nadzieję, że nie wyrządziłyście im zbyt wielkiej krzywdy.

– Może trochę ich poturbowałyśmy. Jednak odesłałyśmy ich tam, skąd przyszli. – Jane uśmiechnęła się chytrze. – Chociaż zatrzymałyśmy ich spodnie i gacie. Wydawało się to sprawiedliwe.

– Naprawdę powinnaś napisać o tym raport do ich dowódcy kompanii – powiedziała Winter, chociaż nie zdołała powstrzymać szerokiego uśmiechu.

– Myślę, że mój sposób działa lepiej.

– Cóż. Dobry dowódca pozostawia takie drobne sprawy swoim podkomendnym – powiedziała Winter, siląc się na pompatyczny oficerski ton. – Pozostawiam tę sprawę twojej ocenie, kapitan Verity.

– Czy to z tego podręcznika, który pożyczyłaś od Janusa?

– Istotnie. „Szczegółowy przewodnik dowodzenia pułkiem”. Mówiono mi, że to podstawowy podręcznik w szkole wojskowej.

– Co w nim piszą o całowaniu swoich kapitanów?

– Zdziwiająco mało.

Ich wargi spotkały się. Winter poczuła palce Jane delikatnie dotykające wewnętrznej strony jej uda.

– Może – powiedziała Winter, gdy Jane odsunęła się na moment – powinnam napisać odpowiedni rozdział do tej książki. Aby mieć pewność, że ten podręcznik jest naprawdę szczegółowy.

– Jak dla mnie to doskonały plan.

Winter uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– A zatem, kapitan Verity, oficjalnie żądam, abyś asystowała mi w tych badaniach.

– Sama nie wiem – odparła z udawaną powagą Jane. – Może będę musiała złożyć wniosek drogą służbową.

Kolejnym pocałunkiem stłumiła szaleńczy chichot Winter i na chwilę zapomniały o rangach.

Armia Wschód wiła się jak wąż na drodze, niebieska kolumna rozciągnięta na wiele mil w krajobrazie brązów, czerwieni i złota. Do doliny Velt przyszła jesień i równa szachownica pól

i sadów po obu stronach drogi z bezkresnej zieleni zmieniała się w bardziej rdzawą paletę. Tu i ówdzie poletko późnego zboża jeszcze żółto lśniło w słońcu, lecz większość plonów już zebrano i zaoraną ziemię pozostawiono w skibach lub obsiano oziminą. Ciemny brąz nagiej ziemi przerywały drzewa owocowe: jabłonie, grusze i wiśnie, których liście zmieniły się w mieszaninę czerwieni i złota. W starannie ogrodzonych sadach ciągnęły się ich długie i równe szeregi, drwiące z bezładnie maszerujących obok żołnierzy.

Bardziej dziwili Winter ludzie, farmerzy i ich rodziny stojące za tymi płotami i obserwujące przechodzące wojsko, jak na paradzie. Mali chłopcy radośnie krzyczeli i machali rękami, wywołując taką samą reakcję rozbawionych vordanajskich oddziałów. Gdy przechodzili przez wioski – zawsze z siatką idealnie prostych ulic, domów z bali i stojącym w centrum nieodłącznym Kościołem Zaprzysiężenia z jego wieżą – wydawało się, że cała ich ludność ustawiła się wzdłuż trasy przemarszu.

Był to zupełnie inny marsz niż przez Khandar, gdzie ludność uciekała lub kryła się, gdy nadchodziły wojska. Zważywszy, co Odkupiciele robili z każdym, kogo podejrzewali o nielojalność, Winter nie mogła mieć tego za złe Khandarczykom ani dziwić się, że spodziewali się zemsty powracających Vordanajów. Tu jednak były ziemie Ligi Wolnych Miast, gdzie wojna od pokoleń była domeną dżentelmenów, prowadzoną z całym szacunkiem dla uczuć mieszkańców.

– Wydaje się, że nawet nie są na nas źli – zwróciła się Winter do Cyte, gdy jechały wzdłuż kolumny truchtających piechurów.

– To deslandzkie terytorium – powiedziała Cyte. Winter nauczyła się zasięgać rady byłej studentki uniwersytetu w sprawach historii i polityki, które zwykle były dla niej zupełnie niezrozumiałe. – Desland zawsze był chwiejnym członkiem Ligi. Chociaż to Elizejczycy, to częściej niż na północy mówi się tu po vordanajsku i ulega wpływom Vordanu.

– To nie powstrzymuje ich wojsk od działań przeciwko nam.

– Wątpię, czy Wielka Rada Hamvelt dała im jakiś wybór – odparła Cyte. – Od czasu Wojny Książąt Hamvelt praktycznie rządzi Ligą.

Winter zamilkła na chwilę, prowadząc konia nad głęboką rozpadliną na drodze. W randze kapitana udawało się jej unikać konnej jazdy, ale pułkownik musiał się szybko przemieszczać z jednego miejsca do drugiego, tak więc, choć niechętnie, musiała siedzieć w siodle. Zadziwiająco szybko opanowała tę sztukę. U pani Wilmore uczyły się jazdy konnej, jako umiejętności niezbędnej zaradnej żonie farmera. Od samego początku, gdy tylko pojawiła się w tej instytucji jako mała dziewczynka, miała do czynienia z końmi. Jednak piechurzy nie jeżdżą konno, tak więc przez trzy lata khandarskiej kampanii najbliższy kontakt z koniem miała, klepiąc jakiegoś po karku.

Wszystkie najlepsze rumaki zabrała kawaleria, która rozpaczliwie potrzebowała dobrych wierzchowców, tak więc kwatermistrz przydzielił jej podstarzałego wałacha Edgara, emanującego spokojną rezygnacją. Winter nie próbowałaby zmusić go do galopu, ale nieźle się nadawał do jazdy po wiejskiej drodze. Kiedy dojdzie do walki, będzie zdana na własne nogi, w stopniu pułkownika czy nie.

Cyte kierowała swoją kłaczą znacznie mniej wprawnie, jakby lepiej opanowała teorię konnej jazdy niż praktykę. Ponieważ Winter potrzebowała poruczników do przekazywania rozkazów i wypełniania niekończących się papierków, wybrała Cyte do pierwszego zadania, a

Bobby do drugiego. Ponadto poprosiła o przydzielenie jej porucznika Johna Marsha, kochanka Bobby i weterana korpusu kolonialnego, któremu oddała dowodzenie kompanią Pierwszego Dziewczęcego.

Kolumna się zatrzymała. Winter przejechała obok pierwszych szeregów królewskich i skinęła głową kapitanowi Sevranowi, siedzącemu na koniu obok chorążych ze sztandarem i doboszy. Pierwszy Dziewczęcy rozciągnął się w luźnym marszowym szyku; grupki młodych kobiet przystały na drodze, rozmawiając, i życzliwie machały przejeżdżającej Winter, zamiast jej salutować. Zauważyła, że wiele z nich nosi wysokie hamveltajskie czaka zdobione piórami.

Porucznik Marsh wyjechał im naprzeciw. Wysoki, jasnowłosy i przystojny, o roziskrzonych niebieskich oczach i zaraźliwym uśmiechu, był doskonałym jeźdźcem. Winter rozumiała, dlaczego Bobby się w nim zakochała, gdyż Marsh był zawsze uprzejmy i kompetentny, lecz mimo to odnosiła się do niego z lekką rezerwą. Ten człowiek znał przynajmniej częściowo tajemnicę Bobby – trudno było ukryć dziwne marmurkowe przebarwienia, które powoli rozchodziły się na jej skórze – ale Winter nie zamierzała powierzać mu swoich sekretów.

– Panie pułkowniku. – Sprężyście zasalutował wolną ręką.

– Co się dzieje? – zapytała Winter, ruchem głowy pokazując nieruchomą kolumnę.

– Łączenie taborów – odparł Marsh. – Jedna z ekip zaopatrzeniowych. Minie jeszcze pół godziny, zanim odblokują drogę.

Winter zerknęła na słońce, które już dawno minęło zenit i szybko chyliło się ku zachodowi. Pod koniec roku dni stawały się coraz krótsze, co wciąż ją dziwiło po trzech latach spędzonych w leżącym bliżej równika Khandarze.

– Zatem nie przejdziemy dziś więcej niż milę – stwierdziła Cyte, dokonawszy tych samych obliczeń.

Marsh kiwnął głową.

– Bobby i kapitan Verity pojechały naprzód wybrać miejsce na obóz.

– Może sześć mil? – głośno zastanawiała się Winter, patrząc tam, skąd przybyli. – To bardzo powolny marsz.

– Janus nas nie pogania – rzekła Cyte. – Jeśli pójdziemy szybciej, tabory zostaną w tyle.

W przeciwieństwie do khandarskiej kampanii, podczas której statki vordanajskiej floty mogły dostarczać zaopatrzenie małej kolonialnej armii, armia Wschód Janusa musiała polegać na powolnych konwojach zaopatrzeniowych podążających z magazynów w Essyle przybrzeżną drogą. Na szczęście po bitwie – nazwanej bitwą o Diarach, od nazwy małej wioski, w której Janus urządził swoją główną kwaterę – armia Ligi najwyraźniej straciła kontenans.

Dostawszy ciągi, które sami zamierzali sprawić, rozbite siły di Pfalena podążyły w dwóch różnych kierunkach. Wojsko di Pfalena, złożone głównie z hamveltajskich oddziałów, wycofało się na północ, ku wielkiej twierdzy Antova, natomiast mniejsze zgrupowanie przeważnie deslandzkich sił podążyło na wschód, do swego rodzinnego miasta. Janus zostawił niewielkie siły, aby obserwowały di Pfalena, a większość swych żołnierzy, w liczbie prawie czterdziestu tysięcy, poprowadził drogą na Desland. Na razie jednak zadowalał się równie powolnym tempem marszu jak deslandzka armia, nie podejmując próby okrążenia wroga, żeby nie pozostać bez zaopatrzenia.

– Desland nie ma nowoczesnych fortyfikacji – powiedział Marsh. – Jeśli ściągniemy tam

nasze działa, po kilku godzinach rozbijemy ich palisady w drzazgi.

Winter skinęła głową.

– Będą musieli się zatrzymać i podjąć walkę, zanim tam dotrzemy. Ile mil nam zostało?

– Po dzisiejszym dniu czterdzieści pięć – powiedziała Cyte. Oczywiście okazała się ekspertem w czytaniu map. – W tym tempie może tydzień marszu.

– Tak więc czeka nas bitwa przed upływem tygodnia. – Winter pokręciła głową. – Marsh, jedź i powiedz kapitan Verity, że w obozie musi być miejsce na plac ćwiczeń. Czekać dziś na tabor, będziemy mieli czas do wieczora i myślę, że dobrze będzie poćwiczyć.

– Tak jest! – Marsh zasalutował, delikatnym ruchem wodzy okręcił konia i odjechał truchtem wzdłuż kolumny.

Zanim wozy ruszyły, żołnierze Winter rozleźli się po całej drodze i okolicznych polach, tak że sierżanci musieli ich zbierać. Winter z przewrotnym zadowoleniem zauważyła, że w tym wypadku królewscy nie spisali się lepiej od Pierwszego Dziewczęcego, chociaż musiała przyznać, że zebrali się trochę szybciej. Kolumna ponownie ruszyła, gdy słońce chowało się za horyzont, i już o zmierzchu przybyła do obozu oznakowanego kołkami wbitymi w ziemię na rozległych, pustych polach. Namiot Winter stał samotnie na środku, z zatkniętą obok flagą. Niebawem wybrane miejsce zmieniło się w jedno kłębówisko, gdy przybywały kolejne oddziały mocno rozciągniętej kolumny i rozstawiano następne namioty.

Bobby czekała z dwiema młodszymi od niej dziewczynami. Winter zsiadła z konia, krzywiąc się z bólu, tak jej zdrętwiały mięśnie, po czym rzuciła im wodze Edgara. Dziewczęta zasalutowały – wychodziło im to zdecydowanie lepiej niż starszym od nich towarzyszkom – i odprowadziły wałacha.

– Panie pułkowniku! – Bobby podała Winter złożoną kartkę papieru. – Od generała. Rozkazy na jutro.

Winter kciukiem złamała pieczęć i rzuciła okiem na krótką notatkę.

– Mamy zostać w obozie do południa, a potem podążać z szóstym i ich artylerią. Kolejne sześć mil.

W porównaniu do marszu przez Khandar przemieszczanie armii Wschód było przerażająco skomplikowanym przedsięwzięciem. Ponaddziesięciokrotnie liczniejsza, byłaby żałośnie powolna i rozciągnięta, gdyby podążała w jednej kolumnie. Janus zarządził więc skomplikowany logistycznie pochód wieloma równoległymi drogami, z jazdą zabezpieczającą całą tę bezładną masę ludzi przed zasadzką wroga. Pod nadzorem kogoś mniej zdolnego z łatwością mogłoby się to przerodzić w chaos i zamieszanie, ale dotychczas takie opóźnienia jak to były rzadkością. Winter wyczuwała w tym rękę Fitz'a Warusa – teraz dowodzącego kolonialnymi – drobiazgowo wytyczającego trasy przemarszu i wydającego szczegółowe rozkazy.

– Sądzę, że lepiej czekać tutaj niż na drodze – powiedziała Bobby. Winter z poczuciem winy pomyślała, że wygląda na zmęczoną. Od kiedy ją awansowała, złożyła na młode barki Bobby ciężar wielu obowiązków. – Czy mam wydać żołnierzom rozkaz, że mogą spać dłużej?

– Nie. Chcę, żebyś ty odpoczęła, ale pułk ma wstać i zjeść śniadanie o zwykłej porze. Musimy trochę poćwiczyć.

– Dziewczęta nie przywykły do musztry, pułkowniku.

– Najwyższy czas, żeby zakosztowały prawdziwego wojskowego życia. – Winter posłała

Bobby uśmiech, choć wcale nie było jej do śmiechu. – Tak jak my kiedyś, no nie?

– Tajest!

Bobby zasalutowała, a Winter machnęła ręką.

– Idź odszukać swój namiot.

Wiedziała, że Marsh będzie czekał na Bobby. Jeszcze nie słyszała żadnych plotek o tych dwojgu, ale było to tylko kwestią czasu.

Nie żebym miała prawo zgłaszać jakiegokolwiek zastrzeżenia. Zaledwie weszła do swojego namiotu, już Jane całowała ją, wzięwszy ją w ramiona. Winter na moment zeszywniała zaskoczona, po czym rozluźniła się w ramionach kochanki, wsuwając palce w spoconą płataninę rudych włosów Jane, które teraz sięgały jej prawie do ramion.

– Naprawdę powinnaś najpierw zasalutować – powiedziała Winter, gdy w końcu oderwały się od siebie.

– Przepraszam. – Jane sprężyście oddała honory. – Panie pułkowniku! Proszę o pozwolenie wsunięcia języka w pańskie usta!

Winter stłumiła uśmiech.

– Może krzykniesz to jeszcze głośniej? Nie wiem, czy usłyszał cię cały obóz.

– Jestem najzupełniej pewna, że cały obóz już wie, że kapitan Verity pieprzy się z pułkownikiem Ihernglassem. – Jane zniżyła głos. – Tylko dokładny opis, jak to robimy, mógłby zaskoczyć niektórych.

Dłonie Jane zsunęły się z ramion Winter po jej plecach i na biodra. Dotyk jej palców sprawił, że Winter zarumieniła się i zaczęła szybciej oddychać, ale zdołała się uwolnić z objęć Jane i cofnąć o krok.

– Nie teraz – powiedziała.

– Maruda.

Winter przewróciła oczami.

– Jesteś niereformowalna.

– Jestem pewna, że gdybym sprawdziła, co to słowo oznacza, poczułabym się urażona.

Patrzyły na siebie przez chwilę z poważnymi minami, a potem parsknęły zduszonym śmiechem. W takich chwilach jak ta Winter najwyraźniej czuła, jak bardzo ją kocha. To była dawna Jane, która mieszkała u pani Wilmore i z zawadiackim uśmiechem przyjmowała najgorsze, co zdołały wymyślić stare sekutnice kierujące tą placówką.

Czasem jednak ta otoczka pękała i pojawiała się pod nią coś paskudnego. Winter pamiętała, jak na przystani w Vordanie ledwie zdołała odwieść Jane od morderstwa z zimną krwią. Był w niej gniew szalejący tuż pod powierzchnią i Winter czasem zastanawiała się, czy podobieństwo do tej dziewczyny, którą знаła przed laty, nie jest tylko rolą odgrywaną specjalnie dla niej.

Uśmiech Jane, obserwującej minę Winter, powoli zgasł.

– Co się stało?

– Nic. – Winter westchnęła. – Muszę porozmawiać z kapitanem Sevraniem.

– Oho. Powinnam być zazdrosna?

Winter znów przewróciła oczami.

– Pewnie jeszcze nie czytał mojego nowego wydania podręcznika.

– Chcesz, żeby powstrzymał tego idiotę Novusa od pisania skarg?

– Wątpię, czyby zdołał – powiedziała Winter. – Myślę jednak, że powinniśmy przeprowadzić ćwiczenia. Domyślam się, że za niecały tydzień będziemy walczyć, i Pierwszy Dziewczęcy oraz królewscy muszą w końcu nauczyć się współpracować.

– Te dziewczęta zrobią, co im każę. – Jane zrobiła zniesmaczoną minę. – Dopilnuj, żeby królewscy zrobili to samo, i bądź gotowa skopać tyłek kapitanowi Sevranowi, jeśli spróbuje wyciąć taki numer jak de Ferre. Będzie dobrze.

– Trochę ćwiczeń nie zaszkodzi.

– Skoro tak mówisz. – Jane wzruszyła ramionami. – Osobiście wolałabym dłużej pospać, ale ty tu wydajesz rozkazy.

– Zamierzam znaleźć Sevrana. Wybierz swoją najlepszą kompanię i zawiadom, że jutro mają być na placu ćwiczeń.

– Tak jest, pułkowniku! – Jane zasalutowała jej, uśmiechając się lubieżnie. – Wróć szybko.

Ludzie kapitana Sevrana rozstawili jego namiot na środku miejsca wyznaczonego dla królewskich, a teraz ciężko pracowali, rozbijając pozostałe. Ich rzędy były trochę równiejsze niż Pierwszego Dziewczęcego, a ogniska do gotowania stawy znacznie lepiej zorganizowane – każda grupa jeżdzących ze wspólnego kotła miała swoje. Stojący przed namiotem kapitana wartownik zasalutował i zastukał w maszt.

– Panie kapitanie? Przyszedł pułkownik.

Winter powstrzymała uśmiech. W Khandarze „pułkownikiem” był tylko Janus. Słyszając, jak tak ją tytułują, zawsze miała ochotę obejrzeć się przez ramię.

Kłapa namiotu odchyliła się i wyszedł z niego Sevran, z błyszczącymi paskami na naramiennikach. Zasalutował równie sprężyście jak wartownik.

– Panie pułkowniku!

– Jest kilka spraw, które moim zdaniem powinniśmy omówić – powiedziała Winter. – Ma pan kilka minut?

– Oczywiście, panie pułkowniku. – Sevran przytrzymał kłapę namiotu. – Pan pierwszy.

Namiot Sevrana był bardzo podobny do jej kwatery, z kilkoma mocno zużytymi elementami niestandardowego wyposażenia – takimi jak kufer i składane biurko – zdradzającymi, że jest to miejsce zamieszkania długo służącego oficera. Sam Sevran był dobrze po trzydziestce, z gładko wygolonymi policzkami, dziobatymi jak zmurszały mur po jakiejś chorobie przebytej przed laty. Miał długi nos i równo przycięte ciemnoblonde włosy, w których jeszcze nie było siwych nitki, a dobrze skrojony mundur nosił z nieświadomą gracją człowieka, który spędził w nim prawie całe życie. Winter opanowała lekkie zażenowanie – rozmawiając z takimi wiarusami, zawsze czuła się jak oszustka, nieważne jak wysoko awansował ją Janus.

– Witam, panie pułkowniku – rzekł Sevran. – Co mogę dla pana zrobić?

– Przykro mi, że nie mieliśmy czasu naprawdę się poznać – powiedziała Winter. – Tyle się działo.

– Oczywiście, panie pułkowniku.

– Jak pańscy ludzie radzą sobie z nową organizacją pułku?

Jego uśmiech przygasł, zaledwie na moment. Winter rozpoznała minę człowieka zamierzającego powiedzieć przełożonemu to, co ten chce usłyszeć.

– Tak dobrze, jak można by oczekiwać, panie pułkowniku – odparł Sevran.

Winter, która niejedną raz wciskała kit oficerom, uśmieła się w duchu z doskonałej

dwuznaczności tego zdania.

– Otrzymałem wiele... wniosków pańskiego porucznika. Nie wydaje się zadowolony.

– Novus? – zapytał Sevrans. Winter skinęła głową, a kapitan westchnął. – Porozmawiam z nim. To nic osobistego, panie pułkowniku. Niektórzy z moich oficerów nie są uszczęśliwieni tym, że umieszczono ich wśród ochotników.

– Nie tylko ochotników, ale w dodatku dziewczyn – uzupełniła Winter. – Wiem, że to musi niepokoić niektórych.

– Wyjaśniłem im, że pierwszy batalion ma być traktowany jak każda jednostka... jak żołnierze – powiedział Sevrans.

Winter odgadła, że ktoś wyżej postawiony – zapewne sam Janus – przypomniał kapitanowi o znaczeniu tego faktu. Współczuła mu; sytuacja, w jakiej się znalazł, byłaby niezręczna dla każdego oficera. Wyglądał na człowieka zdecydowanego zrobić co się da w tych przykrych okolicznościach.

Chyba go lubię. Przynajmniej nie był drugim pułkownikiem de Ferre.

– Co ludzie myślą o tej sytuacji? – spytała. – Szeregowi żołnierze, nie porucznicy.

Sevrans się zawahał.

– Mówiąc między nami, panie pułkowniku?

– Oczywiście.

– Jest trochę narzekań, rzecz jasna. Wielu z nich sądzi, że pierwszy batalion nie będzie walczył. Mówiłem im, że toczył bardzo ciężkie boje pod Diarach, ale nie wiem, czy w to uwierzyli. – Znow zamilkł. – Wielu z nich także uważa, że faworyzuje pan pierwszy, panie pułkowniku. Ponieważ... dłużej pan z nimi służył.

I ponieważ sypiam z ich kapitanem. Niewątpliwie to już się rozniosło.

– Staram się wszystkich traktować jednakowo.

– Niektóre obowiązki zdają się przypadać wyłącznie moim ludziom – rzekł Sevrans, po czym pospiesznie dodał: – Nie żeby nie miał pan prawa wyznaczać służb, jak się panu podoba, oczywiście. To jednak nie poprawia morale.

– Nie wiem, czy rozumiem, co ma pan na myśli.

– Na przykład latryny. – Sevrans powiedział to jak ktoś przechodzący po walącym się moście. Winter zastanawiała się, czy uważał, że ona poddaje go próbie. – Moi ludzie zostali wyznaczeni do kopania dołów na latryny przy rozbijaniu trzech ostatnich obozów. I oporządzania koni.

– Porucznik Cytomandiclea wydaje te rozkazy. – Winter zmarszczyła brwi. – Porozmawiam z nią. To wydaje się nie w porządku.

– Dziękuję, panie pułkowniku. To bardzo pomoże.

– Ponadto chcę przeprowadzić jutro rano ćwiczenia łączone dla dwóch batalionów – oznajmiła Winter. – Mam kilka taktycznych koncepcji, które trzeba przećwiczyć. Może pan wybrać swoją najlepszą kompanię i przyprowadzić ją do mnie na plac?

– Oczywiście, panie pułkowniku. Myślę, że to wspaniały pomysł.

– Dobrze. Zatem zobaczymy się rano, kapitanie.

Winter skinieniem głowy przyjęła jego salut i wyszła z namiotu. To nie było takie trudne. Wyglądało na to, że Sevrans zamierza z nią współpracować i może pomóc jej utrzymać w ryzach poruczników. Dopóki szeregowi żołnierze nie sprawiali kłopotów, kilku

błękitnokrwistych oficerów nie było poważnym problemem. To może się udać.

To się nigdy nie uda, pomyślała Winter.

Zza warstwy chmur słońce słabo oświetlało prostokąt twardej, pobrużdżonej ziemi wytyczony na plac ćwiczeń.

– W porządku – powiedziała. – Spróbujmy jeszcze raz.

– Zewrzeć szyk! – ryknął Folsom. Winter wypożyczyła go na te ćwiczenia ze względu na jego donośny głos. – Harcownicy, naprzód! Główny szereg, ładuj broń!

Jedna kompania królewskich była ustawiona w trzech szeregach, każdy o długości około dwudziestu metrów. Na rozkaz Folsoma, powtórzony przez porucznika sur Gothina i jego dwóch sierżantów, żołnierze zaczęli wykonywać regulaminowe czynności, opierając kolby muszkietów o ziemię, udając, że rozrywają zębami kartonowe naboje i ubijają proch stemplami. Kiedy ponownie podnieśli muszkiety do ramion, sur Gothin krzyknął „Ognia” i tysiąc kurków opadło ze szczękiem. Potem pantomima zaczęła się od nowa.

W tym czasie kompania Pierwszego Dziewczęcego, dowodzona przez Abby Giforte, wykonywała zupełnie inne ćwiczenie. Podzielone w pary, każda w odległości co najmniej pięciu metrów od sąsiedniej, były rozmieszczone w nieregularnych odstępach mniej więcej pięćdziesiąt metrów od zwartego szyku królewskich. One udawały strzelanie na przemian: jedna ładowała – co przychodziło im znacznie łatwiej, niż gdy stały w szeregu ramię w ramię z innymi – podczas gdy druga celowała i ściągała spust, po czym zamieniały się miejscami.

Na razie nieźle. Ten luźny szyk zaczepny zaimprovizowany przez Janusa w trakcie bitwy o Midvale zbijał z tropu regularne oddziały wroga, pozbawiając je zwartego celu, i w ciągu minionych tygodni Winter oraz pozostali dowódcy rozwinęli ten pomysł w całkiem skuteczną taktykę. Problem polegał na tym, że wprawdzie luźny szyk chronił przed salwami piechoty i artylerii, ale nie mógł powstrzymać zdecydowanego ataku na bagnety, a bez możliwości sformowania czworoboku mógł zostać z łatwością zmieciony przez szarżę kawalerii.

W teorii w tym miejscu wkraczali królewscy. Winter miała nadzieję, że obie połowy jej pułku będą się uzupełniać nawzajem: Pierwszy Dziewczęcy mógłby w rozproszonym szyku walczyć w swoim stylu i w razie potrzeby wycofywać się za solidną ścianę bagnetów regularnych żołnierzy. Właśnie ta druga część planu, czyli cofanie się, okazała się problemem.

– Zaczynajcie – powiedziała Winter do Folsoma.

– Harcownicy, odwrót! – ryknął. – Główny szereg, przygotować się do przepuszczenia harcowników!

Kobiety z kompanii Abby przerwały pozorowane strzelanie i pobiegły z powrotem tam, gdzie czekali królewscy. Mieli oni utworzyć przejście, obracając się bokiem, a potem znów zewrzeć szereg. To już dwukrotnie się nie powiodło, gdyż jakaś wyciągnięta ręka lub noga zawsze stawała na drodze biegnącej, w wyniku czego cały szereg padał na ziemię, płacząc szyk. Niektóre z kobiet też zaczęły się irytować i z impetem wpadały na każdego, kto stanął im na drodze.

Winter zobaczyła, że tym razem też nie będzie inaczej. Kilka najszybciej biegnących dziewcząt zdołało przebiec, zanim nadbiegła reszta, a potem drwiąco uśmiechnięty rudowłosy żołnierz na środku szeregu królewskich podstawił nogę biegnącej kobiecie, która rozciągnęła się jak długa. Jej towarzyszka, rozwścieczona, uderzyła go barkiem, odrzucając na stojącego za nim kompana. Na placu wybuchło zamieszanie, prawie bijatyka.

A tak naprawdę powinniśmy robić to z nałożonymi bagnetami, jeśli chcemy odeprzeć kawalerię. Winter pokręciła głową. Na środku linii naprawdę doszło do bijatyki: jakaś mocno zbudowana kobieta w luźnej niebieskiej kurtce okładała pięściami młodego żołnierza. Sierżanci z obu stron ruszyli przerwać bójkę, a pozostali żołnierze zagrzewali jej uczestników.

– Ty gówniarzu! – krzyczała kobieta. – Jak tak bardzo chciałeś złapać mnie za cycki, to mogłeś najpierw postawić mi kolację!

– A kto by tego chciał? – prychnął królewski, ocierając krew płynącą z nosa. – Wyglądają jak papierowe torby z tłuszczem.

– Nie rób mu krzywdy, Vena – rzuciła drwiąco inna. – Nie widział cycka, od kiedy mamusia przestała mu go dawać.

– A ty tak długo nie widziałaś fiuta, że musiałaś go sobie wystrugać!

– Nawet taki jest lepszy od twojego!

– Dość tego! – ryknął Folsom. – Kompanie rozdzielić się i stanąć w szeregu, natychmiast!

Sierżanci zaczęli rozdzielać obie kompanie i ustawiać je w namiastce szyku. Winter zaczekała, aż im się to w miarę uda i gwar przycichnie, po czym przemówiła.

– Porucznicy sur Gothin i Giforte za mną, proszę. Pozostali rozejść się.

Porucznicy poszli za Winter na skraj placu ćwiczeń, skąd kapitan Sevrana i Jane obserwowali zamieszanie. Pozostali żołnierze rozeszli się w przeciwnie strony, podążając do swoich obozów.

– Mogło pójść lepiej – zauważyła Jane. Uniesiony kącik jej ust zdradził Winter, że jest rozbawiona.

Sevrana zerknął na Jane, po czym potrząsnął głową.

– Zgadzam się, że ludzie muszą więcej ćwiczyć, panie pułkowniku. To trudny manewr.

– Nie jest trudny – rzekła Abby, stając obok Jane. – Pańscy ludzie rozmyślnie go psuli.

Sur Gothin – chudy, przedwcześnie łysiejący mężczyzna – zdjął czapkę i podrapał się w czubek głowy. Spojrzał na Sevrana, a potem na Winter.

– Mogło tak być – przyznał w końcu. – Przykro mi, panie pułkowniku. Spróbuję jutro napędzić im stracha, ale są trochę rozzłoszczeni tym wszystkim.

– Oni są rozzłoszczeni? – warknęła Jane. – A myślisz, że my nie?

– J... – Winter ugryzła się w język. – Kapitanie Verity, proszę. Musimy opanować ten manewr. Kapitanie Sevrana, proszę przekazać wiadomość, że nie jestem zadowolona i dokonamy pewnych zmian. – Westchnęła. – Na razie nikogo nie ukarujemy. Opracujemy coś... lepszego.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Na twarzy Sevrana odmalowała się widoczna ulga. Winter mogła zażądać przykładowego ukarania winnych, ale doszła do wniosku, że to nic by nie dało. – Jasno im to wytłumaczę, panie pułkowniku.

– Dziękuję. Na razie to wszystko.

Sur Gothin i Sevrana zaszalutowali, po czym odeszli w kierunku swojego obozu.

– Czy powinnam mówić do ciebie „pułkowniku Ihernglass”, panie pułkowniku? – z uśmiechem spytała Jane.

– W ich obecności tak.

Uśmiech przygasł.

– Nie musisz przed nimi udawać. Pamiętaj, co ci powiedział generał. Jeśli nie będą cię

słuchać, zawsze możesz kilku rozstrzelać.

– To w niczym by nie pomogło. – Winter z ukosa spojrzała na Jane. – Czy kiedy dowodziłaś Skórzanymi Kurtkami, zastrzeliłaś kogoś, kto ci pyskował?

– Od czasu do czasu musiałam rozbić kilka głów. – Jane zmarszczyła brwi. – Jednak wszystkie byłyśmy po tej samej stronie, mniej więcej. Tu jest inaczej.

– A nie powinno. Druga strona jest tam. – Winter pokazała ręką na wschód. – Żołnierze Ligi, a nie królewscy.

Jane pokręciła głową.

– To miłe, lecz ja nadal nie ufam im za grosz.

I właśnie w tym problem, pomyślała Winter, gdy Jane odchodziła.

– Poruczniku? – powiedziała Winter. – Jesteś tam?

Cyte podwinęła klapę namiotu i zamrugnęła w słonecznym blasku. Zbliżało się południe.

– Panie pułkowniku! Co mogę dla pana zrobić?

– Mam kilka pomysłów, które chcę z tobą omówić.

Cyte skinieniem ręki zaprosiła ją do środka. Była studentka miała cały namiot dla siebie, obok tego, który Bobby dzieliła z Marshem. Na samym środku stało składane biurko, a na nim rozpostarta była welinowa, bardzo szczegółowa mapa. Na niej leżała lupa i dwie linijki. Winter popatrzyła z zaciekawieniem.

– Czego szukasz? – zapytała.

– Och. – Cyte lekko się zaczerwieniła. – Ja tylko... ćwiczę, panie pułkowniku. Układam swój plan przemarszu naszej armii i próbuję zgadnąć, gdzie może być nieprzyjaciel. Potem, kiedy przychodzą rozkazy generała, sprawdzam, w czym się pomyliłam.

– Albo w czym pomylił się generał.

Cyte zaśmiała się.

– To raczej mało prawdopodobne, panie pułkowniku.

Winter uśmiechnęła się. Cyte jakoś przypominała jej ją samą, kiedy przybyła do Khandaru. Oczywiście nie musiała się obawiać zdemaskowania, ale z taką samą cichą determinacją usiłowała opanować wszystkie aspekty swego nowego zawodu, jaka kiedyś skłaniała Winter do wkuwania na pamięć podręczników musztry. Ten entuzjazm wybiło Winter z głowy stado złośliwych, leniwych sierżantów i ogólne rozprężenie garnizonowego życia; miała nadzieję, że sama spisze się lepiej z Cyte.

– Mieliśmy pewne... problemy z wykonaniem manewru, który ćwiczyliśmy.

Winter podsumowała poranne wydarzenia, a Cyte zmarszczyła brwi.

– Zatem między królewskimi a Pierwszym Dziewczęcym są animozje? – zapytała.

– Można tak to ująć, owszem – sucho odparła Winter. Cyte miała talent do map i historii, ale czasem wydawała się nieświadoma tego, co myślą ludzie wokół niej. – Nawiasem mówiąc, czy specjalnie przydzielałaś królewskim wszystkie najgorsze prace?

– Najgorsze prace, panie pułkowniku?

– Kopanie latryn, oporzędzanie koni, takie rzeczy.

– Och – powiedziała Cyte. – Myślałam, że pan chce, żeby wykonywali wszystkie najgorsze prace. Kapitan Verity przyszła tu i powiedziała mi to, kiedy układałam plan dyżurów. Czy coś źle zrozumiałam?

Jane. Winter zgrzytnęła zębami. Nie żeby nie rozumiała Jane, która chciała odciążyć swoje

dziewczęta i przydzielić wszystkie najgorsze prace królewskim, ale... To wcale mi nie pomaga.

Jednak nie było sensu wyjaśniać tego Cyte.

– Nie przejmuj się tym. Ale w przyszłości staraj się równo dzielić zajęcia. To będzie dobre dla morale.

– Oczywiście, panie pułkowniku.

– Tak więc chcę, żebyś jutrzejszy obóz zaplanowała trochę inaczej.

Winter wzięła ołówek, kartkę i zaczęła rysować.

Tego dnia rozpoczęty tuż po południu marsz zakończył się o zachodzie słońca. Podążając w niespiesznym tempie za wozami taborów, przebyli kolejne sześć mil. Konny zwiad zameldował, że nadal nic nie świadczy o tym, aby wróg zamierzał w najbliższym czasie podjąć walkę.

Winter posłała Cyte i Bobby naprzód, żeby rozbiły obóz, a Jane zatrzymała przy sobie. Było to tchórzliwe posunięcie, tak jak tchórzostwem było nieporuszanie tego, że Jane wykorzystwała nazwisko Winter, żeby namieszać w planie dyżurów. Czuła jednak, że obie te kwestie wywołają sprzeczkę, i wołała załatwić je jednocześnie.

Zerknęła na kochankę, gdy w zapadającym zmroku jechały razem do obozu. Mając wybór, Jane wołała iść ze swoimi ludźmi, ale tego dnia chętnie towarzyszyła Winter. Lepiej radziła sobie konno, niż Winter się spodziewała – kolejna spuścizna instytucji pani Wilmore – lecz nadal nie tak dobrze jak sama Winter lub żołnierze tacy jak Marsh, który wyglądał na urodzonego w siodle.

– Robi się chłodniej – zauważyła Jane, unosząc dłoń, żeby sprawdzić wiatr. – Niedługo będą nam potrzebne płaszcze. Ja... – Urwała, spoglądając na kolorowe proporczyki i stojące między nimi namioty. – Coś im się tam popieprzyło.

Winter westchnęła. *Czasem po prostu trzeba przeciąć wrzód.*

– Nic się nie popieprzyło. Kazałam Cyte zmienić rozkład obozu.

– Co takiego? Dlaczego? – Jane rozejrzała się. – Zmieszałaś nas z królewskimi!

– Rozmieściłam kompanie w szachownicę – powiedziała Winter.

W ten sposób każdy rząd namiotów królewskich sąsiedował z rzędem Pierwszego Dziewczęcego.

Dotychczas oba bataliony obozowały oddzielnie, a plac ćwiczeń między nimi był niczym ziemia niczyja między dwoma walczącymi mocarstwami. Oprócz wartowników, którzy strzegli całego obozu przed niespodziewanym atakiem nieprzyjaciela, Jane zawsze rozstawiała swoje warty, aby pilnowały Pierwszego Dziewczęcego przed zakusami królewskich.

– Nie mówisz poważnie – rzekła Jane. – Masz pojęcie, co się stanie?

Winter wzruszyła ramionami.

– Może zaczną wspólnie gotować?

– Nie udawaj głupiej.

Jane zagroziła drogę Winter, zmuszając ją do wstrzymania wierzchowca, i przeszła ją gniewnym wzrokiem. Winter westchnęła.

– Nie możemy pozwolić, żeby Pierwszy Dziewczęcy traktował wszystkie inne oddziały jak wroga, Jane.

– Nie chcę tego. Jednak... znasz królewskich, wiesz, jak się zachowują! De Ferre zamierzał

zostawić nas tam, żebyśmy zginęły. Oni są naszymi wrogami, czy to się nam podoba czy nie.

– To był de Ferre. – Winter pomyślała o stercie skarg. – Jestem pewna, że niektórzy szlachcice nienawidzą Pierwszego Dziewczęcego, ale zwykli żołnierze nie. Oni pochodzą z biednych dzielnic i farm, tak jak twoje dziewczyny.

– Jeśli są po naszej stronie, powinni byli przyjść nam z pomocą – powiedziała Jane. – Niezależnie, co kazał im de Ferre.

Winter potrząsnęła głową. Jane nadal nie pojmowała wojskowego sposobu myślenia.

– Mieli rozkazy. Nie możesz ich winić.

– Rozkazy – prychnęła Jane. – Myślę, że za długo jesteś żołnierzem.

Winter zrobiła głęboki wdech i spróbowała jeszcze raz.

– Posłuchaj. Miałaś mężczyzn, którzy pomagali Skórzanym Kurtkom. Twoje dziewczyny nie same schwytały Krwawego Cecila i zdobyły Vendre.

– Nie mówię, że nie mogą pomagać – odparła Jane. – Jednak są dobre powody, żeby nie wpuszczać ich do budynku. – W jej oczach palił się gniew. – Nie masz pojęcia, co się może zdarzyć...

– Mam – cicho powiedziała Winter. – Widziałam, co się stało, kiedy zdobyliśmy obóz pełen khandarskich cywilów. Wiem, co się dzieje, gdy żołnierze... wymkną się spod kontroli. Jednak tu się tak nie stanie, rozumiesz? Ponieważ jesteśmy po tej samej stronie.

A w duchu dodała: i ponieważ nie zamierzam na to pozwolić. Żaden żołnierz pod jej komendą nie będzie uczestniczył w grabieżach i gwałtach na sprzymierzeńcach czy wrogach.

– Wszyscy będą bezpieczni. Pierwszy Dziewczęcy nadal jest rozlokowany kompaniami po sto osób. Potrafią o siebie zadbać.

– To zbyt niebezpieczne – powiedziała Jane. – Nie zgadzam się na to.

I właśnie tych słów obawiała się Winter. Zrobiła kolejny głęboki wdech i wypuściła powietrze.

– Ja cię nie proszę – powiedziała powoli. – Wydaję ci rozkaz.

Jane przez długą chwilę spoglądała na nią w milczeniu, mrużąc zielone oczy.

– I co zrobisz, jeśli odmówię? – spytała po chwili. – Rozstrzelasz mnie?

Winter wiedziała, że teoretycznie mogłaby to zrobić. Odmowa wykonania rozkazu w trakcie kampanii mogła zostać uznana za zdradę. To jednak nie wchodziło w grę i obie o tym wiedziały. Na szczęście Winter dobrze przemyślała to sobie wcześniej.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Kocham cię, Jane. Wiesz o tym. Jednak... – Przełknęła ślinę. – Sprawa jest zupełnie prosta. Jeśli nie zamierzasz wykonywać rozkazów, które ci się nie podobają, to nie możesz dowodzić.

– Zatem zdegradujesz mnie do szeregowca? – szydziła Jane. – Świetnie. Proszę, zrób to...

– Odeślę cię do domu.

– Nie zrobisz tego. Pół batalionu odeszłoby ze mną.

– Wątpię – odparła Winter. – Jak już mówiłam, one nie są tutaj dla ciebie czy dla mnie. Są tu, ponieważ uważają, że tak trzeba.

Jane spoglądała na nią oniemiała. Nerwowy tik poruszył mięśniami jej policzka.

– Proszę, nie zmuszaj mnie do tego – powiedziała Winter ze ściśniętym gardłem. – Jesteś potrzebna Pierwszemu Dziewczęcemu. Jesteś potrzebna mnie. Jednak odpowiadam za wszystkich żołnierzy tego pułku i muszę zrobić wszystko, żeby utrzymać jak najwięcej z nich

przy życiu.

Znów zapadła cisza. Po chwili Jane zaszalutowała, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Tak jest, panie pułkowniku – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Lepiej pójde sprawdzic, gdzie zgodnie z nowymi rozkazami rozstawiono mój namiot, panie pułkowniku.

Gwałtownie szarpnąwszy wodze, okręciła konia i popędziła go. Winter powstrzymała chęć zawołania jej i zacisnęła powieki, czekając, aż serce zacznie jej bić wolniej. Potem nagle znużona ruszyła na poszukiwanie swojego namiotu.

Cztery Marcus

O paska na oczach była z grubego czarnego płótna, szorstkiego i nieprzyjemnego. Marcus powstrzymał chęć poprawienia się na siedzeniu z obawy, że jeden ze strażników w karecie weźmie to za próbę podglądania. Mierantajowie Janusa mieli rozkaz zachowania całkowitej tajemnicy i bardzo poważnie go traktowali.

Marcus wysłał swój raport zaraz po odejściu królowej, wraz z pilną prośbą o instrukcje. Musiał zostawić zwiniętą kartę z wiadomością w jednej z przegródek stojaka na butelki w pewnym sklepie z winami, będącym jedną z kilku umówionych skrzynek kontaktowych, które kazano mu zapamiętać. Przez resztę wieczoru i cały następny dzień próbował odgadnąć, jaką otrzyma odpowiedź. Był to bezowocny wysiłek, co Marcus pierwszy by przyznał. W przeciwieństwie do Janusa nie miał głowy do polityki. Z lekkim niesmakiem obserwował coraz brutalniejsze rządy Dyrektoriatu i Gwardii Patriotycznej, lecz wydawały się one nieistotne dla jego zadań, nie poświęcał więc im szczególnej uwagi.

Prawdę mówiąc, Marcus nie był zupełnie pewien, co naprawdę ma robić w stolicy Vordanu. Wszystko wydawało się najzupełniej logiczne, gdy Janus wyjaśniał mu to, zanim wyruszył na front, lecz wyjaśnienia Janusa miały zwyczaj wyparowywać w świetle poranka niczym zaklęte złoto, pozostawiając tylko niejasne wspomnienia bardzo przekonującej argumentacji. Marcus miał być przedstawicielem Janusa w stolicy, ale na razie polegało to jedynie na wysyłaniu raportów o sytuacji.

Janus jednak miał zwyczaj umieszczać zaufanych ludzi na stanowiskach, na których jego zdaniem mogli okazać się użyteczni, nawet jeśli nie wiedział, w jaki konkretnie sposób. Gdy przybył kurier – w cywilnym ubraniu, ale podający wcześniej uzgodnione hasło – Marcus zaczął poważnie podejrzewać, że teraz przyszła jego kolej, jak na aktora czekającego za kulisami, aż wezwą go na scenę. Może byłby bardziej zirytowany, że potraktowano go jak pionka w grze, gdyby już dawno nie pogodził się z tym, że właśnie tak Janus bet Vhalnich traktuje wszystkich.

Wsiadł do sfatygowanego powozu z napisem DO WYNAJĘCIA na bokach i zastał w nim dwóch młodych mężczyzn o bystrych oczach, mówiących z ciężkim akcentem mierantajskich ochotników Janusa. Dali mu opaskę na oczy, którą zawiązał sobie z westchnieniem rezygnacji. Czasem, pomyślał, potrzeba bezpieczeństwa przechodzi w paranoję, ale nie był pewny, czy jest w stanie je rozgraniczyć.

Jechali około półgodziny, często zmieniając kierunek, a kiepsko resorowany powóz podskakiwał i turkotał na bruku. Gdy w końcu się zatrzymał, jeden ze strażników otworzył drzwi, wziął Marcusa za rękę i poprowadził go po żwirowym podejździe. Zaskrzypiała otwierana brama.

– Teraz może pan zdjąć opaskę, panie pułkowniku – oznajmił strażnik. – Przepraszam. Witamy w Wierzbowym Potoku.

Marcus zdjął opaskę z oczu i zamrugał w słonecznym świetle. Stał na terenie niewielkiej posiadłości, osłoniętej od drogi wysokim żywopłotem oraz masywną bramą z drewna okutego

żelazem. W pobliżu stało kilkunastu mężczyzn w skórzanych fartuchach, pozornie zajmując się ogrodem. Nie wyglądali jednak na typowych ogrodników i Marcus podejrzewał, że gdyby spróbował ich zagadnąć, znów usłyszałby ten chrapliwy mierantajski akcent. No i że gdzieś pod ręką mają swe długie karabiny.

Kurier zapukał do drzwi. Otworzył służący w liberii. Gdy Marcus wszedł do środka, z łatwością rozpoznał kolejnych strażników: ci także nie nosili mundurów, ale mieli długie karabiny pierwszego pułku mierantajskich ochotników oraz szable przy pasach. Dwaj stojący najbliżej drzwi zaszalutowali mu sprężysto.

Wierzbowy Potok był skromną rezydencją z holem, jadalnią, salonami i kwaterami służby na parterze oraz sypialniami na piętrze. Jego jedyną architektoniczną ciekawostką była trzypiętrowa wieża zwieńczona szeroką przeszkloną kopułą, zbudowana dla kogoś chcącego wygrzewać się w słońcu nieprzesłanianym przez drzewa lub inne budynki. Marcus podejrzewał, że z tak wysoka można nie tylko widzieć ulice w promieniu wielu kilometrów, ale także krańce miasta i porośnięte lasem wzgórza na północy.

Kapitan Alek Giforte czekał na końcu holu. Tak jak strażnicy nie nosił munduru, chociaż Janus mianował go kapitanem wojska, kiedy rozwiązano Straż. Marcus musiał namawiać Giforte'a, żeby przyjął ten awans, gdyż młodszy kapitan Straży wstydził się swojej wcześniejszej współpracy z Orlanką. Marcus wciąż się dziwił, że Janus tak szybko zaufał byłemu zdrajcy, ale musiał przyznać, że ten gest wydobyl z Giforte'a wszystko, co najlepsze. Kapitan zaszalutował Marcusowi.

– Panie pułkowniku! – rzekł. – Witamy w Wierzbowym Potoku.

– Dziękuję – odparł Marcus. – Widzę, że się urządziliście.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Tak jak Bliźniacze Wieżyczki, dom wykazywał oznaki zużycia świadczące o tym, że używano go jako koszary. Meble poodsuwano pod ściany, podłogi były zabłocone i wszędzie leżały sterty brudnej pościeli. Giforte wskazał schody. – Zechce pan wejść na górę?

– Czy coś się stało?

Wiedział, że wiadomości otrzymywane od Janusa pochodziły stąd, ale zazwyczaj przynoszono je do Bliźniaczych Wieżyczek wraz ze zwykłą pocztą.

– Nie, panie pułkowniku. Mamy jednak instrukcje, by ta wiadomość nie wyszła poza ten pokój.

To naprawdę zakrawało na paranoję, nawet jak na Janusa, ale Marcus i tak był ciekaw, jak wygląda ta placówka. Podążył za Giforte'em schodami na piętro, a potem po krętych stopniach jeszcze piętnaście metrów wyżej, do rozległej komnaty na samym szczycie wieży. Tutaj wszystkie wygodne fotele i ozdobne meble usunięto, żeby zrobić miejsce na biurka, krzesła oraz sterty teczek z aktami. Ogromne okna – tak duże, że oszklenie ich musiało kosztować fortunę – wychodziły na wszystkie cztery strony świata, lecz były zasłonięte drewnianymi okiennicami.

Kilku młodzieńców ciężko pracowało, zapisując coś w księgach lub robiąc obliczenia na małych metalowych liczydłach. Wszyscy mieli niezdrową cerę ludzi, którzy rzadko wychodzą na słońce, a sądząc po stanie ich włosów i ubrań, nawet niezbyt często schodzili na dół, żeby się umyć. Obok drzwi prowadzących na klatkę schodową piętrzyły się tace z niedojedzonym posiłkiem.

– To dzienna zmiana – wyjaśnił Giforte. – Głównie szyfrują i odszyfrowują. W nocy mamy tu kilku chłopców mających dobre oczy i umiejących szybko notować. White?

Jeden z młodzieńców spojrział na nich zza lekko przekrzywionych okularów.

– Tak, panie kapitanie?

– To jest pułkownik d'Ivoire – rzekł Giforte. – Pułkowniku, to porucznik White. On kieruje tym końcem linii pstryk-pstryk.

– Pstryk-pstryk? – powtórzył Marcus.

– Tak nazwali to chłopcy – rzekł White, wstając. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, niebieskie oczy oraz włosy barwą i uczesaniem przypominające stertę siana. Zauważywszy spojrzenie Marcusa, przyglądził je dłonią, co nie spowodowało żadnej zauważalnej zmiany. – Panie pułkowniku. Chcę powiedzieć, że tak to nazywają.

– Dlaczego?

White podszedł do jednego z okien, gdzie na trójnogu stało coś na kształt latarni. Z boku tej skrzynki sterczała dźwignia. White nacisnął ją i coś w środku otworzyło się z cichym pstryknięciem. Kiedy puścił dźwignię, zamknęło się. Powtórzył ruch. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

– To jest to... urządzenie? – zapytał Marcus. – Myślałem, że będzie większe.

– Właściwie nie jest strasznie skomplikowane – rzekł White. – Nie bardziej niż zwykła lampa naftowa z lustrem skupiającym światło. O ile wiem, czegoś podobnego używają w teatrze. Przysłona jest precyzyjnie wyważona, tak więc można nią poruszać dość szybko, ale to tylko zwykły mechanizm. Naprawdę genialny jest system szyfrowania.

– W nich? – spytał Marcus, wskazując księgi.

– Tak, panie pułkowniku. Oczywiście pomysł nie jest nowy. Ognie sygnałowe były używane od starożytności. Jednak system Janusa pozwala nam przekazywać wiele informacji bardzo szybko, jeśli obie strony korzystają z tego samego schematu.

Marcus stłumił uśmiech. Najwyraźniej wszyscy, nawet zwykli szeregowcy, mieli zwyczaj mówić „Janus” lub „generał”, nigdy nie używając oficjalnego tytułu „generał Vhalnich” czy „hrabia Mieran”.

– Jak szybkie jest to urządzenie? – zapytał.

– Możemy wysłać sto dwadzieścia znaków w pięć minut – oznajmił z dumą White. – Przy dobrej pogodzie wiadomości mkną z prędkością bliską stu mil na godzinę.

Marcus spróbował to sobie wyobrazić. Przez szparę w okiennicach widział wzgórze na północ od Vordanu, wiele mil dalej. Na szczycie któregoś z nich był drugi zespół ludzi z takim samym urządzeniem jak to. Gdy zapadnie noc, będą czekali na odległe błyski przesyłanej wiadomości, a potem w szaleńczym tempie przekażą ją na następne wzgórze. Kolejni ludzie będą wysyłać ją dalej i dalej, aż dotrze do armii Wschód, znajdującej się ponad czterysta mil stąd. Wiadomość dojdzie tam i jeszcze tej nocy przyjdzie odpowiedź, której przywiezienie konnemu posłańcowi zabrałoby kilka dni podróży.

Było to niepewne połączenie. Mogło zostać przerwane z uwagi na mglistą noc, deszcz, a nawet działania wroga. Przekazywane wiadomości musiały być zwarte i często niejasne. Lecz i tak był to ogromny postęp i dlatego Janus starał się utrzymać to w tajemnicy. Marcus wiedział, że na pomysł takiego urządzenia wpadli khandarscy Desoltajowie, których wiadomości Janus odszyfrował i zwabił nomadów w śmiertelną pułapkę. Generał lubił wykorzystywać dobre pomysły, niezależnie od ich pochodzenia.

– Bardzo dobrze, poruczniku White – powiedział Marcus, wyczuwając, że młodzian czeka na pochwałę. White wyraźnie napęczniał z dumy. – Naprawdę bardzo dobrze. A teraz... powiedziano mi, że ma pan coś dla mnie?

– Och! Tak, panie pułkowniku. Proszę. – Wręczył Marcusowi skrawek papieru. – To rozszerzona wersja. Nawet w zaszyfrowanych wiadomościach używamy wielu skrótów kryptonimów, żeby maksymalnie skrócić przekaz.

Marcus skinął głową. Napisana równym i wprawnym charakterem pisma wiadomość głosiła:

Marcusie

Twoja wczorajsza wiadomość doszła. Zagrożenie R. bardzo niepokojące, istotnie M. jest prawdopodobnym podejrzanym. Aprobuję jej plan. Pomóż R. zdobyć dowód, udziel jej wszelkiej możliwej pomocy. Ufaj jej osądowi. Informuj mnie na bieżąco.

Piwnica melduje o możliwym dodatkowym zagrożeniu. Wydałem polecenia, żeby cię wprowadzono. Bądź czujny.

Tu sprawy posuwają się zadowalająco. Zamierzam zdobyć Antovę przed końcem jesieni, zabezpieczyć naszą pozycję i wrócić do stolicy. Czekaj na rozwój wypadków.

Janus

Cóż, pomyślał Marcus, oto odpowiedź na jedno pytanie. Nie miał pojęcia jak według Janusa ma „zdobyć dowód” – bo choć przez krótki czas był Strażnikiem, nie umiał prowadzić dochodzeń. Może Raesinia ma jakiś pomysł. Jeśli generał był niezadowolony z tego, że królowa Vordanu bawi się w prywatnego detektywa, to nie napisał o tym w depeszy.

Dla wojskowego umysłu Marcusa bardziej niepokojący był ostatni wiersz. Janus zamierza zdobyć Antovę? To była silna forteca w dolinie Velt, wzniesiona tam, gdzie rzeka przepływała niecałe pięćdziesiąt mil od głównych górskich przełęczy, przez które wiodły drogi do Vordanu. Żadna armia nie mogła przez nie przejść i zostawić na tyłach tę fortecę i jej garnizon. Jej kształt wielkiej siedmioramiennej gwiazdy był dobrze znany każdemu absolwentowi szkoły wojskowej; była arcydziełem wielkiego hamveltajskiego inżyniera Dreiroede’a, a jej plany zamieszczano we wszystkich podręcznikach wojskowych jako przykład nowoczesnych fortyfikacji. Miała taką reputację, że nigdy nie była nawet oblegana, nie mówiąc już o zdobyciu.

A Janus spokojnie mówi, że zdobędzie ją do końca jesieni? Marcus pokręcił głową. Prawidłowe oblężenie z kopaniem szanćów, rozmieszczaniem baterii i wszystkim innym zajęłoby miesiące i ciągnęłoby się przez całą zimę, przy czym armia znajdowałaby się na końcu długiej i podatnej na ataki linii dostaw. Chyba nie mówi poważnie, no nie?

Jednak z Janusem nie można było się spierać, a już na pewno nie za pomocą pstrykacza. Marcus westchnął i chciał schować wiadomość do kieszeni, ale porucznik White powstrzymał go znaczącym kaszlnięciem.

– Przepraszam, panie pułkowniku – powiedział. – Nasze polecenia są wyraźne. Ta wiadomość nie może opuścić tego pokoju i wszystkie jej kopie mają zostać zniszczone, kiedy ją pan przeczyta.

– Ach. Oczywiście.

Marcus oddał kartkę White’owi, który umieścił ją na stosiku innych i zaniósł do małego metalowego kosza, już do połowy pełnego popiołu. Odrobina nafty, zapalona zapalka i wiadomość pochłonęły tańczące płomienie.

– Dziękuję, panie pułkowniku – rzekł White. – Miło było w końcu pana poznać. Jeśli interesują pana szczegóły naszej pracy, mogę je przedstawić w ogólnym zarysie...

– Nie trzeba – pospiesznie powiedział Marcus. White wyglądał na takiego, który chętnie

zgałębi się w męczące szczegóły. – Dziękuję za odpowiedzi na moje pytania. – Zwrócił się do Giforte'a. – W wiadomości było coś o Piwnicy.

– Ach – odparł z niewyraźną miną Giforte. – Tak nazywamy... cóż, Piwnicę. Pokażę panu. Proszę za mną.

– Skąd się wzięli White i pozostali? – spytał Marcus, gdy schodzili krętymi schodami z wieży.

– Większość to ochotnicy – odparł Giforte. – Znam tylko ich wersję, ale najwyraźniej generał miał swoich ludzi, którzy szukali odpowiednich kandydatów wśród nowych rekrutów. Nigdy nie za dużo chłopaków umiejących czytać i pisać. Ponadto wziął kilku z marynarki, sygnalistów i tym podobnych.

Marcus skinął głową. Rewolucja oraz wybuch wojny wzbudziły falę patriotyzmu w narodzie i chociaż arystokraci mogli być niezadowoleni z nowego ładu, zwykli ludzie masowo się zgłaszali, aby bronić Vordanu przed jego wrogami. Niestety, Vordan potrzebował nie tylko żołnierzy – bez muszkietów, szkolenia i dowódców byli oni tylko gębami do wyżywienia. Bogu dzięki za muruskajską opieszałość. Miasta Ligi, mające zawodowe wojska, szybko je zmobilizowały, ale imperialny Murnsk słynął z tego, że działa z szybkością płynącego lodowca. Minie jeszcze rok, zanim Vordan będzie musiał stawić czoło nieprzeliczonym hordom wysłanym na rozkaz cesarza.

– Słyszałem – rzekł Giforte – że jego ludzie szukali także rekrutów do Piwnicy. Chociaż nie mam pojęcia, według jakich kryteriów.

Zaprowadził Marcusa na parter i do kuchni, gdzie niskie przejście prowadziło jeszcze niżej. Stali przy nim dwaj uzbrojeni wartownicy, którzy zaszalutowali nadchodzącym oficerom. Schody za przejściem były wykute w litej skale i oświetlone świecami umieszczonymi w niszach pokrytych stopionym woskiem. Wiodły co najmniej pięć metrów niżej, po czym przechodziły w krótki tunel.

– Dawniej była to piwnica na wino – wyjaśnił Giforte. – Poprzedni właściciel musiał mieć sporą kolekcję.

Tunel kończył się drewnianymi drzwiami, pokrytymi ziemią i kurzem. Giforte zapukał dwukrotnie.

– Tak? – zapytał z drugiej strony kobiecy głos, dziwnie niewyraźny.

– Tu kapitan Giforte. Przyproceedziłem pułkownika d'Ivoire'a.

Rozległ się cichy szcęk i drzwi otworzyły się do środka. Stojąca za nimi kobieta była nieledwie nastolatką w ciemnej todzie, która sięgała jej do kostek i luźno zwisała wokół przegubów. Szata miała kaptur, lecz kobieta zsunęła go z głowy, a jej widoczna w blasku świec twarz budziła niepokój. Była okrągła i miła, nawet piękna, lecz jej prawa połowa była obwisła i nieruchoma jak u trupa. Prawe oko było zasnutę bielmem i nawet jej ciemnoblonde włosy na prawej skroni zaczynały przybierać mlecznobiały kolor.

– Kapitanie – powiedziała, kłaniając się. – Pułkowniku. Witajcie. Jestem Auriana Daatifica.

Gdy mówiła, prawa połowa jej ust się nie poruszała, w wyniku czego lekko sepleniała.

Marcus nerwowo skinął głową, starając się nie gapić.

– Powiedziano mi, że macie dla mnie wiadomość.

– Oczekiwaliśmy pana. – Auriana odsunęła się od drzwi i skinęła dłonią. – Proszę wejść. Kapitanie, muszę pana prosić, żeby pozostał pan tutaj.

– Oczywiście – z widoczną ulgą powiedział Giforte. – Zobaczymy się na górze, panie pułkowniku.

Gdy Marcus przeszedł przez próg, Auriana zamknęła i zaryglowała za nim drzwi. Znajdowali się w niewielkiej komnacie o nagich kamiennych ścianach, również oświetlonej blaskiem świec. Auriana poprowadziła gościa przez kolejne łukowato sklepione przejście, idąc wolnym i posuwistym krokiem, który nie zdołał ukryć jej lekkiego utykania.

– Był pan w Khandarze z naszą panią, prawda? – zapytała Auriana.

– Byłem tam z wojskami kolonialnymi, owszem – ostrożnie odparł Marcus.

– Mówiła nam o panu. Walczył pan, żeby zdobyć dla nas nasze święte pisma.

– Nie wiem, czy rozumiem.

– Tutaj – powiedziała Auriana.

Szli długą galerią z licznymi łukowato sklepionymi przejściami po obu stronach. Auriana wskazała jedno z nich po lewej i Marcus zajrzał do środka. W niewielkim pomieszczeniu paliło się parę świec, a o przeciwległą ścianę stała oparta masywna stalowa tablica.

Zaparło mu dech. Kiedy ostatnio widział jedną z tych tablic, były ukryte w koszarnej świątyni skrytej we wnętrzu góry na Wielkiej Desol, dwa tysiące mil stąd i jakby w innym życiu. Migotliwy blask oświetlający głęboko wyryte na ich powierzchni runy przywołał wspomnienia dymu i ognia, trupów o pałających zielonych oczach, człapiących w ciemnościach, żeby szarpać i gryźć, magii zgrzytającej jak ostrze noża po szkłe i rozbijającej kamienne bloki na kawałki. O tym, jak wziął na muszkę muszkietu Jen, piękną i straszną, spowitą czarnoksiężską mocą, i ściągnął spust.

Co nie było warte funta kłaków. Kule z muszkietu nie robiły na niej większego wrażenia niż ukąszenia komarów. Przeżyli dzięki Ihernglassowi, który jakimś cudem zaczerpnął moc z tych tablic. One były skarbem, po który Janus przybył do Khandaru, jego drugą tajną bronią. Tysiąc Imion.

Marcus wiedział, że one są gdzieś w stolicy, ale starał się o tym nie pamiętać. Zdecydował, że jego żołd, choćby nie wiedzieć jak wysoki, nie opłaca walki z demonami i czarami. Zostawmy takie rzeczy Janusowi.

Janus jednak walczył z Ligą, a Imiona znajdowały się tutaj, w Vordanie.

– Byłem tam – rzekł Marcus. – Jednak wolałbym o tym nie mówić.

– Jak pan chce – powiedziała Auriana. – Proszę za mną. Pani czeka.

Na drugim końcu galerii było kolejne przejście, zasłonięte kotarą. Weszli teraz do nieco większego pomieszczenia. Tę kamienną komnatę ktoś próbował uczynić wygodniejszą – lampy rzucały jasny i ciepły blask, a dywany zakrywające posadzkę zatrzymywały chłód. Sześć prycz stłoczono pod jedną ze ścian, a pod drugą zestawiono razem dwa przenośne biurka, takie jak to, które Marcus miał w swoim namiocie. Wszędzie były porozrzucane poduszki, piętrząc się w kątach. Na środku pokoju siedziała młoda kobieta z zamkniętymi oczami i założonymi na piersiach rękami, oddychając wolno i miarowo.

– Pani – nieśmiało powiedziała Auriana. – Jest tu pułkownik d'Ivoire.

Młoda kobieta otworzyła oczy. Miała na sobie podobną szatę jak Auriana, tylko szarą, oraz ciemne włosy i szarą skórę Khandarki. Marcus przypomniał sobie, że zostali sobie pospiesznie przedstawieni przed wejściem na statek. Niezgrabnie skłonił się i przywołał nieco zapomniany khandarski.

– Jesteś Feor, zgadza się?

Zwinnie wstała, mówiąc dobrym vordanajskim, chociaż z wyraźnym khandarskim akcentem.

– Zgadza się. Dobrze pana widzieć, pułkowniku d'Ivoire. – Feor skinęła na Aurianę. – Porozmawiam z pułkownikiem w cztery oczy, Auri.

– Tak, pani.

Auriana usiadła na miejscu Feor, z niejakim trudem z powodu sztywnej nogi. Khandarka wzięła Marcusa pod rękę i poprowadziła go z powrotem za kotarę.

– Twój vordanajski znacznie się poprawił – zauważył Marcus.

Kiedy rozmawiali poprzednio, z trudem potrafiła wypowiedzieć zaledwie kilka słów.

– Z konieczności – powiedziała Feor. – Miałam wiele okazji do ćwiczeń.

– Kim są tamte dwie? – Marcus wskazał na kotarę. – Jeśli wolno mi poznać ten sekret.

– Janus uznał, że mogę powiedzieć ci wszystko, co zechcesz wiedzieć – odparła Feor. – Chociaż mam cię nie niepokoić niepotrzebnie. Auri i Justin to moi uczniowie. Jest jeszcze troje innych, chociaż w tym momencie nie tutaj.

– Ach. – Marcus zaniepokoił się. – Uczysz ich... magii?

Feor posłała mu nikły uśmiech.

– Uczę ich tego, czego mogę. Matka wiedziała sto razy więcej, ale nie ma jej tutaj, a potrzeba jest pałaca. Musimy wykorzystać moc Tysiąca Imion, jeśli mamy pokonać abh-naathem.

Tyle Marcus mógł zrozumieć, choć częściowo. Naathem to khandarska nazwa osoby umiejącej posługiwać się magią, czarnoksiężnika; dosłownie „tego, który czyta”. Abh oznaczało coś fałszywego, zdeformowanego lub obrzydliwego.

– Masz na myśli takich jak Jen. Kobieta, z którą walczyliśmy w świątyni.

Agentkę kapłanów Czerni. Nazywała siebie jedną z Przeklętych Penitentów.

Feor skinęła głową.

– Oni wiedzą, że mamy Imiona. Spróbują nas zniszczyć. Ja wierzę, że bogowie przeciwstawili nas im, poddając próbie.

– Zatem uczysz ich na czarodziei?

Ten pomysł wydawał się śmieszny, coś jak z bajki.

– Uczę ich czytać naath z Imion. Muszą nauczyć się znaków, ale co ważniejsze, muszą się przygotować duchowo. Czytanie naath to próba, którą niewielu przechodzi bez uszczerbku.

– Czy właśnie to przytrafiło się Aurianie? Wygląda...

– Tak. Miała szczęście. Inni... go nie mieli.

W oczach Feor kryło się jakieś okropne wspomnienie. Marcus odkaszlnął nerwowo, mając wrażenie, że stanął na skraju bezdennej otchłani.

– Otrzymałem wiadomość – powiedział po chwili. – Jest coś, o czym chciałaś mi powiedzieć.

Feor skinęła głową.

– Każdy naathem wyczuwa obecność innych, jeśli znajdą się dostatecznie blisko, w zależności od siły obu naath. W mieście jest kilka pomniejszych, lecz w ciągu paru ostatnich dni wyczułam coś... większego. To abh-naathem o wielkiej sile. Janus chciał, żeby cię ostrzec.

– Jeden z tych Przeklętych Penitentów?

– Tego nie wiem, ale Janus uważał, że to możliwe. Bardzo mało prawdopodobne, żeby dziki

naathem był tak silny.

– Cudownie – mruknął Marcus. Spotkał już dwoje Przeklętych Penitentów, opętanych przez demony agentów kapłanów Czerni. W pierwszej, Jen Allhundt, kochał się do chwili, gdy próbowała go zabić w podziemnej desoltajskiej świątyni. Drugi, Adam Ionkovo, próbował go nakłonić, żeby zdradził Janusa, nęcąc go wyjawieniem prawdy o tym, co się stało z rodziną Marcusa. Po klęsce Orlanki ten agent wymknął się z zamkniętej i pilnie strzeżonej celi, nie pozostawiając żadnych śladów. – Możesz mi powiedzieć, gdzie jest ten abh-naathem?

– Nie, dopóki nie zbliży się do tego miejsca.

– Co więc mam robić?

– Być ostrożnym – odparła Feor. – I mieć oczy otwarte. Jeśli zauważysz coś niezwykłego, natychmiast mnie zawiadom. – Zastanowiła się. – Nie mam takiej mocy, żeby bezpośrednio zmierzyć się z abh-naathem, ale może będę miała informacje, które w tym pomogą.

Marcus powoli pokiwał głową. To niezbyt krzepiące.

– Dobrze. Dzięki za ostrzeżenie. Jeszcze coś?

– Nie. – Feor zawahała się. – Mogę o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Czy masz jakieś wiadomości o poruczniku Ihernglassie i kapralu Foresterze?

Marcus przypomniał sobie, że to Ihernglass i Forester uratowali Feor podczas khandarskiej kampanii. Ihernglass wrócił szybciej do Vordanu z Janusem i Marcusem, natomiast Feor i Forester zostali z resztą pułku, który przeprowadzono wolniej.

– Wiem, że obaj są na wschodzie z Janusem. Ihernglass stworzył kompanię kobiet, które pomogły bronić miasta, jeśli możesz w to uwierzyć. – Marcus wciąż nie wiedział, czy sam w to wierzy ani dlaczego Janus na to pozwolił. – Myślę, że Forester mu pomagał. Wszyscy pomaszrowali z armią Wschód.

– Byli cali i zdrowi?

– Tak, kiedy ostatnio ich widziałem po bitwie o Midvale. Od tamtego czasu stoczono kilka bitew, o których niewiele wiemy.

Feor poważnie pokiwała głową.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Jeśli będziesz miała więcej informacji o tym abh-naathem lub... – Marcus miał ochotę powiedzieć „innych takich upiornych bzdurach”, ale uznał to za niezbyt dyplomatyczne – poprosił Giforte’a, żeby mnie zawiadomił.

– Tak zrobię. Życzę ci szczęścia, pułkowniku.

– Dziękuję.

Zważywszy na zamiary królowej i tego tajemniczego czarnoksiężnika, Marcus zaczął myśleć, że będzie go potrzebował.

Sfingowany wyjazd królowej z miasta został upozorowany przy minimum zamieszania. Pierwszym krokiem było ogłoszenie, że aby chronić ciągłość linii Orboanów, niechętnie zgodziła się opuścić stolicę i udać do niewymienionego z nazwy, bezpieczniejszego miejsca. Marcus musiał przyznać, że z tej okazji wygłosiła całkiem ładną przemowę, nieco popsutą przez niewielką frekwencję słuchaczy, gdyż obywatele najwyraźniej doszli do wniosku, że zbytne zbliżanie się do osoby królowej jest niebezpieczne. Ci, którzy przyszli z przyzwyczajenia lub poczucia obowiązku, przybyli w towarzystwie ochroniarzy, którzy wraz z

wieloma żołnierzami Gwardii Patriotycznej, grenadierami oraz odzianymi w czerwone mundury mierantajskimi ochotnikami tworzyli istną armię, liczniejszą od grupy cywilnych słuchaczy.

Marcus niechętnie zgodził się, że to przedstawienie jest konieczne, by uspokoić mieszkańców, że królowa istotnie nie zginęła w wybuchu, wbrew plotkom już krążącym po mieście. Dowiódłszy przynajmniej tym, którzy zechcieli się pojawić, że nadal jest w jednym kawałku, Raesinia została sprowadzona z podium do czekającego powozu eskortowanego przez falangę grenadierów na koniach.

Powóz ruszył na północ, ku drodze wiodącej obok Ohnlei i w głąb kraju. Jednak na skraju miasta zatrzymali się, żeby zabrać królewski bagaż i zaopatrzenie na podróż. Służąca w płaszczu z kapturem, niosąc kilka rzeczy osobistych królowej, weszła do ciemnej karety. Wyszła z niej Raesinia, w takim samym stroju. Jej sobowtórowi powiedziano, że ta zamiana jest konieczna ze względów bezpieczeństwa, w razie zasadzki na drodze.

Marcus stał obok Raesinii, patrząc na odjeżdżającą karawanę złożoną z karety, wozów i konnej eskorty. Musiał wciąż sobie przypominać, że stoi przy nim królowa. W zwyczajnym ubraniu wyglądała jak każda ładna dwudziestoletnia dziewczyna, a smukła figura jeszcze ją odmładzała.

– Pułkowniku? – zaczęła, gdy karawana minęła zakręt i znikła im z oczu.

– Tak, Wasza Wysokość?

Raesinia skrzywiła się.

– Na początek przestań tak się do mnie zwracać, inaczej ta maskarada nie potrwa długo.

– Och. – Marcus stropiony postukiwał palcem w rękojeść szabli. – Zatem... moja pani?

– Raesinia – powiedziała. – Mam imię. Raes, jeśli wolisz. Pamiętaj, teraz pracuję u ciebie.

Oficjalnie Raesinia była teraz kurierem na służbie Marcusa, co było wiarygodnym wytłumaczeniem jej obecności w Bliźniaczych Wieżyczkach, gdyby ktoś pytał. Tylko porucznik Uhlan i jego mierantajscy strażnicy znali prawdę.

– Dobrze. – Marcus zgrzytnął zębami. – Raes.

– Coś nie w porządku?

Marcusowi przychodziło na myśl ze sto rzeczy, które były nie w porządku, zaczynając od tego, że kazano mu ochraniać królową Vordanu, gdy ta włóczy się incognito, udając prywatnego detektywa.

– Ja tylko się obawiam, że warunki w Bliźniaczych Wieżyczkach nie odpowiadają tym, do jakich jesteś przyzwyczajona – odparł z wymuszonym uśmiechem.

Raesinia z irytacją machnęła ręką.

– Nieważne. Możemy zaczynać? Mam kilka pomysłów, ale oczywiście chętnie wysłucham każdej twojej propozycji.

Marcus na moment zamknął oczy i wypuścił powietrze z płuc. No dobrze. Takie było to zadanie, ta misja, którą zlecił mu Janus. Marcus mógł tego nie aprobować – na myśl o tym, że osobiście odpowiada za bezpieczeństwo królowej wałęsającej się po mieście, ugiwały się pod nim kolana – ale to bez znaczenia. Ufając ocenie sytuacji Janusa, zaszedłem tak daleko. Za późno, żeby się teraz wycofać.

– Oczywiście, Wasz... Raes – powiedział. – Jestem do twojej dyspozycji. – W zadumie wyjął usta. – I skoro o tym mowa, może mam pomysł, od czego zacząć.

Pięć

Marcus

H ej, pułkowniku!

– Kaznodzieja! – Marcus machnięciem ręki powstrzymał salutującego mu starego znajomego i entuzjastycznie uściskał mu dłoń. – Dzięki za pomoc.

– Drobiazg – rzekł Kaznodzieja. Był łysawym, żylastym mężczyzną o skórze upstrzonej starymi oparzeniami od prochu. – Bóg i generał obdarzyli mnie tym oddziałem półgłówek i jestem rad, mogąc zrobić z nich jakiś użytek.

Rzeczony półgłówek, stojące równym szeregiem za Kaznodzieją, zniosły tę zniewagę bez szemrania. Niektórzy z nich mieli regulaminowe wojskowe mundury, ale większość nosiła tylko niebieskie bluzy do cywilnych ciuchów, jak większość ochotników. Ich twarze o delikatnych rysach zdradzały dobre urodzenie i miały poważny wyraz. Ku zdziwieniu Marcusa była wśród nich młoda kobieta w dobrze skrojonym mundurze i z włosami upiętymi w ciasny kok.

Niebo było czyste i jesienne słońce grzało kamienne płyty placu Triumfu Farusa. Gwardia Patriotyczna była wszędzie, patrolując szóstkami okolicę lub strzegąc złowrogiego kształtu metalowego Kolca. Wynalazek profesora doktora Sartona był ostatnio bardzo często wykorzystywany. Niemal codziennie gazetki donosiły o zdemaskowaniu kolejnych zdrajców i wykryciu siatek szpiegowskich. Trybuny rozbudowano od czasu zamachu na królową; najwyraźniej nowa metoda egzekucji była popularnym widowiskiem.

Oddział Kaznodziei zdążył już rozebrać drewniane podium, na którym stała królewska loża, odsłaniając płytki krater po wybuchu bomby, otoczony kręgiem popękanych płyt bruku. Na znak dowódcy studenci całkiem znośnie zasalutowali Marcusowi i wrócili do mierzenia terenu metrówkami i sporządzania notatek.

– Byłem zdziwiony, słysząc, że jeszcze jesteś w mieście – rzekł Kaznodzieja. – Myślałem, że będzie chciał mieć cię przy sobie, gdy ołów zacznie latać w powietrzu.

– Szczerze mówiąc, sam się trochę dziwię, że tu jestem – przyznał Marcus. – Ale on mówi, że musi mieć w stolicy kogoś, komu może ufać i kto będzie miał wszystko na oku.

– Bo trzeba mieć na nich oko, to fakt – rzekł Kaznodzieja, obrzucając niechętnym spojrzeniem najbliższy patrol Gwardii Patriotycznej. – Nigdy nie widziałem takiej bandy bezużytecznych darmozjadów.

– Głośne wyrażanie takich opinii staje się niezdrowe – zauważył Marcus. Wśród ostatnich ofiar Kolca było kilka osób, których jedynym przestępstwem było „osłabianie zaufania i entuzjazmu dla rządu oraz wojny”.

Kaznodzieja splunął na bruk.

– Jeśli im się nie podobam, mogą napisać zażalenie. Odpowiadam tylko przed Bogiem i generałem Vhalnicem.

– Jestem zdziwiony – powiedział Marcus, chcąc zmienić temat – że ty nie jesteś w polu.

Trudno to było poznać pod tą gęstą brodą, ale wyglądało na to, że Kaznodzieja się zarumienił.

– No cóż. Robię się za stary na takie rzeczy, wiesz? Dotrzymywanie kroku chłopakom w Khandarze prawie mnie wykończyło. – Pokręcił głową. – Ponadto, choć są sługusami Kościoła Zaprzysiężenia, ci z Ligi wierzą w Karisa i jego zbawienie. Nigdy mi się nie podobało zabijanie braci w wierze za to, przed kim klękają. Właśnie dlatego wyłądownąłem w Khandarze, wiesz. Po to, żeby strzelać z moich dział do prawdziwych pogan.

– A zatem wciąż szkolisz nowe kadry na uniwersytecie?

– Na ile to możliwe z tą zgrają nieporadnych bezmózgowców. Z bożą pomocą może zdołam wbić im do tych pustych łbów kilka prawd o strzelaniu z dział, zanim wyślą ich na wojnę. – Odwrócił się do badających miejsce wybuchu studentów i podniósł głos. – Johannes! Masz już dla mnie odpowiedź?

Chuderlawy młodzian, jeszcze gołowąs, zerwał się na równe nogi.

– Tak jest, kapitanie!

– Pokaż mi.

Johannes podszedł, nerwowo zerkając na Marcusa, i wręczył swój notatnik Kaznodziei. Kapitan artylerii rzucił okiem na kolumny cyfr.

– Gdzieś zgubiłeś dziesięć – zauważył – ale nie sądzę, żeby to miało znaczenie. Tu jest ilość prochu, jaka twoim zdaniem jest potrzebna do wywołania tak silnej eksplozji, tak?

– Tak jest, panie kapitanie – odparł Johannes, wyprężony na baczność jak struna. – Sądząc po promieniu, w jakim wybuch połamał płyty chodnikowe, i odległości od...

– Tak, tak. A jak dużą objętość zajmowała taka ilość prochu?

Johannes zrobił zęza, obliczając w myślach.

– Gdyby po prostu usypać kopczyk? W przybliżeniu byłby to stożek. Z wzoru na objętość możemy wyliczyć...

– Nie łapiesz. Bóg wie, że nie jestem tym zdziwiony. Pułkowniku, jak duża była królewska łoża?

– Jakieś trzy metry na trzy – odparł Marcus.

– A jaki był prześwit pod spodem?

– Nieduży. Mniej niż trzydzieści centymetrów.

Kaznodzieja spojrział na Johanna.

– Zmieściłoby się tam tyle czarnego prochu?

Chłopak zamruął.

– Ee... nie, panie kapitanie. W żadnym razie. Jednak jestem pewny, że moje obliczenia nie były aż tak niedokładne...

– Co oznacza – rzekł Kaznodzieja – że nie mamy do czynienia ze zwyczajnym czarnym prochem. Co powinieneś wiedzieć od początku, gdyż bez skomplikowanego zapalnika nie można zdetonować całej dużej sterty prochu. Część zostanie rozrzucona wokół, rozumiesz? – Widząc minę Johanna, westchnął. – Nie rozumiesz. Boże, miej nas w opiece.

– Co więc się stało? – spytał Marcus. Zaczynał współczuć Johannesowi. – Bo coś tu eksplodowało.

– Słyszałeś kiedyś o prochu błyskowym? – zapytał Kaznodzieja, odwracając się plecami do nieszczęsnego studenta. – Magicy używają go czasem w niewielkich ilościach. Zasadniczo jest to zwyczajny czarny proch, ale zmielony znacznie drobniej, tak więc spala się szybciej i energiczniej. Nie nadaje się do dział czy muszkietów, ponieważ rozrywa lufy. Za to jest dobry

do wysadzania, jeśli cię na niego stać.

– Nie wiem, czy nadażam – rzekł Marcus.

– Proch błyskowy jest drogi. I niebezpieczny w produkcji... im drobniej mielisz proch, tym większe ryzyko spowodowania przypadkowej eksplozji, wiesz? I jak już powiedziałem, nie jest specjalnie przydatny. Zazwyczaj czarny zupełnie wystarcza, żeby zrobić co trzeba. – Kaznodzieja popatrzył na krater. – Chyba że musisz podłożyć dużą bombę w jakiejś niewielkiej przestrzeni.

– Zatem właśnie tego prochu użyto?

– Na pewno. I to sporo. – Kaznodzieja pokręcił głową. – Nie chciałbym znaleźć się w pobliżu miejsca eksplozji. Bogu dzięki, że Jej Wysokości tam nie było.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – mruknął Marcus. – No dobrze. Proch błyskowy. Masz jakiś pomysł, skąd mogli go wziąć?

– Mogę ci powiedzieć, że z niezbyt daleka. On nie znosi podróży. Nawet odrobina wilgoci może go zepsuć.

– To już coś. – Prawdę mówiąc, było lepiej, niż Marcus oczekiwał. Miał nadzieję, że Kaznodzieja powie mu coś o bombie, ale nie liczył na tak dużo. Wszystko, co Marcus wiedział o prochu, to że jest pakowany w kartonowe naboje. – Może wytropimy źródło.

Kaznodzieja skinął głową.

– Życzę szczęścia. Moi chłopcy i ja jesteśmy do twojej dyspozycji, gdybyś czegoś potrzebował.

Marcus spojrział na krzątających się studentów. Ci chłopcy – i ta dziewczyna – byli młodzi, niedoświadczeni i pełni zapału. Po kilku kolejnych tygodniach szkolenia u Kaznodziei zostaną wysłani do Janusa, który rzuci ich w ogień bitwy. Potem...

– Ja tobie też życzę szczęścia – powiedział cicho i odwrócił się.

Wrócił pieszo do Bliźniaczych Wieżyczek, przez most Świętego Dromina. Stolica Vordanu zmieniała się w oczach, a jedną z wyraźnych oznak tej przemiany była niemal zupełna nieobecność powozów na ulicach. Wojsko miało nienasycone zapotrzebowanie na konie, zarówno wierzchowce dla nielicznej vordanajskiej kawalerii, jak i zwierzęta pociągowe oprócz osłów i mułów. Ministerstwo Wojny przetrząsało miasto w poszukiwaniu tych zwierząt i te, które pozostały, sprzedawano dziesięciokrotnie drożej niż uprzednio.

W stajniach Bliźniaczych Wieżyczek były jeszcze dwa konie oraz mały powóz, ale każdy pojazd budził teraz ciekawość, a Marcus wolał nie zwracać na siebie uwagi. Te powozy, które widział, były ciągnięte przez zaprzęgi chorowitych zwierząt i przewoziły ludzi noszących niebiesko-czarne szarfy Gwardii Patriotycznej. Z turkotem przejeżdżały tam i z powrotem między katedrą, w której obradował Zjazd Generalny, a hotelem Ancerre, gdzie miał kwaterę Dyrektoriat.

Inne skutki wojny były mniej widoczne. Cena dwukilogramowego bochenka chleba, będącego podstawą wyżywienia ubogiej klasy pracującej, spadła po rewolucji, ale nigdy nie aż do jednego suwerena, co obiecywał Danton, a od wybuchu wojny zaczęła systematycznie rosnać. Ubrojeni strażnicy znów stali przed piekarniami, chroniąc właścicieli przed głodnymi klientami. Ceny innych produktów nieustannie się zmieniały, z katastrofalnym skutkiem: kawa praktycznie znikła ze sklepów, natomiast magazyny były pełne stert serów i bel materiałów, których nikt nie chciał kupować.

Wszystko to było wynikiem blokady; Marcus nie był ekspertem, ale tyle wiedział. Szlaki handlowe na północ i na wschód, biegnące przez tereny Murnska i Ligi, były oczywiście zamknięte. Po wypowiedzeniu wojny potężna borelgajska flota rzuciła kotwice i zablokowała vordanajskie porty od Nordart po Essyle. Każdy vordanajski kupiec, który chciał przewieźć swoje towary na jakiś zagraniczny rynek, ryzykował, że jego statek zostanie zatopiony przez ich okręt liniowy, tak więc ładunki przewoziły tylko statki o czarnych żaglach, pływające nocą. Plotki głosiły, że fortuny zbijali okrutni ludzie ryzykujący więzienie lub śmierć, żeby sprzedać swoje towary po cenach stukrotnie wyższych, niż naprawdę były warte.

Na północnym krańcu placu, przy moście, otworzył stragan sprzedawca ulotek. Jego stół był pokryty cienkimi kartkami papieru przyciśniętymi kamieniami, żeby nie porwał ich wiatr. Ulotki też się zmieniały. Zamiast znajomych karykatur będących znakami firmowymi – Wisielca czy Pijaka – każda ulotka miała w lewym górnym rogu różnokolorowe plamki atramentu dla ułatwienia identyfikacji. Dwie czarne plamki oznaczały, że autor opowiada się za konserwatystami, którzy zdominowali Dyrektoriat, natomiast oszałamiająca gama kolorów wskazywała na sympatyków stu innych frakcji, do jakich należeli radykałowie. Inne kombinacje oznaczały rozmaite odłamy, o których Marcus nigdy nie słyszał i które mogły się połączyć lub rozpaść, zanim ich manifesty wyszły z drukarni.

Historyjki obrazkowe cieszyły się popularnością, jak zwykle. Marcus przystanął, by obejrzeć jedną, oznaczoną niebieskimi i czarnymi kropkami. Przewodniczący Dyrektoriatu Maurisk, karykaturalnie chudy jak kościotrup, przywiązywał grubasa w katowskim kapturze do metalowego stołu Kolca. „Przykro mi” – mówił – „ale jesteś już niepotrzebny”. Otaczały go setki nagrobków, których zwąły wznosiły się ku niebu niczym poszarpane górskie szczyty. Podpis głosił: ZAKŁUWSZY RESZTĘ VORDANU, PRZEWODNICZĄCY POZBYWA SIĘ KATA.

Nieco dalej, gdzie tęcza barw zmieniała się w ponurą czerń i biel, inny rysunek ukazywał potężnie zbudowanego Mauriska z mieczami w dłoniach, mierzącego groźnym wzrokiem pelzające u jego stóp karykatury Borelgaja, Hamveltajczyka i cesarza Murnska oraz jeszcze jedną postać, której Marcus nie rozpoznał. Za nim stała dziewczyna w na pół zdartej sukni – nic tak jak drewniane sutki nie podnosi sprzedaży – z napisem VORDAN. Podpis głosił: NIE BĘDZIECIE JEJ JUŻ WYKORZYSTYWAĆ, HULTAJE! Płacząca dziewczyna kryła twarz w dłoniach, ale Marcus pomyślał, że miała być trochę podobna do Raesinii.

Sprzedawca tych pamfletów, grubas o cienkich brwiach i łysej głowie z brązowymi plamami, zauważył groźną minę Marcusa i obronnym gestem podniósł rękę.

– Ja tylko je sprzedaję, panie oficerze – powiedział. – Nie odpowiadam za treść.

– Kto to jest? – spytał Marcus, stukając palcem w czwartą postać: wysokiego mężczyznę z haczykowatym nosem, przypominającego jakiegoś ptaka.

Sprzedawca rozejrzał się na boki i wzruszył ramionami.

– Miał to być Durenne, minister wojny. Niewielkie podobieństwo, gdyby mnie kto pytał.

– Niewielkie – orzekł Marcus. Zmarszczył brwi. – Co zrobił, że tak rozwścieczył konserwatystów?

– Jest kimś w rodzaju przywódcy radykałów i członkiem Dyrektoriatu. Niektórzy mówią, że jest szpiegiem Borel, Kościoła Zaprzysiężenia lub kogoś tam. – Mężczyzna znów wzruszył ramionami. – Jak powiedziałem, ja tylko je sprzedaję. Chce pan jedną?

Marcus dał sprzedawcy parę drobniaków, ale zostawił ulotkę na stoliku. W szkole wojskowej, do której chodził, oczywiście było dużo polityki, lecz po wygnaniu do Khandaru jego życie było na szczęście od niej wolne. Oddziały kolonialne nigdy nie przyciągały nikogo ambitnego, a ich stosunki z Khandarczykami były brutalnie proste, przynajmniej do czasu powstania Odkupicieli.

Teraz jednak polityka w stolicy Vordanu wspięła się na nowy i śmiertelny pułap, a Janus rzucił go w sam jej środek, na co Marcus zupełnie nie był przygotowany. Kaznodzieja ma rację. Powiniennem być w polu. Tutaj czuł się uwięziony i bezużyteczny. Czy Janus nie ma kogoś lepiej nadającego się do tego ode mnie?

Może po prostu chce mnie trzymać na uboczu. Z tą smętną myślą skierował kroki na most.

Kiepski humor nie opuścił Marcusa do przybycia do Bliźniaczych Wieżyczek. Mruknięciem skwitował salut mierantajskiego wartownika i wmaszerował do wielkiej jadalni, gdzie sprowadzona przez Janusa służba wydawała proste, lecz obfite posiłki dla garnizonu. Było trochę za późno na lunch, ale zawsze coś zostawało.

Zazwyczaj o tej porze sala była pusta – mierantajska służba była bardzo punktualna – lecz dziś Marcus zastał u końca wielkiego stołu królową Vordanu, ubraną w chłopięcy strój złożony z lnianej kamizelki i spodni. Opróżniała talerz jajecznicy na kielbasie, przeglądając przy tym stosik ulotek i gazetek.

– Marcusie! – powiedziała, przełknąwszy pospiesznie. – Szukałam cię.

Zaklął w duchu.

– Przepraszam, Wasz... Raes. – Karciała go za każdym razem, kiedy ją tytułował. – Powiniennem zostawić wiadomość, dokąd idę.

Raesinia zbyła to machnięciem ręki. Pokazała mu gazetkę, która – ku zgrozie Marcusa – zamieściła ten sam rysunek, który widział wcześniej, z Mauriskiem broniącym płaczącego Vordanu.

– Czy to mam być ja, jak sądzisz? – spytała.

Marcus zachował kamienną twarz.

– Naprawdę nie potrafię powiedzieć.

– Myślę, że tak. Włosy są prawie takie same. – Zmarszczyła brwi. – Jednak podobieństwo jest niewielkie. Nie mam takich... bujnych kształtów.

Marcus musiał przyznać, że twórca drzeworytu z artystyczną swobodą ukazał kobiece atrybuty Raesinii. Potrząsnął głową, starając się odegnać swawolne myśli.

– Skąd to masz? – zapytał.

– Och, posłałam po nie jednego ze strażników – odparła Raesinia. – Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Pomyślałam, że nie powinnam chodzić po mieście sama. Sothe zwykle towarzyszy mi każdego ranka, ale najwyraźniej nie ma jej tutaj.

– Naprawdę nie powinnaś przejmować się takimi brudami – rzekł Marcus. – Ja...

Raesinia parsknęła śmiechem, ale zaraz zauważyła jego minę i zmarszczyła brwi.

– Mówisz poważnie? – Pokazała stosik ulotek. – A jak inaczej mam się dowiedzieć, co się dzieje?

– Nie sądzę, żeby te piśmidła dawały wiarygodny obraz wydarzeń w stolicy – wycedził Marcus.

– Dowiaduję się z nich, co ludzie mówią o wydarzeniach w stolicy – rzekła Raesinia. – To

jeszcze lepsze. – Pokręciła głową, gdy nie zmienił poważnej miny. – Podejdz tu i usiądź, dobrze? I weź coś do jedzenia, jeśli jesteś głodny.

Czując się jak na paradzie, obserwowany przez wszystkich wyższych oficerów szkoły, Marcus podszedł do bufetu na drugim końcu sali. Wojskowe metalowe talerze i tace wyglądały dziwnie przy eleganckich drewnianych meblach proszących się o srebra i wyszukane pasztety zamiast stert smażonych jajek, stosów rostbefów i ciemnego chleba. Marcus nałożył sobie skromną porcję i wrócił do Raesinii. Ku jego zgrozie wysunęła krzesło stojące obok niej i dała mu znak, żeby na nim usiadł.

– Wasz... – Przełknął ślinę. – Nie mógłbym. Chcę powiedzieć, że zamierzałem zabrać to do mojego pokoju. Pomyślałem...

– Naprawdę będziesz musiał do tego przywyknąć – zauważyła Raesinia. – Czy pomogłoby ci, gdybym rozkazała ci, żebyś traktował mnie jak pokojówkę?

Marcus zamrugał.

– Raczej tego nie zrobię – mruknęła Raesinia. – Mogłaby ci pęknąć głowa. Jeśli jednak mam tu być incognito, będziesz musiał trochę się rozluźnić.

– Tak, Wasz... – Marcus zrobił głęboki wdech. – Tak, Raes. Spróbuję.

– Przykro mi – powiedziała, gdy usiadł. – Wiem, że to dla ciebie trudne. Ja przez rok niemal udawałam dziewczynę z gminu. Przywykłam do tego.

Marcus spędził niewiele czasu z Raesinią przed zamachem, ale jej maniery zdecydowanie się zmieniły. Wykonując swoje oficjalne obowiązki jako królowa, wydawała się... może dystyngowana, a nawet trochę smutna. Teraz tryskała humorem jak ktoś, kto zrzucił z ramion ogromny ciężar. W wyniku tego i zmiany stroju trudno było dostrzegać w niej kogoś innego niż tylko śliczną młodą dziewczynę, o inteligentnych oczach ożywionych radością, z jaką przeglądała całodzienny rejestr skandali i diatryb.

Na Boga, przecież ona jest królową Vordanu. To niewłaściwe rozprawiać o jej biuście lub jego braku. Marcus zajął się zawartością swojego talerza. Jedzenie było nawet dobre, chociaż nieco egzotycznie przyprawione. Zapewne mierantajska kuchnia, jeśli takowa istniała. Mieszkańcy gór byli niezmiennie uprzejmi i posłuszni, lecz ich sposób bycia jakoś zniechęcał do pogaduszek.

– A zatem – zaczęła Raesinia, przeglądając następną ulotkę i wyteżając wzrok, żeby odczytać drobny druk na odwrocie – musimy się zastanowić, od czego zacząć śledztwo w sprawie tej podłożonej bomby.

Marcus zastygł z widelcem w połowie drogi do ust. Miał nadzieję, że królowa nie mówi poważnie, że zamierza brać w tym aktywny udział.

– Tak. – Ugryzł kawałek kielbasy i żuł powoli, żeby zyskać na czasie. – Właściwie to sędzę, że wiem, od czego zacząć. Poprosiłem kapitana Vahkersona z nowej szkoły artylerii, żeby obejrzał miejsce wybuchu i sprawdził, czy może mi o nim coś powiedzieć.

– To twój przyjaciel?

Marcus skinął głową.

– Był dowódcą naszej artylerii w Khandarze. Zna się na swoim fachu.

– I znalazł coś przydatnego?

– Tak sędzę. – Marcus powtórzył jej słowa Kaznodziei o prochu błyskowym i dlaczego jego zdaniem właśnie tego materiału wybuchowego użyto. – Mówi, że przewożenie go na znaczną

odległość jest ryzykowne – podsumował – a moim zdaniem obecnie tym bardziej, gdyż wojsko rekwiruje każdą uncję prochu, jaka wpadnie im w ręce. Tak więc, jeśli dojdziemy, gdzie jest magazyn prochu błyskowego, być może wpadniemy na właściwy trop.

– To istotnie możliwe. – Raesinia postukała palcem w stół. – Jak myślisz, ile młynów w pobliżu miasta może produkować taki proch?

– Nie mam pojęcia – przyznał Marcus. Pogratulował sobie, że powstrzymał się od dodania jej tytułu. – Musi jednak być jakiś sposób, żeby się tego dowiedzieć. Zamierzałem zacząć szukać po obiedzie.

– Masz jakiś pomysł, gdzie zacząć?

Marcus miał wrażenie, że powinien zapytać kwatermistrza, lecz ponieważ źródła dostaw prochu dla vordanajskiej armii mogły być objęte tajemnicą państwową, nie wiedział, czy uzyska jakąkolwiek odpowiedź bez bezpośredniej interwencji Janusa. Wzruszył ramionami.

– Niespecjalnie.

– Ja chyba mam – powiedziała z namysłem Raesinia. – Jest ktoś, kogo powinieneś poznać.

Od swojego powrotu do stolicy Marcus spędził tyle czasu, jeżdżąc powozami, że nie do końca zdawał sobie sprawę, jak duże jest to miasto dla pieszego. Zanim przeszli po moście Świętego Dromina na wyspę, a potem przez całą długość Wielkiego Mostu na południowy brzeg, lekko się zasapał. Zbyt wiele czasu w siodle, za mało maszerowania z oddziałami. Najgorsze było to, że żadna z towarzyszących mu osób nie okazywała śladów zmęczenia; mógł się tego spodziewać po dwóch mierantajskich strażnikach, ale Raesinia z łatwością dotrzymywała im kroku, maszerując w swych wielkich i praktycznych, lecz zupełnie niepasujących damie buciorach.

Dotarłszy na południowy brzeg, skręcili w lewo i poszli wzdłuż rzeki przez Nowe Miasto do Starego. Patrząc na wałace się kamienice i gwarne ulice, Marcus był rad, że nalegał na zabranie strażników. Dwaj Mierantajowie zostawili swoje czerwone mundury i karabiny o długich lufach i włożyli cywilne ubrania, ale mieli długie laski i tak jak Marcus, szable przy pasach.

Nowe Miasto było jeszcze rojniejsze niż przed rewolucją. Po wypowiedzeniu wojny ludzie napłynęli do stolicy, głównie znad granicy z Ligą lub miasteczek na wybrzeżu, zagrożonych borelgajskimi napadami. Wielu mężczyzn wchłonęła nowa armia, dając im niebieskie kurtki, stare muszkiety i wysyłając na front, ale tysiące kobiet, dzieci i mężczyzn za starych na piechurów pozostało. Bogaci walczyli o coraz radsze pokoje w gospodach i pensjonatach lub wynajmowali rezydencje szlachciców, którzy uciekli do swych wiejskich posiadłości. Biedni obozowali na ulicach Nowego Miasta.

Grupka Marcusa przyciągała powszechną uwagę, głównie ludzi rozpaczliwie próbujących coś sprzedać i zarobić. Marcusowi proponowano artykuły gospodarstwa domowego, garnki i patelnie, pogięty srebrny kubek i wiele butelek wina. Przybywszy z tym, co zdołali załadować na wozy, uchodźcy usiłowali teraz spieniężyć ten skromny dobytek, żeby kupić żywność. Próbowali także sprzedawać siebie po przygnębiająco niskich cenach; napływ nowych prostytutek najwidoczniej obniżył zarówno ceny, jak i standard, i co kilka kroków Marcus słyszał szokująco bezpośrednie propozycje obszarpanych młodych kobiet. Niektóre z nich były wyraźnie nowicjuszkami w tym zawodzie – wiejskie dziewczyny w postrzępionych koronkach i z przesadnym makijażem. Zauważył jedną, nie więcej niż piętnastoletnią, ze wzrokiem

wbitym w kamienie bruku, gdy obejmujący ją ojciec wysłuchiwał propozycji padających z tłumy. Marcus z trudem odwrócił oczy od tego widoku.

Raesinia też wysłuchiwała licznych propozycji, zwykle wykrzykiwanych z bezpiecznej odległości, z respektu przed uzbrojonymi Mierantajami. Zdawała się je ignorować, ale Marcus wzdragał się na każdy taki lubieżny okrzyk.

– Mogłem przyjść tu sam – powiedział jej do ucha. – Przepraszam.

– Nie, nie mogłeś – rzekła Raesinia. – I widziałam gorsze rzeczy, więc nie musisz przepraszać. Powinieneś widzieć tłum, który szturmował Vendre.

– Widziałem – mruknął Marcus. Choć musiał przyznać, że z okna jego celi niewiele było widać.

– Nic nam nie będzie. Już jest Cięcie.

Granica między Nowym a Starym Miastem, gdzie Farusowi V skończyły się pieniądze na sfinansowanie wspaniałego planu odbudowy stolicy, była wyraźnie widoczna, jak blizna na ciele miasta. Po jednej stronie stały dziesięciokondygnacyjne budynki, a ulice tworzyły równą siatkę; za szeroką aleją Cięcia baraki z bali opierały się chwiejnie jeden o drugi przy krętych uliczkach biegnących tak, jak w średniowieczu krowie ścieżki.

Tutaj nędza miała inny charakter. Ludzie mogli tłoczyć się po dziesięciu w jednym pomieszczeniu, ale nikt nie spał na ulicach. Gdy Marcus był kapitanem Straży, Giforte wyjaśnił mu, że Stare Miasto jest całkowicie opanowane przez gangi równie stare jak monarchia, rządzące swymi terytoriami żelazną pięścią i ostrym nożem. Tych, którzy nie chcieli zaakceptować ich rządów, wypędzano do Nowego Miasta lub na jeszcze gorsze przedmieścia na południu, gdzie rozpościerały się bagna. Tych, co sprawiali kłopoty, znajdowano pływających w rzece.

Prostytucja także była uprawiana za zamkniętymi drzwiami. Przy Cięciu roiło się od burdeli, ale na ulicy nie było widać żadnych dziewczyn. Przy co drugich drzwiach stało paru osiłków wpuszczających do środka rzekę gości. Marcus czuł na sobie spojrzenia wielu par oczu, patrzących uważnie, a nie tylko z ciekawością, jak mieszkańcy Nowego Miasta. Czujki na dachach i w zaułkach meldowały o trasie ich przejścia. Przypomniawszy sobie, że patrole Straży nie zapuszczały się tutaj w liczbie mniejszej niż kilkanaście osób, i pożałował, że nie zabrał więcej strażników.

– Nie widać tu Gwardii Patriotycznej – zauważyła Raesinia. – W Nowym Mieście również.

– A co mielibyśmy robić w Nowym Mieście?

– Utrzymywać spokój.

– Myślę, że ludzie tu wzięli tę sprawę w swoje ręce – odparł ponuro Marcus. – Zresztą tu nigdy nie było spokojnie.

Raesinia rozejrzała się i zmarszczyła brwi. Kierowani przez nią, zeszli z Drogi Nadrzecznej w labirynt uliczek Starego Miasta. Na szczęście cel ich wędrówki był widoczny już z daleka – wznosił się między starymi, pokrytymi gontem budynkami niczym wielki kamienny statek. Był to stary Kościół Zaprzysiężenia, z podwójnym kręgiem z brązu na szczycie wieży. Jednak jego okna – zapewne niegdyś oszklone kolorowymi witrażami tak lubianymi przez wiernych Elizjum – teraz były zabite deskami.

Frontowe drzwi, stare i sfatygowane jak po oblężeniu, były zamknięte. Żelazne litery, płaczące długimi zaciekami rdzy, głosiły, iż jest to Trzeci Kościół Łaski Zbawcy Karisa.

Raesinia uniosła kołatkę, która zaprotestowała piskiem, i uderzyła nią w drzwi tak mocno, jakby chciała je rozbić.

– Pani Felda jest trochę przygłucha – wyjaśniła Marcusowi, gdy się skrzywił.

– Kim jest pani Felda? – Szacunek dla królewskiej osoby walczył w nim z chęcią zrozumienia, co się, do diabła, dzieje.

– Żoną pastora. Ona tu rządzi.

– I wie coś o prochu?

Raesinia roześmiała się.

– Nie sędzę. Muszę jednak przyznać, że nigdy nie pytałam.

– Zatem po co...

Drzwi otworzyły się z przeciągłym zgrzytem zawiasów, ale tylko na tyle, że ukazała się w nich groźnie wyglądająca twarz. Młodzieniec, który najwyraźniej podjął żałośnie nieudaną próbę wyhodowania rzadkich wąsów, był co najmniej o pół głowy wyższy od Marcusa i o wiele szerszy w barach.

– Co tam? – spytał. Zaraz jednak, gdy przyjrzał się gościom, na jego twarzy pojawiła się cała gama różnych uczuć. Radość na widok Raesinii natychmiast zastąpiła czujność wywołana obecnością Marcusa i dwóch uzbrojonych Mierantajów. – Raes? Kto to?

– Przyjaciel – odparła Raesinia. – Przyszliśmy zobaczyć się z Corą.

– No to chyba wszystko w porządku – uznał chłopak z miną człowieka rozwiązującego skomplikowaną zagadkę. – Wchodźcie. – Otworzył drzwi trochę szerzej, a potem obejrzał się przez ramię i ryknął: – Pani Feldo! Jest tu Raes!

– Myślałem – mruknął Marcus, gdy wchodzili do środka – że mamy zachować dyskrecję.

Raesinia wzruszyła ramionami, ale Marcus miał wrażenie, że powstrzymała uśmiech.

Jak większość starych vordanajskich Kościołów Zaprzysiężenia, ten też został w dużym stopniu przebudowany. Większość jego wewnętrznych ścian rozebrano i wielki ołtarz oraz rzędy ławek zastąpiono znacznie skromniejszą częścią świątynną na samym końcu, przy wielkim palenisku i ogromnym stole. Resztę pomieszczenia wypełniały rzędy posłań z zasłonami zapewniającymi namiastkę prywatności.

Wszędzie byli ludzie, śpiący na każdym kawałku wolnej posadzki, stojący wokół stołu i posilający się lub po prostu bezwładnie oparci o ściany. Stadko starszerek pilnowało kilku zawieszonych nad paleniskiem kotłów, z których nalewały do misek jakąś brązową ciecz przypominającą Marcusowi „wojskową zupę” z czasów jego pobytu w Khandarze.

Raesinia spoglądała wokół szeroko otwartymi oczami. Marcus nie wiedział, czego się spodziewała, ale najwyraźniej nie tego. Zanim jednak zdążył ją zapytać, rosła i mocno zbudowana kobieta precyzyjnie się do nich, unosząc skraj długiej czarnej sukni, żeby nie ciągnął się po brudnej posadzce.

– Witaj, Raes! – powiedziała tubalnym głosem, który zagłuszył gwar.

– Witaj, pani Feldo.

– Słyszałam, że nie żyjesz.

– Żyję.

– Bardzo dobrze! – Zamknawszy ten temat, pani Felda spojrzała na Marcusa. – Kto to?

– Nazywa się Marcus – odparła Raesinia. – To mój przyjaciel.

– To mi wystarczy – stwierdziła pani Felda. – A ci dwaj chłopcy?

– Ochrona – rzekł Marcus, czując, że powinien wziąć jakiś udział w tej rozmowie. – Na ulicach nie jest bezpiecznie.

– Dobry Bóg to wie. – Pani Felda westchnęła. – Cora jest na tyłach. Szukajcie stert książ. Poczęstujcie się zupą, jeśli jesteście głodni.

Odeszła, nie czekając na odpowiedź, przywołana przez kogoś z drugiego końca sali.

– Prowadzi tu przytułek? – spytał Marcus.

– Mniej więcej. – Raesinia przyjrzała się sali, zaciskając usta. – Chodź.

– Zostańcie tu – powiedział Marcus do strażników i pospieszył za Raesinią.

Musieli stąpać ostrożnie, gdyż każdy skrawek powierzchni był zajęty i Marcus z trudem się powstrzymywał, by nie przeproszać ludzi za to, że prawie przechodzi po nich. W końcu dotarli w pobliże wielkiego stołu i zobaczyli, że w kącie za nim jest coś, co można było nazwać jedynie forteczką zbudowaną z książ. Dwie wysokie sterty tworzyły mury, a między nimi było wąskie przejście. Wewnątrz paliła się lampa i w jej świetle Marcus zobaczył bladą nastolatkę pochyloną nad kupką papierów.

– Cora? – powiedziała Raesinia, gdy podeszli dostatecznie blisko, żeby nie zagłuszył jej gwar dobiegający z sali. – To ja.

Dziewczyna podniosła głowę. Jej owalna, piegowata twarz nosiła ślady wielu niedospanych nocy, a podkrążone oczy nadawały jej wygląd boksera po ciężkiej walce. Jednak na widok Raesinii rozpromieniła się i skoczyła na równe nogi, jakby była zamocowana na sprężynie.

– Raes!

Podbiegła, kopniakiem odrzucając z drogi kilka książ, po czym wzięła królową w objęcia. Raesinia najwyraźniej nie uważała tego za obrazę majestatu i czule pogładziła krótkie, zjeżone włosy dziewczyny.

– Coro, to jest Marcus.

Cora spojrzała i zamrugwała.

– Pan jest kapitanem d'Ivoire.

Marcus zmarszczył brwi.

– Znamy się?

– Niezupełnie. Siedziałam w Vendre – powiedziała beznamiętnie Cora. – W nocy przed szturmem. Strażnicy bili kobietę, ponieważ nie chciała... ich obsłużyć. Pan przyszedł i ich powstrzymał, a potem odesłał ludzi Konkordatu i zastąpił ich swoimi.

– Och. – Czasem niewyraźne wspomnienia tamtej nocy łączyły się w jedno: ryk tłumu i kałuże krwi na kamiennych schodach twierdzy. – Przykro mi, że musieliśmy was tam trzymać.

– To nie pana wina. To Orlanko kazał nas aresztować. I zapewne uratował pan wiele z nas przed... paskudną nocą. – Cora skłoniła głowę. – Dziękuję.

Marcus odwzajemnił ukłon, czując, że się lekko czerwieni.

– Coro – przerwała im Raesinia ściszym głosem. – Co tu się dzieje?

Cora nagle zrobiła skruszoną minę.

– Nic nowego. Pani Felda...

– Nie opowiadaj mi takich rzeczy. Macie pełną salę Borelgajów i Murnskajów!

Zaskoczony Marcus ponownie rozejrzał się po sali. Zwykle mężczyzn z Borel łatwo można było rozpoznać po długich czarnych brodach i bokobrodach, lecz na sali było tylko kilku mężczyzn. Na ulicy Marcus mógł rozpoznać Borelgajki po płaszczach z futrzanymi

kołnierzami, lecz tutaj wszyscy mieli na sobie brudne i obszarpane łachmany. Pomimo to istotnie zauważył wielu bladych i jasnowłosych mieszkańców północy, a kiedy teraz wsłuchał się w gwar, okazał się on zdecydowanie wielojęzyczny. Było tam sporo Vordanajów, w tym wielu inwalidów lub chorych, ale większość stanowiły kobiety i dzieci. Tworzyły wyraźnie trwożliwe grupki, w których matki trzymały przy sobie swoich synów i córki.

– Nie mają się gdzie podziąć – powiedziała Cora.

– A skąd się tu wzięli? – spytał Marcus. – Nie sądziłem, że w mieście pozostało wielu Borelgajów.

To, co zaczął tłum, dokończyła Gwardia Patriotyczna. Nawet Vordanajowie mający jakichś borelgajskich przodków musieli się tłumaczyć.

– W tym problem – odparła Cora. – Po rewolucji wszyscy borelgajscy kupcy i handlarze opuścili stolicę. Murnskajowie zrobili to samo po wybuchu wojny. Tyle że umykali w pośpiechu i nie trudzili się ewakuacją personelu, który tu sprowadzili.

– A jak ty się w to wplątałaś? – spytała Raesinia.

Cora się zarumieniała.

– Wielu z nich było na mojej liście płac. Zdziwiłabyś się, co można zdziałać na rynku dzięki takim ploteczkom zasłyszczanym od służby. Paru z nich przyszło do mnie po pomoc, a potem... chyba wieść się rozeszła. – Popatrzyła na Raesinię zaczerwieniona, ale dzielna. – Pani Felda powiedziała, że to w porządku. Powiedziała, że powinnam im pomagać.

– Coro... – Raesinia przytuliła dziewczynę, po czym odsunęła się i spojrzała jej poważnie w oczy. – Wiem, że chcesz pomagać ludziom, ale to niebezpieczne. Jeśli dowie się o tym Gwardia Patriotyczna, to wiesz, co powiedzą. Całe gniazdo Borelgajów i Murnskajów?

– Właśnie dlatego nie mogłam ich odprawić! – Cora zniżyła głos. – Nie słyszałaś, co mówią, Raes. To nie tylko Gwardia. Jeśli jesteś Borelgajką i złapią cię na ulicy, każdy może zrobić z tobą, co chce, i teraz, kiedy nie ma już Straży, nikt nie kiwnie palcem w twojej obronie.

Do diabła. Marcus zmarszczył brwi.

– Naprawdę jest tak źle?

Cora skinęła głową.

– Pomimo to nie możecie trzymać wszystkich tutaj – powiedziała Raesinia. – Ktoś to zauważy. Ty i pani Felda możecie zostać przebite Kolcem za udzielanie schronienia wrogom państwa.

– Miałam kilka pomysłów – rzekła Cora. – Mogłybyśmy wywieźć ich z miasta...

– I co potem?

– Tak daleko nie doszłam – odparła Cora. – A co według ciebie mam zrobić? Kazać im się wynieść?

– Ja... – Raesinia popatrzyła na salę i potrząsnęła głową. – Nie, oczywiście, że nie. Miałas rację. Tylko nie wiem, co z tym teraz zrobić.

Marcus odkaslnął.

– Może będę mógł zaproponować pewną pomoc.

Obie młode damy spojrzały na niego ze zdziwieniem, jakby zapomniały, że tam jest.

– Konwoje z zaopatrzeniem dla armii Wschód wyruszają co kilka dni – powiedział. – Może uda mi się załatwić to tak, żeby zabierały stąd tych ludzi.

– Czy żołnierze będą milczeli? – zapytała Cora.
– Będą, jeśli Janus im rozkaże. Porozmawiam z nim o tym. Jednak ewakuacja wszystkich może chwilę potrwać.

– Myślę, że mamy czas – stwierdziła dziewczyna. – Wszyscy wiedzą, że pani Felda prowadzi tu schronisko, więc nikt nie zadaje pytań, kiedy przywożą nam tu żywność. A Gwardia Patriotyczna i tak niemal nigdy nie wchodzi do Starego Miasta.

Raesinia kiwnęła głową.

– To może się udać. Dziękuję, Marcusie. I przepraszam, że na ciebie napadłam, Coro.

– W porządku. – Cora westchnęła i przegarnęła rękami włosy, wicherząc je. – Sama byłam trochę rozgorączkowana. Nie masz pojęcia, co wojna robi z rynkami.

Z rynkami? Marcus posłał Raesinii pytające spojrzenie.

– Cora jest geniuszem we wszystkim, co dotyczy pieniędzy czy handlu – wyjaśniła mu.

– Tego bym nie powiedziała – wtrąciła Cora, mocno się rumieniąc. – Po prostu mam otwarte oczy.

Patrząc na tę rozczochraną nastolatkę, Marcus nie mógł w to uwierzyć.

– Zatem to z nią chciałaś porozmawiać?

– Właśnie – odparła Raesinia. – Prawie zapomniałam. Coro, potrzebujemy twojej pomocy. Ile dużych młynów prochowych znajduje się w niewielkiej odległości od Vordanu, umożliwiającej szybki transport drogą lądową?

– Pięć – bez namysłu odparła Cora. – Di Bartolo na południu, Neffoy na wschód od Wyspy Złodziei, a...

– Ile z nich może produkować proch błyskowy? – spytała Raesinia.

– Proch błyskowy? – powtórzyła zaskoczona.

– To rodzaj bardzo drobno mielonego prochu strzelniczego – wyjaśnił Marcus. – Produkcja wymaga szczególnego wyposażenia.

– Chyba nie ma na to dużego zapotrzebowania – rzekła Cora. – Nie przypominam sobie takiego artykułu. Poczekajcie.

Odwróciła się i zagłębiła w stertę ksiąg, ostrożnie przesuwając je tak, żeby cała konstrukcja się nie zawaliła, gdy wyciągała potrzebny tom. Wszystkie były opasłe, oprawione w skórę i oznakowane jedynie cyframi, które kompletnie nic nie mówiły Marcusowi, choć Corze najwidoczniej były doskonale znane. Po chwili miała już otwarty poszukiwany tom i pośpiesznie go kartkowała.

– Ach – mruknęła. – Mam go. Proch błyskowy. Sprzedawany wyłącznie lokalnie, niewywożony dalej. To trochę dziwne.

– Mówiono mi, że źle znosi transport – wyjaśnił Marcus.

Cora machinalnie kiwnęła głową, przesuwając palcem po kolumnie liczb.

– W zeszłym roku... wygląda na to, że jest parę małych wytwórni produkujących niewielkie ilości.

– To musiała być większa ilość – powiedziała Raesinia.

– Co najmniej kilkadziesiąt kilogramów – potwierdził Marcus. – Może kilkaset.

– Zatem to musi być młyn Halversona. Stoi na północnym brzegu, nieco w górę rzeki. O ile mogę powiedzieć na podstawie tych danych, tylko oni robią większe ilości.

– Czy wiadomo, ile wyprodukowali ostatnio? Albo kto to kupił?

Cora pokręciła głową.

– To zestawienia z ubiegłorocznych ksiąg. Nie są aż tak szczegółowe.

– Zawsze to coś – rzekł Marcus. – Możemy znaleźć właściciela i zapytać go.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zauważyła Raesinia. – Jeśli jest w to zamieszany, po prostu wszystkiego się wyprze, a oni będą wiedzieli, że ich szukamy.

Marcus westchnął. Przez moment znów myślał jak kapitan Straży albo przynajmniej zastępca dowódcy pierwszego korpusu kolonialnego, mający wsparcie pułku muszkietników. Tu i teraz nie miał żadnych oficjalnych uprawnień do prowadzenia śledztwa i wsparcie zaledwie jednej kompanii strzelców. Jeśli Maurisk rzeczywiście był zamieszany w zamach bombowy, to miał tysiące gwardzistów, których mógł nasłać na każdego, oskarżywszy go o zdradę. Jeśli Raesinia traktuje to poważnie, będziemy potrzebowali więcej ludzi. Postanowił po powrocie do Bliźniaczych Wieżyczek napisać do Kaznodziei i zapytać, czy znalazłby kilku godnych zaufania.

– Chodzi o tę bombę na placu Triumfu Farusa, prawda? – zapytała Cora, przerywając mu te rozmyślenia jak wiadrem zimnej wody. – W dniu, gdy zademonstrowali działanie Kolca. Mówiono, że o mało nie zginęłaś.

– Zaczekajcie – rzekł Marcus. – Ona wie, że jesteś królową?

Raesinia skinęła głową.

– Moja dawna... tożsamość oficjalnie zginęła w Vendre. Tylko kilka osób zna prawdę. Cora, Sothe... – Zawahała się. – I Maurisk.

– Przepraszamy na chwilę. – Marcus złapał Raesinię za ramię i odciągnął ją od Cory, po czym syknął: – Nie mówiłaś mi nic o Maurisku.

– Nie wydawało się to istotne – powiedziała Raesinia w sposób świadczący, że doskonale wiedziała, co robi.

– Nieistotne? To, że główny podejrzany o próbę zamachu na ciebie wie, że masz skłonność do włóczenia się incognito, i zna twoją przybraną tożsamość? Równie dobrze mogłabyś namalować sobie tarczę na plecach!

– Tylko jeśli wie, że tu jestem!

Marcus skrzywił się.

– Szybko się dowie, jeśli będzie odwiedzać dawnych przyjaciół.

– Cora jest jedyną przyjaciółką, która mi została – odparła z lekkim smutkiem Raesinia. Złapała rękę Marcusa i z irytacją zdjęła ją ze swojego ramienia. – A poza tym, czy powinieneś tarmosić swoją władczynię?

Marcus spojrział na swoją rękę, jakby stanęła w ogniu, i przełknął ślinę.

– Przepraszam.

Raesinia zbyła jego przeprosiny machnięciem ręki.

– Raczej nie sądzę, by pani Felda lub ludzie tutaj donieśli Gwardii Patriotycznej, że tu byliśmy. I potrzebujemy pomocy Cory.

– Jeśli jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć – warknął Marcus – bądź łaskawa mi o tym powiedzieć.

– Będę o tym pamiętała. – Raesinia wróciła do Cory. – Przepraszam. Tak, chodzi o ten zamach. Tylko że nawet mnie tam nie było. Niestety, inni ludzie tam byli.

– Starasz się odkryć, kto to zrobił? – zapytała Cora.

Raesinia skinęła głową.

– Tak naprawdę chcielibyśmy wiedzieć – rzekł Marcus – kto kupił od Halversona proch błyskowy i co się z nim potem stało.

– Jeśli brali udział w spisku, to raczej tego nie zapisywali – powiedziała Raesinia.

– Coś z pewnością zapisywali – rzekła Cora. – Produkcja prochu jest ściśle kontrolowana przez wojsko. Nie można tak po prostu wynieść kilkuset kilogramów z młyna, nie fałszując ksiąg. Wydajność młyna jest stała. Zakup surowców jest odnotowywany. Z tego można w prosty sposób wyliczyć, ile wyprodukowano.

Raesinia i Marcus spojrzeli na siebie.

Geniusz, tak?

– Gdybyśmy przynieśli ci te księgi – powiedział z namysłem – mogłabyś ustalić, gdzie się podział proch?

– Zapewne.

– A wtedy moglibyśmy ustalić, gdzie zrobiono bombę – rzekł Marcus. – To byłby dobry początek.

– Gdzie są przechowywane takie rejestry? – zapytała Raesinia.

– W głównym biurze giełdy. Jest tam wojskowa placówka zajmująca się dostawami wojennymi.

Twarz Raesinii rozpromienił szeroki uśmiech. Marcus spojrział na nią i na Corę i jęknął w duchu.

Sześć

Winter

Gra zwana „piłką ręczną” miała starożytny rodowód, chociaż nikt nie był pewny jak bardzo. Sięgała co najmniej czasów panowania Farusa Zdobywcy, który podobno dzięki swoim sukcesom na boisku zyskał sojusznika w pewnym krnąbrnym szlachcicu. Według Cyte istniały dowody na to, że jest znacznie starsza i wywodzi się z ceremonialnych turniejów mithradacjańskich Dzieci Słońca tysiące lat przed narodzeniem Karisa.

Jakiegokolwiek było jej pochodzenie, w piłkę ręczną grano od zarania dziejów Vordanu, w różnych formach i pod wieloma nazwami. Nazywano ją „potyczką”, „przepychanką” i zwodniczo „piłką nożną” – nie dlatego, że używano w niej nóg, ale dla odróżnienia od innych popularnych form gry w piłkę prowadzonej z końskich grzbietów. Zawsze były dwie drużyny, twarda skórzana piłka wielkości ludzkiej głowy oraz dwa oddalone od siebie pola do zdobywania punktów, ale takie rzeczy jak liczba graczy, dozwolone sposoby uderzania piłki, wielkość pola gry i zasady użycia broni w ciągu lat ulegały wszelkim możliwym zmianom.

Dorastając, Winter nauczyła się grać w jedną z odmian tej gry, nie według ściśle określonych reguł, lecz niejasnych uzgodnień uczestników. U pani Wilmore gra w piłkę była dozwolona dzieciom do lat jedenastu, a po osiągnięciu tego wieku od dziewcząt oczekiwano ograniczenia się do bardziej kobiecych zajęć, takich jak ogrodnictwo, wyrzucanie gnoju i przygotowywanie się do rodzenia dzieci. Patrząc na stojące na boisku przeciwne drużyny, poczuła nieoczekiwane ukłucie nostalgii; od dawna nie wspominała dobrze pobytu u pani Wilmore, lecz nieliczne głęboko pogrzebane wspomnienia radosnej zabawy w słoneczne letnie popołudnia wypłynęły z podświadomości jak bańki gazu z mułu.

Zgodnie z dość prostymi zasadami tej odmiany gry zespoły mogły składać się z dowolnej liczby grających, byle mniej więcej jednakowej. Piłkę można było łapać, nieść lub rzucać jak pocisk, wedle uznania graczy. Przyciśnięcie piłki do ziemi na polu przeciwnika dawało punkt. Popychanie, łapanie i przewracanie zawodników przeciwnej drużyny było oczywiście dozwolone, choć niechętnie widziano bicie pięściami, kopanie, gryzienie czy skakanie na przeciwnika.

Każdy zespół składał się z przedstawicieli królewskich i Pierwszego Dziewczęcego, po około czterdziestu mężczyzn i kobiet w każdej drużynie, w równych proporcjach. Drużyny, które miały grać, Winter wybierała w drodze losowania, wyciągając karteczki z garnka. Pierwszego dnia często słyhać było narzekania z obu stron. Teraz był już trzeci dzień rozgrywek i wylosowane drużyny wiwatowały, gdy wywołano ich numer.

Kropił deszczyk, wystarczający, aby spowić wszystko lekką mgiełką i zmienić czarną ziemię boiska w gęste błoto. Przywierało ono jak melasa do każdego centymetra ubrania i skóry, zmieniając w istne golemy graczy biegających, ślizgających się, szamoczących i zataczających w tej mazi. Jedna drużyna nosiła niebieskie opaski na głowach, lecz trudno je było dostrzec pod warstwami błota, co utrudniało odróżnienie niebieskich od białych oraz królewskich od ochotników.

Grający jednak stopniowo wypracowywali właściwą taktykę. Pierwsza gra niewiele się różniła od jednej wielkiej bijatyki na środku boiska, wygranej jednym punktem przez białych, ponieważ jakaś dziewczyna zdołała wyrwać się z tłumu z piłką, kiedy wszyscy inni byli zajęci wzajemnym wpychaniem się w błoto. Większość pułku przyszła popatrzeć z ciekawości i zanim Winter zakończyła mecz i wezwała następne drużyny, już słyszała, jak widzowie układają strategie gry.

Dzisiaj zespół niebieskich składał się z dziewcząt z kompanii Abby oraz królewskich Brachta i najwyraźniej miał dobrze przemyślany plan gry. Ich przeciwnik robił co mógł, ale brakowało mu spójnej strategii.

Tłum zgromadzonych wokół boiska mężczyzn i kobiet zaczął wiwatować, gdy grupa niebieskich prowadzona przez postawną kobietę, w której Winter rozpoznała jedną ze Skórzanych Kurtek, przedarł się przez obronę przeciwnika. Najsilniejsi królewscy, popychając i ściskając, poszerzyli lukę, przez którą przebiegło kilku zawodników, głównie kobiet z kompanii Abby. Jedna z nich, długonoga blondynka o włosach teraz całkowicie pokrytych warstwą błota, trzymała piłkę pod pachą i na śliskiej nawierzchni starała się zręcznymi unikami omijać obrońców.

– Nigdy jej się nie uda – orzekła Cyte, fachowym okiem obserwując grę, gdy dziewczyna zwodem uniknęła ataku jakiejś starszej od siebie kobiety. – Nie zdoła wymykać się w nieskończoność.

Winter starała się zachować nieprzeniknioną minę – jako odpowiedzialna za te rozgrywki musiała sprawiać wrażenie bezstronnej – powstrzymując uśmiech. Abby miała dar obierania właściwej taktyki i w tej grze wyraźnie widać było jej wpływ.

Blondynka w końcu została zablokowana przez zawodników przeciwnej drużyny i pośliznęła się w błocie, wpadając na krępego królewskiego, który ruszył na nią z szeroko rozłożonymi rękami. Złapał ją w talii, podniósł i z płasnięciem rzucił na mokrą murawę, lecz kiedy rozejrzał się za piłką, już jej nie było. Rzucona wysoko w górę przez blondynkę, została złapana przez inną kobietę. Zanim biali zdążyli zareagować, zawodniczka niebieskich swobodnie wtargnęła na ich pole i wcisnęła piłkę w błoto.

Wybuchła wrzawa, gdy Winter zadeła w myśliwski róg, który Cyte wycygała od jakiegoś kwatermistrza. Podniosła głos, choć i tak tylko najbliższej stojący słyszeli ją w tym zgiełku.

– Koniec meczu! Trzy do jednego dla niebieskich!

Wszyscy żołnierze, zarówno królewscy, jak i ochotnicy, zaczęli wrzeszczeć do zachrypnięcia lub kłąć, zależnie po czyjej byli stronie. Winter sama zachęcała do obstawiania wyników tych meczów, żeby podtrzymać zainteresowanie widzów. W polu z pieniędzy i tak nie było żadnego pożytku, więc wysokość zakładów stale rosła. Zapewne z rąk do rąk przeszła już mała fortuna i niebiescy będą bohaterami tych, którzy na nich postawili. I vice versa.

– Czas związać obóz – przypomniała Cyte.

Winter skinęła głową i podniosła rękę. Gdy ryk nieco przycichł, zawołała:

– Zawodnicy, umyć się! Wszyscy inni mają zwinąć obóz i przygotować się do wymarszu za godzinę! – W ten sposób tabory zdążą wyruszyć pierwsze. – Wszyscy dobrze graliście!

Kolejny ryk aprobaty. Ubłoceni gracze ruszyli do strumienia, a tuzin sierżantów natychmiast zaczął zaprowadzać porządek, wykrzykując rozkazy. Tłum ruszył w kierunku zintegrowanego obozu, powoli dzieląc się na składowe kompanie i drużyny.

– Wydaje się, że to działa – powiedziała Cyte, kiedy już można było normalnie rozmawiać.
– Na razie – odparła Winter. Po drugiej stronie boiska zauważyła kapitana Sevrana. Uśmiechnął się do niej smętnie i potrząsnął głową, a potem zasalutował i poszedł za swoimi ludźmi. – Zobaczymy, co będzie, kiedy znów zaczniemy ćwiczenia.

– Jednak już się nie wdają w bójki. – Cyte przechyliła głowę, zastanawiając się. – Przynajmniej poza boiskiem.

Kolejny dzień marszu, kolejne siedem mil – zaledwie spacer w porównaniu z khandarską kampanią. Armia Deslandu wycofywała się w kierunku miasta Gaafen, gdzie był most na rzece Kos, dopływie potężnej Velt, płynącym niemal prosto ze wschodu na zachód, podczas gdy Velt toczyła swe fale z południa na północ, pozostawiając Desland na wschodnim brzegu. Na północ od ujścia Kos było kilka dobrych brodów, które armia Wschód mogła wykorzystać, żeby się przeprosić i zająć miasto, lecz na południu wielka rzeka rozlewała się niemal tak szeroko jak Tsel w Khandarze. Tak więc Gaafen było dla armii Deslandczyków dobrym miejscem do obrony; gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót, zawsze mogli się wycofać na północ, wysadzając most na Kos i zmuszając wojska Janusa do znacznego nadłożenia drogi, aby przeprosić się w innym miejscu.

Winter wiedziała o tym, przestudiowawszy mapę, tak więc musiała założyć, że Janus dobrze to wszystko przemyślał. W najlepszym razie czekała ich ciężka przeprawa. Atak na nieprzyjacielską armię z flankami mocno broniącymi brzegu byłby z konieczności zwykłym krwawym szturmem, gdyż Janus nie miałby okazji wykazać swych sławnych już strategicznych zdolności. Nawet gdyby zwyciężyli – co wydawało się możliwe, gdyż armia Wschód była o połowę liczniejsza od deslandzkiej – nieprzyjaciel miał bezpieczną drogę odwrotu, więc najprawdopodobniej zdobyliby jedynie miasto pełne trupów.

Janus musi mieć jakiś plan. Armia Wschód dotychczas maszerowała spokojnie w ślad za wrogiem, zadowolając się utrzymywaniem w bezpiecznej odległości. On nie jest takim dowódcą, który waliłby głową w mur, mając inną możliwość. Wie, co robi. Do tego stopnia zaczęła wierzyć w Janusa. Nie ma rady, trzeba iść za nim.

Bobby czekała przed namiotem Winter, stojącym samotnie na środku terenu wyznaczonego na obóz. Ten stopniowo wyrosł wokół, w miarę jak przybędą kolejne kompanie. Winter zsiadła i oddała wodze Edgara czekającemu żołnierzowi – tym razem jednemu z królewskich. Teraz Cyte równo dzieliła obozowe obowiązki.

– Panie pułkowniku! – powitała ją Bobby.

– Wejdz. – Winter dała nura do namiotu, mrugając, żeby oswoić oczy z półmrokiem. Bobby weszła za nią. – Co dla mnie masz?

– Raporty. – Bobby trzymała plik papierów.

– Coś ważnego?

– Jak zwykle. Liczba chorych w normie, kilka drobnych obrażeń.

– Zatem zostaw je u Cyte. – Cyte ewidentnie była urodzonym porucznikiem sztabowym. Lubiała załatwianie papierków i drobnych spraw, a ponadto doskonale sobie radziła z wojskową biurokracją, czego Winter nigdy nie zdołała się nauczyć. Zapewne wyniosła to z uniwersytetu. – Jaki jest dziś raport medyka?

Bobby przejrzała papiery.

– Trzy złamane palce, dwie zwichnięte kostki, cztery wyrwane zęby. Nic poważnego.

– To dobrze. – Mecze piłkarskie dawały zajęcie pułkowym medykom, którzy musieli opatrywać poturbowanych graczy, ale na razie były to tylko drobne obrażenia. Na szczęście. Nie chcę, żeby moi żołnierze zostali kalekami, zanim wezmą udział w bitwie. – Jeszcze coś?

– Hmm... być może, panie pułkowniku. Jednak to sprawa nieco... osobista.

– Kłopoty z Marshem? – Na myśl o tym, że ktoś przychodzi do niej po poradę w sprawach uczuciowych, Winter chciało się śmiać i płakać jednocześnie. – Nie wiem, czy...

– Nie tego rodzaju. Drugiego.

– Och. – Winter rozejrzała się, po czym podeszła do wyjścia z namiotu, stając tak, by widzieć ewentualnych podsłuchiwczy. – W czym rzecz?

Bobby nabrała tchu.

– Lepiej będzie, jak pokażę.

Zdjęła bluzę munduru i zaczęła rozpinać guziki koszuli. Dobrze, że zrezygnowała z przebrania. I tak nie byłaby w stanie długo udawać mężczyzny. W ciągu około sześciu miesięcy od chwili, gdy ją poznała, Bobby urosła co najmniej o trzy centymetry i nabrała pełnych kształtów. Winter starała się dokonać beznamiętnych oględzin.

Skóra dziewczyny pojaśniała nieco, od kiedy przestało ją palić khandarskie słońce, lecz pozostały jej jeszcze wyraźne resztki opalenizny na szyi i przegubach. Jednak pod koszulą miała inne, dziwniejsze ślady. Mały owal na dole brzucha był śladem po trafieniu kulą z muszkietu podczas bitwy o Turalin, a długa poszarpana linia biegnąca od obojczyka między piersi pozostała po cięciu desoltajską szablą, które otrzymała, ratując życie Winter. Po tych ranach nie zostały jej blizny czy szramy; tkanki odrosły, idealnie gładkie, ale w kolorze polerowanego marmuru. Były lśniąco szare i usiane drobinkami skrzącymi się przy każdym ruchu Bobby.

– Powiększają się, nieprawdaż? – powiedziała Winter.

Bobby kiwnęła głową i wskazała owalny ślad na brzuchu.

– Zmierzyłam ją po opuszczeniu Khandaru i wtedy miała dziesięć centymetrów średnicy. Teraz ma piętnaście. A ta – przesunęła palcem po poszarpanym śladzie po szabli – poszerza się.

– Jednak nie czujesz się dziwnie?

– Właściwie nie. – Bobby dotknęła szarej tkanki. – To nadal jest jak skóra.

To Feor rozpoczęła tę przemianę w Khandarze, gdy Bobby leżała umierająca w namiocie Winter. Użyła swego naath, aby zamienić Bobby w kogoś, kogo nazywała Niebiańskim Strażnikiem. Winter nadal nie rozumiała teologicznych szczegółów – naath Feor najwidoczniej dawał jej umiejętność wywierania wpływu na innych, ale nie na siebie. Tak czy inaczej, Feor wyraźnie dała do zrozumienia, że ta przemiana jest trwała, dopóki Bobby żyje, chociaż nie była w stanie powiedzieć, jakie mogą być jej ostateczne skutki. Arcykapłanka kultu nazywana Matką, z której rąk Winter uratowała Feor, zachowywała takie szczegóły dla siebie.

Natomiast naath Winter, demon pożerający inne demony, zwykle ożywał się w obecności wszelkiej innej magii, niczym śpiący drapieżnik, który podnosi łeb, kiedy zwęszy ofiarę. Księżniczka Raesinia – teraz chyba królowa Raesinia, pomyślała Winter – też miała w sobie demona, tak jak nieszczęsny mówca Danton Aurenne. Jednak niczego nie czuła w obecności Bobby, może dlatego, że to Feor tak naprawdę nosiła naath. Czy demona. Czy jak to tam zwać. Winter pokręciła głową. Starowała się nie myśleć o nadprzyrodzonym aspekcie swoich przygód

w Khandarze, a i tak ich wspomnienie nawiedzało ją w koszmarach snach.

– Zatem niewiele się zmieniło? – powiedziała Winter. – Rośnie powoli.

– Trochę martwi mnie, co będzie, kiedy dojdzie do mojej twarzy – powiedziała Bobby. – Nie zdołam tego ukryć.

– A co z Marshem? Chcę powiedzieć, że... on musi wiedzieć.

Bobby się zmieszała i Winter zauważyła, że zarumieniła się aż po czoło. Zaciśnęła zęby i nie odrywała oczu od twarzy dziewczyny.

– On wie... trochę – wyznała Bobby. – Powiedziałam mu, że byłam ranna i khandarska kapłanka uratowała mnie swoimi ziołami, po czym zostały mi takie ślady. Na razie nie wypytywał mnie o to.

Winter roześmiała się. Ludzie, którzy uważali się za zaprzysięgłych i trzeźwo myślących racjonalistów odrzucających wszystko co nadnaturalne, byli gotowi uwierzyć w skuteczność tajemnej sztuki medycznej, byle pochodzącej z jakiegoś egzotycznego źródła. Sama kilkakrotnie musiała odpowiadać na pytania skądinąd rozsądnych młodych kobiet z Pierwszego Dziewczęcego, które chciały wiedzieć, czy to prawda, że Khandarczycy znaleźli owoc zapewniający wieczną młodość i pili jad kobry jako środek przeciwko ospie.

– W porządku – powiedziała. – W tym tempie minie sporo czasu, zanim trudno będzie to ukryć. Po powrocie do stolicy porozmawiamy z Feor i może ona zdoła coś wymyślić.

Po pokonaniu kryzysu wiary Feor dobrowolnie zgłosiła się do pomocy Janusowi przy odczytywaniu Tysiąca Imion. Zostawili ją w Vordanie, częściowo ze względów bezpieczeństwa, a częściowo dlatego, że ciężkie stalowe płyty, na których wygrawerowano to archiwum, trudno było przewieźć w tajemnicy.

– Wiem, że pewnie czujesz się trochę niezręcznie, ale...

– Jest jeszcze coś. – Bobby rozejrzała się i znalazła stary blaszany kubek, powyginany i sfatygowany po latach intensywnego użytkowania. Trzymając go w prawej dłoni, zrobiła głęboki wdech i zamknęła oczy. Potem bez wysiłku zaciśnęła dłoń, zgniatając kubek, który wydał metaliczny trzask.

– Och. – Winter wytrzeszczyła oczy. – O rany.

– Taak. – Bobby otworzyła dłoń i oddała Winter resztki kubka. Był zgnieciony, jakby zrobiono go z masła, a na metalu pozostały wyraźne zarysy jej palców. – Muszę się skupić, żeby to zrobić, i nie zawsze jestem w stanie. Jednak kiedy jestem, to mam wrażenie, że mogłabym podnieść konia.

– Lepiej... na razie tego nie próbuj – powiedziała Winter. Bobby najwyraźniej poczuła ulgę, podzieliwszy się z kimś tym sekretem, i aż podskakiwała z podniecenia, co lekko rozpraszało Winter. – Po pierwsze, włóż koszulę. Nie chcę obezwładniać następnej osoby, która spróbuje tu wejść.

– Racja. Przepraszam.

Bobby ubrała się, a Winter odwróciła się i zerknęła przez szparę wejścia do namiotu. Mijały go oddziały królewskich i Pierwszego Dziewczęcego, niosąc zwinięte namioty, skrzynki z sucharami i inne zaopatrzenie. Nieustanne postukiwanie drewnianych młotków, którymi wbijano kołki naciągów w ziemię, przypominało odgłos deszczu bębniącego o uliczny bruk.

– No dobrze – powiedziała Winter, odwracając się. – Będę musiała to przemyśleć. – Obróciła w rękach zgnieciony kubek i pokręciła głową. – A tymczasem nie rób niczego

pochopnie.

Bobby kiwnęła głową.

– Będę ostrożna.

– Jeśli Feor nie zdoła, może pomoże nam Janus – rzekła Winter. – Jest mi coś winien po tym, jak zwałił mi na kark cały pułk. Z ich pomocą może dojdziemy do tego, co się dzieje i czego nam potrzeba, żeby to powstrzymać.

– Racja. – Bobby skończyła zapinać koszulę i odetchnęła. – Przepraszam. Nie chciałam tak cię zaskakiwać, ale...

– Nie ma sprawy. Powinnam o tym wiedzieć. – Winter odstawiła resztki kubka na swoje biurczko. – A tymczasem mamy do załatwienia bardziej przyziemne sprawy. Możesz pobiec do namiotu Jane i powiedzieć jej, że chcę się z nią widzieć?

Bobby zmarszczyła brwi.

– Mogę spróbować. Jednak wiesz...

– Po prostu spróbuj.

Dziewczyna zasalutowała.

– Tak jest! Zaraz wracam.

Wypadła z namiotu i pobiegła. Winter, znużona, usiadła na poduszce za biurkiem i przeciągnęła się, próbując rozprostować kości.

Od czasu starcia z powodu reorganizacji obozu Jane dąsała się – bo inaczej nie można było tego nazwać. Na myśl o tym Winter zaciskała zęby ze złości. Ona wie, że się myli. Po prostu nie chce tego przyznać. Przez cały dzień maszerowała ze swoim oddziałem, a pozostały czas spędzała w swoim namiocie. Jeśli Winter zdołała gdzieś ją dopaść, stawała na baczność i odpowiadała monosylabami. Boże. Czy w więzieniu też była taka irytująca? Winter potrząsnęła głową. Wtedy byłam inną osobą i ona też.

To jednak nie mogło trwać w nieskończoność. Pierwszy Dziewczęcy potrzebował dowódcy i jeśli Jane nie zechce nim być, w końcu Winter będzie musiała ją zastąpić. Na samą myśl czuła się nieswojo. Nie dojdzie do tego. Ona pogodzi się z sytuacją, zanim wejdziemy do walki. Winter nie wierzyła, by Jane, choć zapalczywa rzuciła swoje dziewczęta do walki bez odpowiedniego dowodzenia.

Ktoś zapukał w maszt namiotu i Winter wyprostowała się, przez moment czując przyływ nadziei.

– Proszę wejść.

Poła namiotu zaszeleściła i Winter z rozczarowaniem, lecz bez zdziwienia zobaczyła Abby Giforte, zastępczynię Jane. Dziewczyna miała na sobie zaimprovizowany mundur vordanajskich ochotników, czyli lnianą koszulę i samodziałowe spodnie, a do tego kurtkę pospiesznie ufarbowaną na niebiesko. Jej kręcone brązowe włosy były związane w nierówny kok, a blade piegowate policzki czerwone i popękane po całym dniu na słońcu.

– Panie pułkowniku! – Abby zasalutowała.

Winter machnięciem ręki kazała jej usiąść.

– Gdzie jest Jane?

– Prosiła, żebym powiedziała, że jest zajęta – odparła Abby – i żebym porozmawiała za nią.

Poczucie przyzwoitości kazało jej się zarumienić.

Winter westchnęła.

- Prędej czy później będzie musiała przyjść.
- Przyjdzie – powiedziała Abby. – Ona tylko... wiesz, jaka ona jest. Jaki ma temperament.
- Pamiętam – odparła Winter. – Chciałabym tylko wiedzieć, o co się tak złości. Nie może chodzić tylko o mieszany obóz. To okazało się całkiem niezłym pomysłem.

Abby otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Winter nadstawiła ucha.

– O co chodzi?

– Ja... – Abby zmarszczyła brwi. – Nie wiem, czy powinnam o tym mówić.

Winter przyjrzała się jej i poczuła ukłucie zazdrości. Abby była z Jane przez większość okresu Skórzanych Kurtek, pomagając jej utworzyć z gromady przestraszonych młodych dziewcząt realną siłę potrafiącą się bronić i walczyć z poborcami, których Orlandko nasyłał na Doki. W którymś momencie Abby i Jane zostały kochankami. Jane zerwała ten związek, gdy wróciła Winter, nie licząc jednej pijackiej pomyłki. Winter nie sądziła, by Abby chciała go odnowić. Jednak mimo tego wszystkiego, przez co Winter i Jane przeszły razem w dzieciństwie, Abby lepiej znała prawdziwą dorosłą Jane.

– Możesz mówić, o czym chcesz – ostrożnie powiedziała Winter. – Nie będę ci miała tego za złe.

– Nie w tym rzecz, chodzi o to, że nie wiem tak naprawdę. Ja tylko... – Abby westchnęła. – Myślę, że Jane czuje się... zagubiona. Może zazdrosna.

– Zazdrosna? – prychnęła Winter. – O kogo, o mnie?

Abby skinęła głową.

– Dlaczego, ponieważ Janus mnie awansował? – Winter potrząsnęła głową. – Jeśli chce stanowiska pułkownika, to powiedz jej, że może je mieć. To tylko kupa kłopotów i...

– Nie w tym rzecz. Ty tu pasujesz. Do wojska. Na tobie to... wygląda naturalnie. – Abby dotknęła naramienników, do których przyszyto białe belki. – Reszta z nas czasem ma wrażenie, że to zabawa w wojsko, ale nie ty.

– Strzelanie z muszkietu to nie zabawa – powiedziała Winter. – Jak możecie myśleć, że to udawanie, kiedy giną ludzie?

– Nie chodzi o walkę – rzekła Abby. – Przywykłyśmy do tego, przynajmniej dawne Skórzane Kurtki. Walczyłyśmy z gangami, poborcami, z kimkolwiek było trzeba. Ludzie odnosili rany. Wiem, jak to jest. Tylko to wszystko wydaje się przebieranką. – Machnęła ręką. – Te namioty, mundury, salutowanie. Wykonywanie rozkazów. Czasem mam wrażenie, że zaraz ktoś przyjdzie i powie nam, żebyśmy się nie wygłupiały.

– Nikt nie przyjdzie i nie powie niczego takiego. Przynajmniej dopóki ja mam coś do powiedzenia – odparła Winter. – Dla mnie Pierwszy Dziewczęcy w niczym nie ustępuje każdemu innemu batalionowi naszej armii, królewskich czy ochotników.

– Wiem – powiedziała Abby, uspokajająco podnosząc rękę. – Ja tylko... próbuję wyjaśnić. Myślę, że Jane czuje się nieswojo, a kiedy patrzy na ciebie, tobie wydaje się przychodzić to tak łatwo. Ty po prostu wiesz, co robić, jak się zachowywać.

Winter chciało się śmiać. Łatwo? Całymi dniami była bliska wyczerpania, wykończona obawą, że coś nowego pójdzie nie tak. Jak mam jej powiedzieć, że cały czas improwizuję?

– Myślę także, że jest trochę zazdrosna – ciągnęła Abby. – Widzi, jak odchodzisz od niej do tego świata sztandarów, werbli i armat, do którego ona nie może za tobą podążać.

– Uważasz, że jest zazdrosna o wojsko? – spytała Winter.

Abby skinęła głową. Winter szukała w jej twarzy śladu złości i nie znalazła. Byłoby zrozumiałe, gdyby Abby była na nią zła. Ja na jej miejscu byłabym. A jednak kiedy mówiła o Jane, jej mina zdradzała tylko głęboką troskę.

Czy tak powinna wyglądać miłość? Pragnąć wszystkiego najlepszego dla tej drugiej osoby, niezależnie od tego, co to oznacza dla ciebie? Winter zamknęła oczy i pokręciła głową. *Teraz nie czas na to, do licha.*

– W porządku. Dziękuję – powiedziała. – Dość już o Jane. W końcu się uspokoi. A co z resztą Pierwszego Dziewczęcego? Jak one to przyjmują?

– Lepiej, niż mogłabym oczekiwać – odparła Abby z widoczną ulgą z powodu zmiany tematu. – Nie powiedziałyby tego, gdyby je zapytać, ale sądzę, że wiele z nich cieszy się z tego, że są tu zawodowi żołnierze, którzy mogą im pokazać, jak się co robi. Szczególnie nowe dziewczyny, które dołączyły do nas po Midvale.

W przybliżeniu połowę Pierwszego Dziewczęcego tworzyły kobiety z dawnego schroniska Jane albo ich przyjaciółki i krewne z Doków. Druga połowa została zwerbowana później, ze stale napływającego strumyka ochotniczek, które usłyszały, że nowy rząd potrzebuje żołnierzy, i poszły za przykładem Skórzanych Kurtek.

– To dawne Skórzane Kurtki najbardziej narzekają – ciągnęła Abby. – Te, które od początku były z Jane. Nie lubią współpracować z królewskimi.

– Któraś szczególnie? – spytała Winter.

– Becca i Win – niechętnie przyznała Abby. – Becca uważa, że wszyscy mężczyźni to gwałciciele i mordercy i lepiej byłoby nam bez nich. Win po prostu uwielbia Jane.

– W porządku. Zobaczę, co da się z tym zrobić. – Winter westchnęła. – Musimy współpracować z królewskimi, chyba że Janus zmieni zdanie. Lepiej przywyknijmy do tego.

– Wiem – powiedziała Abby. – Jak już mówiłam, Skórzane Kurtki nie przywykły do słuchania rozkazów bez zadawania pytań.

– Są jakieś problemy z dyscypliną wśród naszych?

– Nic wielkiego. – Abby znów się zawahała. – Tylko nadmierne... bratanie się.

– Właśnie o to chodziło...

– Mówię o pieprzeniu – przerwała jej Abby. – Tak się dzieje, gdy mnóstwo mężczyzn i kobiet przebywa razem. Nie mówię, że to się nie zdarza, gdy są tylko mężczyźni, ale...

– Rozumiem – pospiesznie powiedziała Winter. – Jednak dziewczyny śpią po cztery w namiocie. Jak...

– Znajdują jakieś sposoby – odparła Abby. – Naprawdę chcesz znać szczegóły?

– Chyba nie. Nie chcę jednak, żeby ktokolwiek wymykał się za linię wart. Jesteśmy na terytorium wroga, nawet jeśli mieszkańcy dotychczas nie są nieprzyjaźni.

– Przekażę to.

Teraz Winter się zawahała.

– Kiedy Skórzane Kurtki były w Vordanie, chyba było wiele... takich sytuacji. Zakładam, że dziewczęta podejmują odpowiednie kroki, żeby uniknąć... możliwych konsekwencji?

Abby skinęła głową.

– Bardzo dokładnie omawiamy z nimi ten temat.

– Dopilnuj, żeby nowo zwerbowanym również to przekazano. I proszę, każ oficerom

pilnować, czy któraś nie zostaje przymuszona do czegoś, z czego nie jest zadowolona. Chcę wiedzieć o każdym takim przypadku, rozumiano?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparła Abby. – Jesteśmy przyzwyczajone troszczyć się o siebie wzajemnie.

– Wiem. – Winter zerknęła na wejście do namiotu, określając godzinę po długości cieni. – No dobrze. Lepiej pójde na kolację.

– Oczywiście. – Abby wstała.

– Powiedz Jane... – Winter urwała i przez moment spoglądała na Abby, a potem potrząsnęła głową. – Powiedz jej, że na nią czekam.

– Zrobię to, panie pułkowniku – rzekła Abby, podnosząc klapę. – Myślę jednak, że ona wie.

Kiedy Winter awansowała na sierżanta, co teraz wydawało się mieć miejsce w innym życiu, przez kilka pierwszych dni ukrywała się w namiocie przed swymi podkomendnymi. Bobby w końcu wyciągnęła ją stamtąd, zachęcając do zjedzenia kolacji z żołnierzami i poznania ich. Ten sposób przyniósł pożądany skutek, więc teraz Winter postanowiła to powtórzyć na nieco większą skalę.

Tak jak w Khandarze, przedsiębiorczy tubylcy podążali za wojskiem na wozach w nadziei sprzedania swych produktów cudzoziemskim żołnierzom. Warty bezlitośnie przepędzały ich z drogi za dnia, ale wieczorami i tak można ich było znaleźć na obrzeżu obozu, świadczących usługi pralnicze i handlujących żywnością, winem oraz innymi artykułami. Cyte zdołała wycisnąć z kwatermistrzostwa trochę żywej gotówki – w tym część żołdu Winter, którego pułkownik nigdy nie spodziewała się wydać – i teraz wykorzystywała te pieniądze na zakup nieco lepszego wyżywienia od zwyczajnych żołnierskich racji. Co wieczór gościła dwie kolejne kompanie, jedną królewskich i jedną z Pierwszego Dziewczęcego, które jadły razem kolację przy ognisku rozpalonym na środku obozu.

Dzisiaj na kolację na każde dwie osoby przypadał jeden pieczony kurczak, kupiony od miejscowego farmera zapewne po dziesięciokrotnie zawyżonej cenie, oraz koszyki późnych jagód sprzedanych przez parę ambitnych dziesięciolatków. Gośćmi Winter byli porucznik sur Gothin i jego kompania królewskich oraz kompania nowo zwerbowanych ochotniczek Pierwszego Dziewczęcego dowodzona przez porucznik Virginię Malloy. Był również obecny kapitan Sevrans oraz porucznik Novus z jego personelu.

Winter spodziewała się kłopotów ze strony ludzi Gothina, zważywszy na ich zachowanie podczas nieudanych pierwszych ćwiczeń, ale na razie była przyjemnie zaskoczona. Żołnierze wydawali się skłonni do przewyciężenia uprzedzeń, przynajmniej przy kolacji. Łączyli się w rozgadane grupki z dziewczynami z Pierwszego Dziewczęcego, czekając, aż kurczaki się upieką. W przeciwieństwie do Skórzanych Kurtek, które łączył wspólny los u pani Wilmore lub w Dokach, nowo zwerbowane były mieszaniną reprezentującą niemal wszelkie możliwe drogi życiowe. Niektóre z nich, tak jak Cyte, miały sposób mówienia i maniery zdradzające przedstawicielki wyższych klas, natomiast inne mówiły rozwlekłym dialektem Nowego Miasta lub wiejską gwarą. Sur Gothin osobiście dzielnie pełnił honory, przedstawiając się kobietom i żartując na temat ostatnich meczów piłki ręcznej.

Inni oficerowie siedzieli kręgiem wokół ogniska. Porucznik Malloy była niską, ciemnowłosą młodą kobietą mówiącą z miękkim akcentem Transpalu i o jasnej cerze osoby nieprzywykłej do pracy pod gołym niebem. Trochę się opaliła podczas przemarszu, ale i tak nieprędko ktoś

wzięłyby ją za ogorzałą przedstawicielkę Skórzanych Kurtek. Tak jak Cyte i wiele innych ochotniczek, była zdecydowana dać z siebie wszystko i pokonać wszelkie przeszkody, jakie świat rzuci jej pod nogi. Winter przypuszczała, że właśnie tego rodzaju kobiety pociągała myśl o wstąpieniu do jedyne kobiecego batalionu w armii. Otrzymała swoje stanowisko dzięki dobrej opinii swoich towarzyszek – gdyż w Pierwszym Dziewczęcym od początku zapelniano wakaty poruczników i sierżantów w drodze powszechnego głosowania.

Natomiast porucznik Novus był oficerem zupełnie innego pokroju. Jego mundur, choć zakurzony i przeпоcony po kilkudniowym marszu, był dobrze uszyty i złożony bardziej, niż tego wymagał regulamin, szabla zaś u jego boku miała posrebrzaną pochwę i złoty filigran wokół rękojeści. Belka naramiennika była śnieżnobiała, a nie srebrna, co było różnicą, którą Winter nauczyła się doceniać; tylko oficer będący absolwentem szkoły wojskowej, jak Marcus d'Ivoire, miał prawo nosić srebrną. Novus kupił swój patent oficerski lub – co bardziej prawdopodobne – odziedziczył go jako część rodzinnego majątku.

Jego podobieństwo do jej pierwszego porucznika, d'Vriesa, było uderzające, jakby gdzieś w stolicy Vordanu istniała prasa tłocząca takich przystojnych, wyniosłych synków ze szlacheckich rodów. Winter starała się pozbyć uprzedzeń, ale wzięwszy pod uwagę, jak skończył d'Vries, nie było to łatwe. Jednak Novus został w wojsku, podczas gdy wielu szlachetnie urodzonych lub bogatych oficerów uciekło, a to coś mówiło o jego charakterze. Pomimo to teraz wcale jej nie pomagał swoim sztywnym, oficjalnym zachowaniem i odmową uczestnictwa w rozmowie.

Winter spróbowała jeszcze raz, gdy Bobby zdjęła z rożna trzy kurczaki i zabrała się do krojenia. Ich ognisko znajdowało się w samym środku i Winter doskonale zdawała sobie sprawę, że wszyscy bardzo uważnie będą słuchali ich rozmowy, jeśli nie teraz, to później, powtarzanej szeptem w namiotach.

Już wyczerpali temat pogody, marszu i przyjemnego zapachu kurczaków. Za każdym razem, gdy Winter próbowała podjąć nowy, natrafiał na Novusa jak piłka tenisowa napotykająca siatkę, gdy porucznik obrzucał ich wszystkich ponurym spojrzeniem. Teraz, gdy Bobby podawała kurczaki i nawet on zainteresował się perspektywą posiłku, Winter nabrała tchu i spróbowała jeszcze raz.

– Porucznik Malloy – zaczęła. – Chyba nie słyszałam opowieści o tym, jak dołączyła pani do nas. O ile zechce się pani tym z nami podzielić.

– Nie ma wiele do opowiadania, panie pułkowniku – powiedziała Malloy, nie patrząc jej w oczy. Mówiła to z nabożnym podziwem, jakby jadła kolację ze świętym, przez co Winter czuła się zdecydowanie nieswojo. – Jestem z Appes na Fal. Moja rodzina robi wełnę. Tato posłał mnie i dwóch moich starszych braci do Vordanu, podpisać umowę z nowym kupcem. Kiedy król umarł, słyszeliśmy, że na drogach nie jest bezpiecznie, więc zostaliśmy, aż wybuchły zamieszki. Moi bracia bardziej przejmowali się tym, co przez to będzie z cenami wełny, niż pilnowaniem mnie, tak więc byłam w mieście, gdy padła Vendre. Widziałam, jak oddziały kolonialne wymaszerowały walczyć z Orlanką, a później patrzyłam, jak prowadził pan Pierwszy Dziewczęcy na paradzie.

W oczach miała dziwny błysk, który nie był odbiciem płonącego ogniska. Nie patrzyła na Winter, lecz przez nią, w nocne niebo. Novus, który ogryzał swój kawałek kury, przerwał i zmierzył Malloy gniewnym wzrokiem, ale ona tego nie zauważyła.

– Wróciłam do braci i powiedziałam, że wstąpię do wojska – ciągnęła. – Nazwali mnie wariatką i śmiali się ze mnie. Potem powiedzieli, że tato mnie wydziedziczy, a Benji kazał mi przestać się wygłupiać i próbował mnie złapać, więc dałam mu w nos. Zakrwawił sobie nową koszulę. Zaczęli na mnie krzyczeć, powiedzieli, że skończę jak dziwka, a ich to nie będzie obchodziło, a ja powiedziałam, że to nie ich interes. I zapewne kilka innych słów, których nie powinnam mówić. Potem złapałam swoje rzeczy i odeszłam.

Winter zastanawiała się, co powiedzieć, ale Novus oszczędził jej fatygi, rzucając w ogień swój talerz z ledwie napoczętym kawałkiem kury. Zerwał się na równe nogi, z twarzą wykrzywioną groźnym grymasem, i bez słowa odwrócił się plecami do pozostałych. Gdy odchodził, Winter wstała, żeby pójść za nim, i dała znak Bobby, żeby podtrzymywała konwersację. Bobby zająknęła się stropiona nagłą ciszą, ale kapitan Sevrans przyszedł jej z pomocą, pytając o poranny mecz piłki ręcznej, i wszyscy z ulgą podjęli przerwana rozmowę.

Winter znalazła Novusa stojącego przy pustym namiocie na skraju obozu i spoglądającego na pochodnie wartowników. Z obu stron ciągnęły się równe rzędy namiotów niknące w ciemnościach. W obozie słychać było gwar rozmów, trzask płomieni ognisk oraz ciche rżenie odpoczywających koni i mułów. Winter zastanawiała się, co powiedzieć, i już miała zostawić go samego, gdy odwrócił się do niej.

– Jak pan to robi? – zapytał.

– Przepraszam? – powiedziała Winter, lekko zaskoczona.

– Siedzi tam i słucha tych... tych bzdur.

– Nie wiem, czy rozumiem. Ma pan jakiś problem z opowieścią porucznik Malloy?

– Denerwuje mnie sam jej widok, panie pułkowniku – prychnął Novus. – To kurewsko nienormalne i na sam widok chce mi się rzygać. Jakby ktoś założył suknię ślubną maciorze albo rękawiczki koniowi. To absurd. Tyle że posyła ją pan do boju, tak więc to jakby kazać koniowi boksować albo żenić się z maciorą, brać ją do domu i pieprzyć. Ten tak zwany batalion to kiepski żart.

Teraz tamy puściły i zupełnie się otworzył. Winter się zjeżyła, ale starała się nie okazywać gniewu.

– Słyszał pan jej opowieść – rzekł Novus. – Każda z tego „pierwszego dziewczęcego” ma taką. O jakimś ojcu, bracie czy wuju, którego opuściły wbrew prawom boskim i ludzkim, żeby uciec i bawić się w żołnierzy. A ja muszę stać tu i patrzeć, jak mój batalion, z którym postanowiłem zostać, gdy wybuchła wojna, jest demoralizowany przez tę... perwersyjną farsę. Gdybym mógł, kazałbym im wszystkim wracać do domów, jeśli ich rodziny zechcą je jeszcze przyjąć, albo zostać tu jako dziwki. Przynajmniej wtedy na coś by się przydały. – Prychnął. – Zdaje się, że już są na dobrej drodze do tego.

Zabrakło mu tchu i przez moment stał tylko, dysząc.

– Czy to wszystko? – zapytała Winter, siląc się na spokojny ton.

– To pana nie rozumiem, panie pułkowniku – rzekł Novus. – Ci ochotnicy nic nie wiedzą o wojnie. Jednak pan jest mężczyzną i był pan prawdziwym żołnierzem w Khandarze. Jak może pan dowodzić tymi dziewczynami, wiedząc, co się z nimi stanie? Zostaną rozniesione w pył przy pierwszym starciu z wrogiem, a te z nich, które nie zakosztują zimnej stali, spędzą resztę wojny z nożem na gardle, obciążając hamveltajskie fiuty. – Spojrzał na nią z powątpiewaniem. – Za bardzo boi się pan generała, żeby mu to powiedzieć, tak? Gdyby miał pan jaja, wolałby

pan złożyć rezygnację, niż dowodzić tym cyrkiem.

Winter miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie. Z trudem przełknęła ślinę.

– Bardzo dobrze. Przedstawił pan swój punkt widzenia, poruczniku. I co, pana zdaniem, mam teraz z tym zrobić?

– Wiem dobrze, co zamierza pan zrobić – rzekł Novus. – Nic. Ponieważ wie pan równie dobrze jak ja, że mam rację i wszyscy królewscy zgadzają się ze mną. Kapitan Sevrans jest tchórzem, ale jeśli tknie mnie pan palcem, cały batalion będzie po mojej stronie. Wtedy zobaczymy, co pańskie dziewczęta są warte.

Przez chwilę Winter znów była w Khandarze, a sierżant Davis pochylał się nad nią, zaciskając wielkie poznaczone szramami pięści. Zaparło jej dech, ale zamrugła i wizja znikła. Novus to nie Davis, nie był tak silny ani brutalny jak sierżant. Patrząc na niego, wiedziała, że jest przestraszony i mówi tak, wiedząc, że się zagalopował.

– Dziękuję, że był pan ze mną szczery, poruczniku – rzekła. – Zastanowię się nad tym, co pan powiedział. Może pan odejść.

W oczach Novusa strach zmienił się w triumf.

– Och tak. Zastanowię się. – Potrząsnął głową. – Jest pan pierdolonym tchórzem, prawda? Teraz to widzę. Powinienem był wiedzieć od początku. No już. Prowadź nas do katastrofy. Kiedy twoje dziewczyny zostaną wycięte w pień, będziemy tam, żeby pozbierać wszystko do kupy.

Odwrócił się i odmaszerował. Winter głośno wciągnęła powietrze i wypuściła je.

No cóż. Popatrzyła w ślad za porucznikiem i pokręciła głową. I co teraz?

– Będzie trzeba się go pozbyć – powiedziała Cyte, patrząc, jak oddziały formują szyk. – Ja zapewne wywaliłabym go od razu. Albo uderzyła go.

– To bardziej skomplikowana sprawa – rzekła Winter. – Być dupkiem nie jest sprzeczne z regulaminem.

– Ale używanie takiego języka w rozmowie ze starszym oficerem jest – zauważyła Cyte. – Ponadto myślę, że Janus już stworzył precedens, wyrzucając de Ferre'a i jego przyjaciół.

– Ja nie jestem Janusem – odparła Winter.

Zauważyła porucznika Novusa na drugim końcu placu ćwiczeń. Popatrzył na nią oraz męskie i kobiece oddziały stojące w szyku, po czym potrząsnął głową i odszedł.

– Janus poparłby cię, gdyby Novus próbował zrobić coś drogą służbową. A gdyby spróbował czegoś innego, miałabyś prawo go aresztować.

– Może. – Winter słuchała jednym uchem, przyglądając się tłumowi, który przyszedł popatrzeć na poranne ćwiczenia. – Muszę porozmawiać z Sevransiem i dowiedzieć się, co o tym sądzi.

– Nie czekaj za długo – poradziła Cyte. – Jeśli Novus dojdzie do wniosku, że może cię lekceważyć, będą kłopoty.

– Taak.

Winter zeszywniała, gdy znalazła to, czego szukała. Gęste rude włosy w gromadzie przyglądających się z Pierwszego Dziewczęcego. Usiłowała pochwycić spojrzenie Jane, lecz nie zdołała. Przynajmniej wyszła z namiotu.

– No dobrze – zwróciła się do Folsoma, który stał gotowy przekazać jej rozkazy. – Zaczynamy.

– Zewrzeć szeregi! – Głos Folsoma rozszedł się w porannej mgłę niczym dźwięk trąbki. – Harcownicy, naprzód! Główny szereg, ładuj broń!

Na placu była kompania porucznika Vidoleta. Nie był to jeden z kliki Novusa, Winter pomyślała więc, że nie będzie rozmyślnie sabotować ćwiczeń. Jego ludzie niewątpliwie sprawiali wrażenie dobrze wyszkolonych i sprawnie wykonywali kolejne czynności ładowania broni. Gdy krzyknął „Ognia!”, odpowiedział mu trzask kurków.

Dowodzona przez Abby kompania Pierwszego Dziewczęcego również poczyniła postępy. Ładowały szybciej, a ich dwuosobowe zespoły wydawały się lepiej zgrane, oddając udawane strzały tak szybko, jak zdołały wepchnąć kule do luf. Ponadto zdawało się, że ćwiczą z większym entuzjazmem. Każdemu wystrzałowi towarzyszyły żartobliwe okrzyki.

– Trafiłam go!

– A masz, przeklęty Elizejczyku!

– Załatwiłam generała!

– Wcale nie, tylko strąciłaś mu kapelusz!

Teraz jednak będzie prawdziwa próba. Winter skinęła na Folsoma, który zaczerpnął tchu.

– Harcownicy, odwrót! Główny szereg, przepuścić harcowników!

Kompania Abby natychmiast zawróciła i pognała w kierunku ludzi Vidoleta, którzy przestali ładować i strzelać, nastawiając muszkiety, jakby zakładali bagnety. Ochotniczki z Pierwszego Dziewczęcego pędziły na nich zbitym tłumem biegnących, roześmianych kobiet i Winter przygotowała się na nieuchronne zderzenie.

Nie nastąpiło. Królewscy zręcznie się rozstąpili, tworząc w szeregu luki wystarczające do przejścia i kompania Abby leciała przez nie gładko i szybko jak kamyki wrzucone do kubka z wodą. Pohukujące i pokrzykujące kobiety znalazły się za główną linią, a czekająca tam Abby natychmiast zaczęła ustawiać je w szyku. W niecałą minutę były tam wszystkie, a królewscy znów zwarli szyk, pokazując wyimaginowanemu nieprzyjacielowi równy rząd muszkietów.

– Ognia! – krzyknął Vidolet i znów rozległ się szcęk kurków.

Żołnierze znów zaczęli ładować broń, a Winter odetchnęła, choć do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymywała oddech.

– To działa – wyszeptała Cyte.

– Niech spróbują jeszcze raz – zakomenderowała Winter. – Potem zmieńcie kompanie. Chcę, by każdy żołnierz miał okazję przećwiczyć to dzisiaj, zanim zwiniemy obóz. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, jutro zobaczymy, czy zdołają to zrobić z nałożonymi bagnetami.

Jeśli będziemy mieli jeszcze jeden dzień na ćwiczenia. Znajdowali się zaledwie piętnaście mil od Gaafen, gdzie według meldunków okopywał się nieprzyjaciel.

– Tak jest, panie pułkowniku! – powiedziała Cyte.

– A kiedy dziś wieczorem rozbijemy obóz, niech żołnierze dostaną porządny posiłek. Zużyjcie wszystko, co zostało.

Cyte skinęła głową.

– Tak jest. Co z Novusem?

Był taki moment, gdy Novus wygłaszał swoją tyradę, że Winter gratulowała sobie, że w przeciwieństwie do Bobby nie porzuciła swego kobiecego przebrania. Nie było to uczucie, z którego była dumna. Jednak reakcja Novusa była taka, jakiej zawsze spodziewała się w razie zdemaskowania – nawet jeśli nie była to próba gwałtu i morderstwa jak w wypadku Davisa –

a chociaż Janus nie zachował się tak, jak się tego obawiała, podejrzewała, że jak zawsze jest wyjątkowy. Podejrzewała, że gdyby o jej płci dowiedzieli się staroświeccy oficerowie królewskich lub konserwatyści tacy jak pułkownik d'Ivoire, taka słowna eksplozja jak Novusa byłaby jej najmniejszym zmartwieniem.

Bobby ma dobrze. Jako oficer Pierwszego Dziewczęcego odpowiada tylko przede mną. Ja muszę pracować z całą armią...

– Pozbędziemy się go – powiedziała Winter, potrząsając głową, żeby pozbyć się tych myśli.
– Jest jednak oficerem królewskiej armii, więc musimy zrobić to jak należy, inaczej zwiąże nam ręce przepisami. Będę musiała napisać do Janusa. Zobaczmy, czy Novus będzie się śmiał, kiedy odczytam mu list od głównodowodzącego.

– Z niecierpliwością czekam na jego reakcję, panie pułkowniku.

Winter obudził prowadzony szeptem spór przed jej namiotem.

Wiadomość o tym, że dostaną porządny posiłek zamiast regulaminowych wojskowych racji, wprawiła cały obóz w karnawałowy nastrój. Chociaż Winter nie wydała żadnego alkoholu, wielu miejscowych chętnie uzupełniło ten brak. Wszelkie próby uniemożliwienia przeszmugłowania alkoholu do obozu byłyby daremne, tak więc wydała sierżantom rozkaz, aby nadzorowali spożycie i dopilnowali, by nikt się nie upił. W końcu nazajutrz czekał ich kolejny marsz, a po nim być może bitwa.

Pomimo to rywalizujące kompanijne chóry do późnej nocy toczyły pojedynek, na przemian wyśpiewując patriotyczne pieśni lub niekończące się sprośne obozowe piosenki, które jakby spontanicznie powstają w każdym zgrupowaniu żołnierzy. Winter była pewna, że dochodziło także do nadmiernego „bratania się”, o którym mówiła Abby, i na myśl o tym miała ochotę wyjść z namiotu na poszukiwanie Jane. Zabrała się jednak do pracy, odwalając papierkową robotę, aż oczy zaczęły się jej kleić, a potem leżała bezsennie na łóżku polowym, słuchając kroków przechodzących w pobliżu. Gdyby Jane postanowiła jednak wrócić, byłby to idealny moment i Winter wciąż spodziewała się usłyszeć cichy szmer odchylanej poły namiotu oraz głos kochanki, szepczącej jej coś na ucho. W końcu zasnęła i śniła o wargach Jane dotykających jej warg oraz palcach Jane przesuwających się po jej skórze.

Wydała rozkaz, żeby żołnierzy obudzono pół godziny później niż zwykle, uwzględniając to, że wiele osób będzie zapewne miało kaca. Mrugając, zobaczyła, że jest jeszcze sporo przed wyznaczoną godziną. Światło sączące się przez brezent było jasnym blaskiem wczesnego świtu i w obozie wciąż było cicho.

– Nie śpię – powiedziała Winter. Głosy zamilkły. – Bobby, to ty? Kto tam?

– To kapitan Verity – wyjaśniła Bobby. – Ona... chce się z panem zobaczyć.

Winter gwałtownie usiadła.

– Przyślij ją tu!

– Panie...

Jane przecisnęła się przez szparę wejścia. Włosy miała w nieładzie i nie włożyła kurtki od munduru, jakby dopiero co zerwała się z łóżka. Słowa powitania zamarły na ustach Winter, gdy zobaczyła twarz Jane, wykrzywioną grymasem wściekłości.

– To twoja wina – wypaliła Jane. – Ostrzegałam cię, kurwa, no nie? Myślisz, że wystawiamy strażę wokół obozu dla zabawy?

– Jane, co się stało?

– Stało się to, co zawsze. Musiałaś zaufać pierdolonemu kapitanowi Sevranowi, ponieważ jest tak cudownie czarujący i obiecał, że jego ludzie będą się zachowywać jak należy. – Jane prychnęła. – Jakby banda pierdolonych żołnierzy była lepsza od stada małp.

– Jane...

– Jeden z twoich cudownych pierdolonych królewskich zdecydował, że nie musi pytać o zgodę, żeby obmacywać jedną z moich dziewczyn. A czego się, kurwa, spodziewałaś?

Winter wciągnęła powietrze.

– Na jaja Bestii. Czy...

– Myślę, że będzie żył – przerwała jej Jane. – Jednak sprawy trochę wymknęły się z ręki. Można rzec, że doszło do awantury.

Winter usłyszała inne głosy na zewnątrz. Cyte i Folsoma. A za nimi rosnący chór krzyków, stęknień i łoskotów, zmieszany z trzaskiem łamanych masztów i rozdieranego brezentu.

Och, na mosiężne jaja pieprzonej Bestii...

Siedem

Marcus

Wojna, o ile Marcus mógł to stwierdzić, przybierała bardzo zły obrót. Oczywiście ze stolicy Vordanu trudno było dokładnie ocenić sytuację. Częściowo dlatego, że wieści z frontów szły długo, a z niektórych dłużej niż z innych. Kurier z Vayenne mógł przez tydzień żeglować w górę Vor, natomiast wieści z odległego o siedemset mil murnskajskiego frontu mogły iść miesiąc po kiepskich drogach, zerwanych mostach i zdradliwych przełęczach – albo w ogóle nie dojść.

Innym problemem było to, że przychodzące wieści często były koszmarnie niepełne, a przynajmniej niedokładnie zebrane i przekazane. Agenci wydawców ulotek i gazetek byli wszędzie, żebrząc u każdego deputowanego i ministra o strzępy najnowszych informacji. Ze wszystkich agend nowego rządu informacje przeciekały jak przez sito, ale często, tylko kiedy leżało to w interesie poszczególnych osób lub kiedy dane informacje można było odpowiednio spreparować, żeby ukazać się w korzystnym świetle. Tak więc jedna gazetka mogła odtrąbić wspaniałe zwycięstwo, a inna w tym samym czasie opłakiwać druzgoczącą klęskę, rozmaite miasta zaś, twierdze i rzeki przechodziły na ich łamach z rąk do rąk z niewiarygodną szybkością, zależnie od tego, kto o tym pisał.

Jednak w miarę upływu czasu te relacje stawały się pełniejsze i do stolicy zaczęli przybywać naocznymi świadkami tych odległych wydarzeń, tak więc można było znaleźć fragmenty prawdy. Instrukcje Marcusa nakazywały mu przysyłać wiarygodne informacje Janusowi za pomocą pstrykacza, tak więc zasiadł ze swoimi mapami i co bardziej rzeczowymi raportami, żeby oddzielić ziarna od plew. Kiedy jednak skupił na nich uwagę, wyłonił się z nich niepokojący obraz.

Najgorzej było na północy, na borelgajskim wybrzeżu. Od chwili wypowiedzenia wojny krążyły plotki, że borelgajska marynarka wojenna oblega Nordart, największy vordanajski port na północy, a armia Transpalu pod dowództwem generała de Brolge'a albo wzmacnia jego garnizon, zajmując pozycję do stoczenia walnej bitwy, albo wycofuje się po klęsce zadanej przez borelgajskie wojska. Teraz jednak wszystkie raporty zgodnie mówiły, że sytuacja jest znacznie gorsza. Po krótkim starciu z Borelgajami de Brolge przeszedł na stronę wroga, deklarując poparcie dla Orlanki – według pogłosek przebywającego na wygnaniu w Borel – i pogardę dla Zjazdu Generalnego. Większość królewskich pułków armii transpalskiej poszła za nim, a ochotnicy rozpierchli się w panice, nie pozostawiając żadnych znaczących sił między Borelgajami a Alver nad rzeką Pale. Wyspa Ecco, niegdyś główna baza obecnie unieruchomionej vordanajskiej floty, została zdobyta i powszechnie oczekiwano, że Enzport u ujścia Pale będzie następny.

Tymczasem generał Hallvez dowodzący armią Północy na murnskajskiej granicy postanowił zaskoczyć przeciwnika. Legiony imperialnego Murnska były bardzo liczne, ale znane z powolnego formowania i manewrów, Hallvez więc uznał, że zadając uprzedzający cios, zaskoczy i osłabi przeciwnika. Nie wiadomo, co potem zaszło, ale generał najwyraźniej wpadł ze swoimi dwudziestoma kilkoma batalionami w pułapkę, w której został

zdecydowanie pokonany przez dwukrotnie słabsze murnskajskie siły. Bredząc o czarach, Hallvez wrócił do Vordanu z resztkami swej armii i słał do Ministerstwa Wojny jedną historyczną wiadomość po drugiej, żądając posiłków.

Prawdę mówiąc, wszyscy żądali posiłków. Dowódca każdego przybrzeżnego posterunku od Enzport do Essyle był przekonany, że jego niewielki garnizon będzie następnym celem borelgajskiej floty, i wszyscy domagali się więcej armat i ludzi. Generałowie i pułkownicy zaczęli pisać artykuły do gazetek, usiłując poruszyć opinię publiczną i domagając się działania od Zjazdu Generalnego. Z kolei deputowani wydawali skomplikowane polecenia Durenne'owi z Ministerstwa Wojny, często sprzeczne z decyzjami Dyrektoriatu Obrony Narodowej. To, że praktycznie nie było już więcej dział i bardzo mało ludzi, zdawało się nie martwić dowódców walczących o ich resztki.

Jedynie dobre wieści nadeszły ze wschodu, gdzie rozeszła się już wieść o zwycięstwie Janusa pod Diarach. Powszechnie jednak uważano je za niezadowolające. Di Pfalenowi pozwolono uciec i wycofać większość jego wojsk w kierunku Antovy, będącej fundamentem, na którym Liga opierała swoją obronę doliny Velt. Dopóki ta twierdza pozostawała niezdobytą, natarcie nie mogło poczynić żadnych rzeczywistych postępów, ale Janus nawet nie ruszył w tym kierunku, ścigając drugorzędne siły nieprzyjaciela wycofujące się na wschód, do Deslandu. Co więcej, Hamveltajczycy zebrali drugą armię pod dowództwem leciwego, lecz sławnego marszałka Jindenau i oczekiwano, że pomaszerują do Antovy, gdzie przezimują, żeby na wiosnę, gdy śnieg stopnieje na przełęczach, zaatakować Vordan.

Radykalne gazety trąbiły, że winien jest Dyrektoriat zdominowany przez Mauriska i konserwatystów i że potrzebne są zmiany, jeśli Vordan ma zwyciężyć. Natomiast prasa konserwatystów bardzo źle przyjęła zdradę de Brogle'a i teraz wszędzie widziała zdrajców oraz spiski. Maurisk kazał generałowi Hallvezowi zameldować się w stolicy wraz z wieloma pułkownikami podejrzewanymi o niezbyt entuzjastyczne wykonywanie swoich obowiązków i wysłał oddział Gwardii Patriotycznej, żeby tego dopilnował. I codziennie, jak potworny mechanizm, którym w istocie był, Kolec wykonywał swoją krwawą pracę, przebijając serca ludzi, których Gwardia aresztowała na ulicach. Zaledwie poprzedniego dnia jakaś staruszka została stracona za publiczne noszenie futra krojem nieco podobnego do borelgajskiego, gdyż w ten sposób wyrażała poparcie dla nieprzyjaciela; daremnie protestowała, że jej pięciu wnuków służy w wojsku.

Streszczenie tego wszystkiego w kilku zdaniach, które mogły być przesłane pstrykaczem, nie było łatwym zadaniem. Marcus wysyłał także pisemne raporty przez kurierów, lecz niewątpliwie były już nieaktualne, zanim dotarły do adresata. Najważniejsza, co Janus podkreślał z naciskiem, była sytuacja w stolicy i wokół niej, więc Marcus starał się jak najlepiej oddać rosnącą panikę, którą widział w krzykliwych nagłówkach.

Sytuacja polityczna tutaj b. zła, napisał. Ludność wystraszona i gotowa zwrócić się przeciwko każdemu podejrzanemu. Wszechobecna Gwardia Patriotyczna na razie utrzymuje porządek, ale chyba nie na długo. M. z każdym dniem surowszy. Przerwał, żeby się zastanowić i zanurzyć pióro w kałamarzu. *Oficerowie szczególnie podejrzani po zdradzie. Trzeba strzec się pułapek.*

Odłożył pióro i czekał, aż atrament wyschnie, gdy zapukano do drzwi. Marcus już nauczył się odróżniać energiczne stukanie Raesinii od dyskretnego pukania mierantajskiej służby; to

nie była królowa.

– Wejść – powiedział.

– Panie pułkowniku – zameldował się porucznik Uhlan, dowódca sześciu mierantajskich strzelców, których zostawił mu Janus. – Przy drzwiach stoi paru żołnierzy. Twierdzą, że przysłał ich tu kapitan Vahkerson na pańską prośbę.

Marcus przez moment patrzył na niego pustym wzrokiem, zanim przypomniał sobie notatkę, którą wysłał do Kaznodziei z prośbą o dodatkowych ludzi do obrony placówki. Solidny jak zawsze.

– Tak, oczywiście. Wpuść ich i niech ktoś zajmie się ich rzeczami, jeśli jakieś mają.

– Tak jest.

Uhlan zasalutował i wyszedł. Marcus słuchał, jak stukot jego ciężkich buciorów cichnie w głębi korytarza, po czym wrócił do przeglądania panikarskich nagłówków. Niebawem znów usłyszał pukanie, cichsze i ostrożniejsze.

– Wejść.

Dwaj żołnierze w samodziłowych i w przybliżeniu niebieskich kurtkach ochotników weszli i stanęli na baczność przed jego biurkiem. Zasalutowali mu.

– Panie pułkowniku! – powiedział ten po lewej. – Szeregowi Feiss i Dracht meldują się na rozkaz.

Szeregowy Feiss był chłopcem w wieku około siedemnastu lat, wysokim i chudym, o włosach koloru słomy i twarzy dopiero tracącej dziecienną krągłość, mocno poznaczonej trądzikiem. Stał wyprężony jak struna, z oczami wbitymi w jakiś punkt nad lewym ramieniem Marcusa.

Natomiast szeregowy Dracht spokojnie napotkał jego spojrzenie. Marcus odgadł, że jest w tym samym wieku co Feiss, tylko o głowę niższy, z niesfornymi ciemnobłond włosami związanymi w krótki kucyk.

– Ach – rzekł lekko zaskoczony Marcus. – Witamy. Feiss i... Dracht, czy tak?

– Szeregowiec Andria Dracht, panie pułkowniku – przedstawiła się dziewczyna. – Może pan jednak nazywać mnie Andy. Jak wszyscy.

Feiss szturchnął ją łokciem, co zignorowała.

– Co Kaznodzieja... to znaczy kapitan Vahkerson wam powiedział?

– Że potrzebna panu pomoc w pewnej ściśle tajnej sprawie, panie pułkowniku – odparł Feiss, z nutką podniecenia w głosie. – I że wysłała nas, ponieważ jest pewny naszej dyskrecji.

– Gdzie byliście przedtem?

– W szpitalu, panie pułkowniku. Żołnierze uznani za zdolnych do służby są wysyłani do kapitana Vahkersona, który decyduje, gdzie ich przydzielić.

– Rozumiem, że już jesteście zdrowi? – spytał Marcus.

– Tak jest, panie pułkowniku! – wyrzucił z siebie chłopiec. – Miałem złamaną nogę, ale już się zrosła. Ćwiczyłem, biegając wokół uniwersytetu.

Wargi Marcusa poruszyły się w nieznacznym uśmiechu.

– Jak odniosłeś tę kontuzję?

– Zgłosiłem się na ochotnika przed Midvale, panie pułkowniku. Koń upadł na mnie podczas ćwiczeń.

– Pech.

– Moja wina, panie pułkowniku. Za bardzo popędzałem klacz i źle wyliczyłem skok.
– Rozumiem. – Marcus skupił uwagę na Andy. – A ty?
– Ochotniczka z kompanii Szalonej Jane, panie pułkowniku.
– Umiesz ładować muszkiet? – spytał Marcus, uśmiechając się nieco szerzej.
– Ładować, strzelać i nakładać bagnet, panie pułkowniku. – Blask lampy stojącej na jego biurku odbijał się w jej okularach. – I wiem, co robić potem. Walczyłam pod Midvale. Dołączyłabym do Pierwszego Dziewczęcego kapitan Ihernglass, gdybym nie była w szpitalu.

Uśmiech Marcusa nieco przygasł.

– Co się stało?

Andy pokazała prawą dłoń bez dwóch najmniejszych palców, z błyszczącym paskiem zabliznionej rany.

– Oberwałam. Chirurdzy powiedzieli, że mało brakowało, a straciłabym rękę.

Marcus zacisnął zęby. Był przeciwny rzucaniu Skórzanych Kurtek Jane do walki, ale Janus zdecydował inaczej. Dobrze mówić, że potrzebują każdego muszkietu, ale było coś głęboko nienaturalnego w tym, iż dziewczyna tak młoda, że jeszcze niedawno bawiła się lalkami, nosi blizny po odniesionych ranach. To było sprzeczne z najgłębszymi przekonaniem Marcusa: kobiety należy chronić przed niebezpieczeństwem, a nie rozmyślnie je na nie narażać. Jego zdaniem dziewczęta powinny chwycić za broń dopiero wtedy, kiedy zostanie pogrzebany ostatni chłopak.

Jednak Kaznodzieja uważa, że mogę jej ufać. Pokręcił głową. Bóg wie, że potrzebne mi dodatkowe ręce, ale...

Znów rozległo się pukanie do drzwi, tym razem energiczne i głośne, zapowiadające Raesinię.

– No cóż – rzekł Marcus – oboje będziecie mi tu pomagać. Chcę, żebyście dali mi słowo, że nie powiecie nikomu o tym, co się tu dzieje, nawet innym żołnierzom.

– Tak jest, panie pułkowniku! – powiedział Feiss.

Andy skinęła głową i znów zasalutowała.

– W porządku. Uhlan pokaże wam, gdzie będziecie spać.

Odprawił ich machnięciem ręki i odmaszerowali, w wypadku Feissa z lekkim trudem spowodowanym sztywną jak na paradyzie postawą.

– Kim byli ci dwoje? – zapytała Raesinia, gdy odeszli.

– Najwyraźniej posiłkami – mruknął i zamrugął. Osoba stojąca w progu nie wyglądała znajomo. Dopiero po chwili zaskoczył.

– Jak wyglądam? – zapytała, rozkładając ręce.

– Nie jak królowa Vordanu, to pewne – mruknął Marcus.

– I o to chodziło. Oni na pewno mnie nie rozpoznali.

Marcus musiał przyznać, że ta zmiana kostiumu była skuteczna. Właściwie nie było to przebranie, po prostu zebrała włosy i schowała je pod czerwoną czapkę ze sztywnym daszkiem, która wyszczuplała jej twarz, nadając jej chłopięcy wygląd. Jej kurtka też była czerwona, z wysokim kołnierzem i dwoma rzędami lśniących mosiężnych guzików z przodu, a ciemnoszare spodnie miały czerwone lampasy. Czarne skórzane buciki z mosiężnymi sprzączkami dopełniały stroju.

Marcus pomyślał, że wygląda jak dobrej klasy cyrkówka albo impresario orkiestry dętej.

Patrzył na nią z powątpiewaniem.

– Czy posłańcy giełdowi naprawdę tak się ubierają?

– To tradycyjny strój – oświadczyła Raesinia. – Jeden z ich oficjalnych uniformów.

– Czy ja chcę wiedzieć, jak weszłaś w jego posiadanie?

– My... zdobyłyśmy je do pewnego zadania przed rewolucją. Są przydatne. Gońcy mogą wszędzie wchodzić, nie zwracając niczyjej uwagi. Cora przechowywała te stroje w kościele.

– No dobrze. – Marcus zmarszczył brwi. – Nadal mi się to nie podoba. Powinnaś zostać tutaj, gdzie jesteś bezpieczna.

– Tylko że to ja wiem, dokąd idziemy.

– Mogłabyś narysować mi mapę... – Nawet dla samego Marcusa był to słaby argument. – A jeśli nas złapią?

– Nie złapią.

– A jeśli?

Raesinia wzruszyła ramionami.

– Rany boskie, jesteś pułkownikiem. Co zrobią? Po prostu każesz im spadać.

Marcus zerknął na gazety leżące na jego biurku.

– Ranga pułkownika może nie jest już taką ochroną jak kiedyś.

– Masz lepszy pomysł? Każdy dzień zwłoki to dla Mauriska dodatkowy dzień na zacieranie śladów. Jeśli to nie wypali, nie będziemy mieli zbyt wielu możliwości.

Oczywiście, Marcus nie miał lepszego pomysłu. Co nie oznacza, że ten musi mi się podobać.

Raesinia

Mniej więcej w chwili, kiedy przeszli po moście Świętego Uriasza na wyspę Giełdy, Raesinia uświadomiła sobie, że świetnie się bawi, i o mało nie stanęła jak wryta.

Minęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz naprawdę dobrze się bawiła. Na pewno nie od upadku Vendre, śmierci Bena i Faro, oraz od kiedy Maurisk zwrócił się przeciwko niej. Wieczory, gdy pili i spiskowali na tyłach Niebieskiej Maski, wydawały się opowieściami z innych, weselszych czasów, przed opadnięciem czarnej kurtyny rzeczywistości i odpowiedzialności.

Pod pewnymi względami miało to sens. Od rewolucji kraj wpadał z jednego kryzysu w drugi, a każdy dodawał swój unikatowy smaczek nigdy niekończącemu się politycznemu wirowi Zjazdu Generalnego. Raesinia przyglądała się temu z bezsilną rozpaczą, odpowiedzialna za to, co się stało, a zarazem nie mając na to żadnego wpływu. To prowadziłoby do wielu bezsennych nocy, gdyby sen nadal był czymś, czego potrzebowała.

Jednak sprawy nie wyglądały lepiej, a ona była tu, czując się lekka jak piórko. Po raz pierwszy od zdobycia Vendre znów była sama, krocząc ulicami bez królewskiej świty i eskorty. I miała cel, który mogła osiągnąć samodzielnie. Gdyby straciła go z oczu, wystarczyło je tylko zamknąć, żeby zobaczyć małego Emila ciągnącego ciało matki po bruku. Ktokolwiek to zrobił, musi za to zapłacić. A jeśli stał za tym Maurisk...

Oczywiście miała podświadome poczucie winy. Z powodu narażania Sothe i wciągania Marcusa w jej sprawy. Z powodu tego, że czuje się szczęśliwsza niż przez kilka ostatnich tygodni, podczas gdy ludzie cierpią. Jednak Raesinia od dawna żyła z poczuciem winy i nauczyła się zapominać o nim, żeby zrobić co trzeba i odczuwać przyjemność wtedy, kiedy jest to możliwe.

– Coś nie tak? – zapytał Marcus.

Wyraźnie czuł się nieswojo w galowym mundurze ze srebrnym haftem na kołnierzu i złotymi orłami na ramionach. Uparł się i wziął swoją starą sfatygowaną szablę, która nie pasowała do błyszczących guzików i eleganckich, lśniących skórzanych rapci.

– Nie, nic – odparła Raesinia. – Po prostu myślę, że to miejsce bardzo się zmieniło.

Co też było prawdą. Giełda, nieregularny prostokąt otwartego i błotnistego dziedzińca, zajmowała niemal całą powierzchnię wyspy i otaczał ją tylko jeden rząd wysokich budynków. Była bijącym sercem vordanajskiego handlu, cyklonem papieru i pieniądza, wypluwającym nawałnicę listów i posłańców do każdego miasta w kraju. Lekkie skinienie głowy czy uściśnięcie dłoni na Giełdzie mogło oznaczać wypłynięcie floty tysiąc mil dalej lub zrąbanie gęstego lasu, zniszczenie istniejącego od pokoleń rodzinnego interesu lub powstanie nowego kupieckiego imperium.

Stałe stanowiska na obrzeżach dziedzińca należały do książąt handlu, wielkich banków, domów handlowych oraz najpotężniejszych firm przewozowych i kupców. Pomniejsi handlowcy musieli zadowolić się drewnianymi deskami ułożonymi na paru beczkach, grupkami rozstawionymi wokół dziedzińca według jakiegoś skomplikowanego schematu uwzględniającego ich rodzaj biznesu, starszeństwo i wiarygodność. Cora próbowała jej to kiedyś wytłumaczyć, ale już po krótkiej chwili Raesinia miała kwadratowe oczy.

Jednak nawet ona zdołała dostrzec, że teraz sprawy wyglądały inaczej. Liczne wysokie budynki miały ciemne okna i pozamykane okiennice: zagraniczne banki i kupcy opuścili swoje placówki po wybuchu rewolucji lub na wieść o wybuchu wojny. Niektóre, zwłaszcza te, które należały do borelgajskich banków, zostały splądrowane: tłum porozbijał marmury i namalował zjadliwe hasła na fasadach. Inne przyciągnęły dzikich lokatorów albo zakładających prowizoryczne biura na ich schodach lub w przedsionkach kupców, którzy w ogromnych, podpartych kolumnami portykach wyglądali jak karzełki zajmujące siedziby olbrzymów.

Vordanajscy kupcy wciąż tu byli obecni, lecz w ich aktywności na dziedzińcu wyczuwało się desperację. Kurierzy, ubrani w tradycyjne czerwono-szare stroje jak Raesinia, biegali stadami tam i z powrotem, a handlowcy od stolika do stolika, machając rękami i pokrzykując. Gwardia Patriotyczna była wszędzie, ze swymi halabardami oraz niebiesko-czarnymi szarfami, i miała pełne ręce roboty przy utrzymywaniu porządku. Bójki wybuchały z niepokojącą częstotliwością i dobrze ubrani, postawni mężczyźni okładali się pięściami jak uczniaki, dopóki gwardziści ich nie rozdzielili.

Główny budynek giełdy był stary, niski i stał na wschodnim krańcu placu. Cora opowiadała kiedyś Raesinii, że początkowo była to tawerna, w której lubili się zbierać kupcy, a z czasem zmieniła się w rodzaj głównej kwatery, gdzie omawiano ogólne zasady handlu na giełdzie. Kiedyś budynek starej tawerny spłonął i został zastąpiony tym nieładnym, lecz funkcjonalnym dwupiętrowym domem z cegły, bardziej przypominającym magazyn niż cokolwiek innego. Centrala giełdy była tak stara i szacowna, powiedziała Cora, że w przeciwieństwie do banków nie potrzebowała kunsztownych marmurowych fasad, żeby przekonać ludzi o swej wiarygodności. Wszyscy przyjmowali to za pewnik.

Ktoś jednak przynajmniej wziął pod uwagę możliwość, że może stać się celem nieprzyjacielskich sabotażystów, ponieważ na zewnątrz stał oddział Gwardii Patriotycznej. Była tam także formacja regularnego wojska, z muszkietami i w niebieskich mundurach,

ponieważ miały tu siedzibę wojskowe służby kwaterymistrzowskie. Żołnierze zaszalutowali, gdy podeszła do nich z Marcusem i zobaczyli orły na jego naramiennikach. Gwardziści nie oddali honorów, ale nie zagrodzili im drogi. Raesinia trzymała się parę kroków za Marcusem, usiłując wyglądać jak posłuszna służąca.

Wewnątrz był rozległy przedsionek, nisko sklepiony i wywołujący klaustrofobię, z co najmniej dwoma tuzinami drzwi prowadzących w głąb budynku. Kurierzy, w takich samych uniformach jak ten Raesinii, nieustannie przychodzili i wychodzili z kopertami lub paczkami. Kolejne straże, zarówno wojska, jak i Gwardii, stały pod ścianami, a za okrągłym kontuarem na środku czterech znękani młodzieńcy gorączkowo wertowali akta i rzucali krótkie polecenia kolejce czekających kurierów i służących.

Marcus skierował się tam, zgodnie z instrukcjami Raesinii. Ze zdziwieniem zauważyła, że jego zachowanie zmieniło się, jakby założył maskę. Przy niej musiał walczyć z wpojonym nawykiem posłuszeństwa, więc była lekko zaskoczona, widząc, jak przybrał surową i zniecierpliwioną minę oficera. Raesinia podejrzewała, że dowodzenie wymaga pewnych zdolności aktorskich i roztaczania aury niezachwianej pewności siebie dla podtrzymania morale podwładnych. Marcus może być w tym lepszy, niż sądzi.

– Tak? – warknął sekretarz za biurkiem, po czym podniósł głowę i dodał: – Panie pułkowniku?

– Rejestry handlowe – rzekł Marcus.

– Co z nimi?

– Muszę je sprawdzić – rzucił lakonicznie i kategorycznie Marcus.

– Panie pułkowniku – odparł z wymuszonym uśmiechem sekretarz – chociaż staramy się być pomocni, nasze rejestry handlowe zajmują dużą część tego budynku. Nie mogę wszystkich ich tu przynieść. Czy jest coś, czym jest pan szczególnie zainteresowany?

– Będę wiedział, kiedy to zobaczę – warknął Marcus.

– Będę asystowała pułkownikowi – powiedziała Raesinia. Sekretarz na jej widok lekko uniósł brwi, ale nic poza tym: kobiety wprawdzie rzadko, ale bywały kurierami. – Tylko wskażcie nam, gdzie znajdują się lokalne rejestry handlowe z tego roku, a zejdziemy wam z oczu.

Sekretarz westchnął i wskazał drzwi.

– Dopilnuj, żeby niczego nie pomieszał – rzekł do Raesinii. – Stracisz pracę, jeśli zostawicie tam bałagan.

– Oczywiście. – Raesinia spojrzała na Marcusa. – Proszę za mną, panie pułkowniku.

Strażnik stojący przy drzwiach otworzył je kluczem, który miał przy pasie, po czym zamknął za nimi, gdy weszli do środka. Znaleźli się w korytarzu z drewnianą podłogą prowadzącym do schodów na tyłach. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

– I już? – dziwił się Marcus. – Nie wierzę, że się udało.

– Mundury. – Raesinia trąciła jeden z guzików swojego uniformu. – Nauczyłam się tego od Sothe. Noś mundur jak należy, a już jesteś w połowie drogi. Odrobina tupetu zwykle robi resztę. Chodźmy.

Schody prowadziły prosto na drugie piętro, które – tak jak sugerował sekretarz – było niemal wypełnione rejestrami. Długie rzędy półek pełnych grubych tomów w taniej płóciennej oprawie ciągnęły się od ściany do ściany, lecz Raesinia poprowadziła Marcusa dalej, nawet

nie rzuciwszy na nie okiem.

– Te są stare – wyjaśniła. – Giełda po paru latach każe je kopiować i oprawiać. To, czego chcemy, jest dalej.

Oczywiście tylko powtarzała to, co powiedziała jej Cora, ale trudno było jej oprzeć się okazji udawania eksperta. Marcus wyraźnie był pod wrażeniem i Raesinia uśmiechnęła się w duchu.

Najwidoczniej nie było zbyt wielkiego zainteresowania rejestrami handlowymi, gdyż piętro wyglądało na niemal opuszczone. Na końcu wielkiej sali z księgami kilka korytarzy wiodło do labiryntu mniejszych pomieszczeń. Prowadzące do nich drzwi były pozamykane i oznaczone tajemniczymi symbolami. Raesinia na próbę uchyliła jedno z przyczepioną kartką z symbolem GNS0708 i zobaczyła pokój pełen stosów ksiąg handlowych, powiązanych sznurkiem i opatrzonych kolejnymi zagadkowymi znakami. Dwoje następnych drzwi, które próbowała otworzyć, okazało się zamknięte na klucz, a kolejne wiodły do pustego pomieszczenia.

Cora powiedziała jej, czego ma szukać, ale nigdy tu nie była i nie знаła skomplikowanego systemu katalogowania akt używanego przez giełdę. Raesinia ze zniechęceniem spojrzała na rzędy identycznych drzwi.

– I co teraz? – spytał Marcus, wychodząc przed nią, żeby rozejrzeć się na boki.

– Myślę.

– Myśl szybko.

Raesinia otworzyła usta, ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdyż Marcus złapał ją za ramię i pospiesznie wciągnął za załom korytarza. Wydała pozbawiony godności pisk, gdy przycisnął ją do ściany i skulił się obok niej.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła.

– Ktoś nadchodzi.

– Możesz przestać się zachowywać, jakbyśmy wykradali kogoś z Vendre? Mamy udawać, że jesteśmy tu zupełnie legalnie. – Raesinia wysliznęła się z jego uchwytu i wyrzała zza rogu. Jakiś staruszek w skórzanym fartuchu powoli szedł korytarzem, nucąc coś pod nosem. Schowała się, zanim ją zauważył. – Zostań tu.

Marcus wyglądał na urażonego, ale nie zaprotestował. Raesinia oderwała się od ściany, cofnęła się o krok i spokojnie wyszła na korytarz, z zaaferowaną miną odczytując napisy na mijanych drzwiach. Na widok staruszka uśmiechnęła się, a on odpowiedział jej uśmiechem.

– Przepraszam – powiedziała, robiąc potulną minę. – Mam odszukać lokalne rejestry handlowe, ale chyba się zgubiłam.

– Opanowanie systemu katalogowania zajmuje trochę czasu – życzliwie odparł staruszek. – Jakiegoś konkretnego produktu?

– Prochu strzelniczego. – Wyjawienie, czego szukają, było ryzykowne, gdyż mogło ostrzec sprawcę, ale spiszek przeciwko niej nie mógł obejmować każdego urzędnika, który się napatoczył. – Zapisy z kilku ostatnich miesięcy.

– Potrzebne ci PEX08 – powiedział. – To za rogiem, tędy. Masz klucz?

Raesinia kiwnęła głową.

– Dzięki! Tylko zabiorę mój bagaż.

Weszła za róg i złapała Marcusa za rękę.

– Zrób nadętą minę – syknęła do niego, po czym przeprowadziła go obok staruszka.

Trzeba przyznać Marcusowi, że przechodząc, miał bardzo wyniosłą minę. Mijając starszka, Raesinia teatralnie uniosła brwi, a on do niej mrugnął.

Kiedy nie mógł ich już usłyszeć, Marcus spojrział na nią pytająco.

– Nadęta mina?

– Najłatwiej zjednać sobie kogoś, sugerując „ty i ja przeciwko tym wszystkim idiotom”. Domyślam się, że personel giełdy nie jest zadowolony z obecności wojska.

– Cieszę się, że mogłem posłużyć za użytecznego idiotę – rzekł Marcus. – Dokąd teraz idziemy?

– Właśnie tu. – Raesinia zatrzymała się przed drzwiami oznaczonymi PEX08. Nacisnęła klamkę i tak jak oczekiwała, okazały się zamknięte.

– Niech zgadnę – powiedział Marcus, uśmiechając się. – Sothe nauczyła cię też otwierać zamki wytrychami?

– Skądże. – Raesinia rozpięła guzik i rozchyliła kurtkę tak, żeby móc wsunąć rękę za kołnierz. Wyjęła cienką metalową sztabę, która przez cały ranek ocierała jej plecy. Łom miał prawie pół metra długości i klinowato ścięty koniec. – Nauczyła mnie – dodała, zapinając kołnierzyk – że tylko uprzejmi włamywacze używają wytrychów. – Wsunęła cienki koniec klina pomiędzy drzwi a klamkę, tuż przy zamku, poruszając nim wahadłowym ruchem – czemu towarzyszył trzask pękającego drewna – aż dobrze utkwiał w szczelinie. Wtedy Raesinia puściła sztabę i cofnęła się, pozostawiając ją tkwiącą pod kątem czterdziestu pięciu stopni do płaszczyzny drzwi. – Pociągnij, proszę. Z całej siły.

Marcus przystanął i obejrzał się przez ramię, ale kroków starego dozorczy już nie było słychać. Oburącz ujął sztabę i zaparł się stopami. Pociągnął i dźwignia zadziałała: drewno trzymające zatrzask po obu stronach drzwi pękło z cichym chrupnięciem. Drzwi uchyliły się do środka.

Raesinia wzięła od Marcusa łom i ostrożnie schowała go za kołnierzem. Marcus obejrzał futrynę, marszcząc brwi.

– Ktoś może to zauważyć – rzekł.

– Do tego czasu dawno nas tu nie będzie. Nie wydaje się, żeby te pomieszczenia były ostatnio często odwiedzane. – Gruba warstwa kurzu leżała na stosach powiązanych sznurkiem książ, bezładnie spiętrzonych w pokoju. – Ty sprawdź tę stronę, ja tamtą.

– Czego mam szukać?

– Wszystkiego o młynie Halversona.

Kiwnął głową i rozpoczęli poszukiwania. Warstwa kurzu była tak gruba, że Raesinia musiała ścierać go palcem z grzbietów niektórych książ, żeby odczytać widniejące tam nazwy. Książ było więcej, niż początkowo sądziła, ale były pogrupowane i związane razem, tak więc robiła stosunkowo szybkie postępy. Zbliżała się do końca pomieszczenia, gdy raptem wyprostowała się, słysząc jakiś dźwięk na korytarzu.

– Chyba mam – powiedział Marcus. – W każdym razie jest tu cała sterta książ z napisem Halverson...

– Cii. – Raesinia uniosła dłoń. Odgłos kroków zbliżał się. – Ktoś nadchodzi.

– Czy znów mam zrobić nadętą minę?

– Podziałałaby, zanim wyważyliśmy drzwi.

– Może powinnaś się nauczyć być uprzejmym włamywaczem.

Raesinia nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Marcus potrafił być zabawny, kiedy zapominał, że rozmawia z królową. Poczła się trochę tak jak przy Sothe z jej wisielczym poczuciem humoru.

Kroki zbliżały się. Raesinia podkradła się do drzwi i wyjrzała. Zza rogu wychodził młodzieniec w trójgraniastym kapeluszu i z niebiesko-czarną szarfą, patrząc na każde mijane drzwi, jakby czegoś szukał.

– Gwardzista – szepnęła. – Myślę, że to nas szuka.

Marcus stanął za uchylonymi drzwiami.

– Masz jakiś pomysł?

– Kiedy tu wejdzie, ja odwrócę jego uwagę, a ty go załatwisz.

– A jakiś dobry pomysł? – dopytywał się Marcus, ale kroki były już blisko. Energicznie machnął do niej ręką, nie odważając się mówić.

Raesinia rozejrzała się. Pod ścianą obok niej stała zachęcająco duża drewniana skrzynia, która zapewne miała służyć jako kosz na śmieci. Złapała ją i odwróciła do góry dnem, po czym z namysłem spojrzała na Marcusa. Gwardzista był w przybliżeniu równy mu wzrostem. Będzie musiała podskoczyć.

Marcus widocznie odgadł jej zamiary, ponieważ rozpaczliwie machał ręką. Nie, nie, nie. Raesinia parę razy stanęła na palcach, szykując się do skoku.

Strażnik wyszedł zza rogu, spojrział na uszkodzoną futrynę i uchylone drzwi. Odwrócił się przy tym plecami do Raesinii, a ona właśnie tego potrzebowała. Podskoczyła ze skrzynką w rękach i nałożyła mu ją na głowę. Zaskoczony gwardzista ze zduszonym okrzykiem zatoczył się na drzwi, a Marcus wyskoczył zza nich, złapał go za ramię i rzucił nim o ścianę. Powietrze z cichym świstem uszło z płuc gwardzisty.

Raesinia błyskawicznie doskoczyła do niego i wbiła palec wskazujący w jego plecy.

– Krzykniesz, to wbiję ci go w nerkę – powiedziała ochryłym głosem. Nie miała noża, ale nie sądziła, żeby przez kurtkę wyczuł różnicę. – Bądź cicho, a nic ci się nie stanie. Zabierz mu pas z mieczem.

Gwardzista jęknął, ale nie krzyknął. Marcus odpiął mu miecz, położył go na podłodze, a pasem związał mężczyźnie ręce na plecach. Raesinia rozpięła szarfę gwardzisty, stając na palcach, zdjęła mu pudło z głowy i zakneblowała go tą niebiesko-czarną opaską. Mocno zawiązała ją mu na karku, po czym cofnęła się, podziwiając swoje rękodzieło.

Marcus spojrział na nią i unióśł brwi. Raesinia podeszła do pakietu książek, które przeglądał, i podniosła je ze stęknieniem. Kiedy wyszła z pokoju, Marcus przymknął uszkodzone drzwi.

– Ja je poniosę – powiedział.

– Mam być twoim posłańcem. Noszenie paczek to moja robota. – Musiała odchylić głowę do tyłu, żeby przycisnąć brodą naręczce książek i widzieć, dokąd idzie.

– A więc mamy tak po prostu stąd wyjść?

– Właśnie. Z gracją i powoli. Jakby nigdy nic.

– Jednak gotowi do ucieczki? – spytał Marcus.

– Oczywiście.

Marcus

Marcus nigdy by w to nie uwierzył, ale właśnie tak się stało: wyszli z gracją i powoli, przez nikogo niezatrzymywani. On i Raesinia wymaszerowali z głównego budynku giełdy z

rejestrami, mijając tuzin gwardzistów i tyłuż żołnierzy, i nikt nie zwrócił na nich uwagi. Po cokolwiek wysłano tamtego gwardzistę, najwyraźniej nie było to powodem do ogłaszania alarmu.

Kiedy wyszli z gwarne go tłumu na giełdzie, Marcus poczuł się znacznie bezpieczniej. Wprowadził Raesinę w najbliższą boczną uliczkę, która po kilku zakrętach zaprowadziła ich na tyły budynków giełdy, tuż nad wodą. Schronili się w załomie schodów i Raesinia zabrała się do przeglądania ksiąg. Była sprawniejsza, niż na to wyglądała – nawet się nie zasapała.

– To nie był dobry pomysł – stwierdził.

– Jednak zadziałał, czyż nie?

– To, że zadziałał, nie znaczy, że był dobry. Gdyby ten gwardzista wezwał pomoc, mielibyśmy poważne kłopoty.

– Niewiele można było na to poradzić, chyba że chciałeś poderżnąć mu gardło, zanim zdążyłby to zrobić. Przypuszczałam, że raczej nie chciałeś.

– Dobrze przypuszczałaś – rzekł Marcus. Mógł nie lubić gwardzistów, ale miałby wyrzuty sumienia, gdyby zabił z zimną krwią jednego z nich za to, że robi swoje. – Mam nadzieję, że rozumiesz, że kiedy w końcu ktoś go znajdzie, będą wiedzieli, że te rejestry zaginęły.

– Wiem – odparła Raesinia, rozwiązując sznurek trzymający księgi. – I spiskowcy się dowiedzą. Raczej prędzej niż później, jeśli to Maurisk jest naszym przeciwnikiem. – Otworzyła pierwszą księgę i przewróciła kilka kartek, po czym pokręciła głową. – Musimy je zanieść do Cory. Zrozumienie tego zabrałoby mi kilka tygodni, a nie mamy teraz tyle czasu.

Marcus popatrzył na nią, na jej chłopięcy czerwony uniform – teraz umazany kurzem – i zawadiacką czapeczkę. Pokręcił głową.

– No co? – spytała.

– Pomyślałem tylko, że nie mogłabyś być bardziej inna, niż się spodziewałem.

Raesinia przewróciła oczami.

– Przykro mi, że tak cię rozczarowałam.

– To nie rozczarowanie – odparł Marcus, z zaskoczeniem odkrywając, że naprawdę tak uważa. – Tylko lekkie zaskoczenie.

– Zobacz, czy uda ci się znaleźć jakąś łódź – poleciła, z powrotem owijając rejestry. – Tak najłatwiej byłoby nam wrócić do Bliźniaczych Wieżyczek, a tam moglibyśmy przebrać się w niezwracające uwagi stroje i złożyć wizytę Corze. Wątpię, czy odwiedza ją wielu kurierów z giełdy.

– Jak Wasza Wysokość każe – powiedział Marcus, kłaniając się nisko.

– Nie zmuszaj mnie, żebym walnęła cię czymś.

Osiem

Winter

W ciągu jednego popołudnia diabli wzięli z takim trudem wypracowane przez Winter koleżeńskie relacje pomiędzy królewskimi a Pierwszym Dziewczęcem. Zanim zamieszki uspokojono, pozostało im zaledwie dość czasu na zaplanowany na ten dzień przemarsz, a ponieważ wyznaczona trasa schodziła z drogi i wiodła w górę lesistego zbocza, przybyli na miejsce później niż zwykle. Bez rozkazu Pierwszy Dziewczęcy znów rozbił oddzielny obóz, rozstawiając uzbrojone warty. Wiele dziewczyn nosiło ślady porannej bójki – sińce i podbite oczy, zabandażowane skaleczenia i czasem połamane palce. Królewscy wyglądali podobnie i w ich obozie słychać było więcej narzekań.

Znalezienie człowieka, który to spowodował, nie było trudne, gdyż leżał nieprzytomny na ziemi, gdy Winter przybyła zaprowadzić porządek. Z perspektywy czasu jego tożsamość nie była niespodzianką.

– Porucznik Novus – powiedziała Winter, wszedłszy do namiotu, w którym urządzono prowizoryczne więzienie.

Novus był przywiązany do krzesła, miał ogromnego sińca na jednej połowie twarzy, a jego starannie ufryzowane włosy teraz przypominały wronie gniazdo. Pomimo to przywołał na usta drwiący uśmiech na jej powitanie.

Powinam była to przewidzieć. Novus jasno dał do zrozumienia, że nie ma respektu ani dla Pierwszego Dziewczęcego, ani dla autorytetu Winter, a ona pozwoliła mu wierzyć, że takie gadanie może mu ująć na sucho. Nieuchronnie musiał zrobić coś głupiego.

– Pułkownik – powiedział. – Zakładam, że przyszedł pan wyjaśnić to nieporozumienie?

– Coś w tym rodzaju – powiedziała Winter.

– Szeregowa Valon uderzyła mnie w twarz na oczach świadków – rzekł Novus. – Ufam, że zostanie należycie ukarana.

Winter spojrzała na niego z niedowierzaniem. Novus miał niezdrowy błysk w oczach i nie wiedziała, czy oczekuje poważnej odpowiedzi.

– Szeregowa Valon – zaczęła Winter – powiedziała mi, że złapał ją pan za pierś, a następnie próbował przewrócić na ziemię. Zaprzecza pan temu?

Novus wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwalały na to pęta.

– Złożyła mi oczywistą propozycję.

– Nie wspominała o żadnej propozycji.

Porucznik podniósł brew.

– Jeśli kobieta przejdzie obok ciebie półnaga, żebyś dobrze się jej przyjrzał, to co pan by pomyślał, pułkowniku?

– Że wraca z kąpieli.

Emily Valon, blondynka, która tak dobrze radziła sobie podczas meczu piłki ręcznej, powiedziała jej, że Novus czekał na ścieżce wiodącej do strumienia, w którym żołnierze się myli. Novus twierdził, że przypadkiem tamtędy przechodził, ale nikt w to nie wierzył.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– No cóż. Niektórzy z nas wiedzą lepiej.

– A podobno na widok kogoś takiego jak ona robi się panu niedobrze.

Kolejna próba wzruszenia ramionami.

– Wszyscy wiedzą, że ci „żołnierze” kapitan Verity obsługują połowę batalionu. Dlaczego miałbym sobie odmawiać?

Winter nabrała tchu. Miała chęć wrzasnąć na niego, wziąć kamień i wbić trochę rozumu do jego mózdzku. Widocznie udziela mi się nastawienie Jane. Takie zachowanie byłoby niewłaściwe dla starszego oficera; na szczęście miała inne możliwości.

– Poruczniku Benjaminie Novusie – powiedziała – z chwilą obecną jesteś zdymisjonowany. Pierwszym transportem zaopatrzeniowym zostaniesz odesłany do Vordanu, gdzie będziesz oczekiwał na decyzję dowódcy armii.

– Nie mówisz poważnie. – Drgnął, jakby chciał zerwać się na równe nogi, i szarpnął więzy.

– Ona mnie uderzyła!

– Szeregową Valon broniła się przed napaścią zgodnie z najlepszymi tradycjami wojskowymi.

– Ty niekompetentny głupcze – prychnął Novus. – Nie masz pojęcia, z jakiej pochodzę rodziny, prawda? Jeśli zamierzasz zrobić jakąkolwiek karierę po zakończeniu tego cyrku, to zapomnij o tym. Będziesz miał szczęście, jeśli nie wyślą cię z powrotem do Khandaru!

– Masz rację, że nie mam pojęcia o twoim pochodzeniu – odparła Winter. – I nic mnie ono nie obchodzi. Co ważniejsze, wątpię, by obchodziło to Janusa. Odprawił tuzin pułkowników, więc nie będzie się przejmował jednym porucznikiem. – Nachyliła się do niego. – Powiem więcej, poruczniku. Masz szczęście, że potraktuję cię tak łagodnie. Mam prawo cię rozstrzelać.

Może trochę przesadziła, ale tylko odrobinę. W regulaminie nie było żadnej wzmianki o próbie gwałtu, ale „niesprowokowana napaść na innego żołnierza skutkująca poważnym uszkodzeniem ciała” podczas działań wojennych mogła być uznana przez dowódcę za jedno z najcięższych wykroczeń. Zadając celny cios pięścią, Valon prawdopodobnie uratowała Novusowi życie, chociaż porucznik z pewnością nigdy jej za to nie podziękuje.

Novus rozdziawił usta.

– Nie może pan tego zrobić. Nie może pan! Jutro będziemy walczyć. Ludzie mnie potrzebują.

– Myślę, że poradzą sobie bez pana. – Chociaż Winter istotnie miała poczucie winy, że w przededniu bitwy pozbawia kapitana Sevrana zastępcy. – Teraz pan wybaczy, ale muszę iść uporządkować bałagan, którego pan narobił.

Novus miał rację w jednym – nazajutrz będzie bitwa. Deslandzka armia nie zamierzała się wycofać ze swoich pozycji wokół Gaafen, które na skraju miasta i kilku pobliskich gospodarstw tworzyły łuk na obu końcach oparty o rzekę. Wbrew nadziejom Winter generał Janus jeszcze nie wyjawiał, jakim błyskotliwym manewrem zamierza uniknąć frontalnego ataku. Tuż przed zmrokiem przyszedł rozkaz, że trzeci pułk liniowy ma zająć wzniesienie w odległości około mili od obecnego obozu i czekać na dalsze instrukcje.

Winter bardzo chciała zobaczyć się z Jane, lecz to kapitan Sevrana czekał na nią, gdy wróciła do namiotu. Znużonym machnięciem ręki powstrzymała jego próbę zasalutowania i zaprosiła go do środka.

– Chcę przeprosić, panie pułkowniku – rzekł. – Novus jest jednym z moich żołnierzy i

powiniennem lepiej trzymać go w ryzach.

– Sam powiniennem coś z nim zrobić. – Winter ciężko opadła na siennik i zaczęła rozwiązywać buty. – Czy jeszcze któryś z pańskich młodych szlachciców może spróbować czegoś podobnego?

– Wątpię. – Słaby uśmiech przemknął po wargach Sevrana. – Myślę, że otrzymali dobrą lekcję. Żołnierze kapitan Verity potrafią się bronić. – Wzruszył ramionami. – Może trudno w to uwierzyć, ale wielu żołnierzy jest równie rozgniewanych na Novusa jak Pierwszy Dziewczęcy.

– To nie powstrzymało ich od bijatyki dziś rano.

– Nie wiedzieli, co się stało. Kiedy widzi się walczących kolegów, nie zadaje się pytań, tylko rusza im z pomocą. A później... – Potrząsnął głową. – Jednak oddział kapitan Verity znów traktuje nas jak wrogów.

– Nie wiem, czy mogę je za to winić. – Winter westchnęła. – Porozmawiam z kapitan Verity. Jednak nie mamy czasu na załagodzenie sytuacji.

– Dostał pan nasze rozkazy?

Skinęła głową.

– Wyruszamy trzy godziny po świcie. Proszę dopilnować, żeby wszyscy oficerowie się o tym dowiedzieli. Wszyscy mają wstać o świcie, żeby mieć czas zjeść ciepły posiłek i sformować szyk.

– Rozumiem, panie pułkowniku. – Sevrana odwrócił się, żeby wyjść, ale zatrzymał się. – Choć wiem, że to za mało, jeszcze raz przepraszam.

Dzień wstał słoneczny i bezchmurny, z chłodnym jesiennym wiatrem przelatującym nad polem przyszłej bitwy i rozpraszającym pasma chmur na niebie. Winter, siedząc na Edgarze, zamruwała klejącymi się powiekami i patrzyła, jak jej pułk podąża po brązowiejącej szczecinie rżysk.

Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Każdy batalion maszerował w kolumnie szerokiej na dwie kompanie, idące w takiej odległości od siebie, że obie mogły szybko utworzyć szereg. Królewscy, trzeba to przyznać, trzymali szyk nieco lepiej niż Pierwszy Dziewczęcy, który mniej wprawnie poruszał się na otwartej przestrzeni, ale na tak łatwym terenie nawet nowicjusze mogli utrzymać równy szereg. Folsom i Graff prowadzili dwie pierwsze kompanie i nawet z miejsca, gdzie siedziała na koniu, znacznie wysuniętego naprzód, słyszała miarowe bicie werbli i wykrzykiwane przez Folsoma rozkazy. Poczty sztandarowe na czele każdego batalionu niosły niebieskie vordanajskie flagi, które łopotwały na wietrze.

Nieco dalej reszta armii Wschód wylaniała się z porastającego wzniesienie lasu. Ten wydłużony pagórek, ciągnący się mniej więcej ze wschodu na zachód, leżał na trasie ich przemarszu. Jego zbocze opadało do strumienia, zbyt płytkiego o tej porze roku, żeby stanowił realną przeszkodę, a potem znów się wznosiło ku nieco niższej grani. Z niewielkiego wzniesienia, na którym obecnie zajęła pozycję, Winter widziała pola ciągnące się aż do Kos, przecinającej je srebrną wstążką.

Grań była za daleko od rzeki, żeby Deslandczycy przysłali tu więcej niż kilku zwiadowców, którzy umknęli pędem na widok zbliżającej się kolumny żołnierzy w niebieskich mundurach. Winter oceniła, że znajdują się ponad milę od skraju miasta. Było to skupisko krytych gontem domów o bielonych ścianach, wyglądające jak większa wersja wiosek, przez które

przechodzili. Wszędzie biegały maleńkie postacie w jasnych żółto-pomarańczowych kurtkach, nieco ciemniejszych od jaskrawożółtych mundurów ich hamveltajskich sojuszników. Z tej odległości wyglądały jak rój kolorowych owadów.

Jej pułk szedł daleko po prawej, na wschodnim krańcu vordanajskiego szyku. Bliżej była tylko jedna bateria artylerii, żmudnie wciągana na wzgórze przez utrudzone konie, oraz kilka szwadronów kawalerii podążających w niespiesznym tempie. Po lewej wspinał się na wzgórze inny pułk, w trzybatalionowej kolumnie. Za nim następny i jeszcze jeden, a kolejne podążały w odwodzie, na przemian z działami. Czterdzieści tysięcy ludzi robi wrażenie. W trakcie marszu oddzielnymi kolumnami łatwo było zapomnieć, jak liczna jest naprawdę armia Wschód; sześć lub siedem razy liczniejsza od kolonialnego korpusu, którym Janus dowodził w Khandarze.

Winter osłoniła dłonią oczy, wypatrując w kolumnie znajomego sztandaru. Dawne oddziały kolonialne były czymś w rodzaju straży przybocznej Janusa i jego najlepszymi formacjami, wykonującymi w bitwie zadania, których nie powierzyłby innym. Zwykle maszerowały w samym środku szyku, lecz tym razem albo ich tam nie było, albo zasłaniała je jakaś nierówność terenu. Może trzyma je z tyłu jako odwód. Pokręciła głową i skupiła się na bardziej palących problemach.

Ona oraz czekające w pobliżu Bobby i Cyte, również na koniach, znajdowały się mniej więcej w tym miejscu, w którym Janus kazał pułkowi zająć pozycję. Wokół były niemal same rżyska i tylko napotykanie tu i ówdzie głązy lub żywopłoty zakłócały równy szyk nadchodzącej armii. Kilkaset metrów dalej, tam gdzie strumyk cienką strużką płynął ku rzece, stało kilka budynków – parterowa chata i parę zabudowań gospodarskich otoczonych białym, sięgającym pasa płótkiem. Na podwórku widać było kilka kur, lecz poza tym ani śladu ruchu: mieszkańcy uciekli lub schowali się w piwnicy.

Przez chwilę, czekając, aż jej żołnierze wejdą na wzgórze, Winter czuła dziwny spokój. Wkrótce zginie tu wielu ludzi, mężczyzn i kobiet – ona sama może umrze, zaledwie zdążywszy usłyszeć świst nadlatującej kuli armatniej – ale to wydawało się dziwnie nierzeczywiste, niewłaściwe w tej malowniczej dolinie z jej schludnym miasteczkiem i łagodnie wijącą się rzeką. Miała wrażenie, że ranek zamarł w tym momencie, jakby wszyscy zastygli jako postacie obrazu.

– Panie pułkowniku? – powiedziała Bobby.

– Hmm?

Winter zamrugła i rozejrzała się. Kolumny dotarły na szczyt wzgórza i spokój prysł, zakłócony warkotem werbli i pokrzykiwaniami sierżantów. Gdy dwie pierwsze kompanie każdego batalionu czekały na pozycji, reszta kolumny się rozdzieliła: kolejne kompanie najpierw rozchodziły się na boki, a potem szły naprzód, aż stanęły równo z poprzednimi. Przynajmniej teoretycznie. Królewscy zrobili to znośnie, ale kompanie Pierwszego Dziewczęcego źle oceniały odległość i w rezultacie stanęły za blisko lub za daleko od siebie. Porucznicy korygowali to władczyimi gestami, a sierżanci, klnąc i wrzeszcząc, kierowali kobiety na właściwe pozycje. Po kilku minutach pułk stał w równej linii: królewscy w jednolicie niebieskich mundurach po lewej, a Pierwszy Dziewczęcy w niebieskich kurtkach na rozmaitego koloru strojach po prawej.

– Nie tak źle – orzekła Winter. – Bobby, skocz i powiedz kapitanowi Sevranowi, że proszę

go na słówko. Cyte, możesz sprowadzić Jane?

– Tak jest!

Obie zasalutowały i rozjechały się w przeciwnie strony.

Jane przybyła niemal natychmiast; widocznie sama już zamierzała się zobaczyć z Winter. Jednak patrząc na nią z końskiego grzbietu, Winter czuła się głupio, zsiadła więc z Edgara i skinieniem głowy odpowiedziała salutującej kapitan.

Chłodne spojrzenie zielonych oczu Jane było dziwnie niepokojące. Od tamtego incydentu z Novusem nie zamieniły więcej jak kilka słów; poprzedniego wieczoru Winter wydawało się, że Jane trochę złagodniała, ale teraz nie wiedziała, na czym stoi. Stoimy tu, na polu bitwy, jako pułkownik i kapitan. Resztę możemy ustalić później.

– Zajęliśmy pozycję, panie pułkowniku – powiedziała Jane, jakby Winter sama tego nie widziała. – Co teraz?

– Teraz czekamy – odparła Winter.

– Tylko czekamy?

– Jesteśmy tu, gdzie chciał Janus. Jeśli wróg się nie ruszy, my też nie. – Winter zerknęła przez ramię, na środek linii, gdzie stały szersze kolumny vordanajskich niebieskich mundurów.

– Domyślam się, że pierwszy atak nastąpi tutaj, ale z Janusem nigdy nie wiadomo. Po prostu musimy być gotowi.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Jane znów zasalutowała. – Czy to wszystko?

Winter się zawahała. Miała wrażenie, że Jane czeka na coś, na jakiś jej gest, lecz to nie był odpowiedni czas ani miejsce, na oczach połowy armii. Lekko skinęła głową, czując się przy tym tak, jakby połknęła rozżarzony węgiel. Jane odwróciła się i pomaszerowała z powrotem do Pierwszego Dziewczęcego.

Kapitan Sevrans przybył kilka minut później. Miał na sobie czysty mundur, który wyglądał, jakby właśnie został odebrany od krawca, a za pasem mosiężną lunetę. Zasalutował słuźbiście.

– Panie pułkowniku!

– Kapitanie – powiedziała Winter. – Dobra robota.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

W głębi doliny kolorowe punkciki kłębiły się na skraju miasteczka, gdy Deslandczycy kończyli przygotowania. Sevrans obserwował ich w zadumie.

– Coś nie tak, kapitanie?

– Nie, panie pułkowniku. – Sevrans się zawahał. – Tylko... jestem trochę niespokojny. To moja pierwsza prawdziwa bitwa.

Winter poczuła nagły przypływ współczucia. Pamiętała, jak było w Khandarze, gdy znała na pamięć regulamin i instrukcję posługiwania się bronią, ale nigdy nie stanęła oko w oko z żywym wrogiem. Sevrans, absolwent szkoły wojskowej, przez całe życie szykował się na tę chwilę, która teraz w końcu nadeszła. Niespokojny to łagodne określenie.

– Cóż, na razie jest dość spokojnie – rzekła Winter, mając nadzieję, że zabrzmiało to krzepiąco.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Sevrans wskazał na gospodarstwo. – Może powinniśmy je zająć? Byłoby to niezłe stanowisko obronne.

– Na razie nie – odparła Winter. – Jeszcze nie wiemy, czy atak pójdzie w tym kierunku. Zaczekajmy, aż nieprzyjaciel zrobi pierwszy ruch. Zobaczymy z daleka, że nadchodzą...

– Panie pułkowniku – przerwała jej Cyte. – Coś jest nie tak.

Winter i Sevrans odwrócili się, aby spojrzeć tam, gdzie wskazywała palcem. Bateria artylerii po ich prawej weszła na szczyt wzgórza, ale nie zatrzymała się tam. Winter zmrużyła oczy, usiłując odgadnąć, co oni zamierzają.

– Do diabła – rzekł Sevrans. – Komuś pomyliły się pozycje. Jeśli wysuną się za daleko, zostaną odcięci.

Winter skinęła głową. Na pozycji Deslandczyków widać było kilka szwadronów kawalerii, a bateria dział bez wsparcia piechoty byłaby łatwą zdobyczą dla konnicy.

– Bobby! – zawołała. Gdy ta się zjawiała, Winter pokazała jej zabląkaną baterię. – Jedź tam i powiedz ich dowódcy, że kieruje się prosto na wroga. Musi wrócić na szczyt tego wzgórza.

– Tajest! – Bobby zsalutowała i pobiegła po swojego konia.

Sevrans przez lunetę obserwował Deslandczyków na skraju miasta.

– Oni coś tam szykują – skomentował. – Jest tam większe zamieszanie, niż można by oczekiwać, gdyby zamierzali tylko się okopać i czekać. Do tej pory wszystko mieliby już przygotowane.

Winter patrzyła, jak Bobby dosiada konia i rusza w kierunku miasta. W tym momencie na zabarykadowanej ulicy zobaczyła błysk i chmurę dymu, a potem fontannę ziemi wyrzuconą przez kulę armatnią na zboczu, sto metrów przed vordanajską linią i sporo na lewo. Później, z opóźnieniem, odległy huk wystrzału odbił się echem w dolinie.

Bateria dużych dwunastofuntówek na szczycie wzgórza odpowiedziała ogniem i szereg rozbłysków przeleciał wzdłuż rzędu ustawionych dział, jak płomień po lonicie. Przewaga wysokości dawała im większy zasięg od deslandzkich armat i salwa przemknęła nad głowami żołnierzy, po czym przeorała ulice Gaafen. Jeden pocisk trafił w dach domu i przebił go na wylot, rozrzucając dachówki na wszystkie strony. Inny wesoło odbijał się od bruku, przy każdym uderzeniu wzbijając fontanny iskier, dotarł do końca uliczki i rozbił ścianę budynku.

– Moglibyśmy siedzieć tu cały dzień i rozwalić to miasto – zauważył Sevrans. Kolejne deslandzkie działa otworzyły ogień, lecz ich pociski nadal nie dolatywały. – Janus dobrze wyliczył ich zasięg.

Winter pokręciła głową.

– Na taką odległość ostrzał jest zbyt niecelny. Łatwo trafić w miasto, ale to nie miasto odpowiada ogniem. Znacznie trudniej wykurzyć ludzi zza barykad. To tylko rozgrzewka.

Sevrans posłał jej spojrzenie, którego w pierwszej chwili nie zdołała odczytać. Po chwili zrozumiała, że wyrażało szacunek. Chociaż on uczył się swego zawodu w szkole wojskowej, to Winter wahała już proch. Ona maszerowała w szyku, w którym kule z muszkietów i kartacze robiły wielkie wyrwy, ona prowadziła kompanię do ataku na bagnety, który odrzucił wroga. I pewnego dnia przestanę mieć o tym koszmarny sny.

– Panie pułkowniku!

Bobby wracała galopem. Winter spojrzała w dół zbocza, gdzie bateria artylerii nadal podążała naprzód.

– Panie pułkowniku! Nie chcą się zatrzymać!

– Święci i męczennicy! – zaklęła Winter. – Nie widzą, w co się pakują?

– Nie, panie pułkowniku. – Bobby osadziła rumaka, wzbijając fontanny ziemi i kamyków. – Są za wybrzuszeniem terenu i nie widzą wroga. Dowodzący nimi kapitan myśli, że to jest

wzgórzu, na którym miał zająć pozycję.

– Wiesz, jak się nazywa? – spytał Sevrán.

– Kapitan Altoff, panie kapitanie!

Sevrán przewrócił oczami.

– Zna go pan? – zapytała Winter.

– Trochę. To nadęty stary dinozaur. Cierpi na nadmiar dumy. Nie dziwię się, że nie usłuchał porucznika z ochotniczego oddziału.

– Pan pozwoli, że spojrzę.

Winter wyciągnęła rękę i Sevrán dał jej lunetę. Przesunęła nią, aż znalazła deslandzką linię, żółto-pomarańczowe mundury nagle widoczne jako ostry relief. Zdecydowanie szykowali się do czegoś: bataliony ustawiały się w kolumny, a kawaleria za nimi. Na razie jeszcze nie widzieli baterii Altoffy, ale gdy znajdzie się w ich polu widzenia, konnica dopadnie ją, zanim zdąży się wycofać.

Winter znów zaklęła.

– Na jaja Bestii! Jadę tam. Jeśli nie słucha porucznika, to lepiej żeby usłuchał pułkownika. Cyte, ze mną. Bobby, powiedz Jane, co się dzieje. Sevrán, pan tu dowodzi, dopóki nie wrócę. Gdzie mój cholerny koń?

– Panie pułkowniku – rzekł kapitan Altoff. – Protestuję. Kazano mi ustawić moją baterię na wzgórzu!

Pot spływał mu po twarzy i moczył kołnierzyk, choć bezskutecznie wycierał go chustką. Altoff był grubym mężczyzną wyglądającym jak nadmuchany papierowy balon. To wrażenie pogłębiał przyciasny mundur, najwyraźniej uszyty w czasach, gdy jego właściciel był młodszy i szczuplejszy. Teraz guziki ledwie się trzymały na opiętym brzuchu, a kołnierz tak mocno wpijał się w szyję, że żyły uwydatniały się na niej jak mapa.

– Owszem – powiedziała Winter, wskazując kciukiem za siebie. – Na tamtym wzgórzu, gdzie mój pułk może pana osłaniać.

– Stamtąd nie będę miał dobrego pola ostrzału!

– Jeśli trzeba będzie strzelać, to do wroga, który sam do nas przyjdzie.

Altoff zmarszczył brwi.

– Nie chcę, by powiedziano, że trzymałem moich ludzi na tyłach.

– Gdyby ktoś pana winił, ja wezmę za to odpowiedzialność. Zechce pan zawrócić swoją baterię, zanim zaleje nas fala kawalerii?

Kapitan miał niezadowoloną minę, ale skinął na stojącego w pobliżu porucznika, który zaczął pokrzykiwać na woźniców. Każde działo było zamocowane końcem lawety do jaszczaka, wozu z amunicją i zaopatrzeniem, tak że lufa była skierowana do tyłu i w dół. Wozy ciągnęły czterokonne zaprzęgi, przy czym część artylerzystów jechała na nich, a część szła obok. Obracanie ich było żmudnym manewrem, w trakcie którego konie trzeba było prowadzić. Winter z niepokojem obserwowała, jak żołnierze to robią, w każdej chwili spodziewając się zobaczyć pomarańczowe kurtki wychodzące zza grzbietu wzgórza. Odetchnęła z ulgą, gdy bateria zawróciła i ruszyła we właściwym kierunku.

Nagle jej uwagę przykuł trzask muszkietów. Kanonierzy obu walczących stron kontynuowali spór na odległość, a łoskot i huk w oddali szybko przestała słyszeć. Natomiast te głośne, suche wystrzały padały gdzieś w pobliżu. Winter odwróciła się, lecz nierówny teren ograniczał pole

widzenia. Widziała jednak unoszącą się chmurę dymu. Dalej widać było szeregi Pierwszego Dziewczęcego, ale na jego flance na wzgórzu nie było nikogo.

– Cyte – zapytała – gdzie, do diabła, są królewscy?

Cyte okręciła konia, ściskając go kolanami, po czym osłoniła dłonią oczy.

– Nie wiem, panie pułkowniku.

Kurwa mać. Niech szlag trafi tego idiotę.

– Altoff!

– Panie pułkowniku?

Gruby kapitan wspinał się na jaszcz.

– Wracam do moich ludzi. Niech pan ulokuje swoją baterię na tym wzgórzu i czeka na rozkazy.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Altoff, wyraźnie zgaszony.

Winter nie mogła poświęcić mu więcej czasu. Szarpnęła wodze Edgara, który potruchtał z powrotem na pagórek. Cyte podążała za nią.

Kiedy wjechały dostatecznie wysoko, żeby znów zobaczyć miasto, Winter się zatrzymała. Odgłos strzelaniny dochodził z małej farmy i w gęstniejących obłokach dymu dostrzegła różowobiałe błyski wystrzałów. Niebiesko odziane postacie klęczały za płotem i grupkami biegly przez podwórze w kierunku domu. Kolejne błyski w oknach powiedziały jej, że budynek jest zajęty przez wroga.

– To na pewno Sevrana – orzekła. – Tylko dlaczego Pierwszy Dziewczęcy stoi w miejscu?

Cyte potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia, panie pułkowniku.

Winter westchnęła przeciągle.

– No dobrze. Idź i znajdź Sevrana, odbierz raport i wróć tutaj. Ja pójdę do Jane i przyślę mu wsparcie.

– Tak jest!

Jeśli Cyte przestraszyła się, gdy kazano jej iść pod kule, to nie okazała tego. Okręciła konia i ruszyła w kierunku farmy. Zmieniła się, pomyślała Winter, patrząc na nią. Chociaż walczyły razem w Vendre, przywykła uważać była studentkę za osobę, która załatwia sprawy i papierkową robotę. Chyba jej nie doceniałam.

Potrząsnęła głową i pojechała dalej. Jane czekała przed stojącym w szyku Pierwszym Dziewczęcym, a zaniepokojona Bobby przy niej. Porucznicy zebrali się w pobliżu w luźną grupkę. Folsom wyróżniał się wśród kobiet jak pień drzewa między paprociami.

Winter już zsiadła z konia, nim Edgar zdążył się zatrzymać. Niespokojnie podskoczył pod nią i o mało nie zrzucił jej na ziemię. Wylądowała na ugiętych nogach i Bobby natychmiast znalazła się przy niej.

– Wszystko w porządku, panie pułkowniku?

– Nic mi nie jest. Co się tu dzieje, do diabła?

– Ach... – Bobby spojrzała na Jane.

– Kapitanowi Sevranowi przyszło do głowy przenieść walkę na teren wroga – powiedziała Jane. Uśmiechała się chytrze, jak kot, któremu uszedł na sucho jakiś wybryk. – Poprowadził królewskich na zajętą przez nieprzyjaciela farmę.

– Widzę – warknęła Winter. – Co więc tutaj robicie? Czy kazał wam tu zostać?

– Nie, panie pułkowniku – odparła Jane. – Jednak mieliśmy rozkaz stać w miejscu. Nie sądzę, by kapitan Sevran miał dobry powód...

Och, święci i męczennicy.

– Przekazałam mu dowodzenie – zgrzytnęła zębami Winter. – Jeśli kazał wam ruszać naprzód, powinniście ruszać!

– Nie przyjmuję rozkazów od niego – powiedziała Jane, marszcząc brwi. Najwyraźniej nie spodziewała się takiego przebiegu tej rozmowy.

– Przyjmujesz, kurwa, jeśli ja ci tak każę – powiedziała Winter, kipiąc z gniewu.

– Winter...

– Nie!

– Pułkowniku Ihernglass – powiedziała Jane. – Czy możemy porozmawiać na osobności?

– Nie, nie możemy – odrzekła Winter. – Natomiast musimy natychmiast skierować tam ten batalion.

– Nie rozumiem, po co ten pośpiech – rzekła Jane. – To tylko banda królewskich. Pamiętasz, co ostatnio nam zrobili? A Novus...

Winter dwoma szybkimi krokami pokonała dzielącą je odległość i złapała Jane za kołnierz, przyciągając do siebie. Mówiła cicho i groźnie, tak by tylko Jane ją słyszała.

– Wiesz, że cię kocham – powiedziała. – I wiem, że jesteś zła na mnie i z powodu tego, co zrobił Novus. Doskonale to rozumiem. Jednak jeśli kiedykolwiek celowo i niepotrzebnie narazisz dowodzonych przeze mnie żołnierzy na niebezpieczeństwo, to przysięgam na Karisa i wszystkich świętych, że odeślę cię z powrotem do Vordanu. Odpowiadam za każdego z tamtych mężczyzn tak samo jak za każdą kobietę tutaj.

– Myślisz, że oni przyszliby nam z pomocą? – syknęła Jane.

– Tak – odparła Winter. – A teraz ruszamy. – Podniosła głos. – Za mną! Szybkim krokiem marsz!

– Szybkim krokiem marsz! – ryknął Folsom i inni oficerowie podjęli ten okrzyk.

Warknęły werble, a kobiety w szyku zawtórowały im okrzykami. Formacja ruszyła w kierunku farmy, miejscami nierówno, lecz wciąż w zwartym szyku.

Winter zostawiła Edgara – nie ma sensu robić z siebie większego celu niż to konieczne – i przyspieszyła kroku, żeby zająć miejsce na przedzie. Po chwili znów zjawiała się Cyte, zeskoczyła ze swojego wierzchowca i dołączyła do niej.

– Panie pułkowniku, kapitan Sevran mówi, że zobaczył nieprzyjacielski oddział próbujący zająć farmę przed atakiem. Zdecydował, że najlepiej będzie zatrzymać ich, zanim to zrobią.

Winter skrzywiła się, lecz prawdę mówiąc, nie było to złe rozwiązanie. Jeśli Deslandczycy naprawdę zamierzali przypuścić atak w tej części pola bitwy, lepiej będzie bronić się zza murów i płotów. A gdyby ustawili tam działa, mielibyśmy cholerne kłopoty z utrzymaniem wzgórza.

– Rozumiem, że sprawy nie potoczyły się zgodnie z jego planem – zauważyła.

– Nie, panie pułkowniku. Dotarł do ogrodzenia i jednej ze stodół, ale nieprzyjaciel zajął główny budynek. Przypuścił dwa ataki, ale nie mogą przedrzeć się przez podwórze. – Cyte wskazała ręką w dół zbocza. – A tam nadciąga ich więcej, panie pułkowniku.

Winter spojrzała. Kolumny, które widziała wcześniej, teraz zbliżały się miarowym krokiem. Co najmniej cztery bataliony plus kawaleria i działa. Jeśli się tu okopimy, będziemy mieli

szansę ich odeprzeć. Popatrzyła na rozkład zabudowań farmy, myśląc szybko.

– Cyte, wróć do Altoffa. On już wie, że jesteś ode mnie. Powiedz, że jak nie usłucha, obedre go ze skóry. Niech ściągnie tu swoje działa, najszybciej jak może.

– Tak jest!

– Jane!

– Panie pułkowniku? – powiedziała Jane lodowatym tonem, który przeszył serce Winter jak sztylet. Jednak zignorowała to.

– Wybierz najlepiej jeżdżącą konno. Niech weźmie Edgara i pojedzie z powrotem grzbietem wzgórza. Ma znaleźć Janusa i powiedzieć mu, że będzie nam tu potrzebna pomoc, raczej prędzej niż później.

– Dobrze. – Gniew Jane jakby nieco złagodniał. – Jennie! Chodź tutaj!

Winter znowu popatrzyła na farmę, gdy Jane wykonywała rozkaz. Ogrodzony obszar był w przybliżeniu kwadratowy, ze stodołami na dwóch rogach po prawej i domem na odległym lewym krańcu. Podwórze między nimi, po którym wcześniej chodziły kury, teraz było usiane ciałami w niebieskich mundurach. Zza słabej osłony płotu prowadzono ogień z muszkietów, a odpowiadały mu błyski wystrzałów we wszystkich oknach domu i zza narożników dalej stojącej stodoły.

Kiedy Jane odwróciła się do niej, Winter była gotowa.

– Weź cztery kompanie i znajdź Sevrana. Powiedz mu, żeby zaczekał dziesięć minut, a potem znów spróbował przedrzeć się przez podwórze. Ja wezmę cztery inne i zajdę ich od lewej. Uderzymy jednocześnie z dwóch stron.

Jane z powątpiewaniem spojrzała na zasłany ciałami dziedziniec.

– Ja...

– Nie spieraj się, do cholery – ucięła Winter. – Masz powiedzieć „tak jest, panie pułkowniku”, a potem to, kurwa, zrobić.

W zielonych oczach Jane pojawił się groźny błysk.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedziała.

Gdy się odwróciła, Winter poczuła ściskanie w gardle. Czy tak ją stracę? Wrzeszcząc na nią na jakimś polu bitwy? Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

Po lewej stronie vordanajskiej linii ostrzeliwał miasto; wystrzały z muszkietów i działa łączyły się w głuchy ryk. Winter zaledwie rzuciła tam okiem i nie myślała już o nadchodzących stamtąd deslandzkich oddziałach. Będą problemem za pół godziny, natomiast teraz trzeba było przetrwać kilka następnych minut.

Bobby była przy niej, Abby i Graff również. Stali siedemdziesiąt pięć metrów od farmy, na polu ściętej kukurydzy, podczas gdy druga połowa Pierwszego Dziewczęcego maszerowała tam, gdzie walczył Sevrana i jego ludzie.

– Na mój znak – powiedziała Winter – pobiegniemy co sił w nogach. Nie przejmujcie się trzymaniem szyku i nie przystawajcie, żeby strzelać. Widzicie tę jabłoń, tam gdzie płot biegnie blisko domu? – Wskazała palcem. – Tam się kierujemy. Macie dotrzeć do płotu, jak najbliżej tego drzewa, po czym znaleźć jakąś osłonę. Dopiero wtedy strzelać. – Zwróciła się do Abby. – Weź około dwudziestu swoich najlepszych i trzymaj ich razem. Nałóżcie bagnety. Kiedy przydusimy tamtych ogniem, przeskoczmy przez płot i wejdziemy bocznymi drzwiami.

Abby zsalutowała. Winter dała jej kilka minut na wybranie żołnierzy, a potem znów

wskazała palcem.

– Pamiętajcie, do tego drzewa. Gotowe?

Pierwszy Dziewczęcy chóralnie potwierdził. Trzysta młodych kobiet w niebieskich kurtkach ścisnęło nabite muszkiety. Winter spojrzała na główny budynek, z którego wciąż ostrzeliwano królewskich Sevrana.

– Naprzód!

Pobiegła, sadząc susami po miękkiej ziemi i chrzęszczących suchych badyłach. Taka liczba niebieskich mundurów nie mogła nie zwrócić uwagi obrońców domu i niebawem lufy muszkietów skierowały się w ich stronę, wypełniając powietrze świstem lecącego ołowiu. Winter słyszała głuche stuknięcia kul wbijających się w ziemię i głośniejszy trzask trafiających w ciało i kości. Obok niej jakaś kobieta gwałtownie odchyliła głowę do tyłu i osunęła się na ziemię jak zepsuta zabawka. Ktoś krzychał piskliwym dziewczęcym głosem, wzywając matkę. Serce Winter waliło jak młotem.

Płot znajdował się niedaleko, lecz ta odległość zdawała się rosnąć bez końca, powiększając się z każdym kolejnym krokiem. We wszystkich oknach domu zapalały się złowrogie różowe rozbłyski.

Płot wyrósł przed nią tak zaskakująco nagle, że Winter o mało się o niego nie przewróciła. Z łoskotem uderzyła weń barkiem i poczuła, jak drży, gdy dołączyły do niej dziesiątki innych kobiet. Płot był z żerdeń i sztachet, więc nie dawał zbyt dobrej osłony, lecz i tak lepsze to niż nic. Pomiędzy nim a domem była tylko ta jabłoń, wysoka i rachityczna, z rozłożystymi gałęziami i liśćmi już żółknącymi na brzegach.

Zewsząd słychać było huk wystrzałów i wszędzie unosiły się kłęby dymu. Obie strony znajdowały się zaledwie dziesięć metrów od siebie i z tej odległości ogień był morderczo celny. Z kilku okien domu mogło strzelać najwyżej tuzin nieprzyjaciół, mających przeciwko sobie kilkaset muszkietów Pierwszego Dziewczęcego, ale też przewagę lepszej osłony do prowadzenia ognia i ładowania.

Obok Winter jakaś krępa starsza kobieta – którą Winter słabo pamiętała jako jedną z mieszanek Doków – podczołgała się do płotu z muszkietem w dłoniach. Przykłęknęła, przyłożyła broń do ramienia i wycelowwała, ale huknął deslandzki muszkiet i kobieta zatoczyła się do tyłu, ściskając zakrwawioną strzaskaną dłoń. Winter złapała jej muszkiet i przycisnęła do ramienia, celując w żółto-pomarańczową sylwetkę. Poczuła znajome kopnięcie odrzutu i z satysfakcją zobaczyła, jak Deslandczyk pada z krzykiem.

Kolejne dziewczęta dobiegały do płotu i rozpoczynały nieustanny ostrzał, w wyniku czego Deslandzcy nie chcieli ryzykować pojawiania się w oknach. Zerknąwszy przez ramię, Winter zobaczyła ciała na polu, po którym przebiegł Pierwszy Dziewczęcy, ale tylko kilka. Jednak tej pozycji nie można było długo utrzymać, gdyż nadchodziły deslandzkie posiłki.

Teraz, Jane. Dym kłębił się wzdłuż płotu, wypełniając przestrzeń pod jabłonią. Teraz, no już, teraz.

Z drugiej strony domu wybuchła ochrypla wrzawa, w której Winter wychwyciła męskie i kobiece głosy, wznoszące bojowe okrzyki. Dobiegająca stamtąd palba jeszcze przybrała na sile.

– Nie strzelać, dopóki nie zobaczycie celu! – zawołała Winter do swoich żołnierzy. – Abby ze swoją drużyną do mnie! Za płot!

Abby skinęła i dwa tuziny kobiet z bagnetami na lufach muszkietów poderwały się i zaczęły przechodzić przez sięgający do pasa płot. Wokół świszczwały kule, z głuchym stukotem uderzając w ziemię. Wysoka i chuda dziewczyna dostała jedną w pierś i osunęła się na płot, zawisając na nim jak prześcieradło pozostawione do wyschnięcia, a jej krew oblała białe sztachety. Kobiety, które pozostały za płotem, strzelały do każdej pokazującej się w oknie żółto-pomarańczowej sylwetki i drewniane ściany wokół okien domu szybko zostały rozbite w drzazgi przez niecelne kule i rykoszety.

Pokonawszy ogrodzenie, Winter biegiem poprowadziła drużynę Abby przez otwartą przestrzeń pod drzewem. Dym omywał je niczym morską falą. Ujrzała przed sobą boczne drzwi i podbiegła do nich, po czym przywarła do otynkowanej ściany. Abby była tuż za nią wraz z jakąś noszącą naszywki sierżanta rudowłosą dziewczyną, której Winter nie знаła. Pozostałe stanęły wzdłuż ściany, gdzie były niewidoczne z okien.

Winter zastanawiała się gorączkowo. Okna były wysokie i wąskie – nie da się przez nie dostać do środka, nie stając się łatwym celem. Tak więc zostawały drzwi, ale tamci będą za nimi czekać.

– Pierwsza szóstka do środka, ale dopiero na mój znak – powiedziała. Wokół świszczwały i uderzały kule, a atak Jane na dziedziniec był w toku. Miejmy nadzieję, że linia obrony Deslandczyków jest mocno rozciągnięta. – Następna szóstka czeka pół minuty, a potem rusza. Nie chcę, żebyśmy tam utknęli. Pamiętajcie, czekać na mój rozkaz!

Potwierdziły skinieniem głów i pomrukami. Przysunęła się bliżej drzwi i zamachnęła się pożyczonym muszkietem. Wciąż przywierając do ściany, z całej siły uderzyła kolbą w drzwi tuż nad klamką. Drzwi wiejskiego domu nie były w stanie wytrzymać tak silnego ciosu i ustąpiły z trzaskiem, a Winter pospiesznie cofnęła rękę. W samą porę, gdyż co najmniej trzech obrońców wystrzeliło i kule ze świstem przeleciały tuż przy czubkach jej palców.

– Naprzód! – krzyknęła Winter. – Zanim załadują!

I miejmy nadzieję, że żaden nie powstrzymał się od strzału.

Jednak jeden to zrobił. Gdy pierwsza dziewczyna z oddziału Abby skoczyła do drzwi, wypalił z muszkietu. Kula trafiła ją w brzuch i przeszła na wylot, z fontanną krwi. Trafiona upadła z jękiem, a następna kobieta wychyliła się zza futryny i strzeliła. Ktoś w środku wrzasnął. Abby wpadła do środka, przeskakując przez wijącą się na ziemi raną. Sierżant podążyła za nią, a Winter za nimi.

Jej wzrok rejestrował tylko pojedyncze obrazy. Korytarz prowadził do większego przedsionka, ciągnącego się przez cały dom. Po obu stronach były drzwi prowadzące do kuchni oraz jadalni i dziewczyny Abby wpadły tam. Rozległy się kolejne strzały i wrzaski, którym towarzyszył brzęk stali.

Dwaj Deslandzcy przybiegli z tyłu domu i wypadli z załomu korytarza z bagnetami na lufach muszkietów. Dym jeszcze unosił się z ich luf i żołnierze rozdziawili usta na widok vordanajskich kobiet. Jeden z nich sięgnął za pas i Winter zobaczyła, że ma za nim pistolet. Z tej odległości nie mógł chybić, więc nie dała mu szansy wystrzelić – skoczyła na niego, odrzucając nienabity muszkiet i wrywając szablę z pochwy. Deslandzki chłopak uniósł broń, chcąc ją przebić bagnetem, ale Winter w ostatniej chwili zwinnie uchyliła się i wpadła na niego z impetem, wbijając mu klingę między żebra. Zgiął się wpół, rżąc, i wyrwała szablę z jego ciała.

Drugi Deslandczyk pospiesznie cofał się w głąb korytarza. Winter pomachała do reszty oddziału Abby, który już znalazł się w korytarzu za nią.

– Na nich! Za mną!

Minęła załom korytarza, nie zatrzymując się, by sprawdzić, czy posłuchały. Huknął muszkiet i z sufitu nad jej głową posypały się drzazgi. Kolejny Deslandczyk, młodzieniec z płową bródką i wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, gapił się na nią przez obłok dymu po chybionym wystrzale. Winter trzema susami pokonała dzielącą ich odległość, odparowała pchnięcie bagnetem i wbiła klingę w jego szyję.

Nadbiegająca Abby krzyknęła ostrzegawczo. Gdy młodzik padał, Winter spojrzała w prawo i zobaczyła następne drzwi wiodące do pokoju pełnego żółto-pomarańczowych mundurów. Deslandczyków było trzech: dwaj mieli muszkiety, a oficer z lśniąco złotymi epoletami właśnie sięgał po miecz.

Huknął muszkiet Abby, ogłuszająco w tej zamkniętej przestrzeni, i jeden z żołnierzy zatoczył się i padł. Zaatakowała drugiego, który odparował jej cios. Siła rozpędu rzuciła ich na ścianę, pod którą zaczęli się szamotać, usiłując użyć swojej broni. Teraz oficer miał doskonałą okazję, żeby pchnąć Abby w plecy, Winter więc przeszkodziła mu w tym, zadając zamasytne cięcie, przed którym musiał się cofnąć i zasłonić. Przyjął szermierczą pozycję na lekko ugiętych nogach, pewny siebie.

Winter nie była fechmistrzem. W ogniu bitwy nie liczyły się szermiercze umiejętności, gdyż rzadko trzeba było się zmierzyć z podobnie uzbrojonym przeciwnikiem. Teraz, gdy do tego doszło, zaryzykowała następne pchnięcie i zobaczyła, że deslandzki oficer odbił je z łatwością, a ona uniknęła jego riposty, tylko niezdarnie odskakując w tył. Zrozumiała, że umrze tutaj w ciągu kilku następnych sekund. Spojrzenie tamtego mówiło jej, że on też o tym wie.

Rudowłosa sierżant wpadła do pokoju z bagnetem nasadzonym na muszkiet, przystanąła na moment i skoczyła na deslandzkiego oficera. Odbił jej pchnięcie, a potem obrócił się i sparował cięcie Winter, wyrzucając z siebie potok słów, zapewne hamveltajskich przekleństw. Winter pokazała sierżant, żeby przesunęła się w prawo i odciągnęła jego uwagę. Kobieta skinęła głową.

Kimkolwiek był ich przeciwnik, był doświadczonym żołnierzem. Nie czekając, aż go otoczą, skoczył na Winter, zadając rozpaczliwe oburęczne cięcie. Gdy sierżant próbowała pchnąć go bagnetem w plecy, uskoczył, cofając ostrze przed cięciem Winter, która potknęła się i straciła równowagę. Zanim zdążyła ją odzyskać, zadał jej silny cios rękojeścią w skroń.

Od uderzenia ciężką metalową gałką Winter pociemniało w oczach i zatoczyła się na nagle miękkich nogach. Oficer okręcił się, aby odeprzeć atak sierżant, która próbowała go pchnąć, lecz jej bagnet przeszył tylko powietrze. Deslandczyk zrobił podręcznikowy wypad i wbił miecz w jej brzuch. Sierżant upuściła muszkiet i przycisnęła dłonie do miejsca, gdzie tkwił miecz, jęcząc i spazmatycznie łapiąc powietrze. Deslandczyk wyrwał miecz, a rudowłosa upadła na podłogę i skuliła się w rosnącej kałuży krwi.

Oficer machnął mieczem, pozostawiając rozbryzg czerwonej krwi na podłodze, i znów odwrócił się do Winter. Zrobił krok naprzód, a ona uświadomiła sobie, że szabla wypadła z jej nagle zdrętwiałych palców i leży na podłodze. Ciemność powoli zasnuwała jej oczy, a głowa boleśnie pulsowała przy każdym uderzeniu serca. Zastanawiała się, czy rozbił jej

czaszkę.

Mężczyzna przyjrzał się jej z zaciekawieniem, a potem popatrzył na sierżant i potrząsnął głową.

– Wy, Vordanaje – rzekł z okropnym akcentem. – Nigdy wcześniej nie zabiłem kobiety.

Westchnął i uniósł miecz. Zanim zdążył zadać cios, coś poruszyło się w drzwiach i odwrócił głowę. Winter dostrzegła niebieski mundur i do pokoju wpadła Bobby.

– Winter! – wykrzyknęła, zobaczywszy, co się dzieje.

Deslandzki oficer zadał zamaszyste cięcie, mierząc w jej głowę. Bobby zauważyła to o wiele za późno, żeby odparować cios muszkietem, ale zdążyła podnieść lewą rękę.

Zacisnęła palce na stalowej klindze. Patrząc na to jak we śnie, Winter zobaczyła krew płynącą z rozciętej dłoni Bobby, która jednak z łatwością powstrzymała cios. Zanim zaskoczony oficer zdążył zareagować, Bobby szarpnięciem wyrwała mu miecz z ręki. Poruszyła palcami i zgięła na pół grubą klingę, jakby była z papieru.

Deslandczyk wybałuszył oczy, mamrocząc pod nosem coś, czego Winter nie rozumiała. Bobby upuściła muszkiet i uderzyła mężczyznę pięścią w twarz. Rozległ się dźwięk przypominający odgłos rozgniatanego worka z jajkami. Oficer poleciał na ścianę i uderzył w nią z taką siłą, że krew z roztrzaskanej czaszki obryzgała deski. Osunął się na podłogę i już się nie poruszył.

Winter zamrugowała. Teraz wszystko działo się tak wolno, wolniutko. Widziała, jak Bobby podnosi jej szablę, podbiega do walczącej z drugim żołnierzem Abby i powala go cięciem w plecy. Winter znów zamknęła oczy i kiedy je otworzyła, twarz Bobby wypełniała całe jej pole widzenia. Usłyszała jej głos, niewyraźny, jakby były pod wodą.

– ...w porządku? Panie pułkowniku? Nic panu nie jest?

– Nic...

Winter chciała powiedzieć, że nic jej nie jest, lecz próba powiedzenia tego najwidoczniej przeważała szalę. Ciemność, która gromadziła siły w kącikach jej oczu, znów natarła wraz z bólem tak silnym, jakby pękła jej czaszka. Z ulgą straciła przytomność.

Dziwięć

Marcus

Po wyprawie do gmachu giełdy Marcus przez resztę dnia oglądał się przez ramię i poszedł spać, spodziewając się, że obudzi go wieść o tym, że Bliźniacze Wieżyczki są oblegane. Przez cały następny dzień porucznik Uhlan i jego Mierantajowie pozostawali w stanie najwyższej gotowości, a Marcus uparł się, że Raesinia ma pozostać w rezydencji, chociaż bardzo chciała dostarczyć skradzione księgi Corze.

Zabijał czas, szkoląc nowych rekrutów. Szeregowy Feiss, który – jak się okazało – miał na imię Hayver, wykonywał poszczególne czynności ładowania broni z mechaniczną precyzją świadczącą o wielu godzinach spędzonych na placu ćwiczeń i niczym więcej. Andy – gdyż Marcus wciąż nie potrafił myśleć o niej jako o szeregowej Dracht – była o wiele zręczniejsza, operując muszkietem i stemplem z wprawą świadczącą o długiej praktyce, a brak dwóch palców prawej dłoni zdawał się wcale jej nie przeszkadzać. W rezydencji nie było miejsca, gdzie można by bezpiecznie strzelać prawdziwymi kulami, ale twierdziła, że nieźle strzela, i patrząc, jak ćwiczy, był skłonny w to uwierzyć. Nawet Uhlan, małomówny jak wszyscy Mierantajowie, wydał pomruk aprobaty.

Następnego dnia, gdy nie było żadnych oficjalnych reperkusji popełnionej przez nich kradzieży, Marcus uspokoił się na tyle, by dać się przekonać, że wyprawa do pani Feldy w celu dostarczenia ksiąg Corze nie będzie zbyt ryzykowna. Raesinia, rwąc się do wyjścia, przechadzała się tam i z powrotem po holu, gdy Marcus rozmawiał z Uhlanem i organizował eskortę. Zanim skończył, otworzyły się frontowe drzwi i stanął w nich mierantajski szeregowiec, który pełnił wartę.

– Panie pułkowniku, mam dla pana wiadomość. Dostarczył ją wojskowy kurier.

– Daj mi ją – powiedział Marcus.

Mało prawdopodobne, żeby Janus przysłał coś przez zwykłego wojskowego kuriera – wiadomości z Wierzbowego Potoku przynosili mierantajscy posłańcy lub przychodziły bardziej okrężną drogą – ale zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Kiedy jednak Marcus złamał niebieską wojskową pieczęć na liście i rozłożył go, nie zobaczył kaligraficznego pisma Janusa, lecz nieco mniej zgrabne znaki nakreślone przez Kaznodzieję.

Pułkowniku d'Ivoire!

Muszę z panem porozmawiać w niezwykle pilnej sprawie. Proszę przybyć natychmiast.

W imię Boże –

Kapitan S. Vahkerson

– Do licha – zaklął Marcus.

Raesinia stanęła przy nim i przeczytała list, marszcząc brwi.

– To naprawdę tajemnicza sprawa – powiedziała. – Od twojego przyjaciela artylerzysty, tak?

Marcus pomyślał, że chyba nikt nigdy nie skarcił królowej Vordanu za wścibstwo.

– Tak. Nazywamy go Kaznodzieją, chociaż nie w oczy. Jednak taka powściągliwość nie leży w jego zwyczaju.

Kaznodzieja miał więcej rozsądku niż na przykład Piekielnik, ale jako człowiek całe życie zajmujący się działaniami nie grzeszył subtelnością.

– Jesteś pewny, że ten list jest od niego?

– To zdecydowanie jego charakter pisma – odparł Marcus, czując kolejny przypływ paranoi. Obejrzał pieczęć z odcisniętym symbolem Królewskiej Artylerii, bez żadnych śladów sugerujących, że ktoś przy niej majstrował. – A nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby go zmusić do napisania tego.

– Może obawiał się, że ktoś inny może to przeczytać?

– Może. O ile wiem, on teraz tylko szkoli nowych oficerów artylerii.

Raesinia zastanowiła się.

– Pójdiesz tam?

– Powinienem. – Popatrzył na nią i westchnął. – Poruczniku Uhlan, zechce pan eskortować Raesinię do Starego Miasta? Ja zabiorę Hayvera i Andy na uniwersytet.

– Oczywiście – odrzekł mierantajski oficer.

– I bądź ostrożny. – Choć to mało prawdopodobne i zapewne wykazywał przesadną podejrzliwość, ale mógł to być podstęp mający ich rozdzielić. – Upewnij się, że nikt was nie śledzi.

Uhlan posłał mu spojrzenie mówiące „Nie jestem idiotą”, ale wstrzymał się od komentarzy. Marcus patrzył, jak razem z trzema mierantajskimi strzelcami wychodzi z Raesinią na zewnątrz, a potem ruszył na poszukiwanie dwojga szeregowych.

– Nie wiedziałem, że jest pan znajomym kapitana Vahkersona, panie pułkowniku – powiedział Hayver, gdy powóz z turkotem jechał Drugą Aleją ku Fusom.

Andy spopieliała go wzrokiem.

– Obaj walczyli w khandarskiej kampanii pod rozkazami Janusa.

– I wcześniej przez kilka lat pod rozkazami pułkownika Warusa – rzekł Marcus, jednym uchem słuchając ich rozmowy. Spoglądał przez okno powozu, szukając na ulicy kogoś, kto mógłby ich śledzić. Było to jałowe zajęcie, nie tylko dlatego, że miał niewielkie pojęcie o szpiegostwie, ale ponieważ ich powóz był jedynym zaprzężonym w konie pojazdem na Drugiej Alei, nawet ślepiec mógłby ich śledzić.

Ruch na ulicy odbywał się głównie pieszo, ale nie tylko. Mieszkańcy południowego brzegu, jak zawsze pomysłowi, wprzęgli się do wózków i oferowali usługi transportowe zasobniejszym obywatelom północnego brzegu. Marcus zobaczył kilka tych dziwnych pojazdów przejeżdżających obok i pokręcił głową. Ludzkie umiejętności przystosowania się nigdy nie przestawały go zadziwiać: z upływem czasu nawet najdziwniejsza sytuacja wydawała się normalna. Na przykład my w Khandarze, zanim Odkupiciele postawili wszystko na głowie i Stalowy Duch zaczął szaleć.

Potrząsnął głową i spojrzał na Hayvera.

– A właściwie to skąd znasz Kaznodzieję? Przeszedłeś szkolenie artyleryjskie?

Chłopak pokręcił głową.

– Po bitwie niektórych rannych przewieziono do szpitala uniwersyteckiego. Kapitan Vahkerson przychodził czytać nam Mądrości.

Andy przewróciła oczami. Marcus, który wysłuchał kilku odczytów Kaznodziei, był skłonny się z nią zgodzić, ale starał się tego nie okazywać.

– Jak pan myśli, czego on chce, panie pułkowniku? – spytał Hayver.

– Nie mam pojęcia – odparł Marcus.

– Założę się – powiedziała Andy – że ma to coś wspólnego z tym.

Wskazała na okienko z drugiej strony. Marcus wychylił się przez nie i popatrzył, gdy powóz zwolnił. Przejechali przez Fusy i znaleźli się na terenie uniwersytetu, gdzie kręta brukowana droga biegła przez pola, mijając różne pomocnicze budynki i dochodząc do otoczonego murem centrum tej szacownej instytucji. Tam wiodła przez bramę o pompatycznej nazwie Wrota Mądrości – wysoką i łukowatą, będącą kolejną pamiątką po Farusie V. Te wielkie żelazne odrzwia były bogato zdobione, osadzone w murze i nigdy niezamykane na dowód, że droga do wiedzy zawsze jest otwarta – chociaż władze czasem były zmuszone barykadować bramę.

Brama była ozdobna, lecz mur zdecydowanie nie. Był stary i kamienny, czterometrowej wysokości i zwieńczony zardzewiałymi żelaznymi kolcami. Pochodził z okresu, gdy obywatele Vordanu co pewien czas wpadali na pomysł palenia uczonych z uniwersytetu za czary, choć obecnie bardziej przydawał się do trzymania niesfornych studentów z daleka od tawern Fusów.

Dziś jednak mur znowu spełniał swe pierwotne zadanie. Przed Wrotami Mądrości zgromadził się tłum, sądząc po ubraniach, złożony głównie z robotników z południowego brzegu, ale było w nim także kilku lepiej ubranych ludzi z północnego. Wszyscy krzyčili jednocześnie, wytwarzając niezrozumiały szum, z którego sporadycznie dało się wychwycić zrozumiałe urywki zdań.

– ...szpiedzy! Wszyscy są szpiegami...

– Wydajcie ich!

– Kolec! Na Kolec!

Uzbrojeni w halabardy żołnierze Gwardii Patriotycznej zagradzali ciżbie przejście na teren uniwersytetu. Było ich zaledwie tuzin, stojących w szerokiej bramie, i Marcus widział, że tylko strach i respekt dla władzy powstrzymują tłum. Zmasowany atak wdeptałby tych gwardzistów w ziemię, pomimo ich halabard.

– Do diabła – zaklął Marcus, stukając w przednią ściankę, żeby zwrócić uwagę woźnicy. – Zatrzymaj się tu.

– Panie pułkowniku?

Woźnica, jeden z mierantajskich służących z Bliźniaczych Wieżyczek, miał taki sam chrapliwy akcent jak Uhlan i inni.

– Lepiej nie próbujmy tędy przejeżdżać. – Marcus otworzył drzwi. – Dalej pójdziemy i wrócimy też pieszo. Zaprowadź powóz z powrotem do domu.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Marcus nie wiedział, czy woźnica przyjął to z ulgą czy nie, jednak Hayver wyraźnie pobladł.

– No dobrze – rzekł Marcus, gdy powóz zawrócił. – Trzymajcie się blisko, wy dwoje.

Mówiąc to spojrzał na Andy, a ona posłała mu ponury uśmiech.

– Wychowałam się w Dokach, panie pułkowniku. Umiem radzić sobie w tłumie.

Gdy Marcus prowadził ich w kierunku bramy, Hayver trzymał się blisko niego, po jego prawej.

– Jak pan myśli, panie pułkowniku, o co się tak złością?

– Niech mnie szlag, jeśli wiem. Zapewne zaraz się dowiemy.

To były ostatnie słowa, jakie zamienili, nim zanurzyli się w rozwrzeszczaną i gestykulującą ludzką masę. Nikt nie próbował zagrozić im drogi, ale tłum był tak zbity, że Marcus musiał pracować łokciami, żeby przesuwać się naprzód. Chociaż nie wychował się w Dokach, spędził kilka lat w Ashe-Katarionie, mieście, w którym stanie w kolejce uważano za niebezpieczny cudzoziemski wynalazek, tak więc nieobca była mu sztuka przedzierania się przez motłoch. Hayver podążał za nim, natomiast Andy sama sobie radziła po jego drugiej stronie.

Gdy zbliżali się do pierwszych szeregów, okrzyki stały się bardziej zrozumiałe. Tłum, trzymający się parę kroków od szeregu gwardzistów i ich nastawionych halabard, wykrzykiwał zniewagi i przekleństwa.

– Powinniście się kurewsko wstydzić! Chronicie szumowiny Zaprzysiężenia!

– Zejdźcie z drogi!

– Nie będą się tam kryć wiecznie!

Marcus odepchnął na bok szczególnie irytującego krzykacza i zajął miejsce w pierwszym szeregu. Przystanął, upewniając się, że jego eskorta wciąż jest przy nim – Hayver przyciskał dłoń do pleców, a Andy z zadowoloną miną rozcierała łokieć – po czym wyszedł naprzód, między dwie nastawione halabardy. Gwardziści, widząc jego mundur i orły na epoletach, niepewnie popatrzyli po sobie.

– Muszę przejść – zawołał Marcus, przekrzykując zgiełk.

– Mam rozkaz nie przepuszczać tłumy! – odkrzyknął jeden z gwardzistów.

– Nie jestem tłumem – warknął Marcus. – Jestem pułkownik Marcus d’Ivoire, łącznik generała Janusa bet Vhalnicha.

Gwardzista wymienił spojrzenia z najbliższym stojącym kompanem i usunął się na bok, opuszczając halabardę. Marcus przeszedł przez lukę, prowadząc Hayvera i Andy, po czym skręcił, pozwalając gwardziście wrócić do szeregu. Tłum ryknął z dezaprobatą.

– Precz z wojskowymi zdrajcami!

– Na Kolec wszystkich oficerów!

– Hańba! Hańba!

Marcus miał ochotę wypytać gwardzistów, co się dzieje, ale byli bardzo zajęci. Za Wrotami Mądrości uniwersytet był labiryntem starych budynków z kamienia i dziedzińców, wybudowanych bez ładu i składu w ciągu wieków. Marcus słabo się w nim orientował, więc stanął i patrzył nań z przygnębieniem. Podczas wcześniejszych wizyt zawsze pytał mijanych studentów o drogę, ale najwidoczniej teraz wszyscy pochowali się z powodu zamieszek przed bramą. Na alejkach i dziedzińcach nie było żywej duszy.

– Znam drogę, panie pułkowniku – oznajmił Hayver, odgadłszy, w czym problem.

– Naprawdę?

– Tak jest. Sporo czasu spacerowałem tu o kuli, czekając, aż noga mi się zrośnie. Biuro kapitana Vahkersona jest tam, w Starym Byczku.

– Zatem prowadź.

Hayver pewnym krokiem ruszył alejką. Najwyraźniej poprawił mu się humor, gdy poproszono go, by prowadził, ponieważ po drodze pokazywał różne stare pomniki i budowle, wyjaśniając ich pochodzenie i zwyczajowe nazwy. Marcus szybko dowiedział się więcej, niż kiedykolwiek chciał wiedzieć o Sali Diczyny, Zadku Bunga, Trzech Dziewicach i innych

detalach uniwersyteckiego życia.

– Gdzie się dowiedziałeś tego wszystkiego? – zapytała Andy, gdy mijali popękany posąg bez twarzy, z jakiegoś zagubionego we mgle czasu powodu zwany Tyczkarem.

– Leżąc w szpitalu – z przepraszającą miną wyjaśnił Hayver. – Miałem mnóstwo czasu.

– Ja przez większość tego czasu leżałam w łóżku z gorączką – rzekła Andy. – I tak podziwiam!

– Po prostu rozmawiałem z ludźmi. – Zmieszany wzruszył ramionami. – Lubię wiedzieć takie rzeczy.

– Przypomnij mi, żebym kiedyś przedstawił cię Fitzowi – powiedział Marcus. – Myślę, że się dogadacie.

– Jesteśmy na miejscu, panie pułkowniku. – Hayver wskazał długi niski budynek porośnięty zeschniętym, zbrązowiałym bluszczem. – Stary Byczek. Myślę, że kapitan jest na piętrze.

Drzwi – z grubych dębowych desek nabijanych żelaznymi ćwiekami, pewnie równie stare jak uniwersytet – były zamknięte na klucz. Marcus zastukał w nie najgłośniej jak mógł, a potem potarł knykcie.

– Tak? – zapytał nerwowo ktoś w środku. – Kto tam?

– Pułkownik Marcus d'Ivoire. Przyszedłem zobaczyć się z kapitanem Vahkersonem. Prosił mnie o spotkanie.

Za drzwiami rozległy się szepty pospiesznej narady, a potem zgrzyt odsuwanego zardzewiałego rygła. Drzwi otworzyły się do środka, ukazując mroczne wnętrze. Stali w nich dwaj młodzieńcy w tradycyjnych czarnych togach studentów, mrużąc oczy w blasku dnia.

– Jest na górze – powiedział jeden z nich. – Wejdźcie, szybko. Muszę zaryglować drzwi.

Wymagało to sporego wysiłku i młodzian sapał, zasuważąc zardzewiałą zasuwę. Potem spojrzął na swoje dłonie i zmarszczył brwi.

– Skaleczyłem się – powiedział, wycierając strużkę krwi.

– W zardzewiałym metalu są złe miazmaty – rzekł drugi. – Lepiej oczyścić ranę. Pyłek kwiatowy z miodem...

– Nie bądź głupi. De Calabris twierdzi, że pyłek kwiatowy jeszcze pogarsza stan...

– De Calabris nie odróżniłby piły chirurgicznej od wykałaczkii. Jego jedyne dobre dzieła powstały po tym, jak Effartes dołączył do jego zespołu, a on od niego zrzynał.

– Och, jak tak kochasz Effartesa, to czemu mu nie obciążniesz?

– Lepiej jemu niż de Calabrisowi. Umarł w wyniku zatrucia żywym srebrem...

– Przepraszam – przerwał im Marcus. – Studenci medycyny, tak?

– Zgadza się – odparł pierwszy student, masując skaleczoną dłoń. Dopiero teraz zauważył Hayvera oraz Andy i zaczerwienił się. – Och. Przepraszam za język, panienko.

– Bardzo proszę – powiedziała Andy. – Umiałam kląć w pięciu językach, zanim skończyłam pięć lat.

– W jakich? – dociekał Hayver.

– Może będziecie tak mili – z naciskiem przerwał im Marcus – i powiecie mi, gdzie jest kapitan Vahkerson? – Trochę podniósł głos, a mimo to ze zdziwieniem zobaczył, że wszyscy czworo gapią się na niego. Odkaszlnął. – Ponadto – dodał – chciałbym wiedzieć, co do... – Urwał, zerkając na Andy, a potem z rozmysłem dokończył: – Co, do diabła, się tam dzieje. Gdybyście byli tak uprzejmi.

Wewnątrz wszystkie lampy gazowe były pogaszone, a okna zasłonięte grubymi kotarami. Przeszli korytarzem przy świetle sączącym się przez gruby materiał zasłon. Na ścianach wisiały obrazy, ciemne i anonimowe, a tu i ówdzie rzeźbione popiersia lub stoły tworzyły niebezpieczne przeszkody.

– Wszystko się zaczęło – wyjaśniał pierwszy student, który miał na imię Norman – od jednej z tych okropnych gazetek.

– Nosi tytuł „Nowy Patriot” – dodał drugi, który przedstawił się jako Geoff.

– Ktoś dobrał się do rejestrów uniwersytetu...

– Zapewne przekupili dziekana, ten mógłby uczyć Rackhilla Griega...

– ...i dowiedzieli się, że wciąż jest tu grupka cudzoziemców.

– Większość studentów wyjechała, gdy to wszystko się zaczęło – wyjaśnił Geoff. – A wielu pozostałych wstąpiło do wojska. Dlatego umieścili tu szkołę artylerii kapitana Vahkersona i przenieśli do naszego szpitala rannych potrzebujących długotrwałej opieki. Było tu mnóstwo miejsca. Zostali głównie studenci medycyny.

– Oraz kilku cudzoziemców, którzy nie mogli lub nie chcieli wracać do swoich krajów. Oni nie są szpiegami. – Norman prychnął z obrzydzeniem. – Jednak ten pismak z „Nowego Patrioty” podsunął tłumowi pomysł i wkrótce nabrali przekonania, że mamy tu gniazdo spiskowców.

– Co to ma wspólnego z kapitanem Vahkersonem? – zapytał Marcus.

– Cóż, rzecz w tym, że nikt już tutaj nie rządzi – odparł Norman. – Rektor i jego personel odeszli podczas rewolucji, a dziekan zamknął się w piwnicy i nikogo nie chce widzieć. Kapitan Vahkerson jest jedynym gotowym wydawać rozkazy, więc ludzie go słuchają.

– On ma dar wzbudzania posłuchu – mruknął Marcus.

– Korzysta z gabinetu profesora Indici, ponieważ stamtąd ma dobry widok na bramę – rzekł Geoff. – Tutaj. Kapitanie? Przyprowadziłem pułkownika d’Ivoire.

Drzwi, jedne z wielu identycznych na korytarzu pierwszego piętra, były tak pociemniałe od wielu warstw żywicy, że wyglądały jak zrobione z żelaza. Otworzyły się i ku zdziwieniu Marcusa stanęła w nich młoda kobieta. Była to dziewczyna, którą widział z Kaznodzieją na placu Triumfu Farusa, nadal w nienagannym mundurze, lecz z włosami zaczynającymi się wymykać z koczka.

– Pułkowniku! – zawołał Kaznodzieja. – W porządku, Viero. Pułkownik przyszedł nam pomóc.

Kaznodzieja podszedł do nich. Gabinet był duży, z długim stołem, krzesłami, masywnym biurkiem i barkiem. W ścianie na jego końcu wielosegmentowe okno było zasłonięte kotarą, przy której stali trzej inni studenci, zerkając przez wąską szparę.

– Kapitanie – powiedział Marcus. – Przybyłem najprędzej jak mogłem. Wygląda na to, że macie tu jakieś problemy.

– Prawdę mówiąc, to nie moje problemy, ale nie mogę ich zostawić na lodzie. Czy Norman i Geoff już je panu przedstawili?

– Częściowo. Ilu ma pan tu cudzoziemców?

– Tylko Vierę i tych trzech chłopców pod oknem. Ona jest jedną z moich ludzi, a tamci są studentami medycyny. – Brodata twarz Kaznodziei spochmurniała. – Nie wydam żadnego z nich na Kolec, rozumie pan? Byłoby to zwyczajne morderstwo.

Kobieta artylerzystką? Marcus popatrzył na Vierę, która odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem.

– Pewnie nie przyprowadził pan ze sobą kompanii grenadierów? – zapytał Kaznodzieja.

– Tylko tych dwoje, których mi pan przysłał. Nie wiedziałem, że będziemy oblegani.

Przez chwilę żałował, że nie przyprowadził tu Uhlana i jego ludzi – gdyby doszło do walki, doświadczeni mierantajscy strzelcy byłiby bardzo pomocni. Tylko że gdyby trzeba było strzelać do nieuzbrojonych cywilów na ulicy... Wzdrygnął się na samą myśl.

– Tak właśnie myślałem – powiedział Kaznodzieja. – Ilu ich pańskim zdaniem jest przy głównej bramie?

– Około pięciuset – odrzekł Marcus.

– Teraz już więcej – zawołał jeden z chłopców pod oknem. – Co najmniej tysiąc. Szaleją!

– Posłuchaj. – Kaznodzieja podszedł bliżej i cicho powiedział: – Musimy wyprowadzić ich stąd. To tylko kwestia czasu, kiedy ktoś postanowi ominąć gwardzistów. Potrzebuję pańskiej pomocy.

– Masz ją, ale nie wiem, co chcesz, żebym zrobił.

– Gdybyśmy zdołali wydostać ich z terenu uniwersytetu... – Kaznodzieja z ukosa zerknął na Marcusa. – Słyszałem, że ukradkiem wyprowadzasz Hamveltajczyków i Borelgajów z miasta.

Uchodźcy Cory. Marcus sądził, że są ostrożni. Statki transportowe wypływały codziennie, z wojskowymi załogami, którym wyjaśnił potrzebę milczenia o dodatkowym ładunku. Pomocne było nazwisko Janusa bet Vhalnicha – jak się okazało również przy Wrotach Mądrości – i wzmianka o tym, że jest to częścią planu generała, zazwyczaj wystarczała, by zapewnić entuzjastyczną współpracę. Marcus miał z tego powodu poczucie winy, ale tylko lekkie. Janus na pewno by to zaaprobował, gdyby wiedział...

– Nie przejmuj się zbytnio – rzekł Kaznodzieja. – Nikt nie pisnął słówkiem. Jednak czasem przeprowadzam inspekcje tych statków, kiedy wysyłamy działa i proch, więc zauważyłem coś, czego nie powinienem zobaczyć. Kilku chłopców wyznało prawdę, kiedy ich zapytałem, pod warunkiem że będę milczał.

– Nie powinni byli tego robić – mruknął Marcus. Jednak nie mógł wzbudzić w sobie gniewu. Kaznodzieja potrafił być bardzo przekonujący.

– Wykonują Boże dzieło, chroniąc te kobiety i dzieci przed Kolcem. Wcześniej jednak musicie gdzieś je trzymać, więc pomyślałem, że gdybyśmy zdołali wyprowadzić tych studentów za mury, mógłbyś zaprowadzić ich do tej waszej kryjówki.

Na jaja Bestii. Na to się nie pisałem. Marcus westchnął.

– Zapewne moglibyśmy. Czy jednak jesteś pewny, że to konieczne? Wydaje się...

– Wdzierają się! – zawołał jeden z młodzieńców przy oknie. Mówił z wyraźnym borelgajskim akcentem.

– Co takiego? – Kaznodzieja obrócił się i ominął biurko, odsuwając studentów na bok. – Co się stało z gwardzistami?

– Oni po prostu... odeszli – rzekł jeden ze studentów. – Widziałem. Ktoś podszedł i coś im powiedział, a oni po prostu sobie poszli!

Marcus był o krok za Kaznodzieją i szerzej odchylił zasłonę. Z okna był widok na jedną z głównych alei biegnącą przez labirynt dziedzińców i dochodzącą do Wrót Mądrości. Istotnie halabard Gwardii Patriotycznej nigdzie nie było widać, a tłum – znacznie większy, od kiedy

Marcus tamtędy przeszedł – z impetem wdarł się przez bramę. Przystanął na pierwszym dziedzińcu, nie wiedząc, co robić z tym niespodziewanym zwycięstwem, lecz wkrótce fala nowo przybyłych jakby wytyczyła mu cel. Duże grupy rozeszły się na wszystkie strony, wymachując kijami, pałkami i innym prowizorycznym orężem.

– Święci i pieprzeni męczennicy – zaklął Marcus.

– Dlaczego gwardziści odeszli? – zapytał jeden ze studentów, Hamveltajczyk. – O Boże.

Zaczął mamrotać coś w swojej ojczyściej mowie. Inny, sądząc po podobnych rysach, zapewne jego brat, objął go i powiedział mu coś cicho w tym samym języku.

– Dyrektoriat chce nas rzucić na pastwę tłumu – powiedziała Viera. Odezwała się po raz pierwszy, a jej słowa były równie stonowane i dokładne jak jej ubiór. Marcus nie mógł zlokalizować jej akcentu: miała hamveltajską skłonność do wymawiania „w” jako „v”, ale nie rozwlekała samogłosek.

– Dlaczego mieliby to robić? Przecież przysięgliśmy ich inspektorowi, że interesuje nas tylko wiedza!

– Nie sądzę, by obchodziły ich nasze przysięgi – powiedziała Viera. Odwróciła się od okna.

– Pułkowniku d'Ivoire. Ma pan jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się ukryć?

– Być może – odparł Marcus, wciąż przyglądając się tłumowi. – Problemem będzie wydostanie się stąd. Mnóstwo ich pozostało przy bramie.

– Po północnej stronie jest Brama Tragarza – powiedział Kaznodzieja. – Ale jest zamknięta. Miałem nadzieję, że sporządzimy jakąś drabinkę sznurową, żeby wspiąć się na mur...

– Nie mamy na to czasu – powiedziała Viera.

– A co ze Studencką Bramą? – spytał Hayver.

Marcus odwrócił się zaskoczony. Zupełnie zapomniał o dwojgu szeregowych. Andy nadal stała przy drzwiach, wyraźnie zdenerwowana, ale Hayver zrobił krok naprzód.

– Nie ma tu żadnej Studenckiej Bramy – powiedział Kaznodzieja.

– Nigdy o takiej nie słyszałam – poparła go Viera.

Hayver zmieszał się i zaczerwienił. Marcus pochwycił jego wzrok i zachęcająco skinął głową, co zdecydowanie dodało mu odwagi.

– To właściwie nie jest brama – wyjaśnił. – Tak naprawdę to tajemnica. Przekazują ją sobie starsze roczniki studentów. W południowym murze jest miejsce, gdzie pod bluszczem są otwory w murze. Dzięki nim można wspiąć się na mur, a na górze można wyjąć parę żelaznych kolców.

– Skąd o tym wiesz? – dopytywała się Viera.

– Ja... rozmawiałem z ludźmi. Kiedy tu byłem. W szpitalu leżał ze mną student, który został ranny pod Midvale. Opowiadał mi o tym, jak było, kiedy tu studiował... – Hayver przełknął ślinę. – Zanim umarł.

– Potrafisz znaleźć to miejsce?

Hayver kiwnął głową.

– Kiedy mogłem już wstawać z łóżka, poszedłem go poszukać. Wiem, jak tam dojść.

– No to na co czekamy? – powiedziała Viera.

– Czekajcie – rzekł młodszy z dwóch Hamveltajczyków. – Zaczekajcie chwilę. Jeśli stąd wyjdziemy i natkniemy się na nich...

– Może powinniśmy zostać tutaj. Gwardia Patriotyczna w końcu wróci – dodał drugi. – Jeśli

zabarykadujemy drzwi, pewnie będziemy bezpieczni.

– Ja nie liczyłbym na Gwardię Patriotyczną – powiedział Borelgaj.

– Jestem zmuszony się z tym zgodzić – rzekł Marcus.

– No to może moglibyśmy z nimi porozmawiać? – zaproponował młodszy z braci. – Ktoś musi posłuchać głosu rozsądku...

– Próbuj, jeśli chcesz – warknęła Viera. – Ja nie zamierzam ryzykować zbiorowego gwałtu i brutalnej egzekucji. Pułkowniku?

Marcus z zaciekawieniem przyglądał się Vierze. Jeśli się bała, nie było tego po niej widać. Wciąż miała lodowato zimne spojrzenie. Skinął głową.

– Ona ma rację – powiedział. – Spróbujemy dotrzeć do tej Studenckiej Bramy, skoro Hayver jest pewny, że ją odnajdzie. Jeśli chcecie tu zostać, bardzo proszę.

Borelgaj natychmiast przeszedł przez pokój i stanął obok Marcusa i Viery. Dwaj Hamveltajczycy rozpoczęli ożywioną dyskusję w swoim ojczystym języku, a Kaznodzieja przysunął się do Marcusa.

– Ja tu zostanę – powiedział cicho. – Jest tu cały szpital chłopców, którzy nie mogą się ruszać.

– To nie są cudzoziemcy – zauważył Marcus. – Powinni być bezpieczni, nieprawdaż?

– Może. Jednak nie wiadomo, co zrobi tłum, kiedy zacznie szaleć. – Potrząsnął głową. – Ponadto jest tu skład prochu, o którym trzeba pamiętać. Jeśli wpadną na pomysł podpalenia budynku...

– Boże Wszchemogący. – Marcus zawahał się. – Jesteś pewny, że nic ci nie będzie?

– Jeśli Pan tak zechce. – Kaznodzieja uśmiechnął się. – Jednak spodziewam się, że zechce. Tamci to w gruncie rzeczy tchórzliwa zgraja.

– W porządku. – Marcus wyciągnął rękę, a Kaznodzieja uścisnął ją. – Kiedy się uspokoi, przyślij gońca, żebym wiedział, że nic ci nie jest.

– Tak zrobię. A ty może mógłbyś przesłać mi jakoś wiadomość, czy wam się udało.

Marcus skinął głową.

– Znajdę jakiś sposób.

– Dobrze. – Kaznodzieja spojrział za okno i uśmiechnął się. – Mam wrażenie, że znów jestem w Ashe-Katarionie. Gdzie jest Janus, kiedy go potrzebujemy, co?

W końcu obaj Hamveltajczycy – bracia Karl i Frederick – postanowili iść. Borelgajski student, Volaht, trzymał się Marcusa. Hayver prowadził, a Viera szła tuż za nim, natomiast Andy na ochotnika zamykała pochód.

– Zaprowadzę was do tylnych drzwi – powiedział Hayver. – Jest tam dziedziniec łączący się z Dłuższą Salą i z niej resztę drogi będziemy mogli przejść pomieszczeniami.

– A jeśli nas znajdą? – spytał Karl, młodszy z braci.

– Wtedy trzymajcie język za zębami, a ja spróbuję odwołać się do ich rozsądku – odparł Marcus.

– A jeśli to się nie uda?

– Wtedy pobiegniemy – powiedziała Viera.

Szli przez mroczne wnętrza Starego Byczka. Hayver bez wahania wybierał kolejne korytarze i szybko prowadził ich po kamiennych płytach posadzki. Mijali elegancko umeblowane pokoje z krzesłami stojącymi w kręgach lub wokół stołów. Za innymi drzwiami były wykafelkowane

komnaty przypominające wielkie zmywalnie, z poplamionymi kamiennymi stołami. Sale operacyjne, domyślił się Marcus, lub prosektoria. Albo jedno i drugie.

Na końcu pozornie niekończącego się korytarza były następne duże podwójne drzwi, zamknięte i zaryglowane. Z zewnątrz dochodził stłumiony hałas, w którym Marcus usłyszał krzyki i brzęk tłuczonego szkła. Od czasu do czasu słychać było, jak coś upada z łoskotem, czemu towarzyszył chóralny ryk radości.

– Co oni robią? – spytał Volaht. – Myślałem, że chodzi im o nas. Dlaczego demolują uniwersytet?

– Kiedy tłum wymyka się spod kontroli, niszczy wszystko, co wpadnie mu w ręce – wyjaśniła Viera.

– O Boże – jęknął Karl, przyciskając się do ściany. – Oni nas zabiją. Nawet nie przebiją nas Kolcem. Rozerwą nas na strzępy.

Zaczął odmawiać modlitwę po hamveltajsku, pospiesznie i prawie bezgłośnie.

Marcus podkradł się do zasłony i odchylił ją odrobinę. Na zewnątrz był dziedziniec, dłuższy niż szerszy. Otaczały go żywopłoty, a zwirowa ścieżka wiła się przez zeschnięty trawnik. Mała marmurowa rzeźba kuszącej nimfy już została zrzuciona z piedestału.

– Hayver – zapytał Marcus. – Którędy mamy iść?

Chłopak zerknął przez szparę, gdy przytrzymał zasłonę.

– Na drugą stronę. Wygląda na to, że drzwi są otwarte.

Marcus spojrzał ponownie. Drzwi na drugim końcu dziedzińca były otwarte na oścież.

– To chyba ze trzydzieści metrów – mruknął.

– Nigdy tam nie dobiegniemy – zaskomlił Karl.

– Będziesz cicho? – prychnęła Andy.

Gdzieś po drodze znalazła miotłę, dużą i z długim mocnym trzonkiem. Starannie oparła ją o ścianę i przydepnęła z impetem. Drewno pękło z głośnym trzaskiem, sypiąc drzazgami.

– Chyba kazałem wam być cicho! – mruknął Marcus.

– Przepraszam, panie pułkowniku. – Andy zważyła w dłoni ułamany trzonek, zmieniony w poręczną pałkę z poszarpanym końcem. – Pomyślałam, że dobrze będzie mieć coś w ręku.

Karl znów jęknął. Andy przewróciła oczami.

– Daj mu spokój – rzekł Frederick. – On jest bardzo wrażliwy.

– W porządku – powiedział Marcus. – Pójdę pierwszy. Wszyscy macie trzymać się blisko mnie. Idźcie szybko, ale nie biegniecie, dopóki nie powiem. Z daleka będziemy wyglądali jak jedna z grup tych wichrzycieli, prawda?

Chóralnie przytaknęli. Viera podeszła do małego marmurowego popiersia i podniosła je, sprawdzając jego ciężar.

– Pańska dziewczyna ma rację – powiedziała, gdy Marcus posłał jej pytające spojrzenie. – Lepiej być przygotowanym.

Marcus wzruszył ramionami.

– Hayver, możesz odsunąć tę zasuwę?

Chłopak z całej siły szarpnął zardzewiały metal i rygiel poruszył się, zgrzytliwie protestując. Drzwi otwały się, wpuszczając światło dnia, które jak nóż przecięło mrok starego korytarza, podświetlając wirujący w powietrzu kurz. Marcus zamrugał, żeby oswoić oczy z blaskiem, po czym ruszył naprzód, starając się iść pewnym krokiem. Zerknął przez ramię, upewniając się,

że pozostali idą za nim.

Trzydziestometrowa ścieżka na drugą stronę dziedzińca wydłużała się pod jego nogami, aż nabral przekonania, że ta odległość zwiększa się z każdym krokiem. Odruchowo położył dłoń na rękojeści szabli. Nie spodziewał się walki, tak więc tylko on miał prawdziwą broń, ale nie chciał użyć jej przeciwko ludziom, którzy w końcu byli cywilami. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Już prawie doszliśmy.

Pokonali dwie trzecie drogi, gdy jedną z bocznych alejek na dziedzińcu weszła grupka rozwrzeszczanych i roześmianych ludzi. Było ich co najmniej tuzin i zaskoczeni stanęli jak wryci, w milczeniu spoglądając na mundur Marcusa oraz togi studentów.

– To oni! – wrzasnął jeden z nich.

Teraz mam okazję odwołać się do ich rozsądku, pomyślał Marcus, i skarcić ich za rzucanie nieuzasadnionych podejrzeń. Spróbować ich zagadać. Popatrzył na twarz tego człowieka i dostrzegł furię w jego oczach.

– Biegiem! – krzyknął.

Andy i Hayver w swych mundurach z łatwością wyprzedzili czwórkę studentów, których spowalniały obszerne togi. Marcus został z tyłu, gotowy podtrzymać każdego, kto by się potknął. Spojrzał przez ramię i zobaczył tamtych bliżej, niż się spodziewał; praktycznie deptali mu po piętach. Okręcił się, wrywając szablę z pochwy, i uniósłszy ją, zatrzymał pierwszego napastnika.

– Na niego! – krzyknął inny, przeciskając się naprzód i wymachując drewnianym słupkiem jak pałką.

Marcus łatwo mógł go wypatroszyć, ale jeszcze nie był na to gotowy. Uskoczył przed niezdarnym ciosem i uderzył gardą szabli w twarz mężczyzny, łamiąc mu szczękę. Napastnik padł jak zepsuta marionetka, przyciskając dłonie do twarzy i jęcząc z bólu, a Marcus wykorzystał zdobytą przewagę, cofając się. Byli prawie przy drzwiach. Hayver stał przy nich, poblady.

– Marcus! Oni są w środku!

– Dobrze! – Marcus odwrócił się plecami do napastników i minął szeregowca. – Zamknij drzwi!

– Nie, chciałem...

– Pułkowniku! – powiedziała Andy. – Może pomóc?

Hayver z wysiłkiem zamknął drzwi i znów otoczył ich mrok. Zanim jednak zgasło światło, Marcus zauważył kilku innych napastników idących ku nim korytarzem.

Musieli już być w środku. Nic dziwnego, że drzwi były otwarte. Marcus zaklął i pobiegł truchtem naprzód z uniesioną szablą. Andy trzymała swój ułamany kij od miotły w całkiem znośnej postawie szermierczej, a Viera stała przy niej, ściskając marmurowe popiersie. Karl i Frederick przyciskali się do ściany; Volaht z niepewną miną trzymał się blisko nich.

– Z drogi! – ryknął Marcus jak na placu musztry. – Ci ludzie są pod ochroną królewskiej armii Vordanu!

– Teraz jest to armia republiki – prychnął jeden z mężczyzn blokujących korytarz. W rękę trzymał coś, co wyglądało na nogę od krzesła.

– Właśnie, pracujecie dla nas! – zawołał drugi.

– Opuść szablę!

– Zejdźcie z drogi – ponowił żądanie Marcus. – Nie chcę zranić nikogo z was.

– Ach tak, żołnierzyku? – powiedział inny mężczyzna, bezpiecznie schowany za plecami pozostałych. – Chcesz kogoś dźgnąć?

Marcus zrobił krok naprzód. Przywódca tamtych miał minę człowieka, który porównał swoją nogę od krzesła z błyszczącą stalową klingą Marcusa i doszedł do oczywistego wniosku. Cofnął się, plecami napierając na stojących za nim. Zachęcony tym Marcus zrobił krok naprzód i wyciągnął szablę, tak że jej koniec znalazł się tuż przed nosem mężczyzny.

Niemal natychmiast zrozumiał, że to był błąd. Z wyciągniętą ręką nie mógł zadać pchnięcia i jeden z mężczyzn czających się za hersztem rzucił się naprzód. Oburącz złapał za przegub Marcusa i pociągnął go w bok, tak że uderzył dłonią o ścianę korytarza. Poczul przeszywający ból palców i wypuścił szablę, która z brzękiem upadła na posadzkę.

– Brać ich! – wrzasnął herszt.

Banda runęła do ataku. Marcus, wciąż ściskając stłuczoną dłoń, zdołał podstawić nogę pierwszemu i mężczyzna runął jak długi na kamienne płyty. Ten, który złapał go za przegub, teraz wziął go w niedźwiedzi uścisk, próbując przewrócić. Taki chwyt byłby dobry w pijackiej burdzie, a nie w prawdziwej walce ulicznej. Marcus pozwolił mu się przyciągnąć i mocno kopnął go kolanem w krocze. Napastnik natychmiast stracił chęć do walki i padł jak mokra szmata.

Stojąc na środku korytarza, Andy dzielnie stawiała czoło napastnikom. Ich herszt niezdarnie zamachnął się nogą od krzesła, a ona zręcznie uskoczyła w bok i końcem kija rąbnęła go w potylicę, gdy przelatywał obok. Następny napastnik zawahał się i przystanął, ale źle ocenił odległość i dał jej idealną sposobność do wymierzenia silnego ciosu grubym metrowym styliskiem. Trzask złamanego nosa odbił się głośnym echem w korytarzu i mężczyzna bezwładnie odleciał do tyłu.

Ostatni dwaj napastnicy byli potężnie zbudowani i poruszali się tak, jakby już walczyli razem. Rozdzielili się, jeden na prawo, a drugi na lewo, a gdy Andy próbowała uderzyć jednego z nich, drugi błyskawicznie doskoczył, złapał ją oburącz za rękę i wykręcił ją na plecy. Jęknęła z bólu i wypuściła kij od miotły.

Prawa dłoń wciąż tak bolała Marcusa, że był pewien, że coś sobie w niej złamał. Zaszedł od tyłu napastnika atakującego Andy, zamierzając obalić go kopniakiem pod kolano, ale coś przytrzymało mu nogę. Spojrzał w dół i zobaczył, że powalony przez niego mężczyzna trzyma go za kostkę, ściskając ją jak tonący belkę. Marcus okręcił się i kopnął go w skroń, ponawiając to, gdy napastnik nie puścił.

Jeden z mężczyzn uderzył Andy pięścią w twarz, a potem w pierś. Poprawił kopnięciem kolanem w brzuch, aż zgięła się z jękiem. Ten, który trzymał ją za rękę, puścił ją, odwrócił się do pozostałych i zdążył zobaczyć marmurowe popiersie w ręku studentki, szybko opadające w kierunku jego czoła. Padł, gdy rozległ się trzask, jakby zderzyły się dwie kule bilardowe.

Ostatni napastnik podniósł pięść, stając przed Vierą, która wciąż ściskała popiersie i ciężko dyszała. W następnej chwili Hayver dołączył do niej, zaciskając pięści w sposób świadczący, że nie ma zielonego pojęcia, co z nimi robić. Volaht też zrobił krok naprzód, blady jak ściana.

– Dość tego – warknął Marcus. Podniósł szablę, niezręcznie chwytając ją lewą ręką, i wycelował ją w szyję mężczyzny, tym razem trzymając tak, żeby tamten nie mógł jej zniecka chwycić. – Siadaj i oprzyj ręce o podłogę.

Przeciwnik podniósł ręce nad głowę i zsunął się po ścianie, siadając. Marcus popatrzył na pozostałych napastników, ale żaden z nich nie był w stanie powstać i wznowić ataku. Zwinięta na posadzce Andy na przemian kasłała i klęła.

– Volaht, Viera, pomóżcie Andy wstać. Hayver, czy drzwi są zaryglowane?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Hayver, gniewnie patrząc na siedzącego napastnika.

– Zatem idźcie. Znasz drogę. – Skinął na Karla i Fredericka, którzy wciąż kulili się pod ścianą. – Wy dwaj, chodźcie. Już po wszystkim.

Gdy bracia przechodzili między leżącymi i jęczącymi ludźmi, a Andy podnoszono z posadzki, siedzący mężczyzna wykrzywił się pogardliwie.

– Pierdolone cudzoziemskie śmieci – mruknął. – Vordanajska dziewczyna musi za was walczyć.

– Mogę go uderzyć, pułkowniku? – zapytała Viera.

– Bardzo proszę – odparł Marcus. – Nie chcemy, żeby nas śledził.

– Czekaście... – zdołał jęknąć mężczyzna, zanim marmurowe popiersie znów opadło.

– Nic ci się nie stało? – zapytał Marcus, gdy podążali korytarzami Dłuższej Sali tak szybko, jak Andy była w stanie iść.

– Nic mi nie jest – powiedziała. Na jednym jej policzku już formował się wielki siniak i mówiła, jakby miała usta pełne waty. – Kopano mnie mocniej.

– I pewnie sama też mocniej kopałaś.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Nie ma pan pojęcia.

– Tędy! – zawołał Hayver, stojący przy kolejnych podwójnych drzwiach. – Zdaje się, że teren jest czysty.

Za drzwiami był następny dziedziniec, ocieniony świerkami i spowity ich zapachem. Przylegał do zewnętrznego muru, porośniętego wszechobecnym bluszczem. Marcus nerwowo zerknął na przejścia odchodzące na boki, ale napastników nigdzie nie było widać. Brzęk tłuczonego szkła i krzyki dochodzące z budynków wskazywały na to, że kontynuowano dzieło zniszczenia.

– Tutaj. – Hayver podbiegł do muru i wetknął rękę w bluszcz. – Brakuje części cegieł. Pokażę wam.

– Pójdę pierwszy – rzekł Marcus. – Hayver, ty zamykasz pochód. Andy, dasz sobie radę?

– Poradzę sobie – odparła. – A pan?

Marcus poruszył palcami prawej dłoni. Bolały okropnie, ale mógł nimi ruszać. Skrzywił się.

– Tak sędzę.

– Dwa kolce na szczycie muru wyjdą, jeśli pan je pociągnie – rzekł Hayver.

Marcus spojrział na zwieńczony stalowymi szpikulcami mur, który nagle wydał mu się okropnie wysoki.

– W porządku – mruknął.

Prawdę mówiąc, wspinaczka wcale nie byłaby trudna dla kogoś mogącego używać obu rąk. Tak jak obiecywał Hayver, brakujące cegły tworzyły dobre uchwyty, a na szczycie Marcus wyjął dwa żelazne kolce z ich gniazd i odłożył je na bok. Z drugiej strony też brakowało cegieł, więc ostrożnie zszedł na dół, starając się oszczędzać prawą rękę. Zanim zeskoczył na murawę, Viera już przechodziła na drugą stronę, zatrzymawszy się na moment, żeby najpierw

obciągnąć długą suknię.

Kolejno przeszli wszyscy. Marcus pomógł zejść Andy, zauważywszy, jak skrzywiła się z bólu, kiedy odwracała się na szczycie muru. Idący na końcu Hayver sumiennie wetknął dwa kolce w gniazda, zanim zszedł.

– I co teraz? – spytał Frederick. Jedną ręką obejmował brata, który nie odezwał się od czasu potyczki na korytarzu. – Dokąd nas zabieracie?

– Do Starego Miasta – odparł Marcus. – Najpierw jednak musicie zdjąć togi, inaczej was rozpoznają.

– Będą pilnowali drogi na zachód – powiedziała Viera.

– Wiem. Pójdziemy na południe, do Starego Brodu. Trochę się zmoczymy, ale przejdziemy tamtędy.

– Mamy brodzić w rzece? – zapytał Frederick. – Niech pan nie będzie śmieszny.

– Jeśli zamierzacie pójść w inną stronę, to wolna droga. – Marcus wskazał na południe. – My idziemy tam.

Oczywiście wszyscy poszli na południe. Za murami uniwersytet otaczały trawiaste pagórki z nielicznymi drzewami, stopniowo opadające ku rzece. Vor płynęła tu spokojnie, głęboka najwyżej na pół metra i tak szeroka, że wydawała się jeziorem. Na długo przed zbudowaniem mostów wiodących na Wyspę to Stary Bród dał początek Vordanowi, średniowiecznej osadzie, której resztki znajdowały się pod obecną Starówką.

Wcale nie musieli brodzić w wodzie. Wielu przedsiębiorczych właścicieli łodzi oferowało swe usługi tym, którzy chcieli przeprowadzić ładunki i nie mieli wozów. Ich płaskodenne jednostki przepływały tuż nad żwirowym dnem rzeki. Marcus skierował swych podopiecznych na pierwszą taką łódź, zapłacił jej właścicielowi dziesięciokrotnie więcej, niż wynosiła normalna opłata, po czym kazał płynąć do Starego Miasta i nie zadawać żadnych pytań. Najwyraźniej nie było to niezwykle żądanie i szczerbaty mieszkaniec południowego brzegu milczał przez całą drogę i bez narzekań natychmiast odpłynął, zaledwie wysiedli.

Marcus zaczekał ze studentami i Hayverem, gdy Andy poszła poszukać odpowiedniejszych ubrań. Po kwadransie wróciła z workowatymi tunikami i spodniami dla chłopców oraz niedopasowaną zieloną suknią dla Viery. Studenci, narzekając, przebrali się za zakotwiczoną barką. Marcus dostał długi lniany płaszcz, który przynajmniej skrywał jego mundur przed oczami postronnych.

Do pani Feldy było niedaleko, ale Marcus niemal liczył każdy krok, starając się nie patrzeć podejrzliwie na każdego mijanego przechodnia. Idąca z tyłu Andy czujnie wypatrywała ewentualnego ogona i kiedy w końcu stanęli przed starym kościołem, zameldowała, że nikt nie okazywał żadnego zainteresowania idącymi.

Do diabła. Marcus zgrzytnął zębami. *Nie nadaję się do czegoś takiego. Dajcie mi ładne pole bitwy i nieprzyjaciela noszącego mundury.*

Zastukał w drzwi kościoła, spodziewając się zobaczyć panią Feldę lub jej syna, a kiedy otwarły się, skrzypiąc, ze zdziwieniem ujrzał w nich Corę. Sądząc po jej cichym okrzyku zaskoczenia, ona też była zdziwiona.

– Pułkowniku! – powiedziała. – Spodziewaliśmy się pana dopiero za kilka godzin.

– Spodziewaliście się mnie? – Marcus pokręcił głową. – Skąd mogliście wiedzieć, że przyjdę?

– Wysłałam gońca do Bliźniaczych Wieżyczek – wyjaśniła Cora. – Przed chwilą. Nie mógł tam jeszcze dotrzeć.

– Co się stało?

– Odkryłyśmy coś. Ja i... – Zerknęła na grupkę za plecami Marcusa. – I nasza wspólna znajoma.

Marcus pokręcił głową.

– Od rana nie byłem w mojej kwaterze.

– Zatem...

– Zejdźmy z ulicy – zaproponował. – Wyjaśnimy to sobie w środku.

Pani Felda natychmiast zajęła się czwórką studentów, zabierając ich, żeby się umyli i zjedli gorący posiłek. Zatraskała się sińcem na twarzy Andy, ale dziewczyna machnięciem ręki zbyła jej współczucie. Ona i Hayver zostali z Marcusem, który poszedł za Corą do jej fortecy z rejestrów na końcu przebudowanego budynku. Raesinia była tam, w skupieniu wodząc wskazującym palcem po kolumnach liczb w jakiejś księdze. Podniosła głowę, zobaczyła nadchodzącego Marcusa i posłała mu szeroki uśmiech.

– Mamy coś! – Uśmiech zgasł na widok jego miny. – Co się stało? Czego chciał Kaznodzieja?

– Pomocy – odrzekł Marcus. – Tłum wdarł się na uniwersytet, ponieważ rozeszła się wieść, że zostało tam kilku cudzoziemskich studentów.

– Na jaja Bestii! – zakląła Raesinia. – Czy zniszczenia są duże?

– Kiedy odchodziliśmy, nadal wszystko niszczyli. – Marcus westchnął i przysunął sobie stare krzesło. Ostrożnie je wypróbował, a kiedy nie rozpadło się pod jego ciężarem, usiadł pewniej. – Przyprowadziłem tu tych cudzoziemskich studentów, ale Kaznodzieja został, żeby zająć się ludźmi w szpitalu. Nie wiem, co się tam stało.

– Do diabła. – Raesinia podeszła bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu. – Na pewno nic mu nie będzie. Nawet oszalały tłum nie skrzywdzi oficera, kiedy toczymy wojnę.

– Mnie bardzo starali się załatwić – rzekł Marcus, poruszając stłuczonymi palcami prawej dłoni. Znowu poczuł przeszywający ból.

Teraz, gdy bezpośrednie zagrożenie minęło, doszły do głosu tłumione emocje. Niepokój o Kaznodzieję, niesmak wywołany głupotą i krótkowzrocznością tłumu i jeszcze coś: rodząca się rozpacz.

Przecież to była stolica Vordan, którą zawsze uważał za centrum cywilizowanego świata. Widok miasta wijącego się w konwulsjach niczym oszalałe zwierzę wstrząsnął Marcusem bardziej, niż chciałby przyznać. Podczas rewolucji można było winić Orlankę i jego czarne płaszcze, ale teraz winę ponosili tylko i wyłącznie sami Vordanajowie.

A może nie?

– Myślę, że Maurisk tego chciał – rzekł Marcus. – Albo ktoś inny w rządzie. Gwardia Patriotyczna pilnowała uniwersytetu, ale odmaszerowała gdzieś tuż przed tym, zanim wszystko się zaczęło.

– To wygląda na Mauriska – powiedziała Raesinia. – Brakuje mu żeru dla Kolca. Jednak posłuchaj! – Raesinia złapała za rękę czekającą obok Corę i przyciągnęła bliżej. – Powiedz mu to, co mi mówiłaś.

– Co...? – zaczęła Cora. – Ach tak. Przejrzałam te rejestry, które mi przynieśliście, młyna

Halversona. Coś jest z nimi nie w porządku. Brakuje mnóstwa produktu i dużych ilości surowców. Usiłowali to ukryć, ale niezbyt skutecznie.

Marcus pomasaował skronie. Niemal zapomniał, po co przyszła tu Raesinia.

– I co to oznacza?

– Że brakuje dużej ilości prochu strzelniczego. Ogromnej.

– I to nie wszystko – wtrąciła Raesinia, nie mogąc się powstrzymać. – Cora ustaliła, gdzie się podział!

– Prawdopodobnie – sprostowała Cora, lekko się rumieniąc. – Nie jestem pewna. Jednak Halverson ma magazyn w Dokach i jeśli zestawi się wszystkie transporty, więcej wozów wyjeżdża z niego, niż tam wjeżdża. Tak więc albo produkują tam konie i wozy, albo ktoś zapomina notować, co tam wysyłają. Oficjalnie ten magazyn jest pusty.

– Tak więc jedyne, co musimy zrobić – zakończyła Raesinia – to pójść tam i sprawdzić!

– Pójść i sprawdzić – powtórzył Marcus. Wypuścił powietrze. – Jeśli dzieje się tam coś złego, to będzie niebezpieczne.

Raesinia posmutniała.

– Ja nie...

– W każdym razie już coś mamy – orzekł. – Teraz musimy porozmawiać z kimś, kto naprawdę ma władzę. – Pomyślał i dodał: – Chyba muszę porozmawiać z pewnym starym znajomym.

CZEŚĆ DRUGA

Interludium

Ignahta Sempria

Z tego, co Strzyżyk mógł dostrzec, miasto nie płonęło. Przez cały dzień słyszeli plotki od ludzi wypełniających drogę na północ, obładowanych całym dobytkiem, jaki zdołali unieść. Biedni robotnicy nieśli na plecach toboły z żywnością, narzędziami i małymi dziećmi, ciągnąc za sobą stadka rodzin. Bogatsi uchodźcy jechali lub byli wiezieni powozami, chociaż Strzyżyk widział kilku bogato odzianych ludzi, którzy zajędzili swoje konie i wlekli się pieszo.

Miał beczkę wody, którą co jakiś czas napełniał w strumieniu oddalonym o kilka minut marszu od drogi i dawał się napić z drewnianego kubka każdemu, kto poprosił. W zamian udzielali mu informacji – pewnego rodzaju. Vordanajowie zwyciężyli pod Gaafen. Nikt nie wiedział jak, ale Deslandczycy nie byli tego ciekawi: ich miasto nie miało szczytnych militarnych tradycji i ta klęska była kolejną w całym ich szeregu.

Tak więc plotkujący skupiali się na tym, co Vordanajowie, ożywieni duchem ich krwawej rewolucji, zrobią z miastem. Powszechnie zakładano, że zagrabią wszystko, co się da, i zgwałcą każdą kobietę, która wpadnie im w ręce, ale poza tym krążyły jeszcze bardziej groteskowe opowieści. Jedna kobieta twierdziła, że spalono całe dzielnice, po zabarykadowaniu drzwi domów, żeby ich mieszkańcy spłonęli żywcem. Kapłanów Kościoła Zaprzysiężenia na ich ołtarzach składano w ofierze mrocznym bóstwom. Kilku dobrze ubranych uchodźców przysięgało, że aresztowano już wszystkich szlachetnie urodzonych obywateli miasta, a vordanajski generał przywiózł ze sobą jeden z tych koszmarnych Kolców, żeby za jego pomocą szerzyć swe okrutne credo. Pewna matka młodych córek powiedziała mu, że Vordanajowie mają legion piekielnych kobiet-żołnierzy o nienasyconych żądzach i wyłapują wszystkie dziewicze córki Deslandu, żeby wcielić je w swoje szeregi w perwersyjnym, orgiastycznym rytuale.

Strzyżyk tylko się uśmiechał, kiwał głową i przytakiwał, że to straszne, jednocześnie próbując wyłuskać ziarna prawdy z tych bzdurnych opowieści. Demon, przyczajony w jego uszach, umożliwiał mu podsłuchiwanie rozmów przechodzących ludzi nawet wtedy, kiedy myśleli, że są sami, i te również dostarczały mu informacji. Z nadejściem wieczoru potok umykających Deslandczyków zmienił się w strużkę, co samo w sobie było istotnym faktem. Rozpalił ognisko przy swojej beczce, napił kilku spóźnialskich i czekał.

Wyostrzony słuch Strzyżyka wychwycił stukot końskich kopyt na ubitym trakcie dużo wcześniej, niż konie znalazły się w zasięgu wzroku. Ponieważ jechał z nimi tak długo, nawet rozpoznał wierzchowce kompanów i nie był zdziwiony, gdy w polu jego widzenia pojawił się wielki wałach Skręta, a za nim nieco mniejszy rumak Łgarza. Natomiast zdziwił go widok trzeciego mężczyzny, siedzącego przed Skrętem, z rękami związanymi z przodu. Cień słyszał przyspieszone bicie jego serca i świszczący oddech.

– Mielście wrócić przed zachodem słońca – powiedział Strzyżyk, gdy dwaj Przekłęci Penitenci zatrzymali wierzchowce. Łgarz ostrożnie zsunął się z siodła, oszczędzając przy tym obolałą nogę, co – jak podejrzewał Strzyżyk – było mocno udawane.

- Opóźniła nas – rzekł Łgarz, przeciągając się – nieoczekiwana sposobność.
- On? – spytał Strzyżyk, wskazując nieznanego, gdy Skręt jedną ręką opuścił go na ziemię.
- Tak – potwierdził Łgarz. – Powinniśmy zejść z drogi.

Strzyżyk wylał resztę wody i zabrał beczułkę, a Skręt jedną ręką poprowadził konia, niosąc na ramieniu nieznanego. Łgarz zamykał pochód, prowadząc swojego rumaka i mamrocząc o tym, co go boli. Strzyżyk pozwolił demonowi wpłynąć do swoich oczu, aż zapadający mrok stał się jasny jak dzień i mógł w nim dostrzec każdą gałąź i nierówność. Gdy dotarli do swojego obozowiska nad strumieniem, gdzie były uwiązane pozostałe konie, Skręt posadził nieznanego na głazie.

Mężczyzna był stary, o wiele starszy od Łgarza, o siwych włosach i zbolącej pomarszczonej twarzy. Miał na sobie dobrze uszyty czarny surdut, jak służący z dobrego domu, i wyzywająco spoglądał na swoich ciemniejszyli.

– Kim on jest? – spytał Strzyżyk, przyglądając się starcowi swoim wyostrzonym wzrokiem. Mógł policzyć włoski w jego nosie i dostrzegał wyraźnie oznaki lęku, chociaż dobrze ukrywane i niedostrzegalne dla zwykłego obserwatora.

– Zapewniano mnie – rzekł Łgarz – że jest to służący samego generała Janusa bet Vhalnicha. Człowiek, który towarzyszył mu wszędzie, również podczas kampanii w Khandarze.

Strzyżyk przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

– W Khandarze? On?

Łgarz spojrział na swoje długie paznokcie. Były pomalowane białym lakierem, lecz koniec każdego plamił brąz zaschniętej krwi.

– Tak mi powiedziano. Chociaż moi informatorzy nie mogą kłamać, oczywiście mogą się mylić.

– Nawet jeśli to prawda – rzekł Strzyżyk – to czy on wie cokolwiek istotnego?

– Łatwo to sprawdzić – powiedział Łgarz.

Starzec słuchał tej rozmowy, w dziwnie ptasi sposób obracając głowę do mówiących. Strzyżyk myślał, że ich nie rozumie – gdyż obaj Przekłęci Penitenci rozmawiali po murnskajsku, w języku znanym niewielu ludziom na tak dalekim południu – lecz ku jego zdziwieniu więzień przemówił w tym samym języku, z silnym akcentem, ale zrozumiale.

– Równie dobrze od razu możecie mnie zabić – wykrztusił. – Wiecie, że nic wam nie powiem.

Łgarz uniósł brwi.

– Zaprzeczasz, że pracujesz u generała Vhalnicha?

– Mam zaszczyt służyć mu od wielu lat. – Starzec dumnie uniósł głowę. – Cokolwiek zamierzacie mi zrobić, zapewniam was, że nic to nie da.

– W innych okolicznościach nie wątpię, że tak by było – odparł Łgarz. – W końcu nie jesteś w najlepszej kondycji. Nie moglibyśmy długo cię torturować. Jednakże – rozłożył ręce i jego paznokcie zabłysły w blasku ogniska – Skręt, przytrzymaj go.

Skręt chrząknął i położył dłonie na ramionach starca, który daremnie próbował się wyrwać z jego potwornie silnego uścisku, lecz znieruchomiał, gdy Łgarz podszedł bliżej. Przycisnął czubki kciuków do czoła starca, pozostałymi palcami obejmując jego twarz, czule jak kochanek.

– To – powiedział Łgarz, powtarzając obietnicę, której zawdzięczał swój przydomek –

wcale nie będzie bolało.

Jego palce rozjarzyły się błękitnym i białym blaskiem, ukazującym paliczki i stawy. Blask spłynął do czubków palców, a potem po paznokciach, spowijając głowę starca świetlistą pajęczyną. Potem, powoli, lecz niepowstrzymanie, paznokcie zagłębiły się w twarz więźnia, przecinając skórę, tkanki i kość. Krew zebrała się wokół ran i spłynęła po policzkach jak łzy. Starzec otworzył usta, próbując krzyknąć, lecz nie wydobył głosu; z jego ust wypłynęła słabo opalizująca błękitna mgiełka i gęstą chmurą otoczyła jego głowę.

– Jak się nazywasz? – zapytał Łgarz.

– Augustin – powoli i wyraźnie odparł mężczyzna. – Jean Rigas Augustin.

– Dobrze. Czy wiesz, kim jesteśmy?

– Agentami Kościoła Elizjum. Przeklętymi Penitentami.

– Bardzo dobrze. – Łgarz zerknął na Strzyżyka, a potem znów na swego więźnia. Augustin spoglądał w dal szeroko otwartymi oczami. – Byłeś w Khandarze z generałem Janusem bet Vhalnichem?

– Byłem.

– I mogłeś słuchać jego poufnych rozmów?

– Tak. Mój pan ufa mi bezgranicznie.

– No cóż – rzekł Łgarz – opowiedz nam, co się tam działo. A zwłaszcza wszystko, co wiesz o Tysiącu Imion.

Kiedy starzec zaczął mówić, Strzyżyk nachylił się i słuchał całą mocą swego demona.

– Dowiedzieliśmy się więcej, niż oczekiwałem – rzekł Łgarz, mokrą szmatą ocierając krew z paznokci.

– Vhalnich ma Imiona – powiedział Strzyżyk. – Wie, czym są. Szukał ich.

– Tak jak podejrzewał nasz pan, pontifeks. Być może cała ta wyprawa do Khandaru była tylko przykrywką.

– Wciąż nie wiemy, czy sam ma w sobie demona – stwierdził Strzyżyk.

– Co najmniej jeden z jego podwładnych go ma – rzekł Łgarz. – Ten Ihernglass. On musi być tą mocą, którą wyczuwam w mieście.

Strzyżyk skinął głową. Jego magiczne zmysły, paradoksalnie, były mniej wyczulone, ale im bardziej zbliżali się do Deslandu, tym wyraźniej czuł obecność potężnego demona.

Skręt rzucił przez ramię kolejną łopatę ziemi. Dół sięgał mu już po pas, gdyż potwornie silny Penitent szybko radził sobie nawet z tą wyschniętą i skalistą leśną glebą. Ciało starca leżało obok, a zakrywająca je szmata litościwie oszczędzała im widoku jego wykrzywionej skurczem agonii twarzy. Nawet Strzyżyk, który wielokrotnie widział Łgarza przy pracy, czuł się trochę nieswojo, patrząc, jak jego demon powoli spala kogoś żywcem od wewnątrz.

Zanim magia zabiła Augustina, uzyskali wiele informacji, ale służący Vhalnicha nie wiedział wszystkiego.

– Nie znamy natury demona, którego nosi Ihernglass – powiedział Strzyżyk.

– Czuję jego moc – rzekł Łgarz. – Dotychczas tylko parę razy czułem taką siłę. To na pewno jeden z Lordów i nie najsłabszy z nich.

– Mimo to niekoniecznie jest groźny – zauważył Strzyżyk.

Nawet najpotężniejsze demony nie zawsze obdarzały nosicieli swymi niebezpiecznymi zdolnościami. Na przykład w Elizjum był człowiek, któremu demon pozwalał przepisywać

całe księgi w ciągu kilku godzin. Choć oczywiście Kościół robił właściwy użytek z takich umiejętności, Strzyżyk był rad, że jego demon dawał mu siłę do pracy w terenie i bezpośredniej walki z wrogami Boga.

– Wiemy, że Vhalnich zostawił Tysiąc Imion w Vordanie – ciągnął. – Znalezienie ich nie powinno być trudne. Jeśli jest tam Ihernglass, tym lepiej. Nie będzie w stanie przeszkadzać.

– Tak zakładamy. Moce piekieł wciąż nas zaskakują. – Łgarz potrząsnął głową. – Nie możemy pozwolić swobodnie grasować tak potężnemu demonowi, nie tak blisko nas.

Skręt wygramolił się z dołu i zepchnął doń ciało starca, które wylądowało z przykrym łoskotem. Penitent znów złapał wielką łopatę i zaczął zasypywać grób.

– Będziemy musieli zabić Ihernglassa – powiedział Łgarz. – To powinno być proste. Powiedziano mi, że został ranny w bitwie.

– Mamy go zaatakować, nie znając natury demona? – Strzyżyk miał wątpliwości.

Łgarz wzruszył ramionami.

– To ryzykowne, oczywiście. Spróbuję zebrać więcej informacji, ale podejrzewam, że tylko sam Vhalnich to wie, a on jest zbyt dobrze chroniony.

Skręt mruknął coś. Z niewielu słów, które dotychczas wypowiedział, Strzyżyk domyślił się, że wolałby bezpośrednio zaatakować Vhalnicha i szybko zakończyć sprawę. Skręt zawsze wybierał najprostsze rozwiązanie każdego problemu.

– Zatem zabijemy Ihernglassa – powiedział Strzyżyk. – A potem odzyskamy Tysiąc Imion?

Łgarz skinął głową.

– Bardzo dobrze. – Strzyżyk wstał. – Będziemy musieli wysłać wiadomość do Elizjum.

– W Deslandzie jest łącznik. Dobrze ukryty. Vordanajowie go nie znajdą – powiedział Łgarz. – Skończyłeś, Skręt?

Skręt znów coś mruknął, uklepując ziemię łopatą. Tak daleko od miasta i w lesie ciało starca nigdy nie zostanie znalezione. Strzyżyk zamknął oczy i odmówił cichą modlitwę: w końcu nawet heretycy są ludźmi. Nie fatygował się odmawianiem modłów za siebie czy swoich kompanów. Każdy z nich wybrał potępienie w chwili, gdy wypowiedział imię demona, i w porównaniu z tym potwornym grzechem bladła każda inna zbrodnia przeciwko Bogu. Jedyne, co im pozostało, to dopilnować, aby ich dzieło na tym świecie należycie służyło Jego interesom, tak by to zrównoważyło utratę ich dusz.

Lord Demon. Strzyżykowi pozostało jeszcze dość ludzkich uczuć, aby odczuwać ciekawość, a nawet niecierpliwie oczekiwać tego spotkania. Obojętnie jak potężny jest demon Ihernglassa, niepodobna, aby mógł zagrozić trzem wyszkolonym Penitentom, a jednak na samą myśl o tym serce Strzyżyka biło trochę szybciej. Mam nadzieję, że chociaż spróbuje podjąć walkę.

Dyrektoriat Obrony Narodowej

Johann Maurisk, przewodniczący Dyrektoriatu Obrony Narodowej, zapatrzył się na kryształową karafkę na swoim biurku. Była w jednej trzeciej napełniona gęstym złocistym płynem, hamveltajską brandy flaghaelen, która od wybuchu wojny stała się z drogiej wprost nieosiągalna. Kiedy zaczynał się ten dzień, karafka była pełna, jak każdego dnia na jego wyraźne polecenie. Wypił jedną szklaneczkę, może na dwa palce, nie więcej, a już była prawie pusta.

Ktoś ją podpija. Najprawdopodobniej ktoś z personelu hotelu Ancerre. Dyrektor kłaniał się

i przypochlebiał, ale Mauriskowi jego deklaracje lojalności zawsze wydawały się podejrzané. Najwyraźniej miał tu gniazdo zdrajców, w samej głównej kwaterze Dyrektoriatu. Na samą myśl zakręciło mu się w głowie. Wszędzie zdrajcy.

Sięgnął po karafkę i nalał sobie kolejną porcję brandy, po czym z uśmiechem opadł z powrotem na fotel. Cóż, umiemy rozprawiać się ze zdrajcami. Kolec Sartona działał miarowo jak metronom. Jeden czy dwóch zdrajców więcej nie robi żadnej różnicy.

– Panie przewodniczący? – W drzwiach stanął Kellerman. – Są gotowi.

– Przyślij ich tu – odparł Maurisk. – Miejmy to już za sobą.

Kellerman otworzył drzwi. Gabinet Mauriska znajdował się na ostatnim piętrze hotelu, w apartamencie kiedyś zarezerwowanym dla przybywających z wizytą ministrów lub głów państw. Było tam imponująco duże polerowane biurko, regały zastawione równymi rzędami wielkich dzieł oraz wygodne skórzane fotele odrobinę niższe od masywnego tronu, na którym siedział Maurisk. Prawdę mówiąc, trochę za dużo przepychu jak na jego gust, ale trzeba robić wrażenie.

Na zewnątrz, w ładnie umeblowanej poczekalni, trzej mężczyźni stali w asyście dwóch żołnierzy Gwardii Patriotycznej z szarfami i halabardami. Maurisk spodziewał się dwóch z nich: generała Martina Hallveza, winnego katastrofy na północnym froncie, oraz Roberta Zacarosa, dowódcy Gwardii Patriotycznej. Kontrast między dwoma mężczyznami był ogromny: pierwszy, szczupły, o wyrazistych rysach twarzy i koziej bródce, nosił zwykły wojskowy mundur bez żadnych oznaczeń, natomiast drugi, krępy i z gęstą ciemnobloną brodą przetykaną siwymi nitkami, miał na sobie nie tylko niebiesko-czarną szarfę Gwardii Patriotycznej, ale także złocistą gwiazdę swojej rangi, którą sam zaprojektował. Ponieważ Zacaros zaczynał łysieć, zapuścił dłuższe włosy na skroniach i zaczesywał je na czubek głowy, żeby to ukryć. Kołnierz i mankiety jego munduru ociekały od złotych dystynkcji.

Maurisk zjeżył się na widok trzeciego gościa. Giles Durenne, w okularkach tkwiących na słynnym haczykowatym nosie i w niechlujnym czarnym stroju upodabniającym go do nastroszonej wrony. Nawet jego oczy były ponure i bezbarwne, a czarne włosy związane w krótki kucyk.

W pierwszych dniach po rewolucji jego nominacja na stanowisko ministra wojny wydawała się synekurą dla przywódcy radykałów, gdyż nowy rząd zamierzał rozwiązać większość oddziałów i odbudować armię na republikańskich zasadach. Oczywiście wybuch wojny wszystko zmienił. Chociaż Durenne nigdy nie negował nadrzędnej władzy Dyrektoriatu, w praktyce Ministerstwo Wojny – wciąż obsadzone głównie przez oficerów mianowanych w czasach monarchii – zajmowało się większością spraw wojskowych i w związku z tym miało spory autorytet, szczególnie w starych pułkach. Tak więc Maurisk musiał traktować go poważnie. Przynajmniej na razie.

– Panowie – powiedział Maurisk. – Wejdźcie. Twoi gwardziści mogą zostać na zewnątrz, dowódco. Nie sądzę, żebyśmy ich potrzebowali.

Zacaros skinął głową – nigdy nie salutował, uważając to za gest poniżej swej godności – i machnięciem ręki odprawił dwóch halabardników. Hallvez stanął przed biurkiem sztywno wyprostowany, z nieprzeniknioną miną żołnierza. Zacaros z westchnieniem opadł na fotel obok niego. Kellerman zamknął drzwi.

– Generale – powiedział Maurisk.

– Panie.

Hallvez powiedział to wyraźnie ironicznym tonem.

– Czytałem pański raport. – Maurisk postukał palcem w stosik kartek na swoim biurku. – Zdaje się, że zawiera pewne... nieścisłości.

– Takie jak?

– Twierdzi pan, że kazano panu przekroczyć murnskajską granicę i wykonać atak uprzedzający, wbrew pańskim protestom. Jednak moi koledzy w Ministerstwie Wojny wydają się pewni, że nie wydano takiego rozkazu.

Skinął głową Durenne'owi, który zachował nieprzeniknioną minę.

– Ponieważ rozkaz nie przyszedł z ministerstwa – rzekł Hallvez. – Przyszedł z tego gabinetu, przysłany przez kuriera Gwardii Patriotycznej, jako sugestia. Kiedy się sprzeciwiłem, kazano mi usłuchać albo liczyć się ze zdymisjonowaniem za zradę.

– Tak więc poprowadził pan swoją armię, nieprzygotowaną, na murnskajskie terytorium, nie podejmując środków ostrożności...

– Środki ostrożności nie miały żadnego znaczenia – odparł Hallvez, dopiero teraz wykazując odrobinę emocji. – Dwie trzecie moich oddziałów to byli ochotnicy, bez żadnego przeszkolenia. Natomiast fallori, murnskajska straż graniczna, to lekka jazda znana z przebiegłości. Po paru dniach zaczęli wycinać nas w pień.

– Ponieważ nie potrafił pan zmusić ich do bitwy i pozwolił wytracić swoich ludzi.

– A w jaki sposób miałem zmusić ich do bitwy, panie przewodniczący? Horde jeźdźców mających po dwa zapasowe konie i znających każdy centymetr ich przekłętego kraju?

– Dość tego – powiedział Maurisk. – To oczywiste, że to – lekceważąco machnął ręką w kierunku raportu – jest zbiorem kłamstw mających zrzucić na Dyrektoriat winę za pańskie niepowodzenia i osłabić wysiłek wojenny. Co, pozwolę sobie przypomnieć, jest zradą. Czy ma pan coś do powiedzenia na swoją obronę?

– Tylko to, że powinienem był natychmiast podać się do dymisji, a nie słuchać pańskich sugestii. – Hallvez się skrzywił. – Tysiące vordanajskich chłopców, których prosił pan, żeby bronili tego kraju, zginęło lub poszło do niewoli w Murnsku z powodu mojego tchórzostwa. Będę musiał z tym żyć do końca moich dni.

– Na szczęście – warknął Maurisk – to nie potrwa długo. Dowódco, proszę wyprowadzić stąd tego zdrajcę. I dopilnować podania w gazetach daty jego spotkania z doktorem Sartonem, żeby publika mogła zobaczyć, jaki los spotyka tych, którzy zradzają naszą ojczyznę.

Zacaros skłonił się, wstał z fotela i złapał Hallveza za ramię. Generał strząsnął jego dłoń i wyszedł z gabinetu, a dowódca gwardii za nim. Maurisk zaczekał, aż wyjdą, a potem duszkiem wypił brandy i nalał sobie następną porcję.

– Czytałem w gazetach, że Hallvez oszalał – powiedział Durenne oparty o regał z książkami.

– Oszalał, zradził albo jedno i drugie – rzekł Maurisk. – Jakie to ma znaczenie?

– Wysyłasz takie sugestie do wszystkich naszych generałów?

– Lojalność zbyt wielu naszych oficerów budzi wątpliwości – odparł Maurisk. – Trzeba im przypomnieć o ich obowiązkach.

– Zastanawiam się, co napisałeś de Brogle'owi. Zapewne poinstruowałeś go, żeby żywił swoich ludzi szczurami i patriotyczną retoryką?

Maurisk rąbnął dłonią w biurko.

– De Brogle zapłaci za swoje zbrodnie. Jak każdy, kto działa na szkodę Vordanu. – Zmierzył wzrokiem Durenne’a. – Czego chcesz?

– Chciałem tylko usłyszeć, co Hallvez ma do powiedzenia na swoją obronę – rzekł Durenne. – Będąc ministrem wojny, wiesz.

– Przypominam ci, że działania Dyrektoriatu są poufne – powiedział Maurisk. – Nie chcę, żeby te bzdury się rozeszły.

– Na przykład, gdyby Hallvez miał odpowiadać przed Zjazdem Generalnym?

Maurisk zacisnął pięść. Teoretycznie Ministerstwo Wojny, jak wszystkie ministerstwa, podlegało Zjazdowi Generalnemu, który z kolei przekazał władzę Dyrektoriatowi. Na razie jednak zdolność Dyrektoriatu do podporządkowania sobie Ministerstwa Wojny nie została poddana poważnej próbie, gdyż Durenne, chociaż polityk radykałów, okazywał chęć współpracy. Gdyby Durenne przedstawił sprawę Zjazdowi, niemal na pewno ostatecznie by przegrał, ale zapewne mógłby doprowadzić do publicznego głosowania. Gdyby do tego doszło, żadna przysięga dochowania tajemnicy nie zapobiegłaby dostaniu się opowieści Hallveza do gazet.

Durenne się zaśmiał.

– Nie powinienesz robić takiej groźnej miny, Johann. Wyglądasz, jakbyś miał zatwardzenie. Ja tylko sobie żartuję, oczywiście. Jak mógłbym sprzeciwiać się ukaraniu takiego oczywistego zdrajcy?

– Nie lubię, jak się ze mną drażnią – rzucił Maurisk. – Co chcesz powiedzieć?

– Tylko to, że jeśli Dyrektoriat zamierza wydawać rozkazy wojsku, to moim zdaniem równie dobrze możemy zlikwidować Ministerstwo Wojny i skończyć ten cyrk. – Durenne nachylił się do niego. – Współpracowałem z tobą, ponieważ tego wymaga dobro państwa. Jeśli jednak nadal będziesz robił takie rzeczy za moimi plecami, nie będę miał innego wyjścia, jak poddać tę kwestię publicznemu głosowaniu. Nie zmuszaj mnie do tego, Johann.

– Jestem pewny, że to było tylko przeoczenie – odparł sztywno Maurisk. – W przyszłości będziemy się z tobą konsultować, oczywiście.

– Oczywiście.

Durenne otworzył drzwi i Maurisk zauważył czekającego przed nimi Kellermana. Skinął na młodzieńca i nalał sobie jeszcze trochę whisky.

– Mamy kogoś, kto go obserwuje, prawda? – zapytał, gdy usłyszał skrzypnięcie zamykających się za Durenne’em drzwi.

– Tak, proszę pana – odrzekł Kellerman.

Był skarbem, który Maurisk znalazł w rzece chętnych: szybki, skuteczny i żarliwy idealista, który nie cofnie się przed niczym, jeśli to służy sprawie. Niegdyś moglibyśmy go dobrze wykorzystać.

– Dobrze. Chcę wiedzieć, z kim rozmawia, z kim spędza czas. Jakie wysyła wiadomości. Weź więcej ludzi, jeśli trzeba, i nie przejmuj się, że zostaną zauważeni. Taka aluzja dobrze mu zrobi.

– Oczywiście, proszę pana.

Kellerman skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Jaka posłuszna mała żmija – powiedział łagodny głos z murnskajskim akcentem.

Maurisk odepchnął fotel od biurka, sięgając po przyczepiony pod nim sztylet. Jego palce

znalazły rękojęść, ale nie mógł go wyjąć z pochwy i zanim zrozumiał, co robi źle, jego lekko zamroczony brandy umysł w końcu ogarnął sytuację. Przed biurkiem stał jakiś człowiek, mężczyzna, którego nie było tam przed chwilą. Był młody i przystojny, o ciemnoblonde włosach i z równo przystrzyżoną kocią brodką, ubrany w obcisły czarny strój. Unosił kącik ust w nikłym uśmiechu, a w dłoni trzymał butelkę z etykietą przedstawiającą szarżującego byka.

– Przyniosłem ci prezent.

– To ty – rzekł Maurisk, z sercem łomoczącym w piersi.

– Hamveltajska flaghaelan – rzekł Adam Ionkovo, stawiając butelkę na biurku. Usiadł w fotelu opuszczonym przez Zacarosa, tak swobodnie, jakby właśnie nie wszedł bez otwierania drzwi do najlepiej strzeżonego pomieszczenia w Vordanie. – Twoja ulubiona, jeśli dobrze pamiętam. Wyobrażam sobie, że ostatnio trudno ją zdobyć.

– Ja... tak. – Butelka była zakurzona. Dziewięćdziesiąty pierwszy, machinalnie zauważył Maurisk. Dobry rocznik i rzadki nawet w najlepszych piwnicach. Pełna butelka była warta kilka tysięcy suwerenów. Zamrugnął. – Co ty tu robisz?

– Pomyślałem, że sprawdzę sytuację – odparł Ionkovo, składając ręce na podolku. – Zważywszy na to, jak zmieniły się... okoliczności. Twoja próba wyeliminowania królowej nie poszła zgodnie z planem, jak rozumiem.

Maurisk mimowolnie zacisnął pięść. Jego gabinet był tak bezpieczny jak tylko to możliwe, ale i tak niemal się skulił, gdy usłyszał, jak tamten głośno o tym mówi. Stanowczo powstrzymał ten odruch, usiadł prosto i przysunął fotel z powrotem do biurka.

– Opuściła łóżę za wcześnie – powiedział. – Niestety. Jednak kontroluję sytuację.

– Tak słyszałem.

– Mogę ją dostarczyć, kiedy zechcecie. Jeśli nasza umowa nadal jest ważna.

– Jest – powiedział Ionkovo. – Daj mi Raesinię, Vhalnicha i Tysiąc Imion, a Vordan będzie miał pokój.

– Łatwiej byłoby pojmać Vhalnicha i królową, gdybyśmy zakończyli wojnę – rzekł Maurisk. – A tak lud...

– Pontifeks Czerni nie ma zwyczaju płacić, zanim zobaczy rezultaty. Umowa stoi.

Maurisk obrzucił gościa zimnym wzrokiem, wreszcie opanowawszy strach. Ionkovo był ucieleśnieniem wszystkiego, czego nienawidził w Kościele Zaprzysiężenia: ukrytą ręką starożytnego Elizjum, które jak lalkarz zmuszało świat, by tańczył, jak mu zagra. Kiedyś nigdy nie zniżyłby się do rozmowy z taką kreaturą.

Jednak zdrada Raesinii otworzyła mu oczy. Po upadku Vendre miał szczerą nadzieję, że świat może się zmienić: wola ludu zrywała stare okowy, co – odpowiednio pokierowane – mogło prowadzić do nowej ery oświecenia. Potem zobaczył Raesinię, młodą kobietę, której ufał jako jednej z najbliższych towarzyszy, odzianą w strój królowej.

Wtedy uświadomił sobie, że nic się nie zmieniło. Stare kajdany nie pękły. Oni wszyscy nic dla niej nie znaczyli, mniej niż nic: wola ludu była dla niej użytecznym narzędziem do osiągnięcia własnych celów. To pozwoliło mu zrozumieć, czego trzeba. Prawdziwa rewolucja wymagała czystki, co Farus IV pojął ponad sto lat wcześniej. Potrzebowała człowieka gotowego zrobić co trzeba, bez wahania.

Ionkovo przyszedł do niego wkrótce po wybuchu wojny i przedstawił swoją propozycję. Maurisk nie wahał się. Potrzebował pokoju, żeby kontynuować swoje dzieło. Raesinia,

Vhalnich i jakiś stary khandarski zabytek były niewielką ceną do zapłacenia.

– Tak jak mówisz – w końcu powiedział Maurisk – królową mamy rękę.

– A co z Vhalniczem? On wciąż wygrywa bitwy.

– Vhalnicha trzeba będzie... powstrzymać, ale nie przewiduję z tym żadnych trudności.

Kiedy sytuacja będzie opanowana, albo odda się w nasze ręce, albo ujawni się jako zdrajca, a wtedy straci wszelkie poparcie. Kiedy będziemy go mieli, nie powinno być trudno zmusić go do wyjawienia, gdzie ukrył wasze Tysiąc Imion.

– To dobrze – rzekł Ionkovo. – To bardzo dobrze. Chciałem mieć pewność, że wciąż jesteś zdecydowany. – Nachylił się do niego. – Bo gdyby te drobne sukcesy Vhalnicha podsunęły ci myśl, że możecie się nam przeciwstawić, to lepiej dobrze się zastanów. Borelgajska flota blokuje wasze wybrzeża, a cesarz Murnska nadciąga z całą swoją siłą. Hamvelt to drugorzędna scena. Jeśli nie dasz nam tego, czego chcemy, zetrzemy to miasto na proch. – Uśmiechnął się, pokazując zęby. – Nie żebyś ty osobiście mógł to zobaczyć.

– Mówiłem ci, wszystko jest pod kontrolą. – Maurisk z odrazą uświadomił sobie, że się poci. – Nie macie powodów do niepokoju.

– Powiem to pontifeksowi – zapewnił Ionkovo. – Będzie mu miło to usłyszeć. Kiedy sytuacja zostanie „opanowana”?

– Najdalej za kilka tygodni. Czynione są przygotowania...

– Bardzo dobrze. – Ionkovo wstał i skłonił się. – Miło się z tobą rozmawiało, jak zawsze.

Przeklęty Penitent obszedł biurko, podchodząc do Mauriska. Ten próbował się obrócić w fotelu, lecz Ionkovo powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Potem znikł za jego plecami, czemu towarzyszył cichy szmer przypominający szelest jedwabiu trącego o jedwab.

Minęło kilka sekund, zanim Maurisk zaryzykował i się odwrócił. W jego gabinecie nie było drugich drzwi ani nawet okna. Żadnego innego wyjścia, ale Ionkovo pomimo to znikł.

Maurisk przysunął fotel do biurka, po czym odczekał chwilę, aż z jego twarzy zniknie lęk, a serce przestanie walić jak młotem.

– Kellerman? – zawołał, gdy miał pewność, że panuje nad sobą.

Drzwi się otworzyły.

– Tak, panie przewodniczący?

– Ten pułkownik ziejący ogniem, który tu był. Pamiętasz jego nazwisko?

– De Ferre, proszę pana.

– Czy on wciąż jest w mieście?

– Nie wiem, proszę pana. Jednak mogę się dowiedzieć.

– Zrób to. I powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać. – Maurisk uznał starego szlachcica za beznadziejnego reakcjonistę i jednym uchem wysłuchiwał jego narzekań. Pamiętał jednak, z jakim jadem de Ferre wyrażał się o Vhalniczu. – Powiedz mu, że może jednak będę miał dla niego jakieś zadanie.

Dziesięć

Winter

Winter z trudem otworzyła oczy. Miała wrażenie, że ktoś zakleił jej gumą spirytusową. Usiadła, a raczej próbowała to zrobić; nawet ten nieznaczny ruch spowodował tak potworny ból, jakby w jej głowę wystrzelono z działa.

– Leż spokojnie. – Była oszołomiona i dopiero po chwili rozpoznała ten głos. Janus. – Co ci mówiłem o dowodzeniu atakiem? Masz.

Winter zamrugała i trochę wyraźniej zobaczyła otoczenie. Przed oczami miała manierkę i złapała ją, po czym zaczęła łapczywie pić zimną, czystą wodę, aż naczynie było puste. Wtedy, ostrożnie, znów spróbowała usiąść. Czuła w głowie każde uderzenie serca przeszywające sztyletem bólu, lecz tym razem zdołała sięść na łóżku.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie co wywołało tę dezorientację – nie była w namiocie. Znajdowała się w ładnie umeblowanym pokoju z oknami przesłoniętymi grubymi zasłonami. Obok łóżka stał stół i krzesło, na którym siedział Janus z założonymi rękami, mierząc ją swymi wielkimi szarymi oczami. Oddała mu bukłak, a on dał jej inny, pełny. Tym razem piła już nieco wolniej.

– Medycy zbadali cię dokładnie – oznajmił Janus. – Z Pierwszego Dziewczęcego, oczywiście. Porucznik Forester pilnowała cię jak owczarek. Mówią mi, że gdyby miał to być śmiertelny obrzęk mózgu, to już by się rozwinął, tak więc zapewne wyzdrowiejesz.

Winter dotknęła skroni. Wyczuła tam guz, chociaż to zapewne nieodpowiednie określenie opuchlizny większej niż pięść. Dotykając, znów poczuła przeszywający ból, więc zamknęła oczy i robiła głębokie wdechy, aż zelżał.

– Masz szczęście, że cios nie rozbił ci czaszki – zauważył Janus. – Pamiętasz, co się stało?

– Stoczyłam pojedynek na szable – odparła Winter. Język stał jej kołkiem. – Z kimś, kto naprawdę umiał posługiwać się szablą.

– W takim razie można rzec, że ci się upiekło.

– Bobby. Porucznik Forester. Nic jej nie jest?

– Nic.

– A co z... Jane... resztą pułku?

– Powiedziano mi, że straty są niewielkie. Wasz batalion zdobył farmę, a kapitan Altoff ściągnął swoją baterię i powstrzymał atak Deslandczyków.

– Czy wygraliśmy bitwę?

– Och, tak. – Janus wyglądał na lekko rozbawionego tym pytaniem. – Jesteśmy w Deslandzie. Miasto skapitulowało.

– Och. – Winter zamrugała i pociągnęła kolejny łyk wody. – Gratulacje.

Generał uśmiechnął się przelotnie.

– Dziękuję. To krok w dobrym kierunku, ale tylko krok.

– Jak długo tu leżę?

– Parę dni. Miałem nadzieję, że ockniesz się dzisiaj. Chciałem z tobą porozmawiać, zanim odejdę.

– Odejdzie pan? – Winter miała wrażenie, że jej mózg jeszcze nie wznowił pracy. – Dokąd się pan udaje?

– Na północ. Większość armii już jest w drodze. Na razie zostawiam trzeci...

Czyli mój pułk.

– ...w Deslandzie. Będziecie utrzymywać porządek w mieście i organizować dla nas dostawy. Zamierzam zrobić z Deslandu naszą bazę na resztę kampanii.

– Ja nie... – Winter zamrugła i potarła oczy. – Nie wiem, jak zorganizować bazę zaopatrzeniową.

– Urzędnicy z ministerstwa zajmą się szczegółami. Ty będziesz dowodzić całością. – Nachylił się do niej. – Być może niedługo będę potrzebował trzeciego. Musicie być gotowi wyruszyć w ciągu godziny po otrzymaniu rozkazu i maszerować szybko. Wkraczamy w decydującą fazę.

– Dowodzić. – Winter starała się skupić. – Dowodzić czym?

– Garnizonem. Całym miastem. Nie pozwól, żeby miejscowi weszli ci na głowę. W razie potrzeby przypomnij im, kto tu rządzi.

– Zostawia mi pan rządzenie miastem?

– Nie przejmuj się za bardzo. Sądzę, że miasto samo o siebie zadba. – Janus wstał. – Teraz muszę już iść. Odpocznij trochę. Każę przysłać ci tu później twoich oficerów.

– Generale...

– Jeszcze jedno. – Twarz Janusa przez moment zdradzała niezwykłą dla niego niepewność. – Augustin gdzieś przepadł. Byłbym wdzięczny, gdybyście rozejrzeli się za nim. – Westchnął. – On nie należy do tych, którzy się wałęsają, więc jestem zaniepokojony.

– Ja... zobaczę, co się da zrobić, panie generale.

– Dziękuję. Cóż, będę utrzymywał łączność przez kurierów. Mam do ciebie całkowite zaufanie.

– Dziękuję, panie generale.

– Przy okazji, wasz batalion walczył doskonale. Dobra robota. – Znow poślął jej swój przelotny uśmiech. – Następnym razem staraj się nie oberwać przy tym po głowie.

Pospiesznie wyszedł, wydając rozkazy, zanim jeszcze zamknął drzwi. Winter pociągnęła kolejny łyk wody.

Dowodzić... miastem?

Tego było za wiele, żeby mógł to w tym momencie ogarnąć jej poobijany mózg. Ostrożnie złożyła posiniaczoną głowę na poduszce i zamknęła oczy.

Kiedy znow się obudziła, ból trochę zelżał, a Bobby i Cyte czekały przy jej łóżku. Winter przesunęła się wyżej, aż oparła się o wezglowie, i jęknęła.

– Miałam naprawdę straszny sen – powiedziała. – Janus wymaszerował i zostawił mi zarządzanie Deslandem.

Bobby i Cyte popatrzyły po sobie zaniepokojone.

Winter znow jęknęła.

– W porządku. To nie był aż tak mocny cios. Janus naprawdę opuścił miasto?

Bobby skinęła głową.

– Dziś rano.

– Jak może oczekiwać, że będę rządzić tym miastem? Nawet nie znam hamveltajskiego.

– Większość Deslandczyków z wyższych sfer jest dwujęzyczna – powiedziała Cyte. – Historycznie ten region był pod silnymi wpływami zarówno Hamveltu, jak Vordanu. Praktycznie był vordanajskim protektoratem aż do...

Winter skrzywiła się i podniosła dłoń.

– Później. Dobrze. Jak bardzo oberwaliśmy?

– Kapitan Verity melduje dwadzieścia dwie zabite i trzydzieści sześć rannych – powiedziała Bobby, spojrzawszy na kartkę, którą wyjęła z kieszeni. – Kapitan Sevrans melduje pięćdziesięciu czterech zabitych i sześćdziesięciu dwóch rannych. Wkrótce będę miała dokładniejszy raport dotyczący rannych.

Niewielkie straty, powiedział. Winter przypomniła sobie rudowłosą sierżant – nawet nie znam jej nazwiska – jęczącą i przyciskającą dłonie do rany w piersi. Dwadzieścia dwie zabite. Dwadzieścia dwie dziewczyny, które podążyły ze mną z Vordanu, ponieważ powiedziałam im, że tak trzeba. Dwadzieścia dwie córki, które nie wrócą do domów. Nie chciała myśleć o rannych i namiotach chirurgów z leżącymi obok stertami rąk i nóg. Niewielkie.

– A co... – To pytanie wywołało absurdalne poczucie winy, ale musiała je zadać – z Jane?

– Jest cała – powiedziała z nieszczęśliwą miną Bobby.

Winter ścisnęło się serce.

– A co jej jest?

– Myślę, że wciąż się gniewa.

– Och. – Winter odetchnęła. – Porozmawiam z nią. Później. – Znowu poczuła ukłucie winy. – Czy z Marshem wszystko w porządku?

– Tak jest, pułkowniku.

– Kto dowodził, kiedy... pod moją nieobecność?

– Sevrans i Abby razem, pułkowniku. Jest mnóstwo pracy, ale chyba radzą sobie ze wszystkim.

– Pomimo to muszę wstać i wziąć się do roboty.

Winter zaczęła się podnosić, ale znowu poczuła przeszywający ból głowy i mimowolnie jęknęła. Bobby doskoczyła, żeby przycisnąć ją do łóżka, a Cyte przytrzymała jej rękę.

– Nie ma się czym przejmować, pułkowniku – powiedziała. – Zajmiemy się tym. Trzeba tylko zarekwizować żywność, zorganizować transport, tego rodzaju sprawy. Deslandczycy bardzo chętnie współpracują.

– Macie kwatery dla wszystkich? I miejsce do opieki nad rannymi?

– Tak jest – odparła Bobby. – Zajmujemy się wszystkim, bez obawy. Proszę teraz odpoczywać.

Winter ostrożnie skinęła głową. Popatrzyła na Cyte i odkaslnęła.

– Myślisz, że mogłabyś zostawić mnie na chwilę samą z Bobby?

– Oczywiście, pułkowniku. – Cyte wstała i zsalutowała. – Będę na zewnątrz.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– A co z tobą? – cicho spytała Winter. – Wszystko w porządku?

Bobby uniosła prawą dłoń i dopiero teraz Winter zobaczyła, że nosi na niej czarną rękawiczkę. Teraz ściągnęła ją drugą ręką, odsłaniając dłoń. Żywe ciało przecinała szklista szara pręga.

– Boże – powiedziała Winter. – Przykro mi.

– To nic. – Bobby naciągnęła rękawiczkę z powrotem. – Lepsze to niż stracić rękę.

– Uratowałaś mi życie.

Bobby pokraśniała.

– Ja tylko... Zobaczyłam, że walczyacie, i chciałam pomóc. Przepraszam, że nie przybiegłam tam szybciej.

– Czy Abby coś zauważyła? – Giforte walczyła w kącie z deslandzkim żołnierzem. – Ona nie została ranna, prawda?

– Tylko trochę posiniaczona, pułkowniku. Rozmawiałam z nią, ale nie wspomniała o niczym niezwykłym.

Winter uśmiechnęła się słabo.

– Musisz powstrzymać się od łamania szabel na pół, jeśli chcesz utrzymać to w tajemnicy.

– Przepraszam, panie pułkowniku.

Jej ewidentna skrucha sprawiła, że Winter roześmiała się, pomimo bólu.

– Przy okazji dziękuję. Za uratowanie mi życia. Chyba weszło ci to w nawyk.

Bobby się uśmiechnęła.

– Robię, co mogę, panie pułkowniku.

Następnego ranka Winter czuła się już na tyle dobrze, żeby chodzić, aczkolwiek bardzo ostrożnie. Odkryła, że spała w pokoju na piętrze opuszczonego domu w pobliżu bramy, który Janus zarekwirował na swoją główną kwaterę. Teraz, po wymarszu armii, dom był prawie pusty i Bobby z Cyte przyszły, żeby zaprowadzić ją do nowej kwatery pułku, w cytadeli.

Desland to były właściwie dwa miasta. Podobnie jak Vordan, dzieliła je szeroka rzeka, tyle że tu nie było wyspy mogącej posłużyć jako oparcie dla mostów, tak więc Velt płynęła sobie spokojnie i niepowstrzymanie. Niezliczone barki, łodzie i inne jednostki przepływały ją tam i z powrotem wielokrotnie w ciągu dnia, z magazynów i doków niskiego zachodniego brzegu do rezydencji wyższych klas na urwistym wschodnim.

Tylko na wschodnim był mur obronny, a i to średniowieczny: wałująca się kamienna ściana dawno temu wchłonięta przez rozrastające się miasto, bezużyteczna przeciwko nowoczesnej artylerii. Była tam również cytadela, w zamyśle mająca stanowić ostatni bastion obrony na wypadek oblężenia. Z koszarami i placami ćwiczeń była wygodną bazą, tyle że zlokalizowaną oczywiście w najwyższym punkcie urwistego brzegu, z którego spoglądała na rzekę. Winter, na trzęsących się nogach i z pękającą głową, usiłowała nie myśleć o tym, jak wysoko jeszcze muszą wejść.

Ta część Deslandu niewiele się różniła od jednej z bogatych dzielnic Vordanu, chociaż hamveltajskie wpływy uwidaczniały się w spadzistych dachach z rzeźbionymi drewnianymi przyporami na narożach. Powozy z turkotem jeździły w obie strony, a pieszy ruch uliczny był niewielki, lecz stały. W pierwszych dniach miał miejsce istny exodus, gdy ludzie przekonani, że Vordanajowie wywrą zemstę na mieszkańcach, uciekali z miasta, lecz ci, którzy pozostali, najwidoczniej doszli do wniosku, że zdobywcy jednak nie spalą miasta. Trzy niebieskie mundury – w tym jeden noszony przez kobietę i jeden z orłami pułkownika – przyciągały uwagę i przykuwały wszystkie spojrzenia. Przechodnie z respektem obchodzili je z daleka.

Winter starała się na nich nie patrzeć i skupić na tym, co mówiła Bobby, która z lekkim podnieceniem wyjaśniała, jak Janus zwyciężył w bitwie o Gaafen. Idąca z drugiej strony Cyte

słuchała z wyrozumiałą miną osoby, która już to wszystko słyszała.

– ...Piekielnik i oddziały kolonialne przeszli na drugi brzeg w górze rzeki, pięćdziesiąt mil od Gaafen. Musieli nadłożyć kawalek, żeby znaleźć dobrą drogę, i dlatego maszerowaliśmy tak wolno. Każdego dnia pokonywaliśmy sześć mil, a oni piętnaście. Piekielnik zaczął przecinać deslandzkie linie dostaw, żeby uważali, że tylko o to chodzi, a jazda nie pozwalała zwiadowcom odkryć, że jest tam też piechota. Wszystkie oddziały zajęły pozycje dzień wcześniej, nim my dotarliśmy do Gaafen.

– Zaczekaj – przerwała jej Winter. – To oznacza, że oddziały kolonialne przeszły przez rzekę, zanim się dowiedzieliśmy, że Deslandczycy będą walczyć o Gaafen?

Bobby energicznie kiwnęła głową.

– Janus to wiedział. Jakby czytał ich myśli. Rano zaatakowaliśmy. Fitz Warus poprowadził kompanię kolonialnych na most Gaafen i zajął go, zanim deslandzcy saperzy zdążyli odpalić ładunki, które miały go zniszczyć, a wtedy pozostałe oddziały kolonialne przeszły i uderzyły na miasto od tyłu. Kiedy odparliśmy ich pierwszy kontratak na prawej flance, Janus rzucił środek naprzód i wpadli w panikę. W ciągu godziny cała deslandzka armia poszła w rozsypkę.

Winter uśmiechnęła się smętnie. A ja myślałam, że będziemy musieli szturmować ich umocnione pozycje. Powinam mieć więcej zaufania do Janusa. Takie zaufanie było już wielokrotnie usprawiedliwione, nawet jeśli generał nie miał zwyczaju wyjaśniać podwładnym swoich zamiarów.

– I miasto tak po prostu się poddało? – spytała Winter. – Nadal byliśmy po złej stronie Velt. Mogli próbować uniemożliwić nam przeprawę.

– Najwyraźniej doszło do jakiegoś przewrotu – wyjaśniła Cyte. – A przynajmniej zmiany w rządzie. Deslandem rządzi rada kupiecka, ale hamveltajskie interesy zawsze miały poparcie znacznej jej części. Nikt nie chce powiedzieć, co dokładnie się stało, ale ci członkowie rady dość nagle opuścili miasto, a pozostali nie byli specjalnie zainteresowani kontynuowaniem walki.

– Zamiast walczyć z nami, lepiej na nas zarobić – stwierdziła Winter. – W Ashe-Katarionie było tak samo, dopóki Odkupiciele nie obrócili wszystkich przeciwko nam.

– Nie sądzę, żeby tutaj miało tak być, panie pułkowniku – powiedziała Cyte. – Większość Deslandczyków należy do Kościoła Zaprzysiężenia, ale zawsze była tu liczna mniejszość Wolnego Kościoła i obie są we względnie dobrych stosunkach. Nie sądzę, żeby znalazło się tu wielu gotowych zginąć za Elizjum.

– A więc coś nas łączy. Zatem nie było żadnych kłopotów?

Cyte pokręciła głową.

– Nie, panie pułkowniku. Nic szczególnego.

– Kilka incydentów z... nadmiaru radości – dodała Bobby. – Jednak Sevran i Abby mieli wszystko pod kontrolą.

– Abby? A co z Jane?

Bobby miała zmieszana minę.

– Musi pan porozmawiać o tym z nią, pułkowniku.

Co, do diabła, mam właściwie powiedzieć Jane? Napadła na nią na polu bitwy, pod wpływem emocji, ale powiedziała tylko to, co myślała. Nie obchodzi mnie, co ona myśli o królewskich. Nie zostawia się swoich żołnierzy, żeby walczyli sami. Na samą myśl o tym

Winter wpadła w gniew, ale to tylko pogarszało sprawę. *Nie mogę jej stracić. Nie teraz.*

Cytadela była otoczona kamiennym murem wysokim na dwa piętra, za którym znajdował się plac ćwiczeń i kamienny kasztel oraz kilka drewnianych budynków. Ogromne wrota z solidnych dębowych desek obitych żelazem stały otworem. Widząc rdzę na zawiasach, Winter odgadła, że nie zamykano ich od dziesięcioleci. Jednak z zadowoleniem zobaczyła warty na murze, zarówno Pierwszego Dziewczęcego, jak i królewskich.

Przeszedłszy przez bramę – ze sklepieniem pełnym otworów, przez które średniowieczni obrońcy mogli lać wrzący olej na napastników, którzy pokonali pierwsze wrota – weszli na dziedziniec. Prawie połowę miejsca zajmowały tam namioty; Winter domyśliła się, że w cytadeli było dość miejsca dla zaledwie kilkuset żołnierzy. Na drugiej połowie ćwiczyło kilka kompanii, a grupka mężczyzn w regulaminowych mundurach sprawdzała wóz z ładunkiem skrzyń. Żołnierze byli wszędzie; czyszcząc broń lub ekwipunek lub po prostu grzejąc się w słabym jesiennym słońcu.

Gdy tylko Winter tam weszła, na dziedzińcu zapadła cisza rozchodząca się jak kręgi rzuconego w wodę kamienia. Okrzyki musztrujących żołnierzy sierżantów ucichły i wszystkie głowy obróciły się ku niej. Żołnierze siedzący najbliżej Winter – dwie szeregowce z Pierwszego Dziewczęcego i splatający liny kapral królewskich – zerwali się na równe nogi i zaszalutowali. Inni natychmiast zrobili to samo i niebawem wszyscy znajdujący się na dziedzińcu prężyli się, przyciskając dłoń do piersi. Winter usłyszała, że Bobby i Cyte poszły za ich przykładem.

Winter była pewna, że się rumieni. Niezręcznie machnęła ręką.

– Dziękuję wszystkim. – Poklepała bandaż, który owijał jej głowę. – Jak widzicie, nic mi nie jest. Dzięki wam. – Odczekała chwilę. – Generał prosił mnie, żeby wam powiedzieć: „Dobra robota”.

Nikt się nie poruszył, ale zobaczyła uśmiechy na ich twarzach.

– To wszystko – powiedziała. – Dziękuję.

Tłum żołnierzy odprężył się i znów rozległ się gwar rozmów. Trójka stojąca przed Winter rozstała się, robiąc jej przejście.

– Nie musisz wciąż im dziękować – powiedziała Bobby. – Jesteś tu pułkownikiem.

– Przepraszam – mruknęła Winter. – Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czy Sevrans jest w kasztelu?

– Zaprowadzę cię – powiedziała Cyte. – Bobby, ty musisz znaleźć Marsha, prawda?

Bobby zarumieniała się, ale kiwnęła głową i pospiesznie odeszła. Winter przez moment spoglądała za nią, a potem pokręciła głową.

– Nie aprobujesz tego? – spytała Cyte.

– To nie moja sprawa.

Cyte wzruszyła ramionami.

– Bardzo się o nią niepokoisz.

– Bobby... – Winter westchnęła. – Po prostu znam Bobby od Khandaru i czasem wydaje się... taka młoda.

– Wojna wypala to w ludziach – powiedziała Cyte i roześmiała się. – Spójrz na mnie. Pół roku temu nie machnęłabym szablą w gniewie, a teraz mogę się równać cynizmem z mistrzami.

Winter uśmiechnęła się.

– Niech Graff tego nie usłyszy. On uważa, że ma monopol na cynizm.
– Panie pułkowniku! – zawołał Sevrans, wstając. – Dobrze widzieć pana na nogach.
– W tym momencie chcę jak najszybciej im ulżyć – odparła Winter, opadając na krzesło i machnięciem ręki zbywając salut kapitana. – Umieścili nas na cholernie wysokim pagórku. Czy mogę pana prosić o kubek wody?

– Oczywiście! – Sevrans skinął na jednego z młodych szeregowców czekających przy drzwiach i chłopak wybiegł z pokoju.

Winter czekała, ale kapitan stał i milczał. W końcu poczuła się zobowiązana przerwać ciszę.

– Czy coś się stało?

– Przepraszam, panie pułkowniku. Ja tylko... – Znow stanął na baczność. – Chciałem powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, że działałem wbrew rozkazom w trakcie bitwy. Przemieściłem mój batalion z wyznaczonej pozycji. Kapitan Verity miała rację...

– Nie – przerwała mu Winter. – Nie miała. Ja nie tylko wydałem panu rozkazy. Zostawiłem panu dowodzenie. A to oznacza podejmowanie decyzji. Dostrzegł pan zagrożenie i zareagował, żeby temu zapobiec. To była prawidłowa decyzja. Czy kapitan Verity zgadzała się z nią, czy nie, miał pan prawo rozkazać jej, żeby pana wspierała.

Sevrans nieco się odprężył.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Rozumiem, że to postawiło pana w trudnej sytuacji.

– Moje sprawy prywatne to mój problem – odparła Winter pewniej, niż naprawdę się czuła.

– Nie pan jest za nie odpowiedzialny, kapitanie.

Żołnierz wrócił ze szklaną karafką, jeszcze zimną po zanurzeniu w studni. Napełnił kubek, a Winter z wdzięcznością wzięła go od niego.

Kasztel trochę przypominał jej koszary Niebiańskiej Gwardii w Ashe-Katarionie. Był ładnie urządzone – solidne meble, gobeliny na ścianach i kilimy na podłogach – lecz nic nie mogło ukryć tego, że pierwotnie miał być fortecą. Sklepienia miał niskie, ściany kamienne, a zamiast okien wąskie strzelnice niemal niewpuszczające słońca. Kapitan Sevrans w dawnej świetlicy na piętrze urządził punkt dowodzenia, rozkładając na wielkim politurowanym stole mapę miasta i otaczając ją karteczkami ze szczegółowymi notatkami. Na biurku leżał stos pism, zarówno na tandetnym wojskowym papierze, jak i na grubszych kartkach, które widocznie przysłali cywilni korespondenci.

– Zaczęłem od zorganizowania linii dostawczych – powiedział, powiódłszy wzrokiem za spojrzeniem Winter. – Janus zostawił nam rzeszę ludzi z kwatermistrzostwa, którzy zabezpieczają to, czego potrzebujemy. Naszym największym problemem jest transport w górę rzeki. Towary przybywają tutaj głównie na barkach, a wielu szyprów to Hamveltajczycy. Dotychczas nie byli zbyt skorzy do współpracy.

– Jeśli to nasz największy problem – zauważyła Winter – to nie mamy powodu do narzekań. Nie było żadnych zamieszek, protestów czy innych tego rodzaju zdarzeń?

– Nie, panie pułkowniku. Do tej pory nie. Tutejsza vordanajska społeczność jest bardzo pomocna, a Hamveltajczycy siedzą cicho. Tak dobrze nie jadaliśmy od wielu tygodni.

– No, to dobra wiadomość. Jak pańscy ludzie zachowują się po bitwie?

– Powiedziałbym, że całkiem dobrze, panie pułkowniku. – Wydał wargi. – Ta... hm... historia o pańskim starciu z kapitan Verity szybko się rozeszła i najwyraźniej wszyscy nabrali do pana wielkiego szacunku. – Uśmiechnął się. – Nie miałem ani jednej oficjalnej skargi,

nawet od szlachetnie urodzonych poruczników. Aczkolwiek dymisja porucznika Novusa może mieć z tym coś wspólnego.

– Ludzie słyszeli, co powiedziałem Jane? – Winter skrzywiła się. Miała nadzieję, że to zostanie między nimi. – Pierwszy Dziewczęcy nie może być z tego zadowolony.

– Musiałby pan zapytać o to kapitan Verity albo porucznik Giforte, panie pułkowniku, ale mam wrażenie, że wiele z nich przyznaje panu rację. Chociaż mogą być... ogniska niezadowolenia.

Założę się, że tak. Dawne przyboczne Jane – Becca, Winn i inne Skórzane Kurtki – nie tak szybko wybaczą Winter upokorzenie ich przywódczyni. Dzięki Bogu, Abby ma głowę na karku.

– Za pańskim pozwoleniem, panie pułkowniku, chciałbym znów rozpocząć codzienne ćwiczenia. Chciałbym wykorzystać do tego stary tor wyścigowy w mieście. Sądzę, że wszystkim dobrze zrobi widok całego pułku ćwiczącego jednocześnie i nie zawadzi wpoić trochę dyscypliny. Wielu ludzi wciąż się boi.

I mały pokaz siły nie zawadzi, gdyby miejscowi jednak zamierzali wystąpić przeciwko nam.

– Proszę to zrobić – powiedziała Winter. – Niech wezmą w tym udział wszyscy poza pełniącymi służbę. Zawiadomię Abby.

– Dziękuję, panie pułkowniku. – Sevrans przechylił głowę, nasłuchując. – Zdaje się, że słyszę porucznik Giforte.

Po chwili Abby weszła do pokoju, a za nią kilku innych oficerów z Pierwszego Dziewczęcego. Wyglądała na zmartwioną, dopóki nie zobaczyła Winter, a wtedy na jej twarzy odmalowała się ulga.

– Panie pułkowniku! Lepiej się pan czuje?

– Na tyle, żeby odbywać krótkie spacery – odparła Winter. – Myślę, że musimy porozmawiać.

Abby energicznie pokiwała głową.

– Virginia, Nel, omówcie mój plan z kapitanem i róbcie notatki. Pułkowniku, sądzą, że możemy wykorzystać sąsiedni pokój.

Trochę niechętnie Winter podniosła się z krzesła i wyszła za Abby na korytarz. Piegowata dziewczyna miała mocno opalony kark, a kręcone włosy upięte w koczek, który podrygiwał, gdy szła. Otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju – zakurzonej spiżarni wyglądającej na nieużywaną od miesięcy. Na podłodze stało kilka pustych skrzyń i Abby złapała jedną, po czym starła z niej kurz, nim zaproponowała ją Winter.

– Kto zajmował te pomieszczenia, zanim my się wprowadziliśmy? – zapytała Winter, gdy Abby wycierała drugą skrzynię dla siebie.

– Formacja nazywana Gwardią Sokoła. Praktycznie kompania honorowa złożona z potomków bogatych rodzin paradujących w pięknych kostiumach. Po kapitulacji ich armii byli zbyt zawstyżeni, żeby się tu pokazać, i rada kupiecka powiedziała, że możemy się tu rozgościć. Bardzo chcieli być pomocni.

– Miejmy nadzieję, że nic nie zmieni tego nastawienia. – Winter nie łudziła się, że Deslandczycy nagle dostrzegli zalety rewolucji. Ich lojalność będzie trwała tylko do chwili, gdy armia Janusa przestanie być dla nich zagrożeniem. – Sevrans mówił, że wszystko idzie

dobrze.

– Mniej więcej. – Abby westchnęła. – Muszę powstrzymać Pierwszy Dziewczęcy od nocnych eskapad. Krążą o nas różne dziwne plotki.

– Mogę to sobie wyobrazić. Rób, co trzeba, żeby były bezpieczne.

– Zrobię, panie pułkowniku. Jednak nie są z tego zadowolone. Królewscy dostają przepustki na miasto.

Winter skinęła głową.

– Zastanowię się nad tym.

Zapadła chwila ciszy, która rozciągnęła się w niezręczne milczenie.

– Chcę ci podziękować za to, co zrobiłaś w czasie bitwy – powiedziała w końcu Winter. – Twoja drużyna zdobyła farmę.

Abby wzruszyła ramionami.

– Ja tylko wykonywałam pańskie rozkazy, pułkowniku.

– To wymagało wiele odwagi. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

– Dziękuję, pułkowniku. – Abby westchnęła. – Jednak to nie o bitwie chcesz rozmawiać i dobrze o tym wiesz. Chodzi o Jane.

Winter skrzywiła się.

– Tak łatwo mnie rozgryźć?

– Mniej więcej.

– Zatem gdzie ona jest?

– Ostatnio słyszałam – odrzekła Abby – że jest w gospodzie nazywanej „Narwaniec”, około mili stąd. Jednak do tej pory mogli już ją stamtąd wyrzucić.

– Jest sama?

Abby pokręciła głową.

– Jest z nią większość dawnych Skórzanych Kurtek. Becca, Winn i reszta. Czterdzieści do pięćdziesięciu osób. Zajmują gospodę i wypijają wszystkie trunki, a potem ruszają do następnej.

– Jak długo to trwa?

– Chyba od bitwy. Było trochę zamieszania, kiedy weszliśmy do miasta.

– Święci i męczennicy. Co ona, do diabła, wyprawia?

– Nazywa to świętowaniem. Myślę, że wciąż się ukrywa.

– Przed kim? – spytała Winter.

– Przed tobą? Przede mną? Przed Sevranem? Pozostałymi żołnierzami Pierwszego Dziewczęcego? – Abby miała nieszczęśliwą minę. – Większość Skórzanych Kurtek nadal jest po jej stronie, ale nowo zwerbowane dziewczyny nie były zadowolone, kiedy powiedziała, że nie pomożemy królewskim. One chciałyby się jej pozbyć.

Winter w zadumie spoglądała na Abby. Dziewczyna wciąż nie miała regulaminowego munduru, lecz jej pomięta niebieska kurtka leżała na niej jak druga skóra, a sfatygowany skórzany bandolet na ramieniu wyglądał, jakby był jej częścią. W którymś momencie ostatnich kilku miesięcy stała się żołnierzem, w taki sam sposób, w jaki Khandar zmienił niegdyś samą Winter.

– Przez ten czas ty dowodziłaś Pierwszym Dziewczęcym? – zapytała Winter.

– Mniej więcej. Nie mam oficjalnej nominacji, ale dziewczyny mnie słuchają.

– Zmieniam to od tej chwili. Pełnisz obowiązki kapitana.

– A co z Jane?

– Jane najwyraźniej nie jest tym zainteresowana – odparła Winter, nie potrafiąc ukryć lekkiego rozgoryczenia. – Załatwię z nią tę sprawę, ale to może trochę potrwać. To moja wina, że pozwoliłam, żeby nasze relacje tak się pogorszyły. A do tego czasu batalion potrzebuje dowódcy.

– Rozumiem, panie pułkowniku. Tylko... – Abby zawahała się.

– Co takiego? – nalegała Winter.

– Nie bądź dla niej zbyt surowa. Proszę.

– Postaram się – obiecała Winter.

Żołnierskie życie nigdy nie pasowało do Jane, nie tak jak najwyraźniej odpowiadało Abby. Nie przywykła do ćwiczeń, dyscypliny, przyjmowania rozkazów. Nigdy nie lubiła słuchać rozkazów. Nawet wychowawczynie w sierocińcu zaniechały prób zmuszenia Jane do robienia czegokolwiek wbrew jej woli, aż w końcu zamknęły ją w izolatce i wydały za brutala. Wojsko nigdy nie będzie jej domem, nie tak jak dla mnie i Bobby.

Winter potrząsnęła głową i wstała.

– W porządku. Mam tu gdzieś swój pokój?

– Oczywiście, pułkowniku. Apartament komendanta na ostatnim piętrze. Pokażę ci drogę.

Apartament komendanta okazał się niemal groteskowo luksusowy, niczym sypialnia szczególnie chciwego króla. W sypialni było tyle złotych i srebrnych misek, kandelabrow, tac i innych cennych przedmiotów, że ledwie zostało dość miejsca, żeby dotrzeć do wielkiego łóżka, salon zaś był pełen eleganckich obrazów, waz i mebli z politurowanego drewna. Winter zdecydowała, że pierwsze, co zrobi nazajutrz, to każe znieść to wszystko do piwnicy. Teraz miała wrażenie, że jeśli odwróci się za szybko, to wpadnie na stoliczek na cienkich nóżkach i rozbije jakieś bezcenne dzieło.

Żołnierze przynieśli jej posiłek na srebrnych talerzach oraz wino w kryształowym kielichu i to jedzenie rzeczywiście było znacznie lepsze od tego, co jedli podczas przemarszu. Abby mówiła jej, że magazyny zapełniają się „darami” dla pułkownika od miejscowych notabli chcących się wkraść w jej łaski. To wino musiało być jednym z nich, ponieważ było jak z innego świata w porównaniu z tą okropną cieczą, którą sprzedawały markietanki podążające za wojskiem. To był cudowny, klarowny nektar ze Starego Wybrzeża, złocisty jak słońce i wchodzący tak gładko, że Winter nie zdawała sobie sprawy, ile wypiła, dopóki nie zakręciło się jej w głowie.

Cyte wróciła z plikiem raportów – spisem najbliższych krewnych poległych i szczegółową listą rannych, z rozróżnieniem na rokujących wyzdrowienie lub nie, stanem uzbrojenia i amunicji, rozkładami dyżurów oraz różnymi sprawami do załatwienia. Winter przejrzała papiery, nieco pobieżnie, po czym poleciła Cyte zająć się tymi, które może załatwić sama. Zawiadomiła ją o swojej decyzji oddania Abby dowodzenia Pierwszym Dziewczęcom, co była studentka całkowicie popierała. Później, może wyczuwając zmęczenie i lekkie zamroczenie dowódcy, Cyte odeszła, zostawiając Winter, która ściągnęła z siebie te części munduru, które łatwo dały się zdjąć, i padła na łożo.

Słońce jeszcze nie dotknęło horyzontu, lecz wcześniejszy długi spacer po mieście i ból głowy sprawiły, że chciała zwinąć się w kłębek i ukryć pod grubymi wełnianymi kocami oraz

jedwabną pościelą wielkiego łoża. Jednak sen nie przychodził. Gdy zamknęła oczy, znów znalazła się w ogniu bitwy, nie wśród ginących wokół kobiet z Pierwszego Dziewczęcego ani w rozpaczliwym starciu z deslandzkim oficerem, lecz przez zaciśnięte zęby ostrzegając Jane. Raz po raz widziała, jak wstrząśnięta Jane szeroko otwiera oczy, jakby Winter właśnie przeszła ją rapierem, a potem mruży je z... czego? Gniewu? Frustracji? Urazy? Wyraźnie widziała jej minę, ale nie umiała jej zinterpretować.

Nie powinnam była jej tu zabierać. Jane dokonała niemożliwego – uciekła z sierocińca i od męża, zaczęła nowe życie w stolicy Vordanu i w tym czasie pomogła setkom innych kobiet. Winter wpadła w to życie jak huragan i rozwaliała je na kawałki. Powinnam była kazać jej tam zostać. Im wszystkim. Janus by mnie posłuchał. Mógł im to nakazać.

Jeśli jednak Jane nie pasowała do wojska, to inne – Abby, Cyte – czuły się w nim jak ryby w wodzie. Czy je także powinnam była odesłać do domu? Powiedziała Jane, że kobiety z Pierwszego Dziewczęcego wiedziały, na co się piszą, i to też było prawdą. Dlaczego miałabym dokonywać wyboru za którąkolwiek z nich?

I mimo wszystko na myśl o odesłaniu Jane – o ponownym rozstaniu z nią – Winter czuła się tak, jakby ktoś wrywał jej serce z piersi. *Tylko dlaczego mój ból miałby być większy niż jej? Jeśli pozostanie tu ze mną rujnuje jej życie, czy to jest tego warte? Gdybym naprawdę ją kochała, powinnam zostać z nią w Vordanie i do diabła z Janusem oraz wojskiem.*

Oczywiście to nigdy nie było realistycznym rozwiązaniem. Pasażer w głębi jaźni Winter rzadko dawał o sobie znać, ale wyczuwała go, jeśli skupiła na nim uwagę. Wszystkożerca. Żarłoczna bestia drzemiąca, dopóki nie wyczuje w pobliżu ofiary. W wojsku czy poza nim, od chwili gdy przyjęła demona – albo naath czy cokolwiek to jest – nie było dla niej odwrotu. Według Janusa ten stwór miał jej towarzyszyć do końca jej życia.

– Kurwa. – Winter wcisnęła twarz w grubą poduszkę, tłumiąc słowa. – Kurwa, kurwa, kurwa. Na jaja pierdolonej Bestii. Co mam, do diabła, robić?

Potem trochę niezdarnie wygramoliła się z łóżka i ruszyła na poszukiwanie niedopitej butelki wina.

Ranek następnego dnia był pogodny i – przynajmniej dla Winter – nieznośnie jasny. Przycisnęła dłoń do czoła i pociągnęła łyk wody z manierki. Wciąż bolała ją głowa, choć teraz być może z innego powodu.

Tor wyścigów konnych – zwany Obozowiskiem – zajmował co najmniej milę kwadratową otwartej przestrzeni pośrodku jednej z najbogatszych dzielnic Deslandu. Sąsiadujące z nim domy były jednymi z największych i najładniejszych w mieście, tak że tylko posiadłości usytuowane na urwistych brzegach rzeki mogły się z nimi równać. Konie, ich hodowla, wyścigi i handel nimi zawsze były osią deslandzkiej gospodarki, tak więc wszystkie najstarsze i najszacowniejsze rodziny w tym mieście prowadziły jakieś interesy związane z końmi. W Obozowisku odbywały się gonitwy Złotego Lauru, zapewne najbardziej prestiżowego wyścigu na świecie, a po nich zaczynał się najbardziej ekskluzywny i drogi z wielu targów końskich w tym mieście.

Jednak wyścigi i handel końmi były atrakcjami lata, a teraz, pod koniec roku, Obozowisko było placem porośniętym zeschniętą trawą, usianym kawałkami drewna i brezentu pozostałymi po tych wielkich imprezach. Z łatwością mogło pomieścić cały trzeci pułk oraz tłumy ciekawskich Deslandczyków, którzy przyszli obejrzeć widowisko.

Widzowie zachowywali pełną respektu odległość od oddziałów, a ten i ów nawet wymachiwał vordanajską niebieską flagą w geście dobrej woli. W centrum tego szerokiego kręgu widzów Pierwszy Dziewczęcy i królewscy ćwiczyli szereg manewrów opracowanych przez Abby i Sevrana poprzedniego wieczoru. Oba bataliony rozwijały się z kolumn w linie i znów formowały szyk, a kompanie maszerowały lub stawały w rytmie podawanym przez doboszy. Sformowano dwa czworoboki najeżone groźnie błyszczącymi bagnietami, a potem, na sygnał werbla, znów rozeszły się kolumnami, dumnie maszerującymi wokół placu.

Niektóre manewry Winter uznała za nieco nieskładne, szczególnie w wykonaniu Pierwszego Dziewczęcego. Musztra nigdy nie była priorytetem w batalionie, w którym większość żołnierzy ledwie umiała nabić muszkiet. Jednak poczyniły ogromne postępy, co najwyraźniej wystarczyło, żeby zrobić wrażenie na Deslandczykach, którzy krzyczeli i klaskali przy każdym rzuconym rozkazie. Oczywiście były także gwizdy i pohukiwania. Kobiety w pierwszych szeregach odpowiadały na lubieżne sugestie tłumu równie wulgarnymi gestami, wywołując głośny śmiech.

Winter z wysokości grzbietu Edgara próbowała się cieszyć tym pokazem, mając obok siebie Cyte na jej rumaku. Za każdym razem, gdy widziała Abby maszerującą na czele Pierwszego Dziewczęcego i wykrzykującą rozkazy doboszom, myślała o Jane. Ona i jej dawne Skórzane Kurtki nie wróciły na noc i według raportów przeniosły się z „Narwańca” do „Złotej Gęsi”, gdzie kontynuowały hulankę.

– Pierwszy Dziewczęcy powinien mieć prawdziwe mundury – zauważyła Cyte, wrywając Winter z zadumy.

– Wysłałam zamówienie do ministerstwa – powiedziała Winter – ale jest wiele ochotniczych batalionów. Nie wiem dlaczego, ale myślę, że dostarczanie kobiecych mundurów nie jest na szczycie ich listy.

– Tu, w Deslandzie, jest wielu krawców – podsunęła Cyte. – Chyba moglibyśmy kazać je uszyć na miejscu.

– Nie sądzę, żeby było mnie na to stać. – Winter westchnęła.

Wydały prawie cały jej zaległy żołd – wszystkie pieniądze, jakie miała, pomyślała smętnie – na zakup lepszego jedzenia i napojów dla oddziałów podczas marszu.

Cyte spojrzała na nią z przebiegłą miną.

– Nie musielibyśmy płacić. Kwatermistrze są upoważnieni do zaciągania kredytów na rzecz Korony.

– Od kiedy Vordan ma jakiś kredyt w Deslandzie?

– Od kiedy Janus zajął miasto i wycelował dwunastofuntówki w ich śliczne banki – wyjaśniła bez ogródek Cyte. – Bardzo chętnie udzielili nam pożyczek.

– To mi bardziej wygląda na rabunek.

Cyte wzruszyła ramionami.

– Jest wojna. Poczytaj trochę kronik, a przekonasz się, że według wszelkich norm jest to bardzo łagodna okupacja. Już rekwirujemy wszelkiego rodzaju towary, a szczególnie konie. Kilkaset metrów materiału nie sprawi żadnej różnicy.

– W porządku – powiedziała Winter, obserwując manewry Pierwszego Dziewczęcego. Ich kurtki, każda w innym odcieniu błękitu, łopotwały na samodzielnych lub lnianych ubraniach, w których kobiety wstąpiły do wojska. – Zróbcie to. Jeśli mają ryzykować życie dla Korony i

deputowanych, to zasługują, żeby wyglądać jak żołnierze.

– Tak jest, pułkowniku. – Cyte się uśmiechnęła.

– I zobacz, co się da zrobić z butami. – Zbyt wiele kobiet miało obuwie odpowiednie jedynie na miejskie bruki i rozpadające się na strzępy po tygodniach marszu po wyboistych wiejskich drogach. – Skoro już grabimy, równie dobrze możemy zadbać o swoją wygodę.

– Oto prawdziwy duch zwycięskiego dowódcy – zauważyła Cyte. – Jeszcze zrobimy z ciebie dobrego tyrana. Zobaczę, co się da zrobić w kwestii niewolnic do twojego buduaru.

To był żart i Winter bardzo starała się uśmiechnąć, ale chyba niezbyt jej się to udało. Cyte zbladła.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja... przepraszam.

– Wszystko w porządku – rzekła Winter, ignorując ból w piersi dorównujący temu, od którego pękała jej głowa. – Chodź. Musimy wrócić do cytadeli, zanim tłum zacznie się rozchodzić.

Niektóre kompanie żołnierzy pełniły wartę i ci wartownicy, których Winter widziała w drodze powrotnej, wyglądali na niezadowolonych z tego, że nie mogli brać udziału w pokazie. Rozpuściła wieść, że pierwsi dostaną przepustki do miasta, co bardzo uradowało królewskich. Abby nie chciała, żeby dziewczęta opuszczały bazę, co trochę je irytowało, ale zapewne było rozsądne. Jednak pomysł Cyte, żeby wykorzystać kredyt na zakup wyposażenia, podsunął jej pewną myśl. Parę następnych godzin spędziła w dużym pomieszczeniu, które Sevran wykorzystywał jako biuro, pisząc rozkazy i konsultując się z kilkoma przedstawicielami lokalnej społeczności.

– Panie pułkowniku?

Winter podniosła głowę i zobaczyła w drzwiach żołnierza z Pierwszego Dziewczęcego. Młoda kobieta, nie więcej niż siedemnastoletnia, najwyraźniej była przestraszona perspektywą rozmowy z pułkownikiem i stała sztywno w pozie, którą zapewne uważała za pozycję „na bacność”. Winter powstrzymała uśmiech.

– Tak, szeregowy? – powiedziała.

– Kapitan Giforte prosi o pozwolenie przedstawienia pewnej sprawy.

Winter zmarszczyła brwi.

– Oczywiście. Powiedz jej, żeby weszła.

– Prosi, żeby dołączył pan do niej na dziedzińcu, panie pułkowniku.

– Dobrze. – Winter odłożyła pióro i przeciągnęła się, aż zatrzeszczało jej w krzyżu. Przynajmniej ból głowy nieco zelżał. – Co się dzieje?

– Najlepiej niech sama to powie, panie pułkowniku.

Abby czekała na dziedzińcu przed wejściem do kasztelu. Żołnierze już wrócili do namiotów i przygotowywali posiłek, chociaż sporo kręciło się w pobliżu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Za Abby stały trzy młode kobiety. Ta po lewej była ogromna, o głowę wyższa od Winter i barczysta, o krótkich włosach i czujnym wyrazie twarzy. Po jej prawej stała młodsza kobieta, szczupła i blada, odziana w sfatygowane skóry i wystrzępiony samodział.

Trzecia kobieta starała się nie patrzeć na swoje towarzyszki ani na nikogo na dziedzińcu. Miała jasną skórę osoby, która przez całe życie chroniła ją przed słońcem, oraz długie złociste loki opadające kaskadą na plecy. Jej suknia, elegancka, różowo-złota z klejnocikami na dekolcie i przegubach, już miała rąbek ubrudzony błotem dziedzińca. Natychmiast przeszyła

nadchodzącą Winter spojrzeniem jasnoniebieskich i niepokojąco bystrych oczu.

– Co się tu dzieje, Abby? – spytała Winter, gdy kapitan zasalutowała jej słuźbiście.

– Te trzy przysły do mnie po pokazie, panie pułkowniku – odparła Abby. – Chcą się zaciągnąć.

– Zaciągnąć? – Winter z niedowierzaniem spojrzała na nowo przybyłe. – Dlaczego?

– Musi pan sam je o to zapytać, panie pułkowniku.

Winter zwróciła się do olbrzymki.

– Jak się nazywasz?

Kobieta zerknęła na swoją mniejszą towarzyszkę, która zrobiła krok naprzód.

– To Joanna, panie pułkowniku. Inaczej Jo. Ja jestem Barley.

Dobrze mówiła po vordanajsku, prawie bez akcentu.

– Jo i Barley.

– Tak jest. Jo nie mówi.

Jo całkiem znośnie spróbowała zasalutować, z łoskotem uderzając pięścią w pierś.

– Co tutaj robicie? – spytała Winter.

– To, co powiedziała kapitan, panie pułkowniku. Chcemy wstąpić do Pierwszego Dziewczęcego.

– Jesteście Deslandkami. Jesteśmy w stanie wojny.

– Przepraszam, panie pułkowniku, ale jesteśmy Vordanajkami. Przynajmniej ja jestem, w ponad połowie, a babka Jo nie znała ani jednego hamveltajskiego słowa. Tam, gdzie mieszkamy, ludzie wiwatowali, gdy usłyszeli, że armia została rozbita.

Winter zastanowiła się. W Deslandzie istotnie żyła spora vordanajska mniejszość, głównie w biedniejszych regionach.

– Nie zostaniemy w Deslandzie. Prędzej czy później dołączymy do reszty naszej armii i nie mam pojęcia, czy kiedyś tu wrócimy.

– Mnie to odpowiada, panie pułkowniku – odrzekła Barley. – Tutaj możemy tylko pracować w Dokach i znosić zniewagi hamveltajskiej szlachty. Jeśli będziecie nas żywić, pójdziemy za wami wszędzie.

Winter chciała odmówić, powiedzieć im, że jakkolwiek źle może być w Dokach, i tak lepsze to od wystawiania się na grad kul i ciosy bagnetów oraz perspektywy płytkiej mogiły na jakimś poboju. Jednak wszędzie wokół stali żołnierze z Pierwszego Dziewczęcego i królewscy, więc w ich obecności nie mogła się zmusić do powiedzenia tego.

Kimże jestem, pomyślała, przypomniawszy sobie ostatnią noc, żeby za nie decydować?

– Jo – powiedziała. – Zgadzasz się ze wszystkim, co mówiła Barley?

Olbrzymka energicznie pokiwała głową i położyła dłoń na ramieniu mniejszej towarzyszki.

– Kapitanie Giforte – rzekła Winter. – Czy w którejś z twoich kompanii przydadzą się te dwie?

– Myślę, że znajdę taką, panie pułkowniku – odparła z nutą rozbawienia w głosie Abby.

– Zatem dobrze. – Winter zwróciła się do trzeciej kobiety, która znów spokojnie napotkała jej wzrok. – A kim ty jesteś?

– Anne-Marie Gertrude di Wallach – przedstawiła się tamta. W przeciwieństwie do Barley mówiła z wyraźnym hamveltajskim akcentem, przeciągając „r” i wymawiając „w” jak „v”.

– Nie jesteś Vordanajką.

– Nie.

– Cóż więc tu robisz?

Anne-Marie w skupieniu zmarszczyła brwi. Odpowiedziała z miną osoby układającej łamigłówkę; widocznie z Vordanajskim zetknęła się tylko w szkole.

– Chcę... walczyć. Walczyć z wami.

– Dlaczego?

– Ponieważ walczyście za wszystkich. – Sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła małą zniszczoną książeczkę. Były to Prawa człowieka Voulenne'a, manifest uniwersyteckich buntowników w Vordanie. – Czytałam... gazety. O tym, co przychodzi z Vordanu. Lud ma rządzić sam. Bez władców. Chcę o to walczyć.

Winter przyjrzała się jej. Dłonie Anne-Marie były miękkie i bez odcisków, a ramiona chude i nienawykłe do pracy.

– Chcesz o to walczyć? – Winter wskazała Prawa człowieka. – Jesteś gotowa za to umrzeć?

– Tak – odparła Anne-Marie, prostując się.

– Jesteś gotowa za to zabijać?

– Tak. – Tym razem jednak lekko się zawahała.

– Maszerować całe mile w błocie? Dźwigać ciężki plecak? Jeść wiewiórki i co ci się uda złapać?

Anne-Marie poczerwieniała, ale trzymała się dzielnie.

– Tak.

Winter westchnęła przeciągle i odwróciła się do Abby.

– Co o tym myślisz? – spytała cicho.

– Myślę, że jest bardzo zdeterminowana – stwierdziła Abby. – Myślę też, że nie przetrwa pięciu minut pierwszej bitwy.

– Nie możemy przyjąć tamtych, a jej odprawić – uznała Winter.

– Zostaw to mnie – rzekła Abby. – Powiedz jej, że może zostać, a ja się postaram, żeby zakosztowała smaku żołnierki. Szybko ucieknie do domu.

Winter skinęła głową. Jednak odwróciwszy się i napotkawszy spojrzenie Anne-Marie, nie była już tego taka pewna. Ujrzała w jej oczach determinację, która potrafiła jakąś strunę; przypomniawszy jej inną dziewczynę, która uciekła od wszystkiego, co знаła, wpadłszy na szalony pomysł zaciągnięcia się do wojska.

Oczywiście u pani Wilmore nikt nie miał takich delikatnych dłoni. Pomimo to Winter uznała, że dziewczyna zasługuje, żeby dać jej szansę. To i tak najlepsze, co moge jej zaoferować.

– Kapitan Giforte znajdzie dla ciebie miejsce – powiedziała. – Jednak będziesz potrzebowała innego ubrania. I zapewne będziesz musiała obciąć włosy.

Anne-Marie bezwiednie podniosła dłoń i chwyciła swe złociste loki. Zaraz jednak z trudem znów się wyprężyła.

– Tak. Panie pułkowniku. Rozumiem.

Barley, która sceptycznie obserwowała Anne-Marie, popatrzyła na Winter.

– Nie jesteśmy jedyne, panie pułkowniku. W Dokach jest wiele dziewcząt, które przyłączyłyby się, gdyby wiedziały, że przyjmujecie nowych rekrutów.

– Ja też mam przyjaciółki. – Anne-Marie poklepała książkę. – One wierzą w to.

Wspaniale. Teraz nie uda się zapobiec temu, żeby ta wieść rozeszła się po mieście z

szybkością pożaru. Po prostu wspaniale. W co ja znów dałam się wpakować, do diabła?

Jedenaście

Marcus

Mięło sporo czasu, od kiedy Marcus spędził dłuższą chwilę na placu Triumfu Farusa. Na pozór niewiele się tu zmieniło. Kawiarnie na krańcach wielkiego placu wciąż były czynne i rozstawiały swe żeliwne stoliki na kamiennych płytach, wykorzystując słabe jesienne słońce. Wielki posąg siedzącego na koniu Farusa V wyglądał równie majestatycznie jak zawsze, otoczony czołobitną czeredką tryskających wodą nimf i łabędzi. Na południu Wielki Most biegł od filaru do filaru i płynął po nim nieprzerwany potok pieszych zmierzających na południowy brzeg lub wracających stamtąd.

Jednak siedząc w kawiarni, na uboczu tego potoku pieszych, Marcus po pewnym czasie zaczął dostrzegać różnice. Wyspa była niegdyś najbardziej kosmopolityczną częścią miasta, w której Vordanajowie spotykali się z odzianymi w futra Borelgajami, murnskajskimi kupcami lub biznesmenami z miast Ligi. Zdarzali się nawet Khandarczycy, tysiące mil od swej ojczyzny. Teraz cudzoziemców nie było, a ich brak wywołał krach niektórych interesów. Sklep Garetha, będący vordanajską filią hamveltajskiego imperium jubilerskiego, miał okna zabite deskami, a hotel Vichk, od kilkudziesięciu lat najdroższy i najbardziej ekskluzywny w stolicy, zamknął swe podwoje.

Na północnym krańcu placu hotel Ancerre jarzył się jak kandelabr, lecz jego gośćmi nie byli bogaci kupcy i arystokraci, którzy niegdyś wynajmowali w nim apartamenty. Jako główna kwatery Dyrektoriatu i Gwardii Patriotycznej był otoczony pierścieniem halabardników, a z jego stajni nieustannie wyjeżdżały powozy pospiesznie pomalowane w niebiesko-czarne pasy.

Tłum też był inny. Marcus pamiętał dzieci biegające po placu, śmiejące się przy fontannach i kupujące słodczyce na straganach. Teraz nie tylko nie było tu rodzin, ale rzadko można było dostrzec jakiegoś młodego człowieka – i nic dziwnego, skoro każdy wyglądający na zdolnego do noszenia broni ryzykował nękanie oskarżeniami o tchórzostwo, gdziekolwiek publicznie się pokazał.

Marcus odchylił się na krześle, usiłując rozciągnąć zeszytniały krzyż i z przygnębieniem patrząc na stojącą przed nim filiżankę. Z przykrością odkrył, że to, co tu sprzedawano jako kawę, pachnie i smakuje jak wywar z kory, a ostrożnie upiwszy łyk tej lury, zrezygnował z dalszej konsumpcji. Był gotowy zrobić coś strasznego za filiżankę kawy, jaką parzono w Khandarze: czarnej jak Bestia i tak mocnej, że niemal rozpuszczała miedzianą łyżeczkę.

Andy wróciła i z nieprzyjemnym zgrzytem żelaza o kamień przysunawszy sobie krzesło, usiadła naprzeciw Marcusa. Rzuciła ulotkę na stolik przed nim, a on przycisnął dłonią papier, zanim zdążył go porwać popołudniowy wietrzyk.

– To najlepsza, jaką mieli – oznajmiła, marszcząc brwi. – Chociaż relacja i tak różni się od tego, co widziałam.

Marcus spojrzął na ulotkę. Była zatytułowana: CUDZOZIEMSKI ELEMENT WYWOŁUJE CHAOS NA UNIWERSYTECIE. Opisywała, jak grupa prawomyślnych obywateli pomogła Gwardii Patriotycznej stłumić rozruchy na uniwersytecie i aresztować kilku szpiegów obcych państw. Informowała, że wynikiem rozruchów były lekkie szkody i trochę odniesionych

obrażeń, chociaż nie podano, kto je zadał lub odniósł.

– Ani słowa o Kaznodziei.

– Nie piszą, że aresztowano jakiegoś oficera – pocieszała go Andy. – Chyba wspomnieliby, gdyby tak było.

– Chyba że wolą to przemilczeć – rzekł. – Czy widziałaś, żeby Gwardia Patriotyczna kogoś tam aresztowała?

– Nie – przyznała. – Jednak opuściliśmy teren w pośpiechu.

Marcus westchnął. Im dłużej myślał o tym, co się stało na uniwersytecie, tym mniej mu się to podobało. Było możliwe, że Gwardia Patriotyczna zrejterowała przed napierającym tłumem z tchórzostwa lub w wyniku biurokratycznej pomyłki, a nawet dlatego, że ich dowódca uważał, że mogą zostać pokonani. Jednak fakt, że stało się to zaraz po przybyciu Marcusa, był zaskakującym zbiegiem okoliczności. Marcus nie ukrywał zamiaru złożenia tej wizyty i miał paskudne wrażenie, że to on jest powodem tego, co się tam stało. Do tej pory Maurisk musiał się już dowiedzieć, że szperaliśmy w archiwach giełdy. Jeśli nie jest dostatecznie pewny siebie, żeby jawnie mnie aresztować, uwikłanie mnie w takie rozruchy dałoby mu okazję.

To trąciło paranoją. Właściwie to, co teraz robił, wprost graniczyło z paranoją: traktował spotkanie dwóch szkolnych przyjaciół jak szpiegowskie rendez-vous z taniej opery. Zaczynał jednak podejrzewać, że ta paranoja jest przynajmniej częściowo usprawiedliwiona.

Dość. Krążył wokół tego myślami, coraz szybciej i szybciej. Czuł się jak pies znużony gonitwą za własnym ogonem.

Spojrzał na Andy, która z wyraźną przyjemnością piła tę niby-kawę. Na jednym policzku miała wielki siniak, już przybierający niepokojący żółtozielony kolor.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Przeżyję – odparła. – Ta kawa nie jest aż tak zła.

Marcus uśmiechnął się i dotknął palcem policzka.

– Ach, to. – Andy wzruszyła ramionami. – Trochę boli. Jednak jak powiedziałam, obrywałam gorzej.

– Naprawdę?

– Och, tak. Mając dziewięć lat, wdałam się w bójkę, po której miałam złamaną rękę i trzy pęknięte zębra.

– Nie chciałbym zobaczyć twojego przeciwnika.

– Było ich trzech i owszem, nie był to ładny widok. – Opróżniła filiżankę i odstawiła ją. – Dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości. Widziałem, że umiesz się posługiwać kijem od miotły. Pomyślałem sobie, że nigdy nie miałem pod moją komendą... takiego żołnierza jak ty.

Andy zaśmiała się.

– Pewnie nie.

– Jak się w to wszystko wplątałaś?

Przechyliła głowę.

– Pyta pan, dlaczego nie siedzę w domu, szyjąc i rodząc dzieci jak przystoi młodej damie?

– Ja... – Marcus poczuł, że czerwieni się pod gęstą brodą. – Nie ująłbym tego w taki sposób.

– W porządku. Chyba wszystko zaczęło się od Szalonej Jane. Zna ją pan?

– Spotkaliśmy się przelotnie – odparł Marcus. Podczas kilku pospiesznych spotkań przed

Midvale i na jakiejś odprawie przed wymarszem armii Wschód na front. Pamiętała błyszczące zielone oczy i gniewną minę. – Pomogła kapitanowi Ihernglassowi utworzyć ten... kobiecy oddział.

– Ihernglassowi, tak. On... to znaczy...

Andy zawahała się. Marcus nie wiedział dlaczego, ale zaraz sobie przypomniał, że Ihernglass wśród Skórzanych Kurtek działał pod przykrywką. Poczłł przypływ współczucia dla Andy. To nieprzyjemne, odkryć, że ktoś przez cały czas cię zwodził.

Andy odkaslnęła.

– No cóż. Wychowałam się w Dokach, właściwie sama. Kiedy miałam dziesięć lat, Straż arestowała mnie za kradzież. Nie miał kto zapłacić grzywny ani przemówić w mojej obronie, ale sędzia powiedział, że mu się podobam, i wysłał mnie do pani Wilmore. Wie pan coś o pani Wilmore?

Marcus pokręcił głową, zupełnie zagubiony. Miał za sobą kilka młodzieńczych wybryków, które kończyły się spotkaniami ze Strażą, lecz nigdy nie wynikło z nich nic poważniejszego od pstryczka w ucho i surowego ojcowskiego kazania.

– Królewski dom poprawczy dla trudnej młodzieży – z odrazą powiedziała Andy. – Zawsze nazywałyśmy go więzieniem dla młodych dam pani Wilmore. Wysyłano tam dziewczęta przyłapano na kradzieży lub prostytucji, a czasem te, których rodzice poszli do więzienia. Miałyśmy być wychowywane na porządne i produktywne członkinie społeczeństwa, dopóki nie zjawi się ktoś, kto nas poślubi.

Marcus już chciał powiedzieć, że to nie brzmi tak źle, ale mina Andy sugerowała, że nie byłoby to mądre. Kiwnął więc tylko głową.

– Pani Wilmore – ciągnęła Andy – aranżowała małżeństwa dziewcząt, które były w odpowiednim wieku i należycie wyedukowane. Głównie z farmerami z zapadłych wiosek lub górniczych osad. Zawsze nam powtarzała, że mężczyzna potrzebuje żony, żeby prowadził gospodarstwo, rodziła mu dzieci i wychowywała je na dobrych pomocników. Farmer mógł przyjechać do więzienia i kupić sobie słodką młodą żoneczkę, jak nowy pług. Dziewczęta nie miały w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Tak nie powinno być. – Marcus zmarszczył brwi. – Rząd nigdy by na coś takiego nie pozwolił.

Andy uśmiechnęła się ponuro.

– Oczywiście, że by pozwolił. Nie może przecież dopuścić, żeby wszędzie roilo się od młodocianych włóczęgów i prostytutek, a nie będzie wysyłał dziewcząt do Khandaru. – Westchnęła. – Prawdę mówiąc, większość dziewcząt dość chętnie wychodziła za mąż. Dzielenie łóżka z mężczyzną nie jest takie złe, jeśli w zamian dostaje się jedzenie i dach nad głową. To tylko inny rodzaj prostytucji, jeśli tak na to spojrzeć. Jednak nie Jane. Nawet pani Wilmore nie mogła dać sobie z nią rady. Walczyła z wychowawczyniami, walczyła z woźnymi, nie chciała siedzieć cicho i dać się edukować. Chłostały ją, zamykały w karczerze, próbowały wszystkiego, co im przyszło do głowy, ale nie zdołały jej złamać. Tak więc pani Wilmore znalazła farmera o nazwisku Ganhide. Był ogromnym, brutalnym mężczyzną, brzydkim jak wieprz, i zgodził się uczynić Jane swoją czwartą żoną. Nikt go nie pytał, co się stało z trzema pierwszymi. Cieszyły się, że się jej pozbędą. Próbowała wydrapać mu oczy, kiedy ją do niego przyprowadziły, ale on tylko się śmiał. A potem... – Andy zamilkła i lekko pochyliła się, z

roziskrzonym wzrokiem. – Byłam w więzieniu, kiedy Jane wróciła. Żadna z dziewcząt nigdy przedtem tam nie wróciła. Przyszła tam śmiało, tak po prostu, i powiedziała dziewczętom, że nie będą już wydawane przemocą za męż.

– I nikt nie próbował jej powstrzymać? – spytał Marcus.

Andy zamilkła, a potem wzruszyła ramionami.

– Próbowali, ale większość dziewcząt była już po jej stronie i nie dali rady. Poszliśmy za nią, z więzienia aż do stolicy.

– I w ten sposób powstały Skórzane Kurtki? – zapytał Marcus.

– Mniej więcej. – Andy spochmurniała. – Było... źle, przez pewien czas. Jane zawsze starała się troszczyć o wszystkich i niektóre starsze dziewczyny zaczęły jej pomagać. Przeniosliśmy się do Doków, gdzie walczyliśmy ze złodziejami, alfonsami, poborcami i każdym, kto wszedł nam w drogę. Dlatego – powiedziała, robiąc głęboki wdech – umiem się bić.

Święci i męczennicy. Marcus zadał sobie pytanie, czy Ihernglass wie o tym wszystkim. Powszechnie uważano, że on i Jane są kochankami. *To przynajmniej wyjaśnia, gdzie znalazł tyle kobiet gotowych złapać muszkiet. Po takim wychowaniu nic dziwnego, że są nienormalne.*

– Cóż – rzekł – to niezwykła opowieść. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego nazywają ją Szaloną Jane.

– Pan też byłby trochę szalony, gdyby przeszedł pan przez to co ona – zapewniła Andy. – Czasem trzeba być szalonym, żeby podjąć walkę.

– Hmm – mruknął wymijająco Marcus. Nie był pewny, czy zachęcanie do podziwiania mordercy to dobry pomysł, lecz Andy najwyraźniej nie była otwarta na dyskusję w tej kwestii. Szukając jakiegoś pretekstu do zmiany tematu, z ulgą zauważył brodatego mężczyznę w niebieskim mundurze, spieszącego przez plac w ich kierunku. – Ach. Chyba w końcu dopisało nam szczęście.

– Zatem znikam – powiedziała Andy. – Proszę zawołać, gdyby mnie pan potrzebował.

– Cześć, Robbie – powiedział Marcus, wstając, gdy jego przyjaciel podchodził do stolika. Roześmiał się, gdy tamten chciał zsalutować, powstrzymał go machnięciem ręki i uściśnił sobie dłonie. Zauważył, że mimo to Robert nie usiadł pierwszy, z szacunku dla wyższego rangą oficera.

Robert Englise zawsze był jednym z tych, którzy wszystko robią jak należy. Był najlepszym przyjacielem Marcusa w szkole wojskowej, do której zapisali się w wieku szesnastu lat, i przez pierwsze dwa lata większość czasu spędzili w swoim towarzystwie. Już wtedy było widoczne głębokie oddanie Roberta dla armii, a Marcus próbował brać z niego przykład.

Pożar posiadłości d'Ivoire'ów, w którym zginęli rodzice Marcusa i jego czteroletnia siostra Ellie, powoli ich rozdzielił. Teraz Marcus wiedział, że jego rodzina została zamordowana, a dom podpalony przez sługusów Ostatniego Diuka, ale wówczas wierzył, że był to tragiczny i głupi wypadek, w wyniku którego coraz bardziej pogrążał się w depresji. Odwrócił się od Roberta i innych przyjaciół i tylko interwencja Adrechta Rostona powstrzymała go przed opuszczeniem szkoły.

Później, chociaż pozostali przyjaciółmi, Marcus stopniowo oddalił się od prostolinijnego Roberta, skłaniając się ku nieco wygodniejszemu stylowi życia Adrechta. Wojna Książąt rozdzieliła ich zupełnie: gdy Marcus był w samym centrum wydarzeń i przydzielony do

taborów widział chaos, jaki zapanował po klęsce pod Vansfeldt, Robert został oficerem prestiżowego pułku, gdzie czekał go szybki awans. Kiedy po wojennej przerwie wrócili do szkoły, już nie byli sobie tak bliscy, ale nie zerwali kontaktów, dopóki Marcus nie zgłosił się na ochotnika, aby towarzyszyć Adrechtowi w Khandarze.

– Robbie – w zadumie powtórzył Robert, siadając na krześle. – Chyba nikt mnie tak nie nazywał, od kiedy skończyłem szkołę.

– Przepraszam – rzekł Marcus.

– W porządku. – Robert uśmiechnął się z dawnym błyskiem w niebieskich oczach. Ze szczupłego młodzieńca stał się postawnym mężczyzną z gęstą brodą przetykaną siwymi nitkami i zapowiedzią brzuszka. – „Kapitanie Englise” dziwnie by brzmiało w twoich ustach.

– Dopóki nie będziesz tytułował mnie pułkownikiem – rzekł Marcus. – Wystarczy, że Adrecht zwracał się do mnie służbowo przez te wszystkie lata.

– Spróbuję się powstrzymać. – Robert się uśmiechnął. – Zawsze mówiliśmy, że daleko zajdziesz. Kiedy wyruszyłeś do Khandaru, mawialiśmy z chłopakami, że nie przypuszczaliśmy, że potraktujesz to dosłownie. – Robert zerknął na orły pułkownika na ramionach Marcusa. – Teraz wygląda na to, że jednak mieliśmy rację.

Marcus szukał na twarzy starego przyjaciela śladu zazdrości. W dawnej królewskiej armii stopień kapitana był najwyższym, na jaki mógł mieć nadzieję absolwent szkoły wojskowej bez szlacheckiego pochodzenia. Patenty pułkowników były zarezerwowane dla potomków starych rodów. Zwykli żartować, że pułkownik ma dobrze wyglądać, prowadząc paradę, a kapitanowie mają wszystko za niego robić. Niewątpliwie w wielu jednostkach tak było, gdyż we współczesnej armii ten system zawsze był kompromisem pomiędzy tradycją szlacheckiego dowodzenia a zapotrzebowaniem na dobrze wyszkolonych oficerów.

Teraz Marcus dzięki Janusowi bet Vhalnichowi awansował wyżej, niż niegdyś mógł się spodziewać, a tradycje królewskiej armii w znacznej mierze zostały zlikwidowane. Nowe ochotnicze bataliony same wybierały swoich oficerów, mianując dowódcami ludzi, których stopa nigdy nie stanęła w szkole wojskowej. Nie mówiąc już o Ihernglassie i jego batalionie kobiet! Pośród tych wszystkich zmian Robert robił karierę w bastionie tradycji, w samym Ministerstwie Wojny. W miarę jak pułkownicy odchodzili na front, systematycznie awansował, aż został najstarszym stopniem wojskowym podwładnym samego Giles’a Durenne’a, nowego ministra wojny.

Nie jest zazdrosny, zdecydował Marcus, albo bardzo dobrze to ukrywa. To dobrze. Nie wiedział, czego oczekiwać, kiedy poprosił Roberta o spotkanie.

– Czy to, co pijesz, to kawa? – zapytał Robert, podnosząc rękę, żeby przywołać kelnera.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewny – odparł Marcus, odsuwając filiżankę i krzywiąc się.

– Zatem wino.

Pora wydawała się nieco na to za wczesna, ale Marcus pozwolił mu zamówić dwa kieliszki. Gdy je przyniesiono, Robert wznosił toast.

– Za Adrechta – powiedział. – Zasłużył na coś lepszego.

– Za Adrechta – mruknął Marcus. Jego dawny przyjaciel istotnie zasłużył na coś lepszego. Khandarska kampania wykończyła go, kosztowała go utratę ręki, a w końcu doprowadziła do buntu i zdrady. Jego bielejące kości leżały gdzieś na ruchomych piaskach Wielkiej Desol. Marcus upił łyk wina i odstawił kieliszek, czując się niezręcznie.

– Zatem, co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Robert. – Zakładam, że nie jest to nagła chęć odnowienia kontaktów ze starymi przyjaciółmi ze szkoły.

– Cóż... – Marcus zawahał się, a Robert głośno się roześmiał.

– Och, po prostu to powiedz – rzekł. – Robisz zeza, gdy próbujesz być delikatny. Chcesz jakiejś przysługi.

– Coś w tym rodzaju. – Marcus pokręcił głową. – Przykro mi, że musiałem z tym do ciebie przyjść.

– Nie przejmuj się – odparł Robert. – Jestem przyzwyczajony. Od kiedy pracuję w ministerstwie, nie uwierzysz, ilu dawnych kolegów ze szkoły nagle przypomniało sobie, że byliśmy kumplami, i przychodzi z prośbą o zaopatrzenie.

Powiedział to z uśmiechem, ale i tak Marcus poczuł się lekko dotknięty.

– To nie tego rodzaju przysługa. – Marcus zawahał się, ale nie miał innego wyjścia, musiał to powiedzieć. – Wiesz, że pracuję dla generała Vhalnicha.

– Tak słyszałem. Mówią, że jesteś jego prawą ręką.

– To może lekka przesada. – Gdybym był jego prawą ręką, oczekiwałbym, że będzie mi więcej mówił o tym, co się dzieje. – Jednak ma do mnie zaufanie i jestem jego przedstawicielem w stolicy. Po próbie zamachu na jej życie królowa poprosiła generała Vhalnicha o przeprowadzenie śledztwa. Ja kierowałem tym dochodzeniem.

– Interesujące. Zrozumiałem, że według ustaleń Dyrektoriatu i Gwardii Patriotycznej bombę podłożyli borelgajscy szpiedzy.

– Królowa ma powody uważać, że byli w to zamieszani członkowie Gwardii Patriotycznej. Pomyślała, że najlepiej będzie przeprowadzić niezależne śledztwo.

– Rozumiem. – Robert uśmiechnął się krzywo. – Odkryłeś coś, inaczej nie byłoby cię tutaj.

– Owszem. – Marcus przełknął ślinę i dał nura w głęboką wodę. – Uważam, że za zamach jest odpowiedzialny przewodniczący Dyrektoriatu.

Robert zamrugnął, ale poza tym nie okazał innych oznak zdziwienia. Przez długą chwilę w milczeniu spoglądał na Marcusa, a potem pociągnął łyk wina.

– Wybierasz sobie trudne cele, nieprawdaż?

– Wierz mi, wolałbym nie być w to zamieszany – rzekł Marcus. – Nie mogę jednak ignorować prawdy.

– Masz dowód?

– Tylko... poszlaki, na razie – odparł Marcus. – Jednak zlokalizowaliśmy miejsce wykorzystywane przez spiskowców jako baza. Mogą tam być notatki, dokumenty, listy, tego rodzaju rzeczy.

– Zaczynam rozumieć, w czym rzecz – powiedział Robert. – Nie możesz poprosić Gwardii Patriotycznej, żeby to sprawdziła.

– Nie. I nie mam upoważnień, żeby zrobić to samemu. – Raesinia paliła się do samodzielnego przeprowadzenia śledztwa, ale Marcus przekonał ją, żeby pozwoliła mu spróbować przeprowadzić to właściwymi kanałami. Muszę spróbować. – Po rozwiązaniu Straży ministerstwo jest jedyną agendą mogącą zbadać tę sprawę.

– Jeśli jest w to zamieszany Dyrektoriat, to skąd wiesz, że możesz ufać ministerstwu?

Marcus skrzywił się.

– Minister Durenne jest przywódcą politycznej opozycji przewodniczącego Dyrektoriatu

Mauriska. Niepodobna, żeby był zamieszany w ten spisek. A ponadto... – Potrząsnął głową. – Nie mam zaufania do ministerstwa, ale mam zaufanie do ciebie, Robercie. Wiem, że jeśli to jest spisek, ty nigdy nie brałbyś w nim udziału.

– Jestem zaszczycony – odparł sucho Robert. – Mogłem się zmienić od szkolnych czasów, wiesz.

– Wszyscy się zmieniliśmy – rzekł Marcus. – Jednak nie aż tak.

Robert opróżnił kieliszek i postawił go na stole. W zadumie przesuwiał palcem po jego brzegu i milczał przez długą chwilę.

– To mnie stawia w piekielnie trudnej sytuacji, wiesz – rzekł w końcu.

– Rozumiem to – powiedział Marcus. – Nie robiłbym tego, gdybym miał jakieś inne wyjście.

– Wiem. – Robert uśmiechnął się słabo. – Jak mówisz, ludzie się zmieniają, ale nie aż tak. Ten Marcus d'Ivoire, którego znałem, nie postawiłby przyjaciela w takiej sytuacji, jeśli nie byłby pewny, że wymaga tego obowiązek.

Przez moment Marcus zobaczył twarz Adrechta, wystraszoną i błagalną. Nic nie powiedział.

– I proszę, wierz mi – ciągnął Robert – kiedy mówię, że wciąż jesteś moim przyjacielem. Chciałbym, żebyśmy się spotkali w przyjemniejszych okolicznościach.

– Ja również.

– Zatem przyjmij to jako przyjacielską radę, kiedy mówię ci, że najlepiej zrobisz, jeśli natychmiast zostawisz tę sprawę w spokoju i nigdy nikomu o tym nie powiesz.

Znów zapadła niezręczna cisza.

– Minister... – zaczął Marcus.

– Minister nie ma takiej władzy, jaką mu się przypisuje – rzekł Robert. – Jest przywódcą partii radykałów, lecz ci nie są zjednoczeni, a ponadto konserwatyści obecnie rosną w siłę. Załóżmy, że pójde z tym do niego. Załóżmy, przez chwilę, że on ci uwierzy. Co wtedy? Poprosisz go, żeby zaryzykował wszystko, nawet życie, w jednym posunięciu, w nadziei obalenia Mauriska. Gdyby nie zdołał przekonać Zjazdu Generalnego, że te oskarżenia są prawdziwe, Maurisk jeszcze przed świtem posłałby go na Kolec i kto wie, ilu jeszcze razem z nim.

– Sądzisz, że Durenne nie zaryzykowałby? – spytał Marcus.

– Jestem pewny, że nie. Durenne nie lubi Mauriska i jestem pewny, że z przyjemnością ujrzałby klęskę Dyrektoriatu, ale przede wszystkim chodzi mu o zachowanie obecnego stanowiska. Zachowanie równowagi pomiędzy żądaniami radykałów i rozkazami Dyrektoriatu i tak jest trudne, nawet bez wywoływania kryzysu. Gdybym przyszedł do niego z tym, zapytałby mnie, gdzie to słyszałem, a gdybym mu to wyjawiał, on poszedłby z tym do Mauriska, żeby utrzymać pokój. Wtedy to w twoich drzwiach stanęliby pewnego ranka gwardziści.

Marcus pokręcił głową.

– Gdybyśmy mieli dowód, że Maurisk próbował zabić królową...

– Powiedzieliby, że dowód został sfabrykowany – rzekł Robert. – Konserwatyści uwierzyliby mu, radykałowie nie i wrzeszczeliby na siebie dwukrotnie głośniejszym głosem niż dotychczas. – Wzruszył ramionami. – Gdybyś przedstawił dowód bezpośrednio deputowanym, niektórzy z nich mogliby cię wysłuchać. Jednak Durenne pierwszy zamiótłby sprawę pod dywan i nie wiem, czy nie miałby racji. Czy pomyślałeś, jakie skutki miałby teraz taki kryzys dla kraju? Sytuacja na froncie i tak jest zła.

– To co powinienem zrobić?
– Spełnić swój obowiązek, oczywiście. Służyć swojemu krajowi, królowej i ludowi. – Robert uśmiechnął się krzywo. – To nigdy nie jest takie oczywiste, jak przedstawiali to w szkole, prawda?

Kiedy Robert odszedł, zostawiając kilka monet zapłaty za wino, Andy wróciła i usiadła na opuszczonym przez niego krześle.

– Co się stało? – spytała. – Nie wygląda pan na zadowolonego.

– Nie chciał słuchać. – Marcus zacisnął dłonie.

– Nie uwierzył panu?

– Nie wiem, czy uwierzył mi czy nie. To jednak nieważne. Ministerstwo nam nie pomoże.

– Ale... – Andy potrząsnęła głową zaskoczona. – I co teraz zrobimy?

Spełnimy nasz obowiązek.

– To, co Raesinia chciała zrobić od początku. Pójdziemy do tego magazynu i sami sprawdzimy. – Marcus zgrzytnął zębami. – Wszyscy deputowani nie mogą być tak tchórzliwi jak Durenne. Kiedy napiszemy o tym w gazetkach, będą musieli coś z tym zrobić, czy tego chcą czy nie.

Raesinia

Ostatnio Raesinia spędzała więcej czasu w kościele pani Feldy niż w Bliźniaczych Wieżyczkach. Powiedziała Marcusowi, że musi konsultować się z Corą, lecz tak naprawdę bardziej przeszkadzała, niż pomagała dziewczynie przedrzeć się przez pajęczynę lipnych zamówień i brakujących dokumentów dotyczących brakującego prochu. Dość łatwo było prześledzić jego drogę do magazynu, ale ustalenie, gdzie się później podział, okazało się trudniejsze. Cora wciąż miała nadzieję znaleźć w księgach trop, który doprowadzi ich do podejrzanym, ale Raesinia nie była taką optymistką.

Musimy tam pójść i zobaczyć, co ukrywają. Marcus chciał to zrobić zgodnie z przepisami, co oznaczało próbę przekonania armii do przeprowadzenia śledztwa. Raesinia w tej kwestii też nie była optymistką. *Durenne byłby głupcem, dążąc do konfrontacji, jeśli nie chce skończyć na Kolcu. Przypieranie Mauriska do muru jest zbyt niebezpieczne.* Jednak Marcus nie dał sobie tego wyperswadować. *Jego naiwność bywa słodka, kiedy nie jest tak denerwująca.*

Tak więc kiedy pułkownik czekał na spotkanie z przyjacielem z ministerstwa, Raesinia się niecierpliwiła. Poszła do pani Feldy, ponieważ tam było coś do zrobienia, natomiast w Bliźniaczych Wieżyczkach miała tylko czujne milczenie mierantajskich strażników oraz kufer książek, które już przeczytała. Dziś eskortowali ją porucznik Uhlan i Hayver, obaj w cywilnych ubraniach i uzbrojeni w pałki.

Pani Felda znalazła im robotę, jak dla każdego, kto wydawał się choć trochę beczynny. Raesinia nie była pewna, czy ona wie, że oni są żołnierzami, ale to nie miałyby znaczenia; była przekonana, że pani Felda kazałaby jej składać pranie lub mieszać w garnkach, nawet gdyby wiedziała, że Raesinia jest królową Vordanu. Obecnie porucznik Uhlan prznosił ciężkie worki z prowiantem od tylnych drzwi do piwnicy, a Hayver zszywał podarte ubrania. Okazało się, że chłopak dobrze posługuje się igłą i nitką.

Raesinia kroїła warzywa do przepastnych kotłów z zupą, która była fundamentem posiłków u pani Feldy. Dieta oparta głównie na chlebie i polewce była monotonna, ale uchodźcy rzadko

narzekali. Codziennie przynoszono nowe opowieści o kolejnych okrucieństwach popełnianych na cudzoziemcach lub innych niepożądanych osobach w imię narodowego bezpieczeństwa. Co wieczór pani Felda organizowała zbiorowe modły za tych, których Marcus już wyprawił z dostawami dla armii Wschód, odmawiane zarówno przez wyznawców Wolnego Kościoła, jak i Kościoła Zaprzysiężenia.

Obok Raesinii przy kuchennym stole stała wysoka, poważna młoda kobieta, którą Marcus przyprowadził z uniwersytetu. Atakowała stos ziemniaków, jakby wyrządziły jej jakąś osobistą krzywdę, długim nożem siekając je na nierówne kawałki. Raesinia nieznacznie przesunęła się poza zasięg lecących na wszystkie strony kawałków.

– Verdoht! – powiedziała kobieta, co zabrzmiało jak przekleństwo. Nóż brzęknął, odbijając się od podłogi, a kobieta ścisnęła dłoń drugą ręką. Krew płynęła jej między palcami.

– Wszystko w porządku? – spytała Raesinia, starając się wyraźnie wymawiać słowa. Nie rozpoznała języka, w którym zakłęła dziewczyna, ale brzmiał jak jeden ze wschodnich. Większość uciekinierów przynajmniej trochę mówiła po vordanajsku, lecz opanowała go w bardzo różnym stopniu.

– Nie, nie w porządku – odparła kobieta, krótko i wyraźnie. – Przegrywam potyczkę z folgaht ziemniakiem. Wątpię, czy kiedyś odzyskam honor.

Raesinia mimo woli się uśmiechnęła.

– Nie mogę pomóc twojemu honorowi. A co z ręką?

– Moja ręka nie krwawi za bardzo. – Kobieta otarła dłoń o spodnie, nie zważając, że pozostawia na nich plamę krwi, po czym spojrzała na rozcięty palec wskazujący. – Chyba przeżyję.

– Trzeba to owiązać – orzekła Raesinia. – Wątpię, czy panią Feldę ucieszy krew jako dodatkowy składnik jej zupy.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Może dzięki temu byłaby smaczniejsza.

Pani Felda trzymała pod ręką pasy czystego lnu na bandażu, co było niezbędnym środkiem ostrożności przy tyłu kręcących się wszędzie dzieciach. Raesinia wzięła jeden, zamoczyła go we wrzącej w kotle wodzie i dała znak kobiecie, żeby wyciągnęła rękę. Ta zacisnęła zęby i syknęła, kiedy Raesinia bandażowała jej palec, ale poza tym nie narzekała przy owijaniu rany i zawiązywaniu opatrunku.

– Gotowe – powiedziała Raesinia. – Możesz zginać palec?

Kobieta spróbowała, skrzywiła się i skinęła głową.

– Co się stało z tym nożem?

– Chyba wciąż tam jest.

Kobieta wskazała miejsce i zaczęły szukać pod stołem, aż go znalazły, jeszcze z plamami krwi. Raesinia sprawdziła palcem jego ostrze i odkryła, że jest tępe.

– Nic dziwnego. Trzeba go naostrzyć. Wiesz jak?

– Nie – odparła kobieta. – Po raz pierwszy pracuję w kuchni.

– Chodź. W spiżarni jest osełka.

– Dziękuję ci... ee...

– Raesinia. Raes, jeśli wolisz.

Kobieta kiwnęła głową i poszła za Raesinią.

– Ja jestem Viera.

Spizarnia była przylegającym do głównej sali małym pomieszczeniem, którego kościelna funkcja dawno została zapomniana. Nie miała okien, a na rzędach półek znajdowała się żywność nieznosząca długiego przechowywania. Raesinia pamiętała, że jest tam także miska i oselka. Wyjęła je i zademonstrowała długie, lekkie pociągnięcia ostrzące nóż, a potem pozwoliła spróbować Vierze.

– Przyszłaś tu z uniwersytetu, tak? – spytała Raesinia, gdy zgrzyt metalu o kamień przeszedł w miarowy rytm.

– Tak – odrzekła Viera. – Pułkownik Marcus był tak miły, że przyszedł po nas, gdy tłum chciał nas posłać na Kolec.

– Długo tam byłaś?

– Niedługo. Przybyłam tu po rewolucji.

– Co studiowałaś?

Viera uśmiechnęła się lekko.

– Sztukę artyleryjską. U kapitana Vahkersona.

– To... niezwykle, nieprawdaż? Dla kobiety.

– Wcześniej studiowałam u pewnego alchemika w Hamvelt. Uważał, że przyjmowanie dziewczyny na czeladnika jest poniżej jego godności, ale mój ojciec hojnie mu zapłacił. Niestety, udało mi się spalić większą część jego laboratorium, więc kiedy u was wybuchła rewolucja, moja dalsza edukacja stała pod znakiem zapytania. Kiedy usłyszałam, co się tu dzieje, postanowiłam przyjechać.

Raesinia pokiwała głową ze współczuciem.

– I zapewne przekonałaś się, że nie wszystko wygląda tak pięknie. Wolność, równość i tak dalej.

– Filozofia i bzdury – powiedziała Viera tonem sugerującym, że są to synonimy. – Przybyłam tu, bo słyszałam, że waszym kobietom pozwala się walczyć. Pod Midvale, a teraz w armii Wschód.

– Walczyć? – zdziwiła się Raesinia. – Dlaczego chcesz walczyć, jeśli nie obchodzi cię rewolucja?

– Ponieważ uwielbiam patrzeć na wybuchy – beznamiętnie oznajmiła Viera. Po raz ostatni przeciągnęła nożem po kamieniu i popatrzyła nań, podziwiając swoje rękodzieło. – Mój ojciec uważa, że to chore, takie upodobanie, ale po rezygnacji czwartego z kolei gubernera zaczął mnie wysyłać na naukę do alchemików w nadziei, że przynajmniej nauczę się to robić bezpiecznie. Byłam zadowolona, mogąc studiować u kapitana Vahkersona.

– Och... Co będziesz robiła po powrocie do domu?

– Pewnie znów zacznę. – Viera wzruszyła ramionami. – Jednak mój dom jest w Vheed, a to bardzo daleko stąd, szczególnie podczas wojny. Tak więc na razie jakoś będę sobie radzić. Nie wiesz, czy są jakieś wieści o kapitanie Vahkersonie?

Raesinia pokręciła głową.

– Nic nie słyszałam.

– Szkoda. – Viera przyjrzała się jej z zaciekawieniem. – A ty? Pracujesz u pułkownika Marcusa?

– Eee... tak. – Raesinia w ostatniej chwili przypomniała sobie o swojej przykrywce. Robię

się nieostrożna. – Przeważnie jako kurier. Nie zostało tu wielu żołnierzy, więc zatrudnił kilku cywilów.

– Dobrze go znasz?

– Chyba trochę.

– Ma żonę?

Raesinia zaprzeczyła.

– Większość swojej zawodowej kariery spędził w Khandarze.

– Hmm. Myślisz, że byłby skłonny znaleźć sobie żonę?

– Naprawdę nie mam pojęcia – powiedziała Raesinia, lekko się rumieniąc. – Dlaczego pytasz, zamierzasz za niego wyjść?

– Myślałam o tym. W końcu uratował mi życie, więc powinnam za nim szaleć. – Wzruszyła ramionami. – To miły mężczyzna o ładnej figurze i myślę, że ojciec zaakceptowałby pułkownika jako zięcia. Przynajmniej byłby spokój z zalotnikami. Co o tym myślisz?

– Myślę – odpowiedziała Raesinia – że mamy jeszcze dużo ziemniaków do pokrojenia.

– Musi być jakiś szybszy sposób – zauważyła Viera, gdy wracały do stołu. – Gdyby przymocować je na zewnątrz jakiejś komory z ładunkiem wybuchowym i dokładnie odmierzyć ilość prochu...

– Raes! – Cora czekała przy stercie ziemniaków i gwałtownie pomachała rękami. – Tu jesteś. Pułkownik cię szuka!

– Obowiązek wzywa – powiedziała Raesinia do Viery. – Postaraj się pokroić te ziemniaki, a nie rozerwać je na strzępy.

– Przesiąkłyby zapachem prochu – prychnęła Viera. – Muszę wymyślić lepszy sposób.

– Czy wiesz, co się stało? – Raesinia zapytała Corę.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Jednak na pewno nic dobrego. Wygląda na wściekłego.

Raesinia westchnęła. Nie powinien był się fatygować. Jednak nie można było temu zaradzić. Czasem musisz walnąć głową w mur, żeby go zobaczyć.

Marcus, Andy, Hayver i porucznik Uhlan zebrali się w zacisznym kącie za stertą ksiąg Cory. Marcus i Uhlan prowadzili cichą rozmowę, a dwoje szeregowców spoglądało na to z niepokojem. Marcus spojrzał na nadchodzącą Raesinię, a ona przystanęła na moment.

Miły mężczyzna o ładnej figurze. Chyba tak.

– Raes? – zapytał. – Czy coś się stało?

– Nie. – Potrząsnęła głową i weszła w ten mały krąg. – Zatem jaki mamy plan?

Dwanaście

Winter

Bardzo chętnie współpracujemy z Vordanajami – skłamał przedsiębiorca. – A zaproponowane przez waszego generała warunki są więcej niż uczciwe.

– Więcej niż uczciwe – potwierdził jego gruby towarzysz. – Nikt nie powie złego słowa o generale Janusie.

Błędnie wymówił imię Vhalnicha, mówiąc „ja-nuus” zamiast „ya-nus”.

– To kwatermistrze – ciągnął przedsiębiorca. – Od wielu dni obiecują nam zapłatę, a teraz mówią, że ją uścili. Tylko co my mamy z tym zrobić?

Winter spojrzała na papier, który pokazywał jej ten człowiek. Dokument na grubym pergaminie z licznymi złoceniami głosił, że jest to wystawiony przez skarb vordanajskiego państwa i Zjazd Generalny weksel na sumę sześciu tysięcy pięciuset koron, płatnych nie później niż sześć miesięcy po zakończeniu „obecnych wrogich działań”.

– Ja też taki dostałem – rzekł gruby kupiec. – Dostarczyłem sześć wozów uprzęży i czterysta uzd, a oni dali mi kawałek papieru z pieczętą.

– Jestem pewny, że vordanajskie Ministerstwo Skarbu będzie honorowało te weksle po zakończeniu wojny – powiedziała Winter, chociaż w rzeczywistości nie była niczego takiego pewna. Finanse, poza tymi brzęczącymi w kieszeni, zawsze były dla niej czymś niejasnym i tajemniczym.

– A co ja mam robić do tego czasu? – pytał przedsiębiorca. – Pokroić ten papier na kawałki i karmić nimi moją rodzinę?

Winter poprawiła się w fotelu i spojrzała na Cyte, rozpaczliwie szukając pomocy. Była studentka zřęcznie przyszła jej w sukurs.

– Proponuję, żebyście poszli z tym do banku – powiedziała. – Jestem pewna, że z przyjemnością zamienią te weksle na brzęczącą monetę za rozsądną prowizję.

– Próbowałem to zrobić – rzekł grubas – i kazali mi wsadzić sobie ten weksel tam, gdzie słońce nie dochodzi. – Zerknął na Cyte i dodał: – Proszę o wybaczenie, panienko.

– Poruczniku – zwróciła się do niej Winter – zechcesz jutro rano odwiedzić Złoty Zaulek i zapewnić miejscowych finansistów o absolutnej uczciwości rządu Jej Królewskiej Mości. Na pewno, jeśli wyjaśnisz im sytuację, z przyjemnością pomogą tym dżentelmenom. – Winter popatrzyła na obu. – Czy tak będzie dobrze?

Przedsiębiorca podrapał się po policzku i skinął głową. Kupiec wyglądał na niezadowolonego, ale odwrócił się i wyszedł ze swoim towarzyszem, a Winter tylko tego chciała. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Cyte posłała jej łobuzerski uśmiech.

– Zaczynasz wczuwać się w swoją rolę. Rozumiem, że mam zawiadomić tych bankierów, co się z nimi stanie, jeśli nie posłuchają.

– Najuprzejmiej, jak potrafisz – rzekła Winter.

Cyte skinęła głową.

– Powinnaś jednak wiedzieć, że nie możemy tego robić w nieskończoność. To zwyczajna grabież, tylko w białych rękawiczkach.

– Bez gwałtów i mordów – dodała Winter.

– To pewien postęp – przyznała Cyte. – Ale już nie gromadzimy w mieście tyle żywności, ile nam potrzeba. Kupcy nie będą jej przywozić, jeśli się zorientują, że płacimy tylko weksłami. Szlachta już wywozi wszystko, co może, na wieś, a bankierzy wkrótce wezmą z niej przykład.

– Nasze straże przy bramie będą musiały zacząć przeszukiwać każdy wyjeżdżający wózek i wóz – powiedziała Winter. – Nie chcę, żeby choć uncja złota czy funt żywności opuściły miasto, jeśli możemy temu zapobiec. Każdy, kto tego spróbuje, straci prawo własności.

– To może zostać źle przyjęte.

– Dopóki kwatermistrze rekwirują wszystko, co zobaczą, nie mamy wyjścia.

Ministerstwo Wojny najwidoczniej traktowało Desland jako magazyn do splądrowania, nie zważając na to, że jego mieszkańcy poddali się bez walki i w większości sympatyzowali ze zdobywcami.

– Wiem. – Cyte westchnęła. – Miejmy nadzieję, że Janus niedługo nas wezwie.

– Zabawne, jak marsz na pole bitwy i pod kule wydaje się lepszy niż...

Przerwał im jakiś okrzyk przed drzwiami. Winter usłyszała głos Bobby każącej komuś się uspokoić, lecz niemal zagłuszony przez podniesiony głos z wyraźnym hamveltajskim akcentem.

– Dość tego! Czekam już godzinę i kwadrans i nie będę czekał ani chwili dłużej. Natychmiast otwórzcie te drzwi, albo...

– Bobby! – zawołała Winter. – Kto przyszedł?

Zapadła cisza.

– To baron di Wallach, panie pułkownika – odpowiedziała po chwili Bobby. – Z żoną. Mówi, że to ważne.

– Ważne! – prychnął ktoś, zapewne baron. – Powiedziałbym, że...

– Wpuść go – poleciła Winter. – Ja... spodziewałem się go.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł wysoki, chudy mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie nieskazitelny strój, który musiał być ostatnim krzykiem hamveltajskiej mody – wysokie buty z wywiniętymi cholewami, szare obcisłe spodnie, długi spięty pasem surdut i lekki wełniany płaszcz oraz kapelusz z szerokim rondem podwiniętym z obu stron i zwieńczonym pękiem długich białych piór. Za nim szła pulchna kobieta spowita w tyle warstw atłasu i koronek, że trudno było dostrzec kontury jej ciała. Miała mocno podmalowane oczy, ale tusz spływał jej strużkami po policzkach, jakby płakała.

– Panie.

Winter wstała i ukloniła się. Di Wallach spojrzał na nią jak na karalucha łażącego po stole podczas wystawnego przyjęcia.

– Pan jest pułkownikiem Ihernglassem? – zapytał dobrym vordanajskim, choć z akcentem.

– Owszem.

– Zatem to pana zbójce porwali moją córkę i żądam jej natychmiastowego wydania. I przysięgam, że jeśli tknęli ją choć palcem...

Baronowa di Wallach zalała się łzami na samą wzmiankę o takiej możliwości, kryjąc twarz w dłoniach i głośno szlochając. Winter powstrzymała chęć poklepania jej po ramieniu i zaproponowania chusteczki, podejrzewając, że zostałoby to źle przyjęte, i usiadła za biurkiem, co najwyraźniej jeszcze bardziej rozjuszyło i tak bliskiego apopleksji barona.

– Chodzi o Anne-Marie Gertrude di Wallach, rozumiem? – zapytała.

– Oczywiście – rzekł baron. – Macie tu inne córki szlacheckich rodów zamknięte w waszych lochach?

– Nikogo nie trzymamy zamkniętego w lochu, lecz w chwili obecnej w naszym pułku są co najmniej trzy szlachcianki. Przyszły do nas z własnej nieprzymuszonej woli i same się zaciągnęły.

– To najśmieszniejsza rzecz, jaką słyszałem – powiedział di Wallach. – Wystarczy już, że wasza armia pozwala prostytutkom przebierać się za żołnierzy, ale werbowanie szlachcianek przekracza wszelkie granice. Przecież możecie korzystać z usług dziewczyn z burdeli po drugiej stronie rzeki, tak jak wszyscy. Nigdy nie uwierzę, że moja Anne-Marie...

– Mamy ją zapytać? – zaproponowała Winter. Zwróciła się do Cyte. – Poślij kogoś po szeregową di Wallach, dobrze?

Cyte skinęła głową i wymknęła się z pokoju, zostawiając Winter samą z rodzicami Anne-Marie. Baron był wyraźnie nieswój.

– Moja córka ma dopiero dziewiętnaście lat – powiedział – i od czasu do czasu skłonność do kobiecych kaprysów. Cokolwiek myśli, że chce, mam prawo ją powstrzymać. Jestem jej ojcem i nie może opuszczać domu bez mojego pozwolenia.

– Zdaje się, że właśnie to zrobiła.

– I dlatego musi ją pan zwrócić.

Winter pozwoliła sobie na słaby uśmiech. Miło było, dla odmiany, trzymać wszystkie atuty.

– Obawiam się, że nie widzę tego w taki sposób.

– Prawo jest po mojej stronie i pan o tym wie.

– Właściwie, panie, ponieważ wasze miasto poddało się vordanajskiej armii, a ja przypadkiem jestem jej wysokiej rangi oficerem, sądzę, że przekona się pan, iż prawem jest to, co ja powiem. – Zobaczyła, że drzwi za plecami barona znów się otwierają. Anne-Marie i Cyte stanęły w progu, a Winter podniosła głos. – Pozwoli pan, że wyrażę się zupełnie jasno. Nie będę tu przetrzymywać żadnych hamveltajskich obywateli bez ich zgody. Jednakże jeśli wstąpili w szeregi tego pułku, nie zostaną zwolnieni, dopóki nie uznam tego za konieczne. Zrozumiano?

– Czego pan chce? – spytał baron. – Pieniądzy? Ile jest dla pana warta moja mała dziewczynka? Tysiąc suwerenów?

– Nie chodzi o pieniądze. Vordanajska armia bardziej potrzebuje żołnierzy niż pieniędzy.

Winter musiała przyznać, że to niezupełnie jest prawdą, ale ładnie brzmi.

– To jeszcze mała dziewczynka – powiedziała baronowa di Wallach, na moment przestając łkać. Miała rozmazany makijaż i czerwony nos. – Rzadko nawet opuszczała naszą posiadłość! Nie możecie oczekiwać, że będzie maszerowała w pyle i spała w obozie ze zgrają mężczyzn. Jeden Bóg wie, co już się jej przydarzyło!

– Czy braliście pod uwagę, że może jednym z jej pragnień było opuszczenie waszej posiadłości?

– Przecież może zostać ranna! Ludzie giną w bitwach.

Zapadła cisza.

– Bardzo wielu ludzi zostaje rannych w bitwach – powiedziała Winter. – Niektórzy moi przyjaciele zginęli. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, ja też mogłem zginąć. Każdy z nich miał rodzinę, która wolałaby, żeby ktoś inny zapłacił taką cenę.

– Ale to moja mała dziewczynka – załkała baronowa. – Nie możecie...

Patrząc w załzawione oczy tej kobiety, Winter niemal zmiękła. Na szczęście wtrącił się jej mąż.

– Kiedy banda wieśniaków daje się zabijać, to jedno – rzekł. – Gdy córka ze szlacheckiej rodziny naraża się na niebezpieczeństwo, to zupełnie co innego.

– Panie. – Winter zacisnęła zęby. – Walczyłem zarówno u boku, jak i przeciwko synom szlacheckich rodzin i zapewniam pana, że umierają tak samo jak wszyscy. To samo dotyczy córek. – Przeniosła wzrok. – Poruczniku, czy znalazłeś tego żołnierza?

Cyte stała teraz sama w drzwiach.

– Tak jest, panie pułkowniku. Oznajmiła, że nie chce rozmawiać z gośćmi.

– Porozmawia ze mną, na Boga, albo...

Winter przerwała baronowi.

– Zatem nie mamy już o czym rozmawiać. Proszę wyprowadzić naszych gości.

Di Wallach gwałtownie odwrócił się do Cyte.

– Ma pani tupet, mówić mi, że nie mogę porozmawiać z własną córką. Nie wyjdę z tego pokoju, dopóki...

Zamilkł. W przedsionku stało na baczność sześciu królewskich z muszkietami na ramionach. Cyte stanęła przed nimi z obojętną miną.

– Baronie? Baronowo? Zechcą państwo pójść ze mną?

Baron di Wallach zawahał się, wybierając między dumą a niechęcią doznania zniewagi, jaką byłoby wywleczenie siłą z pokoju. W końcu wyprostował się, wygładził płaszcz i wymaszerował bez słowa pożegnania. Jego żona podążyła za nim, pociągając nosem, rzuciwszy Winter ostatnie błagalne spojrzenie. Eskorta otoczyła ich i poprowadziła do wyjścia.

Cyte znów się uśmiechała.

– To również było zręczne, panie pułkowniku.

– Zechcesz powiedzieć szeregowcowi di Wallach, że chcę z nią porozmawiać, dobrze?

Cyte skinęła głową i po chwili wróciła z Anne-Marie, która najwidoczniej czekała w pobliżu. Przez te kilka dni w wyglądzie dziewczyny zaszły duże zmiany. Włosy miała nieudolnie obcięte i fale złocistych loków zastąpiła zmierzwiona strzecha, sukienkę zaś i pantofelki – porządne skórzane buty oraz niebieskie spodnie i kurtka vordanajskiej armii. Mundury zamówione przez Winter dla Pierwszego Dziewczęcego dostarczono zaledwie poprzedniego dnia i zgodnie z jej przewidywaniami doskonale podniosły morale.

Błada skóra Anne-Marie była zaczerwieniona od słońca, a dłonie popękane i w pęcherzach. Abby i jej sierżanci dawali jej wycisk, tak jak wszystkim innym nowym rekrutom, ale ku lekkiemu zdziwieniu Winter dziewczyna zniosła wszystkie te udręki. Jej przyjaciółki, kolejne dziewczęta należące do elity deslandzkiego społeczeństwa, również, tak jak kilkadziesiąt innych, nie tak wysoko urodzonych. Jak przewidziała Winter, wieść się szybko rozniosła.

– Panie pułkowniku! – powiedziała Anne-Marie, wzorowo salutując.

– Nie chciałaś rozmawiać z rodzicami?

– Nie, panie pułkowniku – odparła. Jej vordanajski wciąż kulał. – Już pan powiedział... wszystko, co chciałam powiedzieć.

– Miło mi to słyszeć.

– Ciężko było patrzeć na mamę – powiedziała dziewczyna. – Myślałam, że mnie nie lubi. Widzieć, jak płacze...

Potrząsnęła głową.

Winter powstrzymała chęć powiedzenia Anne-Marie, żeby pobiegła za matką, uściskała ją i wróciła do domu. To nie mój wybór. Nawet jeśli tę dziewczynę czekała tylko kula z muszkietu na jakimś błotnistym polu bitwy, do niej należał wybór, czy tam pójść czy nie.

– A więc dobrze sobie radzisz, tak? – trochę niezręcznie spytała Winter.

– Praca jest ciężka – odpowiedziała Anne-Marie. – Ale trzymam się. Uczę się lepiej mówić i żartować po vordanajsku.

– To dobrze. – Winter nie wątpiła, że w Pierwszym Dziewczęcym Anne-Marie w mgnieniu oka nauczy się kłąć i opowiadać pieprzne kawały jak rodowita Vordanajka. – Zatem to wszystko.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Anne-Marie zasalutowała i wyszła, a Cyte wróciła.

– Dałabyś wiarę? – zapytała ją Winter, ruchem głowy pokazując odchodzącą dziewczynę.

– Ani trochę – odrzekła Cyte. – Założę się jednak, że do końca roku będzie kapralem.

– Nie zakładam się – rzekła Winter. – Jestem skłonna przypuszczać, że wcześniej. – Zauważyła, że Cyte trzyma jakiś kawałek białego papieru, równo złożony i zapieczętowany. – Co tam masz?

– Proście, a będzie wam dane. – Cyte uśmiechnęła się. – Rozkazy od generała. Kurier czekał, kiedy poszłam po Anne-Marie.

Winter pospiesznie wyciągnęła rękę, a Cyte oddała jej pakiecik. Miał niebieską wojskową pieczęć z symbolem Ministerstwa Wojny, którą Winter złamała kciukiem. W środku był kilkakrotnie złożony prostokąt cieniutkiego papieru z mapką konturową, zapewne narysowaną osobiście przez Janusa. List miał następującą treść:

Pułkowniku Ihernglass,

Nadszedł czas, żeby Pan do nas dołączył, nieco prędzej, niż się spodziewałem. Chcę, żeby zrobił Pan wszystko, co w Pańskiej mocy, żeby przyprowadzić pułk na miejsce zaznaczone na załączonej mapie, rankiem podanego dnia. Spotka Pan tam nasze jednostki, które przekażą dalsze instrukcje.

Wiem, że to będzie trudne, ale jeszcze nigdy mnie Pan nie zawiódł. Jeśli uda się Panu wykonać to zadanie, cała armia Wschód – cały Vordan – będzie dłużnikiem Pana i Pańskich żołnierzy.

Proszę w miarę możliwości nie tracić czasu. Liczę na Pana.

J.

Winter zamrugła i pokazała list Cyte, która już rozłożyła mapkę. Porucznik cicho gwizdnęła.

– To będzie... Trudne to mało powiedziane. – Wyprostowała dwa palce, robiąc z nich cyrkiel, i zmierzyła odległość na mapie. – To prawie sto mil. Jeśli chce mieć nas tam rano i zakładając, że wyruszymy jutro, będziemy mieli cztery dni na przemarsz. I wygląda na to, że tylko połowę tego po dobrej drodze. Potem będziemy szli po bezdrożach.

Dwadzieścia pięć mil dziennie. Szybciej, niż oddziały kolonialne kiedykolwiek maszerowały w Khandarze. Mordercze tempo, nawet dla weteranów. Winter zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

– Mogłabym zatrzymać kuriera – powiedziała Cyte, jakby czytając w jej myślach. – Powiedzieć mu, że nie zdołamy tego zrobić.

– Myślisz, że zdołamy?

Cyte przechyliła głowę na bok, zastanawiając się.

– Część tak. Wozy nie zdołają dotrzymać nam kroku, więc będziemy musieli zostawić je z

tyłu. To oznacza noszenie prowiantu na plecach, co utrudnia zadanie. – Potrząsnęła głową. – Dotrzemy tam, ale nie wiem, ilu żołnierzy zostawimy po drodze. Będziemy musieli zostawiać wszystkich rannych lub wycieńczonych. I zapewne będziemy bardzo głodni po przybyciu na miejsce.

– Zejdziemy z drogi tutaj. – Winter pokazała palcem miejsce na mapie. – To niedaleko od rzeki. Przez cały czas wysyłamy rzeką dostawy, więc niektóre z nich muszą jeszcze płynąć.

– To jest myśl – pochwaliła Cyte. – Trzeba zaraz wysłać konnych posłańców, żeby zatrzymali część barek i wyładowali tyle prowiantu, ile nam potrzeba. To bardzo nam pomoże.

– Zrób to – powiedziała Winter. – Od razu. Potem zacznij opracowywać plan przemarszu.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Cyte zaczęła chwilę. – A co z wieczorną zabawą?

– Do licha.

Prawie zapomniała. Pierwszy Dziewczęcy prawie się zbuntował z powodu tego, że dziewczętom nie pozwalano wychodzić się zabawić do miasta tak jak królewskim, tak więc Winter postarała się, żeby miasto przyszło do nich – w pewnym sensie. Wozy z jedzeniem i napitkami czekały na pozwolenie wjazdu do cytadeli, gdy rozpocznie się festyn, a pełni nadziei sprzedawcy rozmaitych towarów już ustawili się w kolejce. Niezadowolonym królewskim kazano zachować abstynencję i pilnować porządku.

– Musi się odbyć – zdecydowała po chwili namysłu. – Wybuchłyby zamieszki, gdybyśmy teraz próbowali ją odwołać. Przekaż jednak wiadomość, że rano wymaszerujemy, i każ królewskim wyprowadzać każdego, kto wygląda na zbyt pijanego, żeby jutro mógł iść. I wcześniej zakończymy tę zabawę.

– Jestem za – powiedziała Cyte. – Rano nasz prowiant będzie czekał przy bramie. Zostaje tylko...

Winter westchnęła.

– Jane. Wiem.

– Moglibyśmy je tutaj zostawić.

Cyte uśmiechnęła się, sygnalizując żart, i Winter uśmiechnęła się z przymusem.

– Abby nigdy by mi nie wybaczyła. – Sama nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. – Zaraz pójdę i porozmawiam z nią. Może jeszcze nie zdążyły się upić.

Nie powinnam była zwlekać z tym tak długo. Musiała jednak zająć się tyłoma sprawami – rozgniewani dostawcy, nowi rekruci, dostawy, plany dyżurów i wart – a ponadto była pewna, że Jane w końcu sama odzyska rozsądek. Teraz, kiedy przemyślała to trzeźwo, stało się oczywiste, że to nigdy nie nastąpi. Ona nie potrafi z podkulonym ogonem wrócić do domu. Ta długotrwała hulanka była także wyzwaniem rzuconym Winter. A ja jej na to pozwoliłam.

Obecną siedzibą Skórzanych Kurtek była gospoda Złączone Obrączki, której szyldem były dwie obręcze od beczek stopione razem i optymistycznie pomazane złocistą farbą, teraz w większości złuszczonej. Nie była to najgorsza dzielnica – prawdziwe slumsy Deslandu znajdowały się na drugim, zachodnim brzegu rzeki – ale jedna z najnędzniejszych we wschodniej części miasta. Wzdłuż krętych uliczek ciągnęły się rzędy nędznych kamienic i wiele gniewnych lub wyzywających spojrzeń odprowadzało Winter, gdy zatrzymała Edgara przed gospodą, zsiadła i oddała wodze brudnemu młodzieńcowi, który wyłonił się z pobliskiego zaułka.

Wcisnęła mu do ręki monetę.

– Nie zdejmuj siodła. Nie będę tu długo.

Gospoda była piętrowa, z salą i kuchnią na parterze oraz pokojami na górze dla tych, którzy chcieli pić w bardziej dobranym towarzystwie. Było jasne, że wszyscy klienci nienależący do Skórzanych Kurtek opuścili lokal, właściciela też nigdzie nie było widać. Fajansowe kufle, drewniane kubki i talerze z niedojedzonymi potrawami nadal zalegały na wielkich masywnych stołach sali jadalnej, a kobiety należące do Skórzanych Kurtek Jane leżały wokół jak szczątki rozbitego statku. Było dobrze po południu, lecz wiele z nich wciąż spało, chrapiąc na ławach lub skulone na podłodze, w ubraniach w różnym stadium nieładu.

Niektóre jednak wstały już i wyjadały resztki. Dwie kobiety stały za barem, nalewając sobie piwo z wielkich beczek. Winter rozpoznała Beccę, jedną z poruczników Jane, siedzącą za stołem przy drzwiach i długim nożem wycinającą jakiś skomplikowany wzór w blacie. Kobieta spojrzała na nią, gdy trzasnęły drzwi, a Winter odkaszlnęła.

– Gdzie jest Jane? – zapytała.

Becca podniosła się z nożem w rękę i przeszła ją gniewnym wzrokiem. Winter przez moment zastanawiała się, czy mądrze postąpiła, odrzucając propozycję Bobby i rezygnując z eskorty. Nie sądziła, żeby towarzyszki Jane ją zaatakowały, ale obecność pół tuzina żołnierzy za plecami dodałaby jej otuchy.

– Bo co? – spytała Becca.

Kilka innych Skórzanych Kurtek patrzyło w ich kierunku. Niektóre równie wrogo jak Becca, ale inne raczej z poczuciem winy.

– Chcę tylko z nią porozmawiać. – Winter uniosła dłonie.

Znów zapadła długa chwila ciszy. W końcu Becca wzruszyła ramionami i nożem wskazała schody.

– Na górze.

– Dziękuję – powiedziała Winter.

Przemknęła przez salę, omijając budzące się powoli Skórzane Kurtki, i weszła na piętro.

Drzwi większości pokoi były zamknięte i Winter obawiała się, że będzie musiała pukać do każdego, żeby znaleźć Jane. Te pokoje, do których zerknęła, były zajęte przez kobiety ze Skórzanych Kurtek w różnych stadiach upojenia alkoholowego i przytomności. Znalazła wysoką i chudą Winn, jedną z poruczników Jane, nagą i śpiącą na stole w objęciach równie rozebranego deslandzkiego chłopca z ciemnymi włosami i rzadką bródką. Inny młodzieniec w samej koszuli chrapał w kącie. Winter delikatnie zamknęła drzwi i potrząsnęła głową.

– Aha! – Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i stanęła w nich Jane, opierając się o futrynę. W rękę trzymała butelkę bez etykiety z jakimś zielonym płynem. Na widok jej znajomego łobuzerskiego uśmiechu serce Winter wywinęło koziołka. – Tak mi się zdawało, że kogoś słyszę. W końcu postanowiłaś złożyć nam wizytę?

– Muszę z tobą porozmawiać. – Winter popatrzyła na inne pokoje, w których kilka kobiet poruszyło się, słysząc głos Jane. – Samą.

– Dobrze. Pozwól do salonu. – Jane cofnęła się i wskazała ręką. W jej pokoju był owalny stół i dwie półokrągłe ławy oraz okno wychodzące na ulicę. – Jestem pewna, że znajdę dla ciebie jakąś butelkę.

– Nie potrzebuję butelki – mruknęła Winter, przeciskając się obok niej. – I ty też nie.

Jane biodrem zamknęła drzwi.

– Nie? – Popatrzyła na zielony płyn i zmarszczyła brwi. – Chyba nie. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, co to, kurwa, jest.

Na stole było kilka innych butelek, a na podłodze jeszcze więcej, przeważnie pustych. Winter ostrożnie przeszła do okna i zerknęła na zewnątrz, po czym odwróciła się i nabrała tchu.

– Jane...

Pocałunek zaskoczył ją. Jane objęła ją ramionami i mocno przywarła wargami do jej ust. Winter cofnęła się o krok, a Jane pochyliła się do przodu, przyciskając ją do ściany przy oknie. Jej usta smakowały alkoholem i chyba wymiocinami, a wargi były spierzchnięte i suche. Winter zawahała się, stęskniona za Jane tak, że przywarła do niej, czując przez mundur jej piersi i kolano wsuwające się między jej nogi.

– Przestań. – Winter złapała ją za ramiona i odepchnęła. – Jane, przestań!

– Co? – Jane przechyliła głowę. – Nie mów mi, że tego nie chcesz. Wiem, jak mi było ciężko, przy tylu pokusach wokół. – Uśmiechnęła się łobuzersko. – Widziałas Winn z jej ślicznymi chłopcami? A jedna z pokojówek wyraźnie do mnie mrugała. Co wieczór robiłam sobie dobrze, żeby zasnąć, zastanawiając się, czy ty robisz to samo w swoim zamku...

– Jane...

– Och, nie udawaj, że nie.

Winter była czerwona jak burak.

– Posłuchasz mnie chwilkę?

– Och, rozumiem. – Jane ciężko opadła na ławę i zwiesiła głowę. – Nie przysłała do mnie moja Winter, tylko pułkownik Ihernglass.

– To ja – powiedziała Winter. – Jane, co ty wyprawiasz?

– Dobrze się bawię. Zapomniałaś, jak się to robi?

– To już trwa wiele dni.

– Wiem. Tutejsi karczmarze to banda pieprzonych kundli. Tylko spojrzę na nich gniewnie, a zaraz oddają mi klucze i swoje dziewicze córki. – Zauważyła minę Winter i przewróciła oczami. – Mówię w przerośni. Jednak nie przetrwaliby pięciu minut w Dokach.

– A co z pułkiem?

– Co z nim? Wygraliśmy tę pieprzoną bitwę, no nie? Zaslugujemy na chwilę odpoczynku.

Winter patrzyła na nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Jane spojrzała na nią zielonymi i lekko przekrwionymi oczami, po czym zmieszana odwróciła wzrok.

– Ponadto – powiedziała – pomyślałam, że przyjdiesz po mnie, kiedy będę ci potrzebna.

– Przepraszam, że byłam dla ciebie taka nieprzyjemna podczas bitwy. Byłam...

– Byłaś zła – powiedziała Jane. – I pewnie miałaś rację. Sevran zna się na... – machnęła ręką – ...oddziałach, szykach i zasięgach, takich sprawach. Co ja tam wiem?

– Byłaś dobrym dowódcą Pierwszego Dziewczęcego...

– Nie, nie byłam. – Jane założyła ręce na piersi. – Nie ma się co okłamywać. Jestem gównianym oficerem i obie o tym wiemy.

– Dowodzenie to nie tylko wiedza wojskowa. To kwestia stosunków z żołnierzami. Dziewczęta cię podziwiają.

– Te na dole tak – odparła Jane. – Są ze mną od dawna. Myślę, że pozostałe znalazły sobie nowego idola do podziwiania.

– Abby miała rację – powiedziała Winter, nie mogąc się powstrzymać. – Jesteś zazdrosna.
– Ty i Abby rozmawiacie o mnie? – Jane uśmiechnęła się drwiąco, ale Winter widziała, że jest urażona.

– Przyszła do mnie, Jane. Martwi się o ciebie. Obie się martwimy.

– Słodka dziewczyna. Powiedz jej, że umiem zadbać o siebie.

Winter przez moment zaciskała zęby.

– Nie ma na to czasu. Przyszły rozkazy od Janusa. Pułk rano opuszcza miasto i musisz przyprowadzić swoich ludzi do cytadeli.

– Ach – powiedziała Jane. – Zastanawiałam się, dlaczego akurat teraz przysłaś mnie okiełznać.

– To nie czas na... cokolwiek to jest. Między tobą a mną. Proszę. Wróć.

– Bo co? Zostawisz mnie tutaj? – Jane przechyliła głowę na bok, przyglądając się Winter. – Zrobiłabyś to, prawda? Kiedy generał każe maszerować, to maszerujesz, nieważne, co ja o tym mówię.

Winter zjeżyła się.

– Mam obowiązek...

– Wobec kogo? Królowej? Deputowanych?

– Mężczyzn i kobiet z mojego pułku.

– Oczywiście. – Jane powoli wypuściła powietrze. – Abby miała rację. Jestem zazdrosna. Byłaś zła, kiedy odkryłaś, że ona i ja jesteśmy razem, nieprawdaż? To straszne odkryć, że kochanka zakochała się w kimś innym.

– Ja nie zakochałam się w nikim.

– Ależ tak. – Jane wyciągnęła rękę i trąciła srebrnego orła na ramieniu Winter. – Zakochałaś się w Janusie bet pierdolonym Vhalnichu.

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Zapewne. – Jane opuściła rękę i odwróciła się. – A teraz wynoś się stąd. Jestem podchmielona, boli mnie głowa i od wielu dni nie pieprzyłam się jak należy, i nie wygląda na to, by w najbliższym czasie miało się to zmienić. Wracaj do swoich schludnych pierdolonych blaszanych żołnierzyków.

– Nadal cię potrzebujemy. Ja cię potrzebuję.

– Po prostu idź.

Jane ciężko usiadła na jednej z ław, szukając w tym śmietniku butelki.

Winter wymknęła się ze Złączonych Obrączek, omijając budzące się Skórzane Kurtki, po czym odebrała wierzchowca. W piersi, za mostkiem, czuła pustkę otoczoną spienionym wirem gniewu, żalu i poczucia winy. Ta burza uczuć zdawała się nie sięgać Wszystkożercy, tkwiącego w głębi jej jaźni i pławiącego się w mrokach jej podświadomości.

Powinam wrócić do cytadeli, wziąć dwie kompanie i wywlec je stamtąd, żeby wytrzeźwiały przez noc. Winter zrobiła głęboki wdech, kołysząc się w łagodnym rytmie kroków Edgara. Powinam wrócić do Jane i błagać, żeby mi wybaczyła. Pękała jej głowa, jakby przez cały dzień piła wino. Powinam tam wrócić i pocałować ją, zedrzyć z niej ubranie i ucałować każdy centymetr jej ciała, raz po raz...

– Panie pułkowniku? Mogę wziąć pańskiego konia?

Winter zamrugnęła. Szeregową z Pierwszego Dziewczęcego, kobieta o pociągłej twarzy

okolonej ciemnymi kręconymi włosami, stała z muszkietem przy bramie cytadeli. W środku Winter słyszała krzyki i śmiechy, a dziedziniec był jasno oświetlony.

Ach tak. Zabawa. Zapewne wieść o porannym wymarszu skłoniła pułk do tym energiczniejszego świętowania. I dobrze. To ostatnia okazja, jaką będą mieli przez dłuższy czas.

Zsiadła bez słowa i oddała szeregowcowi wodze Edgara. Nikt jej nie zauważył, gdy przechodziła przez dziedziniec, a przynajmniej nikt się do niej nie odezwał. Nie zaczęła się pułkownika, pomyślała Winter. Przypomniała jej się noc pod Vendre, gdy kręciła się w tłumie, którego karnawałowa atmosfera kontrastowała z jej ponurym nastrojem. Było to tuż przed tym, zanim zobaczyła Jane z Abby.

Przynajmniej to było dziś niemożliwe. Dostrzegła Abby w tłumie, otoczoną przez rekrutów i Skórzane Kurtki, dyrygującą kuflem zamiast batuty chórem, który śpiewał jedną z tych niekończących się, sprośnych żołnierskich piosenek. Winter uśmiechnęła się przelotnie i odeszła, zanim ktoś ją zauważył.

Kasztel był pusty, tylko dwóch królewskich pełniło wartę przy drzwiach. Zasalutowali wchodzącej Winter, tak jak dwoje wartowników przed jej gabinetem. Jednym z tych dwojga był królewski, przygnębiony młodzieniec tęsknie spoglądający w kierunku dziedzińca, a drugim kobieta. Winter machnięciem ręki zbyła jej salut i przystanęła przed drzwiami.

– Myślałam, że Pierwszy Dziewczęcy nie pełni dziś służby – powiedziała.

– Karna warta, panie pułkowniku. – Wartowniczką, niska i muskularna kobieta, przeżyła się jak struna. – Za wnoszenie alkoholu do obozu.

– Ach. Mam nadzieję, że czegoś cię to nauczyło.

– Tak jest, panie pułkowniku! – Szeregowiec uśmiechnęła się. – Następnym razem nie dać się złapać.

Winter uśmiechnęła się w odpowiedzi i weszła do środka. Jej gabinet, jasno oświetlony w dzień, teraz był pograżony w ciemnościach. Tylko parę świec paliło się na stojącym na środku wielkim stole i Winter ze zdziwieniem zobaczyła tam Cyte oraz Bobby, ślęczące nad mapami, zapisujące notatki i liczby.

– Witamy z powrotem, pułkowniku! – powiedziała Bobby, zrywając się. – Rozmawiał pan z Jane?

– Rozmawiałem z nią.

– Wróci do obozu? – spytała Cyte, nie podnosząc głowy.

– Może. Mam nadzieję, że tak. – Zapewne nie. Winter usiadła przy swoim biurku, ciężko opadłszy na fotel. – Zobaczymy. Jeśli nie wróci, zanim skończy się zabawa, pošlę kilku ludzi, żeby ją przyprowadzili.

Bobby skrzywiła się.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Nad czym pracujecie? – zapytała Winter, żeby zmienić temat.

Cyte zdawała się to rozumieć i zgarnęła plik papierów, po czym położyła je na biurku Winter.

– Wytyczne na jutro. Już wysłałam kurierów, żeby zatrzymali barki płynące w górę rzeki. Teraz opracowuję plan dla naszych taborów.

– Myślałem, że zostawimy tabory tutaj.

– Mogą jechać za nami najszybciej jak zdołają, panie pułkownika. Przydzielę im tuzin żołnierzy eskorty. Jeśli pojedą tą samą trasą co my, powinni być bezpieczni. – Po chwili dodała: – Ponadto będą wypatrywać maruderów, którzy zostali w tyle podczas marszu. To może uratować im życie.

Winter skinęła głową, przeglądając notatki.

– Dobry pomysł. – Może powinnam przydzielić Jane i jej dziewczyny do taborów? To wyglądałoby na karę, a Winter nie była pewna, czy to zły pomysł, zważywszy, jak zachowywały się Skórzane Kurtki. Jednak to wcale jej nie ułagodzi.

Cyte podeszła do biurka, żeby wyjaśnić szczegóły, i Winter pogрузzyła się w morzu liczb, map i notatek. Prawdę mówiąc, nie musiała brać w tym udziału, ale musiała się czymś zająć, a Cyte wyczuła tę jej potrzebę. Bobby przyniosła jej kufel rozcieńczonego wina, które Winter wypila bez specjalnej przyjemności.

Po pewnym czasie, gdy machinalnie przeglądała raporty, a jej porucznicy przepisywali rozkazy, rozległo się pukanie do drzwi.

– Ja się tym zajmę – rzekła Winter, zrywając się zza biurka, zanim któraś z dziewcząt zdążyła się ruszyć. – Skończcie to, dopóki jeszcze możecie wyjść i odprężyć się trochę.

– Ja zamierzam tylko położyć się spać – mruknęła Cyte, ale Winter zauważyła, że Bobby ożywiła się i jeszcze energiczniej zaczęła poruszać piórem.

Winter podeszła do drzwi i otworzyła je, znów czując pulsujący ból głowy. Może ja też powinnam się położyć.

– Pułkownik Ihernglass?

Przybysz był starym mężczyzną w vordanajskim mundurze i spokojnie stał między dwoma wartownikami. Nie znała go. Ktoś z kwatermistrzostwa?

– Tak – odparła. – Słucham?

Nie potrafiła wyjaśnić, co uratowało jej życie. Coś było tu nie tak – mężczyzna miał naramienniki kaprala, ale nie oddał jej honorów i był o wiele za stary. Stał w niedbalej pozie, w opiętym płaszczu, jakby uszytym na kogoś mniejszego.

W jej jaźni Wszystkożerca ryknął i sprężył się do skoku, ostrzegając i wyczuwając zdobycz.

Winter odskoczyła do tyłu i dłoń starca przecięła powietrze przed jej twarzą. Miał paznokcie długie jak szpony i pomalowane dziwnym białym lakierem.

– Winter! – krzyknęła Bobby, zrywając się, gdy Winter zawadziła o stół.

Cyte zareagowała tylko odrobinę wolniej, wzywając wartowników.

– Zatrzymać tego człowieka!

Starzec okręcił się, szybciej, niż powinien człowiek w jego wieku, i rozorał pazurami twarz pierwszego wartownika, który stanął w drzwiach. Z łatwością przecięły mięśnie i kości, pozostawiając okropne bruzdy. Wartownik upuścił muszkiet i wrzasnął, po czym osunął się na kolana, przyciskając dłonie do okaleczonej twarzy.

Idąca krok za nim wartowniczką z Pierwszego Dziewczęcego poderwała muszkiet, zanim starzec zdążył ją dopaść. Winter zobaczyła, jak naciska spust, ale staruch rzucił się w bok, zanim padł strzał, ogłuszający w zamkniętym pomieszczeniu. Kula z wizgiem odbiła się od kamieni, krzesząc skry, po czym z głuchym stukiem wbiła się w biurko Winter. Wartowniczką nie dała napastnikowi czasu na odzyskanie równowagi, z nastawionym bagnetem rzucając się w chmurę dymu i zmuszając go do pospiesznej rejterady.

Winter wyprostowała się, szukając swojej szabli. Była tam, gdzie ją zostawiła, w pochwie przy pasie leżącym na jej biurku, z drugiej strony wielkiego stołu. Cyte jednak miała swój pas bliżej i wyrwała rapier z pochwy. Zanim zdążyła przyjść z pomocą wartownicze atakującej starca, ranny przy drzwiach wyprostował się, jęknął i upadł na twarz. Zza jego pleców wyłonił się następny napastnik, w nędznym szaro-czarnym odzieniu. Twarz miał zakrytą maską i tysiąc kawałeczków obsydianu migotało i błyszczało przy każdym jego ruchu.

Obraz takiej maski wrył się w pamięć Winter. Ostatnio widziała ją w katedrze Kościoła Zaprzysiężenia, kiedy Orlanko próbował aresztować deputowanych. Tamtej nocy Danton został zamordowany przez mężczyznę, który zniknął równie nagle i tajemniczo, jak się pojawił. Przeklęty Penitent. Wszystkożerca ciskał się w jej umyśle jak wygłodzony drapieжник o prety klatki.

Pułkownik Ihernglass? – zapytał pierwszy napastnik. Ta myśl była jak kubek zimnej wody. Przyszli tu po mnie.

Czarno odziany przeciwnik miał noże w obu rękach. Cyte nastawiła rapier, próbując go zatrzymać, ale Penitent zszedł z linii ciosu i doskoczył do niej; kiedy klinga śmignęła ku jego szyi, odchylił się lekko, pozwalając jej przelecieć centymetr od jego ciała. Trzymanym w lewej ręce nożem głęboko rozciął jej ramię. Cyte szeroko otworzyła oczy i zatoczyła się w tył, ale nie wypuściła rapiera.

Winter przesuwiała się wokół stołu, do stojącej za nim Bobby. Porucznik, jakby czytając jej w myślach, rzuciła jej swoją szablę i skoczyła do biurka po leżącą tam broń Winter. Pułkownik wyrwała z pochwy krótki, nie swój oręż i zadała zamaszysty cios Penitentowi. Uchylił się przed cięciem równie łatwo jak wcześniej przed ciosem Cyte, ale musiał się cofnąć, a Cyte wykorzystwała okazję, żeby złapać równowagę i stanąć u boku Winter.

Po drugiej stronie pokoju staruch cofał się przed atakującą bagnetem wartowniczką, odciągając ją do drugich drzwi, prowadzących na wąski korytarz za biurkiem Winter. Z początku Winter myślała, że starzec chce uciec, ale minął te drzwi, nie przystając. W następnej chwili ich cienkie drewno eksplodowało jak trafione kulą armatnią, sypiąc kawałkami po całym pokoju.

W rozbitych drzwiach stanął następny napastnik, olbrzymi mężczyzna mający co najmniej dwa metry wzrostu i niemal równie szerokie bary. Winter mimo woli przypomniał się fin-katar, święty eunuch, którego musiała zabić w Khandarze, ratując Feor. Tamten był olbrzymi, ale opasły, natomiast ten wydawał się jedną bryłą mięśni. Miał na sobie taki sam ciemny strój jak nożownik i równie błyszczącą maskę.

Winter musiała podziwiać odwagę wartowniczki z Pierwszego Dziewczęcego, chociaż nie jej rozsądek. Szeregowiec obróciła się na pięcie i zadała proste pchnięcie bagnetem, które tak często ćwiczone na dziedzińcu. Olbrzym obrócił się, pozwalając, by bagnet wbił się w jego bok aż po lufę. Potem wytrącił broń z rąk wartowniczki i złapał ją za ramię. Zdążyła tylko krzyknąć, gdy zacisnął szeroką dłoń na jej twarzy i bez trudu gwałtownym szarpnięciem skręcił jej kark. Kości trzasnęły z paskudnym chrzęstem. Olbrzym odrzucił bezwładne ciało na bok i spojrzał na Winter, nie zwracając uwagi na krew plamiącą jego odzienie.

– Na jaja pierdolonej Bestii – zaklęła Cyte. – Co, do diabła...

Uzbrojony w noże Penitent znów zaatakował Winter, która usiłowała unikać starcia. Nie był szybki, przynajmniej nie szybszy niż wyszkolony szermierz, ale zdawał się znać każdy jej ruch,

zanim go zrobiła, zwinnie unikając pchnięć i ripost. Winter mogła go powstrzymać, tylko wykorzystując swoje dłuższe ostrze i odskakując, a mimo to miała już kilka płytkich, ale bolesnych ran na przedramieniu, zadanych przez jego ostrza. Rękaw munduru pociemniał i nasiąkł krwią, a Wszystkożerca ryczał w jej umyśle.

Chce jego demona. Wszystkożerca mógł go pożreć, ale musiałaby dotknąć przeciwnika, żeby go uwolnić, a Penitent przed nią wydawał się nieuchwytny jak mgła. Desperacko rzuciła się w bok, aby nie dać zapędzić się w kąt pokoju, przy czym przeciwnik zdołał zadać jej cios w nogę, ale zyskała moment i zdołała się rozejrzeć.

Staruch zapędził Cyte w kąt. Trzymał się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem rapiera, ale szok i ból robiły swoje i dziewczyna wyraźnie słabła. Po drugiej stronie pokoju olbrzym jedną ręką odrzucił na bok biurko i ruszył na Winter, która mogłaby przysiąc, że pokój trząsał się pod jego krokami. Bobby, która usiłowała wyrwać z pochwy szablę Winter, znalazła się na jego drodze. Olbrzym niedbale próbował uderzyć ją na odlew w twarz, ale Bobby podniosła rękę i złapała go za nadgarstek. Oboje wyglądali na zaskoczonych, gdy zatrzymała cios w pół drogi, pozbawiając ogromnego przeciwnika równowagi. Zatoczył się i drugą ręką zadał potężny zamachowy cios, lecz Bobby złapała jego pięść i zacisnęła dłoń. Winter wyraźnie usłyszała trzask łamanych kości, ale Bobby nawet się nie zachwiała. Pochyliła się, zatrzymując olbrzyma, który ryknął z wściekłości i zaskoczenia.

Winter musiała całą uwagę skupić na powstrzymywaniu przeciwnika. Spychał ją pod ścianę, a jej coraz bardziej desperackie ciosy przecinały tylko powietrze. Jeśli tylko zdołam go dotknąć... Rozpaczliwym cięciem zmusiła go do odskoku i rzuciła się naprzód. Uskoczył w bok, tak jak się spodziewała, przeciągając nożem po wierzchu jej dłoni. Wypuściła szablę z nagle zdrętwiałych palców, ale już się obracała, łapiąc Penitenta za ramię. Prawie go miała i czubki jej palców musnęły jego rękaw, ale uskoczył za nią, podnosząc rękę do ciosu, którym wbiłby swój sztylet w jej nerkę.

Huk wystrzału, oddanego z muszkietu zaledwie kilka kroków od niej, był potwornie głośny, a rozbłysk z lufy niemal oślepiający. Winter zobaczyła krew tryskającą z prawego barku olbrzyma, który zatoczył się w tył. Ona już odskakiwała od swojego przeciwnika, czując mrowienie w miejscu, gdzie miał spaść cios. Jednak napastnik cofał się, przyciskając dłoń do oczu, z twarzą wykrzywioną w męce. Jego noże leżały na podłodze.

Jane stała w drzwiach, ciężko dysząc, z muszkietem zabitego królewskiego w rękach. Winter ledwie zdążyła zauważyć jej obecność. Rzuciła się naprzód, zaciskając dłoń na nadgarstku Penitenta i śląc sygnał w otchłań swej duszy, gdzie czaił się Wszystkożerca. Teraz. Już!

W odpowiedzi demon rzucił się do ataku, przelatując przez jej rękę do ciała młodzieńca. Winter czuła jego demona, ulotnego i słabego, i czuła jego przerażenie, gdy Wszystkożerca zaczął go pożerać. Energia przelatywała między nimi, trzeszcząc i sypiąc skry. Natomiast w rzeczywistym świecie Winter słyszała przeraźliwy krzyk Penitenta.

Poczuła przeszywający ból i gwałtownie wróciła do swego fizycznego ciała. Staruch wbił dwa pazury w jej ramię i drugą szponiastą dłonią sięgał ku jej twarzy. Winter puściła Penitenta, czując, jak demony rozdzielają się, a głód i rozczarowanie Wszystkożercy uderzył ją jak pięścią w brzuch. Upadła na podłogę, ale staruch nie rzucił się na nią, tylko odskoczył, odciągając swego wciąż bezsilnego kompana. W następnej chwili w polu widzenia Winter pojawiła się Jane, która stanęła przed nią, trzymając muszkiet z lśniącym bagnetem na lufie i

warcząc jak pies.

Staruch rzucił jakieś słowo w nieznanym Winter języku. Pobiegł do tylnych drzwi, ciągnąc za sobą młodego Penitenta. Mijany przez nich olbrzym – na którym kula z muszkietu zrobiła równie niewielkie wrażenie jak pchnięcie bagnetem – wyrwał się Bobby i pobiegł za nimi, znikając za drzwiami i w głębi korytarza. Bobby upadła na kolana, ciężko dysząc.

Winter z trudem wstała, zaciskając dłonią głębokie rany pozostawione przez pazury starucha. Jane, wciąż z nastawionym muszkietem, rozejrzała się po pokoju, a potem popatrzyła na nią.

– Co, do kurwy...? – zapytała. – Święty Karisie wydymany cholerną piką, co to, kurwa, było?

Dwoje żołnierzy zginęło, Cyte była ciężko ranna, a Winter czuła coraz silniejszy ból. Jednak nie mogła sobie odmówić – nawet jeśli to czyniło ją okropną osobą – odrobiny przyjemności wywołanej kompletnie ogłupiałą miną Jane.

Trzynaście

Marcus

Marcus stał przy politurowanym stole w jadalni Bliźniaczych Wieżyczek, patrząc na pospiesznie narysowaną mapę, i zastanawiał się, jak najlepiej rozmieścić swoich żołnierzy. Miał przemożne wrażenie, że wrócił do domu. To przywoływało wspomnienia Khandaru, który z perspektywy czasu wydawał się coraz bardziej atrakcyjny; tam sytuacja też była rozpaczliwa, ale przynajmniej było wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Do samego końca.

Odepchnął od siebie te myśli, wspomnienia krótkiego czasu z Jen Alhundt, wciąż zbyt bolesne, by je rozpamiętywać, i znów skupił się na bieżących problemach. Chociaż sytuacja w Khandarze była rozpaczliwa, chyba nigdy nie dowodził tak niewielkimi siłami jak teraz. Jego armia składała się z sześciu mierantajskich strzelców, dwóch słabo wyszkolonych szeregowców, z których jeden nigdy nie wahał prochu, a drugi był kobietą, oraz jego samego i nieletniej finansistki. Och, i jeszcze królowej Vordanu.

Z drugiej strony było mało prawdopodobne, żeby wróg ich oczekiwał. To dobrze, bo gdyby wszystko poszło zgodnie z planem Marcusa, cała ta sprawa zostałaby załatwiona bez jednego wystrzału. Gwardia Patriotyczna może pracuje dla Mauriska, ale to jednak Vordanajowie i w większości istotnie patrioci. Nie możemy wystrzelać ich tylko za to, że weszli nam w drogę – chyba że nie będzie innego wyjścia.

– Oto, co wiemy – rzekł, wodząc palcem po zarysie wielkiego budynku na mapie. – Ludzie Cory pilnowali go przez kilka ostatnich dni, więc dość dobrze wiemy, czego się spodziewać.

Dziewczyna zarumieniała się, gdy wymieniono jej imię, i nie odrywała oczu od blatu stołu. Kontakty Cory, liczne w Starym Mieście i na całym południowym brzegu, były nieocenione. Chłopcy, którzy zwykle zarabiali kilka miedziaków za informacje o dostawach żywności przywożonej Zieloną Drogą lub łodziami, teraz obserwowali niepozorny magazyn w pobliżu rzeki, tak nierzuczający się w oczy, że oznakowany tylko numerem 192.

Raesinia stała obok Cory, trzymając dłoń na jej ramieniu. Porucznik Uhlan też tam był, razem z Hayverem i Andy. W armii składającej się z zaledwie ośmiu żołnierzy zacierają się granice między oficerami a szeregowcami, pomyślał Marcus.

– Nie wygląda na to, żeby w samym budynku były jakieś straże – ciągnął. – Są tam jednak tylko jedne drzwi, których dzień i noc pilnuje czterech ludzi. Wszyscy są w cywilnych ubraniach, ale jesteśmy pewni, że to żołnierze Gwardii Patriotycznej. Mniej więcej tutaj... – postukał w miejsce na mapie tuż przed frontowymi drzwiami magazynu, gdzie był pomost – mają przycumowaną łódź, w której nocują. Jest tam jeszcze czterech strażników, dwaj śpią, a dwaj stoją na warcie.

– Zatem w dzień byłoby mniej przeciwników – zauważył Uhlan.

– Mamy nadzieję, że wcale nie będziemy musieli z nimi walczyć – powiedział Marcus. – Zechcesz wyjaśnić, co odkryłaś, Coro?

Jej mina wyraźnie świadczyła, że wolałaby tego nie robić, ale Raesinia ścisnęła jej ramię i dziewczyna powiedziała cicho:

– T-tam są tylne drzwi. Albo były. Ktoś postanowił je zlikwidować podczas ostatniego remontu. Jednak Gregory poszedł tam popatrzeć i nie zostały zamurowane, tylko zabite deskami i otynkowane. Człowiek z łomem szybko sobie z tym poradzi.

Uhlan podniósł brwi, a Marcus gestem uprzedził jego obiekcje.

– Tak, będzie przy tym hałas, który usłyszą strażnicy. Tak więc musimy odwrócić ich uwagę. Nad tą częścią planu wciąż pracuję. – Znów postukał w nabrzeże. – Wynajmiemy łódź, która wysadzi nas przed tymi drzwiami. Myślę, że potem ktoś powinien podpłynąć do łodzi strażników od strony rzeki i podpalić ją. Kiedy będą zajęci pożarem, my powinniśmy otworzyć te drzwi i niepostrzeżenie dostać się do środka. Kiedy będziemy mieli to, czego szukamy, wrócimy łodzią.

Mierantajski oficer zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową.

– To wydaje się dość proste. Kiedy zaczynamy?

– Jutro w nocy. Przedtem potrzebujemy kilku rzeczy. Płaszcz dla wszystkich i kilka lamp sztormowych. Ten magazyn może być pełen prochu błyskowego, więc nie chcę ryzykować.

– Mogę zdobyć wszystko, czego wam potrzeba – powiedziała Andy. Chyba bardzo chciała wziąć w tym udział. – Przejdę się dziś wieczorem.

– Dobrze. Poruczniku, jeśli jest jeszcze coś, czego pana zdaniem moglibyśmy potrzebować, proszę zawiadomić szeregową Dracht.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Uhlan zasalutował. – Pójdę porozmawiać z moimi ludźmi.

Pospiesznie wyszedł, a Marcus odszedł od stołu, dając pozostałym znać, że są wolni. Andy wyszła za Uhlanem, a Hayver za nią. Raesinia próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Marcusem, lecz on udawał, że tego nie zauważa. Wymknął się z jadalni i poszedł do swojego gabinetu, gdy ona cicho i pośpiesznie naradzała się z Corą. To był tchórzliwy manewr, ale Marcus spodziewał się głośnego protestu monarchini, która często nie myślała o tym, że ktoś może ją podsłuchać.

Tak czy inaczej, zyskał tylko kilka minut. Ledwie zdążył odkorkować buteleczkę z inkaustem i zaostrzyć pióro, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– To ja – powiedziała Raesinia. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Wejdz – rzekł Marcus, demonstracyjnie odkładając pióro. – Muszę jednak napisać do naszego znakomitego generała.

Wieści o wspaniałym zwycięstwie pod Gaafen i kapitulacji Deslandu przysły pstrykaczem już po kilku godzinach, ale w mieście i konwencjonalnymi środkami przekazu rozchodziły się przez kilka minionych dni. Nie wywołały euforii. Chociaż zdobycie miasta Ligi niewątpliwie było pewnym sukcesem, obecność hamveltajskiej armii w Antovie oznaczała, że jest on chwilowy. Powszechnie uważano, że Janus powinien teraz zaatakować fortecę, inaczej grozi mu odcięcie od Vordanu przez nagłe uderzenie wroga. Jego szanse sukcesu oceniano na niewielkie, chociaż wieści, jakie przesyłał Marcusowi, były dość optymistyczne.

– To raczej nieistotne, prawda? – Raesinia zmarszczyła brwi. – Nie wydaje się, żeby mógł przysłać nam jakąś pomoc.

– Chcę informować go na bieżąco. – Marcus westchnął. – Może robię to tylko dla spokoju ducha, ale to mnie uspokaja. Dobrze jednak, zamknij drzwi.

Raesinia zrobiła to, a potem z zamyśloną miną stanęła naprzeciw biurka.

– Mam pomysł – powiedziała w końcu. – Jak odwrócić ich uwagę.

– Ach tak?

– Rozmawiałam trochę z Vierą, jedną z grupki studentów, których uratowałeś.

– Tą dziewczyną z Vheed? – Marcus pokiwał głową. – Co z nią?

– Studiowała u twojego przyjaciela Kaznodziei.

Marcus znów skinął głową. Wspomniała o tym, ale to do niego nie dotarło.

– A przedtem uczyła się u alchemika w Hamvelt – ciągnęła Raesinia. – Myślę, że powinniśmy ją wprowadzić i wykorzystać do odwrócenia uwagi tamtych.

– To istotnie brzmi lepiej niż rzucanie pochodni przez reling – powiedział Marcus. – Tylko czy uważasz, że możemy jej ufać?

– Tak sędzę. Zdaje się... że ma dla ciebie dużo szacunku. – Raesinia lekko się zmieszała i pokręciła głową. – Na pewno nie ma powodu pomagać Mauriskowi czy gwardzistom. Ponadto pracowała z Kaznodzieją, zanim był zamach na mnie, tak więc nie może być wtyczką...

– W porządku. – Marcus podniósł ręce. – Porozmawiasz z nią?

– Mogę. – Raesinia przeszła go groźnym spojrzeniem. – Rozmawiałam też z Corą. Powiedziała, że poprosiła ją, żeby poszła z wami.

Marcus zrobił głęboki wdech i wypuścił powietrze.

– Tak.

– Wiesz, że to szaleństwo. Ona się do tego nie nadaje.

– To nie będzie niebezpieczne, jeśli nasz plan się powiedzie – rzekł, wiedząc, jak słaby jest to argument. Od kiedy to zawsze wszystko idzie zgodnie z planem? – Potrzebujemy kogoś, kto wie, czego szukać. Kiedy wejdziemy do środka, będziemy mieli tylko kilka minut.

– Nie możesz jej zabrać – powiedziała stanowczo Raesinia. – To moja przyjaciółka i kocham ją, ale umie się posługiwać księgami i banknotami, nie pistoletem.

– Nikt nie powiedział, że dam jej pistolet. Ponadto ty ją w to wciągnęłaś.

– Była w to wciągnięta cały czas. Była z nami od samego początku, jeszcze przed rewolucją. Widziałeś, co zrobiła dla uchodźców, zanim tutaj przyszliśmy. Nie brak jej odwagi, ale nie jest żołnierzem. Nie możesz narażać jej na takie niebezpieczeństwo!

– Nie mam innego wyjścia – odparł Marcus. – Brakuje nam ludzi. Gdybym uważał, że mogę, zostawiłbym tutaj Andy i Corę z tobą, ale...

– Ty... – Raesinia urwała i spojrzała na niego z ukosa. – Zostawiłbyś Andy i wziął Hayvera? Przecież on potknąłby się o własną nogę, nawet gdyby miał tylko jedną!

Marcus musiał przyznać, że w razie czego Andy zapewne byłaby przydatniejsza jako wsparcie w walce niż ten niezdara. A jednak. Patrząc na posiniaczoną i zakrwawioną twarz Andy i wiedząc, że oberwała tak w jego obronie, Marcus czuł się bardzo źle. Jakby był nieudolny i nie spełnił jakiegoś fundamentalnego obowiązku, którego nawet nie potrafił nazwać. Nie chciał się znowu tak poczuć.

– To nieważne – powiedziała szorstko Raesinia – ponieważ rozwiązanie jest oczywiste. Ja pójdę z wami, a Cora zostanie u pani Feldy. Mogę znaleźć potrzebny nam dowód równie łatwo jak ona.

– Nie – odrzekł Marcus. – Nie ma mowy.

– Ja...

– Ty jesteś królową Vordanu. Nie pójdziesz z nami zakradać się do jakiegoś magazynu, który równie dobrze może być pułapką!

– Jednak chcesz zabrać ze sobą taką dziewczynę jak Cora?

– Nie myśl, że to mi się podoba, ale owszem. Raesinio... Wasza Królewska Mość... jesteś cenniejsza od niej, czy to ci się podoba czy nie.

– To...

– Gdyby Cora zginęła – ciągnął Marcus, nie dopuszczając jej do głosu – byłaby to tragedia. Jest cudowną osobą i rozumiem, że twoją przyjaciółką. Gdyby jednak coś się stało tobie, ucierpiałoby całe królestwo. Miliony ludzi, równie cudownych jak Cora. Jesteś ostatnią z rodu Orboanów. Bez ciebie w najgorszym razie wybuchłaby wojna domowa. W najlepszym na tronie zasiadłby ktoś taki jak Maurisk.

– Albo jak Janus? – warknęła Raesinia.

– Janus złożył przysięgę – przypomniał Marcus. – Tak jak i ja. Mamy obowiązek strzec i bronić królestwa oraz królowej. Nie wypełniłbym go, gdybym świadomie naraził cię na niebezpieczeństwo.

– Zatem zostawisz mnie tutaj – powiedziała. – Bez opieki.

– Zamkniemy budynek. Nie będzie mnie zaledwie parę godzin.

Twarz Raesinii była spokojna, lecz w jej oczach widział gniew.

– A jeśli każę ci, żebyś mnie zabrał?

– Wtedy będziesz musiała znaleźć kogoś innego, kto poprowadzi tę wyprawę.

– Mogłabym wtrącić cię do więzienia. – Uśmiechnęła się złowrogo. – Albo posłać na Kolec.

– Wasza Królewska Mość ma takie prawo.

Znów zapadła głucha cisza. Raesinia bez słowa odwróciła się, szarpnięciem otworzyła drzwi i znikła, strzeliwszy nimi tak, że odbiły się od framugi. Marcus się skrzywił.

Tej nocy spał zdumiewająco dobrze, najlepiej od wielu tygodni, wyciągnięty na miękkim łóżku w swoim pokoju na piętrze. Śnił o pożarze i gdy pukanie do drzwi wyrwało go ze snu, odruchowo zaczął się rozglądać, szukając płomieni.

– Co tam? – zdołał wykrztusić, mrugając i potrząsając głową. – Czy coś się stało?

– Otwórz drzwi – powiedziała Raesinia.

– Raesinia? Co się stało?

– Nic się nie stało. Po prostu otwórz.

Marcus wygramolił się z łóżka i włożył podkoszulek, po czym przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Przed pójściem spać pogasił wszystkie świece, ale nie zasłonił okien, więc prostokąt księżycowego światła padał na dywan i podkreślał cienie srebrzystą poświatą.

Zanim zdążył coś powiedzieć, Raesinia wpadła do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Marcus pospiesznie cofnął się o krok, gdy odwróciła się, by zasunąć rygiel, a potem przeszła go wzrokiem.

– Wasza Królewska Mość... – wykrztusił. – Ja... hm...

Zauważył – bo nie można było tego nie zauważyć – że Raesinia ma na sobie nocną koszulę z cienkiego jedwabiu, która w niewielkim stopniu, a właściwie wcale nie ukrywała jej kształtów. Bardzo kobiecych kształtów, musiał przyznać Marcus. Niewielki wzrost królowej sprawiał, że łatwo było zapomnieć, że jest już po dwudziestce. Kiedy z wysiłkiem oderwał oczy od tego widoku, zauważył nóż w jej prawej ręce. Długi i ostry, zapewne wzięty z rzeźnickiego zestawu w kuchni.

– Nie powinnaś tu przychodzić – rzekł Marcus. – W takim stroju. – Cofnął się o kolejny krok, starając się nie spuszczać Raesinii z oczu, a jednocześnie nie gapić się na nią. – I... może odłożyłabyś ten nóż?

– Pułkowniku Marcusie d'Ivoire – powiedziała Raesinia rozkazującym tonem. – Usiądź na łóżku i bądź cicho.

– Ja...

– Jestem twoją królową czy nie?

– Jesteś – potwierdził Marcus. – Wasza Królewska Mość.

Usiadł, a ona zrobiła krok naprzód, w prostokąt księżycowego blasku. W tym świetle jej skóra była biała jak pergamin, a oczy świetliste.

– Chcę ci coś pokazać – oznajmiła. – To coś, czego nigdy nikomu nie pokazywałam, przynajmniej dobrowolnie. Robię to, ponieważ ci ufam i nie chcę między nami żadnych więcej... nieporozumień.

Marcus z trudem przełknął ślinę.

– Nie rozumiem.

– Gdybyś kiedyś szepnął komuś o tym choć słówko, konsekwencje byłyby... straszne. Dla mnie. – Przechyliła głowę na bok. – Janus już o tym wie oczywiście. Wiem, że nic nie rozumiesz. Tylko kiwnij głową.

Marcus skinął głową.

– Szlag. – Raesinia zaczerpnęła tchu. – Boże, czasem chciałabym znów móc się upić. No dobrze. W Khandarze pomogłeś Janusowi zdobyć Tysiąc Imion, zgadza się?

– Tak. – Dreszcz przebiegł Marcusowi po plecach. – Skąd ty...

– Zatem wiesz, że czary działają naprawdę – przerwała mu Raesinia. – Wiesz, że ktoś może nosić w sobie demona.

Marcus zobaczył twarz Jen, a właściwie dwa nakładające się na siebie obrazy: spokojną i piękną, gdy z zamkniętymi oczami odpoczywała na jego łóżku polowym, oraz wykrzywioną złowrogim grymasem, gdy w desoltajskiej świątyni ciskała kruszącą skały magię.

– Wiem – odparł cicho.

– To ułatwia sprawę. Patrz uważnie i nie ruszaj się.

Raesinia podniosła lewą rękę i przyłożyła do niej nóż, którego ostrze zabłysło srebrzyście w blasku księżyca. Marcus zaczął wstawać z łóżka, zamierzając złapać ją i wyrwać jej broń, ale powstrzymała go groźnym spojrzeniem. Wytrzeszczył oczy, gdy powoli i z rozmysłem rozciąła sobie lewą dłoń. Nóż był dobrze naostrzony i z łatwością przecinał ciało, niczym dobrze upieczoną wołowinę. W ranie wezbrała krew, plamiąc ostrze i spływając strużką na podłogę.

– Wasza Królewska Mość – wykrztusił przez ściśnięte gardło Marcus. – Raesinia. Proszę.

– Tylko patrz.

Spoglądała na swoją dłoń, jakby wcale nie czuła bólu. Strużka krwi zaczęła płynąć wolniej i wyschła, zostawiając jej dłoń pokrytą posoką. Raesinia zmarszczyła brwi i otarła ją o przód koszuli nocnej, zostawiając szkarłatne smugi na jasnym materiale. Potem wyciągnęła rękę, pokazując ją Marcusowi. Skóra była cała, idealnie gładka, jakby nigdy nie zadała sobie takiej rany.

Marcus przeniósł spojrzenie z dłoni na twarz królowej. Ujrzał na niej determinację, ale także lęk, napięcie osoby, która spodziewa się ciosu.

– Jak to się stało? – zapytał.

– Orlanko. – Raesinia opuściła rękę. – Kiedyś byłam bardzo chora. Ostatni Diuk wysłał wiadomość do Elizjum, do...

– ...kapłanów Czerni.

Raesinia skinęła głową.

– Niewiele pamiętam. Jeden z nich przyszedł do mnie, zanim... odeszłam. Sprowadził mnie z powrotem, za pomocą tego czegoś. Od tej pory... – Wzruszyła ramionami. – Nie można mnie zranić, nie na długo. Nie mogę umrzeć. Strzelano do mnie, dźgano mnie, niezliczoną ilość razy spadałam z wysokich budynków, rozbijałam sobie czaszkę i łamałam kości. Wszystko się goi.

– Na jaja pierdolonej Bestii – szepnął Marcus, zapominając się i klnąc w obecności swojej monarchini.

– Mniej więcej tak. Orlanko chciał zostać regentem, kiedy mój ojciec umrze. Zamierzał mnie wydać za jakiegoś borelgajskiego księcia. Wtedy mogłabym wygodnie „umrzeć” i zostać cichaczem wywieziona do Elizjum, gdzie na wieczność zamknęliby mnie w celi. On i jego zausznicy rządiliby Vordanem i kazaliby wszystkim klękać przed Kościołem Zaprzysiężenia.

– Westchnęła. – Najwyraźniej wy i ja pokrzyżowaliśmy im szyki. Tak więc teraz Kościół chce zająć Vordan siłą. W końcu jego władczynią jest demon.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Janus. Sothe. Cora. Orlanko, rzecz jasna. Mój ojciec też wiedział, chociaż odkryłam to za późno.

– Król wiedział?

– To on poprosił Janusa, żeby spróbował znaleźć jakieś rozwiązanie. – Na moment spuściła wzrok i spochmurniała. – Próbował mnie chronić, a ja nie miałam o tym pojęcia.

Mówiąc o śmierci króla, łatwo było zapomnieć, że dla Raesinii nie był on władcą, ale ojcem. Marcus zawahał się zmieszany.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał w końcu.

Raesinia zamknęła oczy.

– Kiedyś miałam drogiego mi przyjaciela, który myślał, że grozi mi niebezpieczeństwo. Zrobił coś głupiego i teraz nie żyje. Nie on jeden. Wszyscy zawsze są tak... tak gotowi poświęcić się dla mnie i nie mają pojęcia, że to niepotrzebne. – Znów otworzyła oczy, pełne łez błyszczących w świetle księżyca. – Mam tego dość, rozumiesz?

– Ja... chyba tak.

– Zrozumiem, jeśli uznasz mnie za... potwora, demona i tak dalej. Proszę jednak, zrozum, że chodzi mi tylko o dobro Vordanu. Tylko tyle. Nie prosiłam się o to wszystko.

– Wiem. – Marcus pokręcił głową. – Nigdy bym nie...

– W porządku. Jestem potworem. Pewnego dnia opuszczę królestwo i nigdy nie wrócę. – Zacisnęła zęby. – Jednak nie wcześniej, niż gdy Vordan będzie bezpieczny.

– Raesinio... – Marcus zamilkł, nie wiedząc, co powiedzieć. Zapadła długa cisza.

– Cóż. Teraz już wiesz.. – Raesinia otarła nóż o koszulę nocną, brudząc ją jeszcze bardziej. – Cora zostaje, ja idę. Zgoda?

– Zgoda – odparł Marcus.

– Dobrze. – Raesinia odwróciła się. – Prześpij się trochę. Jutro czeka nas długi dzień.

– Raesinio! – zawołał Marcus, gdy dochodziła do drzwi.

Obejrzała się.

– Co?

– Masz. – Przeszedł przez pokój, omijając plamę krwi, po czym wręczył jej złożony szlafrok. – Strażnicy mogą robić obchód. Nie chcesz wywołać... zdziwienia.

– Ach. – Raesinia popatrzyła na siebie. – Słuszna uwaga.

Raesinia

Właściwie, pomyślała, obserwując następnego dnia, jak Marcus omawia plan wypadu, poszło najlepiej, jak można się było spodziewać.

Ta jedwabna koszula nocna była zapewne lekką przesadą, ale zawsze nienawidziła tego niepraktycznego ciuszka i dobrze było znaleźć wreszcie pretekst, żeby rzucić ją w ogień, folgując przy tym sporadycznemu zamięłowaniu do melodramatu. I musiała przyznać, że miło jest widzieć, jak Marcus wytrzeszcza oczy.

Rzucona mimochodem uwaga Viery sprawiła, że zaczęła rozmyślać o Marcusie. Od czasu powrotu z Khandaru nie szukał kobiecego towarzystwa, ale nie słyszała niczego, co by sugerowało, że ma gdzieś jakąś stałą towarzyszkę albo preferuje mężczyzn. Jego pruderia sprawiała, że trudno było sobie wyobrazić go – na przykład – chodzącego do burdelu, ale trudno było sobie wyobrazić, że jako zawodowy żołnierz nigdy tego nie robił. Może to robi, ale potem ma poczucie winy. To by pasowało do Marcusa.

Teraz Viera była mocno zapracowana w dawnym salonie Bliźniaczych Wieżyczek, mieszając i mieląc przy świetle dziennym. Entuzjastycznie przyjęła ostrożną propozycję Raesinii i nawet nie pytała, co właściwie planują, tylko zabrała się do pracy. Chyba naprawdę cieszy ją wysadzanie różnych rzeczy. Natomiast Andy z imponującą szybkością zdobyła łódź i inne potrzebne wyposażenie. Cokolwiek myślał o tym Marcus, Raesinia była zadowolona z tego, że dziewczyna jest z nimi. Do diabła, chciałabym mieć parę takich jak ona przed rewolucją.

Marcus, omawiając szczegóły planu z Uhlanem i Hayverem przy stole z rozłożoną mapą, zauważył Raesinię i się wyprostował. Dał im znak, żeby kontynuowali, i ruszył ku niej z ponurą miną. Raesinia zgrzytnęła zębami. Niech mi nie mówi, że zmienił zdanie.

– Myślałem o tym, o czym rozmawialiśmy w nocy – rzekł cicho. – Mam pytanie.

Skinęła głową i przeszli do sąsiedniego pokoju zastawionego meblami poznoszonymi z całego domu. Było tu zaledwie dość miejsca, żeby stanąć między ustawionymi jedno na drugim krzesłami oraz spiętrzonymi stołami, więc była pewna, że nikt ich nie podsłucha.

– Co to za pytanie?

– Powiedziałaś, że Cora wie?

Raesinia wydeła wargi.

– Ona wie... trochę. Widziała, jak postrzelono mnie w Vendre, ale nie pytała, jak przeżyłam.

Raesinia kilkakrotnie o mało nie wyznała jej wszystkiego, ale obawiała się, że dla Cory ta prawda może być zbyt wielkim ciężarem. Musi się dowiedzieć, kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

– A co z innymi z twojej starej grupy? – spytał Marcus. – Co z Mauriskiem?

– To jest... trudne. – Raesinia westchnęła przeciągle. – Spotkałam się z Mauriskiem po rewolucji i powiedziałam mu, że tamtego dnia zginął mój sobowtór. Naprawdę nie wiem, czy w to uwierzył czy nie. Jeśli to on stał za zamachem bombowym, to zapewne kupił moją bajeczkę, inaczej wiedziałby, że nie zdoła mnie zabić.

– Chyba że... – Marcus podrapał się po brodzie. – Coś mi tu nie pasuje. Wiemy, że w

mieście jest Przeklęty Penitent...

– Wiemy? – zdziwiła się Raesinia. – Skąd?

– Janus zostawił pewne... źródła informacji – odparł Marcus. – Jednak kapłani Czerni wiedzieliby o twoich... umiejętnościach, więc też nie próbowaliby cię wysadzić.

– Ten ktoś umieścił bombę pod nosem Gwardii Patriotycznej – przypomniała Raesinia. – Co prowadzi wprost do Mauriska lub kogoś blisko niego.

– Racja. – Marcus przewrócił oczami. – Święci i męczennicy, dajcie mi wrogów noszących mundury. Wtedy wiem, do kogo mam strzelać.

– Myślałeś o tym, co zrobimy, jeśli znajdziemy dowód, że Maurisk był w to zamieszany?

Marcus skinął głową.

– Jutro odbędzie się posiedzenie Zjazdu Generalnego. Znów ubierzesz się jak królowa. Wmaszerujesz na salę i przedstawiś dowód. Wtedy Durenne nie będzie mógł milczeć. Możesz zażądać, żeby deputowani cofnęli uprawnienia Dyrektoriatowi i oddali komuś innemu dowodzenie Gwardią Patriotyczną.

– Jeśli Maurisk wciąż myśli, że jestem na wsi, to powinno go zaskoczyć – powiedziała Raesinia. Westchnęła. – Martwię się o Sothe.

– Byłbym skłonny bardziej martwić się o tego, kto spróbuje jej sprawiać kłopoty.

Wargi Raesinii wygięły się w nikłym uśmiechu.

– Ja też.

Spędzili godzinę w przytułku pani Feldy, przebierając się i czekając, aż ostatnie promienie słońca zgasną na niebie, a potem wyruszyli do doków Starego Miasta. Łódź obiecana przez znajomego Andy już czekała; płaskodenka, którą można było poruszać na pych lub wiosłując. Ośmiu mężczyzn i dwie kobiety weszli na pokład, a siedzący przy sterze Marcus odepchnął łódź od brzegu.

Mierantajscy strzelcy byli w cywilnych ubraniach i długich płaszczach, nierzucających się w oczy późną jesienią. Podczas szybkiego marszu ulicami chowali pod nimi swe długie karabiny, ale teraz wyjęli je, ufając, że w mroku będą niewidoczne dla innych przepływających po rzece. Ruch i tak był niewielki; przed wojną łodzie pływały przy świetle latarni, lecz ponieważ handel zamierał, rzadko ktoś miał powód, by ryzykować nocny rejs. Ponadto krążyły plotki, że bandyci znów atakują z kryjówek na Wyspie Złodziei, rabując nieostrożnych podróżnych.

Andy i Hayver mieli muszkiety i pistolety, a także miecze z małej zbrojowni w Bliźniaczych Wieżyczkach. Oboje mieli niepewne miny. Hayver nieustannie dotykał broni, wielokrotnie powtarzając jakieś zapamiętane czynności, natomiast Andy sprawiała wrażenie, że wolałaby zamiast broni palnej i białej jakąś długą ciężką pałkę. Marcus też był uzbrojony w pistolet i swoją wysłużoną szablę, bardziej pasującą do cywilnego ubrania niż do galowego mundur. Raesinia miała parę pistoletów, chociaż sama przyznawała, że bardziej dla efektu, niż aby poważnie zagrozić jakiemuś napotkanemu wrogowi.

Podróż była łatwa, gdyż płynęli z prądem i Marcus trzymał łódź blisko brzegu. Raesinia miałaby kłopot ze znalezieniem magazynu numer 192 w szeregu ciągnących się wzdłuż brzegu ceglanych budynków o ciemnych oknach, lecz Andy wskazała go, kiedy się doń zbliżali. W pobliżu drzwi frontowych wisiała zapalona latarnia, a dwie inne oświetlały małą dwupokładową łódź przycumowaną do krótkiego kamiennego mola.

Wszyscy obserwowali ten cel ich podróży. Kiedy go minęli, Marcus zaczął zmieniać kurs, aż ich płaskodenka otarła się o błotnisty brzeg. Jeden z Mierantajów wyskoczył, trzymając zwój liny, po czym pomógł utrzymać łódź w miejscu, gdy wszyscy wysiadali. Marcus wręczył tyczkę porucznikowi Uhlanowi, który miał zostać tam z dwoma strzelcami i narobić zamieszania.

Viera napełniła trzy butelki po winie jakimś gęstym płynem, który jej zdaniem miał się błyskawicznie zapalić nawet na wilgotnej powierzchni i nie tylko podpalić drewno, ale wytworzyć gęste kłęby czarnego dymu. Gdy wszyscy wysiedli – przy czym Hayver o mało nie ześliznął się z błotnistej brzozy i przemoczył sobie spodnie do kolan – Uhlan znów zepchnął łódź na wodę, a jego ludzie chwycili za wiosła. Powoli popłynęli w górę rzeki, pod prąd, ku światłom na łodzi gwardzistów.

Pozostali stanęli w zaułku między magazynem 192 a sąsiednim, oświetlonym tylko światłem księżycy. Marcus miał przyciemnioną lampę, którą odsłonił odrobinę, na tyle, by rzuciła plamę blasku na ścianę budynku. Ceglany mur był otynkowany, poszarzały ze starości i zwietrzały w miejscach, gdzie deszcz zmył wapno.

– Drzwi są bliżej rzeki – szepnął Marcus. – Jakies pięćdziesiąt kroków stąd.

Andy skinęła głową i wyjęła zza pasa długi myśliwski nóż. Podeszła do narożnika budynku i zaczęła odmierzać kroki, licząc je po cichu. Gdy doszła do czterdziestu, zaczęła dźgać nożem tynk, nasłuchując skrobnięć żelaza o cegły pod spodem. Przy pięćdziesięciu dwóch nóż stuknął o drewno.

– To tutaj – rzekł Marcus, gestem posyłając Mierantajów naprzód. – Zobacz, ile tynku zdołasz odbić, ale nie rób hałasu.

Raesinia stała obok Hayvera, wypatrując oznak jakiegoś ruchu w mroku u wylotu zaułka, podczas gdy żołnierze nożami atakowali ścianę. Wielkie kawały tynku odpadały, pokrywając ubrania białym pyłem i spadając kaskadami na ziemię. Po paru minutach mogli już rozróżnić zarys drzwi, od dołu do góry zabitych deskami, a także ceglana obmurówkę wokół nich.

Dwaj strzelcy wyjęli łomy i stanęli w gotowości. Marcus podniósł rękę i patrzył w górę rzeki, czekając.

Umówionego znaku nie można by przeoczyć. Przeciągle stęknienie przeleciało echem po rzece, tylko nieznacznie wyprzedzając o wiele głośniejszy huk. Płomienie strzeliły w niebo, widoczne ponad dachem magazynu i odbite w tafli wody. Po chwili gwiazdy zamigotały i przygasły, oświetlając słup czarnego dymu. Na uliczkach rozległy się krzyki przestraszonych ludzi.

– Naprzód! – rozkazał Marcus. – Usuńcie deski!

Dwaj Mierantajowie energicznie zaatakowali drzwi, odrywając deski, czemu towarzyszyła seria trzasków i chrupnięć, które byłyby głośnie jak strzały z muszkietu, gdyby nie szum płonącej łodzi. Kiedy odsłoniły się stare drzwi, Marcus przejął jeden łom i zerknąwszy na Raesinię, wepchnął go w szparę drzwi tuż przy zamku.

– Uprzejmi złodzieje? – spytała.

– Właśnie.

Uśmiechnął się i całym ciężarem ciała naparł na łom. Zamek ustąpił z trzaskiem łamanego drewna i drzwi się otwały.

Weszli do środka i w ciemność. Marcus trzymał latarnię przysłoniętą, dopóki nie przymknęli

drzwi za sobą, a potem odsłonił ją na tyle, by dwaj żołnierze mogli zapalić lampy sztormowe ze szklanymi osłonami. Kiedy rozbłysły, w magazynie zatańczyły i zafalowały cienie, a na polerowanym metalu zapaliły się ogniste punkciki. Raesinii zaparło dech.

– To sporo armat – zauważyła Andy.

Stały rzędem, oś w oś i szereg za szeregiem, co najmniej trzy tuziny różnego kalibru. Obok nich piętrzyły się skrzynki, które – jak domyśliła się Raesinia – zawierały amunicję. Taka sama liczba jaszczy, małych wózków ciągniętych za działami jadącymi na pozycje, stała w równych rzędach. Dalej wznosił się ciemny wzgórek beczulek; Raesinia szybko oszacowała ich wielkość i wykonała w myślach kilka szybkich obliczeń.

– To chyba większość tego, co pominięto w dokumentach młyna prochowego – orzekła. – Chyba nie zdawałam sobie sprawy, ile tego naprawdę jest. Wygląda na to, że jest tu dość prochu...

– Dla całej armii – ponuro dokończył Marcus. Wskazał miejsce za beczułkami, gdzie Raesinia zobaczyła kolejne skrzynie wielkości i rozmiarów trumien. – W tamtych są muszkiety. Wystarczyłoby dla dziesięciu pułków.

– Myślałam, że Maurisk robi bomby – powiedziała Andy. – Co zamierza zrobić z tym wszystkim?

– To musi być arsenał Gwardii Patriotycznej – orzekł Marcus. – Halabardy są dobre dla wartowników przed budynkami, ale z tym..

– Musi mieć przyjaciół nie tylko w młynach prochowych, ale i w fabrykach zbrojeniowych. – Raesinia uniosła lampę. – Dalej, rozproszmy się.

– Czego szukamy? – spytał Hayver.

– Papierów. – Raesinia spojrzała na równe rzędy skrzyń i armat. – Nikt nie składa je bez uzbrojenia bez dokumentacji.

Na środku magazynu znaleźli biurko magazyniera zawałone papierzyskami. Raesinia pospiesznie przeglądała je, a Marcus i Andy stali przy niej, podczas gdy Hayver i trzej Mierantajowie nadal przetrząsali magazyn, ostrożnie zbliżając się do drzwi frontowych.

– No? – zagadnął Marcus grzebiącą w papierach Raesinię. – Moglibyśmy zabrać wszystkie.

– Nie wiem, czy jest tu coś użytecznego – odparła. – Wiele jest zapisanych szyfrem.

Odsunęła na bok stertę zaszyfrowanych dokumentów i kątem oka zauważyła skrawek czytelnego tekstu. Były to rozkazy zapisane na cienutkim pergaminie i opatrzone nagłówkiem **ZASZYFROWAĆ I ZNISZCZYĆ**.

– Pozostawianie zwykłego tekstu po jego zakodowaniu? – mruknęła Raesinia, przeglądając je. – Niedbalstwo, zwyczajne niedbalstwo. Sothe nauczyłaby was paru rzeczy.

Większość rozkazów, sprzed co najmniej dwóch tygodni, dotyczyła transportu tych materiałów przez miasto. Wszystkie były niepodpisane. Odłożyła je na bok, z rosnącym rozczarowaniem. Musi tu być coś, co łączy z tym Mauriska. Gdy spiskowali razem, był zręcznym konspiratorem, ale nie zawsze ostrożnym. Musiał popełnić jakiś błąd.

Tutaj. Obszerny dokument z nagłówkiem **DYREKTORIAT OBRONY NARODOWEJ**. Lista nazwisk... Powiodła po niej wzrokiem i wróciła na początek.

„Dla bezpieczeństwa państwa i ze względu na stan wyjątkowy następujące osoby mają zostać aresztowane przez siły...”

– Stan wyjątkowy... – szepnęła do siebie Raesinia, przeglądając listę. Pierwsze widniało na

niej nazwisko Giles'a Durenne'a. – Marcusie, mam to.

– Masz co? – zapytał Marcus, ślęczący nad inną kupką papierów.

– Patrz.

Podsunięła mu listę pod nos.

Czytał przez chwilę, marszcząc brwi.

– Połowa tych osób to deputowani. A Durenne?

– To przewrót – powiedziała Raesinia. – To niemal cała elita radykałów i wielu ich sprzymierzeńców.

– Miło widzieć, że zasłużyłem na wzmiankę – mruknął Marcus.

Raesinia znów spojrzała na dokument. Nazwisko pułkownika Marcusa d'Ivoire znajdowało się wśród oficerów różnych rang.

– Ten dokument nosi datę sprzed dwóch dni – zauważył Marcus.

– Szykuje się. – Raesinia rozejrzała się po magazynie. – Chyba niedługo...

Usłyszeli zgrzyt metalu i frontowe drzwi magazynu uchyliły się odrobinę, wpuszczając pośpenny blask płonącego na zewnątrz stateczku. Marcus pospiesznie zamknął przysłonę latarni i opadł na klęczki, a Raesinia poszła za jego przykładem. Andy schowała się za najbliższym stojącym jaszczem. Raesinia zobaczyła, jak inna lampa w pobliżu drzwi gaśnie, gdy Hayver zdmuchnął płomień i ukrył się.

– Do licha – szepnął Marcus. – Myślałem, że będziemy mieli więcej czasu.

Raesinia poczuła przeszywający ból głowy, pulsujący przy każdym uderzeniu serca. Zamrugła, oddychając głęboko, i nieco zelżał, pozostawiając jej w ustach metaliczny posmak.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Co teraz?

– Miejmy nadzieję, że odejdą.

– A jeśli nie?

Wzruszył ramionami.

– To zobaczymy, czy zechcą ryzykować otwieranie ognia w pobliżu takiej ilości prochu.

Drzwi otworzyły się szerzej. Łódź wciąż płonęła z trzaskiem płomieni, ale przez ten szum przebił się inny dźwięk, metaliczny brzęk powtarzający się co kilka sekund. Na moment wstrzymała oddech, a potem wyjrzała zza biurka, gdy w rozległym magazynie roztańczyły się dziwne cienie. Czterej mężczyźni z szarfami Gwardii Patriotycznej usiłowali otworzyć przesuwane drzwi. Dwaj inni z muszkietami w rękach stali, wpatrując się w ciemność, ale uwagę Raesinii przykuła postać obok nich. Stara i siwowłosa kobieta podpierała się długą laską o gruzłowatej rękojeści. Koniec laski zapewne był okuty metalem, ponieważ przy każdym uderzeniu o kamienne płyty posadzki pobrzękiwał metalicznie i krzesał iskierki.

Starucha wyciągała przed siebie jedną rękę, nad którą unosiło się coś jakby miniaturowe słońce. Ta ognista kula miała wielkość ludzkiej głowy, a pod jej idealnie gładką powierzchnią kolory zmieniały się i mieszały, jakby ktoś zamknął szalejący pożar w szklanym naczyniu. Gdy kobieta poruszała ręką, ognista kula powtarzała ten ruch, jak przywiązana sznurkiem do jej palca.

Raesinia nabrała sporej wprawy w błyskawicznym wyciąganiu wniosków. Nic pochodzącego z tego świata nie mogłoby trzymać w dłoniach kuli ognia, tak więc zostawało tylko kilka innych możliwości.

– To jedna z nich – syknęła. – Penitentów. Musimy wynieść się stąd natychmiast.

Marcus zaryzykował i też zerknął.

– Na jaja pierdolonej Bestii – mruknął. – Nie mówisz poważnie.

Raesinia pomachała do Andy, wskazując jej drzwi. Dziewczyna kiwnęła głową i znikła w mroku między jaszczami. Marcus schował się za biurkiem, a Raesinia pociągnęła go za ramię. Na czworakach poprowadziła go między stertami uzbrojenia.

– Jesteś tu – powiedziała starucha chrapliwie i niemal niezrozumiale z powodu ciężkiego murnskajskiego akcentu. – Czuję cię. Nie chowaj się.

Podniosła rękę i fragment ognistej kuli oddzielił się i uniósł pod sufit. Rozjarzył się przy tym jak słońce, zalewając cały magazyn upiornym zimnym blaskiem. Cienie znikły.

– Tam! – krzyknął jeden z gwardzistów i wszyscy wycelowali muszkiety.

Jednocześnie zza skrzyń z bronią wysunęły się długie lufy mierantajskich karabinów. Strzały padły niemal jednocześnie i rozbłyśki przyćmiły jaskrawe światło. Kule odbijały się od metalu lub głucho uderzały w drewno skrzyń i jeden z gwardzistów padł z krzykiem, brocząc krwią.

– A mieliśmy to zrobić po cichu – mruknęła Raesinia.

– Odwrót! – krzyknął Marcus, przyklękając i wyciągając pistolet. – Wszyscy wracać!

Mierantajowie wycofali się zza skrzyń z muszkietami, biegnąc nisko schyleni, żeby utrudnić wrogom celowanie, Hayver tylko stał, dobrze widoczny. Ci czterej gwardziści, którzy mocowali się z drzwiami, teraz wycelowali muszkiety, ale Andy strzeliła i rozpierzchli się, szukając osłony, nim zdążyli wystrzelić. Starucha spojrzała na nich z pogardą.

– Zastrzelcie ją! – syknęła Raesinia. Chwyciła jeden ze swych pistoletów, wycelowwała i wypaliła, gdy wyglądało na to, że gwardziści znów szykują się do otwarcia ognia. Byli za daleko, żeby ktoś o jej znikomych umiejętnościach strzeleckich mógł któregoś trafić, i oprócz ponownego zmuszenia wrogów do ucieczki strzał nie przyniósł żadnego widocznego rezultatu. Odrzuciła wystrzelony pistolet i chwyciła drugi. – Marcusie! Każ im zastrzelić tę kobietę.

Huknął muszkiet i jeden z Mierantajów zatoczył się, z trzaskiem wpadając na stertę skrzyń. Dwaj jego towarzysze pospiesznie poszukali osłony, a Andy wychyliła się i znów wypaliła, krzesząc kulą skry z kamiennej ściany. Raesinia dostrzegła Hayvera pospiesznie chowającego się za skrzynią i gorączkowo ponownie nabijającego muszkiet. Starucha kontynuowała swój niespieszny marsz, postukując laską o posadzkę, a za jej plecami gwardziści strzelali, wychylając się zza drzwi i znów chowając. Jeden z nich celował za długo i suchy trzask mierantajskiego karabinu rozciągnął go na podłodze.

Hayver wychylił się zza swej osłony, przykładając muszkiet do ramienia i celując w kobietę z odległości mniejszej niż sześć metrów. Zdążyła odwrócić głowę, zanim jego broń plunęła ogniem i dymem. Ognista kula śmignęła w powietrzu, z błyskawiczną prędkością zasłaniając staruchę. Coś opryskało odzienie kobiety dymiącymi kroplami.

Stopiła kulę z muszkietu...

– Hayver! – krzyknął Marcus. – Wracaj!

Hayver cofnął się, upuszczając muszkiet i sięgając po pistolet. Zawadził o stertę skrzyń z muszkietami i potknął się, z trzaskiem zrzucając najwyżej leżące na posadzkę. Umieszczona w wyłożonych słomą skrzynkach broń rozsypała się po podłodze.

Stara kobieta z uciechą na twarzy wyciągnęła rękę. Ognista kula znów się podzieliła i mała

jej część przemknęła w powietrzu i uderzyła w pierś Hayvera. W mgnieniu oka spowiły go płomienie, jakby oblano go naftą, otaczając kulą ognia, który rozżarzył się do białości. Ładunek prochowy pistoletu, który trzymał w dłoni, eksplodował, ochlapując jego krwią posadzkę, ale Hayver już i tak wrzeszczał. Jego rozczochrane włosy zdawały się jarzyć, gdy każde ich pasmo spalało się krótkim jasnym płomieniem.

– Hayver! – Andy przyłożyła muszkiet do ramienia, wycelowała w kobietę i ściągnęła spust. Iskry trysnęły z panewki, ale chyba zbyt pośpiesznie ładowała broń, ponieważ ta nie wypaliła.

Huknął inny strzał, oddany przez Mierantaja. Kula ognia znów zasłoniła kobietę, opryskując ją stopionym ołowiem, który zignorowała, jakby to były krople deszczu. Następny ogniasty pocisk śmignął w powietrzu i strzelec stanął w płomieniach.

– Uciekać! – krzyknął Marcus.

Raesinia zobaczyła, jak Hayver pada, już tylko jako ciemna sylwetka w piekielnej kuli ognia. Starucha spojrzała na niego i wyciągnęła rękę, a spowijające go płomienie natychmiast pomknęły z powrotem ku niej, łącząc się z unoszącą się przed nią kulą. Pozostawiły po sobie dymiący zwęglony kształt ledwie rozpoznawalny jako ludzkie szczątki.

Marcus już był w połowie drogi do drzwi, a Andy tuż za nim. Trzeci Mierantaj skrył się za beczkami z prochem, ładując karabin, z ponurą miną człowieka spoglądającego w twarz śmierci. Starucha zabrała swe płomienie z jego płonącego towarzysza, przywołując je niczym średniowieczny sokolnik swojego ptaka.

Nie uda się nam uciec. Raesinia wycofywała się między stertami skrzyń, nie zważając na kule z muszkietów gwardzistów, które ze świstem przelatowały wokół. Mierantaj podniósł się i strzelił, lecz skutkiem był tylko kolejny deszcz stopionego ołowiu i rzucona przez staruchę kula ognia. Gdy płonął, wybuchła ładownica przy jego pasie, niemal rozrywając go na pół. Starucha parsknęła chrapliwym śmiechem.

Marcus i Andy dotarli do ostatniego rzędu dział, lecz od tylnych drzwi dzieliła ich otwarta przestrzeń. Jeśli spróbują tamtędy przebiec, ona ich spali. Widocznie też doszli do tego wniosku, gdyż Marcus chwycił Andy za rękę, przytrzymując ją w bezpiecznym cieniu dział. Raesinia znalazła się między skrzyniami i jaszczami, gdzie skuliła się, gdy starucha, Przeklęty Penitent, zaczęła się do niej zbliżać.

Spojrzenie Raesinii padło na najbliższą skrzynię. Jej wieko nie było przybite. Uniosła je jednym palcem i zobaczyła, że skrzynia jest pełna lnianych woreczków. Jej wiedza o sztuce artyleryjskiej była mocno ograniczona, ale Raesinia domyśliła się, że są to odmierzone porcje prochu, do szybkiego ładowania w ogniu bitwy. Każdy woreczek był wielkości jej pięści. Nie mogą być bardzo ciężkie...

Ostrożnie wyjęła jeden woreczek i zamknęła skrzynię. Zważyła ładunek w dłoni, oceniając jego ciężar, a potem niespieszny marsz staruchy. Jeszcze kilka kroków. Marcusie, tylko zaczekaj chwilę...

– Biegnij, Andy! – usłyszała jego krzyk.

Dziewczyna pobiegła, a on wstał z pistoletem w dłoni. Stara uśmiechnęła się.

Niech szlag trafi wszystkich rycerskich palantów!

Raesinia zerwała się na równe nogi, gdy huk wystrzału odbił się echem w magazynie. Zrobiła krok naprzód, zamachnęła się i z całej siły cisnęła ładunkiem prochu w staruchę.

Nie był to zbyt celny rzut – zapewne woreczek ledwie doleciałby do nóg staruchy. Jednak

tak jak Raesinia się spodziewała, ognista kula instynktownie śmignęła, zagradzając drogę pociskowi. Prochowy ładunek eksplodował z potwornym rykiem, rozrywając płonąca kulę. Jej fragmenty rozleciały się na wszystkie strony po magazynie, jak skry z krzesiwa. Stojąca pośrodku nich, spowita płomieniem starucha przyklęła.

– Biegiem! – zawołała Raesinia, co sił w nogach biegnąc do drzwi.

Andy już przez nie wybiegła, a Marcusa nie trzeba było ponaglać. Rzucił pistolet i pobiegł.

Zaraz wszystko wybuchnie. Magazyn był pełen prochu – wprawdzie bezpiecznie zapakowanego, ale nikt nie przewidział, że baryłki zostaną opryskane płynnym ogniem. Boże Wszchemogący. Wybuch zmiecie połowę Doków. Mimochodem zadała sobie pytanie, jak się poczuje dosłownie rozerwana na kawałki lub tylko spopielona. Jeśli zostanie rozerwana na kawałki, który z nich będzie trzymał więź? Serce?

Każdy krok w kierunku drzwi zdawał się wydłużać. Gdy w końcu do nich dotarła, nie mogła się oprzeć chęci zerknięcia przez ramię. Starucha już stała, z twarzą pociemniałą w skupieniu. Wszędzie wokół niej kawałki i strzępy płomieni unosiły się i pędziły ku jej dłoni, niczym w odwróconej eksplozji.

Cóż, dzięki i za to.

Uhlan czekał z łodzią przy nabrzeżu, choć nigdzie nie było widać tych dwóch ludzi, którzy mu towarzyszyli. Andy pierwsza przeszła przez burtę, a Marcus zaraz za nią, pospiesznie odpychając łódź. Wyciągnął rękę, gdy łódź, kołysząc się, odbijała od brzegu, a Raesinia złapała jego przegub. Szarpnięciem wciągnął ją do łodzi, ściągając na siebie, tak że oboje rozciągnęli się na jej dnie, w dwóch centymetrach brudnej wody.

– Jak najdalej od brzegu! – wysapał Marcus. – Natychmiast!

Uhlan już to robił, odpychając płaskodenkę od nabrzeża. Raesinia złapała się relingu, obserwując brzeg i spodziewając się ujrzeć na nim postać z kulą ognia. Starucha jednak się nie pojawiła i po paru minutach mrok nocy pochłonął magazyn 192.

Porucznik Uhlan poprowadził łódź tak daleko od brzegu, że tyczka nie sięgała dna i musieli wiosłować. On i Marcus chwycili wiosła i łódka pomknęła po ciemnej wodzie ku słabym światłom Wyspy.

– Penitent – powiedziała Raesinia do Marcusa, nie przejmując się tym, czy Uhlan i Andy to usłyszą. – To była jedna z nich. Przeklętych Penitentów.

– Na to wygląda – mruknął zasapany od wiosłowania.

– Maurisk współpracuje z kapłanami Czerni.

Marcus przytaknął jej nieartykułowanym pomrukiem.

– Ten zakłamany, podstępny pierdoła – syknęła Raesinia. – Po tym wszystkim, co mówił... – Zamilkła, wciąż lekko oszołomiona. – Co, do diabła, teraz zrobimy?

– Wrócimy do Bliźniaczych Wieżyczek – odparł Marcus. – Ostrzeżemy Janusa.

CZEŚĆ TRZECIA

Dyrektoriat Obrony Narodowej

Maurisk drżącą dłonią podniósł butelkę flaghaelen i przechylił ją nad szklaneczką. Po chwili jedna bursztynowa kropla wypłynęła z butelki, na moment zawisała na brzegu, a potem upadła na dno szklaneczki. Maurisk popatrzył na smugę płynu, zgrzytnął zębami i odsunął szklaneczkę oraz butelkę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Co tam? – warknął Maurisk.

– Jest tu Zacaros, panie przewodniczący – powiedział przez drzwi Kellerman.

– W końcu. Wprowadź go.

Dowódca Gwardii Patriotycznej najwyraźniej zdążył włożyć swój elegancki nieskazitelny mundur albo miał go na sobie całą noc. Maurisk nie obstawiałby żadnej z tych dwóch możliwości. Choć jednak jego złociste koronki były starannie wygładzone, to włosy miał w nieładzie, niewprawnie zaczesane na łysinę, i pot spływał mu po tłustej twarzy z podwójnym podbródkiem.

– Panie przewodniczący – powiedział z ukłonem. Zacaros nie salutował cywilom, co Maurisk uważał za śmieszne u człowieka, który jeszcze kilka miesięcy temu był bankierem. – Przybyłem tu, gdy tylko poinformowano mnie, jak wygląda sytuacja.

– Naprawdę? – rzekł Maurisk. – To może mnie oświecisz, jak wygląda ta sytuacja.

Maurisk został już poinformowany – praktycznie skarcony – przez Ionkovo. I niech demony jak najszybciej pożrą tego bezczelnego kapłana. Lepiej jednak nie wyjawiać tego nikomu, a już na pewno nie Zacarosowi. Dowódca Gwardii Patriotycznej był głupcem, ale ambitnym.

– Magazyn 192 został zaatakowany przez nieznane siły – zaczął Zacaros. – Naszą łódź spalono, a napastnicy wdarli się do budynku przez ukryte drzwi i wyrządzili niewielkie szkody. Potem najwyraźniej doszło do potyczki i... – przerwał. – Jej wynik nie jest jasny. Znalaziono wiele całkowicie spalonych ciał, jakby zanurzono je w nafcie. Wszyscy nasi ludzie, którzy pilnowali magazynu, zostali zabici.

To na pewno robota agentki Ionkovo. Przeklęty Penitent nazywał ją Popiół. Szkoda tych ludzi pilnujących magazynu; wybrał ich ze względu na ich lojalność. Jednak Ionkovo ostrzegł go, że każdy, kto widział jego agentów przy pracy, zostanie zlikwidowany i Maurisk musiał się na to zgodzić. Jak mówi stare przysłowie: „Trzy osoby dochowają tajemnicy, tylko jeśli dwie z nich spoczną na dnie rzeki”.

– Czy zidentyfikowano tych napastników?

– Nie. Przy niespalonych ciałach nie znaleziono żadnych dokumentów. Sądzę, że byli zbirami wynajętymi w Starym Mieście, i moi ludzie już tam rozpytują.

Jeśli było jakieś bardziej bezproduktywne zajęcie od zadawania niedyskretnych pytań w Starym Mieście, to Maurisk go nie znał. Może zdawanie się na rozsądek takich idiotów. Zacaros był użyteczny tylko ze względu na lojalność jego ludzi i gotowość do słuchania rozkazów.

– Ważniejsze jest – powiedział Maurisk – czy wiemy, co zabrali.

– Nie wiadomo – odparł Zacaros. – Nic, co miałoby znaczenie militarne.

– Nie martwię się tym, że mogli ukraść jakieś działo. Czy było tam coś, co może nas skompromitować?

– Możliwe. Być może kopie kilku rozkazów...

– Te rozkazy miały być zniszczone po zaszyfrowaniu!

– Magazynierzy mogli być... niedbali. Wydaje się jednak, że atakujący zostali zaskoczeni, zanim zdążyli przejrzyć papiery.

Wydaje się. Maurisk zabębnił palcami po biurku. Teraz mógł podjąć tylko jedną decyzję, wykonać jeden rzut kośćmi, który może doprowadzić do sukcesu, ale wciąż się wahał. A niech to szlag. Potrzebuję więcej czasu.

– Ja... – zaczął Zacaros.

– Zamknij się. Rozpocznijemy prędkiej.

Dowódca Gwardii Patriotycznej zamrugał.

– Kiedy?

– Już. Dziś wieczór.

– To niemożliwe – rzekł Zacaros. – Potrzebujemy czasu, żeby przygotować...

– Mielicie na to całe tygodnie. Jeśli nie jesteście gotowi teraz, to nigdy nie będziecie. Wszystkie rozkazy już zostały wydrukowane. Musisz tylko je rozesłać. Jeśli wróg, kimkolwiek jest, wie o magazynie, wkrótce będzie wiedział o wszystkim. To nasza jedyna szansa, żeby nie stracić przewagi zaskoczenia.

– Ale...

– Nie zapominaj, że chodzi też o twoją głowę. – Maurisk uśmiechnął się złowrogo. – A raczej o Kolec. Ten drań Durenne zawsze lubił poetycką ironię.

Zacaros przełknął ślinę, ocierając dłonią łysinę i jeszcze bardziej mierzwiąc swoje włosy. Po chwili Maurisk zobaczył w jego oczach błysk determinacji. Były bankier podniósł się i stanął na baczność – na tyle, na ile pozwalała mu na to jego nadmierna tusza.

– Jak pan każe. Natychmiast się tym zajmę.

– Chcę otrzymywać raporty na bieżąco.

– Oczywiście. – Zacaros znów skłonił głowę. – Wybacz pan.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył do drzwi. Kiedy odszedł, do gabinetu zajrzał Kellerman.

– Panie przewodniczący? Czy mogę...

– Drinka. – Maurisk pomachał pustą butelką.

– Sądzę, że to była ostatnia butelka flaghaelen, proszę pana.

– Nieważne co, do diabła. Po prostu przynieś mi jakiegoś drinka!

– Tak jest, proszę pana.

Maurisk wyciągnął się na fotelu i czekał.

Trzy godziny. Trzy godziny od rozpaczki do euforii.

I miało to niewiele wspólnego z kiepskim białym winem, które gdzieś zdobył Kellerman. Maurisk gapił się w kieliszek, wyobrażając sobie, jak jego rozkazy rozchodzą się po śpiącym mieście, i myśląc o wszystkim, co mogło pójść źle. Zacaros mógł go zdradzić lub po prostu spaprać robotę. Gwardia Patriotyczna mogła zawieść, pomimo wszystkich starannych przygotowań. Radykałowie mogli być lepiej przygotowani, niż się zdawało. Bestia Sądnego Dnia mogła się pojawić na placu Triumfu Farusa, aby ogłosić Kres Dni. Czekanie.

A teraz...

Słynny nos Giles'a Durenne'a został paskudnie złamany, a teraz przybrał krwistoczerwony kolor i spuchł tak, że był dwukrotnie większy niż normalnie. Maurisk przyglądał się przywódcy radykałów, gdy dwaj gwardziści rzucili go na klęczki przed jego biurkiem, i

zdecydował, że to mu się podoba. I tak praktycznie jest błaznem.

Przez kilka ostatnich tygodni zastanawiał się, co powie Durenne, gdy w końcu do tego dojdzie. Nawet sam się ze sobą o to zakładał. Teraz czekał, napawając się chwilą, gdy minister wojny zakaszłał i splunął krwią na podłogę.

– Czyś ty... – wykrztusił Durenne zmienionym głosem. – Czyś ty oszalał?

Straszliwie trywialne. Cały Durenne. Pozbawiony wyobraźni – do końca.

– Nie – odrzekł Maurisk. – Tylko przejrzałem na oczy.

– To absurd. Natychmiast mnie uwolnij.

– Żebyś mógł nadal prowadzić swoją zdradziecką działalność z twoimi przyjaciółmi radykałami? Na pewno nie.

– Jestem deputowanym i ministrem wojny! Żądam..

– W twojej sytuacji niczego nie możesz żądać. – Maurisk poczuł się nagle zmęczony. Była prawie piąta rano i nerwowe napięcie, które dodawało mu sił całą noc, teraz nagle go opuściło i ledwie był w stanie utrzymać się na nogach. – Będziesz miał proces. Obaj wiemy, co się stanie, gdy prawda w końcu wyjdzie na jaw.

Posłał Durenne'owi nikły uśmiezek mówiący: Ja wygrałem. Ty przegrałeś. To wszystko.

– Jeśli jest tu jakiś zdrajca, to jesteś nim ty – warknął Durenne. – Jednak nie ujdzie ci to płazem. Wojsko na to nie pozwoli.

– Zobaczymy. – Maurisk usiadł i skinął na gwardzistów. – Zabrać go.

Kellerman znów się zjawił, z kartką w dłoni, gdy wywlekano szamoczącego się radykała.

– Ufam, że sprawy toczą się zgodnie z planem? – zapytał Maurisk.

– Tak, panie przewodniczący – odparł asystent, sprawdzivszy raport. – Dwie trzecie podejrzanych już aresztowano. Jak dotąd praktycznie nie napotkano oporu.

– Chcę, żeby do świtu wszyscy byli pod kluczem.

– Będą, panie przewodniczący.

– Czy d'Ivoire został aresztowany?

– Jeszcze nie, panie przewodniczący.

– Przekazałeś dowódcy moje instrukcje?

– Tak jest, panie przewodniczący. D'Ivoire ma być wzięty żywcem, za każdą cenę.

Maurisk mruknął coś pod nosem. Mając w garści królową i poczynivszy przygotowania, żeby wyrwać kły Vhalnichowi, pozostało mu tylko zdobyć Tysiąc Imion. Nie miał pojęcia, co Ionkovo chce zrobić z tym khandarskim artefaktem, ale d'Ivoire był ich największą nadzieją na znalezienie tej przeklętej rzeczy. Ostatnie, czego mi trzeba, to żeby został zabity podczas wymiany ognia.

A co do Vhalnicha...

– Wyślij gońca do generała de Ferre. Powiedz mu, że nowy minister wojny rozkazuje mu natychmiast rozpocząć działania.

Czternaście

Winter

Czary – powiedziała Jane.

– Wiem, że to brzmi niewiarygodnie – przytaknęła Winter. – Sama bym nie uwierzyła, gdyby mnie tam nie było.

Był to pierwszy dzień od wymarszu z Deslandu i trzeci pułk maszerował w niezłym tempie w przyjemny jesienny ranek. Winter, Jane, Bobby i Cyte jechały razem blisko czoła kolumny, ale na tyle daleko, żeby nikt nie podsłuchał ich rozmowy. Obok nich Pierwszy Dziewczęcy podążał w luźnym szyku, gwarząc i żartując. Wyczuwa się w nich złość, pomyślała Winter. Są rozgniewane.

I miały do tego prawo. Oprócz tych dwojga wartowników, którzy zginęli, broniąc jej gabinetu, znaleziono jeszcze dwoje zabitych żołnierzy: młodego chłopaka z królewskich ranami na twarzy i bez munduru oraz kobietę pełniącą wartę przy bramie. Uciekający olbrzym złamał jej kręgosłup jak wykałaczkę.

Oczywiście Winter nie powiedziała nikomu, że atak przeprowadzili Przekłęci Penitenci, ale nie dało się ukryć tego, że dokonano zamachu na jej życie. Plotkami wypełniono lukę brakujących faktów i powszechnie przyjęto, że zabójców przysłał Kommerzint, hamveltajski wywiad. Winter była zadowolona z takiej wersji wydarzeń, na tyle bliskiej prawdy, żeby można w to uwierzyć.

Po ataku, gdy żołnierze wpadli do zdemolowanego pokoju, a potem rozbiegli się po cytadeli i podnieśli alarm, Winter zdołała poświęcić Jane tylko chwilę. Obiecała jej pełne wyjaśnienie, ale spędziły bezsenną noc, jednocześnie kierując poszukiwaniami zbiegłych zamachowców i ponownie sprawdzając przygotowania do porannego wymarszu. Po naleganiach Cyte wyczerpana Winter zdrzemnęła się kilka godzin, ale wstała o świcie, żeby wyprawić oddziały w drogę.

Teraz, gdy już cały pułk maszerował, powtórzyła sobie w myślach przygotowaną historię i skrzywiła się. A niech to. Sama bym w to nie uwierzyła.

– Ja również – powiedziała Bobby. – Chcę powiedzieć, że nie wierzyłam. Z początku. Dopóki Feor mnie nie uzdrowiła.

– Kim jest Feor? – zapytała Cyte.

Winter spodziewała się gwałtowniejszej reakcji, ale była studentka tylko słuchała uważnie, marszcząc brwi, jakby spodziewała się późniejszego przepytывania z tego materiału.

– Lepiej zacznę od początku – powiedziała Winter. – Czyli od przybycia Janusa do Khandaru.

Przedstawienie samych nagich faktów zajęło jej więcej czasu, niż się spodziewała. Khandarska kampania, niechętnie przyjęty przez nią awans, bitwa o drogę i późniejsze ocalenie Feor. Niemal śmiertelna rana Bobby i jej cudowne uzdrowienie. Pożar, który strawił Ashe-Katarion, oraz starcie z Onvidaerem i Matką. I w końcu ta noc, którą Winter wciąż widywała w koszmarnych snach, gdy została uwięziona w podziemnej świątyni pełnej żywych trupów z zielono płonącymi ślepiami. Jak z pomocą Feor odczytała naath, czyli imię czy

cokolwiek to było, co przywołało Wszystkożercę, i jak wykorzystała go, żeby pokonać Jen Alhundt.

– Ona pracowała dla nich. Dla kapłanów Czerni – powiedziała Winter.

– Nie ma żadnych kapłanów Czerni – zaprotestowała Jane.

– Kiedyś byli – wyjaśniła Cyte – ale ich zakon został rozwiązany prawie sto lat temu. Kapłani Czerni starali się niszczyć magię we wszystkich jej formach. Jak ktoś może być jednym z nich?

– Janus nie wszystko mi wyjaśnił – odparła Winter. – Powiedział, że kapłani nadal działają, ale robią to w tajemnicy, ponieważ obecnie nikt już nie wierzy w czary. Mają tych... agentów, którzy nazywają siebie Przeklętymi Penitentami. Wierzą, że każdy, kto wykorzystuje demona, jest skazany na potępienie, ale i tak to robią, ponieważ w ten sposób działają dla swojej sprawy.

– To jest popierdolone – stwierdziła Jane. – Dlatego nigdy nie zwracałam uwagi, co mówią w kościele.

– Ci trzej wczoraj byli Przeklętymi Penitentami? – spytała Cyte.

Winter skinęła głową.

– Tak myślę. Mogę ich wyczuć, gdy podejda dostatecznie blisko. Wszystkożerca robi się... niespokojny.

– Potrafisz wyczuć, co ten demon myśli? – zapytała Jane.

– Niezupełnie. – Winter westchnęła. – Trudno to wyjaśnić. Czuję go jak coś żyjącego w moim umyśle. Jakby był częścią mnie, a zarazem nie mną, jeśli to ma jakiś sens. Myślę, że on nie jest zbyt mądry, ale wiem, kiedy robi się głodny.

– Faj – skrzywiła się Jane. – Bez urazy. To brzmi okropnie.

– Najwyraźniej mam szczęście, że żyję – powiedziała Winter. – Janus mówił mi, że większość ludzi próbujących związać się z demonem umiera. Ja chyba nie miałam innego wyjścia, kiedy to robiłam.

– I dlatego zabrał cię ze sobą z Khandaru? – spytała Jane. – Ponieważ miałaś to coś, co chciał wykorzystać?

– To jeden z powodów – odparła lekko zmieszana Winter. – Z Janusem nigdy nie wiadomo.

– A co z tobą? – zwróciła się Cyte do Bobby. – Czujesz swojego demona?

Bobby pokręciła głową.

– Feor próbowała mi to wyjaśnić. Ona ma demona, ale nie może sama wykorzystywać jego mocy. Przekazała mi ją, ale ja nie noszę demona. Gdybym zginęła, mogłaby przekazać go komuś innemu.

– I to czyni cię... kim? Niezwyciężoną? – spytała Jane.

– Ratuje mi życie – odrzekła Bobby, krzywiąc się. – Jednak rany dają się we znaki.

Zapadła chwila ciszy. Winter słyszała cichy śpiew gdzieś w maszerującej kolumnie, tupot wielu nóg i pobrząkiwanie końskich uprzęży. Nie było skrzypienia kół wozów i sporadycznych porykiwań mułów. Powoli poruszające się pojazdy jechały za kolumną, wioząc większość ekwipunku i zapasów.

– I czego on w końcu chce? – zapytała Jane.

– Kto? – zdziwiła się Winter.

– Janus. – Jane uniosła dłoń i zaczęła liczyć na palcach. – Kościół, albo kapłani Czerni, chce

pozbyć się magii, gdyż według Mądrości jest ona złem. Tak więc jeśli Tysiąc Imion jest wielką księgą z zaklęciami...

– To zestaw stalowych tablic wysokich na dwa metry – przerwała jej Winter. – Nie księga.

– Nieważne. Chodzi o to, że pozwala rzucać czary, więc oni chcą je zniszczyć lub ukryć w Elizjum. Tyle rozumiem. Tylko dlaczego chce je mieć Janus? Mówiłaś, że przybył do Khandaru, żeby je zdobyć.

Winter zmarszczyła brwi.

– On nie wtajemnicza mnie w swoje plany. Gdybym jednak miała zgadywać, to chciał za ich pomocą pozbyć się diuka Orlanki. Mówił mi, że zawsze wiedział, że Konkordat współpracuje z kapłanami Czerni.

– Czy naprawdę musiał po to udać się aż do Khandaru? – zdziwiła się Jane. – Usunęliśmy Orlankę, a nie widziałam, żeby Janus ciskał przy tym piorunami.

– Nie mam pojęcia – powiedziała Winter. – Może kryje się za tym coś więcej. Czy to ważne?

– Ja... – Jane potrząsnęła głową. – Nie jestem pewna. Za dużo tego naraz.

Winter odetchnęła. Teraz, kiedy opowiedziała tę historię od początku do końca, czuła się dziwnie wolna. Koniec z tajemnicami.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci wcześniej.

– W porządku – rzekła Jane. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ci uwierzyć.

– Ci trzech minionej nocy – powiedziała Cyte. – Myślisz, że przyszli cię zabić?

– To jedyne, co moim zdaniem ma sens. Dowodzę tylko jednym pułkiem. Miło byłoby uważać, że jestem tak dobrym oficerem, że nieprzyjaciel postanowił mnie zabić, ale nawet gdyby tak było, nie przysłaliby Przeklętych Penitentów. Powodem musi być Wszystkożerca.

– Sądysz, że oni wrócą? – zapytała Cyte.

– Teraz, kiedy jesteśmy na terytorium wroga, warty będą czujniejsze – zauważyła Jane. – Tamci już nie zdołają nas podejść.

Winter nie była tego taka pewna, ale skinęła głową.

– Nie są niezwykcy. Przerazający, owszem, ale nie niepokonani.

– A ja będę w pobliżu – powiedziała Bobby. – Na wszelki wypadek.

W miarę jak mijał dzień, kolumna zaczęła się rozciągać. Wyruszyli o brzasku i zrobili tylko krótki popas w południe, a gdy słońce dotknęło horyzontu, jeszcze nie doszli do miejsca wyznaczonego przez zwiadowców na obóz, dwadzieścia pięć mil od Deslandu. Już dobrze po zmierzchu dotarło tam czoło kolumny, a oficerowie jeszcze przez parę godzin jeździli wzdłuż drogi i przy blasku pochodni zbierali maruderów.

Winter stała u podnóża trawiastego pagórka, gdzie rozbili obóz, i obserwowała wyjeżdżających i przyjeżdżających jeźdźców oraz światła poruszające się w ciemności jak gnane wiatrem skry. Stojący obok niej kapitan Sevranskrzywił się zatroskany.

– Coś nie tak? – zapytała Winter.

– Tylko wyobrażam sobie, co by było, gdyby uderzyła na nas jazda – odparł Sevrans. – Nie moglibyśmy marzyć o lepszym celu.

– To ryzyko, które musimy podjąć. Gdybyśmy tracili czas na środki ostrożności, nigdy nie dotarlibyśmy na miejsce. – Winter pokręciła głową. – A jutro musimy wyruszyć na długo przed świtem. Nie możemy wlec się po ciemku tak jak dziś. Ma ich pan wyprawić w drogę, gdy

tylko będzie pan w stanie zobaczyć palce swojej wyciągniętej ręki.

– Tak jest, panie pułkowniku – rzekł Sevrán, salutując. – Po dzisiejszym dniu mamy sporo obtartych stóp i zwichniętych kostek. Niektórych z tych ludzi trzeba będzie zostawić.

Winter skrzywiła się, ale nic nie można było na to poradzić. Marsz był wyczerpujący zarówno dla ludzi, jak i dla wozów oraz zwierząt pociągowych, lecz taka była cena szybkiego posuwania się naprzód.

– Proszę dopilnować, żeby mieli dość żywności i wody do czasu, aż nadjadą wozy taborów. – Jeśli rachuby Janusa się sprawdzą, to okulawieni żołnierze nie zdążą wziąć udziału w bitwie, ale przynajmniej nie zostaną sami na terytorium wroga. – I proszę mnie zawiadomić, o ilu ludziach mowa.

– Tak jest, panie pułkowniku. – Kapitan znów zasalutował. – Za pozwoleniem, sam też zamierzam się trochę przespać.

Winter odprawiła go machnięciem ręki. Wszystko ją bolało – nie była tak wprawnym jeźdźcem, żeby nie poczuć dwunastu godzin w siodle – a to był długi dzień. Najpierw musiała jeszcze coś zrobić, więc nadal nie mogła pójść spać. Poszła poszukać Jane.

Obóz nie przypominał schludnych wiosek namiotowych z poprzednich przemarszów. Namioty zostały na wozach wraz z całym innym ekwipunkiem, a żołnierze mieli tylko płachty biwakowe i koce. Wszędzie płonęły ogniska, a żołnierze trzeciego pułku siedzieli wokół nich oparci na zrolowanych kocach lub już leżeli na posłaniach rozłożonych na nierównej ziemi. Gawędzili wesoło – mieli obolałe i poobcierane nogi, ale na razie nastroje były niezłe.

Znalazła Jane w skalnej kotlinie u podnóża pagórka, gdzie uwiązano Edgara i kilka innych koni. Juki ich siodeł ułożono obok w równy stos, a Jane przeglądała swoje. Gdy Winter podchodziła do niej, Jane wyprostowała się, triumfalnie pokazując zdobycz.

– Skarpety – powiedziała. – W moich jest dziura i coś mnie strasznie obciera. Wiedziałam, że kupiłam zapasową parę, kiedy zajęliśmy Desland.

Winter siliła się na uśmiech, lecz widocznie był tak zbolaty, jak się czuła, gdyż Jane spochmurniała.

– Musimy...

– Porozmawiać. – Jane westchnęła. – Chodź.

Winter poszła za nią między drzewa, schodząc z oczu wszystkim w obozie. Jane znalazła nieduży głaz i ostrożnie usiadła na nim, po czym zaczęła rozsznurowywać buty. Winter stanęła naprzeciw niej, z założonymi rękami. Uświadomiła sobie, że nie wie, jak zacząć.

– Co robiłaś w cytadeli? – zapytała po chwili. To nie było właściwe pytanie, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. – Powiedziałaś, że nie wrócisz.

– Nie jestem pewna, czy pamiętam powód – odrzekła Jane, zdejmując jeden but i stawiając go na ziemi. – Chyba przyszłam szukać awantury.

– No to ją znalazłaś.

Jane zachichotała.

– Nie taką, jakiej chciałam. Po prostu myślałam... sama nie wiem. Zamierzałam cię złapać i potrząsać tobą, aż zrozumiesz.

– Co zrozumiesz?

– Już nie pamiętam. Byłam bardzo pijana. – Jane westchnęła. – To nie ma znaczenia.

– Uratowałaś mnie. Zapewne Cyte i Bobby też.

– Nie zamierzałam.

– Mimo to. – Winter nabrała tchu i spięła się jeszcze bardziej. – Dziękuję.

Jane ściągnęła skarpetę i trzymając ją w powietrzu, poruszała palcami stopy.

– Ach. Znacznie lepiej.

– Jane...

– Co mam ci powiedzieć? – Jane spojrzała na nią. – Zachowałam się jak idiotka. Przepraszam. Przykro mi, że musiałaś otrzeć się o śmierć, żebym to zrozumiała.

– W porządku – powiedziała Winter.

– Wcale nie – zaprzeczyła Jane. – Kiedy wróciłaś do Vordanu i opowiedziałaś mi swoją historię, chyba jej nie zrozumiałam. Kiedy mówiłaś mi, co robisz w wojsku, myślałam, że się... ukrywasz, udajesz. Jednak to twoje życie.

– Tak jest – powiedziała Winter. Chyba sama tego nie rozumiała, dopóki Jane nie powiedziała tego na głos. – Nie chciałam tego. Jednak...

Jane przechyliła głowę na bok i w jej szmaragdowych oczach odbiły się skry z obozowych ognisk w ciemnościach. Winter opuściła rękę.

– Masz coś przeciwko temu, że usiądę?

Jane bez słowa przesunęła się na głazie i Winter zajęła miejsce obok niej. Przez chwilę w milczeniu siedziały tak razem.

– Przez dwa lata żyłam w strachu – powiedziała Winter. – Po ucieczce od pani Wilmore byłam pewna, że ktoś będzie mnie szukał. Uciekłam aż do Khandaru, a potem bałam się, co będzie, jeśli ktoś mnie zdemaskuje. Miałam sierżanta, Davisa, który był... potworem. – Winter dotknęła policzka. Siniaki od uderzeń Davisa dawno znikły, lecz na samo wspomnienie czuła mrowienie kości policzkowej. – Gdyby odkrył, kim naprawdę jestem, nie wiem co...

Jane położyła dłoń na jej ramieniu, a Winter odetchnęła.

– Wszystko się zmieniło, kiedy przybył Janus. Zrobili mnie sierżantem, a potem nasz porucznik dał się zabić i byłam potrzebna ludziom z mojej kompanii. Wcześniej nikt nigdy nie potrzebował mojej pomocy. Z wyjątkiem ciebie, a i tak wtedy uciekłam.

Jane ścisnęła rękę Winter.

– Wiesz, że nie możesz się o to winić.

– Dzięki. – Winter przełknęła ślinę. – Kiedy ludzie zaczynają na tobie polegać, nigdy już nie jesteś naprawdę wolna.

– Dobrze o tym wiem. – Jane odchyliła się do tyłu, machając nogami, bosą i obutą. – Przecież nie zamierzałam stworzyć Skórzanych Kurtek. Kiedy wróciłam do pani Wilmore, szukałam tam ciebie. Tymczasem skończyłam z kilkuset dziewczynami oczekującymi, że będę im mówiła, co mają robić, i nie mogłam tak po prostu ich zostawić. Potem jedno prowadziło do drugiego... – Wzruszyła ramionami. – Rzecz w tym, że one już mnie nie potrzebują. Mają ciebie. A ja nie wiem, co o tym myśleć.

– Potrzebują cię – powiedziała Winter.

– Nie w zawodowym znaczeniu tego słowa – mruknęła Jane, a Winter roześmiała się. – No i co pan zamierza ze mną zrobić, pułkowniku Ihernglass?

– Myślę, że Abby powinna nadal dowodzić Pierwszym Dziewczęcym – powiedziała Winter. Jane skinęła głową.

– Lepiej sobie radzi z tymi organizacyjnymi bzdurami, niż ja kiedykolwiek bym umiała.

Nawet w Vordanie to ona i Min żywiły wszystkich i pilnowały, żeby rzeczy były uprane.

Milczały przez chwilę. Min zginęła w Vendre, zastrzelona przez snajpera Konkordatu.

– Wezmę cię do mojego sztabu – powiedziała Winter. – Nie wyobrażam sobie, żeby Janus się sprzeciwiał.

– Tylko nie spodziewaj się, że będę pisała rozkazy wymarszu i raporty.

– Tym zajmuje się Cyte. Będę cię trzymała pod ręką na wypadek, gdyby jakiemuś durnemu oficerowi trzeba było wbić trochę rozumu do głowy.

Jane roześmiała się i objęła Winter. Ta z westchnieniem ulgi oparła się na niej, kładąc głowę na jej ramieniu.

– Co się stało z sierżantem Davisem? – zapytała Jane. – Będę miała okazję go stłuc?

– Nie. – Winter zamknęła oczy. – Sama go zabiłam.

– Och. – Jane zastanowiła się nad tym. – To dobrze.

Po chwili milczenia Winter poczuła palec Jane pod brodą. Jane pochyliła się nad nią, a jej rude włosy opadły wokół nich jak szkarłatny wodospad, przesłaniając cały świat, gdy ich wargi się spotkały. To był długi pocałunek.

– Nie mamy namiotu – powiedziała Jane, odsuwając się od niej.

Winter czuła na policzku jej gorący oddech.

– Nie sądzę, żeby ktoś nas tu zobaczył.

– Mogą nas usłyszeć.

– Mogę być cicho.

– Ach, tak? – mruknęła Jane, przyciągając ją do siebie. – Czy to wyzwanie?

Późną nocą zaczął padać deszcz.

To był deszcz, a nie ulewa, ale nieustanny i dokuczliwy. Zanim żołnierze wstali godzinę przed świtem, ich mundury i koce były już przemoczone. Droga, będąca wstęgą ubitej ziemi ciągnącą się wzdłuż rzeki, powoli, lecz nieuchronnie zmieniała się w pas błota. Każda para przechodzących po nim butów miesiła je, tak że nieszczęsne kompanie na końcu kolumny brodziły w nim po kolana. Całe grupki schodziły z drogi i przedzierały się przez chaszcze obok niej, gubiąc się lub utykając.

Pomimo zarządzonego przez Winter wczesnego wymarszu do południa stało się już jasne, że nie dotrą do zaplanowanego miejsca wcześniej jak po zmroku. Winter pozwalała parszającemu ze złości Edgarowi wybierać drogę w tym błocie, podczas gdy ona słuchała raportów Sevrana.

– Straciliśmy około trzydziestu, łącznie – zameldował. – Lepiej, niż się spodziewałem. Nic złego nie powinno ich spotkać, dopóki nie nadjadą tabory.

– Co może trochę potrwać, jeśli nie przestanie padać – zauważyła Winter.

Sevran skinął głową.

– Bardziej niepokoi mnie noc. Już mamy sporo maruderów.

– Przynajmniej powinniśmy przenocować na sucho, kiedy tam dotrzemy. – Zapasy, które kazała wyładować z barek, obejmowały dość namiotów, żeby pułk mógł się schronić przed deszczem, jeśli żołnierze zechcą się stłoczyć. Co ważniejsze, będzie tam dość żywności, żeby wypełnić żołnierskie chlebaki, których specjalnie nie napychano, żeby ułatwić marsz. – Roześlij oficerów, żeby zebrali opiesziałych, dopóki jest jeszcze w miarę jasno.

– Dobry pomysł.

Sevranski zasalutował, przy czym strużka wody spłynęła mu z daszka czapki, i odjechał.

Winter ruszyła na poszukiwanie Abby, mijając kolejne szeregi brnących w błocie dziewczyn. Zauważyła Anne-Marie, plamę jej złotych włosów pomiędzy poszarzałymi od wilgoci niebieskimi mundurami. Deslandzka dziewczyna potknęła się i upadła na kolana, ale dwie jej sąsiadki złapały ją za łokcie i postawiły na nogi. Winter uśmiechnęła się i pojechała dalej.

Abby jechała na koniu na samym przedzie kolumny, gdzie błoto miało tylko parę centymetrów głębokości. Edgarowi bardziej się to spodobało niż brodzenie w bagnie z tyłu i z ożywieniem podrzucił łbem, gdy Winter popędziła go do truchtu.

– Niezbyt idealne warunki – rzekła Abby, gdy Winter zrównała się z nią.

– Jak się trzymacie?

– Myślę, że dobrze. – Abby zerknęła przez ramię na swoje podkomendne. – Nie będę miała pewności, dopóki nie zbierzemy wszystkich i nie policzymy stanu.

Winter skinęła głową i zawahała się.

– Rozmawiałam z Jane. Zgadza się, że powinnaś nadal dowodzić Pierwszym Dziewczęcym.

Abby zamrugnęła i wyprostowała się, przy czym z jakiegoś wgłębienia w jej czapce spłynęła kaskada wody.

– Ona... ona nie wraca?

– Będzie w moim sztabie, więc nigdzie się nie wybiera. Jednak to ty będziesz dowodzić batalionem. Dotychczas doskonale sobie radziłaś.

– Ja... – Abby przełknęła ślinę, a potem zasalutowała, nie zważając na deszcz. – Tak jest, pułkowniku. Dziękuję.

– Jeśli któraś z dawnych Skórzanych Kurtek będzie sprawiać ci kłopoty, daj mi znać.

– Tak jest, pułkowniku. Będzie mi potrzebny inny porucznik na moje miejsce w trzeciej kompanii.

Winter kiwnęła głową.

– Awansuj kogoś. Wybór pozostawiam tobie. Jeszcze coś?

– Dam znać, jeśli coś wymyślę. – Abby potrząsnęła głową, rozpryskując krople wody. – Nie mogę się doczekać, kiedy się wysuszę wieczorem.

– Ja również.

Wilgoć nigdy nie była problemem w Khandarze i Winter rzadko kiedy chodziła w mundurze na deszczu. Obcisły podkoszulek, którym maskowała swoje piersi, obcierał ją tak mocno, że pewnie będzie miała pęcherze. Dzięki Bogu, że uparłam się, żeby wszyscy mieli porządne buty przed wymarszem.

Marsz ciągnął się bez końca, przez całe popołudnie i wieczór, gdy słońce skryło już swoją twarz za welonem chmur. Pochodnie, trzaskające i kopące na deszczu, znaczyły przemarsz kolumny, wskazując drogę człapiącym w ciemnościach żołnierzom. Po ciemku łatwo było źle postawić stopę, skręcić nogę na kamieniu lub utknąć w błotnistym bajorze, tak więc oficerom na koniach więcej czasu zajmowało organizowanie pomocy niż zbieranie opiesziałych.

Winter pojechała naprzód, przed czołem kolumny, mając nadzieję znaleźć obóz, ale spotkała tylko dwoje wracających zwiadowców. Po ich minach poznała, że nie mają dobrych wieści.

– Przykro mi, panie pułkowniku – powtórzył młody żołnierz po raz dwudziesty.

– W porządku – powiedziała Winter. – Wygląda na to, że nic nie mogliście zrobić.

– Nie, panie pułkowniku. – Przełknął ślinę. – Płynęliśmy w górę rzeki na barkach, zgodnie z

rozkazem. – Z każdym transportem wysyłała czterech ludzi, mających go strzec przed atakiem bandytów lub rozkradzeniem przez załogę, ale tego się nie spodziewała. – Kiedy spotkaliśmy kuriera, powiedzieliśmy załodze, że mamy się zatrzymać i czekać. Nie byli zadowoleni, panie pułkowniku. Powiedzieli, że mają inne ładunki. Jednak kazaliśmy im przybić do brzegu.

– I wtedy was zaatakowali? – zapytała Jane.

Szeregowiec skinął głową, spoglądając na krąg oficerów. Oprócz Winter i Jane byli tam Abby, Sevan, Bobby i Cyte, stali na błotnistym trawiastym wzgórku wznoszącym się nad rzeką Velt. Krąg pochodni wyznaczał miejsce obozowania – rzucał się w oczy brak namiotów, które Winter spodziewała się tu zastać.

– To nie była... Chcę powiedzieć, że to była krótka walka. Ich było dwudziestu, a nas czworo, i złapali Clarke'a, kiedy się odlewał. No i padało, więc mieliśmy proch w ładownicach. Nie zrobili nam krzywdy, tylko wypchnęli za burtę. Chociaż jeden wykrzykiwał sprośne uwagi pod adresem szeregowej Verry.

– Domyślasz się, dokąd płynęli?

Młodzian pokręcił głową.

– Gdzieś w górę rzeki. Szybko jednak straciliśmy ich z oczu w tym deszczu. Naprawdę mi przykro, panie pułkowniku.

– Dziękuję, szeregowy. Jesteście wolni.

Żołnierz zasalutował i odszedł, człapiąc w błocie. Winter zaczekała, aż znajdzie się poza zasięgiem jej głosu, i zwróciła się do pozostałych.

– No cóż. Jak bardzo jest źle?

– Bardzo – odpowiedziała Abby.

Sevan skinął głową.

– Mamy mało żywności. Większość żołnierzy wzięła trochę na zapas, więc na jutro może wystarczyć na pół dziennej racji na głowę, ale nic poza tym.

– Jeśli w ogóle – rzekła Abby. – Od sierżantów słyszę, że jest wiele „zagubionych” dziś płacht biwakowych i plecaków. Wszyscy byli pewni, że będzie tu dużo jedzenia.

– A niektórzy jeszcze nie dotarli – dodał Sevan. Dochodziła północ. – Jeśli chcemy jutro wyruszyć o tej samej porze, niektórzy żołnierze zdążą się przespać zaledwie godzinę.

– Co z amunicją? – zapytała Winter.

– Czterdzieści ładunków na każdego, jak zwykle, ale żadnych rezerw – powiedział Sevan.

– I skrzynki z amunicją też mogły zaginać. Albo zamoknąć.

– Do diabła. Jesteśmy udupieni, no nie? – stwierdziła Jane.

Krąg zebranych oficerów widocznie podzielał tę opinię, bo nikt nie zgłosił sprzeciwu. Winter nabrała tchu.

– Co więc robimy?

Spojrzała na Sevana, który wzruszył ramionami.

– Gdyby chodziło tylko o mnie, to zawróciłbym na spotkanie taborów. Jest na nich mnóstwo zapasów.

– Przy ich tempie jazdy dotarcie do Janusa mogłoby nam zająć dwa tygodnie.

Sevan skinął głową.

– W tym rzecz.

Winter zerknęła na Abby. Dziewczyna się wyprostowała.

– Powinniśmy iść dalej – rzekła. – Nikt nie umrze z głodu przez parę dni, a możemy zebrać wszystkie wierzchowce i wysłać konne grupy zaopatrzeniowe. One powinny nas wyżywić.

– Zakładając, że zapasy będą na nas czekały tam, dokąd zmierzamy – powiedziała Jane. – W przeciwnym razie może to być dużo więcej niż dwa dni czekania, aż dogonią nas tabory.

– Cyte? – zachęciła Winter.

– Nie wiem, co zostanie z pułku na końcu przemarszu, jeśli pójdziemy dalej – odparła Cyte.

– Przy takiej liczbie maruderów możemy zostawić po drodze połowę żołnierzy. Czy wtedy przydamy się na coś Janusowi?

Winter skinęła głową i spojrzała na Bobby, która wzruszyła ramionami.

– Ja popieram Abby. Jeśli ona sądzi, że podołamy, to możemy to zrobić.

– A ty jesteś tego samego zdania co Sevran, Jane?

Jane zmarszczyła brwi.

– Do diabła. Nie żebyśmy nie mogli tego zrobić. Jednak ludzie już się męczą, a będzie jeszcze gorzej.

– Zatem trzy do dwóch – policzyła Cyte.

– To nie jest głosowanie – przypomniał Sevran. – Przekazujemy dowódcy nasze rady, a on podejmuje decyzję. Jeśli pułkownik powie, że idziemy dalej, to idę dalej.

– Dziękuję wam – powiedziała Winter. – Muszę się chwilę zastanowić. Idźcie sprawdzić, jak przebiega zbieranie maruderów.

Cała piątka zaszalutowała i odmaszerowała po błocie do obozu. Winter została tam, spoglądając na niemal niewidoczną rzekę. Słabe światła po drugiej stronie zaznaczały obecność wioski na zboczu wzgórza, migocząc przez zasłonę deszczu.

Jane ma rację, że ludzie ucierpią. Już było kilka złamań, a i to tylko u tych, którzy dotarli do obozu. Kto wie, ilu zostało na drodze? Albo ilu postanowiło odejść? Przy tak rozciągniętej kolumnie sierżanci nie byli w stanie zapobiec dezercji. Jeśli pójdziemy dalej bez namiotów i żywności...

Kiedy zamknęła oczy, ujrzała notatkę przysланą przez Janusa, napisane jego eleganckim charakterem pisma słowa.

...zrobił Pan wszystko, co w Pańskiej mocy...

...jeszcze nigdy mnie Pan nie zawiodł...

Było nie do pomyślenia, żeby zawiodła Janusa. On zawsze nas wspomagał, kiedy go potrzebowaliśmy. Teraz, kiedy polegał na niej, czy mogła nie zrobić wszystkiego, co w jej mocy, żeby mu pomóc?

Tylko że...

Janus nie pomagał wszystkim. Na przykład Adrechtowi Rostonowi, którego bielejące kości leżały gdzieś na Wielkiej Desol. Ani tym wszystkim, których stracili w drodze do desoltajskiej świątyni w pogoni za Tysiącem Imion. A także Min, Chris czy innym młodym kobietom, które dotychczas zginęły, podążając za Winter i Jane. Cokolwiek teraz zrobię, na tej liście przybędzie nazwisk. Czy naprawdę mogę ich prosić, żeby szli dalej bez prowiantu, bez namiotów i może do bitwy na końcu tego wszystkiego?

Nazajutrz przed świtem zagrały werble, wrywając żołnierzy trzeciego pułku ze zbyt krótkiej drzemki. Deszcz padał słabiej, lecz nie ustał, żołnierze więc w szarudze rolowali koce i zbierali przemoczony ekwipunek.

Tymczasem oficerowie stanęli półkolem przed płaskim głazem, na którym Winter mogła stanąć, żeby lepiej ją słyszano. Sevrán i Abby stali po jej bokach. Tak jak zapowiedział, Sevrán nie mrugnął okiem, gdy Winter zawiadomiła go o swojej decyzji, tylko kiwnął głową i spokojnie wydał rozkazy do dalszego marszu.

Porucznicy i sierżanci, w liczbie około trzydziestu, kręcili się w tłumie. Widziała Folsoma spokojnie stojącego w środku, z Graffem skulonym po jednej, a Marshem, kochankiem Bobby, po drugiej stronie. Szlachetnie urodzeni porucznicy królewskich – Maret, sur Gothin i pozostali przyjaciele porucznika Novusa – trzymali się w posępnej grupie, tak samo jak Becca, Winn i inne dawne Skórzane Kurtki Jane. Między nimi stała reszta – zaprawieni w bojach weterani, sierżanci królewskich wraz z kobietami Pierwszego Dziewczęcego, przeważnie awansowanymi przez Winter lub wybranymi przez swoje kompanie. Wszyscy mieli ponure miny, gdyż rekrutom udzielał się cynizm weteranów, lecz Winter wyczuwała niemal dziecięcą potrzebę pociechy. Odkasznęła i z trudem przełknęła ślinę.

– Zapewne już słyszeliście – powiedziała głosem, który wydał jej się wysoki i słaby – że banda przewoźników okazała się zdrajcami i uciekła z zapasami, na które liczyliśmy. Do jutrzejszej nocy mamy do przejścia pięćdziesiąt mil, i to o pustych brzuchach. Nic nie można na to poradzić.

Rozległ się chór cichych jęków i szeptanych komentarzy.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli przejdziemy połowę tej drogi – powiedziała jakaś kobieta. Pierwszy Dziewczęcy nie był jeszcze tak zdyscyplinowany jak regularni żołnierze. – Moi żołnierze gubią buty w błocie.

– Będziemy maszerować tak długo, jak będzie trzeba – powiedziała Winter.

– Po co? – odparła kobieta. – Jaki pożytek w bitwie z jednego pułku więcej?

– Nie mam pojęcia – odrzekła Winter. – Jednak Janus twierdzi, że to ważne, a to mi wystarcza.

Kolejne narzekania, tym razem dwóch oddzielnych grup – szlachciców i Skórzanych Kurtek. Winter widziała, że stojący pomiędzy nimi żołnierze za przykładem Folsoma i Graffa w większości kiwali głowami. Dla rekrutów nazwisko Janusa było magicznym słowem, jako geniusza nieuchronnie prowadzącego ich do zwycięstwa. Nawet królewscy zaczęli się przekonywać.

– Zobaczmy, co uda nam się zrobić w sprawie żywności – ciągnęła Winter. – Teraz wszystkie konie, jakie mamy, będą potrzebne dla grup zaopatrzeniowych. Włącznie z moim.

– Nie mówi pan poważnie! – wypalił porucznik de Vend. Był jednym z zauszników Novusa. – Oczekuje pan, że będziemy brodzić w błocie?

– Chętnie będę brodzić w błocie cały dzień, jeśli dzięki temu będziemy mieli coś do zjedzenia pod koniec dnia – zripostował Marsh.

De Vend skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– To wszystko – rzekła Winter, ignorując obu. – Ruszamy.

Oficerowie nieskładnie zasalutowali i rozeszli się. Gdy tłum zrzedniał, Winter zobaczyła Jane nadchodzącą po błotnistej murawie obozu.

– Czy coś się stało? – spytała Winter.

Jane miała ponurą minę.

– Lepiej chodź i zobacz.

Hanna Courvier była felczerem Pierwszego Dziewczęcego, pełniącym rolę batalionowego medyka. Wzięła sobie na asystentki kilka dziewcząt za małych, by mogły udźwignąć muszkiet, i na skrawku zbocza urządziła szpital polowy. Pozszywane koce rozciągnięte na wbitych bagnietami w ziemię muszkietach zapewniały minimalną osłonę przed mżawką.

Hanna była poważnie wyglądającą, opaloną kobietą o długich kręconych włosach ściągniętych w ciasny kok. Winter niewiele o niej wiedziała poza tym, że przyszła z Jane z Doków. Poniewczasie uświadomiła sobie, że to zapewne Hanna kurowała ją po bitwie o Gaafen. Nawet jej nie podziękowała.

Teraz felczerka nie była w nastroju do wymiany uprzejmości. Gniewnie spojrzała na Winter, jakby uważała ją za osobiście odpowiedzialną za pogodę, błoto i wszystko, co poszło źle.

– Panno Courvier – rzekła Winter z uprzejmym ukłonem. – Jak jest źle?

– Cholernie źle – odparła Hanna. Miała ten sam akcent Doków i zamiłowanie do przeklinania, jakiego nabrała Jane. – Muszę radzić sobie, niczego nie mając. Większość mojego wyposażenia jest na wozach. – Wskazała na namioty z koców. – Jest ich już więcej, niż jestem w stanie ogarnąć. Taki szybki marsz w deszczu i błocie...

W lazarecie jeden przy drugim leżało co najmniej tuzin żołnierzy, śpiąc lub patrząc na Winter, Jane i Hannę. Byli zaskakująco cisi, choć jeden na końcu pojękiwał, a jakaś kobieta co chwilę głośno kaszłała.

– Ilu z nich może chodzić? – spytała Winter.

Hanna prychnęła.

– Tych, którzy byli w stanie chodzić, już odesłałam do ich oddziałów. Tu są ci, których będziemy musieli zostawić. – Zniżyła głos. – Albo ci, którzy z tego nie wyjdą. Mam dwa przypadki zakażonych nóg, które trzeba by obciąć, ale nie mam czym. Kilka innych... – Potrząsnęła głową.

Winter spojrzała na cierpiących żołnierzy, czując ssanie w żołądku. Odwróciła się do Jane.

– Czy to Molly?

Jane skinęła głową.

– Ona i Becks przyłączyły się, zanim opuściliśmy Vordan.

Molly obcięła swoje kędziory na chłopaka, a marsz wyostrzył miękkie rysy jej twarzy. Winter pamiętała ją i Becks z katedry Kościoła Zaprzysiężenia, pomagającą ratować Dantona, gdy Orlanko próbował aresztować deputowanych. Nie wiedziała, że do nas dołączyła. Dziewczyna nie miała żadnych widocznych obrażeń, ale jej policzki były zaczerwienione, a oddech płytki.

– Co jej jest? – zapytała Winter.

– Gorączka błotna – wyjaśniła Hanna. – Wywołuje ją wyczerpanie i wilgoć. Zbyt wiele złych miazmatów.

– Wyzdrowieje?

– Gdyby umieścić ją w suchym miejscu przy ognisku i dać do jedzenia coś więcej niż suchary, to być może. A tak? – Hanna splunęła na trawę. – Równie dobrze można już kopać grób. I nie tylko dla niej.

Kolejne nazwiska na liście. Winter na moment zamknęła oczy i walczyła ze wzbierającą w gardle żółcią. Obróciła się do Jane, która starała się zachować nieprzeniknioną minę. Jednak Winter zbyt dobrze ją знаła. Te zielone oczy spoglądały oskarżycielsko i Winter odwróciła

wzrok.

– Znajdź kilka ochotniczek, które z nimi zostaną – rozkazała. – To nie powinno być trudne. Czterech żołnierzy. Zostaw im tyle żywności, ile możesz, i każ przez cały czas palić ognisko. W taborach są medycy. Kiedy tu dotrą, zrobią, co się da.

– To może być za kilka dni – cicho powiedziała Jane.

– Wiem. – Winter zacisnęła zęby. – Nie mamy innego wyjścia.

Te słowa powtarzała jak mantrę przez cały dzień marszu, który – jak się wydawało – nie miał końca. Nie mamy innego wyjścia. Nie mogła zawieść Janusa, jeśli była inna możliwość, co oznaczało właśnie to. Winter z początku szła na czele kolumny, ale niebawem zaczęła zostawać z tyłu, a więksi i silniejsi żołnierze mijali ją, mniejsi zaś i słabsi wlekli się na końcu. Błoto przy każdym kroku przywierało do jej nóg wielkimi brudnymi kawałami, w wyniku czego miała wrażenie, że ma żelazne obciążniki na kostkach.

Deszcz ustał, znów zaczął lać strumieniami, a potem znów przeszedł w mżawkę. Słońce schowało się za chmurami i świat był skąpany w szarym blasku, w którym wszystko wydawało się płaskie i pozbawione cieni. Chwilami Winter zastanawiała się, czy może już umarła i poszła do piekła. Jednak nie jestem w nim sama. Czy w piekle są całe pułki? Lecz te chwile były krótkie i rzadkie, gdyż przez większość czasu szła, wpatrując się w ziemię przed sobą. Każda kałuża mogła być kilkucentymetrową płycizną lub dziurą, w której łatwo złamać nogę; na każdym splachetku błota mogła się poślizgnąć lub zapaść do kolan.

W drodze bez entuzjazmu żuła kawałek suchara. Ludzie wokół niej wlekli się, nie śpiewając i nawet nie rozmawiając, nie mając sił na nic poza kolejnym oddechem i następnym krokiem. Czasem potykali się i padali lub osuwali się na ziemię i leżeli, dysząc, w błocie. Najczęściej, gdy nie mogli już tego znieść, po prostu znikali, schodząc z drogi w zarośla.

Zmierzchało się powoli, tak że Winter nie zauważyła, że słońce już zaszło, dopóki nie wyciągnęła ręki i uświadomiła sobie, że widzi tylko zarys swoich palców na tle nieba. Ciemność zapadła wkrótce potem i wzdłuż kolumny zapłonęły pochodnie, jeszcze bardziej upodabniając ją do procesji widm. Wejście do obozu oznaczono płonącym ogniskiem, które powinno sprawiać złowrogie wrażenie, lecz po tak długim marszu na zimnie i deszczu Winter niczego bardziej nie pragnęła, jak położyć się przy jego płomieniach i pozwolić im się wysuszyć.

W obozie czekali zwiadowcy i mieli żywność. Na mniejszych ogniskach piekły się kury, tłuszcz kapał z nich i syczał, a cudowny zapach pieczonej wieprzowiny był jak drogowskaz. Już sam ten zapach dodał jej trochę sił. Usiadła przy jednym z ognisk, pośród żołnierzy.

– ...nie chciał sprzedać – mówiła z akcentem Doków jedna ze zwiadowców, kobieta o surowych rysach twarzy. – Powiedział, że nasze pieniądze są nic niewarte, a poza tym niczego nie sprzeda wrogom. No to powiedziałam mu: „Widzisz te muszkiety? One oznaczają, że zabierzemy ci te przeklęte kury. Możesz tylko wybrać, czy coś za nie dostaniesz czy nie”. Doszedł do wniosku, że jednak chce pieniądze.

– Pierdoleni Hamveltajczycy – powiedział ktoś inny. – Jeśli tak wygląda cały ich kraj, to nic dziwnego, że to tacy paskudni skurwiele.

– No nie wiem – dodał jeszcze inny. – Tam, gdzie się zatrzymaliśmy, mieli córkę, która uważnie mi się przyglądała, i nie mogę powiedzieć, że miałbym coś przeciwko temu.

– A kiedy ten czarnowłosy chłopak uśmiechnął się do Neyve, myślałam, że spadnie z konia –

powiedziała kobieta. – Musiałam jej pilnować, żeby chyłkiem nie wróciła na obłapkę.

– Zapomnijcie o ładnych chłopcach – powiedziała inna kobieta. – Co z piwniczką z winem?

Powieki Winter zamykały się niepowstrzymanie, jakby zawieszono na nich ciężary. Od zapachu jedzenia burczało jej w brzuchu, ale potrzeba snu była większa i głosy cichły.

– Czy to nie pułkownik? – zapytał ktoś w oddali.

– Dajcie mu odpocząć – rzekł ktoś inny. – Miał długi dzień. Nie przywykł maszerować razem z nami...

Poranne werble obudziły ją całą obolałą, zdrętwiałą i posiniaczoną. Niebo powoli szarzało, a na jego tle czerniły się sylwetki drzew i żołnierzy. Winter wstała z trudem i cichym piskiem przemoczonych butów, których wieczorem nie zdążyła zdjąć. Powlokła się ku najbliższej stojącej grupce oficerów.

– Dzień dobry, panie pułkowniku – powiedziała Bobby.

Wydawało się, że ten ciężki marsz wcale jej nie zmęczył – zapewne kolejny dar naath Feor, domyśliła się Winter. W myślach gniewnym wzrokiem spojrzała na Wszystkożercę. Dlaczego nie dasz mi sił olbrzyma, skrzydeł do latania albo czegoś takiego? Demon nie odpowiedział, ale niczego innego się nie spodziewała.

– ...dobry – mruknęła.

– Jesteśmy niecałe dwadzieścia pięć mil od miejsca, które podał nam Janus – oznajmiła Cyte. Wyglądała równie kiepsko, jak Winter się czuła, a ciemne kręgi pod niezdrowo błyszczącymi oczami były jak sińce na jej bladej twarzy. W rękę trzymała mapę i pokazywała na niej coś, na czym Winter nie mogła skupić wzroku. – Myślę, że dziś oficerowie powinni pojechać ze zwiadowcami. Musimy zacząć przygotowywać plany na jutro.

– Jechać. – Pomysł jazdy w siodle, bez potrzeby wyciągania nóg z błota, brzmiał cudownie, ale Winter nie mogła go zaakceptować. – Czy nie potrzebujemy koni dla grup aprowizacyjnych?

– Wczoraj zebrały dużo żywności – rzekła Bobby. – Mamy więcej, niż potrzebujemy.

– I coraz więcej maruderów – ponuro dodała Cyte. – Co oznacza mniej gąb do wyżywienia.

I niewątpliwie więcej ludzi pozostałych w tyle, leżących na drodze lub trzęsących się z gorączki pod kocami. Nie mamy innego wyjścia.

Słyszając wzmiankę o żywności, Winter poczuła się nagle potwornie głodna, jakby jej żołądek tylko czekał na odpowiedni moment, żeby przypomnieć o sobie. Bobby zaprowadziła ją do resztek ogniska, gdzie na blaszanym talerzu leżała zimna, tłusta połowa kurczaka. Winter gołymi rękami rozerwała ją na kawałki, ogryzając z kości spieczone mięso i zlizując później tłuszcz z palców. Kiedy skończyła, poczuła się trochę bardziej człowiekiem i spróbowała przygłodzić zabłocony i przepocony mundur.

Zwiadowcy wyruszyli: garstka ludzi na koniach wyglądających na niemal równie strudzone jak żołnierze. Winter, Abby i Sevrans pojechali z nimi, wraz z Jane, Bobby i Cyte, natomiast pozostali oficerowie zachęcali wyczerpanych podkomendnych do ostatniego wysiłku. Edgar był ubłocony i znużony, Winter więc jechała najwolniej, jak mogła, gdy Sevrans składał jej najnowsze przygnębiające raporty.

– Moi sierżanci meldują, że ludzie dochodzili jeszcze rano, mówiąc, że szli całą noc. Zapewne wielu zdrzemnęło się gdzieś w krzakach i zostało w tyle.

– Nie zgina – powiedziała Winter. – Nawet ślepe kocię mogłoby pójść po naszych śladach.

Sevran skinął głową.

– Jednak brakuje nam już około dwustu. Jeśli dziś ubędzie tyle samo, będziemy mieli szczęście, jeśli jutro rano będziemy mieli czterystu ludzi zdolnych do walki.

– Pierwszy Dziewczęcy trzyma się trochę lepiej – powiedziała Abby z lekką dumą. – Jednak nie mogę liczyć na więcej niż pięćset lub sześćset.

Tak więc po drodze z Deslandu stracili prawie połowę żołnierzy: zaginionych, rannych lub zabitych. Winter zadała sobie pytanie, czy któryś z nowych deslandzkich rekrutów dojdzie. Wątpię, czy o to im chodziło, kiedy się zaciągali. Nie mogłaby mieć im za złe, gdyby zawrócili; niewątpliwie więcej Vordanajów zrobiłoby to samo, gdyby nie byli tak daleko od ojczyzny.

– Musimy mieć nadzieję, że tylu wystarczy – powiedziała Winter.

– I że to, co na jutro zaplanował Janus, nie obejmuje maszerowania – mruknęła Jane.

– Janus wiedział, co robi, kiedy przysłał nam rozkazy – odezwała się Cyte. – Dobry dowódca dokładnie wie, o co może prosić swoich żołnierzy.

Jane tylko mruknęła coś pod nosem.

Dzień płynął. Winter chwilami drzemała na grzbiecie Edgara, budząc się, gdy koń omijał jakąś dziurę lub błotnistą kałużę. Już dawno przestała nim kierować, gdyż najwyraźniej lepiej wybierał sobie drogę w tym trudnym terenie niż ona. Od czasu do czasu któryś ze zwiadowców jadących w szpicie wracał i meldował, że nie napotkali nikogo, przyjaciela czy wroga. W porze obiadu zjedli wyjęte z juków przy siodłach suchary i kawałki zimnej kury.

Deszcz przestał padać i po południu słońce w końcu wyszło zza chmur, oślepiająco jasne po ciemnym ranku, ale jakby zupełnie pozbawione ciepła. Jesienny wiatr przeszywał mokrą odzież, tnąc jak nożem, i siedząca nieruchomo w siodle Winter zaczęła się trząść z zimna. Owinęła się wyjętym z sakwy kocem, który był prawie suchy, i przywarła do ciepłego karku Edgara.

Gdy słońce zachodziło, z półsnu wyrwały ją okrzyki zwiadowców.

– Jeźdźcy! Przed nami jazda!

Winter zamrugnęła, odpędzając sen, i ściągnęła wodze Edgara, a pozostali oficerowie stłoczyli się wokół niej. Odruchowo sięgnęła po szablę, jakby to miało coś pomóc. Jeśli to była hamveltajska kawaleria, to napotka niewielki opór wyczerpanego trzeciego pułku.

Jednak nie. Gdy zbliżający się jeźdźcy stali się dobrze widoczni, zobaczyła niebieskie kurtki i spodnie oraz błyszczące stalowe napierśniki będące dumą elitarniej ciężkiej jazdy Vordanu. Każdy jeździec miał karabin, czyli krótki muszkiet, z którego można było strzelać z końskiego grzbietu, oraz szablę. Na czele oddziału jechała jakaś maleńka postać stojąca w strzemionach, w wysokiej czapce zwieńczonej pękiem piór. Jeździec energicznie machał ręką.

– O Panie – mruknęła Winter.

– Znasz go? – zapytała Jane.

– Był dowódcą naszej kawalerii w Khandarze. To kapitan Henry Stokes – wyjaśniła Winter.

– Nazywaliśmy go Piekielnikiem.

– Dlaczego? – spytała Cyte.

– Zobaczysz.

Piętnaście

Marcus

C hociaż tylko ręce bolały go od wiosłowania, Marcus cierpiał. Znowu. Znowu poprowadził ludzi do koszmarnej konfrontacji z siłami, którym nie mogli sprostać. Pamiętał paskudne ssanie w żołądku na widok ozywających zmarłych w desoltajskiej świątyni, wrażenie, że cała jego wiedza o świecie wali się w gruzy. Krzyki żołnierzy rozszarpywanych na kawałki przez żywe trupy. Co zwykli ludzie mogą zdziałać przeciwko takim stworom?

Przez moment przeklinał Janusa, Tysiąc Imion i wszystko, co się wydarzyło od dnia, gdy pułkownik Vhalnich zszedł ze statku na skalisty brzeg Khandaru. Może byłoby lepiej, gdyby Odkupiciele wyróżnęli nas do nogi.

Tylko że – oczywiście – to nie było winą Janusa. Kapłani Czerni byli rzeczywistością i działali w tajemnicy, wciąż manipulując wydarzeniami sto lat po tym, jak ich zakon ponoć rozwiązano. Raesinia była tego wystarczającym dowodem. Janus jedynie otworzył mi oczy. Tylko nigdy nie zapytał, czy nie wolałbym, żeby pozostały zamknięte.

– Marcusie? – zagadnęła go Raesinia.

– Hmm? – Marcus zamrugął. Siedzieli w jadalni Bliźniaczych Wieżyczek, z mapą wciąż rozłożoną na stole. Minęła czwarta rano i zmęczenie spowiło go niczym ciężki płaszcz. – Przepraszam, co mówiłaś?

– Jak szybko twoja wiadomość dotrze do Janusa?

– Jeśli dopisze nam szczęście, do jutrzejszego wieczoru. – Marcus przeklął w duchu skomplikowane środki bezpieczeństwa, które nie pozwalały mu poznać lokalizacji Wierzbowego Potoku. Rozumiał ich potrzebę, ale pragnął siedzieć przy pstrykaczu, dopóki nie przyjdą nowe instrukcje, a nie czekać na sygnał i przekazanie ich przez kuriera, które mogło się opóźnić. – Jeśli natychmiast wyśle odpowiedź, powinniśmy ją otrzymać pojutrze.

– To za długo. – Raesinia przygryzła wargę. – Myślę, że powinniśmy rano zawiadomić deputowanych.

– Mając jedynie listę osób, które mają zostać aresztowane? – Tylko taki dowód zdobyli podczas tej fatalnej wyprawy, a i to dzięki przytomności umysłu Raesinii, która wepchnęła dokument do kieszeni. – To żaden dowód.

– Magazyn wciąż tam jest. Deputowani mogą wysłać komisję. Przez noc Maurisk nie zdoła usunąć stamtąd wszystkiego.

– Jesteś pewna? Może ma kogoś, kto potrafi nakazać armatom, żeby wstały i tańczyły.

Raesinia pokręciła głową, uśmiechając się.

– Przynajmniej byłoby na co patrzeć.

– Pomyślę o tym. – Marcus na moment zamknął powieki. – Prześpię się z tym.

Tym razem Raesinia uśmiechnęła się szerzej.

– Odpocznij trochę.

Marcus zauważył, że ona wcale nie wygląda na zmęczoną. Zastanawiał się, czy w ogóle sypia, a jeśli jej stan na to nie pozwala, co robi całą noc. Myśl o łóżku, tak grzesznie dużym i

miękkim w porównaniu z polowymi łózkami, na których sypiał podczas kampanii, była niezwykle kusząca. Tylko załatwię jeszcze kilka drobnych spraw.

Marcus wstał, potykając się o krzesło, po czym przeprosił i ruszył na poszukiwanie Uhlana. Znalazł mierantajskiego porucznika przy tylnych schodach, cicho rozmawiającego z jedną ze służących. Miała oczy pełne łez, co było niezwykłym przejawem uczuć u tych stoickich mieszkańców gór. Widocznie jeden z żołnierzy był jej bliski. Chłopak? Brat? Kimkolwiek był, nie wrócił.

– Panie pułkowniku.

Uhlan poklepał kobietę po ramieniu i pospiesznie odeszła, uprzejmie skłoniwszy się Marcusowi, który odkaszlnął zmieszany.

– Czy ona... nic jej nie będzie?

– Nic, panie pułkowniku – odparł Uhlan.

Marcus nie mógł się zmusić do pytania o szczegóły. Potrząsnął głową.

– Przykro mi z powodu waszych ludzi.

– Dziękuję, panie pułkowniku – rzekł Uhlan. – Wszyscy zgłosiliśmy się na ochotnika. To była ryzykowna misja.

Nie znam ich nazwisk. Mierantajowie nie lubili mówić o sobie i Marcus zawsze godził się z tym. Powinienem przynajmniej znać ich nazwiska.

– Jeśli mogę zrobić coś dla ich rodzin lub cokolwiek.. – zdołał wykrztusić.

– Ktoś się tym zajmie – odparł Uhlan. – Jednak dziękuję.

Jaki jest ten Mieran, skoro rodzi takich ludzi? Marcus potrząsnął głową.

– W porządku.

– Teraz, kiedy została tylko szeregową Dracht i ja, nie jesteśmy tu bezpieczni, panie pułkowniku – powiedział Uhlan. – Moim zdaniem powinniśmy przenieść się w jakieś inne miejsce, gdzie łatwiej będzie się bronić i ściągnąć posiłki.

– Poślę wiadomość do Wierzbowego Potoku. – Marcus wiedział, że jest tam co najmniej kompania Mierantajów. – W tym czasie możemy się tylko przygotować. Proszę dopilnować, żeby wszyscy wiedzieli, że może będziemy musieli opuścić to miejsce w pośpiechu.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Widział pan Andy?

– Sądzę, że jest w kuchni, panie pułkowniku.

Andy istotnie siedziała przy zwykłym drewnianym stole, przy którym służba spożywała posiłki. Miała butelkę jakiegoś gęstego czerwonego płynu, już w połowie pustą. Obrzuciła Marcusa trochę nieprzytomnym spojrzeniem.

– Hej, pułkowniku – powiedziała nieco bełkotliwie. – Chcesz kropelkę?

– Nie, dziękuję. – Marcus przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. – Dobrze się czujesz?

– Melduję, że nie odniosłam żadnych ran, panie pułkowniku – powiedziała, salutując butelką. Kilka kropli trunku spadło na blat stołu.

– Andy...

– Przepraszam. – Pociągnęła łyk, a potem odstawiła butelkę. – Jestem tylko trochę pijana.

– Widzę – delikatnie rzekł Marcus.

– Po prostu... – Przełknęła ślinę. – Hayver krzyczał. Wyglądał jak zbyt długo zostawiona na ogniu pieczeń i wciąż krzyczał.

– Wiem.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, jak ktoś płonie żywcem. – Nabrała tchu. – Widziałam zakłutych, zatłuczonych, zastrzelonych. Pomagałam przy rannych po Midvale. Myślałam, że nie może być nic gorszego. Była taka dziewczyna, wciąż wzywała pomocy, ale kiedy ją podnieśliśmy, wypadły jej wnętrzności. Jakby urodziła stertę węży. I wciąż krzyczała... – Andy zamknęła oczy. – Myślałam, że nic nie może być gorsze od tego.

Marcus powstrzymał przemożną chęć wzięcia jej w ramiona. To jeszcze dziecko. Lecz była szeregowcem, żołnierzem, a pułkownicy nie przytulają swoich żołnierzy. Jednak... do diabła. Skrzywił się, usiłując opanować rozbiegane myśli.

– Kiedy kazał mi pan uciekać – powiedziała Andy – i wstał, żeby strzelić... myślał pan, że spłonie, prawda? Ta kobieta... rzucała bomby czy coś...

Marcus rozpoznał to spojrzenie. Sam to czuł, potrzebę pogodzenia się z czymś, co niemożliwe.

– Sądziłem, że mam dobrą pozycję do strzału. – Marcus westchnął. – Nic to nie dało.

– Mimo wszystko. Dziękuję.

Andy odetchnęła, wyprostowała się i pociągnęła kolejny łyk.

– Po bitwie, kiedy wszystko cię boli, potrzebujesz butelki i ciepłego ciała do przytulenia. Tak mawiała Szalona Jane, kiedy walczyliśmy z poborcami. – Spojrzała na butelkę. – Chcesz kropelkę, pułkowniku? Wyglądasz, jakby ci się przydała.

Przez moment Marcus poważnie się nad tym zastanawiał. Bóg wie, że od czasu do czasu chowałem się w butelce. Był tutaj jednak dowodzącym oficerem, na dobre czy złe. Ze znużeniem pokręcił głową i odsunął krzesło od stołu.

– Potrzebuję snu. Dobranoc, szeregowca Dracht.

– Dobranoc, panie pułkowniku.

W połowie drogi do drzwi Marcus przystanął.

– Ja... przykro mi z powodu Hayvera.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Andy pomachała do niego butelką.

Marcus dwukrotnie potknął się na schodach i o wiele za długo gmerał przy klamce drzwi do swojej sypialni. Zanim doszedł do łóżka, był tylko w stanie upaść w prawidłowym kierunku.

Gdy znów otworzył oczy, świt wciąż jeszcze nie przyszedł i przez okno wpadała słaba poświata Vordanu, a na niebie migotały jasne gwiazdy. Zdołał zdjąć buty, ale wciąż miał na sobie kurtkę i jej guziki boleśnie wbijały mu się w klatkę piersiową. Znów jęknął, obrócił się na bok i zrzucił z siebie przeupoconą bluzę.

– Znów się spotykamy, kapitanie d'Ivoire.

Marcus błyskawicznie okręcił się, z sercem łomoczącym w piersi. Jego pokój w Bliźniaczych Wieżyczkach był mały, mieścił zaledwie łóżko do spania i kilka osobistych rzeczy złożonych w kufrze. Siedziała na nim postać w czerni, z palcami splecionymi pod równo przyciętą kocią bródką. Ten uśmiech – a raczej szyderczy grymas – Marcus ostatnio widział po drugiej stronie żelaznych krat.

– Ionkovo – warknął.

Jego szabla wisiała na kołku sterczącym z drzwi, cztery kroki od łóżka. Pod ręką miał świecznik, którego mógł w razie potrzeby użyć jako pałki. Jak, do diabła, on tu wszedł?

Zapewne w taki sam sposób, w jaki wydostał się z zamkniętej celi, zabijając przy tym Strażnika.

– Przepraszam – powiedział Ionkovo. – Widzę, że teraz to pułkownik d'Ivoire. I zapewniam, że szabla nie będzie panu potrzebna. Nie przyszedłem tu wyrządzić panu krzywdy.

– To po co, do diabła, tu jesteś? – W Marcusie wzbierał gniew. – Mówiłeś, że znasz odpowiedzi. Wiedziałeś, że Orlanko kazał zabić moją rodzinę, nieprawdaż?

– Skierowałem cię na ścieżkę prowadzącą do odpowiedzi – rzekł Ionkovo. – Czy to nie jest coś warte?

– Ty... – Marcus zacisnął pięści.

Ionkovo wzruszył ramionami i podniósł rękę.

– W porządku, przyznaję. Miałem nadzieję, że te poszukiwania... odciągną pańską uwagę w decydującej chwili. Najwyraźniej nie poszło to tak, jak zaplanowaliśmy.

A niewiele brakowało. Marcus zostawił aresztowanie Dantona młodszemu kapitanowi Giforte, a kiedy wtrącił się w to Orlanko, tłum obległ Vendre. Marcus w ostatniej chwili zdążył objąć dowodzenie, chociaż to i tak nie zdało się na nic. Tylko dzięki szybkiej interwencji Wintera Ihernglassa to starcie nie zakończyło się krwawą łaźnią.

– Jeśli nie zamierzasz mnie zabić – rzekł Marcus – to podaj mi choć jeden dobry powód, dla którego nie powinienem wezwać straży i zamknąć cię w celi. Wiem, że Janus bardzo chciałby z tobą porozmawiać.

– Ja z nim również – powiedział Ionkovo – aczkolwiek zapewne wyobrażamy sobie odmienne okoliczności tej rozmowy. Jednak twoi strażnicy za moment będą mieli pełne ręce roboty. Przyszedłem tu, pułkowniku, jeszcze raz zaproponować panu moją pomoc.

– O czym ty mówisz, do diabła?

– Przewodniczący Dyrektoriatu Maurisk w końcu postanowił raz na zawsze rozprawić się ze swoimi przeciwnikami. To noc długich noży i jeden z nich jest przeznaczony dla ciebie. Odpowiedz na moje pytanie, a zatrzymam ich na dostatecznie długą chwilę, żebyś mógł się wycofać i kiedyś znów podjąć walkę.

– Nie bądź śmieszny. – Serce Marcusa zaczęło bić szybciej. Miał gotową listę osób przewidzianych do aresztowania. Czy mógł zareagować tak szybko? – Deputowani na to nie pozwolą. Janus także.

– Maurisk uważa, że ma generała Vhalnicha w garści. Czy tak jest, czy nie... – Ionkovo demonstracyjnie wzruszył ramionami. – Dla ciebie to bez różnicy.

– Nie wierzę ci.

– Zatem zginiesz. Dzisiaj. – Widząc, że Marcus znów zerknął na szablę, Ionkovo zaśmiał się.

– Och, nie będę musiał brudzić sobie rąk.

– Ja...

Ktoś zapukał do drzwi, głośno i pospiesznie. Ionkovo zmarszczył brwi.

– Czas ucieka, pułkowniku. Musisz zdecydować.

– Nie zadałeś mi żadnego pytania – powiedział Marcus, żeby zyskać na czasie.

– Myślę, że je znasz. – Ionkovo nachylił się i syknął: – Gdzie jest Tysiąc Imion?

Tego się obawiałem.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Oczywiście. – Ionkovo przewrócił oczami. – Muszę rzec...

Uderzone z impetem drzwi otworzyły się z trzaskiem, aż drzazgi rozsypały się po pokoju. W progu stanął Uhlan, a obok niego Raesinia. Ionkovo obrzucił ich przeciągłym spojrzeniem. Na widok Raesinii jego twarz skamieniała.

– Tutaj. – Na jego wargach znów pojawił się uśmiech. – Mielicie ją tutaj. Och, dobra robota, d'Ivoire. Bardzo dobra robota.

– Pułkowniku, padnij! – Uhlan wycelował pistolet.

Marcus uskoczył w bok, padając na łóżko i schodząc z linii strzału. Uhlan ściągnął spust, ale Ionkovo był szybszy. Siedząc na skrzyni, odchylił się do tyłu i wykonał pad, który powinien zakończyć się niezdarnym uderzeniem o ścianę, tymczasem Penitent wpadł w plamę cienia rzucanego przez światło wpadające z korytarza. Ciemna powierzchnia zafalowała jak woda. W następnej chwili huknął strzał i kula z pistoletu wybiła poszarpaną dziurę w boazerii.

Uhlan opuścił dymiący pistolet, spoglądając na miejsce, gdzie zniknął Ionkovo. Raesinia przecisnęła się obok niego i podbiegła do Marcusa.

– Jesteś ranny? – zapytała.

Marcus jęknął i usiadł.

– Nic mi nie jest, dzięki wszystkim świętym. Myślę jednak, że mamy kłopoty.

– Przepraszam, że musiałem rozbić pańskie drzwi, panie pułkowniku – rzekł Uhlan, otrząsnąwszy się z szoku. – Ona nalegała.

Marcus pytająco spojrział na Raesinię, która odwróciła oczy.

– Miałam... przeczucie – mruknęła. – Jakby ból. Taki sam, jak kiedy wczoraj widzieliśmy tę kobietę, więc czując go, znowu pomyślałam, że ona tu jest.

Każdy naathem wyczuwa obecność innych sobie podobnych, powiedziała Feor. Marcus nie przypuszczał, że może to dotyczyć także Raesinii, ale najwyraźniej wyczuła obecność Ionkovo. Zerknął na Uhlana – teraz, gdy widział już tyle, w pewnej chwili trzeba będzie go poinformować. Nie ma na to czasu.

– Powiedz mi, jeśli znów to poczujesz – cicho rzekł do Raesinii.

Skinęła głową.

– Nadal go wyczuwam, ale coraz słabiej. Kto to był?

– Jeden z nich. Przeklęty Penitent. Nazywa się Ionkovo.

– Ty go znasz?

– Aresztowałem go podczas rewolucji – rzekł Marcus. – A może pozwolił mi na to. Nie miałem pojęcia, czym jest. Myślę, że chciał się dowiedzieć, ile wiem. Kiedy skończył, po prostu wyszedł z zamkniętej celi.

– Usłyszałam jego głos i pomyślałam, że może masz kłopoty.

– Powiedział, że Maurisk chce nas aresztować. A raczej mnie. Nie sądzę, żeby wiedział, że tu jesteś.

– Kiedy?

– Teraz. Tej nocy. – Marcus wstał. Trochę kręciło mu się w głowie. – Musimy się stąd wynieść.

– Powiedział ci o tym? Dlaczego?

– Chce zdobyć... – Marcus znów spojrział na Uhlana, usilnie starającego się nie zwracać na nich uwagi, po czym się skrzywił. – Te rzeczy, które Janus przywiózł z Khandaru. Myślał, że mogę mu powiedzieć, gdzie są. Sądzę, że awaryjnym planem jest zamknięcie mnie w celi,

do póki czegoś im nie powiem.

– Och, do diabła! – zakląła Raesinia. – To oznacza, że wszystko już się zaczęło. Przewrót. Muszę zawiadomić Sothe.

Marcus skinął głową.

– Najpierw musimy wynieść się stąd. Uhlan!

– Panie pułkowniku! – zsalutował porucznik.

– Musimy opuścić posiadłość, natychmiast.

– Kazałem przygotować powóz, panie pułkowniku. Każę zaprzęgać konie.

Marcus zmarszczył brwi. Powóz znacznie mniej rzucałby się w oczy, zanim wojna zabrała większość koni z ulic miasta. Nagle przyszła mu do głowy inna myśl.

– A co ze służbą? – W Trzech Wieżyczkach były trzy mierantajskie kobiety, które gotowały i sprzątały, oraz dwaj chłopcy stajenni i woźnica. – Nie możemy ich zostawić.

– Myśli pan, że coś by im się stało? – Uhlan wydawał się szczerze wstrząśnięty.

– Maurisk będzie chciał sprawdzić, czy coś wiedzą – odparł Marcus. – A to oznacza, że wszyscy obecni w posiadłości zostaną aresztowani i przesłuchani.

– Pójdę ich obudzić – oznajmiła Raesinia i pospiesznie odeszła.

Na zbiórce w salonie stały się trzy Mierantajki w średnim wieku, poważne i niewzruszone nawet w swych grubych bawełnianych nocnych koszulach. Uhlan pobiegł do stajni przygotować powóz.

– Opuszczamy posiadłość – oznajmił Marcus. – I sędzę, że powinniście jechać z nami. Nie będę was zmuszał, ale jeśli chcecie jechać, to natychmiast. Ubierzcie się i zostawcie tu wszystkie swoje rzeczy.

Najstarsza z trzech kobiet popatrzyła na dwie pozostałe, które bez słowa skinęły głowami. Pobiegły do swoich pokoi, gdy wrócił Uhlan.

– Powóz będzie gotowy za pięć minut, panie pułkowniku – oznajmił. – Ale brakuje Aldio.

– Do diabła. Jeśli wymknął się na miasto, to mam nadzieję, że będzie miał dość rozsądku, żeby tu nie wracać.

Z góry dobiegło ich wołanie Raesinii.

– Marcusie! Nie mogę znaleźć Andy! Nie ma jej w pokoju!

Marcus zamrugnął, ale zaraz zrozumiał.

– Upchnij wszystkich w powozie. Kto się nie zmieści, pojedzie na zewnątrz. Jeśli zdążysz, nabij parę pistoletów.

– Marcusie! – Wołanie Raesini, teraz bardziej ponaglące, dobiegło go od okna na półpiętrze. – Widzę pochodnie na ulicy!

Marcus pobiegł na tyły domu, sprawdzając po drodze korytarz, salonik i kuchnię. Okazało się, że byli w spiżarni; gdy otworzył grube drzwi, zobaczył skotłowany koc na podłodze i mierantajskiego chłopca pospiesznie naciągającego spodnie. Andy, prawie naga, siedziała pod ścianą.

– Panie pułkowniku... – zaczął chłopak z akcentem jeszcze wyraźniejszym niż Uhlan.

Marcus chwycił leżącą na podłodze koszulę, wepchnął mu ją do ręki i wypchnął go za drzwi.

– Do stajni. Już!

Andy wstała, gdy chłopak wybiegł. Marcus starał się patrzeć tylko na jej twarz, ale i tak

zaczzerwieniła się pod jego spojrzeniem.

– Jesteś na tyle trzeźwa, żeby strzelać?

– Zapewne. – Andy zamruwała. – Co się dzieje?

– Wysłali na nas Gwardię Patriotyczną. Opuszczamy posiadłość. Włóż coś na siebie i idź do stajni.

– Och. – Zastygła na moment. – O kurwa!

– Idź!

Pobiegła. Marcus podążył za nią i na podest. Raesinia przyciskała twarz do okna. W połowie ulicy zobaczył rząd szybko zbliżających się świateł.

– Jest ich co najmniej dwudziestu, wszyscy z muszkietami – powiedziała Raesinia. Osłoniła dłońmi oczy, żeby lepiej widzieć. – Maurisk nie żartuje.

– Idź do stajni.

– Mamy dość miejsca dla wszystkich?

– Tak, jeśli niektórzy z nas pojedą na dachu.

Raesinia uśmiechnęła się.

– Zawsze chciałam tego spróbować.

Andy pojawiła się na szczycie schodów, w spodniach i butach, jeszcze wciągając koszulę. Raesinia uniosła brwi.

– Chyba mogę chodzić prosto – powiedziała Andy do Marcusa.

– To dobrze. – Marcus sprowadził obie kobiety na dół i krótkim zadaszonym przejściem do stajni.

Powóz, czterokołowy i kryty, stał naprzeciw zamkniętych drzwi frontowych, przed pustymi przegrodami. Jedne jego drzwiczki były otwarte i Marcus dostrzegł w środku trzy mierantajskie kobiety oraz dwóch chłopców stajennych, woźnica zaś siedział na koźle, nerwowo ściskając lejce. Uhlan nabijał pistolet, a kolejne trzy leżały przed nim na odwróconym do góry dnem poidle.

– Raesinio, ty siądź na górze. – Była najlżejsza, a Marcus nie był pewny, jakie obciążenie zdoła wytrzymać dach powozu. – Andy i ja staniemy przy drzwiach. Uhlan, usiądź na koźle.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Uhlan wręczył Marcusowi pistolet. Raesinia wskoczyła na koziół i wgramoliła się na dach.

– Nie ma się czego złapać – powiedziała. – Jeśli skęcimy zbyt gwałtownie, to spadnę.

– Masz.

Marcus wyjął Uhlanowi sztylet zza pasa i rzucił jej. Raesinia wyjęła nóż z pochwy i z całej siły wbiła go w drewniany dach powozu. Lekko pociągnęła zań na próbę i skinęła głową.

Marcus obejrzał drzwi. Miały metalowy schodek ułatwiający wsiadanie niższym pasażerom i w połączeniu ze skórzaną pętlą służącą za klamkę tworzyły wygodną grzędę. Stał na niej, lewą ręką ściskając rzemienny pas, a prawą pistolet.

Uhlan wręczył Andy jeden pistolet, a drugi przekazał Raesinii. Podeszedł do drzwi stajni i otworzył je szarpnięciem. Żwirowy podjazd oświetlały tylko słabe światła z okien domu.

– Dokąd jedziemy, panie pułkowniku? – zapytał, siadając na koźle i szykując broń do strzału.

– Na Stare Miasto – odparł Marcus. Przytułek pani Feldy był oczywistym wyborem na kryjówkę. – Jednak nie prosto do kościoła, jeśli nie chcemy ściągnąć tam Gwardii Patriotycznej.

– Po prostu zawieź nas na Stare Miasto – rzekła Andy. – Potem powiem wam, jak dalej jechać. Łatwo tam zniknąć, jeśli się chce.

– Dobrze. – Marcus popatrzył na podjazd. Na jego końcu robiło się jaśniej i pojawiły się tam długie cienie. – Ruszaj!

Woźnicy nie trzeba było zachęcać. Trzasnął lejcami i już zdenerwowane konie pomknęły naprzód.

– Mamy strzelać do gwardzistów? – spytała Andy. – Ostatnio nie chciał pan, żebyśmy to robili.

– Sądzę, że oficjalnie skończyliśmy z takimi subtelnościami – odparł Marcus. – Jednak starajcie się nie marnować...

– D'Ivoire! – wrzasnął ktoś z końca podjazdu, do którego szybko się zbliżali. – Czy to... natychmiast się zatrzymaj!

– Jechać dalej – rozkazał Marcus.

– D'Ivoire! – Przed nimi wyrosła jakaś postać, wyraźnie widoczna w blasku pochodni. – Mam nakaz... stać, stać!

– Szybciej! – krzyknął Marcus.

Konie nie zdążyły się rozpedzić, ale powóz był tak ciężki, że perspektywa przejechania nie była zachęcająca. Gwardzista uskokzył, upuszczając muszkiet. Za nim szło kilku innych. Każdy trzymał w jednej ręce pochodnię, a w drugiej muszkiet, co było nie najlepszym połączeniem.

– W lewo! – zawołał Marcus.

Woźnica ściągnął lejce i zapiszczała oś, gdy powóz przez moment brał zakręt na dwóch kołach. Przed sobą ujrzeli następną grupę gwardzistów. Widocznie ich oddział rozproszył się, otaczając Bliźniacze Wieżyczki.

– Przejedź przez nich!

Gwardziści przed nimi mieli chwilę, żeby zareagować. Kilku natychmiast uskokowało, ale odważniejsi odrzucili pochodnie i unieśli muszkiety. Marcus wycelował najdokładniej jak mógł i ściągnął spust, mając nadzieję, że przynajmniej ich przestraszy i zmusi do ucieczki. Błysk wystrzału oślepił go na moment, a huk pistoletu tylko nieznacznie wyprzedził głośniejszy trzask muszkietów. Dzwoniło mu w uszach i na moment zawisł na skórzanym pasie.

Zdażył dostrzec gwardzistów z muszkietami, którzy pierzchali z drogi nadjeżdżającego powozu. W następnej chwili zostawili ich w tyle i coraz szybciej pędzili ulicą w ciemność. Za nimi huknęły kolejne wystrzały, gdy napastnicy na podjeździe otrząsnęli się z zaskoczenia, lecz choć Marcus słyszał świst kul, żadna z nich nie przeleciała blisko.

– Wszyscy cali? – spytał Marcus. – Skręć w prawo, w Świętego Uryjasza... w prawo...!

W pędzie minęli skrzyżowanie. Zaprzęg, teraz w pełnym galopie, ciągnął powóz z imponującą prędkością. Pęd powiększał każdy wybój i koleinę, tak że następną próbę powiedzenia czegoś Marcus o mało nie przyplacił utratą języka, gdy jego górna i dolna szczeka zetknęły się z trzaskiem.

– Dostałem – wykrztusił Uhlan. – I sądzą, że Delcot nie żyje.

Marcus odrzucił bezużyteczny pistolet i wychylił się, łapiąc krawędź kabiny, aż mógł zerknąć przez ramię Uhlana. Mierantajski porucznik przyciskał dłoń do uda, na którym szybko powiększała się ciemna plama. Woźnica obok niego osunął się bezwładnie i wypuścił lejce. Kula z muszkietu przebiła mu szyję i cały przód koszuli miał zalany krwią.

– Kurwa – zaklął Marcus. Zaciął chwyt i spróbował ocenić, jakie ma szanse, jeśli puści skórzany pas i spróbuje wskoczyć do powozu. Jak dobrze pójdzie, to po prostu spadnę i zostanę przejechany. – Raes! Możesz złapać lejce?

– Mogę spróbować! – Raesinia wystawiła głowę zza krawędzi dachu i oceniła sytuację. – A niech to szlag.

– Pospiesz się, proszę.

Pomiędzy ulicą Świętego Uryjasza a Fusami Druga Aleja biegła stosunkowo prosto. Już przejechali prawie połowę tej odległości, a kiedy dotrą do Fusów, ciągnących się wzdłuż uniwersytetu, będą mieli do pokonania ostry zakręt w lewo lub w prawo, a przed sobą ściany budynków. Konie mogą dostrzec niebezpieczeństwo i zwolnić, ale jeśli pojazd nie zahamuje, to po prostu przejedzie po nich.

– Niech to szlag – powtarzała Raesinia jak mantrę, pełznąc naprzód po dachu. Większa część ulicy była pogrążona w mroku, lecz nawet wojna nie mogła całkowicie zlikwidować nocnego życia Fusów i rząd lamp na końcu ulicy zbliżał się szybko. – Przepraszam za to.

Położyła dłoń na ramieniu martwego woźnicy i popchnęła. Jego bezwładne ciało zsunęło się na bok, a potem spadło z kozła i powóz gwałtownie podskoczył, gdy przetoczyły się po nim koła. Marcus o mało nie spadł i rozpaczliwie złapał się skózanego pasa. Usłyszał głuchy łoskot, z jakim ciało Raesinii uderzyło o dach.

– Raes?

– Wciąż tu jestem! – Splunęła krwią. – Jakoś. Chwilę...

Marcus usłyszał śmiech Andy, piskliwy i lekko histeryczny. Raesinia podczołgała się do przodu i zsunęła na kozioł, niezgrabnie opadając nań obok rannego Uhlana. Usiadła pewniej i złapała lejce.

– I co teraz? – zapytała.

– Zatrzymaj powóz! – odkrzyknął Marcus.

– Jak?

– Musisz... – Marcus ze zdumieniem odkrył, że nie ma pojęcia. Konie i pojazdy nigdy nie były jego domeną.

– Hamulec – jęknął Uhlan. – Między nami. Potem ściągnij lejce.

Raesinia szarpnęła metalową dźwignię i oś powozu zapiszczała przeraźliwie jak upiór. Ściągnęła lejce, krzycząc coś niezrozumiałego do koni. Zaskoczone nagłą utratą prędkości zataczały się po ulicy i przez jeden okropny moment Marcus już myślał, że powóz się przewróci. Z ostatnim szarpnięciem jednak zatrzymał się tuż przed Fusami, gdzie zebrali się już zaciekawieni przechodnie. Wszędzie unosił się zapach rozgrzanego metalu, a gdy Marcus spojrzął za siebie, dostrzegł smużki dymu unoszące się z tylnych kół.

Puścił pas, zeskoczył na ulicę i upadł, gdyż nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Usłyszał kroki i w następnej chwili pojawiła się przy nim Andy, wyciągając rękę i pomagając mu wstać.

– To ci była jazda – powiedziała. – Jest pan cały?

Kiwnął głową, otrzepał się i podszedł do Uhlana. Porucznik posłał mu wymuszony uśmiech, zaciskając zęby.

– Nie jest źle, panie pułkowniku. Myślę, że przeszła na wylot.

– Pani Felda na pewno zna kogoś, kto może pomóc – rzekł Marcus. – Na razie zabandażujemy ranę.

– Lepiej się pospieszmy – ponagliła Andy. – Będą nas ścigać.

Głośny okrzyk na końcu ulicy powiedział Marcusowi, że ktoś odkrył ciało woźnicy.

– Trzymaj się. – Marcus wziął Uhlana pod rękę i razem z Andy pomogli zsiąść rannemu Mierantajowi. – Myślisz, że wasze kobiety umieją założyć bandaże?

– Oczywiście.

Zdołali wepchnąć porucznika do powozu, między służące, które bynajmniej nie zamierzały zemdleć na widok krwi. Marcus wspiął się na kozioł i usiadł obok Raesinii, a Andy wróciła na swoje miejsce przy drzwiach. Ostrożnie zwołnił hamulec i sam chwycił lejce. Na szczęście konie były dobrze wyćwiczone i nie wymagały zręcznej ręki.

– Pojedziemy do Starego Brodu – powiedział Marcus, gdy ze znacznie rozsądniejszą prędkością jechali Fusami, pozostawiając za sobą gapiów. – Potem będziemy musieli porzucić powóz. Andy, mówiłaś, że masz jakiś pomysł?

– Tak – odrzekła. – Znam tam kilka osób.

– I co potem? – zapytała Raesinia.

Marcus spojrzał na nią. Przyciskała dłonie do twarzy, a teraz odjęła je i zobaczył, że ma mocno zakrwawiony policzek i skroń. Jednak po ranie pozostały tylko niewielkie skaleczenia i na oczach Marcusa nawet one zamknęły się i znikły, jakby ich nigdy nie było. Raesinia otarła krew rękawem i konspiracyjnie poruszyła brwiami.

– Potem... – Marcus pokręcił głową. – Potem coś wymyślę.

Raesinia

– Jesteś królową – powiedziała Andy.

– Tak – odparła Raesinia.

– Królową Vordanu.

– Tak.

– Tą królową Vordanu.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, była tylko jedna.

– Ale...

Raesinia westchnęła.

– Niech zgadnę. Nie jestem taka, jak się spodziewałaś?

Zdecydowanym krokiem ruszyła ulicą, zostawiając gapiącą się za nią Andy. Szeregowiec potrząsnęła głową i biegnąc truchtem, dogoniła ją, po czym przez chwilę szły w milczeniu. Nawet tutaj, zaledwie przecnicę od placu Triumfu Farusa, ruch uliczny był niewielki. Jakiś starszy pan pospiesznie przeszedł obok nich, ze spuszczonego wzrokiem.

– Przepraszam – powiedziała Andy. – Ja tylko... Chcę powiedzieć, że to istna bomba.

– Pomyślałam, że lepiej będzie to wyjaśnić. – Zeszłej nocy Raesinia i Marcus zdecydowali, że Andy zasłużyła na dopuszczenie do tajemnicy, przynajmniej częściowo. Raesinia nie zamierzała mówić jej o swoim stanie. – Dziwię się, że mi uwierzyłaś.

– Ja... – Andy zmarszczyła brwi. – Pewnie ludzie by nie uwierzyli, no nie?

– Raczej nie mogłam o tym mówić wielu osobom, ale zapewne nie.

– To po prostu zdaje się pasować do tych wszystkich rzeczy, które dzieją się ostatnio – orzekła Andy. – Chcę powiedzieć: dlaczego nie?

– Trzeźwe rozumowanie.

– Cóż, wybac mi moją łatwowierność. – Andy przechyliła głowę. – Jednak ty nie żartujesz.

Prawda?

– Nie. – Raesinia na moment zamknęła oczy. Była zła i trochę przestraszona, ale byłoby niesprawiedliwe wyładowywać się na Andy. – Jeśli wrócimy do pałacu, pokażę ci kilka portretów.

– Czy Marcus wie?

Raesinia skinęła głową.

– Dlatego przebywałam w Bliźniaczych Wieżyczkach.

– To wiele wyjaśnia.

– Naprawdę? Na przykład co?

– Zaczynałam podejrzewać, że się w tobie kocha.

Raesinia zgubiła krok i lekko się potknęła na wystającym kamieniu.

– Chociaż w dziwny, nabożny sposób, wiesz? – ciągnęła Andy, nie przerywając. – Traktuje cię tak delikatnie. Teraz nabiera to sensu.

– Pewnie tak.

Najpierw Viera, a teraz Andy. *Dlaczego wszyscy nagle dostali obsesji na punkcie życia uczuciowego Marcusa?*

– A co z Uhlaniem? – zapytała Andy.

– Myślę, że on wie, ale nigdy nic nie powiedział. – Mierantajski porucznik wciąż był przykuty do łóżka, ale zdaniem pani Feldy nic mu nie groziło. Po tym, jak porzucili powóz na jakimś pustym podwórzu, musieli zanieść rannego do kościoła na dwóch deskach. – Cora też wie. Ale nikt więcej. Oczywiście muszę cię prosić, żebyś nikomu o tym nie mówiła.

– Oczywiście. Wasza Królewska Mość. – Andy uśmiechnęła się, widząc ostrzegawcze spojrzenie Raesinii. – Przepraszam. Naprawdę mieszkałaś w pałacu?

– Całe życie.

– To musiało być przyjemne życie – zauważyła z tęsknym westchnieniem Andy. – Dobre jedzenie, ludzie kłaniający ci się w pas, nic do roboty... co księżniczki robią po całych dniach?

– Niewiele, jak się okazuje. Dużo czytałam albo uczyłam się pod kierunkiem ojca, kiedy nie był chory.

– Twój ojciec... – Andy urwała. – Och. Przepraszam.

– W porządku.

– To takie dziwne myśleć o królu jako... no, człowieku. Mającym rodzinę. A nie tylko brodę i koronę wytłoczone na monetach.

– Chciałabym, żeby więcej osób poznało go jako człowieka – powiedziała ze ściśniętym gardłem Raesinia. – Nie wiem, czy był dobrym królem. Pewnie nie, zważywszy na to, jak wszystko się potoczyło. Zawsze jednak był dobrym ojcem. Po śmierci mojego brata... bardzo to przeżył.

Znów zapadła niezręczna cisza. Andy wskazała kawiarnię pod kolorowym proporcem z żurawiem lecącym na tle zachodzącego słońca. Flaga łopotiała na silnym zimnym wietrze.

– To tutaj? – zapytała.

– Na to wygląda – odrzekła Raesinia.

– Nie rozumiem, dlaczego Janus nie powiedział Marcusowi, gdzie jest ten Wierzbowy Potok. Albo tobie, skoro o tym mowa. Jeśli ci nie ufa, to po co to wszystko?

– Chodzi o bezpieczeństwo operacyjne – powiedziała Raesinia, powtarzając słowa Sothe. –

Ludzie powinni wiedzieć tylko to, co muszą wiedzieć. To zmniejsza ryzyko, że ktoś wygada się przypadkiem lub na torturach.

– Na torturach? – Andy pokręciła głową. – Ten Janus to chyba wesoły gość.

– Poważnie traktuje sprawy.

Dotarli do frontowych drzwi kawiarni. Była prawie pusta; trzech starszuchów tkwiących przy długim drewnianym barze byli jedynymi klientami. Raesinia spojrzała na puste stoliki, czyste i lśniące, z równo poustawianymi przy nich krzesłami.

Poza jednym, blisko wejścia, na którym ktoś zostawił gazetkę. Była złożona tak, że tworzyła trójkąt. Nie tak jak zwykle składa się takie ulotki, żeby wepchnąć je do kieszeni.

– To tam – powiedziała Raesinia.

– Jesteś pewna?

– Zachowaj spokój.

Raesinia skinęła na zmęczoną kobietę za barem i wskazała stolik. Kobieta odpowiedziała zrezygnowanym machnięciem ręki, jakby mówiąc: W tych okolicznościach siadajcie, gdzie chcecie. Raesinia i Andy wysunęły sobie dwa krzesła i usiadły, po czym Raesinia rozwinęła gazetkę.

– I co teraz? – zapytała Andy.

– Teraz czekamy.

Znajomości z Sothe Raesinia zawdzięczała podstawową wiedzę o tego rodzaju działaniach, przez co wszyscy u pani Feldy uważali ją za eksperta. W rzeczywistości jej spiskowa działalność przed rewolucją obejmowała bardzo mało takich konspiracyjnych czynności – do samego końca. Głównie polegała na piciu i dyskusowaniu. Ponieważ Uhlan był ciężko ranny, a Gwardia Patriotyczna energicznie szukała Marcusa, tylko Raesinia i Andy mogły sprawdzić, czy jest jakaś odpowiedź na wiadomość przekazaną przez pułkownika do Wierzbowego Potoku.

Andy ma trochę racji, że Janus przesadza. Raesinia rozumiała, dlaczego chciał, by lokalizacja Wierzbowego Potoku pozostała pilnie strzeżoną tajemnicą, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego wyjawienie go jej miałyby spowodować jakieś problemy. I byłoby pomocne w takich nadzwyczajnych sytuacjach.

– Powinnam coś zamówić? – spytała Andy.

– Raczej tak – odparła Raesinia. – Inaczej dziwnie to będzie wyglądało.

Skinęła na kobietę za barem, która niechętnie przysłała je obsłużyć. Raesinia kupiła bochenek chleba i masło po szokująco wysokiej cenie oraz butelkę wina po zaskakująco niskiej. Kiedy czekały, obejrzała gazetkę. Był to „Patriota”, zdecydowanie konserwatywna i jedna z najpoczytniejszych gazet w opętańczym zalewie vordanajskiej prasy.

KOLEJNE ARESZTOWANIA – głosił tytuł na pierwszej stronie. „Po wstrząsającym ujawnieniu zdrady ministra wojny, Giles’a Durenne’a, Gwardia Patriotyczna kontynuowała godne pochwały wysiłki w celu oczyszczenia naszego rządu z tej zgnilizny. Zatrzymano kilku innych współpracowników byłego deputowanego, a informacje uzyskane od niego i jego zauszników doprowadziły do ujęcia wielu nieprzyjacielskich szpiegów. Ufamy, że usunięcie tych wywrotowych elementów zjednoczy nasz naród i zapewni vordanajskiej armii laury zwycięstwa, których dotychczas nie...”.

I dalej w tym stylu, wychwalając „geniusz” „łaskawego Przewodniczącego Dyrektoriatu”

oraz zbawienne skutki jego programu publicznych egzekucji. Nie wspomniano o aresztowaniach radykalnych deputowanych, jedynie wzmiankowano o „innych szpiegach i zdrajcach”. Nie napisano także ani słowa o armii Wschód ani o jej dotychczasowych zwycięstwach.

To musi coś oznaczać. Raesinia wiedziała, że gdyby poszła do sprzedawcy gazet, na jego stoliku znalazłaby tylko „Patriotę” i tym podobne dzienniki. Jeśli konserwatyści przedtem zdominowali prasę, teraz po prostu zdusili wszelkie inne głosy. Kilku radykalnych wydawców i autorów aresztowano i zamknięto w prowizorycznym więzieniu obok hotelu Ancerre. Dziwię się, że Maurisk nie zdobył się na ponowne otwarcie Vendre.

Fakt, że w tych aprobowanych przez rząd periodykach nic nie pisano o armii Janusa, pomimo że – według Marcusa – wieści z tego frontu były pomyślne, mógł oznaczać jedynie, że Maurisk nie chce, aby sława generała rosła. Kiedy pozbył się Durenne’a, jedynym zagrożeniem dla niego pozostał Janus. Musimy go zawiadomić. Stąd ta rozpaczliwa próba nawiązania kontaktu z Wierzbowym Potokiem.

– Mogę cię o coś zapytać? – zaczęła Andy.

Raesinia złożyła gazetkę – tym razem w zwykły sposób – i spojrzała na dziewczynę.

– O co?

– Jeśli jesteś królową – ściszym głosem powiedziała Andy – to co tutaj robisz?

– To długa historia – odparła Raesinia.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Andy. – Chyba jednak mamy czas.

Pojawiła się kelnerka z drewnianą tacą z jeszcze ciepłym chlebem, butelką oraz dwoma kieliszkami. Pokroiwszy chleb, odkorkowała butelkę i napełniła kieliszki. Po jej odejściu Raesinia w zadumie spojrzała na Andy.

Co, do diabła? Dlaczego jej nie powiedzieć?

Tak więc powiedziała. Oczywiście nie wszystko – nie o swojej śmierci i demonie Orlanki, tylko o tym, jak zawiązała spisek przeciwko swojej władzy, żeby ograniczyć rosnące wpływy Ostatniego Diuka, co doprowadziło do rozlewu krwi i rewolucji. Andy słuchała, chłonąc to wszystko w milczeniu.

– To... o rany – rzekła w końcu oszołomiona.

– Kiedy o tym opowiadam, to wszystko wydaje się trochę zwariowane – stwierdziła Raesinia.

– Co się stało z pozostałymi spiskowcami?

– Jedną z nich była Cora. Innym był Maurisk. – Raesinia ze zdziwieniem odkryła, że wciąż ma poczucie, jakby ich zdradziła. – Inni... zginęli. Jeden z nich był agentem Orlanki. Inny... był we mnie zakochany i zginął, próbując mnie chronić.

– Ach. – Andy pokręciła głową. – Myślę, że Hayver... coś do mnie czuł. Próbował zebrać się na odwagę, żeby mi o tym powiedzieć. Uważałam go za miłego, niemądrego i nieśmiałego chłopaka, ale nie chciałam go zachęcać.

Wbiła wzrok w blat stołu. Raesinia w myślach usłyszała krzyk płonącego chłopca i wiedziała, że Andy też go słyszy. W milczeniu podniosła butelkę i napełniła jej kieliszek, sobie również naląła sporą porcję. Właściwie było to marnowanie alkoholu, gdyż więź nie pozwalała, żeby chociaż lekko ją oszołomił.

– Nadal nie rozumiem – powiedziała Andy, otrząsając się z ponurych myśli.

– Czego nie rozumiesz?

– Dlaczego to robiłaś. Orlanko chciał przejąć władzę. I co z tego? Wciąż byłabyś królową, nawet jeśli tak naprawdę nie byś nie robiła.

– Wydałby mnie za jakiegoś borelgajskiego księcia i sam rządził Vordanem. Mieliśmy przedsmak tego, jak by to wyglądało. Agenci Konkordatu pod każdym oknem, trupy w rzece każdego ranka, a każdy sprzeciwiający się temu zawleczony do Vendre lub gorzej. A ponadto powoli sprzedaliby kraj Borelgajom i Kościołowi Zaprzysiężenia. Nie mogłam stać na uboczu i na to pozwolić.

– Moim zdaniem nie byłoby ci tak źle – zauważyła Andy. – Chodziłabyś sobie po pałacu i jadała ze srebrnych talerzy, a inni zajmowaliby się wszystkim. Łóżkowe igraszki od czasu do czasu z jakimś paskudnym cudzoziemcem nie wydają się wygórowaną ceną, a co do reszty... dlaczego miałabyś być za to odpowiedzialna?

– Ja... – Raesinia zastanowiła się. – Ponieważ muszę wziąć za to odpowiedzialność. Od tego są królowie i królowe, żeby opiekować się swoim ludem.

– Tylko dlatego, że urodziłaś się w takiej rodzinie, los całego królestwa to twój problem?

– Mniej więcej tak to wygląda – odparła Raesinia. – Tak to już jest.

– Zatem cieszę się, że nie urodziłam się w królewskiej rodzinie.

Raesinia wzruszyła ramionami. Nie mogła jej tego wyjaśnić, nie do końca, że ponieważ się nie starzeje, Orlanko prędzej czy później musiałby ją usunąć, zapewne pozorując jej śmierć i wysyłając do lochów Elizjum.

Tak naprawdę jednak nigdy nie zamierzała się poddać. Zmarszczyła brwi, próbując uporządkować swoje uczucia tak, żeby miały jakiś sens. Nigdy nie przywiązywała wagi do luksusów wygodnego życia w pałacu, ponieważ wychowała się w nim. Jak wyjaśnić, co naprawdę czułam?

Poddała się. W każdym razie miała inną, prawdziwszą odpowiedź.

– Nienawidzę go – powiedziała. – Orlanki. Za to, co mi zrobił, za to, jak traktował mojego ojca. Nie mogłam siedzieć spokojnie i pozwolić mu wygrać.

– Ach. – Andy uśmiechnęła się i podniosła kieliszek. – Jasne. Gdybyś należała do Skórzanych Kurtek, pewnie w mgnieniu oka zrobilibyśmy z ciebie prawdziwą rozrabiare.

– Na pewno. – Raesinia też podniosła kieliszek i upiła łyk. – Może szukałam rewolucji w niewłaściwym miejscu.

Andy roześmiała się, ale zaraz spoważniała i odstawiła kieliszek. Do ich stolika, nie zważając na groźny wzrok kelnerki, podszedł jakiś młodzieniec w znoszonym lnianym odzieniu robotnika.

– Witam panie – zagaił. – Dokąd się wybieracie?

– Gdzieś, gdzie rosną wierzby – odparła Raesinia.

Skinął głową, jakby ta odpowiedź miała sens.

– Zatem w inną stronę niż ja. – Gdy się odwracał, przesunął rękę nad stołem i z rękawa wypadł mu zwitek papieru. – Życzę szczęścia!

Raesinia zakryła dłonią karteczkę i czekała, aż kurier odejdzie. Potem rozwinęła ją, udając, że czyta gazetkę ociekającą idiotyczną pseudopatriotyczną retoryką. Andy wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć.

Napisana na cienkim pergaminie, ładnym charakterem pisma wiadomość brzmiała

następująco:

Wasza wiadomość odebrana i przekazana. Tu wciąż bezpiecznie, ale nie wiadomo jak długo. Plan awaryjny niebawem. Sprowadzę was tu najszybciej jak się da, ale załatwienie bezpiecznego transportu może trochę potrwać. Ponowny kontakt zwykłą drogą. Giforte.

– To już coś – powiedziała Andy.

– Przynajmniej Maurisk ich nie znalazł – rzekła Raesinia. – Chodź. Lepiej pokażmy się Marcusowi, zanim oszaleje z niepokoju.

Szesnaście

Winter

A wtedy ruszymy i zgotujemy im piekielną łaźnię!
Winter wymieniła spojrzenia z Jane, powstrzymując uśmiech.

Razem z pozostałymi oficerami pojechała za dowódcą jazdy na wyznaczone miejsce obozowania na rozległej łące, obok pasa drzew. Ogrodzenia świadczyły o tym, że wypasano na niej bydło, ale korzystający z tego pastwiska farmer dawno już uciekł i żołnierze rozebrali większość płotu na opał. Na łące obozowało pięciuset kawalerzystów Piekielnika, pułk, który – tak jak dowodzony przez Winter – był mieszaniną dawnej jazdy królewskiej armii i rekrutów zwerbowanych po rewolucji.

Już rozpalono ogniska i gdy żołnierze trzeciego pułku dowlekli się do obozu, dostali żywność i wodę. Tak jak w poprzednie dni, kolumna bardzo się rozciągnęła podczas marszu, tak więc nie przybyli tłumnie, ale małymi grupkami. Na prośbę Winter Piekielnik wysłał swoich ludzi z pochodniami, żeby pomogli pozbierać maruderów i wskazali im drogę w ciemnościach.

W tym czasie wyjaśniał plan w typowy dla siebie sposób, co chwilę siekąc wyimaginowanych wrogów wyimaginowaną szablą. Jednak ten opis całkowicie pomijał taktyczne szczegóły, Winter więc odkaszlnęła.

– Pułkowniku? – Piekielnik też awansował, zapewne w tym samym czasie co Winter. – Czy Janus zostawił panu jakieś pisemne rozkazy?

– Owszem, zostawił, po prawdzie. – Kawalerzysta sięgnął pod napierśnik i wyjął wielokrotnie złożoną kartkę papieru, którą wręczył Winter. – Wszystko dokładnie wyłożył, jak zwykle.

Winter rozwinęła kartę i zaczęła czytać. Piekielnik odwrócił się do Abby i powoli zmierzył ją wzrokiem.

– Jesteś kobietą – rzekł z lekkim zdziwieniem w głosie.

– Tak mi mówiono – sucho odrzekła Abby.

Winter przestała czytać, wstrzymując oddech i czekając na jego wybuch. Stary dowódca kawalerii nie słyszał z otwartego umysłu.

– A zatem to prawda, że macie cały batalion kobiet? – spytał Piekielnik. Zdawał się być bardziej zaniepokojony niż rozgniewany.

– Tak – odparła Abby.

– I one walczą?

– Dotychczas niewątpliwie tak.

– Do diabła. – Posłał jej swój szczerbaty uśmiech. – Zawsze mówiłem, że piechota ma tak łatwą robotę, że nawet dziewczęta by sobie poradziły.

Winter przewróciła oczami. Może nie doskonale, ale nie najgorzej. Każda reakcja była lepsza od tej, jaką popisał się porucznik Novus. Ponownie skupiła uwagę na rozkazie zawierającym pospiesznie narysowaną mapę, którą porównała z terenem widzianym w zapadającym zmroku.

– W porządku – powiedziała, podnosząc wzrok. – Chyba rozumiem. Dziękuję za pomoc, pułkownik. Rozumiem, że mamy baterię artylerii?

– Kapitana Archera. – Piekielnik skinął głową. – Obozuje kawałek dalej.

– Janus pisze tu, że mam objąć dowodzenie – powiedziała Winter. – Nie będzie z tym problemu, prawda?

Piekielnik zsunął czapkę na tył głowy i przegarnął przerzedzone włosy.

– Nie, jeśli nie zamierza pan trzymać mnie beczynn timer na tyłach.

– Bez obawy, będzie pan miał mnóstwo roboty. Jednak tylko na mój rozkaz.

– Rozumiem – powiedział. – Proszę tylko machnąć czapką, a zgotujemy im piekielną łaźnię.

– Doskonale. – Winter spojrzała na swoich oficerów i ruchem głowy wskazała las. – Za mną.

Na szczęście księżyc był wysoko na niebie i prawie w pełni, gdyż Winter zabroniła konnym z pochodniami towarzyszyć jej i grupce jej oficerów do lasu. Nie był to prawdziwy las, lecz zadbane gaje rosnące na skalistej ziemi na grzbiecie pagórka oddzielającego jedną płytką dolinę od drugiej. Mimo to marsz był powolny i minęło pół godziny, zanim znaleźli się po drugiej stronie i spojrzeli na to, co nazajutrz miało być polem bitwy.

Obozowe ogniska paliły się długimi, równoległymi rzędami, znacząc pozycje wrogich armii. Po lewej ciągnął się nieregularny szereg wzgórz z kilkoma chatami i stodołami, tu i ówdzie poprzecinanych równymi prostokątami sadów. Na wszystkich podwórkach i zboczach paliły się ogniska, tylko nie w parowach między pagórkami. Po prawej, na szerokiej na parę mil równinie, druga armia obozowała bardziej zwartą grupą, za naturalną przeszkodą płynącego tam strumienia.

Tu i tam pikiety obu walczących stron strzelały do siebie lub do cieni wziętych za wroga. Każdy strzał z muszketu był jasnym rozbłyskiem ognia, wyprzedzającym o parę sekund odległy huk wystrzału.

– Tam jest Janus – powiedziała Winter, wskazując na lewo, po czym przesunęła rękę. – A tam di Pfalen.

– Jeśli nie rozpalili dodatkowych ognisk, żeby nas zmylić, jest tam piekielnie dużo Hamveltajczyków – zauważyła Cyte.

Winter skinęła głową.

– Co najmniej tyle samo żołnierzy, ilu ma Janus, a zapewne więcej.

– Co każe nam zrobić?

– Tylko wygrać dla niego tę bitwę. – Winter odetchnęła i spróbowała wyobrazić sobie rozwój wydarzeń opisanych w piśmie Janusa. Bataliony maszerujące z łopotem sztandarów, działa plujące dymem i ogniem. – Jesteśmy na lewym krańcu hamveltajskiej linii, a oni o tym nie wiedzą. Zachęci ich to do zaatakowania środka, a kiedy zacznie się bitwa, mamy uderzyć na ich flankę i posłać Piekielnika, żeby zaatakował ich od tyłu.

Przez chwilę w milczeniu spoglądali na przyszłe pole bitwy.

– Ten plan wydaje się niezły – ostrożnie rzekł Sevrans. – Tylko jeśli di Pfalen będzie taki głupi, żeby nie podjąć żadnych środków ostrożności.

– Takich jak obsadzenie tych lasów swoimi oddziałami – dodała Abby. – Ja na pewno bym to zrobiła.

– Janus uważa, że wróg pošle tam co najmniej pułk żółtych kubraków – powiedziała Winter.

– Jest jednak przekonany, że niespodziewany atak przeprowadzony pod osłoną drzew zmusi ich do ucieczki.

Tym razem to Jane przerwała ciszę.

– Nie wiem, czy będziemy w stanie przeprowadzić jakiś atak, spodziewany czy nie. Żołnierze, którzy nam pozostali, będą wyczerpani. Nie chcę umniejszać zdolności moich dziewcząt, ale nikt nie jest gotów rzucić się do pierdolonego ataku na bagnety po przejściu na deszczu stu mil w cztery dni.

Sevran przytaknął, kiwając głową.

– Nie będziemy mieli siły.

– Musimy spróbować – powiedziała Abby. – Inaczej po co przeszliśmy taki kawał drogi?

– Musimy spróbować coś zrobić – rzekła Winter. – Janus chce mieć nas na ich flance, ale nie sądzę, żeby interesowało go, jak się tam znajdziemy. Mam pewien pomysł, ale chcę, żebyście wszyscy powiedzieli mi, co o tym myślicie...

Dochodziła północ, gdy Winter wróciła do obozu i zobaczyła, że potok zmęczonych piechurów i eskortujących ich kawalerzystów prawie wysechł. Złożony z czterech jeźdźców patrol wracał do obozu, wioząc trzy kobiety. Winter najpierw rozpoznała jasne loki Anne-Marie, a potem zidentyfikowała pozostałe dwie: Joanne i Barley.

– Z tymi trzema wszystko w porządku? – zawołała do pierwszego kirasjera.

– Myślę, że są tylko zmęczone – odkrzyknął. – Kiedy je znaleźliśmy, ta duża i mała niosły blondynkę.

Zatem przynajmniej niektórzy rekruci doszli. Winter się uśmiechnęła.

– Macie twarde babki w tym pułku, panie pułkowniku – rzekł drugi konny. – Niech mnie diabli, jeśli umiałbym przejść po tym gównie, jakie widzieliśmy na drodze.

– Poczekajcie, aż zobaczycie je jutro w akcji – powiedziała Winter. – Lepiej się wyśpijcie, jeśli chcecie dotrzeć im kroku.

– Bez obawy, panie pułkowniku – odparł kirasjer. – Zgotujemy im piekielną łaźnię.

Pojechali dalej, a Winter szła, aż znalazła kikut drzewa tam, gdzie żołnierze trzeciego pułku ułożyli się na wciąż mokrej ziemi. Usiadła pod nim i zamknęła oczy, spodziewając się, że sen przyjdzie natychmiast, tak jak poprzedniej nocy, ale spotkało ją rozczarowanie. Przed jej oczami wciąż przesuwwały się obrazy nadchodzącej bitwy, którą przedstawiła swoim oficerom.

Usłyszała ciche kroki, a potem obok niej usadowiło się czyjeś ciepłe ciało. Winter otworzyła oczy i zobaczyła głowę Jane na swoim ramieniu i plątaninę jej mokrych rudych włosów na swoim rękawie.

– Przepraszam – powiedziała Jane. – Nie chciałam cię zbudzić.

– Nie spałam. – Winter odetchnęła. – Nic ci nie jest?

– Jestem zmęczona. – Jane zawahała się. – Jesteś pewna, że to się uda?

– Nie jestem. Milion rzeczy może pójść źle. – Winter oparła głowę o szorstką korę pnia. – Jednak to najlepsze, co możemy zrobić.

Zapadła długa cisza.

– Pamiętasz, co ci mówił Janus, żebyś uważała na siebie? – spytała Jane.

Winter kiwnęła głową.

– Może chodzi mu tylko o bezpieczeństwo potrzebnego mu demona. Jednak ja ci mówię to samo i naprawdę tak myślę, rozumiesz? Koniec z prowadzeniem ataków. – Jane znalazła

przegub Winter i mocno go uściśnęła. – Za bardzo jesteście nam potrzebni.

Winter przesunęła dłoń, by spleść palce z palcami Jane, i uściśnęła jej dłoń. Kiedy tym razem zamknęła oczy, sen przyszedł szybko.

Następny dzień przyniósł błękitne niebo, bezchmurne aż po horyzont, oraz zimne odległe słońce i mroźny wiatr, który kołysał gałęziami drzew w lasach i sypał tumanami kruchych zeschniętych liści. Winter stała w tym samym miejscu co poprzedniego dnia i przez pożyczoną od Cyte lunetę oglądała siły di Pfalena.

Naprawdę robiły wrażenie. Liczne bataliony piechoty we wspaniałych żółto-czarnych mundurach sformowały szyk przed odległą wioską Jirdos, a ich żółte sztandary powiewały i łopotwały na wietrze, ukazując ryczącego hamveltajskiego byka. Działa, wciąż sprzężone i gotowe do zajęcia pozycji, tworzyły równe rzędy w lukach między kolumnami piechoty. Za pierwszą linią stała druga, a za nimi kawaleria, setki jeźdźców siedzących spokojnie na koniach w szyku tak zwartym, że niemal stykali się butami.

– To Strażnicy – powiedziała Cyte, gdy Winter zwróciła jej lunetę. – To podobno elitarny oddział. Każda bogata rodzina w Hamvelt wysłała swoich synów, żeby w nim służyli.

Jane prychnęła.

– Bogaci to kiepscy żołnierze. Za dużo mają do stracenia.

Na wzgórzach naprzeciwko armia Janusa tworzyła mniej imponujący obraz. Wprawdzie działa były ustawione na szczycie każdego pagórka, a piechota bo bokach, ale nawet z tak daleka ochotnicze bataliony w wielokolorowych ubraniach i z prowizorycznymi sztandarami wyglądały dość nędznie. Przed linią wzgórz stała druga część sił Janusa, przeważnie regularne oddziały w jednolicie niebieskich mundurach i kolejne działa. Kawalerii niemal nie było widać.

– Sądziłem, że Janus ustawi wszystkie działa na wzgórzach – rzekł Sevran, marszcząc brwi i patrząc na żołnierzy.

– On wie, co robi – powiedziała Abby.

Winter odwróciła się, słysząc parskanie koni przedzierających się przez krzaki. Po chwili zwierzęta wyłoniły się spomiędzy nich, ciągnąc podskakujące na szerokich kołach działo. Młody kapitan, którego Winter słabo pamiętała, zauważył orły na jej naramiennikach i pospiesznie podszedł.

– Panie pułkowniku! – Zasalutował. – Zajmujemy pozycję.

– Dobrze. – Winter przechyliła głowę. – Kapitan Archer, czy tak?

– Tak jest, panie pułkowniku.

– Był pan w Khandarze?

– Tajest. Pod rozkazami Kaznodziei.

– I przybył nam pan na ratunek pod Diarach.

Lekko się zarumienił i skinął głową.

– Janus pomyślał, że dobrze nam się będzie współpracowało, ze względu na tę znajomość.

– Cieszę się, że pan tu jest. Wie pan, co macie robić?

Archer znów skinął głową.

– Boję się, że możemy nie wyjechać na czas. W lesie nie jest źle, ale jadąc pod górę, kilka razy utknęliśmy.

– Jane!

Jane podeszła, a Winter wskazała na Archera.

– Weź kompanię lub więcej dziewczyn z Pierwszego Dziewczęcego i pomóżcie kapitanowi oczyścić drogę dla jego dział. Nie chcemy, żeby tu utknęły, kiedy będziemy musieli się wycofać.

Jane skinęła głową i pospiesznie odeszła, wracając do lasu, gdzie trzeci pułk dochodził do siebie i szykował się do bitwy. Winter spojrzała na Hamveltajczyków, którzy na razie nie zamierzali się ruszyć.

– Sevrans, lepiej wracaj do swoich – powiedziała. – Wyślę gońca, kiedy tu zaczniesz się coś dziać.

– Tak jest! – Zasalutował. – Życzę szczęścia.

Bitwa rozpoczęła się na prawej hamveltajskiej flance, na samym końcu linii, daleko od miejsca, gdzie czekała Winter z trzecim pułkiem. Z porośniętego lasem pagórka widzieli sztandary maszerujących żółtych kubraków, lecz wybrzuszenie terenu skrywało żołnierzy. Działa obu stron otworzyły ogień, wypełniając dolinę głuchym, odległym rykiem. Niebawem nad tym końcem linii kłębiła się chmura prochowego dymu, podświetlana błyskami wystrzałów z muszkietów i dział.

– Janus ruszył środek – niedługo potem powiedziała Cyte.

Miała rację. Piechota w niebieskich mundurach ruszyła naprzód równymi kolumnami, niespiesznie przechodząc po dnie doliny i prowadząc ze sobą kilka baterii armat. Gdy znalazła się w zasięgu hamveltajskich dział, wzdłuż linii żółtych kubraków wykwitły obłoczki dymu i Winter zobaczyła fontanny ziemi wyrzucane przez kule. Z wysoka łatwo było zauważyć, jak pociski odbijają się od ziemi seriami coraz krótszych łuków, niczym rzucone kamyczki ślizgające się po powierzchni wody. Gdy owe łuki przecinały vordanajskie kolumny, pozostawiały za sobą ciała zabitych i rannych – plamy błękitu na brzoju pól.

Ponad trzysta metrów od hamveltajskiej linii oddziały stanęły, rozwinęły się z kolumn w długie szeregi i ustawiły działa. Odległość była wciąż za duża dla muszkietów, lecz działa wkrótce zagrzmiały i ich huk zmieszał się z rykiem hamveltajskiej artylerii. Długie szeregi były trudniejszym celem dla odbijających się kul, ale po każdym trafieniu żołnierze padali lub chwiejnie opuszczali pozycje. Ranni żołnierze odchodzili lub odczołgali się do tyłu, jak mrówki szukające drogi przez trawnik.

Wymiana ognia trwała co najmniej pół godziny. Następnie Vordanajowie rozpoczęli planowy odwrót: szeregi znów sformowały kolumny i zrobili w tył zwrot, aby pomaszerować tam, skąd przybyły. Ponownie podczepione działa odjechały z turkotem, zostawiając kilka uszkodzonych. Równa linia ciał znaczyła miejsce, gdzie stały vordanajskie oddziały.

– I po co to było? – zapytała Bobby, marszcząc brwi.

– Myślę – powoli powiedziała Winter – że Janus chciał przekonać di Pfalena, że to wszystko, na co go stać.

– Jeśli to prawda, to mogło mu się udać – powiedziała Abby. – Ruszają.

Środek i lewe skrzydło hamveltajskiej linii, dotychczas bezczynne poza artylerzystami, rzuciły się do natarcia. Szerokie kolumny żołnierzy w żółtych mundurach z pluskiem przekraczały płynący dnem doliny strumyk i parły w kierunku wzgórz. Ich artyleria pomknęła naprzód; końskie zaprzęgi z trudem wyprzedziły piechotę i kanonierzy obrócili je, żeby ustawić działa. Kiedy znaleźli się bliżej wzgórz, te jakby eksplodowały ogniem i dymem w

długiej salwie, która przeleciała nad doliną jak odległy grom. Teraz żółta linia zaczęła tracić zabitych i odchodzących na tyły rannych, a bataliony jak fale zalewające skałę zamykały luki wyrwane w ich szeregach przez kule armatnie.

– Żółte Kurtki zmierzają w naszym kierunku – zameldowała Cyte, patrząc przez lunetę. – Trzy kolumny.

Minęła chwila, zanim pozostali też to zobaczyli. Idący na końcu lewej flanki hamveltajski pułk odłączył się od głównej kolumny i skierował na porośnięte lasem wzgórze. Tak jak przewidziała Winter, di Pfalen dostrzegł niebezpieczeństwo zagrażające jego flance; gdy główny szereg mijał lasy, wysłał tam oddziały, żeby zapobiegły atakowi z tamtej strony.

– Bobby, idź i znajdź Archera – rozkazała Winter. – Każ mu wstrzymać ogień, dopóki się nie zatrzymają. Damy im popalić dopiero, gdy poczują się pewnie. Potem znajdź Abby i pomóż jej przygotować Pierwszy Dziewczęcy.

Bobby zasalutowała i pobiegła. Winter została, obserwując zbliżające się Żółte Kurtki. Trzy kolumny to zapewne trzy bataliony albo około trzech tysięcy żołnierzy przeciwko zaledwie tysiącowi lub mniej pozostałych z trzeciego pułku po tym piekielnym marszu. Pierwotny plan Janusa, żeby zaatakować z ukrycia i zaskoczyć Hamveltajczyków, mógłby się powieść, gdyby pułk był w lepszym stanie, lecz przy tak nierównych szansach jak teraz zakończyłby się katastrofą. Zatem nawet Janus nie jest wszechwiedzący. Winter nie była pewna, czy to pocieszające, czy przerażające.

Szybko otrzymała odpowiedź na pierwsze pytanie: czy hamveltajski pułkownik zamierza zająć las, czy tylko go pilnować. Zatrzymał swoją kolumnę u podnóża zbocza, stając naprzeciw Winter, ale jeszcze nie formując szyku bojowego. Wciąż nie wie, że tu jesteśmy. Co bardzo prawdopodobne, dowódca żółtych kubraków spodziewał się, że lada chwila rzucą ich do boju gdzieś na środku linii, gdy zagrożenie atakiem z flanki się nie urzeczywistni. Czas pokazać mu, że się myli.

Artylerzyści otworzyli ogień, jakby usłyszeli jej myśli. Najbliższe działo stało zaledwie kilka metrów dalej i Winter miała wrażenie, że huk wystrzału rozsadził jej czaszkę. Kolejne wystrzały huknęły wzdłuż skraju lasu, gdzie Archer rozmieścił swoje działa, aby wykorzystać przewagę osłony i wysokości. Kule armatnie poleciały długimi płaskimi łukami w kierunku hamveltajskich oddziałów na dole i już pierwsza salwa przeorała zwarte szeregi, rozrzucając ludzi jak zabawki. Winter gwizdnęła z podziwem. Archer zna swój fach.

Przez kilka chwil na dole panowało kompletne zamieszanie. Winter widziała jeźdźców galopujących tam i z powrotem; zapewne hamveltajski pułkownik i jego oficerowie. Pomimo ostrzału wydano rozkazy i po zaledwie kilku minutach kolumny ruszyły w górę zbocza. Nie mając swoich dział, hamveltajski dowódca mógł albo się wycofać z pola ostrzału, albo przeć naprzód, żeby uciszyć nękającą ich artylerię. Tak jak Winter się spodziewała, wybrał to drugie rozwiązanie.

Natomiast zobaczyła, że nie rozwija oddziału w linię. To było mniej zachęcające. Podręczniki taktyki nakazywały przeprowadzać każdy atak po rozwinięciu w szereg, ale taki rozciągnięty i rzadki szyk był co najmniej trudny do utrzymania w tak trudnym terenie. Miała nadzieję, że Hamveltajczycy będą trzymać się tej doktryny i zostaną powstrzymani w terenie sprzyjającym Pierwszemu Dziewczęcemu i jego harcownikom. Jednak wróg najwyraźniej zamierzał po prostu zgnieść ich swoją przewagą liczebną, nie wdając się w długotrwałą

wymianę ognia.

Z drugiej strony bardziej zwarte szeregi kolumn były łatwiejszym celem dla dział Archera i w miarę jak zmniejszała się odległość, kanonada zaczęła zadawać im poważne straty. Żółto odziane ciała zasłaly zbocze, a dobrze wymierzona kula przelatowała przez całą kolumnę, wrywając z szeregów kilkunastu żołnierzy i kładąc ich pokotem na trawie. Jednak Hamveltajczycy byli zdyscyplinowani i pomimo tej krwawej łaźni trzymali szyk.

Bobby wróciła, razem z Abby i Jane. Za nimi szły kobiety z Pierwszego Dziewczęcego, które wytrzymały marsz i wciąż były zdolne do walki. Rozproszyły się wzdłuż skraju lasu, nie próbując formować jakiegoś szyku, ale zajmując dobre stanowiska pod osłoną drzew i skał. Folsom przyprowadził swoją kompanię tam, gdzie stała Winter i inni oficerowie, którym służyście zasalutował, nim odwrócił się do swoich żołnierzy i kazał im zająć pozycję. Żołnierze byli brudni, a ich nowe mundury nosiły ślady długiej wędrówki, ale Winter z zadowoleniem zauważyła ich zdeterminowane miny. Skoro zaszli tak daleko, łatwo się nie załamają.

Każdy jednak może się załamać w obliczu przeważających sił wroga. Winter zwróciła się do Abby i Jane.

– Pamiętajcie, jaki jest plan – powiedziała. – Wytrzymajcie tak długo, jak się da, ale odstepcie, gdy będą naciskać zbyt mocno. Bez bohaterstwa.

Przynajmniej na razie.

– Damy im popalić – oznajmiła bojowo Abby.

– Tylko tego nam trzeba. – Winter zwróciła się do Bobby. – Znajdź Archera i powiedz, żeby wystrzelił jedną salwę kartaczy, kiedy tamci podejną na trzydzieści metrów, a potem się wycofał. Nie chcę, żeby tu był, kiedy zaczną strzelać z muszkietów.

Bobby zasalutowała i znów pobiegła.

– Skoro mowa o strzelaniu z muszkietów – powiedziała Jane, patrząc na zbliżających się Hamveltajczyków. – Nie uważasz, że powinnaś się wycofać na tyły?

Winter przygryzła wargę. Jane miała rację, oczywiście. Kiedy zacznie się walka, tu, w lesie, nic nie będzie w stanie zrobić, w żaden znaczący sposób nie zdoła nią pokierować. Mogła tylko narazić się na niebezpieczeństwo i cały pułk na zamieszanie, jakie wybuchłoby, gdyby została ranna lub zabita. Ale nie mogę tak po prostu ich zostawić.

Jane zdawała się czytać to wszystko w jej twarzy. Uśmiechnęła się krzywo i położyła dłoń na ramieniu Winter.

– Wracaj – poprosiła. – Poradzimy tu sobie.

– Sevrana może trzeba będzie trzymać za rękę – rzekła Abby.

– Dobrze, w porządku – powiedziała Winter. – Jednak poważnie mówię, żadnego bohaterstwa, jasne?

Pochwyciła spojrzenie Jane. Uważaj. Proszę.

– Zrozumiano, panie pułkowniku.

Obie zasalutowały, chociaż Jane zrobiła to trochę kpiąco. Winter odwróciła się i pospieszyła przez las, w którym Pierwszy Dziewczęcy jeszcze zajmował pozycje, wybierając stanowiska i ładując muszkiety. W zaroślach wycięto szerokie ścieżki prowadzące do dział Archera. Pomimo to trudno będzie je ściągnąć i Winter miała nadzieję, że jeśli utkną, to kanonierzy będą mieli dość rozsądku, żeby je zostawić i ratować się ucieczką.

Teraz jednak było za późno na wydanie takiego rozkazu. Mrużąc oczy, wyszła na łąkę po drugiej stronie lasu i zastała królewskich stojących w równym szyku. Po utracie tyłu maruderów podczas przemarszu był to cienki szyk, czasem szereg, lecz mimo to robił wrażenie. Sevrans przejeżdżał przed nim na koniu, dokonując inspekcji. Na widok Winter skinął na innego oficera i jakiś sierżant podjechał do niej, prowadząc Edgara.

– Tu wszystko gotowe? – spytała Winter.

– Gotowe, panie pułkowniku – odrzekł Sevrans. – Będą mieli piekielną niespodziankę, jeśli dotrą tak daleko.

– Miejmy nadzieję, że to wystarczy. – Musieli wykorzystać element zaskoczenia i właściwości terenu, żeby zrekompensować przewagę liczebną i lepsze wyszkolenie przeciwnika. – Co z pułkownikiem Stokesem?

Sevrans wskazał na koniec linii, gdzie jeźdźcy zbierali się w zbitą gromadę.

– Trochę się niecierpliwi.

– Jest pewny, że przejedzie przez las?

– Przejechał tamtędy rano i powiedział, że nie będzie z tym problemu.

Winter nie była pewna, czy może zaufać ocenie Piekielnika, co jest problemem, a co nie, ale nie miała wyjścia. Pojechała za Sevrans na koniec szyku, gdzie porucznicy, zsiadłszy z koni, stali za swoimi kompaniami. Sierżanci czekali między nimi, a pośrodku poczet sztandarowy trzymał vordanajską flagę, otoczony przez doboszy gotowych przekazywać sygnały.

Odwróciwszy się z powrotem w stronę lasu, Winter nie zdołała dostrzec niczego prócz kołyszających się gałęzi najbliższych drzew. Zamknęła oczy i nasłuchiwała. W oddali narastał bitewny zgiełk, lecz zagłuszał go huk bliżej stojących dział Archera. Teraz strzelały kartaczami i każdy wystrzał posyłał w szeregi wroga wachlarz muskietowych kul jak z ogromnej dubeltówki. Pierwsze szeregi Hamveltajczyków padną, ale następne pójdą dalej, przechodząc po ciałach swoich zabitych. Sto dwadzieścia metrów, sto, siedemdziesiąt, trzydzieści...

Działa zamilkły. Zastąpił je trzask muskietów, początkowo grzechot, a potem nieustanny ryk. Momentami zagłuszał go gromowy huk odmierzonych salw oddawanych przez zdyscyplinowane oddziały. To na pewno hamveltajskie kolumny, w końcu mogące odpowiedzieć ogniem swoim przeciwnikom. Potem Winter usłyszała warkot, niemal zagłuszony przez strzelaninę, werbli i okrzyki atakujących.

W lesie rozeszła się chmura dymu prochowego, niebieskoszare pasemka wyciągane spomiędzy drzew przez niesforny wiatr. Trzask wystrzałów mieszał się teraz z krzykami i przekleństwami w kilku językach. Winter wiedziała, że tam umierają kobiety, przeszyte kulami z muskietów lub bagnietami. Mężczyźni w żółtych mundurach ginęli również. A ja nawet nie widzę, co się tam dzieje. Zacisnęła pięści, aż paznokcie boleśnie wbiły się jej w dłonie.

Działa Archera wyjechały z lasu, najpierw jedno, a potem pozostałe, ciągnięte przez rozszalałe konie, wyraźnie zadowolone z tej rejterady z pola walki. Sierżant na koniu, który przyprowadził Winter Edgara, teraz wskazał im drogę obok stojących w szyku królewskich. Winter na moment wstrzymała oddech – gdyby wróg przedarł się przez linię obrony Pierwszego Dziewczęcego i deptał kanonierom po piętach, byłaby to niebezpieczna chwila, ponieważ królewscy nie mogliby strzelać. Jednak Żółte Kurtki się nie pojawiły, a w lesie wciąż trwała strzelanina. Teraz było już widać błyski wystrzałów, powoli zbliżające się, gdy Pierwszy Dziewczęcy cofał się przed przeważającym liczebnie wrogiem.

W końcu kobiety w niebieskich mundurach zaczęły wyłaniać się spomiędzy drzew, przystając, żeby oddać ostatni strzał do nadbiegających postaci w żółtych kubrakach, a potem uciekając pod osłonę czekających królewskich. Między drzewami wykwitły błyski wystrzałów i jakaś wysoka kobieta zgięła się, po czym runęła na trawę. Pozostałe biegly dalej, a wzdłuż linii dołączały do nich inne kompanie. Na środku Winter zobaczyła Abby, z rękawem mokrym od krwi i machającą szablą do królewskich.

– Zrobić przejście dla harcówników – rozkazała Sevranowi.

Kapitan powtórzył ten rozkaz i zagrały werble. Królewscy wykonali zwrot w miejscu, robiąc przejście dla dobiegających do nich zdyszanych i zakrwawionych kobiet z Pierwszego Dziewczęcego. Teraz już wszystkie były na łące i na linii drzew pojawiły się pierwsze żółte kubraki ścigających je nieprzyjaciół. Uciekające kobiety zasłoniły im królewskich albo widząc ich luźny szyk, pomyśleli, że ci też zaczną uciekać. Tak czy owak biegly dalej i wypadli na łąkę, w euforii zwycięskiej potyczki w lesie.

Gdy ostatnie kobiety przebiegły za linię królewskich, tylko jakieś piętnaście metrów dzieliło ich od pierwszych żółtych kubraków.

– Zewrzeć szyk – zakomenderowała Winter i na kolejny sygnał werbli niebieski szereg wyrównał, błyskawicznie zamykając luki.

Na ten widok Hamveltajczycy stanęli jak wryci, a teni ów wypalił z muszkietu. Przez moment trwali jak zatrzymani w czasie, zbyt rozproszeni, żeby wykonać jakiś manewr, i nieprzygotowani do ataku na zwarty szyk, ale nie mogąc się wycofać, gdyż drogę blokowali im ich wciąż wybiegający z lasu towarzysze.

Winter wyjęła szablę i przecięła nią powietrze.

– Ognia!

Nawet oddana z zaledwie czterystu muszkietów salwa batalionu była ogłuszająca. Kule raziły zbitą masę Hamveltajczyków, kładąc ich dziesiątkami. Oficerowie żółtych kubraków próbowali wydawać rozkazy, ale utracili kontrolę nad swoimi ludźmi. Niektórzy próbowali ładować i odpowiadać ogniem, inni cofali się, a jeszcze inni tylko miotali się zaskoczeni, nie widząc wroga. Wciąż kłębili się trzydzieści sekund później, gdy padła następna salwa, robiąc wielkie wyrwy w ich szeregach.

Do trzeciej salwy przyłączył się Archer, który już obrócił swoje działa i naładował je kartaczami. Ostrzał artyleryjski połączony z ogniem z muszkietów królewskich przekonał te Żółte Kurtki, które jeszcze miały jakieś wątpliwości, że rozsądek jest lepszy od odwagi, i skłonił je do pospiesznego odwrotu do lasu. Jedni uciekli, inni poszukali osłony, żeby naładować broń. Winter znów machnęła szablą.

– Wstrzymać ogień! Bagnet na broń!

Królewscy, naładowawszy broń, wyjęli bagnety i wetknęli je w otwory pod lufami. Działa Archera wypaliły jeszcze raz, smagając krzaki kartaczami, wyrzucając w powietrze snopy drzazg i połamanych gałęzi.

– Do ataku!

Czterystu mężczyzn z krzykiem ruszyło naprzód z nastawionymi bagnetami. Tu i ówdzie strzały powaliły kilku żołnierzy w niebieskich mundurach, ale Hamveltajczycy nie czekali, żeby posmakować vordanajskich bagnetów. Uciekli w popłochu, a królewscy wpadli do lasu, ścigając ich. Winter pojechała za nimi, prowadząc Edgara jedną ze ścieżek wyciętych dla

dział, aż zobaczyła drugą stronę wzgórza. Królewscy zatrzymali się na skraju lasu, zgodnie z rozkazem, ale Hamveltajczycy wciąż uciekali; trzy kolumny żółtych kubraków zmieniły się w przerażony, niezdolny do stawiania jakiegokolwiek oporu tłum, który równie dobrze mógłby być nieuzbrojony. Winter określiła konia i pojechała z powrotem na łąkę. Piekielnik niemal podskakiwał w strzemionach.

– Wszyscy są pańscy – oznajmiła. – Wciąż jednak mają w odwodzie Strażników, więc czeka pana walka.

Piekielnik nie fatygował się wydawaniem rozkazu, tylko wyjął szablę z pochwy i wyciągnął przed siebie. Wjechał w las, a jego ludzie za nim; szereg za szeregiem kawalerzystów w błyszczących napierśnikach. Winter patrzyła, jak znikają wśród drzew, aż straciła z oczu ostatniego.

Pierwszy Dziewczęcy zatrzymał się tam, gdzie przed chwilą stali królewscy. Winter z zadowoleniem zobaczyła, że nikt nie pobiegł dalej w panice, czym zawsze grozi każdy odwrót. Odszukała Abby i z ulgą ujrzała przy niej Jane, bandażującą jej rękę,

– Jesteś ranna? – spytała Winter.

Abby pokazała zęby w uśmiechu.

– Nie patrzyłam, gdzie leżę, i wpadłam na drzewo.

– Cała ty.

Jane tak mocno zawiązała bandaż, że ranna pisnęła.

– Jak było?

– Gorąco – przyznała Abby. – Ale dobrze sobie poradziłyśmy.

– Tamci na pewno stracili znacznie więcej ludzi niż my – dodała Jane.

– Mieli ich więcej – powiedziała Winter. – Odpocznijcie jeszcze pięć minut, a potem wracajcie do lasu. Mogą spróbować ponownie, a do tego czasu powinniśmy znieść tu wszystkich rannych.

Jakby chcąc powetować sobie to, że nie była w ogniu walki, Winter zaczęła pomagać, przetrząsając zarośla i podążając za wołaniami rannych. Jak powiedziała Jane, zabitych i rannych w żółtych mundurach było o wiele więcej niż w niebieskich. Każdy głąz i rów był obronną pozycją, o którą walczone, i u podnóża jednej skały znalazła wał trupów z trzech lub czterech warstw żółtych kubraków. Jakaś młoda kobieta weszła na drzewo, żeby mieć stamtąd lepsze pole ostrzału, a gdy została trafiona, zawisła głową w dół z opuszczonymi rękami i wiatr rozwiewał jej rozpuszczone włosy. Jakiś hamveltajski chłopak z wnętrzościami tworzącymi zakrwawioną stertę na podołku łamanym vordanajskim poprosił Winter, żeby była tak dobra i go dobiła. Wyjęła szablę i poderżnęła mu gardło.

Gdy znalazła ją Bobby, już zniesiono wszystkich rannych i zabrano się do znoszenia zabitych. Winter złapała za nogi jakiejś kobiety w podeszłym wieku, a jeden z królewskich wsunął dłonie pod jej pachy. Jedna ręka zabitej opadła i ciągnęła się po ziemi.

– Panie pułkowniku! – powiedziała Bobby.

– Co? – Winter zatrzymała się. – Wracają?

– Nie, panie pułkowniku! To... to Piekielnik!

Winter skinęła na najbliższego żołnierza, żeby przejął jej ciężar, i pospiesznie wróciła z Bobby na skraj lasu. Ciała w żółtych kubrakach zasłały zbocze i całe rzędy zmasakrowanych zwłok leżały tam, gdzie położyły je kartacze z dział Archera. Trochę zwłok w niebieskich

kurtkach leżało na skraju lasu, gdzie trafiły ich salwy wroga. Żołnierze zbierający poległych przystanęli i patrzyli na rozgrywający się na dole dramat.

Winter osłoniła oczy dłonią, usiłując ogarnąć sytuację. Duży oddział kawalerii był w ruchu – to Piekielnik, bo mieli niebieskie mundury, a na samym przedzie jechał chorąży z powiewającą vordanajską flagą. Wprawdzie w tym momencie szarżowali dość bezładną gromadą, ale o hamveltajskiej jeździe nawet tego nie można było powiedzieć. Jeźdźcy w żółtych mundurach galopowali w różnych kierunkach, uciekając przed vordanajskimi kawalerzystami, a konie bez jeźdźców biegały samopas i powiększały zamieszanie. Szeroki pas zabitych i rannych ludzi oraz zwierząt znaczył miejsce spotkania obu stron. Najwidoczniej Niebiańscy Strażnicy nie byli taką elitą, za jaką ich uważano.

Winter zobaczyła, jak vordanajska kawaleria wpada na rząd dział, które ostrzeliwały Vordanajów ze wzgórz. Kanonierzy usiłowali obrócić działa ku nadjeżdżającym nieprzyjaciołom, lecz zanim zdążyli ustawić je na pozycjach do otwarcia ognia, jeźdźcy już ich dopadli, a ich szable zaczęły unosić się i opadać. Przerażeni artylerzyści uciekli, nie oddawszy ani jednego strzału, nie tylko z tej baterii, ale i sąsiednich, a kawalerzyści pojechali dalej. Przed nimi była hamveltajska piechota, rozwinięta w linię do ataku na wzgórze. Oficerowie zobaczyli zbliżającą się jazdę i werble zaczęły wybijać pospieszny rytm, a szeregi skłębiły się, usiłując sformować czworoboki.

Nie zdążyli. Działa Janusa wciąż prowadziły celny i szybki ostrzał, siejąc zamęt i śmierć w hamveltajskich szeregach. Gdy Hamveltajczycy się odwrócili, ujrzeli pobojuwisko usiane ciałami dumnych Strażników i swoich artylerzystów umykających co sił w nogach. Połowa pierwszego batalionu znajdującego się na drodze konnicy zakończyła formowanie najeżonego bagnetami czworoboku i nierówną salwą z muszkietów opróżniła kilka siodeł, lecz jeźdźcy Piekielnika ominęli tę część ich oddziału i uderzyli na flanki. Bez osłony ściany bagnetów piechurzy nie mieli szans w starciu z kawalerzystami i dobrze o tym wiedzieli. Przez kilka chwil szable zbierały krwawe żniwo, po czym hamveltajski batalion poszedł w rozsypkę i rzucił się do ucieczki. Dwa najbliższe stojące hamveltajskie oddziały, też próbujące sformować czworoboki, na ten widok również rozpierzchły się w panice, a żołnierze, nie zważając na krzyki oficerów, wzięli nogi za pas.

I w ten sposób pięciuset jeźdźców zmusiło do ucieczki pięć- lub sześciokrotnie liczniejszego przeciwnika.

Jednak wokół pozostało sporo hamveltajskiej piechoty i dobry dowódca mógł jeszcze uratować sytuację. Lecz zanim ktokolwiek zdążył podjąć taką próbę, na szczycie wzgórze pojawiła się niebieska fala. Vordanajska piechota sformowała tyralierę i ruszyła dołączyć do swojej jazdy. Artyleria przestała strzelać, przepuszczając ich, a potem wznowiła ostrzał tych hamveltajskich batalionów, które sformowały czworoboki, i zadała ciężkie straty ich zwartym szeregom.

Tego było za wiele. Najpierw jeden batalion podał tyły, potem drugi, a później cała hamveltajska flanką zrejterowała na oczach zdumionej Winter. Dziesięć tysięcy żołnierzy, dobrze wyszkolonych i wyposażonych jak żadna armia na świecie, w mgnieniu oka zmieniło się w umykający bezładnie tłum. Przemknęli obok swoich dział i usiłujących ich zatrzymać oficerów, bezradnie siedzących na koniach pośrodku tej ludzkiej rzeki. Oni zresztą nie próbowali długo, gdyż vordanajska piechota runęła do ataku, strzelając na oślep w zbity tłum

uciekającego wroga. Żołnierze w żółtych kubrakach, nie mogąc wydostać się z ciżby, setkami rzucali broń i podnosili ręce do góry.

Na porośniętym lasem szczycie wzgórza, wśród stosów ciał, zapadła długa cisza.

– Panie pułkowniku? – wykrztusiła oszołomiona Bobby. – Co się stało?

– Wygraliśmy tę bitwę – stwierdziła lakonicznie Winter.

Na drugim końcu linii jeszcze strzelano, a ludzie walczyli i umierali, nie wiedząc, że giną za przegraną sprawę. Szerokie kolumny vordanajskiej piechoty szły ze wzgórz w tamtym kierunku na wypadek, gdyby trzeba ich było przekonać.

Dwie kobiety stojące obok Winter po chwili wahania zaczęły wiwatować, a tuzin innych szybko się przyłączyło. Po chwili w całym lesie rozbrzmiewały okrzyki triumfu i wszędzie wywijano w powietrzu muszkietami z nałożonymi bagnietami. Winter zerwała z głowy czapkę i przyłączyła się do wiwatów, choć tak naprawdę była jeszcze zbyt odrętwiała, żeby się cieszyć. W każdym razie, gdy ucichną wiwaty, trzeba będzie się zająć znoszeniem zwłok z pobojuwiska.

Interludium

Dyrektoriat Obrony Narodowej

Sukcesy kilku minionych dni w znacznej mierze uodporniły Mauriska na wstrząsy albo wciąż był pod działaniem skarbów, które zrabował z piwniczek Durenne'a i jego sojuszników. Tak czy inaczej, gdy znów odwrócił się do swojego biurka i ujrzał Ionkovo stojącego w kącie pokoju, wydał tylko cichy pomruk zaskoczenia. Może się do niego przyzwyczajam.

– Wydaje się – rzekł Przeklęty Penitent, jak zwykle bez żadnych wstępów – że należą się panu gratulacje.

– Nie wiem, czy mogę sobie gratulować – odparł Maurisk. – Jednak w tym momencie chyba wszystko jest załatwione.

– Załatwione – powtórzył Ionkovo. Wyszedł z cienia i okrążył biurko. Niemal bezwiednie Maurisk się cofnął, stając tak, żeby ten mebel ich oddzielał. – Tak, myślę, że to może być dobre określenie. Twoje sprawy są załatwione.

– Nie wiem...

– Twoi wrogowie siedzą w lochach, Zjazd Generalny jest spacyfikowany, a ten płaz dowodzący gwardzistami skacze, kiedy zamachasz mu pod nosem jakąś błyskotką. – Ionkovo pochylił się i oparł ręce o blat. – Jednak moje sprawy chyba zostały... zaniedbane.

– Zapewniam, że plany są realizowane.

– Tak jak plan schwytania d'Ivoire'a? Twoi ludzie się spóźnili. – Ionkovo się wyprostował. – Nie znoszę niepunktualności.

– D'Ivoire nie może ukrywać się wiecznie – rzekł Maurisk. – I wciąż mamy królową...

– Tylko że tak naprawdę nie masz królowej – warknął Ionkovo. – W istocie zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek miałeś.

Maurisk znalazł odwagę, żeby okazać lekką urazę.

– Jeśli wątpisz w moje słowo...

– Nie wątpię w twoje słowo – przerwał mu znów Ionkovo – tylko w twoje kompetencje. Pozwól, że przypomnę ci, że wszystkie twoje polityczne sukcesy nie będą nic warte, jeśli nie dostanę tego, czego chcę. Legiony Murnska i borelgajska flota zetrą ten kraj w pył, a ty zostaniesz zapamiętany jako człowiek, który doprowadził do ostatecznej zagłady Vordanu.

Strużka potu spłynęła Mauriskowi po karku i na kołnierzyk.

– Zapewniam, że podejmuję wszelkie wysiłki. Zbadam sprawę królowej. A w tym czasie...

– Na razie zapomnij o królowej – powiedział Ionkovo. – Jeden z moich współpracowników sprawdzi, czy można jakoś wykorzystać tę farsę. Jednak, co ważniejsze, złapałeś jednego z ludzi Vhalnicha, czyż nie?

Skąd on może o tym wiedzieć? Maurisk przełknął ślinę i skinął głową.

– Tak. On zaprzecza, ale jesteśmy pewni, że pracuje dla Vhalnicha. Przecież musiał zostawić w stolicy swoich ludzi, żeby chronili Tysiąc Imion.

– Oczywiście, że tak. I co wam powiedział ten człowiek?

– Ach... dotychczas nic. Mam jednak ludzi umiejących rozwiązywać języki. Wkrótce zaczniesz

mówić.

– Moja cierpliwość jest bardzo ograniczona. Twoi ludzie są zmuszeni stosować... konwencjonalne metody, a moi współpracownicy nie. Jeden z nich czeka na zewnątrz. Pójdiesz z nim do tego więźnia, a on użyje swojej sztuki. Ja dołączę tam do was. Rozumiesz?

– Teraz?

Ionkovo uśmiechnął się.

– Teraz.

Tylko krótki spacer dzielił ich od dawnego budynku związku rzeźników, kanciastej budowli z cegieł przy jednej z uliczek odchodzących od placu Triumfu Farusa. W drodze Maurisk zerkał na swojego towarzysza, który wyglądał jak zupełnie zwyczajny człowiek, łysawy i nieco otyły, a w dodatku lekko utykał. Jediną niezwykłą rzeczą były jego paznokcie, długie i białe jak orle szpony.

Gwardziści przez budynek zaszalutowali i otworzyli drzwi, a Maurisk wprowadził nieznanego do mrocznego wnętrza. Słońce już zaszło i przez liczne wąskie okienka nie wpadała nawet smużka światła. Kiedyś dokonywano tu uboju, zanim wymogi handlu wymusiły przeniesienie takich krwawych czynności do mniej ekskluzywnych dzielnic na południowym brzegu rzeki. Później ta rozległa otwarta przestrzeń została podzielona, zabudowana i wynajęta firmom szukającym tymczasowych siedzib. Po załamaniu się handlu spowodowanym wojną pomieszczenia te gwałtownie opustoszały i zostały przejęte przez Dyrektoriat na jego potrzeby. W dzień był tu posterunek i miejsce odpraw Gwardii Patriotycznej, a piwnice, w których kiedyś składowano wołowinę i wędzone szynki, okazały się doskonałymi celami dla ważnych więźniów.

Kolejni dwaj gwardziści czekali przy schodach, a następni przed samym pomieszczeniem. Maurisk oglądał się przez ramię, spodziewając się ujrzeć przyczajonego w półmroku Ionkovo, lecz Przekłety Penitent się nie zjawił. Jeden ze strażników odczepionym od pasa kluczem otworzył drzwi i Maurisk wprowadził łysego człowieka do suchego pomieszczenia bez okien, oświetlonego tylko jedną świecą osadzoną w lichtarzu na ścianie.

W kącie, przywiązany za ręce i nogi do krzesła, siedział więzień. Był chudym młodzieńcem z kilkudniowym zarostem i raną za uchem pokrytą zaschniętą krwią. Jego odzież była podarta i brudna.

– Zamknij drzwi – powiedział łysy. Mówił z murnskajskim akcentem, znacznie wyraźniejszym niż Ionkovo.

Maurisk nerwowo przeniósł spojrzenie z więźnia na strażników, a potem pchnął barkiem drzwi. Zatrzasnęły się z głuchym hukiem i suchym szcękaniem zamka.

– Zatem to jest nasz człowiek, tak? – powiedział Ionkovo, wychodząc z cienia.

Maurisk zacisnął zęby, że nie krzyknąć. Czary. Przełknął ślinę, biorąc się w garść, po czym skinął głową.

– Dlaczego uważasz, że to człowiek Vhalnicha?

– Regularnie odwiedzał kilka kawiarni, zawsze czekając w tych samych miejscach i często zostawiając coś, co wyglądało na znak. Złożone kartki lub serwetki, takie rzeczy. Miejscowa kobieta zawiadomiła nas, ponieważ myślała, że jest szpiegiem.

– Zatem jest szpiegiem. Tylko czy Vhalnicha?

– To Mierantaj. Jeśli skłonisz go do mówienia, usłyszysz jego akcent. Ludzie z okręgu

Mieran są znani ze swej fanatycznej lojalności, więc nie wyobrażam sobie, żeby pracował dla kogoś innego.

Więzień podniósł głowę, spoglądając na swych oprawców przez zasłonę spadających na czoło włosów. Wodził oczami po twarzach rozmawiających z nieprzeniknioną miną.

– Cóż – rzekł Ionkovo – wkrótce się dowiemy. Mój współpracownik jest w naszych kręgach znany jako Łgarz i to jego dziedzina wiedzy. Pozwolisz?

– Chętnie – powiedział łysy. Stał przed więźniem, bacznie mu się przyglądając. – No, to wcale nie będzie bolało.

– Patrz – powiedział Ionkovo. – Może uznasz to za pouczające.

Maurisk patrzył. Zobaczył, jak paznokcie Łgarza rozjarzyły się jasnoniebieską poświatą i łysy zatopił te płonące szpony w twarzy więźnia, jakby była z masła. Maurisk poczuł wzbierającą w gardle żółć, ale czuł na sobie wzrok Ionkovo i nie odważył się odwrócić oczu. Było oczywiste, że ten pokaz ma na celu nie tylko uzyskanie informacji. Chce, żebym wiedział, że równie dobrze to ja mogę siedzieć na tym krześle.

Gdy krew pociekła mu po twarzy i kapiała na koszulę, Mierantaj zaczął mówić powoli i wyraźnie, odpowiadając na każde pytanie zadane mu przez Łgarza. Gdy jego instynktowny lęk przed czarami trochę osłabł, Maurisk pomyślał, że jest to znacznie skuteczniejsze od bicia i obdzierania ze skóry, które jego ludzie stosowali w tym samym celu. Gdy Łgarz był pewny, że niczego już nie wyciągnie z nieszczęśnika, zabrał rękę. Młodzieniec zadygotał konwulsyjnie i wyzionął ducha.

– Cóż – rzekł Ionkovo – wygląda na to, że miałeś rację.

– Zbiorę gwardzistów.

– Zrób tak – rzekł Penitent. – Ktoś z moich będzie im towarzyszył.

– Popiół? – z niepokojem zapytał Maurisk.

Stara nie grzeszyła subtelnością, a utrzymywanie jej udziału w tajemnicy powodowało pożałowania godną liczbę dodatkowych ofiar.

– Nie – rzekł z uśmiechem Ionkovo. – Nie tym razem. Łgarzu, zechcesz zawiadomić Skręta, że potrzebujemy jego usług?

– Oczywiście – odparł łysy, kłaniając się.

Polityk w Maurisku zauważył głęboką niechęć w jego oczach, gdy spoglądał na Ionkovo. Zatem nawet Przekłęci Penitenci rywalizują ze sobą? Z niewzruszoną miną zapamiętał ten fakt do wykorzystania w przyszłości.

– Tym razem – powiedział Ionkovo, wracając w ciemność – ma nie być żadnych błędów.

Siedemnaście

Winter

Rzeka Piav, duży dopływ Velt, spływała z gór Keth na spotkanie jej szerokiego nurtu gdzieś na północ od Deslandu. Takie rzeki w regularnych odstępach płynęły ze wschodu na zachód przez dolinę Velt, niosąc między wzgórzami wody deszczowe i stopiony śnieg na niziny, a w końcu do morza. Piav płynęła niecałe trzydzieści mil od przełęczy Orlan, będącej największym wylotem w górskim łańcuchu i jedynej mogącej pomieścić liczną armię. Tak więc to tam, wokół miasteczka Antova, Liga Wolnych Miast zbudowała wielką twierdzę.

Dreiroede z Hamvelt, zapewne najwybitniejszy inżynier budowlany wszech czasów, zaprojektował ją w szczytowym okresie swych zdolności i wpływów. Samo miasto było przytulone do brzegu rzeki i to, co niegdyś było wioską rybacką, dziś przytłaczał system otaczających je fortyfikacji. Oglądane z daleka, tak jak teraz przez Winter, przypominały gigantyczny geometryczny wzór nakreślony na ziemi ręką jakiegoś nudzącego się boga. Na zachodnim brzegu rzeki, wokół miasta, przy sześciu ramionach wielkiej gwiazdy biegła fosa i potężny wał ziemny usiany ambrazurami stanowisk artyleryjskich. Siódme ramię, niczym ogromny kołec, wyciągało się na drugim brzegu, z dodatkową przeszkodą bagniska utworzonego przez skierowane tam wody Piav. Pomiędzy ramionami tej gwiazdy znajdowały się bastiony, raweliny i lunety, z których obrońcy mogli prowadzić morderczy ostrzał i wybić obsługę każdego działą próbującego rozbić mury.

To sam Dreiroede, będący takim samym ekspertem od zdobywania fortec jak ich budowania, uparcie twierdził, że nie ma czegoś takiego jak twierdza nie do zdobycia. Mając dostateczną liczbę ludzi, dział i chęci, można zdobyć każdą fortecę; wieże wysadzić, bastiony zdobyć i ustawić baterię dział dostatecznie blisko muru, żeby wybić w nim otwór pozwalający na atak piechoty. Tak więc sztuka budowania twierdz polega na zyskiwaniu czasu: skarpy ziemne mają odbijać kule armatnie, a nie rozpadać się pod ich uderzeniami, zdobywając kolejne linie obrony, atakujący tracą czas i ludzi, a działa obrony będą ich powstrzymywać, dopóki nie zostaną uciszone. Potęgą fortecy jest mierzona czasem, liczbą miesięcy, w ciągu których obrońcy mogą się w niej utrzymać.

Antova, jego największe dzieło, była roczną twierdzą. Każdy atakujący ją przeciwnik miał co najmniej tak długo szturmować jej mury przed ich zdobyciem oraz przeżyć ostrą i srogą zimę, odpierając wycieczki garnizonu. W tym czasie mogła przyjść odsiecz i atakujące wojska ryzykowały, że znajdą się między obiema siłami, jak żelazo między młotem a kowadłem.

Janus najwyraźniej się tym nie przejmował. Z miejsca, w którym stała, na wzniesieniu u podnóża gór, Winter widziała żołnierzy w niebieskich mundurach ciężko pracujących przy kopaniu okopów. Armia Wschód liczyła teraz około trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy. Resztki rozbitych sił di Pfalena nawet nie zbliżały się do liczby przewidzianych przez Dreiroede'a obrońców – nawet najsilniejsza twierdza bowiem potrzebuje ludzi do obsadzenia murów – lecz pomimo to atak na tę potężną budowlę, z jej polami ostrzału i ciężką artylerią, wydawał się nie lada wyzwaniem. Od północy zaś powoli i nieuchronnie jak lodowiec

nadciągał największy żyjący żołnierz Hamveltu, marszałek polny Jindenau ze swoją trzydziestotysięczną armią.

Janus rozłożył na trawie mapę doliny Velt i przycisnął ją kamieniami, wyjaśniając to wszystko powoli i cierpliwie i pokazując trzcinką strategiczne miejsca. Pułkownicy spoglądali na mapę i marszczyli brwi, chcąc zademonstrować głęboki namysł.

Winter czuła się nieswojo w ich towarzystwie. Niektórzy należeli do królewskich – a ponieważ Janus pozbył się starych, szlachetnie urodzonych pułkowników, ci tutaj byli przeważnie młodymi ludźmi i absolwentami szkoły wojskowej, świeżo mianowanymi i żądnymi chwały. Pozostali byli ochotnikami wybranymi przez swoje oddziały albo awansowanymi za zasługi na polu bitwy; nosili samodiałowe ubrania i sceptycznie słuchali o rawelinach i działach oblężniczych.

Jednak żaden z nich nie zgłosił sprzeciwu, ani nawet pytania. Janus, z wyrazistą twarzą i płonącymi oczami, miał ich niepodzielną uwagę. Winter potrafiła zrozumieć obawy, jakie budził w Jane. Po Diarach, Gaafen i ostatniej bitwie o Jirdos darzyli generała bezgranicznym zaufaniem. Na jego rozkaz uderzyliby na wrota piekieł bronione przez legion demonów przekonani, że on zapewni im zwycięstwo, wyciągając je z kapelusza jak uliczny magik.

– Tak mniej więcej wygląda sytuacja – powiedział Janus, siedzący w kucki. Pozostali, trzynastu oficerów włącznie z Winter, siedzieli lub klęczeli na wilgotnej trawie wokół mapy. – Okopanie się wokół twierdzy zajmie nam następny dzień, ale nie spodziewam się żadnego wypadu ze strony garnizonu przed zakończeniem przygotowań. Zorganizowanie skutecznej obrony też wymaga trochę czasu.

– Powinniśmy przypuścić szturm na mury dziś w nocy – odezwał się jeden z ochotniczych oficerów. – Nie spodziewaliby się tego i jeszcze nie zorganizowali obrony. Po co dawać im chwilę wytchnienia?

– Kusząca myśl, ale zbyt drogo by nas to kosztowało – odparł Janus. – Armia di Pfalena jest rozbita, ale mury są mocne i mają na nich działa oblężnicze większe od naszych. Może zdołalibyśmy znaleźć słaby punkt, ale stracilibyśmy połowę naszych ludzi.

Pozostali oficerowie pospiesznie przytaknęli, rzucając groźne spojrzenia pomysłodawcy, który zwiesił głowę. Przypominali Winter woźne u pani Wilmore rywalizujące, która skuteczniej podliże się wychowawczyniom. Janus powiódł wzrokiem po kręgu, a gdy jego szare oczy napotkały jej spojrzenie, wygiął wargi w nikłym, lecz znaczącym uśmiechu, jakby z jakiegoś tylko im dwojgu znanego żartu.

– Nie – ciągnął. – Otoczymy twierdzę i okopimy się, żeby jej garnizon nie sprawił nam kłopotów. Powinniśmy zamknąć Hamveltajczyków w okrążeniu i mieć jeszcze spore siły do wykonywania manewrów.

Kolejne przytaknięcia, najgłośniejsze z ust tego, który przed chwilą zaproponował szturm. Winter odkaszlnęła.

– Jakich manewrów, panie generale? – zapytała. – Zważywszy na wielkość fortecy i garnizonu, nawet okopani potrzebujemy sporych sił, żeby trzymać ich w okrążeniu. Tak więc będziemy mieli o wiele mniej żołnierzy, niż liczy armia marszałka polowego, który będzie jeszcze miał tę przewagę, że jesteśmy zajęci oblężeniem. Jeśli dotrze dostatecznie blisko twierdzy, może połączyć siły z jej garnizonem i zgnieść nas.

– Di Pfalen miał nad nami przewagę liczebną – powiedział jeden z pułkowników

królewskich, nieco pobłażliwym tonem. – I już dwukrotnie go pobiliśmy. Temu Jindenau nie pójdzie lepiej.

To nie Janus go pobił, pomyślała Winter. Pobili go moi żołnierze i ja, maszerując w deszczu i błocie, żeby pojawić się na flance nieprzyjaciela, rozbić trzy jego bataliony, aby kawaleria mogła uderzyć na niego z tyłu. Gdzie wy byliście? Na wzgórzach, patrząc, jak artyleria odważa za was robotę?

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Ludzie walczyli na całej linii, chociaż trzeba przyznać, że najłżejsze straty poniosły oddziały znajdujące się najbliżej Pierwszego Dziewczego, gdzie Hamveltajczycy podali tyły. Na drugim końcu, gdzie di Pfalen przypuścił pierwszy atak, tylko rozpaczliwy opór powstrzymał go od zepchnięcia obrońców ze wzgórz i te jego oddziały wycofały się we względnym porządku, gdy reszta armii została rozbita. Głównie dzięki zdyscyplinowanym hamveltajskim oddziałom, które osłaniały odwrót, di Pfalen miał jeszcze jakąś armię.

Winter jednak drażniło, że oficerowie wokół niej poważnie i pompatycznie pokiwali głowami.

– Bez obawy. Generał znajdzie jakiś sposób – rzekł inny królewski, potężny mężczyzna z bokobrodami i równo przystrzyżonymi wąsami.

Żaden z nich nie był w Khandarze, uświadomiła sobie Winter. Rzuciła się w oczy nieobecność Fitzo Warusa, obecnie dowodzącego oddziałami kolonialnymi. Winter domyśliła się, że nadzoruje kopanie okopów. Piekielnik zajmował się swoją kawalerią, która poniosła ciężkie straty podczas desperackiego ataku. Kaznodzieja i d'Ivoire byli w Vordanie.

Nikt z obecnych tu ludzi nie widział Janusa przypartego do muru, tak jak Winter w noc buntu Adrechta, a potem znowu w desoltajskiej świątyni. Myśleli, że zawsze będzie miał jakiś plan, jakiś genialny ruch, że jego pozorny spokój wynika z głębokiej pewności zwycięstwa. Winter wiedziała, że tak nie jest. Widziała Janusa, któremu zabrakło sztuczek, uwięzionego pod posągami i stojącego przed perspektywą pewnej śmierci z ręki Przekłętej Penitentki – Jen Alhundert. Nigdy nie tracił spokoju. Gdy przyjdzie taki dzień, że pomyli się w rachubach, nie wyczytacie tego z jego twarzy.

– Dziękuję, pułkowniku, za pańskie zaufanie – rzekł Janus. – Na razie pracujemy łopatami. Pułkownik Warus opracuje i wyda niezbędne rozkazy. Chcę, żebyście przekonali swoich ludzi, że jest to równie ważne dla naszego ostatecznego zwycięstwa jak odwaga na polu bitwy.

– Tak jest, panie generale! – powiedział postawny pułkownik, a pozostali zawtórowali mu nieskładnym chórem.

Zasalutowali Janusowi, a Winter przyłączyła się do tego.

– Bardzo dobrze – rzekł Janus. – Zajmijcie się swoimi ludźmi. Pułkowniku Ihernglass, zechciałbyś zostać na chwilę?

– Panie generale? – Winter zmarszczyła brwi.

Janus znów się do niej uśmiechnął, ale nic nie mówił, gdy pozostali odchodzili w dół zbocza, gdzie adiutanci czekali na nich z końmi. Nie odrywał od niej oczu i zastanawiała się, czy można wyczytać z jej twarzy ponure myśli. Czasem zdawało się, że Janus czyta w myślach, chociaż była stosunkowo pewna, że to dzięki niezwyklej przenikliwości umysłu, a nie jakimś nadludzkim zdolnościom. Wszystkożerca nigdy nawet nie drgnął w jego obecności.

– Muszę powiedzieć, pułkowniku, że wyglądasz na zmęczonego – rzekł, gdy zostali sami.

Winter zmieniła ubłocony mundur na czysty, ale nie miała czasu na nic więcej. Włosy zaczęły się jej sklejać, a twarz na pewno zdradzała oznaki kilku niedospanych nocy oraz kilkudniowego wysiłku i obaw.

– Jestem wykończony, panie pułkowniku – przyznała.

– A jak się ma trzeci?

– Też jest wycieńczony. Straciliśmy połowę stanu podczas marszu. Maruderzy jeszcze przychodzą i mamy nadzieję odzyskać pozostałych, gdy w końcu dogonią nas tabory. – Pomyślała o Molly, spoconej i bladej. – A przynajmniej większość.

– Muszę przeprosić za ten wysiłek, jakiego od was zażądałem. Mimo tego, w co wierzy pułkownik Gordace, nie jestem nieomylny, a baron di Pfalen to dobry żołnierz, nawet jeśli trochę pozbawiony wyobraźni. Działał bardziej agresywnie, niż oczekiwałem, i musiałem odpowiednio dostosować do niego mój harmonogram.

– Tak jest, panie generale.

– Twój ludzie wykonali dobrą robotę w niezwykle trudnych warunkach. Proszę, przekaż im moje podziękowania i powiedz, że cała armia jest im dłużna.

– Dziękuję, panie generale. Powiem.

– A co do ciebie, Ihernglass, to widzę, że nie myliłem się, uważając cię za niezwykle obiecującego oficera, niezależnie od twoich innych umiejętności. – Przechylił głowę. – Mogę ci zadać pytanie?

– Oczywiście, panie generale.

– Dlaczego kontynuujesz tę... maskaradę? Wydaje się, że twoje obecne stanowisko umożliwia wyjawienie prawdy.

– Niektórzy ją znają, panie generale. Bobby, Jane, niektóre Skórzane Kurtki. Co do reszty... wydaje się, że łatwiej zostawić rzeczy tak, jak są. – Winter pomyślała o Novusie i jego tyradzie. – Byłoby inaczej, gdybym dopiero się zaciągnęła, ale minęło tyle czasu... Ludzie mogliby być źli, że zostali oszukani. No i...

Janus uniósł brew. Winter zawahała się.

– Z ochotniczkami z Pierwszego Dziewczęcego jest inaczej – powiedziała. – Zaciągnęły się, ponieważ Vordan ich potrzebuje, a po wojnie wrócą do domów. Ja... ja nie mam dokąd iść. – Szarpnęła kołnierzyk munduru. – Oto, kim jestem, na dobre czy złe. To mój dom. Po wojnie może kobieta będzie mogła nosić te dystynkcje... a może nie.

Winter poczuła ścisnięcie w gardle. Nigdy nikomu tego nie mówiła, nawet nie myślała o tym. To jest mój dom.

– Wybór pozostawiam tobie, oczywiście – mruknął po chwili milczenia Janus. – Co z kapitan Verity?

Winter odetchnęła głęboko.

– Mianowałam Abby Giforte dowódcą Pierwszego Dziewczęcego, panie generale, a Jane przeniosłam do mojego sztabu. Nawiasem mówiąc, dziękuję za oficjalne zatwierdzenie awansu Abby, na wypadek gdybyśmy kiedyś miały okazję odebrać nasz żołd.

– Oczywiście. Kapitan Giforte... chyba powinienem powiedzieć kapitan Giforte młodsza... wydaje się nadzwyczaj uzdolnioną młodą kobietą. Pytałem jednak o kapitan Verity. Miałaś z nią jakieś problemy?

Winter zawahała się, ale coś w przenikliwym spojrzeniu Janusa dało jej do zrozumienia, że

próba ukrycia czegoś przed nim jest z góry skazana na niepowodzenie.

– Niewielkie, panie generale. Rozwiązujemy je.

– Gdyby to miało ułatwić ci sprawę, mógłbym kazać jej wracać do Vordanu. Jasno powiedziałbym, że nie robię tego na twoją prośbę.

Oddech uwiązał jej w gardle. Na myśl o odesłaniu Jane miała ochotę położyć się i umrzeć, ale odruchowy protest zamarł jej na ustach. *Gdyby to oznaczało, że nie będzie już takich dni jak dzisiejszy... nie będę stać i czekać, czy wyłoni się z chmury dymu, czy może znajdę ją nieruchomą i zimną na jakimś poboju.*

– Nie, panie generale – powiedziała po długiej chwili. – To nie będzie konieczne.

– Jak chcesz – rzekł Janus. – A teraz... otrzymałem twój raport dotyczący ataku w Deslandzie. Jesteś pewna, że ci trzej napastnicy byli Przeklętymi Penitentami?

Winter zamrugała, zaskoczona tą nagłą zmianą tematu.

– Hmm.. nie, panie generale, niezupełnie pewna. Ale nosili obsydianowe maski i wszyscy trzej zdawali się mieć... nadzwyczajne zdolności. Jeden na pewno miał w sobie demona... Wszystkożerca o mało go nie pożarł. Jak rozumiem, tylko Przekłęci Penitenci noszą w sobie demony.

– Prawda jest bardziej skomplikowana, ale tylko trochę. Nie widziałaś ich od tamtej pory?

– Nie, panie generale. – Winter zmarszczyła brwi. – Jeśli chcieli mnie zabić, podczas marszu mieli doskonałą okazję. Gdy zaczęło lać, nasze środki bezpieczeństwa diabli wzięli.

– Mogę to sobie wyobrazić – mruknął Janus. – Tak więc albo już się tobą nie interesują, albo ważniejszy stał się jakiś inny cel. – Skrzywił się. – Tylko jeden taki przychodzi mi na myśl. Jeśli wiedzieli, że nosisz demona, to musieli również wiedzieć, że mamy Tysiąc Imion. Obawiam się, że biedny Augustin wpadł w ich szpony.

Winter prawie już zapomniała o leciwym lokaju.

– Nie znaleźliśmy żadnego jego śladu.

– I nie znajdziecie, jeśli został porwany przez Przekłętego Penitenta. – Janus westchnął. – Służył mojej rodzinie przez całe życie. Kiepską otrzymał za to zapłatę. Mam nadzieję, że nie cierpiał długo.

Zapadła chwila ciszy.

– Cóż – podjął Janus. – Cieszę się, że uszłaś z życiem, i dziękuję za informacje. Zrobię, co będę mógł. Wciąż mamy tu...

– Generale Vhalnich! – zawołał męski głos z dołu zbocza.

Winter dopiero po chwili poznała Fitzę Warusa. Młodzieniec roztaczał teraz aurę powagi odpowiedniej dla jego rangi.

– Tak, pułkowniku?

– Oddział właśnie przybył ze stolicy. To... lepiej niech pan przyjdzie i sam zobaczy, panie generale.

Kiedy Winter ostatnio widziała de Ferre'a, uciekał z podkulonym ogonem, wyrzucony przez Janusa natychmiast po jego popisie w trakcie bitwy o Diarach. Gdyby miał ogon, teraz trzymałby go wysoko podniesiony. Jechał na wielkim białym ogierze, a za nim świta złożona z tuzina oficerów i tyluż gwardzistów. Pułkownikowskie orły znikły z jego naramienników, zastąpione srebrnymi gwiazdami oplecionymi złotymi wężykami.

W pobliżu stał żołnierz, czekając, by zabrać wierzchowca de Ferre'a, lecz jeździec

najwidoczniej nie chciał zsiąść, dopóki nie zobaczy nadchodzącego Janusa. Teraz, gdy dostrzegł generała, energicznie zeskoczył z konia, podzwaniając złoconymi ostrogami. Jego świta poszła w jego ślady. Zatrzymali się na otwartym terenie na południe od obozu, gdzie stał nierówny rząd namiotów. Chociaż większość armii Janusa kopała umocnienia lub stała w gotowości na wypadek hamveltajskiego wypadu, sporo niepełniących służby żołnierzy przyszło zobaczyć, co się dzieje.

– Pułkownik de Ferre – rzekł Janus bez śladu zdziwienia w głosie. Winter z respektem stanęła za nim, a Fitz przy niej. – Co sprowadza pana do armii Wschód?

– Generale Vhalnich – rzekł de Ferre. Starał się zachować obojętny wyraz twarzy, ale nie był w tym tak dobry jak Janus. Kąciki jego ust unosiły się w uśmiechu, a ton głosu zdradzał, że napawa się każdym słowem. – Rozkazy, oczywiście. Muszę jednak pana poprawić. Teraz jestem generałem de Ferre.

– Widzę – rzekł Janus, mierząc wzrokiem oficerów i żołnierzy, których przyprowadził de Ferre.

– Zgodnie z rozkazami sekretarza do spraw wojny – de Ferre podniósł głos – z tą chwilą obejmuję dowodzenie armią Wschód.

W tłumie obserwujących to żołnierzy rozległy się pomruki. Winter powstrzymała okrzyk zdumienia i próbowała naśladować obojętny wyraz twarzy Janusa.

– Mogę zobaczyć te rozkazy? – spytał Janus. – Dla formalności.

– Oczywiście, może pan.

De Ferre zrobił krok naprzód, wyjmując z kieszeni na piersi zapieczętowany dokument, i wręczył go Janusowi z miną szermierza zadającego śmiertelny cios. Generał przez moment oglądał pieczęć, po czym złamał ją kciukiem i zaczął czytać.

– Rozumiem – rzekł. – Na rozkaz sekretarza do spraw wojny Johanna Mauriska.

– Zgadza się.

– Co więcej, mam rozkaz oddać się pod pańskie rozkazy – spokojnie powiedział Janus.

– Właśnie. – De Ferre już otwarcie się uśmiechał, zapomniawszy o udawaniu.

Zapadła długa cisza. Janus starannie złożył i oddał dokument.

– Generale – rzekł w końcu. – Zastanawiam się, czy moglibyśmy porozmawiać... na osobności.

De Ferre zmrużył oczy.

– Chyba nie zamierza pan kwestionować rozkazów ministra?

– Oczywiście, że nie. Jednak są pewne kwestie... szczegóły operacyjne, o których powinien pan się dowiedzieć.

– Bardzo dobrze. Pułkownik Pahn będzie mi towarzyszył, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Wcale. Pułkowniku Ihernglass, pułkowniku Warus, zechcecie również do nas dołączyć? – Janus odsunął się i wśród gapiących się wypatrzył oficera. – Kapitanie, dopilnuje pan, żeby zajęto się resztą eskorty generała i ich wierzchowcami?

Oficer zasalutował, a Janus poprowadził ich pośród namiotów do swojego. Gdy weszli do środka, Winter zobaczyła, że jest urządzone jeszcze skromniej niż dawniej, zapewne z braku zręcznej ręki Augustina. Składany stolik, łóżko polowe i otwarty kufer pełen książek stanowiły całe umeblowanie. De Ferre szyderczo wykrzywił usta; widocznie przywykł do większych wygód.

– Myślę – powiedział Janus, gdy wszyscy byli w środku – że pan...

– Generale – warknął de Ferre.

Janus przerwał.

– Minister mianował mnie dowódcą wszystkich żołnierzy armii Wschód, włącznie z panem. Tak więc będzie się pan do mnie zwracał „generale”.

Winter wciągnęła oddech i czekała na wybuch.

– Jak pan sobie życzy, generale – łagodnie rzekł Janus.

– Bardzo dobrze. – De Ferre władczo machnął ręką. – Kontynuujmy.

– Sprawy zaszły nieco dalej, niż było wiadome ministrowi, kiedy wydawał panu te rozkazy. Stoczyliśmy i wygraliśmy tu walną bitwę...

– I sądzi pan, że to zmieni jego decyzję? – warknął de Ferre. – Nie tym razem, Vhalnich. W końcu opuściło cię szczęście.

– Niczego takiego nie myślę, generale – odparł Janus. – Jednak nasza sytuacja strategiczna się zmieniła. – Armia obecnie oblega twierdzę Antova.

– Nie jestem ślepy, dziękuję.

– Podczas gdy armia marszałka Jindenau zbliża się od północy – ciągnął Janus. – Jestem ciekaw, generale, czy ma pan jakieś uwagi, jaki powinien być nasz następny ruch.

De Ferre zmarszczył brwi.

– Oczywiście natychmiast zaatakujemy twierdzę, zanim nieprzyjaciel połączy swoje siły. To podstawowa zasada strategii.

– Moim zdaniem każda próba zdobycia Antovy zostanie najprawdopodobniej odparta z ciężkimi stratami po naszej stronie. Generale.

– Och, rozumiem. Takie jest pana zdanie, tak?

– Tak jest, generale. Chciałbym, żeby wziął pan...

De Ferre wyprężył się i wciągnął wydatny brzuch, którego nie skrywał szyty na miarę mundur.

– Pozwól, że powiem ci, co myślę, Vhalnich. Myślę, że uwierzyłeś w swoją legendę. Geniusz wojskowy, bohater ludu. Oczywiście, ty wiesz lepiej. My, zwykli śmiertelnicy, możemy tylko patrzeć i się uczyć, co? – Pomachał palcem przed nosem Janusowi. – Tak naprawdę nie ma w tobie niczego szczególnego. Miałeś szczęście na polu bitwy, nic więcej. To może wystarczy, żeby podziwiali cię szeregowi żołnierze, ale na mnie nie działa, rozumiesz?

– Oczywiście, generale. Mogę jednak podsunąć pewne propozycje...

– Żeby później przypisać sobie moje zwycięstwo? – prychnął de Ferre. – Na pewno nie. Dowodziłem oddziałami, kiedy ty byłeś w pieluchach, i pozwolę sobie sądzić, że wiem, co to obłężenie. Od ciebie żądam jedynie wykonywania moich rozkazów i dostarczania informacji, jakich zażądam. Czy to jasne?

– Tak jest, generale – odparł Janus. Jego szare oczy spoglądały beznamiętnie.

– Cóż. Każ swoim pułkownikom przygotować szczegółowe raporty odnośnie do stanu pododdziałów. Przyślij wszelkie już sporządzone plany ataku, żeby moi inżynierowie mogli ocenić ich zalety.

– Jak pan sobie życzy, generale. – Janus zsalutował sprężysto jak dyżurny ze szkoły wojskowej. – Zatem wybaczy pan? Mam bardzo dużo do zrobienia.

– Istotnie.

De Ferre odwrócił się z brzękiem ostróg. Pułkownik Pahn, niski mężczyzna o szczurzej twarzy i niechlujnych wąsach, posłał szyderczy uśmiech Winter i Fitzowi, po czym podążył za nim. Janus stał nieruchomo, nic nie mówiąc, dopóki ich kroki nie ucichły w oddali.

– Zastanawiam się – rzekł w zadumie – czy było to tak satysfakcjonujące, jak się spodziewał. Najwyraźniej ćwiczył tę przemowę przez całą drogę.

– Panie generale... – zaczęła z wahaniem Winter.

– Pułkowniku Warus – powiedział Janus, nie odwracając się. – W skrzyneczce u pana stóp jest kryształowa butelka. Byłby pan uprzejmy podać mi ją?

Fitz pochylił się i wyjął butelkę, elegancki kryształ niepasujący do surowego wnętrza namiotu. Była do połowy wypełniona czymś, co wyglądało jak płynne złoto. Janus wziął ją, wyjął korek i nabrał tchu.

– Robią to w moich górach – wyjaśnił. – To rodzaj likworu z jabłek. Ma dość szczególny smak. – Kilkoma łykami opróżnił butelkę i skrzywił się. – Szczerze mówiąc, nie wiem, komu ma to smakować. Augustin jednak zawsze nalegał, żebyśmy mieli kilka takich do celów leczniczych.

Nagle, błyskawicznie jak wąż, obrócił się i cisnął butelką w kufer na drugim końcu namiotu. Uderzyła w obciążony skórą bok i rozbiła się z donośnym trzaskiem, sypiąc kawałkami błyszczącego szkła.

Po raz pierwszy, od kiedy go znała, Winter zobaczyła wściekłość na twarzy Janusa. Jego oczy płonęły. Ściągnięte w zwierzęcym grymasie wargi odsłoniły zaciśnięte zęby.

– Za wcześnie – rzucił. – Kurewsko za wcześnie. Ślepy, ślepy, jak mogłem być taki ślepy! Ten sprytny przekłety drań...

– De Ferre, panie generale? – powiedziała Winter.

Janus parsknął śmiechem.

– De Ferre ledwie potrafi zliczyć do trzech. Mówię o naszym wybitnym przewodniczącym Dyrektoriatu Obrony Narodowej, który teraz jest również ministrem wojny.

– Ma pan jakieś pojęcie, co naprawdę się stało, panie generale? – zapytał Fitz. – Wieści z Vordanu idą tutaj wiele dni, ale...

– W tym rzecz. Właśnie w tym rzecz. – Janus zaczerpnął tchu. – Otrzymałem wiadomość moimi prywatnymi kanałami, że w kraju zaszły poważne zmiany. Maurisk przejął władzę.

– Co takiego? – zdziwiła się Winter. – Przecież...

– To było nieuniknione – zbył ją Janus. – To nie jest człowiek, który zadowolony jest byle czym. Miałem przygotowane kilka scenariuszy. Sądziłem jednak, że będę miał więcej czasu. Gdyby de Ferre wyruszył po przewrocie, byłby jeszcze na przełęcz, sto mil stąd.

– Co oznacza, że wyruszył wcześniej – zauważył Fitz.

– Właśnie. Maurisk dał mu rozkazy z późniejszą datą i wysłał go, zanim wykonał swój ruch. Zapewne kazał mu czekać gdzieś w pobliżu na umówiony sygnał. Patrząc z perspektywy, oczywiste rozwiązanie. – Janus z przelotnym uśmiechem odwrócił się do Winter. – Jeśli jakoś wygrzebiemy się z tej opresji, proszę, przypomnij mi o tym, gdy następnym razem ktoś będzie twierdził, że jestem nieomylny.

– Zatem Maurisk uprzedził pana – powiedziała Winter. – Jednak tylko o kilka dni, nieprawdaż?

– Te kilka dni robi ogromną różnicę. Za kilka dni armia już maszerowałaby na północ. Nawet de Ferre bałby się ją zawrócić. Teraz to co innego. Jeśli zaczniesz tu szturmować mury, wszystko, czego dokonałem, pójdzie na marne!

– Moglibyśmy z pułkownikami ułożyć plan ataku – zaproponował Fitz. – Podsunąć przez nich sugestie de Ferre’owi.

– To na nic. Jeśli dopisze nam szczęście, może zdobędziemy fortecę, ale nie zdołamy jej obronić przed armią Jindenau. – Janus znów spochmurniał. – A Antova jest kluczem do doliny. Bez niej nie będziemy mieli innego wyjścia, jak wycofać się z nadejściem zimy.

– Nie wspominając o tym, ilu stracimy żołnierzy – cicho powiedziała Winter.

– Tak – rzekł. – Chociaż wątpię, czy de Ferre uwzględni to w swych kalkulacjach.

Zapadła kolejna chwila ciszy.

– Antova musi paść – rzekł Janus, na poły do siebie. – Musi paść, wkrótce. Twierdzę można zdobyć szturmem, oblężeniem, dzięki zdradzie lub kapitulacji. Nie możemy przypuścić szturmowi, który miałby szansę sukcesu, a oni mają dość zapasów, żeby wytrzymać do czasu, aż Jindenau nadejdzie i zmusi nas do walnej bitwy, której nie zdołamy wygrać.

– Miał pan plan – przypomniał Fitz.

– Raczej jego zarys – przyznał Janus. – De Ferre jednak nigdy się nań nie zgodzi. Nie mówiąc o tym, że plan będzie nie do zrealizowania, jeśli on straci połowę naszych w pierwszym ataku.

– Znalezienie zdrajcy w twierdzy zajęłoby więcej czasu, niż go mamy – rzekł Fitz.

– A czemu mieliby się poddać? Wiedzą, że ich armia jest w drodze.

Winter przez moment przygryzała wargę.

– Jest nowy vordanajski dowódca – powiedziała w końcu. – Okrutny drań bez serca. Przeprowadził dwadzieścia wypoczętych pułków, żeby zdobyć twierdzę, i obiecuje zabić wszystkich, którzy w niej są, żołnierzy czy cywilów. Bez pardonu, chyba że poddadzą się natychmiast.

Fitz i Janus popatrzyli na nią, a potem po sobie.

– To mogłoby pomóc – rzekł Fitz. – Gdyby w to uwierzyli.

– Tylko dlaczego mieliby uwierzyć? – zastanawiał się Janus.

– Mam pewien... pomysł. Pozwólcie, że porozmawiam z moimi ludźmi. I będzie nam potrzebna pomoc innych pułkowników.

– Jestem pewny, że chętnie jej udziela, jeśli alternatywą jest szturm na mury – powiedział Fitz. – Panie generale?

– Zróbcie to – zgodził się Janus. – Cokolwiek to jest. De Ferre będzie mnie obserwował, więc nie zdołam wam pomóc. – Zerknął na kawałki butelki. – I przepraszam za ten... wybuch.

– Był całkiem zrozumiały – stwierdziła Winter. – Szczerze mówiąc, dziwię się, że nie walnął go pan w nos.

Godzinę później, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, Winter siedziała w swoim namiocie z Abby. Wieść o przybyciu de Ferre’a rozeszła się już po obozie w różnych zniekształconych wersjach i kapitan miała wiele pytań. Winter wyjaśniła jej, co zaszło w namiocie Janusa, i przedstawiła swój pomysł. Abby cicho gwizdnęła.

– To... zuchwałe – powiedziała.

– Tylko to zdołałam wymyślić. Fitz poszedł do innych pułkowników namówić ich do

udziału, ale ja chciałam poznać twoje zdanie, zanim porozmawiam z Anne-Marie.

Abby pokręciła głową.

– Nie podoba mi się to. Czy masz pojęcie, co oni zrobią tej dziewczynie, jeśli odkryją, kim naprawdę jest?

– Tak – odrzekła Winter. – Mam. Jeśli jednak de Ferre każe nam szturmować mury... – Zmarszczyła brwi. – Sądysz, że ona nie zechce tego zrobić?

– Zechce. I to z ochotą. – Zmarszczka na czole Abby się pogłębiła. – Tylko nie wiem, czy powinniśmy ją o to prosić.

– Jeśli będzie znała ryzyko...

Winter urwała. *To tak nie działa. Żołnierze nie oceniają ryzyka i nie decydują, czy coś warto zrobić. My rozkazujemy, a oni idą. Kalkulowanie, czy warto coś zrobić, to nasze zadanie.* Nie tak dawno sama była szeregowym żołnierzem, ale łatwo było zapomnieć, jak to jest.

– Myślę – zaczęła ponownie – że to nasza jedyna szansa zapobieżenia masakrze.

– Możesz mieć rację. – Abby się skrzywiła. – Co się stanie, jeśli to się uda? Co wtedy?

– Wtedy będziemy się tym martwić. Możesz przyprowadzić Anne-Marie?

– Tak jest, panie pułkowniku.

Abby wstała, zasalutowała i wyszła. Winter spoglądała za nią, usiłując opanować przykre ssanie w żołądku.

Gdy Anne-Marie przybyła, była bardzo podekscytowana. Najwyraźniej podczas marszu i późniejszej bitwy nie doznała takich obrażeń, których nie zdołałoby uleczyć kilka smacznie przespanych nocy. Jej mundur nosił ślady niedawnego starannego łatania, a blond włosy ścięte krótko, kiedy się zaciągnęła, były teraz dostatecznie długie, żeby się zawijać na końcach. Zasalutowała i stanęła na baczność, dygocząc z wysiłku.

– Usiądź – poleciła Winter. – Co powiedziała ci Abby?

– Tylko że jestem potrzebna do wykonania pewnego specjalnego zadania, panie pułkowniku.

Vordanajski Anne-Marie znacznie się poprawił, chociaż nadal mówiła z wyraźnym hamveltajskim akcentem. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami i machinalnie zdjęła z buta grudkę błota.

– Coś w tym rodzaju. Potrzebuję cię do odegrania pewnej komedii.

Anne-Marie zamrugwała.

– Panie pułkowniku?

– Musimy przekonać Hamveltajczyków, którzy tam siedzą – Winter machnęła ręką w kierunku twierdzy – że zaraz się tam wędzemy i wymordujemy ich wszystkich. Niestety, Janus zawsze dobrze traktował wszystkich hamveltajskich jeńców, tak więc nie cieszy się odpowiednio przekonującą reputacją. Pomyślałam, że ktoś z nich... na przykład jakiś uchodźca... mógłby skutecznie rozgłosić tę wiadomość o naszym nowym dowódcy.

– Chce pan, żebym poszła do twierdzy? – spytała Anne-Marie. – I... przekonała ich?

– Tak to wygląda w skrócie. – Winter potrząsnęła głową, nagle zmieszana. – Wiem, że proszę o wiele. Jednak jesteś Deslandką, znasz ich język i jesteś... – Machnęła ręką.

– Panie pułkowniku? – ponownie zachęciła ją Anne-Marie.

– Ładną dziewczyną – zdołała wykrztusić Winter. – Mężczyźni zawsze są nieco łatwowierni, gdy widzą ładną dziewczynę.

– Och. – Anne-Marie zamilkła na moment i zarumieniła się.

– Jeśli uważasz, że nie zdołasz tego zrobić, wymyślimy coś innego – powiedziała Winter, choć nie miała pojęcia, co też miałyby to być. – Trzeba to jednak zrobić tej nocy.

– Oczywiście, panie pułkowniku. Bardzo chętnie. – Anne-Marie uśmiechnęła się promiennie. – Próbowałam sobie tylko przypomnieć, gdzie zostawiłam moje suknie.

Okazało się, że kufry Anne-Marie zawierające wszystko, co zabrała ze sobą, uciekając z domu, zostały wrzucone przez kwatermistrzów na wóz z ekwipunkiem pułku, co oznaczało, że przybyły wraz z resztą bagaży. Odszukanie ich zajęło Winter, Abby i całej drużynie żołnierzy niemal godzinę, ale w końcu znaleźli sfatygowany, wyglądający na kosztowny bagaż pod kilkoma skrzynkami po amunicji.

– Nie wiem, dlaczego myślałam, że będą mi potrzebne – powiedziała Anne-Marie. Od razu na wozie otworzyła kufer i przeglądała ozdobione falbankami i koronkami stroje. – Po prostu wrzuciłam, co mi wpadło pod rękę.

Wybrała skromną suknię z zielonego aksamitu, a pozostałe bezceremonialnie wepchnęła z powrotem do kufra. Winter z pełnym rozbawieniem i zdziwieniem patrzyła, jak Anne-Marie zmięta cieniutki materiał, rzuciła go w najbliższą koleinę i utaplała w błocie. Potem, trzymając ubłoconą suknię w rękach, przyjrzała się jej krytycznie.

– Włożę ją – oznajmiła – a potem zobaczę, co się da zrobić nożyczkami i kilkoma szarpnięciami.

Gdy dziewczyna się tym zajęła, Winter odbyła pospieszną naradę z Fitzem. Pół tuzina pułków było gotowe odegrać swoją rolę w spektaklu, polegającą na niezaplanowanych ćwiczeniach trwających całą noc. Mieli maszerować tam i z powrotem, tupiąc, pokrzykując i robiąc tyle hałasu, że obrońcy musieliby być głusi, żeby tego nie usłyszeć. W połączeniu z turkotem kilku pustych wozów i jaszczy odgłosy będą sugerowały przybycie sporych posiłków.

– Twoim zadaniem będzie zwodzenie de Ferre'a, jeśli zacznie zadawać pytania. Możesz zrobić inspekcję, przeprowadzić go od jednego obozu do drugiego...

– Pułkowniku Ihernglass – powiedział z uśmiechem Fitz. – Bez urazy, ale już od jakiegoś czasu radzę sobie z niewygodnymi zwierzchnikami. Wiem, co robić.

Winter skinęła głową.

– Racja. Dobrze. Powodzenia.

Razem z Abby przeprowadziły Anne-Marie przez część linii wart pełnionych przez królewskich. Spotkały się tam po zmroku i Winter przy świetle latarni wartownika obejrzała przebranie deslandzkiej dziewczyny. Musiała przyznać, że wygląda przekonująco. Anne-Marie nie tylko ubłociła sobie odzienie, ale także włosy i twarz.

Ponadto popracowała nad suknią, rozrywając ją na jednym ramieniu, tak że musiała przytrzymać ją przy kołnierzu, gdyż nieustannie groziło jej odsłonięcie piersi, rozdarcia spódnicy zaś pozwalały dostrzec brudne, ale zgrabne nogi. Ogólny efekt był nieco melodramatyczny: piękna, ubłocona dziewczyna czekająca, by ktoś przyszedł jej z pomocą i obronił.

Patrząc na nią, Winter czuła się dziwnie zagubiona, jakby zajrzała do jakiegoś innego świata. Było oczywiste, że choć może powinna jeszcze nauczyć się lepiej posługiwać bronią, to w znanych sobie dziedzinach – do których najwyraźniej należało przyciąganie uwagi mężczyzn –

Anne-Marie już dawno opanowała podstawowe umiejętności.

– Dobrze – pochwaliła Winter. – Wiesz, co masz im powiedzieć?

Anne-Marie skinęła głową.

– Mamy nowego dowódcę i mnóstwo nowych oddziałów. Armia marszałka Jindenau jest rozbita i w odwrocie i nie będzie pardonu, jeśli się nie poddadzą. Mam też przygotowaną łązawą opowieść o moich przygodach i ucieczce.

– Pamiętaj, spróbuj osobiście porozmawiać z di Pfalenem – instruowała ją Winter. – Janus już dwukrotnie go pokonał. Będzie gotów uwierzyć, że znowu możemy to zrobić.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparła z błyskiem w oczach Anne-Marie. – Możecie na mnie liczyć.

– W porządku. – Winter spojrzała na Sevrana, który czekał w pobliżu. – Pańscy ludzie są gotowi?

Kiwnął głową, z pewnym trudem odrywając oczy od Anne-Marie.

– Wiedzą, że mają nie strzelać.

– Dobrze. – Winter miała wrażenie, że powinna powiedzieć coś jeszcze, ale nic nie przychodziło jej do głowy. – Powodzenia.

Anne-Marie uśmiechnęła się. Pierścień umocnień Janusa dopiero powstawał, tak więc w tym miejscu jeszcze nie było okopów, tylko rząd wart poza zasięgiem dział najbliższego bastionu. Anne-Marie przeszła zaledwie kilka kroków, a już znalazła się za kręgiem światła latarni, widoczna tylko jako cień przemykający po ziemi niczyjej między dwiema armiami.

Winter wstrzymywała oddech, dopóki dziewczyna zupełnie nie znikła z oczu i jeszcze chwilę dłużej. Obawiała się nie tylko tego, że Anne-Marie może zostać zdemaskowana, ale także tej najniebezpieczniejszej chwili. Gdyby jakiś nerwowy wartownik po drugiej stronie zauważył nadchodzącą i postanowił strzelić...

Ciemności jednak nie rozjaśnił żaden rozbłysk wystrzału. Winter wypuściła powietrze, czując ściskanie w piersi.

– Cóż – rzekła do Abby i Sevrana – teraz czekamy do rana.

Ku swemu zdziwieniu Winter po powrocie do namiotu zastała czekającą na nią Jane. Winter bez słowa wzięła ją za rękę i razem weszły do środka. Przyciągnęła Jane do siebie i mocno pocałowała, wsuwając palce w gęste rude włosy.

– Co się stało? – zapytała, odsuwając się.

– To... – Jane skrzywiła się. – Słyszałam, co zaszło. De Ferre naprawdę dowodzi?

– Najwyraźniej.

– Czy ty... to znaczy... – Jane, co u niej niezwykle, wahała się. – Czy już zdecydowałaś, co zrobisz?

– Z de Ferre'em? Nie mam pojęcia. – Nie wszystko naraz. – Nie wiem, czy jest coś, co mogę zrobić.

Z jakiegoś powodu Jane się uspokoiła, słysząc to.

– Dobrze.

Zanim Winter zdążyła poprosić o wyjaśnienie, Jane już znów ją całowała. Winter odprężyła się w jej ramionach i starała się nie myśleć o tym, co może zdarzyć się rano.

Osiemnaście

Raesinia

Wozie panowała przygnębiająca cisza. Właściwie nie było powodu, żeby siedzieć cicho. To prawda, że się ukrywali, ale przy turkocie kół oraz trzaskach i zgrzytach ładunku prawdopodobieństwo tego, że ktoś ich usłyszy, było minimalne. Mimo to Raesinia jakoś nie miała ochoty się odzywać, a jej towarzysze najwyraźniej podzielali tę niechęć. Siedzieli obok siebie w ciepłym mroku pod plandeką i słyszała cichy szmer oddechu Marcusa. Jego ramię było przyciśnięte do jej ramienia i czuła, jak mięśnie mu się napinają, gdy zaciskał pięści.

W zasadzie rozumiała potrzebę zachowania tajemnicy. Janus wydał wyraźny rozkaz, żeby dokładnej lokalizacji Wierzbowego Potoku nie ujawniać nikomu, kto nie musi jej znać, a ponadto zbyt wielu przybywających tam gości mogło wzbudzić podejrzenia. Niemal jedynymi pojazdami nadal regularnie widywanymi na ulicach stolicy były wozy dostarczające zaopatrzenie do rezydencji bogaczy, choć i one coraz częściej były zaprzężone w muły, a nie konie. Mierantajski kurier wyjaśnił, że najłatwiejszym sposobem przewiezienia ich tam bez wzbudzania podejrzeń będzie umieszczenie ich na takim wozie dostawczym.

Tak więc, jeśli wszystko dobrze pójdzie, nikt nie zwróci uwagi na ten wóz. Mimo to Raesinia nerwowo reagowała za każdym razem, gdy koło wozu podskoczyło na wyboju lub kiedy zatrzymywali się, przepuszczając kogoś. Zanim odsunięto plandekę, wpuszczając słoneczny blask późnego ranka, już zaczynała się zastanawiać, czy ta podróż kiedykolwiek się skończy.

Obok wozu stał jakiś mężczyzna w średnim wieku, w niebieskim mundurze kapitana i salutował.

– Dobrze znów pana widzieć, panie pułkowniku – powiedział.

Marcus ostrożnie wstał i zeskoczył z wozu, po czym wyciągnął rękę, by pomóc wysiąść Raesinii. Obok niego Andy przeciągnęła się, aż zatrzeszczały jej stawy. Raesinia wysiadła i rozejrzała się zaciekawiona. Z zewnątrz Wierzbowy Potok wyglądał jak każda inna mała posiadłość mogąca należeć do jakiegoś szlachcica czy bogatego kupca, chociaż wysoka wieża była nieco dziwnym elementem architektonicznym. Mężczyźni w cywilnych ubraniach pracowali w ogrodzie lub stali parami wokół domu i patrzyli.

– Przepraszam, że załatwienie transportu tak długo trwało – rzekł kapitan. – Jak może pan sobie wyobrazić, teraz musimy być jeszcze ostrożniejsi.

– Nie mam dużego doświadczenia w ukrywaniu się – odparł Marcus, po czym zwrócił się do Raesinii i Andy. – Pozwólcie, że przedstawię. To jest kapitan Alex Giforte, poprzednio młodszy kapitan Straży, który tu dowodzi. Alex, to szeregowiec Andria Dracht...

– Andy, jeśli łaska. – Andy zsalutowała.

– ...a to – ciągnął Marcus – jest Jej Królewska Mość Raesinia Orboan.

– Może pan mówić mi Raes – rzekła Raesinia. – Przyzwyczaiałam się do tego.

Marcus wyjaśnił, że kontaktuje się z Janusem za pośrednictwem ludzi Giforte'a, tak więc już wiedzą, kim ona jest, lecz mimo to dziwnie się poczuła, mówiąc o tym tak otwarcie. Giforte

znów zasalutował, ale z lekko rozbawionym wyrazem twarzy, który Raesinia zaczynała rozpoznawać. Pomyślał sobie: czekajcie, to jest królowa Vordanu? Uśmiechnęła się smętnie.

– Witamy w Wierzbowym Potoku – powiedział Giforte. – Pułkowniku, właśnie otrzymaliśmy wiadomość od Janusa, którą zechce pan przeczytać. Proszę ze mną.

Poprowadził ich ścieżką z końca podjazdu do domu, gdy kilku mężczyzn podeszło do wozu i zaczęło wyładowywać zaopatrzenie, które przyjechało razem ze zbiegami. Drzwi otworzyły się, kiedy podeszli bliżej. Chociaż stojący za nimi człowiek nosił strój służącego, to poruszał się jak żołnierz.

Gdy Raesinia przechodziła przez próg, coś nieprzyjemnie zakłuło ją pod czaszką i poczuła przeszywający ból w jednym oczodole. Przystanęła, potrząsając głową, a pozostali też się zatrzymali.

– Raes? – zapytał Marcus.

– Czuję... – Zniżyła głos. – Marcus, to tak jak w Bliźniaczych Wieżyczkach. Jest tu ktoś...

– Ach – powiedział Giforte. – Ostrzegła mnie, że to może się zdarzyć. Feor?

Podeszła do nich jakaś młoda kobieta w prostej czarnej szacie. Miała czarne włosy i skórę szarą jak popiół. Raesinia przyglądała się jej z zaciekawieniem; chociaż czytała opisy w książkach, jeszcze nigdy nie spotkała żywej Khandarki.

– Wasza Królewska Mość – odezwała się kobieta. Była młodsza od Raesinii, może nawet nie dwudziestoletnia. – Nazywam się Feor.

– Jesteś... – Ból w jej głowie zelżał, ale nadal wyczuwała obecność i to wrażenie pogłębiało się, ilekroć spoglądała na dziewczynę.

– Tak. – Feor popatrzyła na Giforte'a i Marcusa. – Myślę, że Wasza Królewska Mość i ja powinniśmy porozmawiać w cztery oczy.

Feor sprowadziła Raesinię długimi schodami i piwnicznym korytarzem oświetlonym zawieszonymi latarniami. Przeszli przez solidne drzwi, które zaryglował za nimi młodzieniec w szarej szacie, a potem skłonił się i odszedł.

– Nie jesteś Przeklętym Penitentem – powiedziała Raesinia. – Najwyraźniej.

– Nie.

– Jednak jesteś... masz w sobie demona.

– Mój lud mówi na to, że jestem naathem. – Feor uśmiechnęła się. – Tak jak ty.

– Skąd... – Raesinia zamrugła.

– Naathem wyczuwają swoją obecność. Tak jak ty wyczułaś moją.

Ta stara kobieta w magazynie i ten kapłan, Ionkovo. Raesinia nie zastanawiała się nad tym, lecz to wydawało się sensowne; jeśli potrafiła wyczuć inne demony, one wyczuwały ją również. To może sprawić, że ukrywanie tego będzie trudniejsze, niż myślałam.

– Janus poprosił mnie, żebym z tobą porozmawiała – rzekła Feor. – W istocie zamierzał po pewnym czasie przenieść mnie do pałacu, żebym była... twoją nauczycielką. Najwidoczniej ostatnie wydarzenia zniweczyły ten plan.

– Pracujesz dla Janusa?

– Chyba tak, chociaż wolę uważać, że jesteśmy sojusznikami. – Feor zachichotała. – Tak naprawdę to mam zobowiązania wobec Wintera Ihernglassa. Uratował mi życie, chociaż powinniśmy wtedy być wrogami.

Raesinia знаła Winter tylko z widzenia, z kilku oficjalnych spotkań przed wymarszem armii

Wschód.

– To on dowodzi kobiecym batalionem Janusa, tak?

– Tak, sądzę, że tak. – Z jakiegoś powodu Feor uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – W każdym razie mamy z Janusem wspólnego wroga i to jest najważniejsze.

– Kościół Zaprzysiężenia – odgadła Raesinia. – Kapłanów Czerni.

– Tak.

– Dlaczego? Co zrobili ci w Khandarze?

Feor się zastanowiła.

– Odpowiedź jest... dość skomplikowana. Od urodzenia należałam do tajnej sekty, której zadaniem było strzec wiedzy o naath. Niewiele wiem o naszej historii, ale sądzę, że grupa, którą znałam, była pozostałością, resztką niegdyś potężnej organizacji, która z biegiem lat się skurczyła. Uczono nas, że abh-naathem... ty nazywasz ich Przeklętymi Penitentami... nie cofną się przed niczym, byle nas zniszczyć, ponieważ pożądamy mocy Tysiąca Imion. Kiedy Odkupiciele zawładnęli Khandarem, nadarzyła im się okazja.

Raesinia skinęła głową.

– Janus mówił mi, że ich agenci próbowali go zabić i zabrać Imiona.

– Pozostali członkowie mojej sekty zostali zabici, próbując je ochronić. To Winter pokazał mi, że nie jest moim obowiązkiem umrzeć razem z nimi. Bogowie mają dla mnie inny cel. Wierzę, że pozwolili, by Imiona wpadły w ręce Janusa, ponieważ on użyje ich do ostatecznego złamania potęgi abh-naathem, raz na zawsze. Moim zadaniem jest pomóc mu najlepiej jak potrafię.

– Rozumiem. – Taka gotowość, czy to płynąca z religijnych przekonań, czy z politycznego idealizmu, sprawiała, że Raesinia czuła się dziwnie nieswojo, jakby w obliczu jakiejś fundamentalnej prawdy, której nie mogła pojąć. – Czy one tu są? Tysiąc Imion. One, ono, jakkolwiek to nazwać.

– Tak. Pokażę ci.

Na drugim końcu korytarza wisiała zasłona, którą Feor odsunęła. Dalej była długa galeria z arkadami po obu stronach, prowadzącymi do małych pomieszczeń, które niegdyś mogły mieścić półki na zapasy. Feor wskazała trzy pierwsze i Raesinia podeszła tam, żeby popatrzeć z bliska.

Spodziewała się zobaczyć książkę, oprawioną w skórę i starą. Rozsypujące się zwoje, a może nawet gliniane tabliczki. Ujrzała jednak stalową płytę wyższą od dorosłego człowieka i szeroką tak, że z trudem zdołałaby ją objąć. Jej oksydowana powierzchnia lekko lśniła w świetle lampy. Od dołu do góry pokrywały ją głęboko wryte rzędy skomplikowanych znaków, których Raesinia nie знаła.

Podniosła rękę i się zawahała.

– Czy stanie się coś strasznego, jeśli jej dotknę?

– Nie – odrzekła Feor. – To tylko stal.

Raesinia przesunęła palcami po powierzchni, wyczuwając kształty nieznamomych liter o brzegach wciąż niewygładzonych mimo upływu czasu. Ktokolwiek to stworzył, starał się, żeby przetrwało wieki.

– Naath ma moc tylko w ludzkiej duszy – wyjaśniła Feor. – Te litery to tylko znaki, dopóki ktoś ich nie odczyta na głos.

- To tylko lista? Imion, zaklęć czy czego?
- To znacznie więcej. Opisy, ostrzeżenia, rytuały i zastosowania. Sądzę, że spisywano je przez dziesięciolecia, a może wieki.
- I naprawdę jest ich tysiąc? – Raesinia spojrzała na olbrzymią płytę. – To chyba za dużo nawet jak na taką wielką płytę.
- Jest jeszcze jedenaście innych. – Feor wskazała na inne nisze.
- Och. – Raesinia nagle poczuła się malutka. – I co z nimi robisz? Tłumaczysz?
- Część. Są tam wzmianki o takich faktach z naszej historii, których chyba nikt z żyjących już nie pamięta. I opisy, jakim celom służą poszczególne naath, chociaż często niejasne lub metaforyczne.
- No dobrze. – Raesinia odwróciła się do niej. – Zatem jeśli odczytam na głos jeden z tych napisów... zakładając, że nauczę się tego języka... to co wtedy? Bach i jestem naathem?
- W twoim wypadku nie. Jedna dusza nie może pomieścić dwóch naath. Jeśli naathem odczyta głośno naath, nic się nie stanie.
- Dobrze. A ktoś inny?
- Może. – Feor pokręciła głową. – Naath wiąże się z duszą i ta dusza musi być silna, żeby to znieść. Niektóre naath są słabe i niemal każdy może się z nimi związać. W wypadku silnych tylko jeden człowiek na tysiąc zdoła wypowiedzieć naath, nie umierając przy tym. I każdy naath może być wypowiedziany tylko raz, dopóki jego nosiciel nie umrze.
- Raesinia zamknęła oczy. Pamiętała, jak leżała na łóżku, z wysiłkiem i męką chwytając każdy oddech, a obok niej klęczał brodaty kapłan. Kazał jej coś czytać i poczuła ból. Nigdy nie była pewna, czy ten epizod był częścią jej majaków w malignie. Dali mi do przeczytania coś takiego. Zajrzała w siebie, na więź. I zmienili mnie w... to.
- Czy można... przestać być naathem? Czy jest jakiś sposób, żeby się tego pozbyć?
- Janus mówił, że możesz o to zapytać. – Feor westchnęła. – Nie wiem, zakładając, że chcesz to przeżyć. Mam nadzieję, że gdzieś tu jest odpowiedź na to pytanie.
- Gdzieś. – Raesinia popatrzyła na ogromną płytę. – To trochę potrwa, prawda?
- Może lata – odparła Feor. – Będę jednak wytrwale szukać, nawet gdyby Janus o to nie prosił. Stało się dla mnie jasne, że Matka, przywódczyni naszej sekty, wiele przed nami ukrywała. Tu jestem najbliżej źródła prawdy.
- Czy wiesz, skąd one się wzięły? Ile mają lat?
- Niedokładnie. Ten język to nie khandarski, choć jego wpływy można dostrzec we współczesnej khandarszczyźnie. I nie jest bezpośrednio związany z żadnym współczesnym językiem, chociaż niektóre z nich wykazują dziwne podobieństwo. O ile mogę wywnioskować z wydarzeń, które są tutaj wspomniane, te tablice zostały wyryte w drugim lub trzecim wieku przed waszym prorokiem Karisem.

Tak więc Imiona miały co najmniej tysiąc czterysta lat. Raesinia nie знаła historii starożytnej, jedynie fakty zawarte w Mądrościach i doktrynie Kościoła. Okres od Upadku Tyranów po Dzień Sądu był erą zamętu, chaosu i zniszczenia, gdy władcami byli królowie-czarnoksiężnicy i różnego rodzaju demony. Te niegodziwości skłoniły Boga do wysłania Bestii Sądnej Dnia, żeby wytępiła rodzaj ludzki, i tylko interwencja Karisa Zbawcy przekonała Go, żeby ją powstrzymał. Później Kościół rozpoczął niekończącą się kampanię przeciwko czarom i grzechom, aby dowieść Wszechmogącemu, że Jego nieskończona łaska jest uzasadniona.

W każdym razie takiej wersji dziejów nauczył ją stary ojciec Nuvell. Nie wspomniano w niej o kapłanach Czerni zatrudniających władających magią zbójców, była więc przekonana, że w tej relacji brakuje również innych istotnych fragmentów.

– Chętnie usłyszę, co odkryłaś – powiedziała Raesinia. – Nawet niezwiązanego z moim... stanem. Jeśli kiedyś uda mi się być prawdziwą królową, będziesz miała moje całkowite poparcie. Zaczynając od tego, że nie będziesz musiała mieszkać w piwnicy.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość – powiedziała Feor. – Dopóki jednak istnieją kapłani Czerni, Imiona nigdy nie będą bezpieczne. Obawiam się, że przez całe życie będę się ukrywała w piwnicach.

– No to przynajmniej załatwimy ci ładniejszą – zażartowała Raesinia.

Uśmiechnęła się, a Feor odwzajemniła uśmiech. Zanim Raesinia zdążyła zadać następne pytanie, poczuła ostry ból w potylicy, jakby coś utkwilo jej pod skórą. Zobaczyła, że Feor się chwieje.

– Czy to... – zaczęła Raesinia.

– Inny naathem – przerwała jej Feor. – Bardzo blisko.

– Twój przyjaciel?

Pokręciła głową poblądła.

– Znaleźli nas.

Marcus

Marcusie,

Twoje wieści otrzymałem. Niestety za późno. Przedstawiciele M. już przybyli, sytuacja niestabilna.

R musi być bezpieczna, Wierzbowy Potok chroniony, wszystko inne drugorzędne. Sugeruję pozostać w Wierzbowym Potoku, aż znajdziecie bezpieczny sposób opuszczenia miasta i ukrycia się na wsi. R może się sprzeciwiać, ale nie ma innych dobrych rozwiązań teraz, gdy M. przestał się kryć. Podejrzenie, że PP zmiierzają do Vordanu, nie ryzykuj kontaktu z nimi.

Jeśli tu sprawy potoczą się pomyślnie, będę mógł Ci pomóc. Jeśli nie, będziesz zdany na siebie. Przesłałem do domu instrukcje na taką ewentualność: w razie mojej śmierci zabierz R do Mierantal. Tamtejsi mieszkańcy zapewnią bezpieczeństwo Wam obojgu.

Mam nadzieję wkrótce znów Cię zobaczyć. Jeśli nie, był to dla mnie zaszczyt.

J.

– To wszystko? – zapytał Marcus.

– Sprawdzaliśmy kilka razy – rzekł porucznik White, który dowodził stanowiskiem pstrykacza. Wokół nich panował rozgardiasz, gdyż jego ludzie pakowali do skrzyń książki i dokumenty. – Rozkazy dla nas przysły trochę później. Przenosimy stanowisko za miasto, do pierwszego punktu przekaznikowego w lesie za uniwersytetem. Większość naszego sprzętu już tam jest.

– Jednak to... – Marcus pokazał kartkę. – Co, do diabła, ma oznaczać „w razie mojej śmierci”? Co się tam dzieje?

– Panie pułkowniku, nie wiem – rzekł White.

Giforte położył Marcusowi dłoń na ramieniu.

– Daj chłopakowi się spakować.

– Przepraszam. – Marcus pokręcił głową. – Po prostu... nie tego się spodziewałem.

– Wszystkich nas to zaskoczyło.

– Zatem zwijacie się stąd? A co z Imionami?

– Piwnica zostaje tutaj. Jeśli nikt nie wie o tym miejscu, przeniesienie pstrykacza usunie najłatwiejszy sposób, w jaki mogliby się dowiedzieć. Oczywiście zostawimy tu straż.

– Nadal wydaje się, że bezpieczniej byłoby zabrać z miasta wszystko.

– Problemem jest transport. Wszystkie te płyty ważą tony... wywiezienie ich bez zwracania uwagi byłoby trudne.

Marcus zastanawiał się chwilę.

– Może uda się coś wykombinować z wojskowym transportem. – Udało się wywozić nim uchodźców... w czasie przeszłym. Po przewrocie Mauriska wstrzymali przerzuty. – Zobaczą, co...

– Marcusie! – doleciał go okrzyk z dołu, któremu zawtórował jakiś głos mówiący po mierantajsku.

– Nie możesz wejść na górę!

– Marcusie! – zawołała znów Raesinia. – Siedzimy w gównie po uszy!

– Czy to królowa? – zapytał Giforte, marszcząc brwi.

– Przyzwyczajasz się – rzekł Marcus, już zmierzając do drzwi. Zbiegł po spiralnych schodach i znalazł Raesinię przytrzymywaną przez dwóch ogłupiałych, lecz stanowczych mierantajskich strażników. Feor niespokojnie kręciła się przy drzwiach prowadzących do drugiej części domu.

– Co się dzieje? – spytał Marcus.

– Ktoś się zbliża. – Raesinia postukała palcem w skroń. – Tak jak tamtej nocy.

– To abh-naathem – wyjaśniła Feor. Jej szara skóra zbielała. – Niedaleko.

– Och, na jaja pierdolonej Bestii – zaklął Marcus.

– Co takiego? – spytał Giforte, schodząc w mniej ryzykownym tempie.

– Znaleźli nas – rzekł Marcus. – Może jednak szli za nami.

Giforte spojrział na dwóch Mierantajów.

– Idźcie po Goffę i Ithana. Każcie im ściągnąć wszystkich do środka i przygotować się do obrony budynku. Natychmiast!

– Tak jest!

Obaj puścili Raesinię, zasalutowali i pobiegli. Giforte przyłożył dłonie do ust i zawołał do porucznika na wieży.

– White! Ewakuujemy was natychmiast! Bierz swój sprzęt i ruszaj. My spalimy resztę!

Hałasy w pokoju na wieży przybrały na sile. Feor, która zeszła z drogi biegnącym strażnikom, znów wysunęła się naprzód.

– Musimy bronić Imion – powiedziała. – Jeśli wpadną w ręce abh-naathem...

– Zrobimy, co w naszej mocy – obiecał Giforte. – Wszystko zależy od tego, ilu mają ludzi. Jeśli nie wiedzą, co tu mamy, może trochę potrwać, zanim zbiorą większy oddział, i zdążymy wszystko stąd zabrać. W przeciwnym razie...

– Nie możemy ich zostawić!

– Możemy nie mieć wyjścia, chyba że potrafisz unieść tonę stali na plecach. Jak powiedziałem, zrobimy, co w naszej mocy. – Giforte się zastanowił. – Czy wiesz może, co ten... abh-naathem potrafi?

Feor potrząsnęła głową, bliska łez.

– Nie wiem.

– Czy ty lub twoi uczniowie możecie coś zrobić?

– Nie – powiedziała cicho Feor. – Moja moc... nie. Może Auriana, ale byłoby to dla niej bardzo niebezpieczne...

– Bardziej czy mniej niebezpieczne od kuli z muszkietu? – Giforte pokręcił głową i złagodniał. – Przepraszam. Proszę, zrób, co możesz.

– Marcusie. – Raesinia skinęła na niego i powiedziała cicho: – Jeśli to nie Gwardia Patriotyczna i nie sam Przekłęty Penitent, to mogę spróbować z nimi porozmawiać. Może nie będą strzelać do królowej.

– Zakładając, że uwierzą, iż jesteś królową – zauważył Marcus, pokazując jej niezbyt królewski strój. – W każdym razie jestem pewny, że zechcą cię zawlec do hotelu Ancerre. Spróbuj, jeśli nie będzie już innego wyjścia, ale...

– A jeśli jest tam ta kobieta z magazynu?

Marcus spojrział na Mierantajów nadbiegających ze śmiertcionośnymi długimi karabinami.

– Wtedy przekonamy się, ile kul da radę zatrzymać jednocześnie.

W chaosie biegających i pokrzykujących mężczyzn pozycja Marcusa była nieco niejasna. Teoretycznie był najwyższym stopniem oficerem, tak więc powinien tu dowodzić. Był jednak dostatecznie rozsądny, żeby wiedzieć, że Giforte i jego podwładni najwyraźniej od długiego czasu przygotowywali się na taką ewentualność, podczas gdy on nie zna ich planów ani nawet rozkładu budynku. Każdy wydany przez niego rozkaz tylko zwiększyłby zamieszanie i spowolnił działania. Zamiast przeszkadzać, zajął się Raesinią, prowadząc ją do okna na piętrze, z dobrym widokiem na trawnik od frontu. Feor znów znikła w piwnicy.

Chaotyczne poczynania mierantajskiego garnizonu były przynajmniej częściowo złudzeniem. Ze względów bezpieczeństwa strzelcy nie nosili czerwonych mundurów, tylko różne cywilne stroje: ogrodników, służących, robotników, a wielu z nich – widocznie odpoczywali po nocnej zmianie – miało na sobie tylko długie lniane koszule nocne. To jednak w niczym nie zmniejszało szybkości, z jaką rozstawili się przy oknach, zabarykadowali drzwi meblami i rozdzielili skrzynki z amunicją. W rezultacie dom wyglądał jak wiejska rezydencja oblegana przez bandytów, w której służba i wyrwani ze snu goście chwycili za broń, żeby z nieco zaskakującą wprawą stawić opór.

Giforte był w głównej sali na dole, niewidoczny z miejsca, w którym znajdował się Marcus, ale dobrze słyszalny, gdyż wydawał rozkazy. Nie stracił werwy, która przez tyle lat zapewniała mu stanowisko dowódcy Straży.

– Ruch przy ogrodzeniu na tyłach! – zameldował jeden z Mierantajów. – Nie widać ilu. Na pewno z muszkietami.

– Kolejni po lewej!

– I po prawej!

– Gwardia Patriotyczna zbliża się podjazdem! – zameldował inny.

Marcus spojrział za okno. Na końcu podjazdu stał duży czteroosobowy powóz i co najmniej tuzin ludzi czekało przy nim, gdy czteroosobowa grupa szła w kierunku domu. Wszyscy nosili szarfy Gwardii Patriotycznej, a jeden miał naramienniki oficera.

Marcus pomyślał, że z zewnątrz dom zapewne wygląda na opuszczony. Strzelcy pozaciągali większość zasłon, pozostawiając zaledwie szparki, a wóz, którym przyjechali zbiegowie, stał pusty przy bocznych drzwiach. Oficer Gwardii Patriotycznej zatrzymał swoich ludzi, podnosząc rękę, po czym sam podszedł do drzwi i uderzył kołatką.

– Otwierać! – zawołał głosem zdradzającym lekki przestach. – W imieniu Dyrektoriatu Obrony Narodowej!

– Czego chce tu Dyrektoriat? – odpowiedział stłumiony głos.

To Giforte, pomyślał Marcus.

– Mamy informacje sugerujące, że na terenie posiadłości znajduje się kontrabanda. Musimy przeszukać dom. Współpracujcie, to nikomu nie stanie się krzywda.

– To nie będzie możliwe. Mój pan nie pozwolił mi nikogo wpuszczać.

– Nic mnie nie obchodzi, co ci kazał twój pan. Otwieraj drzwi albo pošlemy cię na Kolec!

– Proponuję, żebyście natychmiast opuścili teren. Każ swoim ludziom się wycofać.

Oficer obrócił się i pomaszerował z powrotem do swoich trzech gwardzistów.

– Rozbić drzwi!

Żołnierze wyraźnie nieświadomi, jak wiele wycelowano w nich karabinów, ruszyli do frontowych drzwi. Mieli ciężkie topory, w których Marcus po krótkim czasie dowodzenia Strażą rozpoznał oręż zaprojektowany specjalnie do takich celów. Kilka dobrze wymierzonych uderzeń rozbiłoby nawet najbardziej odporne odrzwia, lecz wątpił, czy niosący je zdążą się choćby zamachnąć. Przykro było patrzeć, jak ktoś, nawet wróg – jak zostali naszymi wrogami? – idzie na pewną śmierć. Zawróćcie, głupie dranie!

Gwardziści unieśli topory, a oficer patrzył na to z odległości kilku metrów.

– Teraz! – zawołał Giforte. – Ognia!

W całym domu rozległ się trzask tłuczonego szkła, gdy jeden Mierantaj z każdej pary stojących przy oknach rąbnął kolbą w szybę. Jego towarzysz natychmiast wystawił lufę przez szparę w zasłonach, wycelowował i strzelił. Staccato wystrzałów odbiło się dziwnym echem w pokojach Wierzbowego Potoku.

Trzej przy drzwiach, którzy na dźwięk tłuczonego szkła opuścili topory, padli natychmiast. Głowa stojącego za nimi oficera gwałtownie odskoczyła do tyłu w rozbryzgu krwi i mózgu. Bezwiednie cofnął się o krok i runął bezwładnie na żwir podjazdu. Inne kule odłupały drzazgi z powozu i co najmniej jedna trafiła konia, który stanął dęba i zaczął rozpaczliwie szarpać się w uprzęży. Krzyki po bokach i z tyłu domu wskazywały na to, że tam salwa też wyrządziła szkody.

– Ognia! Ognia! – wrzasnął ktoś na zewnątrz, gdy ucichły karabinowe strzały.

Gwardziści usłuchali rozkazu, wyciągając muszkiety zza wozów i strzelając w kierunku domu. Kule stukały i dudniły o fasadę, jak grad padający na wyschnięty muł. Gdy ładowali, z każdego okna wychylił się drugi Mierantaj z pary i wystrzelił. Marcus zobaczył, jak kilku gwardzistów przy wozie zatacza się i pada na bruk. Dym unosił się z większości okien domu i wokół otaczających go żywopłotów.

Była to zdecydowanie nierówna walka. Marcus nie wiedział, ilu jest gwardzistów, ale wątpił, by było ich tam ze stu, rozstawionych wzdłuż wszystkich czterech ścian domu. Giforte miał prawie tyle samo Mierantajów, którzy zajmowali znacznie lepsze pozycje. Co więcej, teren wokół domu nie dawał żadnej osłony – zważywszy na to, jak długo przebywali tu Mierantajowie, Marcus wątpił, żeby to był przypadek – tak więc gwardziści strzelali z granic posesji, czyli z odległości dwudziestu pięciu lub trzydziestu metrów od domu. Z tej odległości i gładkolufowe muszkiety znacznie ustępowały długim mierantajskim karabinom; te, choć były mniej poręczne i trudne do załadowania, to znacznie celniejsze, co Mierantajowie udowodniali ze śmiertcionołą skutecznością.

– Nie widzę tej staruchy – powiedziała Raesinia.

– Ani Ionkovo. – Nagle, za późno, coś przyszło Marcusowi do głowy. – Do diabła, on może być już w środku. Umie stać się niewidzialny i przejść przez ściany albo coś takiego. Muszę ostrzec Giforte’a.

Raesinia skinęła głową i oboje odeszli od okna, żeby pospieszyć do głównych schodów. Feor właśnie wylaniała się z piwnicy, prowadząc za sobą uczniów: Aurianę, siwowłosą i kulejącą, oraz młodzieńca, którego nazywała Justinem.

– Giforte! – zawołał Marcus. – Właśnie coś mi przyszło do głowy. Pamiętasz Ionkovo?

Kiedy kapitan skinął głową, Marcus powiedział mu o swoim ponownym spotkaniu z Przeklętym Penitentem.

– Posłałbym paru ludzi, żeby uważali na takie niespodzianki – zakończył Marcus.

– Dobry plan – przytaknął Giforte. Spojrzał na Feor i Raesinię, po czym odciągnął Marcusa na bok. – Będziemy musieli spróbować się przebić – rzekł cicho.

Marcus się skrzywił.

– Na razie ich powstrzymujecie.

– Jest ich zbyt wielu, żebyśmy zdołali zlikwidować wszystkich. I można się założyć, że posłali już gońca po pomoc. Ten dom to nie twierdza... jeśli sprowadzą tu jakieś działo, to zwałą go nam na głowy.

Marcus wyobraził sobie kule armatnie przebijające ściany z otynkowanych desek i skinął głową.

– Co z Imionami?

– Nie sądzę, żebyśmy mieli inne wyjście, jak zostawić je tu. – Giforte potrząsnął głową. – Zna pan tę sprawę lepiej niż ja i zna pan Janusa. Czy te khandarskie starocie są aż tak ważne?

– Tak sądzę – odparł w zadumie Marcus. – Jednak nie będziemy mogli ich zabrać i ma pan rację, nie możemy tu zostać. Myślę, że może powinniśmy tu po nie wrócić.

– To wydaje się bardziej prawdopodobne. – Giforte się rozchmurzył. – Możemy mieć to miejsce na oku i napaść na gwardzistów, jeśli spróbują je wywieźć.

– Którędy się przebijamy?

– Na tyły domu. W ogrodzie jest ścieżka prowadząca do Fusów. Powinniśmy szybko ich zgubić.

– Ja zostanę z królową – rzekł Marcus. – Pańscy ludzie zajmą się obsługą pstrykacza.

– Dobrze. – Giforte zaczerpnął tchu. – Dam panu znać, kiedy będziemy gotowi.

Raesinia rozmawiała po cichu z Feor. Trochę ponieważ Marcus uświadomił sobie, że walka i strzelanina, do której on od dawna przywykł, dla niej była czymś nowym, pomimo jej konspiracyjnej działalności. Popatrzył na jej twarz i nie dostrzegł na niej śladu lęku. Może będąc nieśmiertelną, łatwiej się do tego przyzwyczaić.

– Nie możemy tak po prostu ich zostawić – protestowała Feor. – Nie wiecie, co poświęcono, żeby przywieźć tu to archiwum.

– Nie możemy żądać od Giforte’a i jego ludzi, żeby zginęli na próżno – zareplikowała Raesinia. – Musimy...

Marcus był ciekaw, czy Raesinia doszła do takich samych wniosków co on i Giforte, ale przerwały jej krzyki od frontu. Palba z karabinów nagle przybrała na sile, po czym rozległy się krzyki i trzask łamanego drewna.

Główna sala, w której stali, przylegała do patio, za którym znajdowały się drzwi frontowe.

Marcus zobaczył, jak wyginają się do środka, a ich grube drewno trzeszczy i gnie się w metalowej futrynie jak uderzone taranem. Albo kulą armatnią. Przez moment myślał, że Gwardia Patriotyczna już ściągnęła działą, ale nie było słyhać wystrzału...

Kolejne uderzenie rozbiło drzwi, rozsypując w holu kawałki drewna i metalowe okucia. Otworzyły się i w chmurze prochowego dymu pojawiła się jakaś ogromna postać. Czterej Mierantajowie, którzy odeszli od okien i wycelowali karabiny, strzelili jednocześnie; z tak niewielkiej odległości nie mogli chybić, lecz olbrzym nawet nie przystanął. W dwóch susach pokonał odległość dzielącą go od żołnierzy, złapał karabin najbliższego, wyrwał mu go i jak pałką uderzył stojącego obok. Siła uderzenie złamała karabin i odrzuciła żołnierza w głąb sali.

Olbrzymi mężczyzna był ubrany na czarno. Dym spowijał go, unosząc się jak para. Gdy obrócił się, by spojrzeć na Marcusa i jego towarzyszki, zobaczyli, że jego twarz skrywa czarna maska pokryta błyszczącymi kawałeczkami czarnego szkła.

– Abh-naathem – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem Feor.

– Giforte! – ryknął Marcus. – Przebijajcie się!

Giforte wykrzyknął rozkaz Mierantajom. Na schodach pojawili się następni żołnierze i padły kolejne strzały. Marcus widział, jak kule trafiają, wzbijając obłoczki kurzu i porwanej odzieży, ale na olbrzymie robiły nie większe wrażenie niż ukąszenia pcheł. Jedną ręką złapał następnego żołnierza i ścisnął, aż chrzęst łamanych kości dał się słyszeć nawet przez huk wystrzałów, po czym odrzucił na bok wijącą się w agonii ofiarę. Gdy pozostali pospiesznie uskoczyli mu z drogi, skupił wzrok na Raesinii i szkiełka na jego masce poruszyły się, jakby się pod nią uśmiechał. Podłoga zatrzęsa się, gdy ruszył naprzód.

– Pani! – zawołała Auriana, stając pomiędzy demonem a Feor. – Uciekaj!

– Nie! – powiedziała Feor ochrypłym z rozpaczy głosem.

Justin, jej drugi uczeń, złapał ją za ramię i odciągnął z powrotem do kuchni, a Marcus i Raesinia poszli za jego przykładem.

Auriana uniosła rękę i olbrzym nagle przystanął. Pochylił się do przodu i zrobił następny krok, z wysiłkiem, jakby zmagając się z huraganowym wiatrem. Jego druga noga, szukająca oparcia, z chrzęstem przebiła deski podłogi.

– Nie – jęknęła Feor, oglądając się przez ramię.

– Czy ona zdoła go zatrzymać? – zapytał Marcus.

– Nie jest dość silna...

Auriana popatrzyła na nich. Twarz miała zalaną krwią, która sączyła się jej z nosa i kącików oczu.

– Pani, uciekaj! – wybełkotała chrapliwie.

– Marcus! – krzyknął Giforte. – Chodź tu!

Za domem wybuchła strzelanina. Giforte zebrał dwa tuziny Mierantajów, którzy zaatakowali cienki kordon gwardzistów kryjących się za żywopłotem. Gwardziści trafili paru, ale podali tyły, zanim przeciwnicy ich dopadli. Porucznik White oraz kilka osób z jego personelu pstrykacza, niosąc na placach sakwy ze sprzętem, pędzili za Mierantajami.

Marcus jedną ręką złapał za ramię Raesinię, a drugą Feor i pobiegł; Justin trzymał się blisko nich. Za nimi podążyla mierantajska tylna straż, gdy z piętra domu wciąż padały strzały trzymające w szachu gwardzistów. Przerażliwy krzyk przedarł się przez bitewny zgiełk i Marcus zrozumiał, że Potworny Penitent przełamał rozpaczliwą obronę Auriany.

Przed sobą zobaczył Giforte'a, który stał już za furtką w żywopłocie i gorączkowo machał ręką. Marcus z dwiema podopiecznymi właśnie tam dobiegał, gdy kuchenne drzwi domu eksplodowały i kawałki desek poleciały na dziedziniec, gdy olbrzym rozbił je uderzeniem barku.

– Uciekajcie! – wrzasnął Marcus.

Tylna straż już się odwracała, mierząc z karabinów z nasadzonymi bagnetami. Huknęła salwa i kule podziurawiły resztki drzwi, raz po raz trafiając potwora. Jego wielka głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu i Marcus dostrzegł zwisający strzęp czarnej maski oderwany przez kulę oraz smugę czerwieni w tej dziurze.

Pobiegł za Giforte'em i jego zespołem pstrykacza. Tak jak powiedział kapitan, furtka w żywopłocie prowadziła na uliczkę wijącą się między tylnymi ścianami domów i żywopłotami innych posiadłości. Krzyki z tyłu wskazywały, że Penitent ich ściga.

– Giforte! – krzyknął Marcus. Kapitan zwolnił nieco, pozwalając się dogonić. Ciężko dyszał. – Odciągniemy go przez jeden z tamtych dziedzińców. Wy uciekajcie!

– Ale...

– White i pozostali nie zdołają mu uciec! – Zespół pstrykacza wyraźnie słaniał się pod ciężarem sprzętu. – On chce dopaść Raesinię. Odciągniemy go i spróbujemy zgubić. Wy musicie zawiadomić Janusa.

Giforte zastanawiał się tylko chwilę, po czym skinął głową.

– Życzę szczęścia!

Będzie nam potrzebne. Marcus przystanął, a Raesinia zatrzymała się przy nim. Feor oraz podążający za nią jak latawiec Justin też stanęli.

– Zrozumiałaś? – zapytał królową Marcus.

– Większość. – Nawet się nie zasapała. – To dobry plan.

– Wy dwoje powinniście pójść z Giforte'em... – zaczął Marcus, zwracając się do Feor.

W tym momencie Penitent przedarł się przez żywopłot i popędził ku nim długimi susami. Za późno. Raesinia pomachała mu wesoło i wpadła w najbliższą otwartą bramę, na wypielegnowany teren jakiejś starej posiadłości. Marcus, Feor i Justin pobiegli za nią.

– Nigdy mu nie uciekniemy – rzekł Marcus. Głowa olbrzyma była widoczna nad żywopłotem i zbliżała się niepokojąco szybko. – Jeśli wy z Feor ukryjecie się, a ja pobiegnę dalej...

– Co ci mówiłam? – rzekła dobitnie Raesinia, odwracając się i stając tak, żeby potwór ją zobaczył. – Ja go odciągnę, a wy się ukryjecie.

– Ale...

– Przecież nie mogę, kurwa, umrzeć, Marcusie.

– Ale mogą cię wsadzić do beczki i wysłać do Elizjum – odparł Marcus. – Nie mogę na to pozwolić.

Raesinia spojrzała na niego, a potem na Feor, zaciskając zęby.

– Ja...

Olbrzym wyrwał z zawiasów furtkę w żywopłocie i przeszedł przez nią bokiem, żeby zmieścić się między blisko posadzonymi krzewami. Trafiło go tyle kul, że jego czarny strój był w strzępach i krew kapiała mu z palców. Marcus nie wiedział, czy to krew tego stwora, czy jego ofiar.

Nie mogę jej zostawić. Do tego wszystko się sprowadzało. Ona jest królową, a ja

żołnierzem. I...

Wyjął szablę i stanął przed Raesinią.

– On krwawi – powiedział. – To oznacza, że można go zabić.

– Marcus!

Przeklęty Penitent kiwnął głową, jakby przyjmując wyzwanie, i rzucił się naprzód. Marcus podniósł szablę, zamierzając uskoczyć w bok. Nie spodziewał się, że przeżyje to starcie, ale nie zamierzał tanio sprzedać swojej skóry.

Raesinia...

Przez wypielegnowany ogród ze świstem przeleciał wiatr, nagły i gorący. Miał znany Marcusowi zapach, który w mgnieniu oka przeniósł go tysiące mil dalej. To był suchy zapach piasku spieczonej słońcem Wielkiej Desol, woń wschodniego wiatru w Ashe-Katarionie, nawiewającego piach i kurz pustyni na ulice miasta. I choć to niemożliwe, ten piasek był teraz w powietrzu, smagając twarz Marcusa i szarpiąc mu brodę. Na moment zamknął oczy, chroniąc je przed tym wirem, i cofnął się o krok.

Kiedy znów je otworzył, olbrzym stał otoczony chmurą wirującego piasku, gęstniejącą z każdą chwilą. Okrążała go falami, niczym trąba powietrzna, która pojawiła się znikąd, aby spowić Penitenta wirem pyłu. Olbrzym machał rękami, usiłując przedrzeć się przez tę chmurę, lecz jego ciosy napotykały tylko pustkę. A ilekroć próbował zrobić krok, piasek gęstniał, napierając nań i odpychając go w tył.

– Nie mogę zatrzymać go długo.

Głos powiedział to po khandarsku i Marcus pomyślał, że brzmi niemal znajomo, jakby należał do kogoś, kogo znał w innym życiu. Odwrócił się plecami do olbrzyma i zastygł.

– Ty nie żyjesz – zdołał wykrztusić. – Nawet nie istniejesz.

Stojący przed nim mężczyzna, otoczony mniejszym wirem piasku, nosił tradycyjny luźny brązowy strój desoltajskich nomadów, czarne rękawiczki skrywały jego dłonie, a czarny kaptur włosy. Twarz miał zasłoniętą żelazną maską z prostokątnymi otworami na oczy i usta, ale zupełnie gładką.

– Malik-dan-Belial – powiedziała Feor, jakby z nabożnym podziwem. Stalowy Duch.

Marcus znał go. A raczej znał tę maskę, bo też w zasadzie tylko ją można było znać. Stalowy Duch był sztuczką, złudzeniem, duchem wymyślonym przez pustynne plemiona, które stworzyły maskę i strój, aby przestraszyć najeźdźców. W końcu jego legendarna magia okazała się zaledwie sprytnym sposobem przekazywania wiadomości na odległość za pomocą błysków, „języka światła”, który Janus wykorzystał do stworzenia swojego pstrykacza.

Jednak wirujący teraz wokół niego piasek nie był złudzeniem, tak jak silny wiatr, który unieruchomił ogromnego Penitenta.

– Robiłem, co mogłem, żeby powstrzymać kapłanów Cienia – rzekł Stalowy Duch. – Teraz jednak w mieście jest zbyt wielu abh-naathem. Musisz ich powstrzymać, d'Ivoire. – Żelazna maska obróciła się do Raesinii. – Chroń królową. Odzyskaj Tysiąc Imion. Pomogę, jeśli będę mógł, ale moja moc... – Olbrzym rzucił się na ścianę piasku i Stalowy Duch drgnął. – Moja moc ma granice.

– Kim jesteś? – zapytał Marcus. – Nie jesteś... ja nie...

– Mamy wspólnego wroga, ale nie jesteśmy sojusznikami. Ambicje abh-naathem nie mają granic i trzeba ich powstrzymać, zanim zniweczą dzieło tysiąca lat i ściągną zgubę na nas

wszystkich. Tylko tyle musisz wiedzieć.

– Marcusie? – pytała Raesinia. – Co on mówi? Marcusie!

– Idźcie już – mruknął Duch. – Ja zatrzymam go tak długo, jak zdołam.

– Mówi, że powinniśmy uciekać – powiedział po vordanajsku Marcus.

Złapał Feor i Raesinię i pociągnął za sobą, aż po kilku krokach zrozumiwały, w czym rzecz. Justin, wytrzeszczając oczy, trzymał drugą rękę Feor.

– Ale... – zaczęła Raesinia.

– Później!

Marcus poprowadził ich za dom. Przed nimi były Fusy, zatłoczone nawet w czasie wojny. Byli tam też jednak gwardziści, patrolujący ulicę małymi grupkami. Widocznie już się rozeszła wieść o ich ucieczce.

– I co teraz? – spytała Raesinia.

– Wrócimy do pani Feldy – odpowiedział Marcus, obserwując gwardzistów. – Jeśli zdołamy.

– A co z Giforte'em? – zapytała Feor.

Marcus obejrzał się przez ramię. Odciągnęli od nich Przekłętą Penitentę, ale w mieście wciąż roило się od gwardzistów. Mógł się dowiedzieć, czy Giforte i jego ludzie dotarli do swojej kryjówki, tylko idąc tam, a to mogło zwrócić czyjąś uwagę.

– Będzie musiał sam sobie radzić – odparł Marcus. – Teraz potrzebna nam naprawdę dobra kryjówka.

Dziewiętnaście

Winter

Truchę to trwało, ale zdołali zasugerować generałowi de Ferre, że – zgodnie z powszechnie przyjętymi zasadami cywilizowanej sztuki wojennej – uprzejmość wymaga, aby dać Hamveltajczykowi szansę ogłoszenia kapitulacji przed rozpoczęciem szturmów. Generał niechętnie na to przystał, ale uparł się, żeby w czasie, gdy ultimatum zostanie dostarczone do fortecy i będą czekali na odpowiedź, formować szereg bojowy.

Winter obawiała się, że generał może chcieć sam napisać ten list, ale okazało się, że de Ferre nie zna hamveltajskiego, tak więc to zadanie powierzono Fitzowi Warusowi. List zatem potwierdzał bajeczkę, z jaką w nocy wysłano do twierdzy Anne-Marie, mówiącą, że – wbrew wszelkim powszechnie przyjętym zasadom cywilizowanej sztuki wojennej – twierdza ma godzinę na kapitulację i jeśli się nie podda, nie tylko zostanie zdobyta, ale nie będzie pardonu dla jeńców ani nawet cywilów.

Co do samej Anne-Marie, to od poprzedniego wieczoru nie dała znaku życia. Winter nie miała pojęcia, czy przyjęto ją jako gościa, uwięziono, czy może nawet zatknięto jej głowę na pice. Ta niewiedza dręczyła ją, gdy zgodnie z rozkazem de Ferre'a ustawiała królewskich i Pierwszy Dziewczęcy w dwie zwarte kolumny naprzeciw południowo-wschodniej części fortecy.

To, że szturm byłby katastrofą, było oczywiste nawet dla Winter, która nie studiowała sztuki oblężniczej. Chociaż nie tak przytłaczające jak wysokie mury średniowiecznego zamku, fortyfikacje Antovy były imponujące. Zamiast solidnych murów z kamienia były tu liczne linie obrony. Najpierw niewielki nasyp spowalniający nadlatujące kule armatnie, potem rów z wałem ziemnym zwieńczonym drewnianymi barykadami i usianym szczelinami strzelniczymi. Następnie ciągnął się wąski pas, a dalej jeszcze głębszy rów i wyższy wał ziemny wznoszący się do samego przedpiersia ceglano-kamienianego krenelażu z rzędem ustawionych na nim dział.

Aby dotrzeć na samą górę, żołnierze Winter musieliby biegiem pokonać otwarty teren, pokonać rów i wdrapać się na wał. Przeszedłszy przezeń, znów znaleźliby się na otwartej przestrzeni, wystawieni na morderczy ostrzał z niewielkiej odległości i mając przed sobą jeszcze wyższy wał do pokonania. Sytuację pogarszał jeszcze gwiaździsty kształt budowli, dzięki któremu każdy bok fortu znajdował się w zasięgu strzału z sąsiedniego ramienia, tak więc atakujący byliby ostrzeliwani od przodu i od tyłu.

De Ferre był przekonany, że ludzie di Pfalena są zdemoralizowani ostatnimi klęskami, w co Winter nie wątpiła. Nie trzeba jednak wysokiego morale, żeby stać za wałem ziemnym i strzelać do bezsilnych nieprzyjaciół. Nawet de Ferre powinien rozumieć, że to będzie masakra. Lecz generał, nawet jeśli to zrozumiał teraz, kiedy miał czas obejrzeć arcydzieło Dreiroede'a, nie zamierzał przyznać się do popełnionego błędu. Upływały minuty tej godziny, jaką łaskawie wyznaczył Hamveltajczykowi, i chwila szturmów zbliżała się nieubłaganie.

Stojąca przed kolumną Winter spoglądała na szeregi królewskich i Pierwszego Dziewczęcego. Trochę zapełniły się od bitwy, zasilone wracającymi do zdrowia i maruderami

odnalezionymi lub przywiezionymi na wozach. Stojący w pierwszym szeregu żołnierze spoglądali na fortyfikacje i niewątpliwie przeprowadzali w myślach takie same kalkulacje jak Winter.

Czy pójdą do ataku, kiedy im każe? Była prawie pewna, że tak. Dlaczego? Przecież to idiotyzm – każdy wiedział, że to idiotyzm. Jedni pójdą z obawy przed karą, inni, nie chcąc wyjść na tchórzy przed towarzyszami broni. Większość jednak pójdzie, ponieważ myślą, że wiem, co robię. Wierzą, że jeśli wydaję rozkaz, nie każe im iść na pewną śmierć.

I taka właśnie wiara – w nią, ale przede wszystkim w umiejętności Janusa – trzymała w ryzach armię Wschód. Która teraz miała zostać nieodwracalnie zniszczona i tysiące ludzkich istnień przekreślone przez dumę nadętego szlachcica. Janus ma rację. To będzie koniec kampanii. Nie chodziło tylko o straty w ludziach. Jeśli dojdzie do tego szturmu to nawet jeśli zdobędziemy twierdzę, ta armia już nigdy nie będzie walczyć. Nie pod de Ferre'em.

– Panie pułkowniku – powiedziała Cyte. Minęło czterdzieści minut. – Jeśli nie otrzymamy odpowiedzi, ruszymy?

– Mamy rozkazy.

– Wielu oficerów oddziałów ochotniczych mówiło o odmowie ich wykonania.

– Pójdą – stwierdziła ponuro Winter. – Nikt nie chce być tym jedynym nieposłusznym. Dadzą się wieść, aż ten wóz pogubi koła, a wtedy będzie za późno.

– Zatem my powinniśmy sprzeciwić się pierwsi – powiedziała Cyte, cicho i ponagłajaco. – To samobójstwo. Pięćset metrów do muru, pod ostrzałem ciężkiej artylerii. Połowa żołnierzy nie dotrze nawet do pierwszego rowu!

– Wiem. – Winter mocno przygryzła wargę, aż do krwi. – Jednak jeśli odmówimy pierwsi, Bóg wie, co robi de Ferre. Będzie miał prawo rozstrzelać wszystkich oficerów.

A ją pierwszą, oczywiście.

– Lepiej jak zginie kilkudziesięciu z nas niż tysiąc żołnierzy – rzekła lekko drżącym głosem Cyte. – Nie możesz tego zrobić.

Winter instynktownie rozejrzała się za Jane. Jednak Jane była z Pierwszym Dziewczęcym, obok Abby. Nie tam powinna być – jako oficer sztabowy miała stać u jej boku – lecz Winter nie mogła się zmusić, żeby udzielić jej reprimendy. A poza tym wiem, co by powiedziała. Powinniśmy odmaszerować z całym pułkiem w przeciwną stronę i nawet się nie obejrzeć.

– Panie pułkowniku! – Bobby biegła wzdłuż szeregu, machając rękoma.

Przez jedną okropną chwilę Winter myślała, że źle wyliczyła czas i to jest rozkaz do ataku. Zostawiła Bobby z Fitzem i kolonialnymi tam, gdzie de Ferre miał swój punkt dowodzenia, żeby dziewczyna mogła przynieść najnowsze wiadomości.

– Co jest? – zapytała Winter, bezskutecznie starając się ukryć niepokój.

– Flaga na murach, panie pułkowniku. Forteca chce paktować.

Winter słyszała, jak ta wieść rozchodzi się po szeregach, gdy najbliżej stojący usłyszeli ją i przekazali towarzyszom. Rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi i prawie dwa tysiące mężczyzn i kobiet odprężyło się jednocześnie. Jeśli mają umrzeć, to jeszcze nie teraz.

– Sevrans! – powiedziała. – Daj Bobby dwudziestu ludzi i przejmij dowodzenie, dopóki nie wrócimy. Bobby, za mną. Muszę to zobaczyć.

– Tak jest, panie pułkowniku!

Winter dołączyła do grupy udającej się na rokowania, po prostu pojawiając się i proponując

generałowi eskortę. Fitz, który szedł tam jako tłumacz, nie zgłosił sprzeciwu i chociaż na widok Winter de Ferre zrobił kwaśną minę, nie trudził się odsyłaniem jej. Bobby ustawiła dwudziestu królewskich w dwóch szeregach, po obu stronach grupy oficerów, i wszyscy odeszli od czekających w szyku kolonialnych. Główna brama Antovy znajdowała się wprost przed nimi i droga przechodząca po dwóch mostach saperskich nad rowami prowadziła do kamiennej wartowni z grubymi, okutymi żelazem wrotami. Na murze powiewała biała flaga i po chwili brama majestatycznie otworzyła się do środka, ukazując grupę hamveltajskich oficerów w galowych mundurach oraz stojących za nimi kilkunastu żołnierzy w żółtych kubrakach i czakach.

Obie grupy spotkały się w połowie drogi między vordanajskimi stanowiskami a murami fortecy, w zasięgu armat jednej i drugiej strony. Winter nie знаła się na hamveltajskich insygniach, lecz sądząc po ilości złotych szamerunków i medali na piersi, stojącym na czele mężczyzn był di Pfalen we własnej osobie. Prawą rękę miał na temblaku, a twarz ściągniętą i opuchniętą z bólu oraz niewyspania. Poruszał się z widocznym trudem, a teraz spojrzał na Vordanajów i przemówił po hamveltajsku. Winter mniej więcej go rozumiała, lecz de Ferre najwyraźniej ani trochę.

– Który z was to Vhalnich? – spytał di Pfalen.

Fitz wystąpił naprzód, skłonił się i zapytał po vordanajsku:

– Czy ktoś z was mówi po vordanajsku?

Hamveltajscy oficerowie odpowiedzieli przeczącymi pomrukami. Fitz kiwnął głową i gładko przeszedł na hamveltajski.

– Zatem będę tłumaczył słowa generała. Czy wyrażacie zgodę?

Di Pfalen potwierdził.

– A więc to jest Vhalnich?

– Chce rozmawiać z generałem Vhalnichem – powiedział Fitz do de Ferre’a.

– Powiedz mu, że Vhalnich już tu nie dowodzi. Teraz musi paktować ze mną – rzekł de Ferre.

– Generał de Ferre zastąpił generała Vhalnicha na stanowisku dowódcy armii Wschód – posłusznie powtórzył Fitz.

Znów pomruki. Serce Winter zaczęło mocniej bić, gdy usłyszała, jak jeden z oficerów mówi: „Zatem to prawda!”. Musieli otrzymać naszą wiadomość.

– Warunki przedstawione w pańskim liście – powiedział di Pfalen – są sprzeczne z wszelkimi zasadami cywilizowanej sztuki wojennej. Muszę stanowczo zaprotestować.

– Nie jest zadowolony z tego, że prosimy, żeby się poddali – rzekł Fitz do de Ferre’a.

– Nie ma być zadowolony. Powiedz mu, że chcę to jak najszybciej zakończyć, w taki lub inny sposób – rozkazał de Ferre.

Fitz znów zwrócił się do Hamveltajczyka.

– Generał mówi, że wie, co napisał. Domaga się waszej natychmiastowej kapitulacji, w przeciwnym razie natychmiast rozpocznie szturm.

Di Pfalen poruszył węsami.

– Blefujecie. Straciecie tysiące, zanim dotrzecie choćby do umocnień.

– On myśli, że nie mówi pan poważnie – powiedział Fitz do de Ferre’a.

– Nie mówię poważnie, tak? – De Ferre zrobił krok naprzód i pomachał palcem pod nosem

di Pfalenowi. – Powiedz mu, żeby zrobił w tył zwrot i schował się w swoim zameczku, jeśli chce się przekonać, czy mówię poważnie. I jeśli znów mnie obrazi, to go zdzieję, nie zważając na białą flagę.

– Generał mówi – przetłumaczył Fitz wytrzeszczającemu oczy di Pfalenowi – że straty w ludziach nic go nie obchodzą. Nasze czy wasze. Mówi, że jest gotowy od razu rozpocząć bitwę. – Fitz przełknął ślinę i doskonale udał przerażenie. – Sugeruję, żeby pan tego nie sprawdzał. Jest bardzo porywczy.

Di Pfalen odwrócił się i zaczął coś mówić do oficerów, cicho i pospiesznie. Winter usłyszała kilka słów: „Szaleniec! Ten człowiek musi być szalony!” oraz „On nie blefuje. Słyszeliśmy nadchodzące posiłki”.

– No? Co się dzieje? – spytał de Ferre.

– Myślę, że zbił ich pan z tropu – odparł Fitz. – Rozważają pańską propozycję.

W końcu lekko pobladły di Pfalen ponownie odwrócił się do Vordanajów.

– Jeśli się poddamy – powiedział – żądamy gwarancji bezpieczeństwa dla wszystkich żołnierzy, a także prywatnej własności oficerów.

– Zgoda – rzekł Fitz. – Wasi ludzie oddadzą broń i całe wyposażenie twierdzy w nienaruszonym stanie oraz dadzą słowo, że przez rok nie będą walczyć z Vordanajami. Wszyscy, którzy się na to zgodzą, będą mogli natychmiast odejść, z prowiantem i swoim dobytkiem.

– Co jest? – pytał de Ferre.

– Zgoda – rzekł di Pfalen ze zboląłą miną. – Jednak powinniście wiedzieć, że gdy tylko wrócę do kraju, zamierzam zdać relację o waszych poczynaniach. Świat dowie się o waszych niechlubnych czynach.

– Czy on znów mnie obraża? – De Ferre zacisnął pięść. – Powiedz mu, żeby stanął, jeśli jest mężczyzną!

– Generał przyjmuje waszą kapitulację, a jeśli jesteście niezadowoleni z warunków, dołącza zaproszenie do pojedynku, z bronią czy bez, jak pan woli – zřęcznie przetłumaczył to Fitz.

– Szaleniec! – mruknął jeden z hamveltajskich oficerów. – Cholerny wścikły pies!

Di Pfalen skłonił się lekko, oficjalnie, po czym zrobił w tył zwrot. Pozostali Hamveltajczycy ruszyli za nim, zostawiając kompletnie zaskoczonego de Ferre’a.

– Warus? Co się stało?

– Poddali się, panie generale – powiedział Fitz. – Twierdza jest nasza.

– Poddali się? Naprawdę? – De Ferre obejrzał się na szeregi czekających vordanajskich oddziałów. – Cóż. Zapewne tak jest dla nich najlepiej, ale ja nie poddałbym się tak łatwo.

Wyglądał na lekko rozczarowanego.

– Fitz – powiedziała Winter, kiedy wrócili do swoich. – Mógłbym cię ucałować. To było kurewsko błyskotliwe.

– Myślę, że di Pfalen był gotowy się poddać – stwierdził Fitz. – Nie mam mu tego za złe po tym, co przeszedł. Ja tylko lekko go popchnąłem.

Uśmiechnął się skromnie. Winter, podskakując w miejscu z emocji, powstrzymała chęć uściskania go.

Wokół nich zaczęły rozbrzmiewać śmiechy i wiwaty, a szyk oddziałów pękł, gdy wieść się rozeszła. Ludzie mniej powściągliwi od Winter rzucali muszkiety i obejmowali się albo

siadali ciężko na zeschniętej trawie lub udawali rozczarowanie i przechwalali się, czego by to nie dokonali. W twierdzy przed nimi białe flagi wywieszano wzdłuż całej linii umocnień.

– Lepiej wezmę się do roboty – powiedział Fitz, patrząc na wiwatujących kolonialnych. – Tam jest kilka tysięcy żołnierzy, którzy muszą dać słowo, nie mówiąc już o całym wyposażeniu.

– Idź. Ja przekażę wiadomość moim ludziom.

Wokół nich gromadził się tłum. Fitz odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy, przekrzykując wiwatujących i klepiących się po plecach żołnierzy. Winter przedarła się przez ciżbę i znalazła czekającą na nią Bobby z eskortą królewskich, uśmiechniętych od ucha do ucha. Pospiesznie wrócili tam, gdzie zostawili pułk, ale okazało się, że wieść już ich wyprzedziła. Pierwszy Dziewczęcy i królewscy połączyli się w nieskładnym chórze radosnych okrzyków.

Cyte podbiegła do niej.

– Udało się?

– Jak cholera! – Winter pokręciła głową. – Nie mogę uwierzyć. Di Pfalen był lekko rozgniewany naszym niechlubnym postępowaniem.

– Będzie jeszcze bardziej rozgniewany, kiedy odkryje, że nasza armia nie była nawet w połowie tak liczna, jak myślał – dodała Cyte.

– Fitz już nad tym pracuje. Zanim się zorientują, że zostali oszukani, zabierzemy im wszelką broń.

– Dzięki Bogu. – Cyte głęboko odetchnęła, patrząc na Winter, i pokręciła głową. – Powinieneś zobaczyć się z Jane.

Winter skinęła głową, poklepała Cyte po ramieniu i przeszła przez tłum. Abby i Jane stały razem w grupie uradowanych żołnierzy z Pierwszego Dziewczęcego, lecz na widok Winter kobiety pospiesznie rozstały się, robiąc jej przejście. Winter przeszła, a tłum za nią znów zgęstniał, wciąż wiwatując.

Twarz Jane miała napięty wyraz, a w jej oczach palił się dziwny błysk. Próbowwała coś powiedzieć, ale nawet nachylając się do niej, Winter nie usłyszała tego w tym zgiełku. Zamiast coś mówić, po prostu przyciągnęła Jane do siebie i wzięła w ramiona. Potem, dając się porwać szalonej radości – wszyscy i tak już wiedzą, chociaż nie do końca – wzięła w dłonie głowę Jane i pocałowała ją, wywołując w tłumie kobiet kolejną falę okrzyków i gwizdów.

Wargi Jane był miękkie i ciepłe, lecz Winter wyczuła opór i odsunęła się.

Wszystko w porządku? – spytała bezgłośnie.

Jane zamrugła i pokręciła głową.

– Pułkowniku! Hej, pułkowniku!

Winter odwróciła się i zobaczyła przed sobą ogromną Jo, a obok niej maleńką Barley. Ta druga miała niezwykle donośny głos, jakby mówiła za siebie i swoją niemą towarzyszkę.

– Tak? – Żołnierz nie powinien zwracać się do zwierzchnika słowami „Hej, pułkowniku”, ale w tym momencie Winter była skłonna wybaczyć to naruszenie regulaminu.

– Co z Anne-Marie? – zawołała Barley. – Już wróciła?

– Jeszcze nie. – Winter poczuła, że jej radość nieco przygasa. Nic się jej nie stało, na pewno nic się jej nie stało. Nawet jeśli Hamveltajczycy zdemaskowali ją teraz, to będąc na łasce swoich nieprzyjaciół, raczej nie odważą się zrobić jej krzywdy. – Powiem Fitzowi, żeby jego ludzie wypatrywali jej, kiedy wejdą do twierdzy.

Barley kiwnęła głową, a Jo posłała Winter znaczące spojrzenie. Po chwili uniósł je tłum, który wciąż się radował, ale Winter już straciła dobry humor. Myślała nie tylko o Anne-Marie, ale i o tym, co będzie dalej, i nie była pewna, czy jej się to podoba. To jeszcze nie koniec.

Winter zamierzała złapać Jane i zaciągnąć w jakieś spokojne miejsce, żeby dowiedzieć się, co ją gryzie, ale Fitz zjawił się, zanim zdążyła to zrobić. Tłum już się rozchodził, bo porucznicy i sierżanci zaganiali swoich żołnierzy z powrotem do obozów, przywracając porządek. Widząc ogólny nastrój, Winter domyśliła się, że wieczorem pułk opróżni sporo pieczołowicie gromadzonych butelek, i nie zdziwiłaby się, gdyby doszło do nocnego „bratania się” w obu batalionach i między nimi. Nic tak nie budzi chęci do życia jak śmiertelne niebezpieczeństwo.

Fitzowi głośno gratulowali ci, którzy go znali, choć było ich niewielu. Miał zaniepokojoną minę i skinieniem ręki przywołał Winter.

– Czy coś się stało? – zapytała.

– Nie jestem pewny – odparł. – Zajmowanie twierdzy przebiega bez przeszkód. Janus i ja wszystko przygotowaliśmy. Ale odesłał mnie i kazał ci powiedzieć, że chce jak najszybciej się z tobą zobaczyć.

To istotnie brzmiało groźnie.

– Gdzie jest de Ferre?

– Ostatnio słyszałem, że umieszcza naszą flagę na murze i domaga się, żeby di Pfalen osobiście oddał mu swoją szablę. Jeśli będzie realizował ten plan, który mu przygotowałem, będzie zajęty kilka godzin.

– To już coś. – Winter rozejrzała się. Abby i Sevrans zdawali się panować nad wszystkim, tak więc w najbliższej przyszłości jej obecność tutaj raczej nie będzie konieczna. – Zatem sprawdzę, o co mu chodzi.

– Powodzenia. Powiedz mu, żeby po mnie przysłał, gdyby czegoś potrzebował.

Winter poszła wzdłuż długiego łuku umocnień tuż za polem ostrzału wielkiej i unieszkodliwionej już fortecy. Namiot Janusa stał w pobliżu miejsca zajmowanego przez oddziały kolonialne, ale nieco na uboczu, jak przystało dowódcy armii. Nikt nie stał przed nim na warcie, Winter więc zastukała w maszt. Ten gest przypominał jej dawne czasy w Khandarze; pułkownicy rzadko stoją przed wejściem do czyjegoes namiotu.

– Pułkownik Ihernglass? – zapytał Janus.

– Tak, panie generale. Chciał się pan ze mną zobaczyć?

– Wejdz.

Namiot wyglądał tak samo jak poprzednio, tylko w kącie ktoś ustawił wysoki lakierowany parawan, za którym Janus właśnie się przebierał. Winter pozwoliła kłapie namiotu opaść i stała, czując się trochę niezręcznie.

– Przepraszam – rzekł Janus. – To był napięty dzień.

– Tak, panie generale.

– Rozumiem, że to tobie zawdzięczamy nasz popołudniowy triumf?

– Nie, panie generale. Chcę powiedzieć, że tylko w pewnym stopniu. To pułkownik Warus wykonał najważniejszą część.

– Tak słyszałem. Pomysł jednak był chyba twój. Z radością przyznam, że tym razem sądziłem, że partia jest przegrana. Jestem ci winien podziękowania, a wielu żołnierzy tej armii

zawdzięcza ci życie.

Winter zarumieniła się i pokręciła głową.

– Anne-Marie... to znaczy szeregowiec di Wallach, panie generale... zgłosiła się na ochotnika do bardzo niebezpiecznej misji. Nie dokonalibyśmy tego bez niej.

– O tym również słyszałem. Podam ją do odznaczenia, tylko że w tym momencie żadnych nie mamy. Zjazd Generalny posunął się tak daleko, że unieważnił wszystkie dawne królewskie odznaczenia, ale projekt zestawu nowych republikańskich medali najwyraźniej utknął w jakiejś komisji.

– Czy ma pan jakieś wieści o Anne-Marie, panie generale?

– Jeszcze nie. Tam jednak panuje lekkie zamieszanie. Jasno daliśmy do zrozumienia, że nikomu nie stanie się krzywda, a oni nie przyznali się do złego traktowania żadnego z naszych jeńców.

Winter skinęła głową, ale uświadomiła sobie, że Janus jej nie widzi.

– To dobrze, panie generale – powiedziała.

Zapadła chwila ciszy, w której usłyszała szmer mocno zaciskanego pasa.

– Czytałaś Goekhola, pułkowniku?

Winter zamrugła.

– Przyznam, że nie, panie generale.

– Powinnaś. Był czas, gdy uważałem, że z jego dzieła O wojnie można się dowiedzieć wszystkiego, co istotne w sztuce wojennej. Od tego czasu mój punkt widzenia trochę się zmienił, ale... – Westchnął. – W każdym razie w tej książce Goekhol opisuje doskonałą bitwę i doskonałe zwycięstwo.

– Czy jest coś takiego, panie generale? – Winter pomyślała o pokłosiu kilku swoich zwycięstw.

– W pewnym sensie. – Janus wyłonił się zza parawanu. Miał na sobie przepisowy mundur, ze złotymi paskami i srebrnymi gwiazdkami na epoletach. U pasa miał paradny kord, tak mały, że Winter wątpiła w jego użyteczność. – Goekhol napisał, że tak jak wojna jest ostatnim argumentem polityków, tak walka powinna być ostatnim argumentem dowódców. Dobry dowódca podejmie walkę, tylko będąc pewnym jej końcowego rezultatu. A doskonały dowódca wymanewruje nieprzyjaciela tak zręcznie, stawiając go na z góry przegranej pozycji, że nawet dla najmniej rozgarniętego przeciwnika będzie oczywiste, iż opór jest daremny. Idealna bitwa to taka, której wynik jest z góry rozstrzygnięty, tak więc nie ma potrzeby walczyć.

– Rozumiem – rzekła Winter. – To niewątpliwie słuszne z perspektywy zwykłych żołnierzy.

– Historia to dziwne zwierzę, pułkowniku. Goekhol jest uważany za podżegacza wojennego, ponieważ napisał dzieło o tym, jak skutecznie prowadzić wojny, powodując jak najmniej cierpień. Voulenne napisał Prawa człowieka, w których twierdzi, że człowiek ma prawo do szczęścia i samookreślenia, jest więc uważany za zwolennika pokoju, mimo że te jego twierdzenia spowodowały Bóg wie ile śmierci i zniszczenia. – Janus przechylił głowę. – Czy zastanawiasz się, co napiszą o tobie?

– Nic, jeśli będę miała szczęście – powiedziała Winter. – A może: „Umarła w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat, bogata i szczęśliwa”.

Janus uśmiechał się przez chwilę, z błyskiem w szarych oczach.

– Dobrze powiedziane. Wszyscy powinniśmy mieć takie szczęście.

– Myślę, że panu grozi większe niebezpieczeństwo ze strony historyków niż mnie, panie generale.

– Zapewne. – Zapatrzył się w dal, jakby przez ściany namiotu mógł widzieć cały obóz, aż po horyzont. – Czy zdziwiłoby cię, gdybym powiedział, że mało mnie to obchodzi?

– Już nie dziwi mnie nic z tego, co pan powie.

– Gdyby wiedzieli... gdyby historycy wiedzieli to, co ja wiem, myślę, że byliby oburzeni. Tyle rozlanej krwi dla takiego drobiazgu. Kropelka w rzece historii. – Westchnął. – Na szczęście nie zamierzam im mówić. Niewątpliwie wymyślą mnóstwo zabawnych teorii, kiedy nas już nie będzie na tym świecie.

Milczał chwilę, poprawiając kord, i Winter poczuła się zobowiązana coś powiedzieć.

– Panie generale? Czy coś się stało?

– Następna bitwa, pułkowniku. Ona nie będzie... doskonała. Robiłem, co mogłem, ale nie wiem, czy wybrałem dobrą drogę, i to brzemię mnie przytłacza.

Gdyby powiedział to ktoś inny, Winter uznałaby, że jest zdenerwowany. Jednak to był Janus bet Vhalnich. Określenie „zdenerwowany” nie pasowało do niego.

– Jaka bitwa, panie generale? Z Jindenau?

Janus się roześmiał.

– Och, nie. Wielki marszałek polowy niewątpliwie z podkulonym ogonem czmychnie z powrotem do Hamvelt. Kampania na wschodzie jest zakończona, choć wątpię, by ktokolwiek poza tobą i mną zdawał sobie z tego sprawę. Następna bitwa będzie zupełnie inna.

– Zatem...

– Vhalnich! – usłyszeli głos de Ferre’a, głośny i władczy.

– On jeszcze nie powinien wrócić z twierdzy – powiedziała Winter. – Chyba powinnam odejść, panie...

– Podejrzewam – bardzo cicho powiedział Janus – że jeśli wyjdiesz z namiotu, może czekać cię bardzo nieprzyjemna niespodzianka.

– Panie generale?

– Radzę ci schować się za tym parawanem – rzekł Janus. – I być bardzo cicho.

– Ja...

– Już, pułkowniku.

– Tak jest, panie generale.

Jego głos zabrzmiał tak rozkazująco, że Winter o mało nie stanęła na baczność, salutując. Ominęła go i schowała się za lakierowanym parawanem, skrywając swoje stopy za nóżkami łóżka, żeby nie były widoczne przez szparę na dole. Przez szparę między dwiema częściami parawanu widziała fragment wnętrza.

– Tak, generale? – powiedział Janus, gdy Winter się schowała.

– A więc jesteś tam. – De Ferre odsunął klapę namiotu i wyprostował się.

Winter ze zdziwieniem zobaczyła, że towarzyszą mu dwaj żołnierze, nie oficerowie, lecz uzbrojeni w muszkiety gwardziści.

De Ferre podejrzliwie popatrzył na galowy mundur Janusa.

– Co ty wyczyniasz?

Janus wzruszył ramionami.

– Spodziewałem się... czegoś takiego. Aczkolwiek nie tak szybko.

– Ha! Wiem, kiedy mnie robią w konia. – De Ferre przyglądał wąsy. – Kazałeś to zrobić temu twojemu Warusowi?

– Oczywiście, że nie, generale.

– To pewnie bez znaczenia. – De Ferre się wyprostował. – Hrabio Janusie bet Vhalnich Mieran, niniejszym zostajesz wezwany do złożenia zeznań przed Dyrektoriatem Obrony Narodowej pod zarzutem zdrady stanu.

– Ach – powiedział bez śladu zdziwienia Janus. – Zatem będę miał prawo do obrony?

De Ferre uśmiechnął się złowrogo.

– Przewodniczący zawsze pozwala coś powiedzieć swoim generałom, zanim pośle ich na Kolec. Dołączysz do Hallveza i innych, którzy wyrośli ze swoich butów, a ja uporządkuję ten bałagan, który zostawiłeś za sobą.

– Myślę, że znajdziesz armię Wschód w doskonałym stanie.

– Naprawdę? – prychnął de Ferre. – Na miłość boską, masz tu batalion kobiet. Odeślę je do domów, gdzie ich miejsce. I porządni żołnierze są wymieszani z włóczęgami i obibokami. Uporządkowanie tego zajmie wiele tygodni. – Zamilkł na moment. – Jesteś strasznie spokojny jak na człowieka, któremu właśnie powiedziano, że zostanie stracony. Masz w żyłach lód zamiast krwi? A może myślisz, że nie mówię poważnie?

– Jestem pewny, że mówisz poważnie.

– Mam nadzieję, że nie liczysz na to, że ktoś z twoich ludzi ci pomoże. Wszyscy zostaliby oskarżeni o zdradę. – De Ferre nachylił się. – Nie mówiąc już o tym, że właśnie wszyscy są zbyt zajęci upijaniem się i dlatego wyjedziesz jeszcze dzisiaj. Tego się nie spodziewałeś, co?

– Mistrzowski ruch – mruknął Janus. – Generale.

– Zobaczymy, jaki będziesz spokojny, kiedy dojedziesz do stolicy – powiedział de Ferre, wyraźnie rozczarowany brakiem reakcji. – Na wszystkich świętych, żałuję, że nie będę mógł zobaczyć twojej miny, kiedy w końcu przywiążą cię do Kolca.

Janus westchnął, wyprostował się i przeszył de Ferre’a przenikliwym i beznamiętnym spojrzeniem. Nawet w takiej chwili triumfu generał mimowolnie cofnął się o krok.

– Jesteś głupcem, de Ferre – powiedział Janus. – Powiedziałbym, że oczekiwałem po tobie czegoś lepszego, ale skłamałbym. Doskonale odgrywasz rolę, którą wyznaczył ci Maurisk, a kiedy już nie będziesz mu potrzebny, zmiecie cię razem z resztą takich śmieci jak ty.

De Ferre poczerwieniał.

– Ty... jak śmiesz! Mógłbym cię rozstrzelać!

– Nie sądzę. – Janus uśmiechnął się do generała. – Mam umówione spotkanie w Dyrektoriacie Obrony Narodowej.

– Bardzo śmieszne. – De Ferre odwrócił się do gwardzistów. – Pilnujcie go, dopóki się nie ściemni. Wtedy go wywieziemy.

Zasalutowali, a generał odwrócił się i wymaszerował z namiotu. Dwaj gwardziści stanęli po obu stronach wejścia, bacznie spoglądając na Janusa, który westchnął i usiadł na składanym stoliku.

Za parawanem Winter obserwowała całą tę scenę z paraliżującą mieszaniną wściekłości i obawy przed wykryciem. Teraz, gdy de Ferre odszedł, gniew szybko zwyciężył i ostrożnie oceniła swoje szanse. Gdyby przewróciła parawan, mogłaby przeskoczyć łóżko i dopaść

ich, zanim zdążą wystrzelić. Wyrwać muszkiet jednemu, zastrzelić drugiego. I co potem?

„Co potem?” było podstawowym problemem. De Ferre trzymał aresztowanie Janusa w tajemnicy, co oznaczało, że nie wierzył, by armia przełknęła to bez zadawania pytań. Gdyby jednak Winter zaczęła od zastrzelenia gwardzistów i de Ferre kazał żołnierzom ją powstrzymać, czy zrobiliby to? Zależy który oddział. Mogła polegać na Pierwszym Dziewczęcym i zapewne na królewskich, gdyby zrozumieli, co się dzieje. Inni pułkownicy byli oddani Janusowi, ale jak bardzo? Co ważniejsze, de Ferre nie powie im, co się dzieje. Wystarczy mu oddać kilka salw w zamieszaniu, a potem wyrazić swoje ubolewanie.

To zbyt niebezpieczne. Potrzebuję pomocy. Zrobiła głęboki wdech i cofnęła się od parawanu. *Co oznacza, że muszę się stąd wydostać.*

Odwróciła się do ściany namiotu. Materiał był cieńszy od taniego standardowego wojskowego brezentu, niewątpliwie zakupiony przez nieszczęsnego Augustina dbającego o wygodę pana. Wyjęła nóż z pochwy przy pasie i wbiła go w płótno na wysokości swojej głowy; drugą ręką przytrzymując materiał, rozcinała go powoli, żeby nie narobić hałasu.

Za plecami usłyszała głośnie postukiwanie. Dopiero po chwili rozpoznała ten dźwięk: Janus wytrząsał fusy z czajniczka. Jest cholernym geniuszem, no nie? Teraz mogła szybciej pociągnąć nożem, robiąc w materiale długie rozcięcia, przez które wysliznęła się na zewnątrz. Był jeden przykry moment, gdy potknęła się o jeden z odciągów namiotu i o mało nie upadła na twarz, ale podparła się rękami i odczołgała na czworakach.

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją zauważyć. Istotnie, większość obozu wyglądała na opuszczoną, nie licząc wart w oddali i paru drużyn dyżurujących przy kotłach i przygotowujących wczesną kolację. Winter wstała, otrzepała się i z determinacją pomaszerowała w kierunku obozu Pierwszego Dziewczęcego, starając się sprawiać wrażenie, że ma coś ważnego do załatwienia.

– Cześć, pułkowniku – powiedziała Bobby.

Siedziała między dwoma równymi rzędami namiotów, korzystając z gasnącego dziennego światła, żeby pisać coś w notatniku. Ta część obozu nie była tak opustoszała jak inne – kobiety z Pierwszego Dziewczęcego chyba miały wolne popołudnie i odpoczywały, rozmawiając, grając w karty lub przygotowując kolację. Jednak nigdzie nie było widać królewskich.

– Fitz zabrał większość mężczyzn do twierdzy – wyjaśniła Bobby, widząc, że Winter się rozgląda. – Spisują jeńców, robią inwentaryzację, pilnują, żeby nikt nie wysadził magazynu z prochem, takie rzeczy. Kazał powiedzieć, że mu przykro, ale uważa, że widok Pierwszego Dziewczęcego mógłby źle podziałać na hamveltajską dumę, a nie chce, żeby zrobili coś głupiego.

– To... ma sens. – Winter powiedziała to obojętnym tonem, świadoma, że słyszy ją wiele osób. – Muszę porozmawiać z tyłoma oficerami, ilu zdołasz znaleźć. Rozumiem, że Sevrans jest w twierdzy?

– Cyte też – rzekła Bobby. – Zgłosiła się na ochotnika. Abby i pozostałe są z Anne-Marie przy kotłach.

– Powiedz im... – Winter urwała. – Anne-Marie wróciła?

– Och! – Bobby zatrzasnęła notatnik i uśmiechnęła się. – Zapomniałam, że nie wiesz. Pojawiła się zaraz po twoim wyjściu.

– Cała i zdrowa?

Bobby potwierdziła.

– Ani zadrapania. Rozumiem, że podstęp się udał.

Winter odetchnęła i odrobinę jej ulżyło. To już coś. Chociaż w świetle tego, co przed chwilą podслуchała, mogło to mieć niewielkie znaczenie.

– Zatem pójdę do nich. Spotkajmy się za pięć minut w moim namiocie.

– Tak jest, panie pułkowniku! – Bobby wstała. – Czy coś się stało?

Winter pokręciła głową.

– Później.

Skierowała się ku środkowi obozu, gdzie trzymano wielkie żelazne kotły, w których gotowano posiłki dla całego pułku. Jeden z nich leżał odwrócony do góry dnem, a Anne-Marie siedziała na nim jak kwiat, który wyrósł na jego czarnym dnie. Nadal miała na sobie tę podartą zieloną suknię, lecz najwidoczniej zdążyła już się wykapać i uczesać. Promiennie uśmiechała się do grupki zebranych wokół kobiet, a Barley i Jo stały u jej boków jak straż przyboczna.

– Był tam, kiedy przyprowadzili mnie wartownicy. Sierżant był bardzo podejrzliwy, ale zaczęłam płakać i zanim się obejrzałam, pułkownik odesłał sierżanta, karcąc go za złe traktowanie damy. Potem okrył mnie swoim płaszczem, co uznałam za bardzo miły gest. – Tłum parsknął śmiechem i ktoś zagwizdał. – Zabrał mnie do swojej kwatery... bo wiecie, tam jest małe miasteczko, bardzo cywilizowane... i zapytał, co się stało. Cóż, miałam przygotowaną bajeczkę o vordanajskim oficerze, który porwał mnie z ulicy w Deslandzie i wciąż tak okropnie mnie traktował w czasie marszu. Może trochę przy tym szlochałam. Zanim skończyłam, zupełnie się rozkleił i zapytał mnie o nazwisko tego drania, żeby mógł go odszukać i zabić.

– I spędziłaś tam noc? – zawołał ktoś z tłumu.

– Pewnie – dumnie oznajmiła Anne-Marie. – On spał na kanapie w przedpokoju.

Wszyscy ryknęli śmiechem, włącznie z Anne-Marie. Kiedy zauważyła Winter, pomachała do niej, postukując piętami o bok kotła jak mała dziewczynka.

– Panie pułkowniku! Hamveltajski pułkownik prosił mnie, żebym za niego wyszła. – Uśmiechnęła się. – Uważa pan, że powinnam się zgodzić?

– To kusząca propozycja – odparła Winter, zmuszając się do uśmiechu. – Chociaż może nie zechciałby mieć żołnierza za żonę.

Anne-Marie przyłożyła palec do policzka, udając głęboki namysł, a potem wzruszyła ramionami.

– No cóż – powiedziała. – W takim razie do diabła z nim!

Kolejny wybuch śmiechu. Winter przekrzyczyła zgiełk.

– Kapitanie Verity? Kapitanie Giforte? Czy mogę prosić na słówko?

Abby i Jane wyszły z tłumu. Abby uśmiechała się, ale Jane wciąż miała zakłopotaną minę. Obie zasalutowały.

– Panie pułkowniku! – powiedziała Abby. – Co się dzieje?

– Musimy porozmawiać. Na osobności. – Winter rozejrzała się podejrzliwie. – Teraz.

– Panie pułkowniku? – Abby była zaskoczona, lecz Jane tylko popatrzyła ponuro.

Winter zaprowadziła je do swojego namiotu, gdzie czekała Bobby. Usiadły przy składanym stolyczku, we cztery zajmując prawie cały namiot. Winter nabrała tchu, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Panie pułkowniku? – powiedziała Bobby. – Czy coś się stało?

– Rozmawiałam z Janusem – powoli zaczęła Winter. – A wtedy pojawił się de Ferre. Kazał aresztować Janusa, żeby odesłać go do stolicy i skazać za zdradę. Wysyłają go dziś wieczorem.

Usłyszała syk wciąganego przez zęby powietrza. Jane spuściła głowę, zaciskając pięści.

– Zamierza także rozwiązać Pierwszy Dziewczęcy – ciągnęła Winter. – Odesłać nas tam, „gdzie nasze miejsce”.

– Chyba nie mówi poważnie – powiedziała Abby. – Chcą skazać Janusa za zdradę? To jedyny dowódca, który jest coś wart!

– Nawet gdyby go sędzili – dodała Bobby – to przecież nie mają żadnych dowodów. W końcu go uniewinnią, no nie?

Winter pokręciła głową. Pamiętała borelgajskich i hamveltajskich „szpiegów” powieszonych na katedrze, zanim utworzył się Zjazd Generalny. Jej zdaniem wynalazek maszyny efektywniej dokonującej egzekucji w niczym nie poprawił sytuacji.

Znów zapadła długa cisza. Abby odkaslnęła.

– No więc – powiedziała. – Co z tym zrobimy?

Jane rąbnęła pięścią w stolik, aż kałamarz podskoczył i zagrzecotał. Winter drgnęła, a potem popatrzyła na nią zaskoczona. Jane miała ciężki oddech i szeroko otwarte oczy.

– Winter – powiedziała bardzo cicho – czy możemy zostać na chwilę same?

Winter popatrzyła na Bobby i Abby, po czym skinęła głową.

– Bobby – powiedziała – idź do fortecy i sprowadź tu Sevrana i Cyte. Abby, postaraj się przekazać porucznikom, że nikomu nie wolno się dziś upić.

– Tak jest, panie pułkowniku!

Bobby zerwała się na równe nogi i wybiegła z namiotu. Abby podążyła za nią nieco wolniej i zanim wyszła, obrzuciła Jane bacznym spojrzeniem.

Gdy ich kroki ucichły w oddali, Winter wyciągnęła rękę nad stołem i położyła na zaciśniętej pięści Jane. Dziewczyna wyrwała ją, skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na Winter.

– Zamierzasz coś z tym zrobić – powiedziała. – Prawda?

– Ja nie... nie wiem. – Winter potrząsnęła głową. – Nie możemy...

– Nie okłamuj mnie. Zrobisz to. Tylko jeszcze się nie zdecydowałaś. – Jane znów spuściła wzrok. – Wiedziałam, że tak się stanie. Wiedziałam.

– Co wiedziałaś? – Winter nabrała tchu. – Jane, nie rozumiem. O co chodzi?

– Ty nie rozumiesz, co on ci zrobił.

– Kto?

– Janus. Generał Janus bet pierdolony Vhalnich. Jak to się stało, że usłyszałaś to wszystko?

Winter krótko opisała, co zaszło, jak ukryła się za parawanem, gdy wpadł de Ferre.

– Gdyby de Ferre mnie zobaczył, mógł aresztować i mnie – stwierdziła. – Dlatego Janus kazał mi się ukryć.

– Oczywiście. I w ten sposób usłyszałaś to, co chciał, żebyś usłyszała.

– Nie spodziewał się, że de Ferre wróci tak szybko. Sam tak powiedział!

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Naprawdę myślisz, że to był przypadek? – Jane potrząsnęła głową. – Zaaranżował to wszystko, ponieważ wie, że ruszysz mu na odsiecz. Jesz mu z ręki.

– To... – Winter urwała. – Gdyby tego chciał, po prostu by mi powiedział.

– O nie. – Jane uśmiechnęła się sardonicznie. – Tak jest o wiele lepiej. Sama sobie wówisz, że to jest konieczne. Tak on to robi.

– Ledwie go znasz!

– Znam historię, którą mi opowiedziałaś. Jak wróciłaś do tamtej świątyni i ryzykowałaś życie, przywołując pierdolonego demona, żeby go uratować.

– Nie wiedziałam..

– Jak przysłał cię do mnie, ponieważ wiedział, że musi mieć Skórzane Kurtki po swojej stronie. I kto przybywa mu na ratunek, kiedy nas potrzebuje?

– Przecież ty...

– Maszerowałyśmy do upadłego, ponieważ nie mogłaś znieść myśli, że go zawiedziesz. Kilka moich dziewczyn leży gdzieś na drodze pod warstwą błota, ponieważ nie ośmieliłaś się rozczarować Janusa bet Vhalnicha.

Jane przerwała, łapiąc oddech. Winter czuła bolesne pulsowanie pod czaszką.

– Jak długo o tym rozmyślałaś? – zapytała.

– Od Deslandu. – Jane nagle ściszyła głos. – Od kiedy w końcu powiedziałaś mi prawdę. On cię wykorzystuje, Winter, i omotał cię tak, że powiesiłabyś się dla niego, z uśmiechem wkładając głowę w pętlę.

– To... – Winter potrząsnęła głową. – To nie tak.

– Jak tylko przybył de Ferre, wiedziałam. Dyrektoriat nie pozwoli Janusowi odnieść kolejnych zwycięstw, więc teraz musi zwrócić się przeciwko nim. Jednak to nie wyglądałoby dobrze, za bardzo jak zagarnięcie władzy. Tak więc zostawi to tobie, jak zawsze.

– To nie jest tak! – powiedziała Winter, gniewniej, niż zamierzała. – Ja... szanuję Janusa. I wierzę, że chce jak najlepiej dla naszego kraju i wszystkich pod jego komendą.

– Tym bardziej jesteś głupia – rzekła Jane. – Czy tego chciał, kiedy poprowadził oddziały kolonialne na pustynię?

– Musiał zdobyć Tysiąc Imion.

– Po co?

...gdyby historycy wiedzieli to, co ja wiem, myślę, że byliby oburzeni. Tyle rozlanej krwi dla takiego drobiazgu. Kropelka w rzece historii.

Winter pokręciła głową, ze ściśniętym gardłem.

Jane zaśmiała się głucho.

– Teraz znów musisz go ratować. Wszystko dla dobra Vordanu, oczywiście.

– Zrobiłabym to dla ciebie – powiedziała Winter. – Albo dla Bobby, Cyte czy... czy każdego z moich przyjaciół. Nie pozwoliłabym, żeby de Ferre wywiózł któregoś z nich.

– To twoi przyjaciele. Oni też by ci pomogli. Janus będzie cię wykorzystywał, a kiedy przestaniesz być użyteczna, porzuci cię.

– Jak możesz tak mówić? On zwrócił mi ciebie.

Jane odchyliła się do tyłu, zaciskając zęby.

– I jak myślisz, co czułam, kiedy to odkryłam? Połączył nas, jakby był pierdolonym dramaturgiem, a my jego aktorkami, ponieważ tego wymagał scenariusz. Nie mógł ci po prostu powiedzieć, gdzie jestem? Oczywiście, że nie.

Winter czuła, że łzy stają jej w oczach, i odpędziła je, gniewnie mrugając.

– Zatem czego ode mnie chcesz? Mam tu zostać z de Ferre'em?

– Nie. – Jane nagle zaczęła mówić pospiesznie, nachyliwszy się do niej. – Winter, posłuchaj mnie. To nasza szansa wyrwać się z tego, nie rozumiesz? Dla ciebie, dla mnie, dla wszystkich z Pierwszego Dziewczęcego. De Ferre chce się nas pozbyć. Możemy z tym skończyć, z wojną, maszerowaniem i umieraniem.

– I co robić?

– Cokolwiek zechcemy! Wrócić do Vordanu albo gdzieś na wieś. Osiąść i hodować pierdolone świnię, jeśli zechcemy. Proszę. Wiem, że mocno trzyma cię w swoich szponach, ale posłuchaj mnie. – Jane zaczęła płakać. – To nasza jedyna szansa. Jeśli nie zabierzemy ich teraz, każda z tych dziewczyn skończy tak jak Chris, Min czy inne. Ponieważ on się nie zatrzyma.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała Winter.

– To słowa Janusa. Możesz! Możemy zaszyć się tak głęboko, że nawet kapłani Czerni nas nie znajdą. Wiem jak. Możemy...

– To nie tak. – Winter pokręciła głową. – Tu nie chodzi o Janusa, naprawdę. Pomyśl, Jane. Nawet gdyby de Ferre pozwolił nam odejść, co z resztą armii? Ile minie czasu, zanim pośle ich na kolejną samobójczą misję? Lub zanim Dyrektoriat przyśle kogoś jeszcze gorszego?

– Pierdolić armię. Pierdolić Dyrektoriat. Pierdolić ich wszystkich. Nie ty za to odpowiadasz, nie rozumiesz? Nie musisz się tym przejmować. – Jane z trudem wciągnęła powietrze. – Tylko dlatego, że nie miałaś dość odwagi, żeby mnie uratować, nie musisz ratować całego świata, żeby to naprawić.

Zapadła długa, brzemienna cisza.

– Przepraszam – powiedziała Jane. Zapadła się w sobie, pochylając głowę. – Nie powinnam była tego mówić. Przepraszam. Winter, proszę...

Ktoś zastukał w maszt namiotu.

– Pułkowniku? – powiedziała stojąca na zewnątrz Bobby. – Są tu Sevran i Cyte, a Abby jest w drodze.

– Proszę – szepnęła Jane. – Proszę.

Winter spojrzała na Jane w niebieskim mundurze, z rudymi włosami w rozkoszonym nieładzie i przekrwionymi oczami, błyszczącymi od łez.

„Ona widzi, że się od niej oddalasz. Do świata sztandarów, werbli i dział, i nie sądzi, że zdoła tam pójść za tobą”, powiedziała kiedyś Abby.

– Zakochałaś się w Janusie bet pierdolonym Vhalnichu.

Nie musisz się tym przejmować.

Jednak nie mogę inaczej, prawda?

– Nie mogę – wyszeptała Winter.

– Pułkowniku? – ponownie odezwała się Bobby.

Jane wstała, gwałtownie ocierając oczy. Winter wyciągnęła do niej rękę, ale Jane odtrąciła ją i przeszła obok, wychodząc z namiotu i omijając stojącą przed nim grupkę. Ręka Winter opadła na stolik i leżała tam jak zmartwiała.

– Pułkowniku? – niepewnie powiedziała Bobby. – Winter?

Winter przełknęła ślinę i odnalazła głos.

– Będę wdzięczna – zdołała wykrztusić – jeśli dacie mi parę minut. Idźcie i sprowadźcie tu również pułkownika Warusa. Powiedzcie mu, że to pilna sprawa, ale niech nikt inny się nie

dowie. – Jane przynajmniej w jednej kwestii miała rację. Wiem, co muszę zrobić. Tylko nie chciałam sama się do tego przyznać. – Będzie nam potrzebny.

Doskonale zwycięstwo, pomyślała Winter, to bitwa, której nie trzeba staczać.

Pamiętała Janusa w Khandarze, stawiającego czoło zbuntowanym żołnierzom kolonialnym pod wodzą Adrechta Rostona, i sposób, w jaki pułkownik obrócił sytuację na swoją korzyść tylko dzięki odrobinie tupetu. I zapewne mojej niewielkiej pomocy. Myślała o zwołaniu podobnego spotkania, lecz po rozmowie z Jane nie była już pewna, czy zdołałaby ich przekonać, a ponadto armia Wschód była zbyt liczna, żeby zebrać wszystkich.

Tak więc poszła do tych kilku dowódców, o których wiedziała, że może na nich polegać. Fitz Warus i Piekielnik zgodzili się chętnie, oczywiście, lecz ta ich gotowość trochę ją wstrząsnęła. Czy Jane ma rację? Czy zrobimy dla Janusa wszystko, nie bacząc na konsekwencje? Spodziewała się, że Sevrana będzie trudniej przekonać, lecz on obiecał zdobyć poparcie królewskich i dopilnować, by jego porucznicy stanęli po ich stronie.

Jako do ostatniej i najważniejszej, poszła do Abby. Tak jak się obawiała, Jane już u niej była i Abby wyglądała na równie wstrząśniętą jak Winter. Jednak miała stanowczy wyraz twarzy i głos jej nie drżał.

– Jane zachowuje się jak idiotka – powiedziała. – Co często się jej zdarza. Poszła się dąsać z kilkoma z dawnych Skórzanych Kurtek. – Abby nabrała tchu, uspokajając się. – Co mamy zrobić?

Te wydarzenia i pospiesznie opracowany plan zaprowadziły ich na to skaliste zbocze, kilka mil od obozu i daleko poza polem widzenia najdalej wysuniętych posterunków obserwacyjnych. Była to droga prowadząca na przełęcz; po upadku Antovy bezpośrednio prowadziła do stolicy Vordanu, a nie okrężna przez Desland i Essyle. Po kilkudniowej podróży przez przełęcz w łańcuchu gór Keth i szybkiej jeździe w dół rzeki Gwardia Patriotyczna i ich więzień byłiby już w stolicy.

Piekielnik zgłosił chęć zdobycia powozu siłą, zeskakując z siodła na kozioł woźnicy, ale Winter sprzeciwiła się temu pomysłowi. Zamiast tego pożyczyła oddział lekkiej kawalerii, szybkich jeźdźców, w większości weteranów kampanii w Khandarze, wyposażonych w krótkie karabinki i rączę konie. Zostawili Piekielnika z Fitzem Warusem, żeby zrealizowali drugą część planu, po czym tuż przed zachodem słońca przeszli przez posterunki oddziałów kolonialnych.

Wciąż jeszcze wiele rzeczy mogło pójść źle i Winter przygryzała wargę, czekając. De Ferre mógł kłamać albo dowiedzieć się o ich przygotowaniach. Jeśli wysłę powóz inną drogą, będzie cholerne zamieszanie. Tak więc ciężar spadł jej z serca, gdy zza zakrętu drogi doleciał ją tętent kopyt i turkot kół.

Opierała się plecami o wielki pień sosny, zrąbanej przez konnych i ułożonej w poprzek drogi jako barykada. Drzewo pachniało igliwem i żywicą, a kłujące igły drapały ją, ilekroć się poruszyła. Winter wystawiła głowę, żeby widzieć drogę, i czekała, aż lampy powozu znalazły się w polu jej widzenia. Wtedy wstała, w mundurze, lecz bez broni, i czekała.

Wybrali taki odcinek drogi, na którym powóz będzie miał dużo czasu, żeby zahamować – nie chodziło o to, żeby stoczył się po zboczach. Pojazd zwolnił i zatrzymał się przed przeszkodą, a konie nerwowo skrzyły w bok na tyle, na ile pozwoliła im uprzęż. Woźnica trzymał w jednej ręce lejce, w drugiej strzelbę z długą lufą, a czterej uzbrojeni w muszkiety gwardziści eskorty

jechali obok. Zebrali się przed sosną i wycelowali broń, gdy Winter podniosła się i stanęła na pniu.

– Co jest? Kim jesteś? – warknął jeden z nich, porucznik. Był wyraźnie zdenerwowany i trzymał palec na spuście długiego nieporęcznego muszkietu.

– Pułkownik Winter Ihernglass z trzeciego pułku piechoty. – Winter podniosła rękę. – Jak widzicie, droga jest zatarasowana.

– Nie na długo – powiedział porucznik. – Ferrer, Gunter, przywiążcie konie do pnia i ściągnijcie go z drogi. – A do Winter rzekł: – A ty zejdz z pnia i się nie ruszaj.

– Zanim to zrobicie, proponuję, żebyście spojrzeli na zbocze – odparła. – Powoli.

– Panie poruczniku! – Jeden z gwardzistów gwałtownie pomachał muszkietem i Winter się skrzywiła.

Na wzgórzu powyżej drogi dwa tuziny mężczyzn w niebieskich mundurach uniosło się na klęczki i wycelowało w gwardzistów krótkie karabinki. Karabin nie jest tak celną bronią jak muszkiet, ale tu odległość wynosiła zaledwie kilkanaście metrów. Z drugiej strony drogi była stromizna, nie do przebycia dla koni. Porucznik spojrział na kawalerzystów i znowu na Winter.

– Nie ośmielicie się – wycedził. – To zdrada.

– Zapewne – zgodziła się Winter. – Jednak to nie pański problem, czyż nie?

Twarcz mężczyzny błyszczała od potu.

– Generał de Ferre rozkazał mi przełamać wszelkie próby oporu.

– Możesz spróbować. – Winter starała się zachować spokój. – Wtedy zginie tu kilka osób. Być może i ja, ale ty na pewno, ponieważ ludzie na zboczu mają rozkaz nie zostawić nikogo żywego, jeśli zaczną się strzelanina.

– Ja... – Muszkiet drżał w jego rękach.

– Pomyśl o tym w ten sposób – poradziła Winter. – Jeśli to zdrada, to w końcu zostaną ukarani. A skoro to nieuniknione, to nie musisz tu umierać. Może ty i twoi ludzie rzucicie broń?

Minęła długa, pełna napięcia chwila, zanim porucznik spuścił kurek i rzucił muszkiet na ziemię. Jego ludzie pospiesznie poszli za jego przykładem.

Winter odetchnęła.

– Poruczniku Corder? Może pan zejść i zabezpieczyć powóz.

Połowa kawalerzystów odłożyła broń i zeszła ze zbocza, a reszta obserwowała drogę. Winter pozwoliła im zająć się gwardzistami. Sama podeszła do drzwi powozu i otworzyła je. Janus spokojnie siedział na miękko obitym siedzeniu i z jakimś cienkim tomikiem w rękach. Gdy weszła, zaznaczył zakładką czytana stronę i z trzaskiem zamknął książeczkę, po czym podniósł głowę.

– Pułkowniku – powiedział. – Ładnie przeprowadzona operacja, jak zawsze.

– Dziękuję, panie generale – powiedziała, żałując, że nie wybrał innego słowa. W tym momencie operacja za bardzo kojarzyła jej się z egzekucją.

– Mogę spytać, jaki będzie następny krok?

– Kawalerzyści obrócą powóz i pojedziemy z powrotem do obozu. Zanim tam dotrzemy, Fitz z Piekielnikiem rozbiją pozostałych gwardzistów i aresztują de Ferre'a.

– A potem?

Winter wzruszyła ramionami.

– Potem miałam nadzieję pozostawić resztę panu, generale.

– Rozumiem. – Janus zamilkł i przez chwilę spoglądał w sufit. – A co z resztą armii? Co zrobią? – zapytał w końcu.

– Gdybym próbowała namówić ich do odbicia pana, zapewne doszłoby do kłótni, a może nawet bójek. Jeśli jednak przywieziemy pana z powrotem i umieścimy de Ferre’a pod strażą, zanim zrozumieją, co się dzieje... – Winter wzruszyła ramionami. – Pójdą za panem.

– Jak większość żołnierzy, podejrzewam. – Poklepał siedzenie naprzeciw. – Zatem równie dobrze możesz tu usiąść.

Winter usiadła. Janus odchylił się do tyłu i zamknął oczy, a ona się nie odzywała, gdy kawalerzyści wyprzęgli konie i rozpoczęli trudną operację obrócenia powozu na wąskiej drodze. Niebawem jechali z powrotem drogą, którą tam przybyli, ku rzece i Antovie, ciągnąc za sobą pojmanych gwardzistów.

– Panie generale? – zagadnęła Winter.

– Hmm? – mruknął Janus, nie otwierając oczu.

– Czy słusznie uczyniłam?

– Naprawdę oczekujesz ode mnie odpowiedzi na to pytanie, pułkowniku?

Winter się zastanowiła.

– Nie. Chyba nie.

– To dobrze.

– Mogę zadać inne?

– Oczywiście – odparł.

– Ukrył mnie pan za parawanem z rozmysłem, prawda?

Janus otworzył swe wielkie szare oczy i w półmroku spojrział na Winter.

– Tak.

– Dlaczego? Jeśli tego pan chciał, czemu mi pan po prostu nie powiedział?

On cię wykorzystuje, Winter, i omotał cię tak, że powiesiłabyś się dla niego, z uśmiechem wkładając głowę w pętlę...

– To... – Janus urwał. – Trudno to wyjaśnić.

Winter nic nie powiedziała.

– W pewien sposób – rzekł w końcu – jesteś lepszym oficerem, niż ja kiedykolwiek będę. Mogę dowodzić armią, ale nigdy nie będę jej częścią. Jestem zbyt... inny. – Westchnął. – Wydaje mi się, że widzę sposób na coś, i dla mnie jest to takie oczywiste, ale inni nie wiedzieć czemu nie potrafią tego ogarnąć. To coś, z czym zmagam się przez całe życie. Myślę, że wiem, co robić teraz, i pomyślałem, że armia może mnie poprzeć. Gdybym się jednak mylił i nie umiał... co często mi się zdarzało... zrozumieć innych ludzi, wtedy armia Wschód by się rozpadła. Nie mogłem na to pozwolić. Dlatego tobie pozostawiłem decyzję. Ty rozumiesz... co czują zwykli żołnierze, a ja nie. Dałem ci okazję przekonać, że zdołasz ją wykorzystać, jeśli uznasz, że to słuszna decyzja.

– A gdybym zdecydowała inaczej? – spytała Winter.

Janus znów zamknął oczy.

– Wtedy zabraliby mnie do Vordanu i zapewne w końcu stracili. Wysłałem kapitanowi d’Ivoire odpowiednie instrukcje na taką ewentualność.

Znów zapadła długa cisza.

– Powiedział pan, że wie, co robić – cicho rzekła Winter. – Co się stanie teraz?

Janus uśmiechnął się, tym przelotnym uśmiechem krótkotrwałym jak letnia błyskawica.

– A jak myślisz, pułkowniku? – odparł. – Wrócimy do domu. Wszyscy.

Powóz z turkotem zatrzymał się przed linią wart, gdzie pomimo wysiłków oficerów próbujących utrzymać sprawę w tajemnicy zebrał się tłumek. Janus wysiadł pierwszy i na jego widok wybuchły owacje. Wywijano w powietrzu muszkietami, a zamocowane na nich bagnety groźnie błyskały.

Nie mają pojęcia, czym jest polityka, pomyślała Winter, patrząc na podekscytowanych ludzi. Nie obchodzi ich Dyrektoriat czy Zjazd Generalny. Oni wiedzą tylko, że ten człowiek zawsze prowadzi ich do zwycięstwa. Pod jego przywództwem rozbili przeważające siły Ligi Wolnych Miast i bez jednego wystrzału zajęli niezdobytą twierdzę Antovy.

Stojący w drzwiach powozu Janus obejrzał się na Winter i lekko skinął głową, jakby w podziękowaniu. Zeskoczył i otoczony przez wiwatujących żołnierzy wrócił do swej armii. Dopiero kiedy większość tłumu odeszła, Winter zobaczyła czekającą Abby. Dziewczyna zaciskała nerwowo zęby, co oznaczało, że stało się coś bardzo złego.

Też zeskoczyła, czując ściskanie w dołku. Abby zasalutowała jej sprężysto, a Winter machnęła ręką.

– Przepraszam, pułkowniku – powiedziała Abby. – Nie mogłam jej zatrzymać.

– Co się stało? – spytała Winter. – Ktoś ostrzegł de Ferre’a? Doszło do walki?

– Co? – Abby zamrugła. – Och, nie. Nic takiego. Gwardziści praktycznie poddawali się na wyścigi. Myślę, że ktoś naopowiadał im dziwnych historii o Pierwszym Dziewczęcym, bo wyglądali, jakby się spodziewali, że rozszarpiemy im gardła zębami. De Ferre strasznie przeklinał, ale Graff wepchnął mu skarpetę do ust i przestał. – Przełknęła ślinę. – Nie, chodzi o Jane.

– Och, święci i męczennicy. – Winter westchnęła ciężko. – Gdzie ona jest? Porozmawiam z nią.

– Odeszła. Zabrała tuzin Skórzanych Kurtek i tyle samo koni. W tym zamieszaniu nikt nie próbował jej zatrzymać.

– Odeszła? – Winter potrząsnęła głową, jakby próbując dopasować do czegoś to stwierdzenie. – Dokąd?

– Jak najdalej od armii – powiedziała Abby.

Jak najdalej od Janusa, pomyślała Winter. I ode mnie.

CZEŚĆ CZWARTA

Szara Róża

Teren posiadłości Koniczynka nad Ost ciągnął się od samego domu – trzypiętrowego, z licznymi wieżyczkami – aż do rzeki, stopniowo rozszerzając się tak, że obejmował spory odcinek brzegu. Były tam pagórki, łagodnie nachylone łąki i brukowane alejki biegnące tak, że można było podziwiać zapierające dech piękne widoki, oraz kępy starannie przycinanych drzew z posadzonymi wokół w pozornym nieładzie kwiatami. Oczywiście większość tych roślin była teraz zbrązowiała i zeschnięta, a parasole ogrodowe pochowano na zimę, ale było jeszcze na tyle ciepło, żeby odbyć przyjemny wieczorny spacer, kiedy nie padało.

Sothe nie chodziła tam dla przyjemności, rzecz jasna, ani nie zanieczyściła tego obowiązku, jeśli padał deszcz. We wszystkich strategicznych punktach rozległej posiadłości rozmieściła ludzi pilnujących głównych dróg podejścia oraz kilku innych, jakie mógłby ktoś wymyślić. Na swojej zmianie mieli być przytomni i czujni, a Sothe lubiła ich do tego zachęcać nieoczekiwanymi inspekcjami. Dodatkową ich zaletą było to, że mogła poćwiczyć umiejętność podchodzenia, którą niebezpiecznie zaniedbała na służbie u Raesinii. Uważała za swoją porażkę, jeśli któryś z wartowników nie drgnął, zaskoczony jej dyskretnym kasznięciem.

Mięknę, powiedziała sobie, podążając wzdłuż nierówności terenu, która zasłaniała ją (miała nadzieję) przed czujnym wzrokiem następnego wartownika. Robię się miękka.

I stara, oczywiście. To była gra dla młodej kobiety, a Sothe czuła już zapach wieku skradającego się za nią jak niewidzialny, nieskończenie cierpliwy drapieжник. Nadal potrafiła podejść bezpańskiego kota lub zawisnąć na czubkach palców, ale nie była już tak szybka jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat. Właściwie było to naturalne – nikt nie jest w stanie wiecznie być w szczytowej formie – ale Sothe była przekonana, że częściowo jest to rezultatem zbyt wygodnego życia.

Dziewczyna, która przez tyle lat wykonywała brudną robotę dla Orlanki, która jak duch przemykała z cienia w cień i mogła godzinami czekać na odpowiedni moment do ataku, ta dziewczyna nigdy nie pozwoliłaby, żeby królowa była tak bliska śmierci. Na samą myśl Sothe czuła wzbierającą w gardle kulę żółci; ten huk eksplozji i nagłe zrozumienie, że prawie im się udało. Mięknę.

Tak więc skradała się po terenie Koniczynki nad Ost, podchodząc własnych ludzi, starając się podkradać tak, jak robiłby to intruz. Sprytny, cierpliwy, wprawny intruz, ktoś znający zabezpieczenie i nieobawiający się przyplącić sukcesu śmiercią. Innymi słowy, ktoś taki jak ona.

Wybrała Koniczynkę nad Ost, posiadłość podarowaną Koronie przez rodzinę zmarłej królowej, ponieważ jej oddalenie i niezwykle rozległy teren uwiarygodniały iluzję, którą zamierzała stworzyć. Służba była tak liczna, jak dom był duży, a Sothe zadbała, by dać różnym jej zespołom sprzeczne polecenia dotyczące sprzątnięcia, posiłków i prania. W zamieszaniu, które z tego wynikło, pościel zmieniano czasem dwukrotnie w ciągu dnia albo wcale, posiłki dostarczano nie do tego pokoju, a ubrania niszczone wielokrotnym praniem, tak więc łatwo było ukryć fakt, że nikt nie zjadał posiłków i nie spał w łóżkach.

Wszyscy wiedzieli, że królowa jest w domu. Oczywiście nikt jej nie widział, ale każdy słyszał o tym od kogoś, kto ją spostrzegł, albo znał kogoś, kto miał kuzynkę, która myła okno, gdy Jej Królewska Mość skręciła za róg, albo...

To była prosta gra, niemal dziecinna. Sothe grała w nią z przyzwyczajenia. Rozplotkowana służba była mniejszym zmartwieniem niż szpiedzy wysłani przez Dyrektoriat, oficjalnie czy nie. Udaremniała ich zamiary, otoczywszy dom kilkoma liniami wart – co łatwo było usprawiedliwić troską o bezpieczeństwo królowej – oraz dzięki jawnemu przekupstwu. Agenci Mauriska pisali długie, szczegółowe raporty nieświadomi, że kurierzy, zamiast mu je dostarczać, przekazują je Sothe, która w razie potrzeby dokonywała odpowiednich poprawek. Mając do czynienia z tak prymitywnym szyfrem, jakim były napisane, analitycy Ostatniego Diuka skrzywiliby się pogardliwie.

Standardy, pomyślała Sothe, zdecydowanie się obniżyły od tamtych czasów. Orlanko był złośliwym, podstępny i opętany żądzą władzy draniem, ale nikt nie mógł powiedzieć złego słowa o skuteczności jego organizacji. Sothe zawsze szanowała skuteczność.

Wartownik, do którego się skradała, miał posterunek w cieniu wielkiego rozłożystego dębu; suche liście, leżące wokół, kusząco utrudniały podejście. Przeszła po nich, stąpając tak powoli i ostrożnie, jakby wcale się nie poruszała. Widziała sylwetkę wartownika opartego o pień i spoglądającego w kierunku rzeki. Sothe była tak pochłonięta podkradaniem się, że dopiero po chwili zauważyła kompletny bezruch tej postaci i poczuła niesiony przez wiatr zapach krwi.

Zastygła, a potem przebiegła kilka ostatnich kroków, rozrzucając stopami i deptając liście. Wartownik – chudy, niezgrabny mężczyzna – był przyszpilony do pnia, z gardłem poderżniętym jak wieprzek w jatce. Sothe tylko rzuciła na to okiem, a potem ruszyła w górę zbocza, ku domowi.

Żaden z agentów Dyrektoriatu nie ośmielił się podjąć takich jawnych działań, przynajmniej dotychczas. Były jednak inne siły interesujące się vordanajską królową, które mogły nie być tak delikatne. Borel, Murnsk i Hamvelt z pewnością miały w stolicy swoich agentów i zwłaszcza przed hamveltajskim Kommerzintem – chociaż w fachowej ocenie Sothe mocno przecenianym – należało jednak mieć respekt.

Zabił wartownika. Tak więc ten ktoś nie zamierza długo po zostać niewykryty. Zwłoki zawsze powodują alarm, swoją obecnością lub nieobecnością. Zatem albo sprawdza zabezpieczenia, albo chce się wdrzeć do środka, nie przejmując się, czy stamtąd wyjdzie.

Truchtem pokonała odległość dzielącą ją od domu, przemykając po żwirowej ścieżce oddzielającej go od ogrodu i kierując się do najbliższych drzwi. Złudzenie trzeba podtrzymać za wszelką cenę, nawet w nagłych wypadkach, a gdyby królowa naprawdę tu była, to Sothe po odkryciu ciała wartownika najpierw upewniłaby się, czy Raesinia jest bezpieczna. Tak więc taki będzie pierwszy krok, potem cichy alarm i próba schwytania tego, kto ośmielił się...

Przy drzwiach we dnie i w nocy stali dwaj wartownicy. Teraz obaj byli martwi, rozciągnięci na żwirze. Rany klute, głębokie i precyzyjne. W pobliżu leżał pistolet, który zdążył wyrwać zza pasa jeden z nich.

To nie ma sensu. Są znacznie łatwiejsze sposoby dostania się do domu. Rezydencja była za duża do upilnowania, a intruz łatwo mógł się wspiąć i dostać do środka, nie nawiązując ryzykownej walki. Tak więc albo jest szaleńcem, albo...

Przestąpiła przez ciała, pchnęła drzwi i ruszyła labiryntem przejść dla służby ku schodom. Po kilku zakrętach napotkała następne zwłoki, nastoletniej pokojówki z raną kłutą na skroni, tuż przy uchu. Srebrna taca leżała tam, gdzie ją upuściła.

Szalaniec, który wie, co robi. Ta młoda kobieta nawet nie zdążyła krzyknąć. Sothe jak duch przemknęła obok ciała i schodami dla służby na drugie piętro. Kolejne dwa ciała, następnej pokojówki i służącego, leżące jedno na drugim, tak jak bezwładnie upadli razem. Na twarzy młodzieńca malowało się tylko zdziwienie.

Pokoje królowej znajdowały się na trzecim piętrze. Kimkolwiek był intruz, podążał prosto do celu, nie próbując się ukrywać i po prostu uciszając każdego, kto stanął na jego drodze. Drzwi do apartamentów królowej były zawsze zamknięte i Sothe nie zdziwiła się, widząc, że teraz są rozwalone kopniakiem. Nie jest subtelny. Za to skuteczny, dziwnie skuteczny...

Podkradła się do drzwi zadowolona, że zdarzyło się to, kiedy robiła obchód, odpowiednio uzbrojona i ubrana, nie w niewygodnym stroju królewskiej ochmistrzyni. Żadna deska nie zatrzeszczała pod jej stopami, a gruby dywan bezszelestnie tłumił ostrożne kroki. Przycisnęła się do ściany obok drzwi i nasłuchiwała.

Odgłos kroków. Intruz był w następnym pokoju, królewskiej sypialni przylegającej do salonu. Dźwięk się zmienił, gdy wszedł do łazienki, stukając butami o marmur, po czym wyszedł. Szuka.

Teraz było jasne, że ten człowiek musi umrzeć. Sothe chętnie schwytałaby go i dowiedziała się, kto go przysłał, ale poziom jego umiejętności wykluczał takie ryzyko. W swoim obcisłym kostiumie miała pół tuzina noży do rzucania oraz dwa dłuższe sztylety w nasmarowanych pochwach tuż poniżej karku. Wyjęła jeden z mniejszych, doskonale wyważony kawałek stali, tylko trochę większy od jej dłoni i z końcem cienkim jak igła. Kroki zbliżały się – intruz wracał do drzwi sypialni. Usłyszała skrzypnięcie, cichutkie, gdy je otworzył...

Nie sprawdzając tego, wychyliła się zza drzwi i rzuciła nożem. Celowała tam, gdzie zwykły człowiek ma środek piersi, gdyż tak jest najbezpieczniej w wypadku błyskawicznego rzutu. Rana nie będzie śmiertelna, ale taki jest charakter działań zaczepnych, a przyda się spowolnić intruza.

Dziwne, ale nie usłyszała żadnego dźwięku, ani głuchego uderzenia ostrza w ciało, ani stuknięcia o drewno. Może się uchylił i trafił w łóżko. Już robiła następny ruch, odpychając się od ściany i przeskakując na drugą stronę drzwi. Było to stosunkowo bezpieczne; nawet jeśli czekał na nią, poruszała się zbyt szybko, by zdołał ją trafić, i mogła zerknąć na niego oraz pokój.

Przelatując, zobaczyła kogoś w czarnym stroju na drugim końcu salonu, w drzwiach do sypialni – dokładnie tam, gdzie się spodziewała. Na twarzy miał czarną maskę, która lekko migotała, jakby pokryta kawałeczkami czarnego szkła. Bardziej zaniepokoiła Sothe jego postawa, z wyciągniętą prawą ręką, jakby kończył rzut.

Coś mocno uderzyło ją w bok, pozbawiając impetu. Złapała się futryny i wciągnęła za nią, znikając mu z oczu, lecz zdążyła zobaczyć lewą rękę intruza uniesioną na wysokości piersi. W palcach błyszczała stal – chyba jej noża złapanego w powietrzu. To przecież niemożliwe.

Niezgrabnie uderzyła o ścianę i przycisnęła się do niej, obok rzeźbionego stołu. Dotknęła ręką boku i znalazła metalową rękojeść noża do rzucania podobnego do jej noży. Ostrze głęboko utkwilo w jej ciele.

Już czuła rozchodzący się z tego miejsca ból i zignorowała go z szorstką, dwudziestoletnią wprawą. Jej serce chciało bić mocniej, a oddech przyspieszyć. Odmówiła im tego, zachowując trzeźwy umysł. Sytuacja niezgodna z oczekiwaniami. Ponów ocenę.

Pierwszy krok: oszacować straty. Wyrwała nóż, zrobiła głęboki wdech i beznamiętnie oceniła wywołany tym ból. Znośny. Sądząc po głębokości i umiejscowieniu, rana nie obniży w znacznym stopniu jej sprawności, a utrata krwi pozostanie w dopuszczalnych granicach.

Drugi krok: ocena zagrożenia. Ten rzut był niewiarygodny. Nóż zranił ją w tym krótkim jak mgnienie oka momencie, gdy przelatowała na drugą stronę drzwi. To oznaczało, że przeciwnik rzucił go wcześniej, tak wyliczając czas, żeby trafić ją w ruchu. Nie sądziła, że potrafiłaby to zrobić, nawet gdyby wiedziała, że ktoś przemknie z jednej strony drzwi na drugą i czekała na to. Co oznacza, że nikt nie zdołałby tego dokonać.

I mój nóż... on go złapał. Zawsze opowiadano różne historyjki o ludziach tak szybkich, że potrafią złapać rzucony w nich nóż, ale eksperymenty i doświadczenie nauczyły Sothe, że nikt nie jest aż tak szybki – chyba że ma szczęście. On mi nie wygląda na szczęściarza.

Ta czarna maska też była sygnałem ostrzegawczym. Niedecydującym, oczywiście – każdy może założyć maskę, po to one są – tylko ile osób mogło używać właśnie takiego wzoru?

Wniosek: czary. Przeciwnik był Przeklętym Penitentem, zabójcą posiadającym nadludzką moc.

Ewentualne przeciwdziałania: niejasne. Być może zdołałaby go pokonać pomimo jego ewidentnej przewagi. Przez te wszystkie lata Sothe pokonała wielu mężczyzn (i wiele kobiet), często kiedy przeciwnicy uważali, że zapędzili ją w kąt. Bywała raniona, głodzona, torturowana, atakowana przez wrogów silniejszych i lepiej uzbrojonych. W końcu zawsze pokonywała wszystkich.

Swędziały ją ręce, żeby wyjąć noże z pochew na plecach, wpaść do komnaty i sprawdzić, czy intruz równie dobrze walczy wręcz, jak rzuca nożem. Zrobiła jednak głęboki wdech, czując, jak krew wypływa jej z rany, i zaczęła.

Nie. Priorytety. Najważniejsze jest zadanie. A jej zadaniem było podtrzymać złudzenie, że Raesinia tu jest. Mogła je wykonać, tylko zabijając tego człowieka, a nawet wtedy mistyfikacja mogła wyjść na jaw w zamieszaniu wywołanym tą rzezią. Cel drugorzędny. Jeśli nie da się wykonać głównego zadania, powinna ostrzec Raesinię, że oszustwo wyszło na jaw. Nie mogłaby tego zrobić, gdyby intruz ją zabił.

Rozwiązanie było oczywiste. Odwrót. To raniło jej dumę, ale duma nie była ważna. Najważniejsze jest zadanie.

Decyzja podjęta, jak jednak ją zrealizować? Schody za nią były dobrze widoczne przez drzwi. Były drugie, ale musiałyby przebiec przez salon i intruz zapewne zdołałby ją zatrzymać. Zatem okno. Najbliższe również znajdowało się w salonie, lecz znacznie bliżej.

Minęła najwyżej sekunda.

Złapała rzeźbiony stół za pajęczą nogę, zrzucając porcelanowe ozdoby, które z trzaskiem rozbiły się na podłodze. Trzymając go przed sobą jak tarczę, wpadła do pokoju. Jeden nóż stuknął, wbijając się w blat, i Sothe schowała głowę, widząc, że mężczyzna w czerni zamachnął się do następnego rzutu. W następnej chwili ostrze ze świstem przeleciało jej nad głową.

Rzuciła stołem, niecelnie, ale wystarczająco, by musiał uskoczyć z powrotem do sypialni. Zyskała moment, by przetoczyć się w bok, wstać z nożem w ręku i cisnąć nim tam, gdzie musiał stanąć, żeby zaatakować. Uchylił się, pozwalając, by ostrze zadrasnęło mu policzek, chybiając o włos, po czym wyrwał z pochwy następny nóż.

Sothe odbiła się z obu nóg i skoczyła głową naprzód w okno. Było czteroczęściowe, z drewnianym szprosem, ale impet wystarczył, by rozleciało się z trzaskiem. Przez moment leciała w chmurze odłamków szkła i poczuła, jak kaleczą jej policzki i czoło. Spadała.

Pod oknami trzeciego piętra ciągnął się spadzisty dach drugiego. Sothe spadła nań i potoczyła się po drewnianych gontach. Krawędź dachu była tuż przed nią, potem upadek z czterech metrów na ozdobne krzewy i szybki sprint do stajni. Zerwała się z ziemi i rzuciła...

Następny nóż trafił ją w pół skoku. Nie, nie, nie. Nikt nie rzuca tak celnie. To niemożliwe. To był doskonały rzut, zabójczy, wymierzony tuż pod jej lewą pierś i między żebra – prosto w serce. Sothe wpadła na żywopłot, potknęła się i runęła jak długa na ziemię.

Nie czuła bólu, chociaż skaleczenia na policzku i czole już dawały o sobie znać. Jednak chyba nie umarłam. Serce, teraz spuszczone ze smyczy, mocno łomotało jej w piersi.

Ostrożnie podniosła rękę i nie namacała żadnego noża tkwiącego między żebrami. Dotknęła miejsca, w które trafił, i zadrasnęła się w palec o odłamek szkła. Kiedy usiadła, kilka innych osypało się z niej kaskadą.

Część tego okna uwięzła w moim ubraniu. Również tu, nad sercem, dokładnie tam gdzie...

Szczęściara. Przez moment miała wrażenie, że jeśli ośmieli się odetchnąć, cały świat wokół niej się zawali.

Znów wzięła się w garść, wstała i ruszyła, przy czym osypały się z niej następne kawałki szkła. W stajni były konie, a świeże na zmianę czekały w kilku gospodach po drodze do stolicy Vordanu. Ten obrót wydarzeń nie był zupełnie nieoczekiwany, chociaż spodziewała się raczej małej armii niż jednego intruza.

Tak czy inaczej ta gra jest zakończona. Trzeba ostrzec Raesinię.

Dyrektoriat Obrony Narodowej

Przewodniczący Dyrektoriatu Obrony Narodowej, a zarazem minister wojny spojrzął nad biurkiem na generała de Ferre'a i zobaczył przed sobą trupa. De Ferre zawsze miał nadwagę, ale po ostatnich nieszczęściach została z niego połowa: obwisłe policzki i podbródek oraz zapadnięty brzuch. Natomiast jego mundur był wyczyszczony i nienagannie wyprasowany.

Maurisk podniósł stojący na biurku kieliszek i wychylił resztę wina. W Vordanie mogło zabraknąć brandy, ale wina był mnóstwo, a w wyniku duszącej eksport blokady nawet najlepsze roczniki wyprzedawano za taką cenę, jaką udawało się uzyskać. Ten trunek został nalany z pokrytej grubą warstwą kurzu i szacownie wyglądającej butelki, lecz dla wypalonego podniebienia Mauriska równie dobrze mógł to być rozcieńczalnik do farb. Mimo to wypił go.

– Puścił cię – rzekł Maurisk, odstawivszy kieliszek.

– Tak, panie przewodniczący.

– Dlaczego?

– Powiedział... – De Ferre urwał i nabrał tchu. – Powiedział, że chce mieć pewność, że pan wie, iż on nadchodzi, panie przewodniczący. Poprosił mnie, żebym powiedział panu o wszystkim, co widziałem.

– Ach tak? – Maurisk postukał palcem w biurko. Żałosne. – Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, jak to musi wyglądać z... mojej strony biurka? Do kompletnego fiaska pańskiej misji dochodzi podejrzenie... współdziałania.

– Jestem tego świadomy, panie przewodniczący.

– Czy ma pan coś w tej sprawie do powiedzenia?

– Mogę jedynie zapewnić, że wszelkie takie zarzuty są nieprawdziwe, panie przewodniczący. Jestem najbardziej lojalnym żołnierzem tej armii. Jeśli jest ktoś, kto twierdzi inaczej, proszę o zezwolenie na spotkanie się z nim na ubitej ziemi.

– Rozumiem. – Maurisk znów postukał palcem. De Ferre przełknął ślinę. – Przemyślę to. Na razie jest pan wolny, ale niech pan będzie... osiągalny.

De Ferre wyglądał na zdziwionego, przerażonego i uspokojonego jednocześnie. Zasalutował, trzaskając obcasami, i opuścił gabinet tak szybko, jak pozwalała mu jego buta. Kellerman otworzył mu drzwi i dyskretnie wśliznął się do środka, gdy generał wyszedł.

– Mam wystawić nakaz aresztowania, panie przewodniczący?

Kącik ust Mauriska uniósł się w czymś, co niegdyś mogło być uśmiechem.

– Nie – odparł z westchnieniem. – Nie, nie sądzę. Podejrzewam, że jeszcze nam się przyda. W końcu jest jedynym wojskowym, co do którego mam pewność, że nie przejdzie na stronę Vhalnicha. – Znów usiadł za biurkiem, patrząc na pusty kieliszek. – Każ Zacarosowi rozpocząć realizację naszego małego planu zapasowego. Ma mieć wolną rękę.

– Tak jest, panie przewodniczący.

– I przygotuj rozkazy dla pułkownika dowodzącego w Orlanie. Napisz, że w żadnym wypadku nie może pozwolić armii Wschód przejść przez przełęcz. Niech spali łodzie, mosty, miasto, nie obchodzi mnie to. Napisz, że jeśli Vhalnich zejdzie z gór, osobiście dopilnuję, żeby on i wszyscy jego podkomendni pożałowali, że nie zginęli na polu bitwy.

– Tak, panie przewodniczący. Jeszcze coś?

– Nie. – Zbolały uśmiech wrócił na wargi Mauriska. – Tak. Poślij kogoś, niech sprowadzi mi wydawców i dziennikarzy. Musimy mieć pewność, że opinia publiczna zostanie dobrze poinformowana.

Dwadzieścia

Raesinia

Janus. Przed tygodniem ludzie rozmawiali o cenie chleba, przebiegu wojny, głupocie Zjazdu Generalnego lub wywołanych blokadą kłopotach z nabyciem kawy i cukru. Teraz wszyscy chcieli mówić tylko o jednym, chociaż szeptem lub za zamkniętymi drzwiami. O Janusie.

Nadchodził, mówili, z trzydziestoma tysiącami zaprawionych w bojach weteranów armii Wschód lub z kilkuset na pół zagłodzonymi niedobitkami. Hamveltajska armia została rozproszona na cztery wiatry albo ścigała go przez przełęcz, albo maszerowała z nim w sojuszu. Zwerbował armię kobiet, żywiących się ciałami zabitych nieludzkich stworzeń odmienionych czarami, których nie imają się kule z muszkietów. Sam był demonem, agentem Kościoła Zaprzysiężenia, szpiegiem Hamveltu, Borel lub Murnska.

Jednak nadchodził. Z tym wszyscy się zgadzali.

Wieści powoli rozchodziły się po mieście, wśród zalewu innych pogłosek o tym, co zdarzyło się pod murami Antovy. Wszystkie gazety powtarzały zatwierdzoną przez Dyrektoriat wersję: że Janus przeszedł na stronę wroga jak de Brogle i przyłączył się ze swoją armią do Ligi Wolnych Miast. Przyznawano, że maszeruje na Vordan, ale lojalne oddziały wojska gromadzą się, żeby go powstrzymać, i jest tylko kwestią czasu, kiedy zostanie schwytyany lub przynajmniej zmuszony do odwrotu.

Ludzie, których słyszała Raesinia, nie byli tego tacy pewni. Powszechnie zgadzano się, że Janus jest najlepszym dowódcą vordanajskiej armii – czy jakiegokolwiek armii, jak mówili niektórzy – i szanse pospiesznie zbieranych sił w starciu z nim (wspieranym przez Hamveltajczyków, może czarowników, wampiry w postaci kobiet albo jednych i drugich) są nikłe. Jeśli dotrze do miasta... co wtedy?

Jedni mówili, że będą walczyć o każdy dom i ulicę, jeśli będzie trzeba. Gwardia Patriotyczna rozpoczęła werbunek do milicji Obrony Cywilnej, czyli band obwiesi uzbrojonych w różnoraką prowizoryczną lub przestarzałą broń. Te oddziały, natychmiast nazwane „ockami”, miały utrzymywać porządek w większości dzielnic miasta. Raesinia słyszała, że na północnym brzegu sytuacja jest napięta, lecz opanowana, i regularne patrole milicji przywróciły namiastkę normalnego życia. Wyspa i Giełda były domeną Gwardii Patriotycznej, która pilnowała wszystkich mostów i przystani.

Na południowym brzegu rzeki jednak sprawy wyglądały inaczej. Mandat na utrzymywanie spokoju dawał przecież możliwość jego naruszenia i milicjanci zaczęli się bogacić kosztem swoich sąsiadów. Ceny żywności rosły, gdyż ocki nakładały naprędce wymyślone „podatki” lub po prostu żądały opłat za ochronę.

Na południowym brzegu byli tacy, którzy mówili, że niecierpliwie oczekują dnia, gdy Janus wmaszeruje ze swoimi oddziałami do Vordanu. To Janus i królowa już raz uratowali Vordan i teraz, kiedy Dyrektoriat okazał się równie zły jak Orlanko, wraca, żeby zrobić to ponownie. On przepędzi polityków i zdrajców, zakończy wojnę, zniesie blokadę i sprawi, że ulice znów będą bezpieczne. Kiedy przybędzie, szeptano, pośle Mauriska na Kolec, ożeni się z Raesinią i

zasiądzie na tronie.

Raesinia zdołała przyjąć tę ostatnią plotkę ze spokojem. W końcu może do tego dojść. Gdyby Janus zażądał tronu, popierany przez armię, nie była pewna, czy zdołałaby odmówić. Co gorsza, nie była pewna, czy powinna. To ona rozpoczęła rewolucję, żeby odebrać władzę Orlance i dać ją ludowi. Tylu zginęło – również jej przyjaciele – żeby uwolnić Vordan od tyranii. A potem, gdy wybuchła wojna, wybrani przedstawiciele ludu chętnie oddali to wszystko w ręce komuś takiemu jak Maurisk. Może Vordanowi byłoby lepiej pod rządami Janusa. Jakiegokolwiek miał wady, nikt nigdy nie zarzucał mu braku kompetencji.

Teraz na placu Triumfu Farusa publiczne egzekucje odbywały się codziennie, w liczbie niemal przekraczającej wydajność Kolca, i przyciągały olbrzymie szydzące tłumy. Już nie udawano, że oskarżeni są szpiegami; teraz byli zdrajcami, którzy wyrazili się pochlebnie o Janusie, krytykowali rząd lub po prostu zostali wskazani przez nadgorliwych czy mściwych sąsiadów.

Ona, Marcus i Feor wrócili do kościoła pani Feldy po ucieczce przed Przeklętym Penitentem i przez kilka następnych dni przyczaili się tam, oczekując następnego ataku. Feor była prawie nieprzytomna, wyczerpana i gorączkująca, tak więc pani Felda zajęła się kurowaniem jej. Marcus wypytywany przez Raesinię powiedział jej, czego się dowiedział o Stalowym Duchu podczas kampanii w Khandarze, czyli niewiele.

Gdy stało się oczywiste, że żaden olbrzym w czarnej masce nie rozbije drzwi kościoła, powstało pytanie, co mają teraz zrobić. Prowadzili niekończącą się ogólnikową dyskusję, w której było zbyt wiele niewiadomych, gdy nadeszły wieści o nadciągającym Janusie.

– Marcusowi się to nie spodoba – powiedziała Andy.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, Marcus nie był królową tego kraju – powiedziała Raesinia. Popatrzyły po sobie i Andy wyraźnie powstrzymywała śmiech. – Ponadto ma pełne ręce roboty. Ktoś musi myśleć o tych ludziach.

Kościół pani Feldy się zapełniał. Część cudzoziemców, głównie Hamveltajczyków, odesłano do ojczyzny w transportach z zaopatrzeniem, ale ostatnio ich miejsce zajęli Vordanajowie. Ludzie z Doków lub Nowego Miasta, zmuszeni do opuszczenia swoich domów przez nałożone przez ocków podatki lub uciekający przed oskarżeniem o zdradę. Pani Felda i jej wolontariusze ledwie mogli ich wykarmić i znaleźć dla nich miejsce do spania, a prędzej czy później Gwardia Patriotyczna lub milicja dowie się o kościele. Już sam fakt, że budynek jest pełen borelgajskich kobiet i dzieci, wystarczyłby, żeby posłać na Kolec panią Feldę, jej rodzinę i każdego, kto im pomagał.

Jeśli czegoś z tym nie zrobimy. Andy przystanąła przed drzwiami i Raesinia spojrzała na zawieszony nad nimi szyld głoszący, że lokal zwie się Złączone Obrączki. Psi szkielet przymocowany drutem do deski zdołał posłać Raesinii rozzłoszczone spojrzenie.

Andy wyprostowała się i pchnęła drzwi. Raesinia weszła za nią.

Ostatnio robiła coś takiego w Fusach, w tej cieplarni intelektualistów i skupisku takich lokali jak Niebieska Maska. Wino lało się tam galonami, ale zawsze było mniej ważne od idei. Ludzie przychodzili tam spierać się o istotne kwestie prawa i natury człowieka, w towarzystwie innych osób rozumiejących wagę takich spraw.

Natomiast Złączone Obrączki był lokalem, do którego ludzie przychodzili się upić. Był ciemny, oświetlony tylko paroma świeczkami na stolikach i blaskiem kominka na końcu sali, a

śmierdział głównie dymem i winem, ze słabą domieszką szczyń. Stoły były wielkie i ciężkie, zbudowane jak okręty, w szramach i plamach od wieloletniego używania. Zamiast krzeseł były skrzynki, beczki oraz kilka desek pozbijanych przez kogoś, kto nie dba o wygody. Nie było tam baru, tylko trzy kobiety w kolorowych strojach krążące nieustannie między główną salą a zapleczem i przynoszące klientom gliniane dzbany.

Raesinia domyśliła się, że klienci to mieszkańcy Doków. Wszyscy byli podobni do siebie: potężnie zbudowani mężczyźni o szerokich barach i muskularnych rękach, ubrani w skóry i zainteresowani tylko pić. Nie było słycać gwaru rozmów, tylko sporadyczne pomruki lub grzechot kości dobiegający od stolika, przy którym kilku klientów rzucało nimi w posępnym milczeniu. Poza kelnerkami nie było tu żadnych kobiet.

– Powtórz mi – mruknęła pod nosem Raesinia – co my tu robimy?

– Szukamy ludzi, których znałam – odparła Andy. – Po prostu idź za mną.

Raesinia czuła na sobie spojrzenia rzucane im znad kufli i spod rond kapeluszy. Andy pewnie lawirowała między stołami, ignorując gapiów, a Raesinia trzymała się blisko niej.

– Hej – powiedział jeden z mijanych. – To chyba nie Tycia Andy, co?

Andy nie odpowiedziała, lecz błyskawicznie wyciągnęła rękę i złapał ją za przegub. Raesinia się spięła. Mężczyzna był stary i gruby, z siwymi włosami wystającymi spod czapki. Patrzył zażawionymi oczami, usiłując skupić wzrok.

– O tak! – powiedział. – Pieprzona Tycia Andy. Zwijałaś dla mnie chleb z wozów na Zielonej Drodze. – Zwrócił się do swych kompanów, którzy podnieśli głowy. – Tycia Andy miała najzręczniejsze palce w Dokach. – Zniżył głos do ochryplego szeptu. – I najlepszy język. Potrafiła nim...

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Harry – powiedziała Andy, nakrywając jego dłoń swoją. – Jednak obawiam się, że jestem trochę zajęta.

– Oj, nie bądź taka – rzekł Harry, przyciągając ją bliżej. – Ile to już, siedem lat? Nie masz czasu napić się ze starym Harrym? – Zmierzył ją wzrokiem. – I urosły ci cycki, no nie? Założę się, że teraz dobrze byś się pieprzyła, co ty na to? Przez wzgląd na dawne czasy. Kiedyś tylko za dwa, ale założę się, że teraz...

– Jeśli mnie nie puścisz – powiedziała uprzejmie Andy – połamię ci palce.

– Hę? – Wyraz twarzy Harry'ego powoli się zmienił, gdy jej słowa dotarły do jego zamroczonego mózgu. – Co, kurwa? Ja tak po przyjaźni.

– Ja też. Jeszcze niczego ci nie zламаłam.

– Lepiej posłuchaj, Harry – mruknął jeden z pozostałych. – Słyszałem, że ona jest z Szaloną Jane.

Harry się odwrócił.

– Co z tego, kurwa? Szalona Jane wypierdzieliła na wojnę i szlag z nią. Stuknięta suka paradująca i rozkazująca wszystkim...

Czyjaś dłoń opadła na ramię Harry'ego. Należała do bardzo dużego mężczyzny o skórze jak wygarbowany rzemień i zacisnęła się na tyle mocno, że Harry drgnął.

– Jane wróci – powiedział wielkolud. – Do tego czasu nie chcę słycać takiego gadania.

Koledzy Harry'ego gwałtownie zainteresowali się zawartością swoich kufli. Harry spojrział na nowo przybyłego i z przerażoną miną puścił przegub Andy.

– Przepraszam, Orzeszku. Ja tylko... no wiesz. Chciałem pogadać ze starą znajomą.

Orzeszek na odchodnym ścisnął mu ramię i Harry zbladł jak prześcieradło.

– Przepraszam za to, Andy – powiedział olbrzym.

– Nie ma za co – powiedziała, rozcierając przegub. – Przyszłam tu do ciebie. Możemy porozmawiać?

Orzeszek dzielił stół na końcu sali z dwoma innymi mężczyznami, których przedstawił jako George'a Flaka i Kimającego Johna; rodowód pierwszego przydomka był oczywisty, a Raesinia nie była pewna, czy chciałaby poznać pochodzenie drugiego. Razem z Andy usiadły naprzeciwko tej trójki, Raesinia na podwiniętych nogach, żeby być trochę wyższa i sięgnąć brodą powyżej stołu.

– Nie wiedziałem, że wciąż jesteś w mieście – zwrócił się Orzeszek do Andy. – Myślałem, że pomaszerowałaś na wojnę z innymi.

– Pomaszerowałam, byłam ranna, spędziłam trochę czasu w szpitalu uniwersyteckim – wyjaśniła Andy. – Zanim wyzdrowiałam, już wymaszzerowali.

– Tym gorzej dla ciebie – stwierdził John. – Założę się, że wojsko ma lepsze wyżywienie. Piekarze znów dodają trocin do chleba, a handel szczurami kwitnie.

– Nie mam nic przeciwko szczurom – burknął George Flak. – Mam dobry przepis.

– Mieszkam u pani Feldy – powiedziała Andy. – A historie, które słyszę od przychodzących tam ludzi...

Orzeszek westchnął.

– To te pierdolone ocki. Gorszi od poborców. Przynajmniej poborcy nie byli nasi.

– Nawet gangi Starego Miasta mają kłopoty – dodał John. – Wciąż wybuchają tam bijatyki.

– A co ze Skórzanymi Kurtkami? – zapytała Andy.

– Mało kto z nich tam został – odparł Orzeszek. – Wszystkie dziewczęta poszły z Jane, a połowa chłopaków wstąpiła do wojska. Zostali tylko ci, którzy muszą wyżywić rodziny.

– To już coś, prawda? – zauważyła Andy. – Harry wyraźnie czuł respekt.

– Harry to kutas – odparł Orzeszek.

Raesinia nabrała tchu.

– Janus wraca – odezwała się.

Przy stoliku zapadła cisza.

– Trzeba uważać z takim gadaniem – mruknął w końcu John, przypatrując się swoim palcom.

– Wszyscy o tym wiedzą – powiedziała Raesinia. – A jeśli Janus wraca, to Jane i reszta razem z nim.

– Kto wie? – powiedział George. – Słyszałem, że on teraz pracuje dla Hamveltajczyków. Nie wyobrażam sobie, żeby Jane pracowała dla tych drani.

– Ponadto – rzekł Orzeszek – zatrzymają go w Orlanie. – Uśmiechnął się. – Co musi być prawdą, bo wyczytałem to w gazetach.

– Przyjdzie tu – powtórzyła Raesinia. – I będzie potrzebował waszej pomocy.

– Z całym szacunkiem, panienko – rzekł John – ale kim ty, kurwa, jesteś? To, że nosisz takie samo imię jak królowa, nie oznacza, że możesz nam rozkazywać.

Raesinia zerknęła na Andy.

– Rzecz w tym – powiedziała Andy – że nie jestem jedynym żołnierzem ukrywającym się u pani Feldy. Jest tam Marcus d'Ivoire.

– Ten kapitan Straży? – spytał George.

– Ten, który w Vendre nie pozwolił czarnym płaszczom strzelać – przypomniał Orzeszek. Jego oczy przybrały czujny wyraz. – Był prawą ręką Janusa w Khandarze, zgadza się?

– Zgadza – potwierdziła Raesinia. – I jest tu, żeby przygotować powrót Janusa.

John zmarszczył brwi.

– Jak przygotować?

– W Orlanie nie ma tylu oddziałów, żeby zdołały zatrzymać armię Wschód – powiedziała z udawaną pewnością siebie. – Dlatego Dyrektoriat uzbraja ocków. Dojdzie do walk i będzie źle. Janus będzie musiał się przedrzeć na Wyspę, a to oznacza Wielki Łuk.

Wprawdzie było to tylko przypuszczenie, ale jak najbardziej uzasadnione. Wszystkie inne mosty na rzece były małe i wąskie, Raesinia więc mogła sobie wyobrazić, jakim koszmarem byłaby próba ich zdobycia i przeprawa po nich. Natomiast Wielki Łuk, szeroki, mocny i płaski, był oczywistym wyborem dla armii usiłującej dostać się na Wyspę. Niestety, będzie to równie oczywiste dla obrońców, a droga do Wielkiego Łuku wiodła wprost przez Nowe Miasto i Doki.

Siedzący przy stole mężczyźni może nie mieli gruntownego wykształcenia, ale nie byli głupcami. Wszyscy widzieli zamieszki i potyczki wokół Vendre w czasie rewolucji i Raesinia wiedziała, że aż nazbyt dobrze są świadomi, co by oznaczał atak regularnego wojska na stanowiska obrony na ulicach wokół ich domów. Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Zdawało mi się, że gwardziści są bardziej ruchliwi niż zwykle – stwierdził John. – Od kilku dni ich wozy krążą po Wielkim Łuku i Zielonej Drodze.

– I co robią? – spytał George.

John wzruszył ramionami.

– Zakładają stanowiska obronne – odpowiedziała Raesinia. – Zwożą amunicję. I działa.

– Święci i męczennicy – mruknął Orzeszek.

– Pierdolone skurwiele – warknął John.

– Marcus chce coś z tym zrobić. – Raesinia wiedziała, że to niezupełnie jest prawda, ale Marcus za bardzo skupił się na chronieniu jej, a za mało przejmował się miastem zamieszkanym przez jej podwładnych. Tego by chciał, gdyby myślał trzeźwo. – Jednak potrzebna nam pomoc. Potrzeba nam wszystkich pozostałych w mieście Skórzanych Kurtek oraz tylu innych, ilu zdołacie zebrać.

Orzeszek spojrział na Andy, która zachęcająco skinęła głową, a potem na swoich dwóch towarzyszy. Zmarszczył czoło w namyśle.

– Jeśli... mówię... jeśli... mielibyśmy wam pomóc, co mielibyśmy zrobić?

– Pomóc nam powstrzymać ocków przed krzywdzeniem ludzi. – Raesinia się nachyliła do niego. – Przytułek pani Feldy jest pełen ludzi, którzy uciekli przed milicją i gwardzistami. Potrzebujemy dla nich bezpiecznych kryjówek, jedzenia, ludzi do pomocy. Ponadto... – Zawahała się. – Może moglibyście trochę powęszyc. Bez ryzykowania. Jednak gdybyśmy mogli przesłać Janusowi jakieś informacje, gdzie Gwardia ma stanowiska i co zamierza, to znacznie skróciłoby walki.

George marszczy brwi.

– Posłuchaj – powiedział John. – Masz dobre chęci, ale musisz zrozumieć, o co prosisz. Wszystko w porządku, jeśli Janus zwycięży, ale jeśli przegra? Gwardziści zapytają, kto mu pomógł, a ludzie zaczną mówić. Każdy z nas do końca roku może znaleźć się na Kolcu. Mam

żonę i dzieci, o których muszę myśleć.

– Dlaczego myślisz, że zostawią cię w spokoju, jeśli Janus przegra? – zapytała Andy. – Walczyliśmy z poborcami, walczyliśmy z czarnymi płaszczami i zdobyliśmy Vendre. Jeśli przeklęty Dyrektoriat myśli, że może nami pomiatać, to się myli.

– Wszyscy dobrze znacie gwardzistów – powiedziała Raesinia. – To banda łobuzów i tchórzy. Jeśli staną do walki z Janusem bet Vhalnicem i Szaloną Jane, na kogo postawicie?

Orzeszek spojrział na Johna, a potem znów na Raesinię. Powoli skinął głową i zacisnął wielkie pięści.

– Mam cię chronić – powiedział Marcus. – Taki rozkaz wydał mi Janus. A nie mogę tego robić, jeśli wciąż się wymykasz, ilekroć coś strzeli ci do głowy!

Byli na strychu kościoła, przygnębiająco wąskim i pozbawionym okien wnętrzu zapchanym zapomnianymi pudłami ze świątecznymi ozdobami i stertami modlitewników. Nieużywane od wielu lat obrusy i pościel zabrano dla przybywających uchodźców, wzruszając pokłady nagromadzonego kurzu, który teraz duszącą chmurą unosił się w powietrzu. Przy tej liczbie ludzi będących teraz pod opieką pani Feldy było to bodaj jedyne miejsce, gdzie mogli spokojnie porozmawiać.

– Trzeba to było zrobić – broniła się Raesinia. – Potrzebujemy Skórzanych Kurtek. A one zgodziły się pomóc!

– Ionkovo potrafi przechodzić przez ściany – przypomniał Marcus. – A ten potwór z Wierzbowego Potoku strząsał kule z muszkietów jak korki od szampana. Każdy z nich może się tu zjawić w każdej chwili!

– Jeśli tak, to dlaczego uważasz, że będę tu bezpieczna?

– Rozstawiłem warty – mruknął Marcus, ale najwyraźniej trafiła tym pytaniem w sedno. Równie dobrze jak Raesinia wiedział, że kilku na pół zagłodzonych uchodźców stojących na warcie z pałkami nie zatrzyma Przekłętego Penitenta. On oraz porucznik Uhlan byli tu jedynymi prawdziwymi żołnierzami i mieli tylko jeden muskiet plus parę pistoletów.

– Jednak masz rację – ciągnął zirytowany Marcus. – Naszą jedyną nadzieją jest nieujawnianie naszej obecności. A wychodzenie i rozmawianie z ludźmi w tym nie pomoże!

Teraz Raesinia się skrzywiła, ale miała gotową odpowiedź.

– Wieść o przytułku pani Feldy i tak rozniesie się prędzej czy później. Jeśli Skórzane Kurtki znów zaczną działać, nikt od razu nie skojarzy tego z nami.

– Zatem używasz ich jako zasłony?

– Pomagam ludziom.

– To nie jest częścią naszego zadania. – Marcus trwał przy swoim. – Janus kazał mi zaopiekować się tobą, a nie bronić miasta.

– Przystaniesz wciąż mówić o twoich rozkazach? – Raesinia się zdenerwowała. – Ja nie podlegam Janusowi, a nie mogę tylko stać i patrzeć. – Potrząsnęła głową. – Poza tym, jeśli sporządzimy dobrą mapę stanowisk obronnych Gwardii Patriotycznej, to bardzo pomoże armii Wschód, gdy ona tu dotrze. Ocali wiele istnień.

– Gdyby chciał, żebym sporządził takie mapy, powiedziałby mi o tym – rzekł Marcus, ale był to słaby argument i oboje o tym wiedzieli. Nie mieli kontaktu z Giforte'em i zespołem pstrykacza i nie mieli pojęcia, czy ta linia łączności z armią Janusa nadal działa.

Raesinia westchnęła przeciągle.

– Posłuchaj, stało się. Teraz będą tu przychodzić. Czy przynajmniej zechcesz z nimi porozmawiać? Cora i ja zajmiemy się organizowaniem kryjówek dla uchodźców, ale jeśli mamy się na coś przydać Janusowi, to ty wiesz, jakiego rodzaju informacji powinniśmy szukać.

– No dobrze, dobrze. – Marcus spojrział na Raesinię tak, jakby ujrzał ją w zupełnie nowym świetle, i poczuła, że się lekko rumieni.

– No co? – zapytała. – Znow nie spełniam twoich oczekiwań jako królowa?

– W pewnym sensie – odparł. – Pomyślałem sobie, że może właśnie tego powinienem oczekiwać od królowej.

Raesinia prychnęła, ale zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Odwróciła się do niego plecami, żeby to ukryć. Nie potrzebuję jego aprobaty.

– Cieszę się, że się dowiedziałeś...

Ktoś zastukał w kłapę i zamilkła.

– Tak? – powiedział siedzący obok niej Marcus.

– Raes? – To był głos Cory. – Na dole jest ktoś, kto chce z tobą porozmawiać.

– Jeden z uchodźców? – zapytała Raesinia. – Czy ktoś ze Skórzanych Kurtek?

– Żaden z nich. – Cora zniżyła głos. – Myślę, że to twoja przyjaciółka Rose.

Rose... Po chwili namysłu Raesinia zerwała się na równe nogi, klęcząc się w duchu za to, że nie załapała szybciej. Sothe posługiwała się tym imieniem, kiedy Cora poznała ją podczas zdobywania Vendre. Jest tutaj! Podbiegła do kłapy i podniosła ją. Cora już schodziła z drabiny, za wolno jak dla Raesinii, która miała ochotę zeskoczyć z tej sześciometrowej wysokości. Spadałam z o wiele większej.

Jednak ludzie patrzyli na nią, więc ostrożnie zeszła za Corą. Kościół nie miał pierwszego piętra, tylko biegnący wzdłuż jednej ściany balkon, na którym niegdyś były miejsca dla szacownych gości obserwujących nabożeństwa. Przed kryzysem pani Felda wykorzystywała go jako magazyn; teraz zapasy żywności zostały w większości zjedzone, a na skrzypiącej podłodze z desek rozłożono posłania, na których uchodźcy mogli spać na zmianę. Te miejsca przydzielono najpóźniej przybyłym, co oznaczało, że byli to niemal sami Vordanajowie – głównie matki z małymi dziećmi oraz duża grupa starych ludzi, którzy zostali wypędzeni ze swych domów przez ocków i nie mieli się gdzie podziać. Wyglądających na bezdomnych młodych mężczyzn w wieku poborowym wcielano do Gwardii Patriotycznej, a młode kobiety znikwały i czekał je jeszcze gorszy los.

Raesinia przeszła między prowizorycznymi posłaniami, na których mimo wczesnej godziny spali wyczerpani ludzie, i po rozklekotanych drewnianych schodach prowadzących na parter. W kościele roznosił się zapach zupy gotowanej w wielkich kotłach przez panią Feldę i jej pomocnice, ale zmieszany z silną wonią niemytych ciał i przelewających się ubikacji. Wokół biegały brudne dzieciaki, ganiające się z patykami.

Sothe też wyglądała jak uchodźca, okryta szarym, postrzępionym samodziałowym płaszczem, z kurzem kilkudniowej podróży na twarzy. Bok miała zabandażowany i wyraźnie kulała. Raesinia przecisnęła się przez tłum i uściskała swoją pokojówkę, tak żeby nie urazić rany na jej boku.

– Dzięki Bogu – powiedziała. – Tak się o ciebie martwiłam.

Sothe, jak zawsze czując się nieswojo wobec takich demonstracji uczuć, niezręcznie

poklepała Raesinię po ramieniu.

– Cieszę się, że nic się nie stało. Moja misja przebiegała dobrze, jak sądzę, dopóki... – Zniżyła głos. – Zostaliśmy zaatakowani. To był tylko jeden człowiek, ale... niezwykły. Sądzę, że musiał to być Przeklęty Penitent. Teraz już na pewno wiedzą, że nigdy cię tam nie było, i mogli się domyślić, że wcale nie opuściłaś stolicy. Przykro mi.

– Nic nie szkodzi – szepnęła Raesinia. – To nie mogło trwać w nieskończoność. – Poza tym Ionkovo i tak ją widział, więc wszystko się wydało. – Po prostu cieszę się, że wróciłaś. Próbowaliśmy wysłać ci ostrzeżenie, ale...

Marcus, trochę wolniej schodzący po drabinie, precyzyjnie przeszedł przez tłum i stanął przed dwiema kobietami. Raesinia puściła Sothe i przybrała nieco dostojniejszą minę.

– Nie jestem pewna, czy wy dwoje zostaliście sobie oficjalnie przedstawieni – rzekła. – Marcusie, to jest Sothe, moja ochmistrzyni i bliska przyjaciółka. – Sothe poruszyła się niespokojnie, słysząc ten opis, ale Raesinia nie dała jej zaprotestować. – Sothe, to jest pułkownik Marcus d'Ivoire, także mój przyjaciel i przedstawiciel Janusa.

Marcus, równie zmieszany, pozwolił kurtuazji wziąć górę i się skłonił.

– Panno Sothe. Kiedy widziałem panią ostatnio, z podziwu godną skutecznością walczyła pani z kilkoma noreldrajskimi szarymi. Ubolewam, że nie zdołałem udzielić większej pomocy.

– Sądzę, że kiedy widział mnie pan ostatnio, leżałam na podłodze i krwawiłam – sprostowała Sothe. – Jednak dziękuję. Jestem wdzięczna, że chronił pan Raesinię.

– Musimy porozmawiać – rzekła Raesinia. – Wszyscy. Jednak...

– Nie tutaj – orzekła Sothe, patrząc na stłoczonych uchodźców. – I nie teraz. Byłam trzy dni w drodze bez snu, więc mój udział w dyskusji byłby... minimalny.

– Och! – Raesinia w duchu przeklęła stoicyzm Sothe. Pewnie gawędziłaby tak, aż padłaby ze zmęczenia. Wskazała miejsce na drugim końcu sali. – Skorzystaj z mojego łóżka. Czy wolisz najpierw coś zjeść?

– Spać – powiedziała Sothe. – Dziękuję. Wybaczysz mi?

Raesinia skinęła głową i Sothe wśliznęła się w tłum, przechodząc przezeń jak duch, pomimo tłoku i swoich ran. Marcus popatrzył w ślad za nią i pokręcił głową w zadumie.

– Ochmistrzyni? – Z powątpiewaniem popatrzył na Raesinię. – Kiedyś musisz mi wyjaśnić, gdzie ją znalazłaś.

– Będziesz musiał ją o to zapytać – odparła. – Niech sama ci to powie.

Marcus

Marcus nie sypiał dobrze.

Był jednym z nielicznych podopiecznych pani Feldy mających przywilej spania na prawdziwym łóżku, a nie na kawałku koca rozłożonym na posadzce, ale musiał na zmianę dzielić je z dwoma innymi. Kolejnym ukłonem dla jego rangi był przydział nocnej zmiany, co pozwalało mu kłaść się po zmroku, żeby wczesnym rankiem zwolnić łóżko dla jakiegoś innego nieszczęśnika.

Rezultatem wiecznie panującego w kościele gwaru i tego wymuszonego rozkładu dnia było to, że Marcus przeważnie leżał tam, mając nadzieję, że zmęczenie w końcu weźmie górę nad nocnym płaczem dzieci oraz szczękiem sztućców, co pozwoli mu zasnąć. Nigdy nie przypuszczałem, że uciekający przed prawem będą tak hałaśliwi. Ani, co musiał przyznać, tak śmierdzący. Panujący w kościele smród mógł spokojnie rywalizować z każdym wojskowym

obozem.

Natomiast miał dużo czasu na rozmyślania, na które nie miał specjalnej ochoty. Prawdę mówiąc, był zagubiony. Od kiedy po raz pierwszy zasalutował młodemu pułkownikowi w forcie Valor w Khandarze, Marcus podążał w ślad za Janusem i działał w jego imieniu. W bitwie było to dość proste – oficer jest od tego, żeby wykonywać rozkazy – i nawet dowodzenie Strażą miało sens, w pewnej mierze. Jednak bardziej, niż z początku przypuszczał, niepokoiło go to, że Janus zostawił go tutaj, a sam wyruszył na wojnę.

A teraz pod każdym względem zawiódł. Tysiąc Imion, które miał chronić, dostało się w ręce wroga; Raesinia, która była jego dodatkowym obowiązkiem, również została schwytana, gdyby nie interwencja khandarskiej zjawy. Nie miał żołnierzy – tylko jednego mierantajskiego porucznika, powoli dochodzącego do siebie po ciężkiej ranie, oraz jedną dziewczynę – w stopniu szeregowca, niemającą respektu dla jego autorytetu.

Co ważniejsze, nie wiedział, co powinien zrobić. Na polu bitwy, jeśli nie możesz zrealizować swoich celów, robiąc wszystko, co w twojej mocy, wycofujesz się i pytasz przełożonego o dalsze rozkazy. Bez linii pstrykacza jednak nie miał kontaktu z Janusem, a sytuacja radykalnie się zmieniła.

W razie mojej śmierci... Ten ostatni zestaw rozkazów wciąż przejmował go dreszczem. Według plotek Janus był jak najbardziej żywy, ale czy można wierzyć plotkom? Marcus instynktownie szukał jakiejś pociechy i nie znajdował.

No i była Raesinia, nalegająca, żeby coś wreszcie zrobić. Zapewne ma rację, do licha. Tylko co się stanie, jeśli zrobię coś źle? Ostatni raz Marcus został bez dowódcy po śmierci pułkownika Warusa, tuż przed wybuchem rebelii Odkupicieli. Jedyne, co wtedy zdołałem zrobić, to uciec.

Zbliżał się czas, gdy miał zwolnić łóżko. Pogodził się z tym, że już nie zaśnie, i otworzył oczy. Wokół słychać było nigdy niecichnący gwar życia w kościelnej sali, prania i gotowania, sprzątanania i wynoszenia nieczystości. Ktoś nawet zebrał przy pulpicie grupkę śpiewających psalmy i to święte miejsce po raz pierwszy od wieków zostało wykorzystane zgodnie ze swym przeznaczeniem.

Marcus przeciągnął się i ukradkiem powąchał – nie prał munduru od trzech dni, ale zważywszy na klimat tego miejsca, zapewne wytrzyma jeszcze jeden. Jeden kąt kuchni był zarezerwowany na „kąpiele”, polegające na wylaniu sobie wiadra zimnej wody na głowę i użyciu kawałeczka mydła. Odrobiną intymności mogli się cieszyć tylko ci, którzy zdołali namówić kogoś, żeby osłonił ich zasłoną z utrzymanego w rękach prześcieradła: do tej pory większość uchodźców przestała się tym przejmować, pomimo zgorszonych spojrzeń pani Feldy.

Przynajmniej mieli jeszcze co jeść. Codzienna zbiórka wśród uchodźców zapewniała kilka monet, a posiadający jakieś dodatkowe dobra z czasem dawali się namówić do ich sprzedaży. Marcus był zdziwiony, że nie powodowało to większych utyskiwań, ale wspólna niedola tworzy więzi solidarności nawet między różnymi nacjami, tak więc tylko nieliczni Vordanajowie narzekali na konieczność sprzedania swych kosztowności, żeby wyżywić borelgajskie kobiety i dzieci. Cora, mając pozwolenie pani Feldy na zorganizowanie zaopatrzenia, wyznaczyła grupkę młodych kobiet, starszych dzieci i co sprawniejszych staruszków, którzy wychodzili kupować niezbędne artykuły, a ponadto dzielili się dyżurami w

kuchni i przy sprzątanu.

I wszystko to jakoś działało, chociaż kierowała tym zapominalska staruszka, jej nieco ocięwały umysłowo syn i będąca genialną finansistką nastolatka mająca skłonność do wielogodzinnego pograżania się w lekturze. Początkowo Marcus szykował się do zorganizowania wszystkiego na wzór wojskowy – w końcu nieraz rozbijał obozy – ale szybko zrozumiał, że jego pomoc nie będzie potrzebna.

Jednak to działa, dopóki można kupić żywność i nikt nie zadaje zbyt wielu pytań. Polegali na skromnych zasobach uchodźców i dobrej woli ludzi, a one kiedyś się skończą. Wątpił, czy braterstwo ostatnich tygodni wytrzyma zmniejszenie racji żywnościowych. Raesinia ma rację. Musimy coś zrobić albo ta sielanka zmieni się w koszmar.

Stanął w kolejce po miskę zupy i kawałek chleba, który wrzucił do zupy i zjadł, nie zastanawiając się nad składnikami tej strawy. Kiedy skończył i oddał miskę – którą pospiesznie umyła i wręczono następnemu głodnemu – wszedł po schodach na balkon. Raesinia czekała już przy drabinie prowadzącej na strych, a Sothe obok niej. Tak samo jak, ku zdziwieniu Marcusa, Feor, bledsza niż zwykle i z podkrążonymi oczami, ale już na nogach.

– Dzień dobry – powiedział po khandarsku Marcus. – Lepiej się czujesz?

Feor kiwnęła głową.

– Tak, dziękuję.

– Prosiła, żeby ją włączyć – cicho wyjaśniła Raesinia. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Uważam – odparł Marcus, rozejrzawszy się i upewniwszy, że nikt ich nie słucha – że każdy, kto coś wie o magii, będzie miał coś do dodania.

Uświadomił sobie, że właśnie w tym rzecz. Będzie to narada ludzi wiedzących, że magia istnieje. Andy, która na własne oczy widziała Przeklętego Penitenta, najwyraźniej wmówiła sobie, że działała pod wpływem jakiegoś narkotyku, a Marcus nie był pewny, czy powinien jej uzmysławiać, że wszystko, co wiedziała o świecie, jest kłamstwem. Tak więc został on, Raesinia, Sothe i Feor.

Same kobiety, pomyślał przygnębiony, wspinając się po drabinie. Chciałby, żeby byli tu Janus i Ihernglass, co trochę wyrównałoby proporcje. Wszystkie trzy siedziały już na kawałku wolnej przestrzeni tego strychu, drobiny kurzu tańczyły w blasku zapalonych świec, a Marcus zamknął klapę wjazdu i usiadł między Raesinią i Feor. Sothe, zmieniawszy żebraczy strój na wygodniejsze lniane szaty, przyglądała mu się przez chwilę, po czym odwróciła wzrok.

– No dobrze – zaczęła Raesinia. – Musimy zdecydować, co dalej.

Marcus zdał sobie sprawę, że przychodząc tutaj, uznał, iż Raesinia ma rację. Musieli coś zrobić. W końcu nie mógł stać i spokojnie patrzeć, jak cierpią mieszkańcy Doków, tak jak nie mógł strzelać do tłumu szturmującego Vendre. Cokolwiek Janus kazał mu zrobić lub czego nie robić, teraz nie było już ważne.

W pewnym sensie znów miał przełożonego. Musiał tylko oswoić się z myślą, że jest to kobieta o dziesięć lat młodsza od niego, a w dodatku cywil.

– Wiemy, że Maurisk się okopuje – powiedziała Raesinia. – Potrafi czytać mapę tak samo jak my. Będzie bronić wszystkich podejść, lecz to jest najtrudniejsze do zablokowania, tak więc musi założyć, że tam Janus skieruje główne uderzenie.

– Sam most jest szeroki. – Marcus skinął głową. – Nawet jeśli ustawili tam działa, to armia Wschód prawdopodobnie ma lepszą artylerię, jeśli więc Janus dotrze na brzeg rzeki, to zdoła

je unieszkodliwić i przejść. Najlepszą szansą Mauriska jest zablokować Zieloną Drogę. Jeśli ufortyfikuje budynki, Janus poniósłby ciężkie straty, próbując je zdobyć. Musiałby ostrzeliwać z armat każdy budynek i posuwać się kwartał za kwartałem. To mogłoby potrwać kilka tygodni.

– Nie wspominając o tym, że połowa Doków ległaby w gruzach – dodała Raesinia. – To po pierwsze. Po drugie, Maurisk współpracuje teraz z kapłanami Czerni i ma po swojej stronie wielu Przeklętych Penitentów. Czy wiemy ilu?

Marcus zaczął liczyć na palcach.

– Ionkovo. Ten olbrzym, który zaatakował Wierzbowy Potok. Starucha, która może miotać płomienie.

– Ten, który zaatakował mnie, był... dziwny – wtrąciła Sothe. – Właściwie nie był szybki, ale potrafił przewidzieć, co zrobię.

– To co najmniej czterech – powiedział Marcus. – Feor, czy masz coś, co mogłoby pomóc nam ich powstrzymać?

– Mając Imiona... – Feor pokręciła głową. – Mogę wyczuć ich obecność, jeśli będą dość blisko. Jej Królewska Mość zapewne również.

Raesinia przytaknęła.

– Trochę trwało, zanim to sobie uświadomiłam, ale owszem. Nie wiem jednak, jak blisko muszą się znaleźć.

– Janus zna kilka sztuczek – powiedział Marcus z poczuciem winy, że ma sekrety nawet przed nimi. Widział, jak działa moc Ihernglassa, gdy pokonał jego kochankę i niedoszłą morderczynię, Jen Alhundt. Jednak decyzja, czy wyjawić tę tajemnicę, należała do Ihernglassa, a przynajmniej do Janusa. – Dopóki tu nie przybędzie, musimy w miarę możliwości unikać walki z Przeklętymi Penitentami. – Pomyślał o wrzeszczącym w kuli ognia Hayverze. – I będziemy wystawiać strażę przez całą dobę, żeby ostrzegły nas choć moment wcześniej, jeśli Ionkovo postanowi wyskoczyć z szafy.

– Co ze Stalowym Duchem? – zapytała Raesinia. – Raz już nam pomógł.

Popatrzyła na Feor, która wzruszyła ramionami.

– Nie mogę mówić za niego – powiedziała. – To, że nam pomógł, ale nie przyłączył się do nas, zapewne najlepiej świadczy, jakie ma zamiary.

– Zgadzam się – dodał Marcus. – Nie możemy na niego liczyć.

– To po drugie – podsumowała Raesinia. – Po trzecie, uchodźcy. Nie możemy ich tu trzymać. – Westchnęła. – Żałuję, że nie może być tu z nami Cora.

– Poinformujesz ją później – stwierdziła Sothe.

– Potrzebujemy więcej miejsca i żywności – orzekła Raesinia. – Bez zwracania na siebie uwagi. Musimy wykorzystać miejscowych.

Marcus skinął głową.

– Wydają się chętni, a Andy pomoże.

– No i ostatni punkt... – Raesinia zawiesiła głos.

– Tysiąc Imion – dopowiedziała Feor.

– Właśnie. – Raesinia potarła oczy. – Maurisk zdobył je prawie tydzień temu, w Wierzbowym Potoku. Musimy założyć, że do tej pory je wywiózł.

– Jednak zapewne nie z miasta – rzekł Marcus. – Za duże ryzyko natknięcia się na patrol

kawalerii Janusa.

– Jeśli mogę zadać prawdopodobnie oczywiste pytanie – odezwała się Sothe – to czy na tym etapie te Imiona są takie ważne?

– Są – odparła Feor. – Nie można pozwolić, żeby zabrano je do Elizjum.

– Dlaczego?

– Abh-naathem, Przekłęci Penitenci, już mają do swojej dyspozycji wielkie zasoby naath. Tysiąc Imion to jedyne archiwum, którego nie kontrolują. Jeśli je stracimy, utracimy wszelkie szanse, by stawić im czoło.

– Widziałem, co potrafi taki Przekłęty Penitent, i jestem skłonny w to uwierzyć – rzekł Marcus.

– Jeśli Janus zajmie miasto – powiedziała Raesinia – to i tak odzyskamy Imiona.

Sothe pokręciła głową.

– Jeśli one są tak ważne dla kapłanów Czerni, jak twierdzisz, to spróbują je wywieźć, zanim miasto wpadnie w jego ręce.

– Zgadzam się z tym – poparła ją Feor. – Opuuszczą Mauriska, jeśli do tego dojdzie. Miasta i armie ich nie obchodzą.

– Tak więc musimy je odzyskać – zawyrokował Marcus. – Osiem solidnych stalowych płyt wyższych niż ja, a każda tak ciężka, że trzeba co najmniej czterech silnych mężczyzn, żeby ją podnieść. To nie będzie łatwe.

– Zaczekajcie, aż zaczną je przewozić – podsunęła Sothe. – Wtedy je przejmiecie.

W Wierzbowym Potoku Marcus wpadł na ten sam pomysł, ale od tamtego czasu dobrze przemyślał wszystkie związane z tym trudności.

– Musielibyśmy wiedzieć, kiedy je przewożą.

– Mogę się tego dowiedzieć – rzekła Sothe.

Zapadła chwila ciszy. Królowa zdecydowanie skinęła głową i spojrzała na Sothe.

– Jak ciężko jesteś ranna?

– Nie tak ciężko, żeby rana mnie spowolniła – odparła Sothe.

– Zatem pokierujesz wywiadem. Musimy wiedzieć, gdzie Imiona są teraz, kiedy je wywiozą. I bardzo by nam pomogło, gdybyśmy wiedzieli, gdzie są Przekłęci Penitenci.

– To dość trudne zadanie – zauważył Marcus.

– Poradzę sobie – powiedziała Sothe, rzuciwszy mu chłodne spojrzenie. – Wciąż mam kontakty.

Marcus pytająco popatrzył na Raesinię, która wzruszyła ramionami. Sothe uniosła brew.

– Kiedyś pracowałam dla Orlanki – wyjaśniła. – Są jeszcze jakieś pytania?

Znów zapadła niezręczna cisza.

Raesinia odkaslnęła.

– W porządku. Ja razem z Corą zajmiemy się pomocą dla uchodźców. Cora ma kilka pomysłów, gdzie moglibyśmy umieścić ludzi, ale potrzebne będą delikatne negocjacje. Wszystko jest teraz pozamykane, a nie możemy sobie pozwolić na jawną walkę z ockami. Feor, dopóki nie znajdziemy Imion, możesz nam pomagać.

– Z przyjemnością. – Feor się ukloniła.

– Marcusie – ciągnęła Raesinia – ty zajmiesz się wojskowymi kwestiami. Andy powinna dostarczyć cioczu i uszu, a ty wiesz, czego szukać. Sporządzimy mapy i notatki, a kiedy armia

Janusa będzie blisko, wyślemy jeźdźców na jej spotkanie. A może Giforte znów się odezwie, wtedy będziemy chcieli jak najszybciej przesłać mu te informacje.

Marcus ledwie powstrzymał odruchowe „tak jest!”. Uśmiechnął się i skinął głową, opanowując chęć zaskładowania.

Zawsze dobrze mieć dobrego dowódcę.

Dwadzieścia jeden

Winter

Armia Wschód pokonała przełęcz w górach Kell i długą, wijącą się jak wąż kolumną schodziła drogą biegnącą zakosami pośród najwyższych wzgórz i wiodącą ku zielonej, przyjemnej krainie. Było to księstwo Orlan, odwieczne ziemie Ostatniego Diuka, i Winter podświadomie oczekiwała, że będzie wyglądało ponuro. Orlanko jednak rzadko tutaj bywał, spędzając większość czasu w stolicy, a jego księstwo było senną i schludną krainą rozległych pastwisk i spokojnych średniowiecznych miasteczek.

Dzięki temu, że przodek Ostatniego Diuka rozsądnie opowiedział się po stronie Farusa IV, a nie jego szlachetnie urodzonych przeciwników, księstwo Orlan nie zaznało okropności wojny domowej ani Wielkiej Czystki, która nastąpiła po niej. Zwycięski król zostawił ziemie swego najlepszego sojusznika w spokoju, gdy reorganizował resztę królestwa, i w rezultacie podróz przez Orlan pod pewnymi względami była jak wycieczka po historii Vordanu. Ostatnie sto lat jakby nigdy tu nie minęło; jadąc na czele swojego pułku, Winter mijała wioski z domami z bali i małąkimi okienkami oraz szerokie łąki przeznaczone na pastwiska dla krów. Zwierzęta stały przy ogrodzeniach, patrząc tępo i porykując od czasu do czasu na przechodzące oddziały.

Natomiast mieszkańcy nie byli tak przyjemni. Deslandzcy wieśniacy byli szczerze uradowani widokiem vordanajskiej armii i skłonni sprzedawać swoje ziemiopłody każdemu, kto zapłaci. Tutaj, na krańcu Vordanu, ludność była znacznie mniej przyjazna. Winter nie wiedziała, czy mieszkańcy są lojalni wobec Orlanki lub Dyrektoriatu, czy po prostu przerażeni opowieściami poprzedzającymi armię, ale każdy napotkany budynek był zamknięty na głucho.

Nawet szpica jadąca spory kawałek przed główną kolumną napotykała tylko nielicznych podejrzliwych wieśniaków gotowych sprzedać żywność lub paszę, a najczęściej gospodarstwa, których mieszkańcy uciekli lub schowali się w piwnicy jak przed najazdem hordy krwiożerczych Murnskajów. Na wyraźny rozkaz Janusa w takich wypadkach zwiadowcy mieli zabierać tylko to, co wieśniacy mieli na zbyciu, i zostawiać sowitą zapłatę w brzęczącej walucie. Przynajmniej pieniędzy nie brakowało, gdyż hamveltajskie tabory przejęte w Antovie były wspaniałą zdobyczą, zarówno pod względem sprzętu wojskowego, jak innych dóbr.

Wkrótce po zejściu z gór droga do Vordanu biegła wzdłuż rzeki Haggon, dopływu Ost. Z kolei Ost wpadała do Vor tuż przed samą stolicą, tak więc Janus zarządził jednodniowy postój w celu załadowania większości ciężkiego ekwipunku na barki. Potem raźnie pomaszerowali Nadrzeczną Drogą, a dobrze strzeżone barki dostawcze płynęły w tym samym tempie. Wprawdzie wiązało się to z dłuższym marszem, ale z lżejszymi plecakami i żołnierze z pułku Winter jednogłośnie uważali to za dobre rozwiązanie.

Janus wyznaczył oddziałom Winter rolę przedniej straży maszerującej na czele armii, sam zaś z kolonialnymi jechał na końcu kolumny. Tak więc to Winter była najwyższym stopniem oficerem, gdy przyjechali zwiadowcy na spienionych koniach i zameldowali o długiej kolumnie piechoty w niebieskich vordanajskich mundurach podążającej drogą na wschód i prowadzonej przez oficerów kawalerii pod białą flagą.

Winter, Cyte i Bobby czekały kilkadziesiąt metrów przed stojącym teraz w miejscu

Pierwszym Dziewczęcem, gdy dwaj pułkownicy zsiadli z koni nieco dalej i podeszli do nich. Towarzyszył im jeden żołnierz trzymający białą flagę, a kilku innych pozostało przy koniach.

Było już po południu i wiał zimny wiatr. Winter osłoniła dłonią oczy i uważnie przyjrzała się mężczyznom. Nie знаła żadnego z nich, ale tego się spodziewała – poza tymi z armii Wschód znała niewielu oficerów.

Pułkownicy tworzyli nader kontrastową parę. Ten po lewej najwyraźniej był oficerem dawnej królewskiej armii; miał na sobie szyty na miarę mundur, elegancki, choć zakurzony w czasie jazdy. Orły na jego naramiennikach jednak były srebrne, co oznaczało, że nie kupił swojego oficerskiego patentu, lecz zdobył go w szkole wojskowej.

Jego towarzysz właściwie nie miał munduru, tylko zwykłą niebieską kurtkę narzuconą na ciemną koszulę i spodnie. Jego orły były wyszyte białą nitką i już wystrzępione na brzegach, a zamiast oficerskiej czapki nosił sfatygowany filcowy kapelusz. Kroczył z przesadną butą, siłąc się na nonszalancję.

Kiedy znaleźli się w odległości kilku kroków, Winter powitała ich oficjalnym skłonem głowy, należnym oficerom równym rangą. Bobby i Cyte zasalutowały, chorąży zrobił to samo. Pułkownik królewskich odwzajemnił ten gest, sprężyście i poprawnie, natomiast ten drugi tylko beczelnie się gapił.

– Jestem pułkownik Winter Ihernglass – powiedziała Winter. – Trzeci pułk armii Wschód. To są porucznicy Forester i Cytomandiclea.

Pułkownik w nieformalnym stroju uniósł brwi, słysząc nazwisko Cyte, lecz jego towarzysz zachował nieprzeniknioną minę.

– Ja jestem pułkownik Zarout z osiemnastego pułku liniowego – rzekł. – To jest pułkownik Braes z dziesiątego ochotniczego.

– Wysłałem jeźdźca po generała Vhalnicha – oznajmiła Winter. – Jest na końcu kolumny, ale na pewno będzie tu za kilka minut.

– Za pozwoleniem – rzekł Braes – chciałbym porozmawiać, zanim tu dotrze. – Mówił z wyraźnym transpalskim akcentem. – Te oddziały przed nami to pańscy żołnierze?

– To trzeci pułk, tak.

Braes zerknął na Cyte.

– Nie mogę nie zauważyć, że większość z nich to chyba panie.

Winter się zjeżyła.

– Pierwszy batalion to kobiety. Tak jak wielu moich oficerów.

– Słyszałem różne dziwne rzeczy o Vhalnichu, ale niespecjalnie w nie wierzę – powiedział Braes. – Czy w jego armii jest wiele kobiet?

– O ile wiem, tylko w moim pułku jest kobiecy batalion – odparła Winter najzimniejszym tonem, na jaki było ją stać.

– Muszę powiedzieć, że trudno byłoby mi zastrzelić dziewczynę – wyznał Braes.

– Zapewniam, że im pana nie – odparła Winter.

Pułkownik Zarout odkaszlnął.

– Ta... płeć żołnierzy pułkownika Ihernglassa nie ma tu znaczenia.

Braes leniwie wzruszył ramionami.

– Byłem tylko ciekaw.

– Pułkowniku – powiedział Zarout, znów zwracając się do Winter – chciałbym poznać

zamiary generała Vhalnicha.

– Jestem pewny, że odpowie na pańskie pytania, gdy tu przybędzie – odrzekła Winter.

– Przecież musi pan coś wiedzieć – nalegał Zarout. – Maszeruje na stolicę. Czy powiedział dlaczego?

Winter zawahała się, ale odpowiedziała.

– Generał Vhalnich uważa, że przewodniczący Dyrektoriatu bezprawnie nadał sobie stanowisko ministra wojny oraz różne inne uprawnienia. Maszeruje, żeby poprzeć królową i prawomocne rządy Zjazdu Generalnego.

– Z tego, co słyszałem, stara się uniknąć Kolca – zauważył Braes.

– Generał Vhalnich nigdy nie złamałby rozkazu, który uważałby za prawomocny – powiedziała Winter. – A ja sądzę, że powinienem zapytać, jakie są wasze zamiary. Moi zwiadowcy meldują mi, że wasze oddziały stanęły w obronnym szyku na drodze.

– Mam rozkazy – odparł Zarout – od nowego ministra wojny, aby zatrzymać i pokonać armię Wschód.

Braes ryknął śmiechem, który Zarout skwitował zimnym spojrzeniem.

– Chce powiedzieć – rzekł Braes – że Maurisk rzucił nas pod koła rozpędzonego wozu w nadziei, że trochę go spowolnimy.

– Niczego takiego nie miałem na myśli. – Zarout zeszywniał. – Przyznam jednak, że wygląda na to, iż macie przewagę liczebną.

Winter powstrzymała uśmiech. Nawet bez garnizonu, który zostawili w Antovie, armia Wschód liczyła prawie trzydzieści tysięcy żołnierzy. Te dwa pułki przed nią miały ich w najlepszym razie pięć czy sześć, niewiele dział i żadnej jazdy. Nagle zaczęła współczuć Zaroutowi.

– Zgadzam się, że wasza pozycja wydaje się... trudna – powiedziała. – Jestem pewny, że wyrażę przekonanie generała, mówiąc, że chcielibyśmy uniknąć rozlewu bratniej vordanajskiej krwi. Czy jest coś, co moglibyśmy zrobić w tej sprawie?

Zarout zacisnął szczęki.

– Ministerstwo poinformowało mnie, że jeśli generałowi Vhalnichowi pozwoli się przejść, ja i wszyscy moi podkomendni zostaniemy straceni za zradę.

– Doktor Sarton byłby naprawdę bardzo zajęty – zauważył Braes.

– Generał Vhalnich sugerowałby, że taki rozkaz jest bezprawny – powiedziała Winter.

– Wszystko dobrze, jeśli... opinia generała będzie się liczyła. Jednocześnie ci z nas, którzy wykonywali rozkazy Dyrektoriatu... – Zarout zamilkł, ważąc słowa. Braes znów się zaśmiał i Zarout obrócił się do niego. – Co uważasz za tak zabawne?

– To, że wiesz, co chcesz powiedzieć, ale masz taki kłopot z wypowiedzeniem tego – odparł Braes. – Spojrzał Winter w oczy. – Posłuchaj, pułkowniku. Oto nasz problem. Jeśli będziemy z wami walczyć, zginie niepotrzebnie wielu ludzi, a wynik jest oczywisty, ponieważ macie sześciokrotną przewagę. Jeśli jednak nie podejmiemy walki, a wy przegracie, wszyscy zostaniemy ukłuci w to miejsce. – Uderzył dłonią w swoją pierś.

– Z doświadczenia mogę powiedzieć – odrzekła Winter – że generał Vhalnich nie przegrywa.

– Tak słyszałem. Kłopot w tym, że kiedy fotel na samej górze zmienia właściciela, nowy szef jest skłonny gniewać się na tych, którzy pracowali dla poprzedniego szefa. Wielu z nas tylko

wykonywało rozkazy, a wszyscy oglądaliśmy się za siebie po tym, co przydarzyło się Hallvezowi. – Zarout poruszył brwiami. – Rozumie pan naszą sytuację?

– Rozumiem. – Winter nabrała tchu. – Oczywiście nie mogę mówić za generała, ale służę z nim od Khandaru i nie należy do mściwych. – Przez moment myślała, że duch Adrechta Rostona zaprotestuje. To było co innego. Bunt to jedno, ale Janus nie kazałby stracić człowieka, który przypadkiem znalazł się po przeciwnej stronie, szczególnie gdyby się poddał. Mam nadzieję. – Jestem pewny, że oficerowie, którzy wykonywali swoje obowiązki zgodnie z nakazami sumienia, nie mają powodów do obaw.

Zarout odkaszlnął.

– Sądzi pan, że generał będzie skłonny osobiście to zagwarantować? Żołnierzom i oficerom?

– Tak sędzę, owszem.

– To byłoby... przydatne. – Zarout zerknął przez ramię na swoje oddziały. – Właśnie sobie uświadomiłem, że na tej pozycji mamy odsłoniętą lewą flankę. Ponieważ ministerstwo wojny zapomniało przydzielić mi choćby oddział kawalerii, zagrożenie z tamtej strony zmusiłoby nas do taktycznego odwrotu, zapewne na drugi brzeg rzeki najbliższą przeprawą. – Ruchem głowy wskazał rzekę. – A gdyby ten most został później zniszczony, minęłoby wiele dni, zanim znów moglibyśmy się spotkać.

Braes znów się roześmiał, a i Winter nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Myślę – powiedziała – że coś takiego dałoby się załatwić.

Kiedy przybył Janus, jego narada z dwoma pułkownikami była krótka i rzeczowa. Po kilku minutach Piekielnik poprowadził swój oddział roześmianych i pohukujących kawalerzystów na lewą flankę sił Zarouta. Winter, stojąca obok Janusa na pagórku przy drodze, widziała, jak długie szeregi żołnierzy w niebieskich mundurach zaczynają opuszczać swe pozycje, kierując się do mostu na Ost i bezpiecznego drugiego brzegu rzeki.

– Szkoda, że nie dali się namówić i nie dołączyli do nas – powiedział Janus. – Jednak nie można mieć wszystkiego.

– Nie mam im za złe, że są ostrożni – stwierdziła Winter. – To dziwne czasy. Zarout wydał mi się człowiekiem, który chce jak najlepiej dla swoich ludzi, niezależnie, co się stanie.

– Niewątpliwie. Istotnie, to dziwne czasy, gdy najlepsze, co może zrobić lojalny oficer, to ustąpić i pozwolić przejść zbuntowanej armii.

Winter poruszyła się niespokojnie.

– Nie uważam się za buntownika, panie generale.

– A jak inaczej to nazwać? – Janus wskazał drogę, którą armia Wschód maszerowała w kierunku miejsca, gdzie miała rozbić obóz. – Niewątpliwie nie usłuchałem rozkazów.

– Maurisk nie miał prawa ich wydać – odparła Winter. W ciągu kilku ostatnich dni historia przewrotu w Vordanie stała się powszechnie znana. Odgadła, że żołnierze opowiadali ją sobie tak chętnie między innymi dlatego, że wielu z nich podzielało jej nieprzyjemne wrażenie: łatwiej usprawiedliwić nieposłuszeństwo wobec zradzieckiego rządu. – Zamknął królową gdzieś na wsi i aresztował wszystkich, którzy mieli inne zdanie od niego. To nie jest rewolucja, którą popieraliśmy.

– Niewątpliwie tak to zostanie opisane w podręcznikach historii – zauważył Janus. – Zakładając, że zwyciężymy. Oczywiście, jeśli przegramy, będziemy bandą nędznych zdrajców. – Błysnął zębami w przelotnym uśmiechu. – Jednak powiedz prawdę. Gdyby Maurisk zostawił

nas w spokoju, pomaszerowałybyś walczyć z nim?

– Ja... – Winter potrząsnęła głową. Jedyne, o czym była w stanie myśleć, to że gdyby sytuacja nie stała się tak napięta, mogłaby mieć więcej czasu, żeby dotrzeć do Jane.

– Nie musisz odpowiadać na to pytanie.

– Czy ja mogę pana o coś spytać, panie generale?

Janus uniósł brew.

– Oczywiście.

– Wydaje się, że oczekiwał pan... czegoś takiego.

– Wydawało się to prawdopodobne. Nie potrafiłbym przewidzieć, kto to będzie, ale po rewolucji ktoś w końcu musi objąć władzę, a były bardzo duże szanse, że zrobi to pospiesznie.

– Zmarszczył brwi. – Muszę przyznać, że pod tym względem Maurisk przeszedł moje oczekiwania. Ale cóż, nietrudno było zgadnąć, że w końcu do tego dojdzie.

– Zatem dlaczego opuścił pan Vordan? – Winter pokręciła głową. – Jeśli wiedział pan, że wrócimy do stolicy z armią...

– Pytasz, dlaczego nie przejąłem władzy po Midvale? I nie zostałem regentem Raesinii, którym pragnął być Orlanko?

Winter lekko pokraśniała.

– Coś w tym stylu.

Janus zdawał się zastanawiać.

– Gdybyś zamierzała przejąć władzę w królestwie, jak byś to zrobiła?

– Wprowadzenie wojska do stolicy wydaje się bardzo dobrym pierwszym krokiem.

Janus pokręcił głową.

– Nie na dłuższą metę. Borelgaje pokonali nasze wojska podczas Wojny Książąt, ale nie byli tacy głupi, żeby próbować narzucić nam nowego króla. Gdybym użył oddziałów kolonialnych do przejęcia władzy po rewolucji, byłbym równie złym władcą jak Maurisk. Musiałbym taki być, żeby utrzymać się przy władzy, i po pewnym czasie pojawiłby się jakiś bohater, który by mnie pokonał.

– Jednak teraz może pan wrócić?

– Och, tak. – Rozłożył ręce z błyskiem w oku. – Teraz ja jestem tym bohaterem przybywającym obalić okrutnego tyrana. To stawia sprawy w zupełnie innym świetle.

Winter patrzyła na niego przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Janus opuścił ręce.

– Wyzwoliciele zawsze są bardziej lubiani niż zdobywcy. A powrót prawa i porządku jest milej widziany, kiedy ludzie posmakowali, jak wygląda życie bez nich. – Przechylił głowę na bok. – W czym rzecz, pułkowniku? Wyglądasz na zaszokowaną.

– Naprawdę... zaplanował pan to wszystko? Z takim wyprzedzeniem?

– Chyba mówiłem ci kiedyś, że to nie kwestia planowania. Trzeba układać fragmenty na właściwe miejsca i reagować na nadarzające się możliwości.

– Tylko po co? – wypaliła Winter. – Dla samej władzy? Aby zostać królem?

– Ja nie chcę być królem. Myślę, że Raesinia będzie dobrą królową, jeśli będzie miała szansę. I nie chcę sprawować władzy. Jednak...

Janus spojrział w dal, na maszerującą kolumnę. Zapadał wieczór i słoneczne światło stało się miękkie jak masło, malując zeschniętą trawę zbocza tak, że wyglądało jak złoty odlew. Milczenie przedłużało się, aż Winter zaczęła myśleć, że uraziła generała. Kiedy jednak

przemówił, nie zbył jej, tak jak się tego spodziewała.

– Ktoś musi to robić – dokończył.

Znów zapadła cisza. Winter zamrugwała.

– To wszystko?

Janus wzruszył ramionami.

– Każdy mógł przewidzieć, że nadchodzi kryzys. Umierający król, za młoda księżniczka, zbyt potężny Orlanko i kapłani Czerni... Musiało dojść do wybuchu, tak czy inaczej. Zły władca w złym czasie może oznaczać dziesięciolecia biedy i wojen. Farus Trzeci, król marnotrawny, pozwolił, by szlachta rozkradła mu królestwo. Farus Piąty Wielki był tak rozkochany w swojej twarzy, że doprowadził kraj do bankructwa, budując wspaniałe pomniki. Tylko odpowiednia osoba może zapobiec katastrofie.

– I pan jest taką odpowiednią osobą? – spytała Winter.

Janus uśmiechnął się i przeszył ją tym nieprzeniknionym spojrzeniem. Jego oczy błyszczały w łagodnym świetle.

– Oczywiście – odparł.

– Nie uwierzyłaś mu? – spytała Abby.

Siedziały w namiocie Winter po kolacji. Obóz rozbito na pastwisku przy drodze i nocne warty musiały odierać zdeterminowane ataki ciekawskich krów usiłujących wdrzeć się między namioty. Ktokolwiek miał pilnować tych zwierząt, najwidoczniej uciekł na widok nadchodzącej armii. Ma szczęście, że Janus jest tak powściągliwy, inaczej wszyscy obżeralibyśmy się befsztykami.

Abby po cichu wśliznęła się do namiotu, tak jak każdego wieczoru po zdobyciu Antovy. Być może próbując odwlec to, co było teraz najważniejsze, Winter powiedziała jej o swojej rozmowie z Janusem i o tym, że odniosła wrażenie, że nie powiedział jej prawdy.

– Sama nie wiem – rzekła. – W każdym razie całej prawdy.

– Uważasz, że nie robi tego dla dobra Vordanu?

Winter pokręciła głową.

– Być może częściowo tak, ale jest jeszcze coś. To, co mi mówił, brzmiało... zbyt nieprzekonująco. Jak coś, co sam sobie wmawia i usiłuje w to uwierzyć.

– Teraz nie mamy innego wyjścia, jak mu zaufać – stwierdziła Abby.

– Nie mamy. – Winter pozwoliła tej świadomości zapaść w głąb swojej jaźni, tak głęboko, gdzie wyczuwała powolne ruchy Wszystkożercy. – Minęło dużo czasu, od kiedy miałam jakiś wybór.

Zapadła długa cisza.

– Jane się myliła – orzekła Abby. – Myliła się i nadal się myli. Postąpiłaś właściwie.

Winter westchnęła.

– Dzięki. – Potem zebrała siły i zadała pytanie, które zadawała co wieczór: – Jakież wieści o niej?

Jadący przed kolumną zwiadowcy, zarówno Pierwszego Dziewczęcego, jak i kawalerzyści Piekielnika, mieli rozkaz dyskretnie wypytywać ludność o innych jeźdźców, którzy mogli tędy przejeżdżać. Winter nie wiedziała, co spodziewała się odkryć – ruch na Nadrzecznej Drodze był na tyle ożywiony, że grupka kobiet nie mogła zwrócić niczyjej uwagi – ale musiała spróbować. Odnajdę ją. Ona chce, żebym ją znalazła.

– Nie – odparła Abby. Popatrzyła na stolik, na którym leżała rozłożona mapa, i wskazała palcem punkt w pobliżu miejsca, gdzie obozowali. – Jutro dotrzemy do Orlanu. Tam mamy największą szansę wpaść na jej ślad, zakładając, że tędy przejeżdżała.

– Przejeżdżała – powiedziała Winter. – To najkrótsza droga do stolicy. A dokąd miałyby się udać?

Abby skinęła głową.

– Znajdziemy ją. Jeśli nie przed powrotem do stolicy, to później.

Później... Winter nie pozwalała sobie na rozmyślenia o tym, co będzie później. Co może się zdarzyć, jeśli wszystko się uda, po starciu Janusa z Mauriskiem. Wydawało się to jakąś odległą fantastyczną krainą, drugim brzegiem bezkresnej rzeki bez mostu w zasięgu wzroku. Koniec wojny.

– Cyte chce z tobą rozmawiać – powiedziała Abby, widząc nieobecne spojrzenie Winter. – Ma do przejrzenia rozkazy na jutro. I myślę, że Bobby ma kilka spraw dyscyplinarnych, które chciała z tobą omówić.

– Dobrze. – Winter z trudem wróciła do rzeczywistości. Od kiedy odeszła Jane, wydawało się to coraz trudniejsze. – Powiedz im, że mogą przyjść.

– I spróbuj się trochę przespać – rzekła Abby, wstając. – Wyglądasz na wyczerpaną.

– Weź nóż – powiedziała Jane, jakby wyjaśniała przyjaciółce, jak kroić pieczeń. – Przyłóż czubek tutaj... – Uniosła głowę i dotknęła końcem sztyletu szyi tuż pod brodą. – A potem naciśnij i pociągnij z całej siły.

Już to zrobiłam. Winter poczuła, jak miękka tkanka szyi sierżanta Davisa rozdziela się pod naciskiem ostrza, i zobaczyła jego oszołomioną głupią minę, gdy krew trysnęła na jej rękę.

– Pierdolić armię. Pierdolić Dyrektoriat. Pierdolić ich wszystkich. Nie ty za to odpowiadasz, nie rozumiesz? Nie musisz się tym przejmować.

Nic na to nie poradzę. Winter pozwoliła rękom opaść, a nożowi wysliznąć się z palców. *Przepraszam, przepraszam. Nic na to nie poradzę.*

– Tylko dlatego, że nie miałaś dość odwagi, żeby mnie uratować, nie musisz ratować całego świata, żeby to naprawić.

Jak możesz tak mówić? Winter zacisnęła powieki, spod których popłynęły łzy. *Wróciłam po ciebie. Ty nigdy nie przysłaś mnie odszukać.*

– Jesteśmy razem. – Jane nachyliła się do niej. – Teraz i zawsze.

Jej wargi dotknęły warg Winter. Pocałunek był słodki, tak słodki jak zawsze, tak słodki jak za pierwszym razem. Nagle Winter poczuła, że coś się w niej budzi, ten demon żyjący w otchłani jej duszy pędzi i wlewa się w Jane. Wrzeszczała na niego, przeklinała go, lecz on jej nie słuchał. I tak jak wtedy, gdy wykorzystwała go przeciwko Jen Alhundt, ten stwór rozchodził się, zamieniając Jane w siebie, od stóp do głów i po czubki palców. Potem, wreszcie zaspokoiwszy głód, wycofał się z powrotem w głąb Winter, nie pozostawiając za sobą niczego prócz łobuzerskiego uśmiechu i zielonych oczu pełnych udręki.

Ja jej to zrobiłam. Ja ją odepchnęłam.

– Przepraszam – rzuciła Winter w ciemność. Nie było odpowiedzi.

Dwadzieścia dwa

Marcus

Wóz, ciągnięty przez czwórkę zmęczonych, zdyszanych mułów, powoli turkotał po jednej z niezliczonych bocznych uliczek Zielonej Drogi, na północ od Dolnego Rynku. Budynki po obu jej stronach były jedno- lub dwupiętrowe, nie tak wysokie jak kamienice w Nowym Mieście, lecz skromniejsze, o typowej ceglano-drewnianej architekturze Doków. W górze, pomiędzy oknami na piętrach, porozciągano sznury na pranie i kilka samotnych prześcieradeł łopotało na chłodnym wietrze.

Wóz eskortowali dwaj gwardziści noszący niebiesko-czarne szarfy, jeden na koźle obok woźnicy, a drugi, niezbyt wygodnie, na dachu. Obaj mieli muszkiety z zatkniętymi bagnietami. Ponadto obok wozu szło kilku rosnących mężczyzn z postrzępionymi niebieskimi opaskami, jakie zaczęła nosić milicja Obrony Cywilnej. „Ocki”, jak nazywały ich Skórzane Kurtki, zdaniem Marcusa całkiem trafnie. Wyglądali jak uliczne zbiry, w skórzanych lub samodziiałowych ubraniach, z pałkami i kordelasami u pasów. Jednak bez pistoletów. Karisowi dzięki. Nie chcę, by zginęło ich więcej, niż to będzie konieczne.

Zaczekał, aż miną jego punkt obserwacyjny za zasłoną okna na piętrze. Kiedy się upewnił, że żaden z nich nie wykazuje nadmiernej czujności, wycelował długi karabin porucznika Uhlana, wystawiając lufę przez szparę w zasłonie. Ta broń była cięższa od muszkietu i inaczej wyważona, ale Marcus ćwiczył cały poprzedni wieczór i uważał, że opanował podstawowe zasady. Nie był strzelcem wyborowym, ale cel znajdował się w odległości paru metrów.

Kiedy ściągnął spust, broń kopnęła go mocniej w ramię niż muszkiet i odgłos wystrzału też był inny: suchy trzask zamiast huku broni o gładkiej lufie. Z zamka i końca lufy wytrysnęły obłoki kwaśnego dymu, na moment zasłaniając mu widok, a na ulicy na dole rozległy się krzyki. Marcus nachylił się i zobaczył, że ten, do którego mierzył, gwardzista siedzący obok woźnicy, zsunął się z kozła i runął na bruk. Żołnierz na dachu wycelował muszkiet, mierząc w okno, z którego unosił się dym, więc Marcus pospiesznie schował głowę. Dwa kolejne strzały padły niemal jednocześnie i dał się słyszeć trzask tynku odłupanego z przeciwległej ściany pustego mieszkania, w którym się ukrył. Kiedy zaryzykował następny rzut oka, zobaczył, że drugi gwardzista też leży, klnąc i przyciskając dłonie do brzucha.

Kiedy obaj muszkietnicy zostali unieszkodliwieni, rozległ się głośny gwizd i po obu stronach ulicy pojawili się atakujący. Orzeszek, nad broń przedkładający parę wielkich nabijanych świekami rękawic i karwaszy, prowadził jedną grupę, a drugą dowodziła Andy wymachująca długą drewnianą pałką. Ich „oddziały” składały się ze Skórzanych Kurtek i uchodźców, którzy zgłosili się na ochotnika: zbieranina mieszkańców Doków i kobiet, kilku podrostków i starszków wciąż mających dość wigoru, żeby machnąć maczugą.

Też mi wojsko. Marcus odstawił karabin i wyszedł przez okno. Żelazna krata wpuszczona w zwietrzałe cegły posłużyła mu za drabinę, po której zszedł nieco niżej, a potem puścił ją, zeskoczył na ulicę i wyrwał szablę z pochwy. Tuż przed nim siwowłosa mężczyzna z bokobrodami i chłopiec mogący być jego wnukiem uskakiwali przed wściekłymi atakami klnącego, uzbrojonego w pałkę ocka, usiłując podejść dostatecznie blisko, żeby zadać cios.

Marcus zaszedł milicjanta od tyłu i rąbnął go w potylicę ręką szablą. Uderzony padł bezwładnie jak worek kamieni.

Potyczka prawie się skończyła. Jeden z ocków wspiął się na dach wozu, z kordelasem w ręce i szaleństwem w oczach. Orzeszek próbował złapać krawędź i podciągnąć się, lecz pospiesznie odskoczył, gdy milicjant ciął kordem, mierząc w jego twarz.

– Wszyscy pójdziecie za to na Kolec! – wrzasnął. – Jesteśmy funkcjonariuszami, niech was szlag! Pracujemy dla Dyrektoriatu!

– Wiemy – powiedział Marcus, wciągając się na wóz.

Ocek okręcił się i pchnął, ale Marcus z łatwością odparował cios, tak że kordelas, koziółkując, przeleciał przez ulicę, a milicjant ścisnął drugą ręką skaleczone palce.

– Teraz mów – zachęcił go Marcus. – Co jest na wozie i dokąd to wieziecie?

Mężczyzna zamrugał. Miał głęboko osadzone świńskie oczka i rzadką brodę, która nie zasłaniała obwisłego podbródka.

– Nie wiem, co na nim jest – powiedział.

– Dobrze – odparł Marcus. – No to może go podpalamy?

– Nie! – wrzasnął ocek. – Żadnego ognia. Proszę. To... to proch.

Marcus odszukał stojącą w grupie przy końcu wozu Andy i napotkał jej wzrok. Ponuro kiwnęła głową. Tak jak na innych.

– A dokąd go wieziecie? – spytał Marcus, unosząc szablę tak, że jej koniec znalazł się na wysokości oczu tamtego.

Milicjant stracił wszelką chęć do walki.

– Do domu Kary Doulson, kawałek dalej. Nie wiem po co. Naprawdę nie wiem!

– Wierzę ci. – Żaden z gwardzistów i ocków nie znał przeznaczenia tych ładunków. Maurisk trzyma karty przy orderach. – Orzeszek, możecie wrzucić ładunek do rzeki?

– Żaden problem – odparł olbrzym. – A co z nimi? – Wskazał nieprzytomnych i jeńców.

– Zabierzcie im broń i puście, chyba że potrzebują medyka.

Marcus spojrzał na rannego gwardzistę, który zwinął się w kłębek i szlochał. Z taką raną brzucha już jest trupem. Pochwycił spojrzenie Orzeszka i ruchem głowy wskazał konającego. Orzeszek skinął głową z kwaśną miną.

– Te ocki to żaden przeciwnik – zauważyła Andy, gdy Marcus zeskoczył z wozu, a pozostali ochotnicy zebrali się wokół. – Sami chłopcy i otyli starcy.

– No to siły są wyrównane – rzekł Marcus, uśmiechając się do swej drużyny.

Wszyscy się roześmiali, włącznie z chłopcami i staruszkami.

– Akurat! – prychnęła jedna z kobiet, wywołując kolejną salwę śmiechu.

Marcus ze smutkiem musiał przyznać, że bez kobiet z Doków miałby niebezpiecznie mało ludzi. Borelgajscy uchodźcy nie byli żołnierzami, lecz przeważnie służącymi przywykłymi do spokojnego życia, Doki za to wydawały się niewyczerpanym źródłem krępych, muskularnych matron przyzwyczajonych do ciężkiej pracy u boku mężów i niewzdragających się rozbić kilku głów w razie potrzeby. W wyniku nalegań Raesinii przyjmował wszystkich chętnych, w tym mężczyzn w podeszłym wieku i chłopców, którzy jeszcze nie potrzebowali brzytwy. Jak dotąd ich potyczki z ockami kończyły się zawsze zwycięsko, lecz to nie potrwa długo. Maurisk wyśle więcej gwardzistów i lepiej uzbrojonych.

To jednak nie musiało trwać długo. Janus nadchodził. *Musimy tylko odgadnąć, co, do*

diabła, zamierza zrobić Maurisk, kiedy on tutaj dotrze.

– Znów proch? – spytała Viera.

– Znów proch – potwierdził Marcus, kładąc karabin na stole.

Viera pracowała w zawsze czynnej kościelnej kuchni, krojąc warzywa do wiecznie gotującej się zupy.

– Proch błyskowy czy zwykły strzelniczy?

– Nie potrafię odróżnić na oko – odparł Marcus – ale te baryłki wyglądały tak samo jak wszystkie inne.

– Zatem proch błyskowy. – Viera zamyśliła się, a Marcus zaczął obserwować jej ręce, pilnując, żeby nie ucięła sobie palca. – Co on zamierza zrobić z taką ilością prochu błyskowego?

Był to trzeci przechwycony przez nich konwój, zawsze z takim samym rezultatem. Gwardia Patriotyczna zajęła prawie wszystkie większe budynki wzdłuż Zielonej Drogi, ale wbrew oczekiwaniom Marcusa nie umacniała ich. Powinni barykadować wejścia, wybijać otwory w ścianach, robić takie rzeczy. Zamiast tego Gwardia Patriotyczna zdawała się pozostawiać obronę ockom, którzy wznosili na ulicach barykady, z ogromnym entuzjazmem, lecz niewielką wiedzą wojskową.

A z młynów prochowych na północy proch błyskowy płynął do miasta pozornie niekończącą się rzeką wozów, jadących do różnych budynków stojących przy drodze.

– Zapewne chce coś wysadzić – rzekł Marcus.

– To nie ma sensu – powiedziała Viera.

– No, nie wiem. – Marcus wzruszył ramionami. – Ukryć beczki z prochem w budynkach wzdłuż drogi, poczekać na nadchodzącą armię, a potem wysadzić.

Viera przewróciła oczami. Stało się to już przygnębiająco znajome.

– I co by w ten sposób działał? Zburzyłyby kilka budynków, może zranił kilka osób spadającymi cegłami, ale nie ma aż tyle prochu. Jako pułapka to nie jest nic warte. Gdyby naprawdę chciał wyrządzić poważne szkody, zakopałby beczki pod drogą... wybuch takiej ilości, jaką tu widzimy, pozostawiłby spory krater.

– Nawet to nie wystarczyłoby, żeby zatrzymać Janusa – zauważył Marcus. – Wybuch zmiotłby kompanię czy dwie, ale to niczego by nie zmieniło.

– Właśnie. – Viera potrząsnęła głową. – Nie rozumiem, w co on pogrywa.

– Może po prostu nie wie, co robi?

– Musi mieć jakichś saperów. – Wydeła usta. – Na jego miejscu pomyślałabym o wysadzeniu Wielkiego Łuku. To na jakiś czas zatrzymałoby Janusa przed Wyspą.

Marcus zastanowił się zaskoczony. Wielki Łuk, część stolicy, był tam, od kiedy Marcus się urodził. Był pomnikiem zapobiegliwości i wytrwałości budowniczych, triumfem nowoczesnej nauki, mającym długość niegdyś uważaną za nieosiągalną. Myśl, że Maurisk mógłby go zniszczyć, żeby uzyskać chwilową przewagę militarną, wydawała się niemal świętokradztwem.

– Uważasz, że zrobiliby to? – spytał po chwili.

– Sądząc po tym, co mi przyniosłeś, to nie ma dowodów, że zamierza spróbować. To wielki most i cały z kamienia. Potrzebowałby mnóstwo prochu, a przygotowania rzucałyby się w oczy.

– Może obawia się, że ludzie by tego nie zniesli. Milicja mogłaby zwrócić się przeciwko niemu.

Viera skinęła głową, odsunęła na bok kawałki pokrojonego ziemniaka i sięgnęła po pęczek lekko przywędłej marchewki. Marcus rozejrzał się. Od kiedy Raesinia przejęła kontrolę, liczba pensjonariuszy schroniska znacznie się zmniejszyła i pani Felda wykorzystwała to, żeby dokładnie posprzątać. W powietrzu unosił się silny zapach soli i octu oraz okrzyki tej niezmordowanej staruszki, popędzającej swoje pomocnice.

– Co zatem powinniśmy z tym zrobić? – spytał Marcus.

– Z prochem? – Viera na moment przestała kroić, wzruszyła ramionami i wróciła do tego zajęcia. – To zależy. To nie spowolni specjalnie Janusa, więc patrząc z tego punktu widzenia, nie musimy nic robić, tylko ostrzec go, kiedy tutaj dotrze.

Marcus skinął głową, czując lekką ulgę, ale dziewczyna jeszcze nie skończyła.

– Z drugiej strony, jeśli naprawdę minują budynki i wiedzą, co robią, to zamierzają wysadzić bardzo wiele kamienic. I wątpię, by chcieli zdradzać swe zamiary, ostrzegając ludzi, którzy tam mieszkają. Tak więc z tego punktu widzenia – silnym uderzeniem noża oddzieliła natkę marchewki – może byłoby warto ich powstrzymać.

– Niech to szlag – cicho zaklął Marcus. Janus, gdyby tu dowodził, zważyłby wszystkie za i przeciw przed podjęciem próby ratowania ludzi w zaminowanych budynkach. Raesinia nie. A teraz ona tu dowodzi.

– Jedno, co na pewno powinniśmy zrobić, to przygotować drużyny strażaków – powiedziała Viera, zabierając się do następnej marchewki. – Jest za zimno i mokro, żeby wzniecić silny pożar, ale płonący proch błyskawicznie rozrzuca wokół dużo iskier.

Marcus machinalnie skinął głową, gdyż jego uwagę przyciągnęło jakieś zamieszanie przy frontowych drzwiach. Wróciła Raesinia. Cora i Orzeszek poszli ją powitać. Wprawdzie nastolatka była o pół głowy wyższa, a przy olbrzymie Raesinia wyglądała jak karzełek, ale nie ulegało wątpliwości, kto tu rządzi. Marcus widział to już wiele razy, ale wciąż się dziwił. Jak taka dziewczyna mogła zawiązać spisek, który obalił rząd? Teraz przestało to być zagadką.

W jakiś dziwny sposób przypominało mu to Janusa. Ludzie wokół Raesinii byli przyciągani na jej orbitę, tak jak generał oddziaływał z niemal wyczuwalną siłą na każdą napotkaną osobę. Różnica, myślał Marcus, polega na tym, że Janus doskonale zdaje sobie sprawę ze swojego magnetycznego oddziaływania i wykorzystuje je dla swoich celów, natomiast Raesinia jest niemal nieświadoma swych możliwości. Ona nie planuje, tak jak Janus. Po prostu idzie naprzód, krok za krokiem, a my wszyscy za nią.

Marcus z niepokojem zastanawiał się, co będzie, gdy te dwa ciała niebieskie skierują swoje przyciąganie w przeciwne strony, i potrząsnął głową, żeby przegnać tę myśl. Janus nigdy by na to nie pozwolił. Znów wziął karabin i podniesioną ręką powitał nadchodzący orszak królowej.

Raesinia

– Przekonałaś go? – spytała z niedowierzaniem Andy. – Przekonałaś Uśmiechniętego Jacka, żeby nam pomógł?

– Cóż – odparła Raesinia. – Wątpię, czy to moja zasługa. Cora wykonała całą robotę. – Objęła ramiona Cory i mocno ją uścisnęła. – Ja musiałam tylko pójść i wypowiedzieć magiczne słowa.

– Jakie? – pytała Andy. – Jakie magiczne słowa? Mówią, że ostatniego człowieka, który

poprosił Uśmiechniętego Jacka o datek, znalezione nadzianego na kurki od wiatru na sześciu różnych budynkach!

– Ach, ale my nie prosiliśmy o datek. Złożyliśmy mu propozycję.

Andy przeniosła wzrok z roześmianej twarzy Raesinii na zarumienioną buzię Cory i zrobiła błagalną minę. Cora niezgrabnie wzruszyła ramionami.

– Uśmiechnięty Jack ma problemy z... płynnością finansową – wyjaśniła. – Wiele gangów Starego Miasta ucierpiało w wyniku blokady oraz tego, że przez ocków zamiera życie nocne. Sprawdziłam, skąd on bierze gotówkę, i kupiłam odpowiedni pakiet w kilku co większych placówkach.

– Innymi słowy – rzekła wciąż roześmiana Raesinia – Uśmiechnięty Jack siedzi po uszy w długach, a dzięki Corze dużą część tych pieniędzy jest winien nam.

– A raczej bankom, które kontrolujemy – wyjaśniła Cora. – Tak jest bezpieczniej. Mniejsze ryzyko, że podejmie jakieś pozaprawne kroki.

– Na przykład dojdzie do wniosku, że jego kłopoty się skończą, jeśli znajdą nas pływających w rzece – przetłumaczyła Raesinia. – Szkoda, że nie widzieliście, jak się płaszczył, kiedy wyjaśniliśmy mu sytuację.

Prawdę mówiąc, spotkanie z panem przestępczego półświatka było dla Raesinii rozczarowujące. Słyszała niekończące się opowieści o osławionych gangach Starego Miasta, przestępczych dynastiach o wielowiekowym rodowodzie. Niektóre z nich miały zamieszkiwać posiadłości z czasów sprzed powstania vordanajskiej monarchii, uwzględniając przeróbki po pożarach miasta. Podczas gdy przestępstwa w Nowym Mieście rzadko przekraczały poziom drobnych kradzieży i wendety, nieformalny sojusz gangów, rodzin i gildii rządzących najstarszą dzielnicą stolicy miał większe ambicje. Mieli burdele i domy gry w Cięciu i kontrolowali imperium przemytu, korupcji i nierzędu rozpościerające się od Essyle po Szczękę.

A przynajmniej tak jej zawsze mówiono. Uśmiechnięty Jack był mężczyzną w średnim wieku, z brzuszkiem i początkami łysiny, obwieszonym tandetną biżuterią i jedwabiami. Spotkał się z nią na tyłach gospody Jaskinia Lwa, gdzie miał coś w rodzaju swojej sali tronowej. Ten ostentacyjny pokaz przepychu zapewne imponował innym przestępcom, ale wychowana w ogromnych złoconych salach pałacu w Ohnlei Raesinia miała wrażenie, że znalazła się w zagraconym magazynie.

Butny i rzucający zawołane groźby Uśmiechnięty Jack szybko spokorniał i okazał się niemal żałośnie skory do zawarcia umowy, gdy Cora wyjaśniła mu sytuację. Perspektywa wstrzymania oprocentowania udzielonych mu pożyczek wystarczyła, żeby wymóc potrzebne im obietnice, a Raesinia cierpliwie wytłumaczyła mu, że gdyby ona i Cora nagle znikły, umowa zniknie razem z nimi, ponownie pozostawiając Jacka na łasce banków Giełdy. Wygląda na to, że nawet władcy przestępczego podziemia boją się domów bankierskich.

W rezultacie Uśmiechnięty Jack podjął się otworzyć podwoje kilku swoich nieużywanych budynków dla uchodźców, którzy wciąż przybywali do schroniska pani Feldy, oraz chronić ich przed ockami, przynajmniej do przybycia armii Janusa. Podobne umowy, choć na mniejszą skalę, już trochę złagodziły napięcie, ale ta miała przynieść ogromną poprawę.

– A w dodatku – powiedziała Raesinia – według Cory jeszcze na tym zarobimy.

– Przedsiębiorstwa Uśmiechniętego Jacka są w zasadzie w dobrej kondycji – wyjaśniła

Cora. – Wykupiliśmy jego długi po obniżonej cenie, ale jestem przekonana, że to dobra długoterminowa inwestycja. Oczywiście na jakiś czas wiąże aktywa.

Andy potrząsnęła głową i spojrzała na Raesinię.

– Gdzie ją znalazłaś?

– Pracowała jako goniec na Gieldzie – odrzekła Raesinia. – Gdybym nie rozpraszała jej prośbami o pomoc w ratowaniu Vordanu, pewnie byłaby już właścicielką połowy świata.

Cora, już zaczerwieniona, zarumieniła się jeszcze bardziej i wbiła wzrok w podłogę.

– A co u was? – spytała Raesinia. – Jakiś postęp?

– Przejeliśmy następny wóz ocków – relacjonowała Andy. – Znów z prochem. Marcus i Viera próbują dojść, co oni szykują.

– Są jacyś ranni?

– Tylko zadrapania. Jednak tym razem wzmocnili eskortę. Musieliśmy zastrzelić dwóch gwardzistów.

– Widziałaś Sothe?

– Na górze. – Andy wskazała balkon, na którym po zmniejszeniu liczby gości można było spokojnie układać plany bez potrzeby wchodzenia na strych. – Czeka na ciebie.

Raesinia jeszcze raz poklepała Corę po plecach, pomachała Orzeszkowi i kilku innym Skórzanym Kurtkom, które przyszły powitać wracających, po czym wspięła się po schodach na górę.

Sothe czekała w owej prowizorycznej sali konferencyjnej. Na dużym stole kuchennym podarowanym przez jedną z rodzin uchodźców leżała mapa Doków, narysowana na rulonie szarego papieru, z adnotacjami i notatkami zawierającymi to, co wiedzieli o działaniach ocków i Gwardii Patriotycznej. Większość z nich sporządził Marcus, lecz gdy Raesinia weszła na górę, Sothe swoim ładnym charakterem pisma dopisywała kilka następnych.

– Rozumiem, że twój plan się powiódł? – powiedziała Sothe, odkładając ogryzek ołówka.

– To był plan Cory – odrzekła Raesinia. – Jednak powiódł się doskonale. Teraz łatwiej będzie zapewnić wyżywienie i dach nad głową każdemu, kto potrzebuje pomocy.

– To i tak chwilowe rozwiązanie – zauważyła Sothe. – Nie możemy nakarmić wszystkich mieszkańców Doków.

– Wystarczy nam ta chwila. Janus nadchodzi.

Janus nadchodzi. Te słowa stały się refrenem dla uchodźców, mantrą powtarzaną na rogu każdej ulicy. Janus nadchodzi. Nawet rządowe gazety nie mogły już temu zaprzeczać, chociaż wciąż uparcie głosiły, że towarzyszy mu tylko kilka zbuntowanych oddziałów. Raesinia zastanawiała się, czy Maurisk w zabarykadowanych gabinetach hotelu Ancerre też to sobie powtarza. Janus nadchodzi.

– A co u ciebie? – spytała Raesinia, patrząc na mapę.

– Co do ulic, to tylko uzupełniam notatki już sporządzone przez Marcusa. Gwardia Patriotyczna podkłada ładunki wybuchowe w budynkach przy Zielonej Drodze pomiędzy Dolnym Rynkiem a Wielkim Łukiem, ale nie wiemy po co. – Sothe zamilkła na moment. – Mam trochę więcej informacji o Tysiącu Imion, ale nie wiem, czy na coś się nam przydadzą.

– Wiesz, gdzie one są?

– Tak. Jak można było oczekiwać, Gwardia Patriotyczna przewiozła je wozami do piwnic hotelu Ancerre wkrótce po ataku na Wierzbowy Potok. Oczywiście większość gwardzistów

nie wiedziała, co przewożą, ale ogólny obraz jest jednoznaczny. – Sothe zmarszczyła brwi. – Ludzie Mauriska za dużo mówią.

– Będiesz mogła krytykować ich dyscyplinę operacyjną, kiedy zwyciężymy – powiedziała Raesinia. – Rozumiem, że nie możemy dostać się do Imion?

– Moglibyśmy się tam dostać – powiedziała Sothe, w sposób wyraźnie sugerujący, że używając liczby mnogiej, ma na myśli siebie. – Tylko co potem? Wywieźć niepostrzeżenie osiem stalowych płyt o wadze kilku ton? Musielibyśmy zająć i utrzymać hotel, a na to nie mamy odpowiednich sił.

– Jeśli jednak Maurisk zamierza tylko je tam trzymać, nie mamy powodu do obaw. Odzyskamy je, kiedy Janus go zmiżdży.

– Chyba że Janus przegra.

– Jeśli Janus przegra – zauważyła Raesinia – to myślę, że Imiona będą najmniejszym z naszych problemów.

– Niestety, nie wygląda na to, żeby Maurisk zamierzał je tam przechowywać – powiedziała Sothe. – Trzyma to w wielkiej tajemnicy, ale przy bateriach nabrzeżnych stoi przycumowany duży murnskajski statek handlowy Rosnik. Został skonfiskowany po wybuchu wojny i tkwi tam od pewnego czasu, ale teraz wygląda na to, że Gwardia Patriotyczna szykuje go do żeglugi. A sądząc po tym, jakiego ładunku kazano im oczekiwać, będą to Imiona lub kilka dział o bardzo dziwnym kształcie.

– Na jaja Bestii – zaklęła Raesinia. Transport drogą wodną byłby najłatwiejszym sposobem wywiezienia nieporęcznych płyt z miasta. Przewożenie ich powoli jadącym wozem byłoby zbyt ryzykowne; gdyby Janus się o tym dowiedział, jego kawaleria z łatwością by je przejęła. Jednak płynący na północ Vor był żeglowny na odcinku kilkuset mil i nawet oddział szybko jadącej lekkiej jazdy z trudem dogoniłby statek. – Jeśli wywiozą je z miasta, dotrą z nimi aż do Murnska, zanim zdążymy ich dopaść.

– Podejrzewam, że właśnie o to im chodzi. Myślę, że największe szanse ich odzyskania będziemy mieli, kiedy tablice znajdą się na statku. Jeśli zdołamy wprowadzić na pokład dostatecznie dużą grupę naszych, możemy je zdobyć. – Sothe zawahała się. – Problemem będzie ucieczka. Najłatwiej uderzyć, kiedy statek jest przycumowany, ale...

Raesinia natychmiast zrozumiała, w czym rzecz. Statek przycumowany w pobliżu baterii nabrzeżnej – głównego punktu vordanajskiej obrony na wypadek ataku od strony rzeki – z definicji stał w bezpośrednim zasięgu kilku największych dział, jakie odlewnie były w stanie wyprodukować. Na potrzeby wojny zabrano wszystkie nadające się do transportu działa, lecz w bateriach nabrzeżnych znajdowały się potwornie wielkie sztuki, nieprzeznaczone do użycia w polu. Zaprojektowane do wybijania dziur w borelgajskich okrętach mogły w mgnieniu oka zamienić statek handlowy w stertę drewna opałowego.

Suerta drewna opałowego. Raesinia przez moment rozważała tę myśl. Dziwne, ale to jakby podsuwało jej jakiś niesprecyzowany jeszcze pomysł.

– A sytuację pogarsza to – ciągnęła Sothe – że oni najwyraźniej zamierzają wypłynąć, jak tylko przybędzie Janus. Zapewne chcą mieć pewność, że wszystkie jego siły są związane walką.

– To nam przysporzy pracy. – Raesinia westchnęła. – Musimy się dowiedzieć, co on planuje na Zielonej Drodze, a potem wymyślić, jak zdobyć ten statek, nie popełniając zbiorowego

samobójstwa.

– Mniej więcej tak to wygląda.

– Raesinia! – zawołał Marcus z dołu schodów na balkon. – Jesteś tam?

– Coś się stało? – zapytała.

Marcus wbiegł po schodach, tupiąc buciorami, czemu wtórowały inne, lżejsze kroki. Okazało się, że to Viera, którą ciągnął za rękę.

– Myślę – rzekł lekko zasapany – że wiem już jak.

– Ja nie – mruknęła Viera. – Co...

– Po prostu powtórz jej to, co przed chwilą mi powiedziałaś – rzekł Marcus. – Te ostatnie zdania.

Viera zamrugowała lekko zirytowana i wyprostowała się.

– Ja tylko powiedziałam, że jeśli Maurisk zakłada ładunki prochowe, żeby wysadzić budynki przy Zielonej Drodze, to nie wyrządzą one krzywdy tym, którzy nie będą w środku.

– Nie to. Następne zdanie.

– Następne... – Viera zmarszczyła brwi. – To, że zapewne musimy przygotować drużyny strażaków?

– Tak – potwierdził Marcus.

– Proch błyskowy wzniesie pożary – powiedziała Viera, jeszcze bardziej zirytowana. – Gdyby było lato lub gdyby w mieście były domy kryte strzechą, mógłby to być poważny problem, ale w tej sytuacji będzie miał drugorzędne znaczenie. Zapewne wystarczy nam postawić w pogotowiu kilka drużyn strażaków.

Raesinia już zrozumiała i chyba było to widać po jej minie. Viera wytrzeszczyła oczy.

– No co? – spytała. – Powiedziałam coś złego?

– Nie – odparł Marcus. – Wszystko w porządku. Możesz dać nam chwilę, dobrze?

– Co się dzieje? Jeśli to ma coś wspólnego z materiałami wybuchowymi, to mogę pomóc...

– Sądzę, że twoja pomoc będzie nam potrzebna – orzekła Raesinia. – Jednak nie w tym momencie.

Viera prychnęła, ale odwróciła się i zeszła po schodach. Sothe przez chwilę odprowadzała ją wzrokiem, a potem znów spojrzała na Raesinię.

– Chyba brakuje mi jakiegoś istotnego elementu – zauważyła. – Czegoś związanego ze wzniesaniem pożarów?

– Ta kobieta z magazynu – powiedziała Raesinia.

– Widziałaś, co ona potrafi. – Marcus skinął głową.

– Rzuciała kulami ognia – wyjaśniła Raesinia. – Jednak... nie tylko. Ona nie wytwarzała płomieni, ona je kontrolowała. Pamiętam, że przyciągała płomyki z lamp Strażników.

– I najwidoczniej nie pozwoliła, żeby magazyn spłonął – dodał Marcus. – Byłem pewny, że wybuchnie nam w twarze.

– A skoro potrafi ugasić pożar – ciągnęła Raesinia – to zdaje się logiczne, że może go wzniesić. I to nie jeden. A kiedy wybuchną, może je podsycać.

– Zaminował po sześć budynków po obu stronach ulicy – rzekł Marcus, patrząc na mapę. – To odcinek długości paru mil. Sądziś, że jej moc sięga tak daleko?

– Nie wiem – odparła Raesinia. – Jednak on najwyraźniej wie albo kapłani Czerni, którzy mu pomagają.

- Nic dziwnego, że ich działania wydają się Wierze bezsensowne – rzekł ponuro Marcus. – Ona nie wie, że pomagają im demon.
- Zatem Maurisk zaczeka, aż armia Janusa dotrze do Wielkiego Łuku i w mieście znajdą się tysiące żołnierzy...
- Co najmniej – powiedział Marcus.
- I wtedy rozpęta burzę ogniową. – Raesinii zaschło w gardle. – Zupełnie mu odpierdoliło.
- Stres robi dziwne rzeczy z ludźmi będącymi u władzy – zauważyła Sothe. – Ponadto już nie mam pewności, czy Maurisk rządzi sam, czy słucha swoich przyjaciół Penitentów. Kapłani Czerni z pewnością nie zawahaliby się spalić pół Vordanu, żeby zdobyć to, czego chcą.
- I właśnie dlatego wybrali tę noc, żeby uciec z Imionami – powiedziała Raesinia.
- Co takiego? – zapytał Marcus. – Dokąd uciec?
- Sothe zwięźle przekazała mu informacje o Imionach, Rosniku oraz przypuszczenia dotyczące planów kapłanów Czerni. Marcus zmarszczył czoło i brwi, drapiąc się po brodzie.
- Nawet gdybyśmy wdarli się na pokład, będą tam wartownicy – rzekł. – Zlikwidowanie ich potrwa. Istnieje też niebezpieczeństwo, że pojawi się jeden z Przeklętych Penitentów.
- Tego, z którym walczyłam, w kilka osób można pokonać – powiedziała Sothe.
- Olbrzym może być większym problemem – zauważył Marcus. – Albo ta ognista kobieta, jeśli nie jest zajęta gdzie indziej. Jednak nawet jeśli ich pokonamy, jak wyprowadzimy statek poza zasięg dział, zanim podziurawią go jak sito?
- Moglibyśmy użyć Imion jako zakładników – podsunęła Sothe.
- W jaki sposób? Niełatwo je połamać. Co zrobimy, zagrozimy zatopieniem ich w rzece?
- Może moglibyśmy podłożyć ładunek wybuchowy i...
- W głowie Raesinii jakby zaskoczył jakiś trybik i już wiedziała.
- Myślę – powiedziała – że źle do tego podchodzimy...

Dwadzieścia trzy

Marcus

Dlaczego mam wrażenie, pomyślał Marcus, jakbym już tu był? Znow siedział w łódce na pustej ciemnej rzece i płynął w nieznaną. Stłumiony plusk wioseł, miarowy jak bicie serca, był jedynym dźwiękiem. Na prawo znajdowała się jasno oświetlona Wyspa; latarnie płonęły nawet na opuszczonych blankach Vendre wbijającej się w rzekę niczym dziób statku. Przed nim i po lewej ciągnęły się rezydencje arystokracji ze względu na swą fantastyczną i niepraktyczną architekturę zwane Baśniowymi Zamkami – tam światła paliły się tylko w nielicznych pomieszczeniach służby. Teraz, gdy armia Janusa stanęła u progu, ci szlachetnie urodzeni, którzy zostali w stolicy podczas rewolucji i po wybuchu wojny, też uciekli, jak każdy, kto miał taką możliwość.

Jutro, a przynajmniej tak głosiły plotki, armia Wschód wkroczy do stolicy. Maurisk się podda albo Janus skapituluje, albo spotkają się na ziemi niczyjej, żeby rozstrzygnąć spór w pojedynku. Rządowe gazety złowieszczo zamilkły, a pod ich nieobecność miliony plotek wyrastały jak grzyby po deszczu. Rano wszystko się rozstrzygnie, tak czy inaczej.

Co więcej, żeby powstrzymać tłum uchodźców i dezertków, na przedmieściach stolicy ustawiono oddziały Gwardii Patriotycznej blokujące drogi na południe. Kilku odważnych ochotników próbowało się przedrzeć do Janusa, żeby nawiązać łączność, ale wszyscy mieli dość rozsądku, żeby zawrócić na widok licznych patroli. Maurisk dobrze wiedział, że w mieście są grupy, które prędzej pomogą Janusowi, niż podejmą z nim walkę, i postanowił odgrodzić je szczelnym kordonem.

Co oznacza, że jesteśmy sami. Marcus wciąż nie wiedział, czy Giforte zdołał uciec i uruchomić nowe stanowisko pstrykacza, ale teraz nie miało to znaczenia. Kończy nam się czas. I właśnie dlatego był tutaj na rzece z królową Vordanu, szykując się do abordażu z kordelasem w zębach, jak pirat z kiepskiej sztuki.

Dlaczego trzymać go w zębach? – rozmyślał leniwie, gdy Orzeszek i George Flak starali się utrzymać łódź na kursie. Dlaczego nie w pochwie?

– Tam – pokazała Raesinia. – To musi być to.

Na wprost przed nimi wyrastały złowrogie zarysy baterii nabrzeżnych, ogromne ceglane forty z ciemnymi paszczami otworów, w których czają się działa. Paliło się tam kilka lamp, głównie na niewielkich pomostach wychodzących w rzekę tuż poniżej dział. Między nimi, oświetlony tylko dwiema zapalonymi latarniami, majaczył jakiś wysoki ciemny kształt. Marcus dostrzegł zarysy dwóch masztów na tle ciemniejszego zbrocza za nimi.

– Jesteśmy pewni, że już załadowali Imiona?

– Sothe jest pewna – odparła Raesinia, co w jej ustach oznaczało przekonanie graniczące z nabożną wiarą. Najwyraźniej darzyła ogromnym zaufaniem małomówną byłą agentkę Konkordatu, a Marcus musiał przyznać, że nie ma powodu jej nie ufać. Mimo to czuł się trochę nieswojo w jej obecności. Ta kobieta niechętnie patrzyła mu w oczy i starała się nie odzywać do niego, jeśli tylko mogła. Może po prostu mnie nie lubi. Albo nie podoba jej się, że tak się zbliżyłem do Raesinii. Podejrzewał, że to ostatnie jest bardziej prawdopodobne. Sothe była

niezwykle opiekuńcza wobec swojej podopiecznej.

Przekonanie Sothe, że tego wieczoru jej zdolności będą bardziej przydatne gdzie indziej, wywołało długi i zażarty spór. W końcu jednak musiała przyznać, że jeśli chcą zapobiec wpadnięciu Imion w łapy Elizjum i spaleniu Doków przez Przekłętą Penitentkę, ktoś musi ją zlokalizować i śledzić, a nikomu prócz Sothe nie mogło się to udać. Sothe jeszcze upierała się, że Raesinia powinna zostać w schronisku, ale z nutą fatalizmu w głosie, co Marcus odczytał tak, że ten spór z królową uważała za z góry przegrany. Jak można się było spodziewać, Raesinia uparła się towarzyszyć mu na Rosnik.

Kiedy znaleźli się pięćdziesiąt metrów od statku, Marcus klepnął Orzeszka w ramię. Olbrzym i George przestali wiosłować, tylko małymi pociągnięciami piór utrzymywali łódkę w miejscu na wolno płynącej rzece. Marcus zdjął z kołka latarnię sztormową, sprawdził osłonę i odsunął ją na moment, wysyłając umówiony sygnał w górę rzeki.

Odpowiedział mu podobny błysk. To Andy już zajęła pozycję. Obróciwszy się na rufie, Marcus wysłał taki sam sygnał w dół rzeki i w odpowiedzi otrzymał kolejny błysk. Viera. Marcus wolałby nie zabierać studentki – bo w walce nie będzie z niej żadnego pożytku – ale uparła się, że może trzeba będzie poczynić jakieś końcowe poprawki. Chyba po prostu chce zobaczyć fajerwerki.

– Wszyscy gotowi – rzekł Marcus.

Orzeszek kiwnął głową. Na moment puścił wiosło, wetknął dwa palce do ust i gwizdnął. Wysoki, upiorny świst przeleciał echem po wodzie i ucichł. Potem olbrzym znów złapał wiosło i razem z George'em silnymi pociągnięciami skierowali łódź ku Rosnikowi.

W mgnieniu oka pokonali odległość dzielącą ich od statku. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, łódź Viery podpłynie do niego od dziobu, Andy zaś od rufy. Łódź Marcusa stuknęła o kadłub znacznie większej rzecznej jednostki na samym środku burty i zakołysała się lekko. Reling znajdował się niewysoko, tak więc na szczęście haki abordażowe nie były potrzebne.

Marcus oparł dłonie o szorstkie deski burty, usiłując ustabilizować łódź. Raesinia, boso i w krótkich spodenkach, złapała go za koszulę, wspięła się po jego plecach i stanęła mu na ramionach. Stojąc tak, złapała reling i wciągnęła się na pokład. Marcus spoglądał w górę, czekając na ostrzegawczy okrzyk lub strzał z pistoletu, ale żaden nie padł. Po chwili sznurowa drabinka rozwinęła się i ześliznęła po burcie statku, a Orzeszek natychmiast zaczął przywiązywać do niej łódź.

Większość wyposażenia i informacji niezbędnych do realizacji tego planu dostarczył ten olbrzymi mężczyzna i jego znajome Skórzane Kurtki, ponieważ spędzali całe dni na statkach lub przy nich. Doświadczenie Marcusa związane z pływaniem po morzu i rzece ograniczało się do rzygania, więc ochoczo zdał się na nich. Pozwalając Raesinii pierwszej wejść na statek, postąpił wbrew swoim instynktom, ale jak powiedziała mu na osobności: „Jeśli mają odstrzelić głowę pierwszej osobie wchodzącej na pokład, to chyba powinienam być nią ja. Moja głowa odrośnie”.

Kiedy przymocował drabinę, Orzeszek wspiął się po niej z szybkością zaskakującą u takiego olbrzyma. George Flak poszedł w jego ślady, nieco wolniej, a Marcus na końcu. Rosnik miał płaski kształt rzecznej jednostki, jednopokładowej, z wszystkimi kajutami i ładowniami pod pokładem. Jedna lampa paliła się na rufie, a dwie inne na dziobie, którym statek był skierowany do nabrzeża. Marcus dostrzegł jednego uzbrojonego w muszkiet

wartownika przy sterze i kilku innych na dziobie, lecz tak jak się spodziewali, większość gwardzistów czekała na brzegu, przygotowana do odparcia ataku od strony lądu. Maurisk powinien mieć trochę więcej wyobraźni.

– Coś jest nie tak. – Raesinia osłoniła dłonią oczy, spoglądając w kierunku dziobu. – Nie widzę nikogo z grupy Viery.

Marcus spojrział w przeciwną stronę. Światło lamp oślepiło go, ale zdołał dostrzec ciemne sylwetki przechodzące przez reling, zaledwie kilka metrów od koła sterowego i wartownika. Gwardzista, również oślepiiony, najwyraźniej nie zauważył intruzów.

– Andy już jest. – Marcus wyjął zza pasa pistolet i sprawdził proch, upewniając się, że jest wciąż suchy. – Czy mogą mieć kłopoty z wejściem po drabince?

– Obawiam się, że popłynęli za daleko... kurwa!

Nad relingiem na dziobie pojawiła się głowa i ramiona piętnastoletniego chłopca. Marcus niejasno pamiętał, że ma na imię Peter i jest jednym z uchodźców, którzy na ochotnika zgłosili się do akcji przeciwko gwardzistom i ockom. Jednak ich łódź zablądziła w ciemności i podpłynęła za blisko nabrzeża. Chłopak wspiął się na statek parę kroków od stojących tam dwóch wartowników. Marcus zobaczył, że jeden z nich odwrócił się i wybałuszył oczy, a potem wyrwał zza pasa pistolet.

– Nie ruszaj się! – powiedział dostatecznie głośno, żeby usłyszano go na całym statku.

Chłopak powinien natychmiast się schować. Zamiast tego podciągnął się, usiłując przejść przez reling. Marcus zaczerpnął tchu, zamierzając okrzykiem odwrócić uwagę wartownika, ale nie zdążył. Gwardzista nacisnął spust. Huknął strzał i głowa Petera odskoczyła do tyłu, jakby ktoś szarpnął go za włosy. Jeszcze przez moment ścisnął rękami reling, a potem puścił i poleciał do tyłu, znikając w ciemności. Ktoś na dole krzyknął.

Marcus krzyknął ostrzegawczo i gniewnie, po czym wycelował swój pistolet. Chociaż bardzo chciał zastrzelić wartownika, który oddał strzał, wojskowe nawyki kazały mu unieszkodliwić drugiego, który wciąż miał nabitą broń. Pistolet podskoczył mu w rękę, a gwardzista okręcił się w miejscu i z jękiem upadł na reling. Drugi wartownik odwrócił się z dymiącym pistoletem w dłoni, a Marcus usłyszał krzyki innych gwardzistów na brzegu.

I nagle skończył nam się czas.

– Raes! – zawołał. – Do relingu!

Odrzuciwszy pistolet, wyjął szablę i runął na zaskoczonego gwardzistę, który zastrzelił Petera. Za plecami, na rufie, usłyszał kolejny wystrzał z pistoletu, ale nie miał czasu tam spojrzeć. Andy da sobie radę.

Dopadł wartownika, który właśnie odrzucił pistolet i sięgał po miecz. Marcus nie dał mu żadnych szans, zadając skierowane od dołu pchnięcie w brzuch, aż ostrze wyszło między łopatkami. Gorąca krew oblała Marcusowi dłoń, a gwardzista osunął się na kolana i umarł, bulgocząc. Marcus wyrwał klingę z jego ciała i pozwolił mu upaść, po czym podniósł głowę i zobaczył przebiegającą obok Raesinię.

Rosnik był połączony z nabrzeżem dwiema grubymi cumami i kładką trapu opartego o jego pokład. Trap był przymocowany cieńszą liną. Raesinia wyjęła nóż i zaczęła ją przecinać, gdy wartownicy z nabrzeża już wbiegali na kładkę. Marcus natychmiast zrozumiał, że królowa nie zdąży przeciąć sznura. Wprawdzie ktoś już wchodził po sznurowej drabinie, z której spadł Peter, ale nie dotrze w porę na pokład. Podbiegł i stanął za Raesinią, z donośnym okrzykiem

unosząc szablę.

Nagle wyłaniając się z ciemności, przestraszył pierwszego gwardzistę, który niezdarnie odskoczył, stracił równowagę i z wrzaskiem wpadł do wody między statkiem a nabrzeżem. Idący za nim miał lepszą pozycję i pistolet w ręku. Marcus przypadł do pokładu w momencie, gdy przeciwnik nacisnął spust. Gdy huknął strzał, Marcus poderwał się i ciał szablą, trafiając gwardzistę w łydki. Siła uderzenia i ból sprawiły, że ten też stracił równowagę i runął, z paskudnym trzaskiem pękającej czaszki odbijając się od kamiennego nabrzeża i wpadając do wody.

– Zastrzelić ich! – krzyczał ktoś na brzegu. – Ognia!

– Zrobione! – powiedziała Raesinia.

Marcus zanurkował i złapał koniec trapu wolną ręką, a Raesinia oburącz chwyciła deski. Podnieśli składany drewniany mostek, przenosząc go za burtę Rosnika, po czym pozwolili, żeby spadł, szarpiąc deski burty. Kiedy wpadł do wody, Marcus złapał Raesinię i przycisnął do pokładu, na moment przed tym, nim na brzegu huknęły trzy lub cztery muszkiety. Kule świsnęły im nad głowami, a co najmniej jedna ze stukiem wbiła się w kadłub statku.

– Jesteś cała? – spytał, przyciskając Raesinię do pokładu.

– Zawsze – powiedziała. – Pamiętasz?

– Marcus? – zawołała Andy. – Myślę, że na dole jest ich więcej!

– Na jaja pierdolonej Bestii. – Marcus zerwał się na równe nogi i pobiegł pochylony przez pokład, który znajdował się nieco wyżej niż nabrzeże, tak więc strzelający nie mogli dobrze wycelować, bo Marcus nie biegł blisko relingu, ale to ich nie powstrzymało. Sądząc po natężeniu ostrzału, musiało ich być co najmniej tuzin.

Na dziobie Viera już weszła na pokład, razem z dwiema kolejnymi ochotniczkami, Maple i Zimoną. Były to siostry ścigane przez ocków za to, że roztrzaskały czaszkę łobuzowi, który żądał od nich pieniędzy za ochronę. Paliły się do pomocy. Starsza z nich, Maple, ruszyła na pomoc Raesinii, lecz jej siostra klęczała z pobladłą twarzą obryzganą krwią, zapewne Petera. Viera, szczuplutka przy tych dwóch krępych kobietach z Doków, podążyła za Marcusem do schodów na śródokręciu.

Andy już tam czekała. Pilnujący schodów gwardzista leżał nieprzytomny, mocno krwawiąc. W jednej ręce trzymała jego muszkiet. Towarzyszył jej Gavin, łysawy i muskularny Borelgaj, który podobno niegdyś był ogrodnikiem, oraz były członek Skórzanych Kurtek, niejaki Brask. Nell, kolejna z młodych kobiet Jane, która nie poszła na wojnę, zostając z kochankiem, właśnie wchodziła po drabince sznurowej. Rząd schodów wiódł z głównego pokładu w dół, do cienkich drewnianych drzwi, w których już widniała jedna poszarpana dziura.

– Próbowałam je otworzyć, a on strzelił przez drzwi – wyjaśniła Andy. – Chybił, ale niewiele brakowało.

– Czy jest inne wejście pod pokład? – zapytał Marcus.

– Przez luk ładowni – odparł Brask. Miał szerokie bary człowieka, który zarabia na życie załadunkiem i rozładowywaniem statków. – Jednak potrzebny byłby dźwig, żeby go otworzyć.

– Marcusie! – zawołała Raesinia. – Próbują wejść na pokład!

Marcus znów zaklął.

– Andy, weź muszkiety i pistolety wartowników. Oddajcie kilka strzałów, żeby pochowali głowy, ale nie wystawiajcie swoich, jeśli możecie. Niech grupa z dziobu wam pomoże, ale

prześlizgnij tu Viere.

– Robi się – powiedziała Andy, biegnąc do Raesinii.

– Wszyscy odejść od drzwi – rozkazał Marcus. Nell weszła na pokład i dołączyła do Gavina i Braska, ściskając w dłoni pistolet. – Spróbuję go sprowokować do strzału. Gavin, myślisz, że zdołasz wyważyć te drzwi?

Potężnie zbudowany ogrodnik obrzucił je taksującym wzrokiem i potwierdził. Marcus zostawił go na szczycie schodów i wrócił tam, gdzie zostawił swój pistolet. Odzyskawszy broń, położył się płasko na pokładzie, tuż nad drzwiami, tak że skory do strzelania gwardzista znalazł się tuż pod nim. Z tego miejsca Marcus mógł wyciągnąć rękę i dosięgnąć górnej części drzwi. Trzymając pistolet za lufę – jeszcze ciepłą po niedawnym wystrzale – zamachnął się i mocno uderzył kolbą w drzwi.

To przyniosło pożądany skutek. Kolba pistoletu z łoskotem uderzyła w deskę i wartownik w środku wypalił, wybijając następną dziurę w drzwiach, ale trafiając jedynie w drewniany stopień. Czekający na to Gavin błyskawicznie zbiegł po schodach i uderzył barkiem w drzwi. Pękły z trzaskiem i huknął strzał z pistoletu. Marcus usłyszał jęk trafionego Gavina, a biegnący tuż za nim Brask wpadł do środka z nożem w rękę. Marcus zerwał się na równe nogi i zeskoczył na schody.

Gwardzista był martwy, obok niego leżały dwa dymiące pistolety, a w jego szyi tkwił nóż Braska. Gavin opierał się o ścianę, jęcząc i ściskając zakrwawiony bok.

Nie sądziłem, że może mieć drugi, pomyślał Marcus w dziwnym odrętwieniu, jakie zawsze ogarniało go podczas walki. Był to spokój dowódcy patrzącego na ginących wokół ludzi i świadomego, że w tej chwili nie może się tym przejmować. Najpierw zrób co trzeba.

– Zabierz Gavina na pokład – rozkazał Braskowi. – Nell, sprawdź, czy to był ostatni.

– Tak jest, panie pułkowniku! – powiedziała piskliwym, lecz zdecydowanym głosem. W następnej chwili Marcus uświadomił sobie, że właśnie wysłał niespełna dwudziestoletnią dziewczynę być może przeciwko uzbrojonemu mężczyźnie. Zrób co trzeba. Marcus odsunął się na bok, przepuszczając ją, a potem wrócił na pokład i zobaczył zbliżającą się Viere z jej torbą z natłuszczonej skóry.

– Zaczekaj, aż będziemy pewni, że nikogo już tam nie ma – polecił jej. – Potem zrób co trzeba, najszybciej jak potrafisz.

– Możesz na to liczyć. – W oczach Viery palił się niezdrowy błysk. – Nie będziemy tu ani chwili dłużej niż to konieczne.

W pobliżu dziobu wciąż padały strzały z muszkietów, Marcus więc pobiegł w tym kierunku, znów pochyliwszy się, żeby nie wystawiać głowy. Zobaczył Raesinię i Andy leżące obok siebie na pokładzie i celujące przez otwory w relingu, żeby jak najmniej się odsłaniać. Po oddaniu strzałów odczołgiwały się do tyłu i brały nowe muszkiety od George'a Flaka, który nabijał je najszybciej jak mógł. Maple leżała bezwładnie oparta o reling, a Zimona we łzach odciągała siostrę. Obok niej Orzeszek rąbał grube jak męskie ramię liny przytrzymujące statek przy nabrzeżu.

– Zostaw je – powiedział mu Marcus. – I tak nie zdołamy podnieść kotwicy. Zabierz ją stąd!

Orzeszek skinął głową i odciągnął Maple od relingu, poza pole widzenia muszkietników na brzegu. Zimona podążyła za nim. Marcus popatrzył na jej bezwładnie zwisającą rękę i pomyślał: Najpierw zrób to, co masz zrobić. Położył się na pokładzie i podczołgał do

Raesinii, żeby spojrzeć na nabrzeże.

Tak jak się domyślał, było tam około tuzina gwardzistów; kryli się za stertami beczek i zwojami lin zalegających na brzegu. Jeden leżał dobrze widoczny, najwyraźniej martwy, a inny uparcie odczołgiwał się od statku, pozostawiając za sobą smugę krwi z przestrzelonej nogi. Reszta ładowała i strzelała pospiesznie, a gęsta mgła prochowego dymu już wisiała jak brudnoszara chmura nad nabrzeżem, rozjaśniana rozbłyskami wystrzałów.

– Dwaj próbowali wspiąć się po linach, ale Andy zderzyła jednego po głowie – zameldowała Raesinia. – Drugi wskoczył do wody.

– Myślę, że próbują nas zatrzymać, dopóki czegoś nie wymyślą – powiedziała Andy.

– Mnie to pasuje – rzekł Marcus. Drgnął, słysząc wystrzał z pistoletu stłumiony przez grube deski pokładu. Widocznie Nell natknęła się na kogoś. – Wy dwie prowadźcie ogień. Ja pomogę Vierze.

Tylko przez moment myślał o tym, jakim absurdem jest wykorzystywanie królowej jak szeregowego żołnierza. Odczołgując się od relingu, zerknął przez ramię na Orzeszka, który odciągał Maple w bezpieczne miejsce. Olbrzym pochwycił spojrzenie Marcusa i pokręcił głową. Zimona pochyliła się nad ciałem siostry, łkając. Niech to szlag. Marcus pokazał Orzeszkowi, żeby pomógł George'owi ładować – olbrzym byłby zbyt łatwym celem przy relingu. Orzeszek kiwnął głową, poklepał Zimonę po ramieniu i przemknął po pokładzie, a Marcus pobiegł z powrotem na rufę.

Nell wychodziła spod pokładu z dymiącym pistoletem w dłoni.

– Jeden tam został – powiedziała z promiennym uśmiechem. – Ale załatwiłam go.

– Dobra robota. Czy Viera już tam jest?

– Z Braskiem – powiedziała Nell.

– Pomóż Andy i Raesinii – rozkazał Marcus i zbiegł po schodach.

Gavin leżał na boku, a prowizoryczny bandaż, którym owinięto go w pasie, już był mokry od krwi. Miał nierówny oddech. Dalej krótki korytarzyk prowadził do ładowni na jednym końcu i dwóch kajut na drugim; drzwi obu były już wyłamane. Za jednymi z nich leżał martwy gwardzista z krwawą dziurą zamiast oka.

Marcus zawrócił do ładowni. Na samym końcu była Viera, poprawiając coś, a Brask stał, patrząc na wielką drewnianą skrzynię. Marcus dołączył do niego i znalazł w niej jedną z ogromnych stalowych tablic, zapakowaną w słomę jak butelki z winem przygotowane do transportu.

– Po to tu przyszliśmy, prawda? – spytał Brask.

Marcus zawahał się, a potem skinął głową. Oczywiście nie powiedzieli ochotnikom wszystkiego, tylko że ta misja jest bardzo ważna, jeśli mają powstrzymać Mauriska. Brask zmarszczył brwi, a potem przeżegnał się dwukrotnie.

– Dobrze – powiedział. – Cieszę się, że zniszczymy te pogańskie błyskotki. Dreszcz mnie przechodzi na sam ich widok.

Niech tak myśli.

– Viera, jak długo jeszcze?

– Parę minut – odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

– Brask, wyciągnij Gavina na pokład – polecił Marcus. Ranny członek Skórzanych Kurtek pewnie nie wyjdzie z tego, ale przynajmniej powinni spróbować przetransportować go do

medyka. – Ja przygotowuję łódzie.

– Rozumiem – warknął Brask.

Na górze ostrzał z nabrzeża ustał. Marcus podejrzewał, że gwardzistom kończy się amunicja, a poza tym chmura dymu z ich muszkietów była już tak gęsta, że praktycznie strzelali na oślep. Andy regularnie odpowiadała ogniem, żeby dać im znać, że ktoś wciąż tu jest, ale Raesinia i Nell odczołgały się od relingu.

– Prawie gotowe – powiedział Marcus. Szybko policzył w myślach. – Zostawimy jedną łódź. George, weź tę, którą przy płynęliśmy. Orzeszek, ty weźmiesz tę przy rufie. Będzie trochę ciasno, ale damy radę.

– Nie sądzę, żeby Zim zostawiła Maple – rzekł Orzeszek.

– Znieś ją – powiedział Marcus. – Nie mamy czasu. Potem pomóż Braskowi nieść Gavina. Paskudnie oberwał.

– Dobrze.

Orzeszek przeszedł po pokładzie i złapał wrzeszczącą Zimonę w talii, odrywając od ciała siostry. Bez trudu zaniósł ją na rufę. George, choć trochę przeszkadzał mu w tym wydatny brzuch, któremu zawdzięczał swój przydomek, już schodził po sznurowej drabince do drugiej łodzi.

Uda się nam, pomyślał Marcus. Potyczka była krwawsza, niżby chciał – miał nadzieję, że unikną walki – ale gwardziści byli w szachu. Nie mogą nas zaatakować i nie mają dobrej pozycji do ostrzału. Mogliby zmieść nas z powierzchni, strzelając z dział, ale wtedy...

Coś poruszyło się na pokładzie. Marcus zamrugał i spojrzał uważnie: rzucany przez latarnię na dziobie cień masztu wyginał się w miejscu, gdzie podekscytowana Nell opowiadała Raesinii o swoim starciu z gwardzistą. Długi ostry cień, a na jego skraju... ręka?

Marcus wyteżył wzrok. Dłoń w czarnej rękawiczce, ściskająca oświetlony kawałek pokładu. Nagle, zwinnym ruchem, gibki czarny kształt wyłonił się z cienia masztu jak pływak wynurzający się z wody. Marcus dostrzegł błysk obsydianu i krzyknął ostrzegawczo.

Za późno. Przybysz złapał Nell za rękę i pociągnął, zrywając się z pokładu i pozbawiając ją równowagi. Takim samym płynnym ruchem przeciągnął po jej szyi trzymanym w drugiej ręce sztyletem, wysyłając w powietrze fontannę krwi. Raesinia jeszcze nie zdążyła się odwrócić, gdy z półobrotu uderzył ją pięścią w brzuch. Gdy zgięła się wpół, złapał ją za włosy, szarpnięciem odchylił głowę do tyłu i przyłożył sztylet do jej szyi.

– Hej, pułkowniku.

Głos Ionkovo. Twarz skryta za obsydianową maską Przekłętego Penitenta.

Po trzykroć szlag. Andy, wciąż leżąca przy relingu, przetoczyła się na bok i zastygła. Z lufy jej muszkietu unosił się dym, co oznaczało, że już wystrzeliła. George już był w łodzi. Brask i Orzeszek pomagali Gavinowi na rufie. Nell, z szeroko otwartymi oczami, zrobiła kilka chwiejnych kroków, a potem upadła jak pijana w szkarłatnej kałuży krwi wypływającej z jej szyi coraz słabiej pulsującą strugą. Zabębniła piętami o pokład i znieruchomiała.

– Niezły plan – rzekł Ionkovo. – Tylko nie rozumiem, jak mogliście oczekiwać, że zdołacie uciec. Samobójcza misja?

Raesinia spazmatycznie łąpała powietrze, ze sztyletem przyciśniętym do szyi. Jednak gorączkowo poruszała rękami. Przeciągała palcem po dłoni drugiej ręki, raz po raz, i dopiero po chwili zrozumiał, co mu pokazuje.

Tamtej nocy w Bliźniaczych Wieżyczkach. Przeciągnęła nożem po swojej dłoni, żeby zademonstrować mu swoją moc. Nie mogę umrzeć. Oczy Raesinii odnalazły wzrok Marcusa, wysyłając ostrzeżenie. Nie rób niczego głupiego.

Marcus napotkał spojrzenie zapadniętych pod błyszczącą maską oczu Ionkovo. Spoglądały złowrogo, ale z odrobiną ponurego rozbawienia. On wie. Jednak nie wie, że ja wiem.

Nie obracając głowy, Marcus zerknął na rufę. Brask i Orzeszek już znieśli Gavina do łodzi, a na drabince sznurowej zobaczył Vierę. Tylko rzuciła okiem na nieruchomo stojących na pokładzie i pospiesznie zaczęła schodzić do łodzi. Mądra dziewczyna.

– Kładź się na pokładzie, pułkowniku – powiedział Ionkovo. Spojrzał na Andy. – Ty też, chyba że chcesz zobaczyć, jak zrobię twojej przyjaciółce uśmiech od ucha do ucha.

– Jeśli ją zranisz – warknęła Andy – rozsmaruję twój mózg po pokładzie.

Marcus usiłował powoli liczyć w myślach, ale serce biło mu tak mocno, że nie miał pewności. Jednak to już niedługo.

– Pułkowniku? – Ionkovo przechylił głowę w bok. – Na co czekasz?

W ładowni małe mechanizmy tykają i skrzesały iskry.

Wybuch był jak wystrzał z działa i Rosnik podskoczył jak kopnięty przez olbrzyma. Ionkovo zatoczył się, lecz nie rozluźnił chwytu. Obrócił sztylet i pchnął nim w górę, przez miękką tkaninę pod szczęką Raesinii i w mózg. Nogi ugięły się pod nią i upadła na pokład, gdy Ionkovo pozwolił, by jej włosy wysliznęły się z jego palców.

Andy wrzasnęła i rzuciła się na Przekłętego Penitenta, lecz pędzący w przeciwną stronę Marcus złapał ją w połowie drogi. Objął ją w pół i uniósł w powietrze, gnając w kierunku relingu na dziobie. Ionkovo coś mówił, lecz jego głos utonął w znacznie potężniejszym wybuchu, tym razem na dziobie. Płonące kawałki drewna poszybowały w niebo, a tylny maszt runął z przeciągłym jękiem jakby ogromnego zardzewiałego zawiasu. Wstrząs rzucił Marcusa i Andy na reling, który trzasnął pod ich połączonym ciężarem. Marcus mocno trzymał dziewczynę i razem przelecieli za burtę, z pluskiem wpadając do wody parę metrów niżej.

Marcus robił co mógł, żeby utrzymać nad wodą głowę szamoczącej się i przeklinającej Andy, lecz pomimo jego starań łyknęła trochę wody. To trochę ją uciszyło, a zanim ją wykaszła, uspokoiła się na tyle, że mogła płynąć sama. Rosnik szybko tonął, z kawałkiem kilu wyrwanym na dziobie i całą rufą rozerwaną poniżej linii wodnej. Wkrótce tylko jego przedni maszt wystawał nad powierzchnią.

Woda była przejmująco zimna i Marcus już zaczął tracić czucie w palcach. Machał nogami w ciągnących go na dno butach, zataczając krąg. Gdy zgasty latarnie na Rosniku, na rzece zrobiło się ciemno, ale gwardziści wciąż biegali po nabrzeżu i w blasku ich latarni dostrzegł w pobliżu jedną z łodzi. Złapał Andy za ramię i pokazał, a ona konwulsyjnie skinęła głową i popłynęła w tym kierunku.

George Flak, wychylając się tak, że o mało nie wywrócił łódki, najpierw pomógł Andy, a potem Marcusowi wciągnąć się do niej wraz ze sporą objętością rzecznej wody. Zimona zwinęła się w kłębek na rufie, szlochając, a ponieważ wszyscy byli mokrzy, Marcus dopiero po chwili uświadomił sobie, że Andy też płacze.

– Co się stało, do diabła? – spytał George. – Już miałem odbijać, gdy usłyszałem krzyki. Gdzie Raesinia i Nell?

– On je zabił, kurwa – powiedziała Andy. – Oto co się stało! Ten pierdolony...

– Nell nie żyje – powiedział Marcus. – Jednak Raesinii nic nie będzie. Musimy wrócić i ją znaleźć.

– Nic nie będzie? – napadła na Marcusa Andy. – Odpierdoliło ci? Jak możesz...

Marcus zasłonił ją przed George'em i nachylił się, przysuwając usta do jej ucha.

– Wyjaśnię wszystko później, obiecuję – szepnął. – Na razie musisz mi zaufać. Raesinia żyje i nie możesz nikomu mówić o tym, co przed chwilą widziałaś.

Andy mocno ścisnęła jego ramię.

– Mówisz serio? – spytała ochryplym szeptem. – Myślisz, że ona żyje?

– Klnę się na wszystkich świętych i męczenników – odparł Marcus.

Andy odsunęła się i przyjrzała mu się w słabym, migotliwym świetle. Cokolwiek zobaczyła w jego oczach, najwyraźniej było przekonujące, ponieważ gwałtownie kiwnęła głową i usiadła obok jednego z wiosł.

– Raesinia żyje – powiedział Marcus, odwracając się do George'a. – Jednak musimy ją odnaleźć przed tamtymi. Pomóż mi...

Noc rozjaśniła się jak rozświetlona przez błyskawicę i w następnej chwili ogłuszył ich potworny huk, głośniejszy od najpotężniejszego gromu, jaki Marcus słyszał w swoim życiu. Pięćdziesiąt metrów od ich łodzi słup wody uniósł się w górę i opadł w fontannie piany.

Zimona wrzasnęła i skuliła się jeszcze bardziej. Andy, przyciskając dłonie do uszu, bezgłośnie pytała Marcusa: Co, do kurwy...?

– Działa! – krzyknął Marcus, ledwie słysząc swój głos przez dzwonienie w uszach. – Bateria nabrzeżna strzela do nas!

– No to wynośmy się stąd! – powiedział George, chwytając wiosło.

Nagle zobaczył ją, jak stoi podparta pod boki i patrzy na niego z urazą. Co ci mówiłam, Marcusie! Uniosła dłoń i przeciągnęła po niej palcem. Nie rób niczego głupiego.

– Te działa trudno wycelować – rzekł. – Nie sądzę, żeby zdołali nas trafić.

– Nie muszą nas trafić – zauważył George, pociągnawszy wiosłem i przesuwał się do drugiego. – Widziałeś, jakie rozeszły się fale? Wywróć nas, nawet jeśli pocisk spadnie dwadzieścia metrów dalej!

– I są jeszcze muszkietnicy na nabrzeżu – przypomniała Andy, siadając przy wiosle. – On ma rację, Marcusie.

Niech to szlag. Marcus zaczerpnął tchu. W porządku. Mogą jej zrobić, co chcą, to bez znaczenia. Powiedziała ci, że to bez znaczenia. Jeśli nie wywiozą jej z miasta i Janus zwycięży, odbijemy ją. Sothe ją odnajdzie i dopilnuje, żeby nie wywieźli jej ukradkiem do Elizjum.

Sothe. Marcus głośno jęknął. Sothe urwie mi głowę...

Raesinia

Raesinia się zbudziła.

Od kiedy umarła, nie zdarzało się jej to często. Więź nie pozwalała jej spać i trzeba było poważnych obrażeń głowy, żeby straciła przytomność. Ostatnio zdarzyło się to, kiedy Faro wpakował jej w głowę kulę z pistoletu i ocknęła się nadziana na skałę sterczącą z rzeki, wisząc głową w dół.

Tym razem była najzupełniej pewna, że powodem utraty przytomności był sztylet wbity przez Przekłętą Penitenta w jej mózg, natomiast nie była pewna, czy ocknęła się w lepszej czy

gorszej sytuacji. Za plus można było uznać to, że nie pływała w rzece, lecz leżała na skalistym brzegu u podnóża bastionu baterii nabrzeżnej. To niewątpliwie lepsze niż wisieć głową w dół, nadziana na skałę.

Minusem było to, że ten przystojny młody człowiek w czerni siedzący obok niej, chociaż bez swej obsydianowej maski, niemal na pewno był tym samym Przeklętym Penitentem, który pchnął ją sztyletem. Obserwował ją z głębokim zainteresowaniem i odsunęłaby się od niego z niechęcią, gdyby nie była prawie martwa.

Jednak więź już wzięła się do pracy. Odbudowawszy jej mózg i przywróciwszy przytomność, zabrała się do zasklepiania czaszki i spajania tkanek szyi rozciętych sztyletem Penitenta. Gdy już były zamknięte, owinęła się wokół serca i mocno zacisnęła. Puls zadudnił w jej piersi i pod czaszką, tak mocno, że myślała, że je rozwali; serce na moment przyspieszyło, a potem wróciło do regularnego rytmu. Raesinia zakaszłała, wypluwając małą fontannę wody, po czym z trudem wciągnęła powietrze. Czowała mrowienie w całym ciele, gdy więź zaczęła naprawiać różne organy, które uległy uszkodzeniu, gdy jej serce i płuca przestały pracować.

– Godne uwagi – rzekł Przeklęty Penitent. – Pięć minut temu przysięgłbym pontifeksowi, że jesteś martwa.

Raesinia znów zaniósła się kaszlem, nim zdołała ochryple wykrztusić:

– Można się przyzwyczaić.

– Wyobrażam sobie – rzekł. – Czytałem o Wiecznym Wojowniku, oczywiście, ale nigdy nie miałem zaszczytu oglądać go przy pracy. Czy czas naprawy zależy od stopnia obrażeń?

– Zazwyczaj – powiedziała Raesinia i zaraz przypomniała sobie, że nie musi mu niczego wyjaśniać.

Uśmiechem skwitował jej milczenie i spojrzał na rzekę, gdzie wcześniej stał Rosnik.

– Muszę przyznać – rzekł – że to był śmiały plan. Niezbyt dobry, ale nie mogę odmówić wam odwagi. Chociaż ciebie to tak naprawdę nie dotyczy, prawda?

– Wygląda na to, że nasz plan się powiódł – powiedziała Raesinia. – Oprócz tego, że tu utknęłam.

– Naprawdę? – Penitent wyglądał na zdziwionego. – Zakładałem, że zamierzaliście zdobyć Tysiąc Imion przed zatopieniem statku, chociaż przyznaję, że nie rozumiem jak.

– Oni wszyscy też tak myśleli – powiedziała Raesinia. – Jednak ja uświadomiłam sobie, że wcale nie musimy wykradać Imion, tylko nie pozwolić wam z nimi uciec. Kilka tygodni na dnie rzeki wcale im nie zaszkodzi, a kiedy Janus zmiażdży Mauriska, będziemy mogli je wyłowić.

Raesinia pomyślała, że niemal warto było dać się dźgnąć, żeby zobaczyć wyraz jego twarzy.

Dwadzieścia cztery

Winter

O samym świcie napotkali pierwszą namiastkę oporu. Trzej gwardziści ukryci za porzuconym wozem wyskoczyli zza tej osłony, oddali kilka niecelnych strzałów i uciekli.

– Cóż – powiedziała Winter z grzbietu Edgara – oto mamy odpowiedź.

Poprzedniej nocy obozowali na skraju paskudnego bagna zwanego Dnem, zaledwie kilka mil od granicy miasta. Gdyby było tam jakieś wzgórze, stojący na jego szczycie człowiek mógłby dostrzec światła Wyspy, ale na Dnie nie było wzgórz, tylko skrawki terenu zazwyczaj wystające nad wodę. Zielona Droga, którą podążali na północ, tutaj biegła po wysokiej grobli, inaczej znikłaby w błocie.

Armia znajdowała jeszcze poza granicami miasta, ale już zaczęła napotykać pierwsze lepianki. Dno zawsze było ostoją wyrzutek, zbyt nieudolnych, kalekich lub szalonych, żeby przeżyć nawet w slumsach Nowego Miasta. Ściągali tutaj, żyjąc z moczarów i w nędznych lepiankach z trzciny i gliny. W zdecydowanej większości nie pojawili się, aby powitać armię Wschód. Winter podejrzewała, że ci ludzie przywykli ukrywać się na widok wszystkich zbrojnych, niezależnie pod jakim przybywali sztandarem.

Janus poprzedniego wieczoru wysłał jeźdźców z ultimatum dla Dyrektoriatu. Armia Wschód nie wkroczy do stolicy, jeśli Dyrektoriat oficjalnie się rozwiąże i odda władzę Zjazdowi Generalnemu i królowej, w której ręce Janus się odda, żeby go osądziła. Żadna odpowiedź nie nadeszła, więc gdy tylko zrobiło się dostatecznie jasno, Winter poprowadziła Pierwszy Dziewczęcy drogą. To, że Gwardia Patriotyczna strzelała do nich, aczkolwiek niecelnie, rozwiewało wszelkie wątpliwości.

Odetchnęła, patrząc na drogę w szarym świetle poranka. Gdzieś tam była Jane, w mieście przestraszonych ludzi, którzy znaleźli się pomiędzy dwiema wrogimi siłami. Minęło ponad sto lat, od kiedy wróg ostatni raz zajął stolicę.

– Poślij gońca do Janusa – powiedziała do Cyte, która cierpliwie czekała przy niej. – Przekaż mu, że gwardziści zamierzają walczyć, a ja pomaszeruję naprzód, dopóki nie napotkam silniejszego oporu.

– Tak jest.

Cyte zasalutowała. Dzisiejszy dzień zdawał się zachęcać do takich formalności.

Trzeci pułk stał za nią, Pierwszy Dziewczęcy na przedzie, a królewscy z tyłu. Winter przyjrzała się twarzom, które mogła dostrzec, i nie widziała na nich wahania. Kobiety w pierwszych szeregach zdawały się niecierpliwie. Dla większości z nich stolica była ich domem, który przybyły odbić.

– Abby? – powiedziała Winter.

– Panie pułkowniku! – Abby wystąpiła przed szereg Pierwszego Dziewczęcego.

– Ruszaj naprzód drogą. W luźnym szyku i zatrzymaj się, jeśli napotkasz jakiś poważny opór.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Abby odwróciła się i zaczęła wydawać rozkazy. Równe szeregi pierwszych kompanii

dziwczęcego batalionu zmieniły się w rozproszony szyk zaczepny i potruchtaly drogą. Winter okręciła Edgara i pojechała w przeciwną stronę, aż zrównała się z królewskimi, gdzie powitał ją Sevrán, sprężysto salutując.

– Kiedy oczyścimy drogę, ruszajcie, ale w kolumnie. – Nie było tu miejsca na rozwinięcie szerszego szyku, dopóki nie wyjdą z tych moczarów. – Jesteście w odwodzie, więc trzymajcie się z tyłu i bądźcie gotowi przepuścić wracających harcowników w razie kontrataku.

Sevrán ponownie zsalutował i wrócił do swoich zadań. Słońce wyłoniło się zza horyzontu i zaczęło przeganiać nisko wiszące nad bagnami mgły. Winter widziała przed sobą niebieskie mundury kobiet z Pierwszego Dziewczęcego wciąż żwawo podążające naprzód. Na razie nie strzelają.

Podejście do stolicy Vordanu rodziło szereg problemów, a najważniejszym pytaniem było, gdzie Gwardia Patriotyczna zamierza się bronić. Zielona Droga biegła przez Dno groblą usypaną z kamieni i ziemi, dwa metry wyższą od otaczających ją moczarów, co chroniło ją przed sporadycznymi wylewami Vor. Była dostatecznie szeroka, żeby mogły się na niej minąć dwa wozy, tak więc miejsca ledwie wystarczało dla kolumny idącej kompaniami. Ustawiona tu barykada, szczególnie broniona przez artylerię, byłaby koszmarnie trudna do zdobycia frontalnym atakiem i Winter spodziewała się zobaczyć ją wyłaniającą się z rozpraszanych przez słońce mgieł.

Oczywiście Janus miał plan na taką ewentualność. Kolonialni Fitz i Warusa podążali Starą Drogą na wschód, prosto w kierunku Cięcia oddzielającego Nowe Miasto od Starego Miasta. Wprawdzie nie zapewniała bezpośredniego podejścia do Wyspy i groziła utknięciem w labiryncie uliczek Nowego Miasta, lecz gdyby trzeci pułk Winter został zatrzymany, Fitz mógłby przyjść jej z pomocą, zachodząc obrońców z flanki. Dalej na zachód kawaleria Piekelnika szerokim łukiem omijała moczary, żeby wyjechać na Nadrzeczną Drogę.

Nie mogą być jednakowo silni wszędzie. Prędzej czy później przeważające siły Janusa zdobędą miasto. Jednak, jak podkreślił, mówiąc do dowódców pododdziałów, byłoby o wiele lepiej, żeby nastąpiło to prędzej. Im dłużej potrwa bitwa, tym większe spowoduje zniszczenia. A gdyby gwardziści zdołali zmienić to natarcie w długie oblężenie, mogłyby im przybyć z odsieczą inne jednostki wojsk, bardziej oddane Dyrektoriatowi niż Zarout i Braes.

Winter wraz z Cyte i Bobby jechała na przedzie, tuż za idącym w rozciągniętym szyku Pierwszym Dziewczęcym, dostatecznie blisko, żeby widzieć, co się dzieje, i nie znaleźć się w zasięgu muszkietów nieprzyjaciela. Za nią w rytmie wybijanym przez doboszy maszerowali królewscy.

Podążali tak przez pół godziny, przy czym z kobiecego batalionu od czasu do czasu meldowano, że droga przed nimi pozostaje otwarta. Winter kazała im zachowywać ostrożność, ale całkowity brak oporu oznaczał, że pomimo to mają dobre tempo.

– To nie ma sensu – powiedziała jadąca obok Winter Cyte. – Ta grobla jest doskonałą pozycją obronną. Powinni to wykorzystać.

– Może obawiają się okrążenia. – Winter wzruszyła ramionami. – A może po prostu są głupi. Cyte się uśmiechnęła.

– Farus Czwarty mówił, że jego ulubioną modlitwą jest: „Boże, daj mi głupich nieprzyjaciół”.

– Widzę miasto – odezwała się Bobby.

Wschodzące słońce przepędziło mgły i w polu widzenia powoli pojawiały się budynki południowego brzegu. Po prawej brutalnie regularne wieże kamienic Nowego Miasta górowały nad otaczającymi je niższymi domami – pomnik niezrealizowanej wizji Gerhardta Alcora, marzącego o idealnym mieście. Przed nimi mniejsze, starsze sklepy i magazyny. Doków tworzyły galimatias krytych gontem dachów i sterczących kominów, z mniejszymi i skromniejszymi domostwami stłoczonymi na skraju mokradeł niczym pąkle przyłączone do kadłuba statku.

Daleko za nimi, podkreślone blaskiem słońca odbitego od złota, Winter dostrzegła bliźniacze wieże katedry Kościoła Zaprzysiężenia, zwieńczone podwójnymi kręgami. Nieco z boku czarny kontur Vendre był jak wycięty w błękicie nieba klin.

– Dochodzimy do Dolnego Rynku – oznajmiła Winter.

Dość dobrze poznała tę część miasta w czasie spędzonym ze Skórzanymi Kurtkami Jane, a kilka godzin ślęczenia nad mapami odświeżyło jej pamięć. Rynek znajdował się na skrzyżowaniu Zielonej Drogi z ulicą Murową; rozległy plac, na którym farmerzy z południa sprzedawali swoje ziemiopłody kupcom z miasta. Grobla kończyła się przy jego południowym końcu, nieregularną otwartą przestrzenią, od której odchodziły ulice. Winter zjechała z niej z ulgą. Jedną przeszkodą za nimi i jeszcze nikt nie zginął.

– Panie pułkowniku! – Młoda kobieta podbiegła i zasalutowała. – Przed nami barykada!

Cóż, szczęście nie może trwać wiecznie.

Barykada przegradzała górną połowę Dolnego Rynku na południe od ulicy Murowej, gdzie trudno byłoby ją ominąć z jednej lub drugiej strony. Była utworzona głównie z wozów i karet przewróconych na bok i obłożonych skrzynkami oraz beczkami. Z otworów i szpar sterczały lufy muszkietów, niczym kolce jakiegoś dziwnie wyglądającego jeżozwierza. Pierwszy Dziewczęcy zatrzymał się poza zasięgiem strzałów i Winter z aprobatą zauważyła, że Abby już rozmieściła kompanie, aby obserwowały drogi na wschód i zachód. Mogłoby spróbować nas zaskoczyć uderzeniem z flanki.

– Padły strzały? – zapytała Graffa, zsiadając i oddając jakiemuś żołnierzowi wodze Edgara.

– Nie, panie pułkowniku. – Graff, przysadzisty i brodaty, zdawał się swobodniej niż ostatnio dowodzić kompanią kobiet. – Wygląda na to, że siedzą cicho.

– Zatem może warto spróbować porozmawiać – rzekła Winter. – Rozwińcie białą flagę i poślijcie tam kogoś. Powiedzcie, że jeśli zjedzą nam z drogi, nikt nie ucierpi.

– Tajest! – Graff się odwrócił. – Sierzancie! Przygotujcie białą flagę.

Gdy przygotowywał poselstwo, Winter zwróciła się do Bobby, nadal siedzącej na koniu.

– Bateria kapitana Archera jest gdzieś za nami – powiedziała. – Zechcesz pojechać i powiedzieć, że przydałoby się, żeby szybko przyciągnął tu parę dział? Każ Sevranowi, żeby go przepuścił. – Spojrzała na najeżoną lufami barykadę. – Nie szturmujmy tego, jeśli nie musimy.

Bobby skinęła głową i odjechała. Cyte również zsiadła z konia i stanęła przy Winter, gdy trzy kobiety z pierwszego szeregu ruszyły w kierunku nieregularnego pagórka z pojazdami i meblami, niosąc białą flagę.

– Myślisz, że ustąpią? – zapytała cicho Cyte.

– Nie – odparła Winter. – Jednak nie zaszkodzi zapytać.

Trzy nieuzbrojone kobiety podeszły na odległość piętnastu metrów od barykady, zanim

sierżant przyłożyła dłonie do ust i zawołała, podczas gdy jedna z towarzyszących jej kobiet pomachała białą flagę na wypadek, gdyby wróg jej nie zauważył. Zapadła chwila ciszy, a potem zza rzędu wozów ktoś coś krzyknął. Winter była za daleko, żeby usłyszeć słowa, ale wychwyciła ton i westchnęła. Zapewne nie można było liczyć...

Huknął muszkiet i jeszcze jeden. Ziemia wytrysnęła spod nóg sierżant. Kobieta cofnęła się o krok, wciąż wołając, i zza barykady padły kolejne strzały. Szeregową niosącą flagę ciężko usiadła na ziemi, jakby ktoś wyrwał spod niej krzesło, a potem osunęła się na bok. Sierżant wrzasnęła i upadła, ściskając kolano. Druga szeregową rzuciła się do ucieczki, ale zdążyła przebiec tylko kilka kroków, zanim dwie kule jednocześnie trafiły ją w plecy. Fontanna krwi i poszarpanego ciała wytrysnęła z jej piersi i dziewczyna runęła jak długa, twarzą do ziemi.

– Skurwiele! – ryknął Graff, unosząc szablę. Podobne okrzyki rozległy się wzdłuż całej linii Pierwszego Dziewczęcego i kilka kobiet ruszyło naprzód.

Winter nabrała tchu i krzyknęła najgłośniejszym głosem.

– Stać! Trzymać szyk!

Kilku oficerów powtórzyło ten rozkaz. Graff spojrzał na nią oczami oszalałymi z wściekłości. Przez moment myślała, że będzie musiała go spoliczkować lub gorzej, ale opanował się i dodał swój głos do chóru.

– Stać! Stać! Trzymać szyk!

Sierżant jeszcze żyła i odczołgiwała się od barykady, pozostawiając za sobą smugę krwi ze strzaskanego kolana. Fontanna ziemi wytrysnęła obok jej głowy, gdy gwardzista na barykadzie strzelił do niej i nawet z tej odległości Winter usłyszała śmiech. W następnej chwili kolejny strzał odbił się rykoszetem od kamienia blisko jej stopy.

– Urządzili sobie zabawę. – Graff zwrócił się do Winter z błagalną miną. – Musimy jej pomóc!

– Chcą, żebyśmy zaatakowali. – Winter czuła ściszenie w gardle. – Za barykadą czekają żołnierze z bronią gotową do strzału. Oni chcą, żebyśmy zaatakowali.

– Ale to jest sierżant Bells! – powiedział Graff. – Ona...

– Nieważne, kto to jest. Nie możemy jej pomóc bez strat w ludziach. – Znow podniosła głos. – Utrzymać ten pierdolony szyk!

Bells zdołała przeczłapać się jeszcze kilka metrów, zanim któryś z ludzi na barykadzie ją trafił, wzbijając fontannę krwi, a nie ziemi. Winter wypuściła powietrze przez zęby i znow je wciągnęła, gdyż sierżant nie znieruchomiała, tylko instynktownie pełzła dalej z uporem konającego zwierzęcia.

Pozabijam was wszystkich, pomyślała Winter, zaciskając zęby tak mocno, że poczuła, iż mogą jej popękać, gdy na barykadzie znow rozległ się śmiech. Co do jednego skurwysyna.

W końcu na szczęście sierżant zadrżała i znieruchomiała. Wrogowie wpakowali w nią jeszcze parę kul, aż znudziła im się ta rozrywka. Winter usiłowała dostrzec twarze rozbawionych ludzi, ale byli za daleko. Z wysiłkiem przełknęła ślinę, czując ból mięśni twarzy od zaciskania zębów.

– Cyte! – warknęła.

– Panie pułkowniku?

– Każ Abby wysłać kompanię do tych budynków i znaleźć mi jakieś miejsce, z którego będę mogła na to spojrzeć.

Cyte zasalutowała i pobięła.

Zobaczmy, w jaką pułapkę tak bardzo chcieli nas wciągnąć.

Po kilku minutach Winter stała z Cyte, Marshem i kilkoma kobietami z jego kompanii na dachu budynku, w którym kiedyś mieścił się skład paszy dla zwierząt. Teraz stał pusty i Winter przeprowadzono tylnymi schodami, przez rozwalone kopniakami drzwi i zagracone korytarze pospiesznie opuszczonego domu. Właściciel i jego rodzina mieszkali nad składem, lecz zapewne poszukali bezpieczniejszej kwatery, gdy obok wzniesiono barykadę.

Z punktu obserwacyjnego na drugim piętrze Winter widziała cały łuk barykady. Była słabo obsadzona, przez zaledwie kilkudziesięciu obrońców rozstawionych na całej jej długości. Wystarczająco, żeby zadać straty szturmującym, ale niedostatecznie, żeby zatrzymać zdecydowany atak.

Jednak kilkaset metrów dalej czekała znacznie większa grupa. Tysiąc lub więcej mężczyzn, stojących w grupkach na północnym krańcu placu. W przeciwieństwie do gwardzistów na barykadzie, ci nie nosili szarf Gwardii Patriotycznej; jedyną namiastką umundurowania, jaką dostrzegła Winter, były niebieskie opaski na rękawach.

– Jakiś rodzaj milicji? – domyśliła się Cyte, patrząc na ten skłębiony tłum.

– Chyba można tak założyć – orzekła Winter. – Bo na pewno nie sformowali szyku.

– Niewiele muszkietów – rzekł uważnie przyglądający się im Marsh. – Trochę pik.

– Paskudnie – mruknęła Cyte. – Umieścić trochę prawdziwych żołnierzy na barykadzie, sprowokować nas do ataku, a potem przypuścić kontratak, kiedy będziemy w połowie drogi. Gdyby dobrze wyliczyli czas, mogliby zadać nam ciężkie straty.

Winter zmarszczyła brwi. To był przebiegły plan wykorzystania kiepsko uzbrojonych i niewyszkolonych żołnierzy, szczególnie jeśli nie brało się pod uwagę, ilu z nich to przeżyje. Ciekawe, czy oni zdają sobie z tego sprawę?

– Bobby wróciła – zameldował Marsh, patrząc na Pierwszy Dziewczęcy. – I chyba jest z nią Archer.

– Dobrze – powiedziała Winter. – Utrzymajcie tę pozycję, a ja każę Archerowi przysłać tu jednego z jego oficerów jako obserwatora.

Marsh zasalutował, a Winter odwróciła się i z tupotem zbiegła po schodach. Serce miała jak z lodu, a wściekłość tak otwarcie okazywana przez Graffa i innych tliła się w jej umyśle jak osłonięty płomień. Zastanawiała się, czy Janus kiedyś czuł coś takiego – zawsze był tak pozornie spokojny, ale przecież musiał coś czuć.

Archer powitał ją, salutując, co zbyła machnięciem ręki. Dwa z jego dział już podjeżdżały na stanowiska, a ich zaprzęgi zataczały ciasne półokręgi, żeby skierować lufy we właściwą stronę, po czym odczepić jaszczce. Kanonierzy odtoczyli działa dalej od zapasów amunicji i stanęli przy nich w gotowości.

– Może pan to rozwalić? – spytała Winter, ruchem głowy wskazując barykadę.

Archer spojrzał i pogardliwie uniósł brew.

– Pukawką. Mam zacząć?

– Proszę. Gdzie reszta pańskiej baterii?

– Jedzie. Wyglądało, że się wam spieszy, więc podwoiliśmy zaprzęgi tych dwóch.

– Dziękuję – powiedziała Winter. – Ma pan moździerz, prawda?

– Parę dziewięćofuntówek. Jednak nie potrzebujemy ich do rozwalenia tych wozów.

– Za nimi kryje się wróg w sile co najmniej batalionu. – Winter pokazała mu budynek, z którego przed chwilą przysła. – Proszę wysłać tam kogoś, kto pokieruje ogniem. Powinien mieć stamtąd dobry widok. Starajcie się nie uszkodzić budynków bardziej, niż to będzie konieczne.

– Artyleria nie zawsze jest nauką ścisłą – odparł Archer. – Jednak zrobię co w mojej mocy.

Pierwszy wystrzał oddany do barykady został starannie wymierzony i rezultaty były spektakularne. Wielki czterokonny wóz będący fundamentem chwiejnej piramidy ze skrzynek i beczek został trafiony w górną część burty i praktycznie eksplodował, przy czym cała ta sterta runęła z trzaskiem, wraz z dwoma nieszczęsnymi gwardzistami. Następna kula najwidoczniej trafiła w beczkę z mąką, która rozprysła się białym obłokiem. Kanonierzy złapali rytm i ich kule uderzały miarowo jak w zegarku, wyrzucając w powietrze drzazgi i kawałki drewna, a czasem wywołując przeraźliwe wrzaski obrońców.

Tu i ówdzie dym z lufy muszkietu znaczył miejsce, gdzie jakiś gwardzista nie wytrzymał napięcia. Wszyscy żołnierze Winter znajdowali się poza zasięgiem strzału, a ona zabroniła odpowiadać ogniem. Pierwszy Dziewczęcy ograniczał się do szyderczych okrzyków i gwizdów, a także głośnych wiwatów, kiedy jakiś fragment barykady rozpadł się szczególnie efektownie.

Niebawem Sevran przysłał wiadomość, że królewscy są gotowi i czekają przy końcu grobli, a ponadto pojawiła się reszta baterii kapitana Archera. Najpierw przyjechały dwie kolejne sześćofuntówki, które Winter kazała ustawić obok dwóch pierwszych, żeby zwiększyć pole rażenia. Potem nadjechały cztery duże dwunastofuntówki, które Archer rozmieścił na przedłużeniu pierwszej linii. Z około stumetrowej odległości mogły strzelać kartaczami, zasypując barykadę gradem kul. Stukot, z jakim uderzały w drewno, był jak deszcz bębniący o dach zaraz po gromowym ryku wystrzału i żołnierze owacyjnie powitali chmury pyłu i wyrzuconych w powietrze drzazg.

W końcu ustawiono na stanowiskach dwa moździerze przypominające szerokie kotły na kółkach. W przeciwieństwie do innych dział te wystrzeliwały bomby z czarnym prochem, które po wysokich i stromych trajektoriach przelatywały nad barykadą i spadały na plac, gdzie skryła się milicja. Jeden z oficerów Archera z wysokości dachu zaczął dawać sygnały chorągiewkami swoim towarzyszom na ziemi i wkrótce oba moździerze plunęły ogniem. Obserwator popatrzył, gdzie spadł pocisk, po czym podał niezbędne poprawki, a kanonierzy je wprowadzili.

– Prosto w cel – rzekł Archer, obserwując machającego chorągiewkami.

Winter wyobraziła sobie bomby eksplodujące w zbitym tłumie milicji i rażące ich odłamkami metalu. Błysnęła zębami w złowrogim uśmiechu.

– Abby! – powiedziała. – Przygotujcie się.

– Na co? – spytała Bobby.

– Nie będą tak bez końca stać i zbierać baty – wyjaśniła Winter. – Prędzej czy później albo rzucą się do ucieczki, albo do ataku. Stawiam na to drugie.

Najgorszym koszmarem każdego żołnierza jest tkwić pod ostrzałem, nie mogąc odpowiedzieć ogniem, i Winter pamiętała, że kiedy ona znalazła się w takiej sytuacji, niczego nie pragnęła bardziej, jak dopaść swoich dręczycieli.

I jakby ludzie za walącą się barykadą słuchali tej rozmowy, wybrali właśnie ten moment,

żeby rzucić się do ataku. Gwardziści z muszkietami szli pierwsi, pędząc po pocętkowanej kulami zbitej ziemi, żeby przyłożyć broń do ramienia i strzelić. W ogniu bitwy zawsze trudno jest ocenić odległość, tak więc ich chaotyczny ostrzał wyrządził niewielkie szkody. Pierwszy Dziewczęcy, rozstawiony w luźnym szyku na całej szerokości placu, odpowiedział nierówną salwą, wystrzeloną na granicy zasięgu muszkietów, i kilku gwardzistów padło. Jedno z dział Archera wypluło chmurę dymu i kartaczy ze znacznie lepszym skutkiem, robiąc szeroką wyrwę w bezładnym tłumie nieprzyjaciół.

– Stać – powiedziała Winter, widząc, że Pierwszy Dziewczęcy znów zrobił krok naprzód, paląc się do walki. – Będzie ich więcej.

Abby powtórzyła rozkaz, a oficerowie przekazali go wzdłuż i w głąb linii.

Wkrótce pojawiła się milicja, przedzierając się przez wyrwy w barykadzie i chmury dymu toczącej się walki. Przystanęli za cienką linią gwardzistów, zbierając się w grupy. Potem, na jakiś znak wydany przez przywódców, ruszyli do ataku z ochryplym wrzaskiem, wymachując pikami i pałkami.

– Bądźcie gotowe cofnąć się, jeśli podejda za blisko – powiedziała Winter do Abby. – Za nami już ustawiają się królewscy.

Była to ta sama taktyka, jaką zastosowała pod Jirdos, ale już widziała, że tutaj nie będzie potrzebna. Przy pokonywaniu barykady tłum milicji podzielił się na małe grupki, a każda z nich walczyła, nie oglądając się na inne. Każda ruszała pędem, ściągając na siebie coraz silniejszy ogień Pierwszego Dziewczęcego i pozostawiając za sobą zabitych i rannych niczym krwawy trop. Zanim zbliżyli się dostatecznie blisko, żeby użyć swej prowizorycznej broni, szli w rozsypkę pod morderczym ostrzałem harcowników, a ich niedobitki uciekały za osłonę barykady.

Kiedy trzy lub cztery takie próby zakończyły się krwawą łaźnią, nie dotarłszy nawet na dwadzieścia pięć metrów od jej pierwszej linii, Winter niemal zaczęła im współczuć. Każda kolejna grupa wyłaniała się z dymu, nie wiedząc, co się stało z innymi, i zostawała zdziesiątkowana. Ranni i ci, którzy stracili odwagę, próbowali teraz przedrzeć się z powrotem, tłocząc się w wyrwach i zapełniając je masą przepychających się i szamoczących ludzi, przy czym próbujący wrócić zagradzali drogę usiłującym nacierać. Archer, nie potrzebując zachęty, skierował ogień na te skupiska ludzkie, śląc kule armatnie w największy tłum i smagając obrzeża kartaczami. Wkrótce w tych wąskich przejściach sterty zwłok spiętrzyły się tak, że zagroziły drogę tym, którzy jeszcze chcieli atakować.

Gwardziści, bardziej zdyscyplinowani, wciąż ładowali i strzelali, chociaż jeden po drugim dochodzili do wniosku, że uciekający milicjanci mają rację, i rzucali broń. Błyski wystrzałów w gęstej chmurze dymu wiszącej nad barykadą były coraz rzadsze i chyba spowodowana bardziej współczuciem niż czymkolwiek innym Winter zdecydowała, że czas to zakończyć.

– Abby! – musiała krzyknąć, żeby usłyszano ją przez huk dział. – Zatknać bagnety i do ataku! Brać do niewoli każdego, kto rzuci broń!

– Tak jest!

Winter wysłała Bobby do Archera, żeby przerwał ostrzał, zanim Pierwszy Dziewczęcy ruszy naprzód. Ich luźny szyk nie miał takiej siły uderzeniowej jak zwarta kolumna, lecz w tym momencie nie miało to już znaczenia. Widząc zbliżającego się nieprzyjaciela, gwardziści i milicjanci zgodnie zaczęli rzucać broń, uciekać jeszcze szybciej lub podnosić ręce do góry.

Dziesięć minut później było już po wszystkim. Pierwszy Dziewczęcy wspiął się na barykadę po resztkach wozów, omijając zapchane ciałami wyrwy. Teren po drugiej stronie wyglądał jak rzeźnia, a ostrzeliwujące przyczajoną milicję moździerze Archera zmieniły twardą ziemię w krwawą maź. Nieprzyjaciele, którzy przeżyli i nie uciekli, byli odprowadzani na tyły przez królewskich, którzy nadeszli, by pomóc zaprowadzić porządek.

– Panie generale, trzeci pułk melduje dwunastu zabitych i dwudziestu trzech rannych – raportowała Winter.

W tym była sierżant Bells i jej szeregowie. Pozostali byli ofiarami chaotycznego ostrzału prowadzonego przez Gwardię Patriotyczną; żaden z milicjantów nie zdołał się zbliżyć do pierwszej linii.

– Jak oceniacie straty nieprzyjaciela? – zapytał Janus.

Siedział spokojnie na koniu, spoglądając na pobojuwisko. Żołnierze Winter otworzyli przejście w barykadzie, zaprzęgami koni odciągając na bok roztrzaskane wozy i usuwając stertę leżących na środku ciał. Poza tym zabici leżeli tam, gdzie padli, poszarpani kulami z muszkietów lub dział. Medycy regimentu, opatrzywszy nielicznych swoich rannych, żwawo krążyli po placu, szukając ranionych nieprzyjaciół mających szansę przeżycia.

– Trudno powiedzieć, panie generale – odparła Winter. – Zapewne pięćuset lub sześćuset. Mamy także kilkuset jeńców. Wątpię jednak, czy milicjanci, którzy zdołali uciec, wróca, żeby sprawiać nam kłopoty.

– Racja – rzekł Janus. – Pamiętam, że nie brałaś udziału w bitwie o drogę w Khandarze.

– Owszem, panie generale. Jeśli pan pamięta, byłam... zajęta czym innym.

Generał skinął głową.

– Powiedziałem wówczas kapitanowi d'Ivoire, że dla niedoświadczonych żołnierzy najważniejsze jest pierwsze starcie. Nadaje ton wszystkiemu, co nastąpi potem. – Uśmiechnął się przelotnie. – Uważam, że daliście im dobrą lekcję.

– Gwardziści będą walczyć, panie generale, nawet jeśli milicja nie zechce.

– Mają więcej do stracenia – zgodził się Janus. – Jednak nawet zdesperowani ludzie mają jakiś słaby punkt. Musimy tylko go znaleźć.

– Tak jest, panie generale.

– No cóż. Trzeci pułk jest gotowy do dalszych działań?

– Tak jest, panie generale. Pierwszy Dziewczęcy teraz odpoczywa, ale jeśli wysunę królewskich na czoło, możemy iść dalej.

– Doskonale. – Janus spojrzął na słońce, które zbliżało się do połowy swojej drogi po jesiennym niebie. – Musimy wykorzystać resztę dnia. Pułkownik Warus napotkał słabszy opór, ale trudny teren spowalnia jego marsz. Pułkownik Stokes właśnie rozpoczyna atak. W tym momencie wasz marsz obiecuje najszybsze rezultaty. – Wyciągnął rękę ku północnemu krańcowi placu za barykadą. – Idźcie dalej. Macie dotrzeć w pobliże Wielkiego Łuku. Rozkażę, by szły za wami oddziały rezerwowe, w tym kilka baterii ciężkich armat; kiedy zdobędziecie przyczółek, to zanim pójdziemy dalej, będzie nam potrzebna artyleria, żeby uciszyć działa, które gwardziści mogli ustawić na moście. Każę dowódcom oddziałów wykonywać tam twoje rozkazy.

– Panie generale! – Winter zaszalowała. Janus właśnie oddał pod jej rozkazy chyba jedną czwartą armii Wschód. – Dziękuję, panie generale.

– Proszę uważać, pułkowniku – rzekł Janus. – Nieprzyjaciel miał wiele tygodni na przygotowania. Jednak starajcie się zrobić to szybko. Jeśli wciąż będziemy związani walką po zapadnięciu zmroku, rezultaty mogą być... nieprzyjemne.

Winter wyobraziła sobie przestraszonych, ogłupiałych ludzi strzelających do siebie po ciemku i energicznie pokiwała głową, po czym wyprostowała się i służbiście zasalutowała.

– Przedrzemy się, panie generale!

Dwadzieścia pięć

Marcus

Powinnam była wiedzieć – rzekła Sothe, otwierając pokryty czarnym lakierem kufer i rozwijając zawiniątko obwiązane tasiemką z czarnego jedwabiu. – Powinnam wiedzieć, że tak będzie.

– Przepraszam – po raz wtóry powiedział Marcus. – Próbowałem...

– Nie winię cię – rzekła Sothe. – Dobrze wiem, że księżniczka... a raczej królowa... ma zwyczaj niepotrzebnie się narażać. W ogóle nie powinno jej tam być.

– Nie powinienem był jej zabierać.

– Szczerze wątpię, czy dała ci jakiś wybór.

Sothe wybrała długi sztylet z cienką klingą, kciukiem sprawdziła jego ostrze i wsunęła do pochwy. Miała na sobie obcisły czarny strój ze skóry i grubego jedwabiu, najwyraźniej uszyty specjalnie na jej potrzeby. Mieścił zdumiewającą liczbę pochewek, kieszonek i pętelek na różną broń, którą kolejno wyjmowała z czarnej skrzyni i umieszczała na swoich miejscach. Marcus dziwił się, że nie padła pod ciężarem tego wszystkiego.

– Ty to wszystko zaplanowałaś – przypomniał Marcus. – Nie możesz się teraz wycofać.

– Plany się zmieniają – odparła Sothe. – Uratowanie Raesinii jest ważniejsze.

– Ważniejsze niż zapobieżenie pożarowi Doków i spaleniu żywcem tysięcy żołnierzy?

– Tak – powiedziała Sothe. – Jeśli zabiorą ją do Elizjum...

– Wiesz, co ona kazałaby ci zrobić.

Sothe wepchnęła ostatni sztylet na miejsce i wstała. Miała niemal równie spokojny wyraz twarzy jak zawsze, ale niezupełnie, i Marcus usłyszał w jej głosie słabą nutę wzburzenia.

– To, czego ona chce, nie jest istotne – powiedziała Sothe. – Ochrona Raesinii przed nią samą zawsze była jednym z moich najważniejszych obowiązków.

– A kiedy ją uratujesz, co jej powiesz?

Sothe napotkała jego spojrzenie, zawahała się, a potem odwróciła wzrok. Marcus zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Posłuchaj – rzekł. – To oczywiste, że... ja cię irytuję. Nie zamierzam pytać dlaczego. Jednak tylko z tego powodu, że ja o to proszę, nie zrób czegoś, czego będziesz potem żałowała.

– Zrobiłam wiele rzeczy, których żałuję – bardzo cicho powiedziała Sothe. Zamknęła oczy i milczała długą chwilę. – Podejrzewam jednak, że masz rację. W tym zamieszaniu, jakie panuje w mieście, zorganizowanie transportu do przewiezienia Raesinii trochę potrwa. A ona by chciała, żebym wam pomogła.

– Jeśli nam się uda, Janus będzie miał otwartą drogę na Wyspę, a my będziemy mogli do niego dołączyć. To powinno bardzo ułatwić odbicie Raesinii.

Sothe skinęła głową.

– Zrobię co w mojej mocy. Muszę ci jednak powiedzieć, że nie jestem pewna wyniku, jeśli będę musiała stawić czoło następnemu Penitentowi. Moja ostatnia walka z jednym z nich była... ciężka.

– Myślisz, że ona zobaczy, że się zbliżasz? – zapytał Marcus.

– Kiedy chodzi o Przekłętego Penitenta, jest wiele rzeczy, których nie rozumiemy. Mówisz, że kiedy ostatnio widziałeś tę kobietę, umiała odbijać kule?

– Raczej stapać je, ale owszem.

– To byłoby niemożliwe, gdyby robiła to świadomie. Zapewne demon robi to za nią. Może potrafi przewidzieć, gdzie i kiedy padną strzały. Ten, z którym walczyłam, potrafił przewidzieć moje zamiary.

– To możliwe – przyznał Marcus. – Jednak musimy spróbować. Dlatego mamy plan awaryjny.

– Dopilnuj, żeby byli gotowi. – Sothe wzięła karabin porucznika Uhlana i zaczęła go dokładnie sprawdzać. – Będę czekać.

Marcus zostawił ją na balkonie kościoła pani Feldy i zszedł na parter. Po tyłu nocach tłoku w każdym kącie sala wydawała się przestronna i pusta. Większość uchodźców przeniosła się do nowych kryjówek w Starym Mieście, z dala od walk i być może pod opiekę rzeźmieszków Uśmiechniętego Jacka. Marcus odesłał z nimi panią Feldę i jej bliskich, a także Corę. Dziewczyna była dziwnie nieporuszona uwięzieniem Raesinii i bez protestów przyjęła zapewnienia Marcusa, że jej przyjaciółce nic się nie stanie. Niemal jakby знаła prawdę. Ciekawe, czy może się domyśliła.

Pozostali tylko ci, którzy zgodzili się walczyć. Andy, Orzeszek, George Flak i mieszanka złożona z około setki ludzi zebranych w Dokach i uchodźców. Jak zwykle dawała się zauważyć nieobecność mężczyzn zdolnych do noszenia broni – były dziewczyny, które kiedyś pomagały Skórzanym Kurtkom, stateczni staruszkowie o grubej i spalonej słońcem skórze barwy tekowego drewna, chłopcy w przededniu męskości i kobiety z Doków w kolorowych sukniach. Wszystkich łączyła chęć obrony swoich domów i niemal kompletny brak przygotowania do rygorów walki.

Marcus robił co mógł, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie wystarczy, gdy dojdzie do poważnej walki. Mniej więcej połowa z nich miała broń palną: stare muszkiety i pistolety wygrzebane na strychach lub w piwnicach albo sztucery i dubeltówki. Pozostali mieli pałki, noże i włócznie, a niektórzy miecze wyciągnięte z kufrów z pamiątkami po przodkach – żołnierzach. Dwudziestu takich ochotników, którzy okazali się najlepsi podczas ćwiczeń prowadzonych w zaułkach za kościołem, miało ponadto na plecach worki z grubego płótna. W każdym znajdowały się trzy blaszane kule napchane prochem błyskawym zabranym z transportów Gwardii Patriotycznej.

Granaty ręczne, jak uczono Marcusa w szkole wojskowej, przestały być używane już sto lat temu. Teoretycznie wydawały się dobrą bronią, lecz w praktyce okazywały się groźniejsze dla rzucających niż dla nieprzyjaciół. Nawet najlepsze lonty były zawodne, a na polu bitwy te bomby często nie chciały wybuchnąć lub – jeszcze gorzej – eksplodowały za szybko. Ponadto gdy grenadierzy znaleźli się pod ostrzałem, było duże prawdopodobieństwo, że jakiś biedny drań zostanie zastrzelony po tym, jak podpali lont, ale zanim rzuci granat – a wywołana tym reakcja łańcuchowa mogła mieć katastrofalne skutki. Po wielu latach prób królewska armia poszła za przykładem większości innych wojsk i zmieniła grenadierów – którzy zawsze musieli być wyżsi i silniejsi od przeciętnych żołnierzy – w elitarne oddziały uderzeniowe.

Te tutaj granaty istotnie były prymitywne, ale miały tę zaletę, że nie potrzebowały lontów ani

innych mechanizmów. Viera zapewniła Marcusa, że same wybuchną, jeśli rzuci się je w ogień, i tylko tego od nich oczekiwano. Nie były przeznaczone dla gwardzistów, lecz innego, bardzo specyficznego wroga.

Nie dało się ukryć wieści o schwytaniu Raesinii przed Skórczanymi Kurtkami i uchodźcami, lecz jej nieobecność nie była tak ciężkim ciosem dla morale, jak Marcus mógł oczekiwać. Kobiety i mężczyźni, którzy postanowili walczyć, nadal byli na to zdecydowani; rozmawiali ściszonymi głosami, gdy między nimi przechodził. Kilkoro młodszych chłopców i dziewcząt trochę się przechwalało swoją odwagą, co Marcus znał aż za dobrze w każdej nowej kompanii, którą pierwszy raz prowadził do walki. Wielu starszych ludzi było na wojnie lub przynajmniej widziało jakąś bitwę i ci przeważnie milczeli.

Znalazł Andy z jej doborową drużyną złożoną z samych młodych i silnych osób. Było wśród nich kilku borelgajskich uchodźców – głównie kobiet, które nie potrafiły posługiwać się bronią, ale chciały jakoś pomóc. Podkasały długie suknie powyżej kolan, żeby szybciej biegać, odsłaniając nogi białe jak rybie brzuchy. Andy miała na sobie swój vordanajski mundur, chociaż muszkiet oddała jednemu z ochotników.

– Pamiętaj, jaki jest sygnał? – zapytał Marcus.

– Pamiętam. – Skinęła głową.

– Trzymajcie się z daleka, dopóki go nie usłyszycie. – Popatrzył na jej drużynę, która rozpoznała go i ustawiła się w coś przypominającego dwuszereg. – Będziecie tam zupełnie odsłonięci.

– Będziemy ostrożni. – Spojrzenie Andy pomknęło ku balkonowi. – Rozmawiał pan z Sothe.

– Chyba ją przekonałem – odparł Marcus. – Pomoże.

– To już coś. – Andy odetchnęła. – Jestem jak najbardziej za jak najszybszym ratowaniem Raesinii, ale jeśli żyje, to kilka godzin zapewne nie zrobi żadnej różnicy. A jeżeli...

– Ona żyje – powiedział Marcus. – I odbijemy ją.

Andy skinęła głową, chociaż wciąż miała sceptyczną minę. Marcus nie miał czasu wyjawić jej prawdy, ale na razie zdawała się skłonna mu wierzyć. To samo dotyczyło jej udziału w realizacji planu i wszystkich pozostałych osób; tylko Marcus i Sothe wiedzieli, z jakim będą walczyć przeciwnikiem. Marcus próbował ich ostrzec, nie mówiąc wprost, że będzie nim demon. Wątpię, czy to poprawiłoby morale. I czy potraktowaliby poważnie moje słowa.

Miejmy nadzieję, że wszystko to będzie niepotrzebne. Sothe zeszła po schodach z długim karabinem na ramieniu i pomachała do Marcusa. Zacerpnął tchu i przywołał swój głos z placu musztry.

– No dobrze! – powiedział, a akustyka kościoła wzmocniła jego słowa echem odbitym od ścian. – Chodźmy ugasić pożar.

Informacje Sothe wskazywały na to, że Gwardia Patriotyczna gromadzi się przy Wielkim Łuku, na skrzyżowaniu Zielonej Drogi z Nadbrzeżną. Po północnej stronie drogi ciągnęły się zabudowania: domy o ścianach frontowych zwróconych do ulicy, a tylnych stojących na samym brzegu rzeki, który tu był stromy i skalisty. Przeważnie były to jedno- i dwupiętrowe budynki, eleganckie – jak na normy Doków – sklepy i kawiarnie, w których elita południowego brzegu mieszała się z Wyspiarzami pragnącymi zobaczyć slumsy lub kupić coś po okazyjnej cenie.

Na południe od Nadbrzeżnej Drogi zaczynały się właściwe Doki: biura firm przewozowych i ogromne magazyny rozmaitych towarów. Ulice były rozsądnie szerokie, nie tak jak w

labirynt Starego Miasta, lecz i tu wiły się między nierównymi budynkami. Grupka Marcusa wykorzystywała to, trzymając się z daleka od walk na południowym krańcu Nowego Miasta i podchodząc do skrzyżowania od południowego wschodu, pod osłoną trzypiętrowego budynku z cegieł z szyldem Kompanii Import-Eksport Srebrny Orzeł.

Budynek Srebrnego Orła nie był jednym z zaminowanych przez Gwardię Patriotyczną i gdy Skórzane Kurtki weszły do środka, okazał się opuszczony. Orzeszek niedbałym pchnięciem z łatwością wyważył tylne drzwi i ostrożnie przemknęli między rzędami biurek kopistów, które wykazywały oznaki porzucenia w pośpiechu. Wszędzie walały się papiery; przewracane sterty ugiwały się pod nogami. Marcus zostawił Orzeszkowi dowodzenie na parterze i podążył za Sothe tylnymi schodami na górę, gdzie przez klapę wyszli na wąską galeryjkę na krytym gontem dachu.

Stamtąd mieli dobry widok. Na południu Marcus zobaczył unoszący się dym. Gwardia Patriotyczna poustawiała małe barykady w regularnych odstępach, ale sądząc po nasileniu ognia z muszkietów, jaki słyszał w oddali, nie broniła ich zbyt mocno. To wszystko jest częścią zasadzki. Wycofywali się powoli, wciągając Janusa i jego oddziały między zaminowane budynki. Jeśli nie powstrzymamy Penitentki, spali ich wszystkich na popiół.

Tuż przed nim, na skrzyżowaniu, niewielki oddział Gwardii Patriotycznej zebrał się przy ognisku z ułożonych kłód. Drewno właśnie zaczynało się palić, lizane płomieniami podłożonej pod nie słomy, a słup białego dymu unosił się w niebo do pary z różowoszarym obłokiem spalonego prochu na drugim końcu Zielonej Drogi. Marcus naliczył dwudziestu gwardzistów – niezbyt silny oddział, zważywszy na znaczenie tej operacji. Chyba że Sothe ma złe informacje.

– Myślę, że Maurisk chce utrzymać w tajemnicy udział Przeklętych Penitentów – powiedziała, jakby czytając w jego myślach. – Nie chce mieć tu więcej świadków niż to konieczne.

– Zatem gdzie ona jest? – spytał Marcus.

– Nadchodzi.

– Jesteś pewna?

Sothe uśmiechnęła się słabo, ale niewesoło.

– Mnie ludzie nie okłamują. Przynajmniej nie dwukrotnie.

Zdjęła karabin z ramienia i zaczęła go ładować, mocno wpychając stemplem dobrze dopasowaną kulę do lufy. Kiedy rezultat ją zadowolił, oparła broń o wąską poręcz galeryjki, celując w skrzyżowanie i ognisko.

Jeśli się myli, wszyscy siedzimy po uszy w gównie. Niełatwo było zaufać byłej agentce Konkordatu. Jednak Raesinia darzyła ją bezgranicznym zaufaniem. No i nie mamy zbyt wielu możliwości.

– Zatem zejść na dół. Na wypadek, gdybyś chybiła.

– Nie chybię – powiedziała Sothe, nie podnosząc głowy. – Jednak na wypadek, gdyby jeden strzał nie wystarczył, dołączę do was, kiedy będę mogła.

Gdy Marcus wrócił na parter, Skórzane Kurtki były przygotowane. Budynek Srebrnego Orła miał jedno duże podwójne drzwi oraz kilka mniejszych wejść, rozstawili się więc grupami przy każdym, gotowi do ataku na skrzyżowanie. Ci, którzy mieli muszkiety, czekali przy staroświeckich oknach witrażowych. Marcus wątpił, by któregokolwiek z nich można nazwać strzelcem wyborowym, zatem nie miało znaczenia, że z tak dużej odległości trudno będzie

celnie strzelać.

Orzeszek, który najwyraźniej mianował się jego zastępcą, znalazł Marcusa na klatce schodowej. Marcus niemal spodziewał się, że olbrzym mu zaszaluje.

– Jesteśmy gotowi – zameldował Orzeszek. – Grupa z granatami jest przy drzwiach.

– Przypomnij muszkietnikom, że mają wystrzelić tylko jedną salwę – powiedział Marcus. – Inaczej będą dla nas równie groźni jak gwardziści.

Orzeszek kiwnął głową i poszedł szepnąć kilka słów ludziom przy oknach. Marcus zajął stanowisko przy szklanej tafli mniej zdeformowanej od innych i pozwalającej stosunkowo wyraźnie zobaczyć skrzyżowanie. Obok niego jakaś pulchna kobieta w podeszłym wieku, którą bez zdziwienia zobaczyłby za straganem z mąką i warzywami, ścisnęła w spoconych dłoniach muszkiet.

Do ogniska podjechał powóz z jeszcze jednym gwardzistą na koźle. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich podparta laską starucha okutana w gruby płaszcz chroniący przed jesiennym chłodem. Ostrożnie zeszła stopień po stopniu, lecz żaden z żołnierzy nie przyszedł jej z pomocą. Najwidoczniej gwardziści coś o niej wiedzieli, ponieważ zaczęli dyskretnie się odsuwać, starając się trzymać jak najdalej od czarownicy.

Marcus wstrzymał oddech. Jeden strzał. Jeden celny strzał i będzie po wszystkim. Starucha zeszła na ulicę i powoli pomaszzerowała w kierunku rozpalającego się ogniska. Na co ona czeka? Sothe...

Ogień z szumem strzelił w górę, wytryskując z kłód i otaczając staruchę płonąca wstęgą. Ułamek sekundy później Marcus usłyszał trzask wystrzału i zobaczył, że coś uderzyło płonąca obręcz, wzbijając fontannę iskier. Stara nawet nie drgnęła, tylko uniosła rękę i strumienie ognia pomknęły w górę, w kierunku dachu Srebrnego Orła.

– O kurwa – zaklął ktoś.

– Święci i męczennicy.

– To demon. Demon!

Kilka osób ze Skórzanych Kurtek pospiesznie się przeżegnało. Jeszcze chwila i rzucą się do ucieczki. Nie mógłby mieć im tego za złe – co innego walczyć z gwardzistami, a co innego z demonami. Nie można dać im czasu do namysłu.

– Naprzód! – ryknął. – Teraz! Grenadierzy, rzucać w tę kobietę!

Orzeszek uderzył w okno kolbą muszkietu, który w jego ogromnych dłoniach wyglądał jak zabawka. Szyba rozpadła się, a on wycelował przez otwór i nacisnął spust. Dym wytrysnął z zamka i spowił stojące obok Skórzane Kurtki. Ku zdziwieniu Marcusa jeden z gwardzistów padł.

To wystarczyło, żeby zachęcić pozostałych ochotników do szturm. Jakiś mężczyzna w tak podeszłym wieku, że mógłby być ojcem Marcusa, pchnięciem otworzył na oścież podwójne drzwi i przebiegł przez nie z wrzaskiem, wymachując mieczem, który wyglądał na starszy od niego. Dziewczyna młodsza od Andy pobiegła za nim, z rzeźnickimi nożami w dłoniach. Znów posypało się szkło i nierówna salwa z muszkietów zasłoniła budynek Srebrnego Orła welonem dymu. Kule trafiły jeszcze kilku zaskoczonych gwardzistów, lecz z wiru broniącego Przekłętą Penitentkę tylko trysnęły skry.

Orzeszek odrzucił muszkiet i złapał okuty żelazem drąg, po czym wybiegł przez podwójne drzwi za główną grupą. Marcus skoczył za nim, wyjmując szablę i przyłączając swój bojowy

okrzyk do chóru innych. Bezcelowe byłoby wydawanie rozkazów takiemu tłumowi, który ruszył do ataku – będą walczyć lub uciekać, a on niewiele mógł zrobić w jednym i drugim wypadku. Zresztą jakie tu można by wydać rozkazy?

Gwardziści stracili chwilę, nim otrząsnęli się z zaskoczenia, i kolejną, zanim przyłożyli muszkiety do ramion, a do tej pory przeciwnik pokonał większość dzielącej ich odległości. Wystrzelili z bliska, choć wciąż wyraźnie przestraszeni. Biegący na przedzie runęli na ziemię, jakby ktoś podciął im nogi, jęcząc, krzycząc lub leżąc nieruchomo i cicho. Marcus zobaczył, że pozostali jednak pędzą zbyt szybko, by się zatrzymać, i najwyraźniej gwardziści podzielali jego zdanie. Jak jeden mąż rzucili się do ucieczki, ale tylko znajdujący się najdalej od budynku Srebrnego Orła mieli na to szansę. Skórzane Kurtki i kobiety z Doków dopadły pozostałych, tłukąc i dżgając.

Starucha, której uwaga była skupiona na dachu, spuściła wzrok, aby uporać się z poważniejszym zagrożeniem. Rozprostowała palce, z których wici płomieni śmignęły jak bicze, zapalając każdego, kogo dotknęły, jakby został oblany naftą. Kobieta, która wcześniej stała obok Marcusa, z wrzaskiem zapaliła się jak pochodnia i zmieniła w szaleńczo podrygującą marionetkę, nim upadła, wciąż płonąć. Nieco dalej płomień trafił jedną z niosących granaty i jej sakwa eksplodowała z potwornym hukiem, rozrzucając wokół bryzgi krwi i kawałki ciała.

To jakby pozwoliło starusze zebrać siły i ogień owinał się wokół niej płonącymi splotami, niczym wąż. Jeden z grenadierów, chudy jasnowłosy chłopak, wyjął z worka jedną z zrobionych przez Vierę bomb i rzucił. Ognisty wąż wystrzelił, przechwytyjąc pocisk w powietrzu, i proch rozsadził łeb węża na tysiąc kawałków, które rozprysły się na wszystkie strony.

Starucha cofnęła się o krok, gdy Orzeszek oraz jedna z dziewcząt Jane podbiegli bliżej i rzucili swoje granaty. Jej ogień znów wystrzelił, żeby je złapać. Udało mu się przechwycić jedną, lecz wybuch rozproszył go na tyle, że drugi granat doleciał do płomiennych zwojów oplatających Przekłątą Penitentkę i eksplodował niecałe pół metra od niej. Ogień jak deszcz spadł na skrzyżowanie prysznicem rozżarzonych do białości kropel i Marcus stracił z oczu staruchę, która znikła za chmurą prochowego dymu.

To jej nie wykończy, pomyślał. W magazynie Raesinia niemal trafiła ją beczułką prochu, a i to nie wystarczyło. Ktoś musi tam podejść i wbić jej sztylet w serce, żeby mieć pewność.

– Marcusie! – usłyszał głos jednej z dziewczyn. – Zbliżają się ocki!

Odwrócił się. Od południa ulicą zbliżał się tłum milicjantów, setka lub więcej, a niektórzy z nich okopceni dymem wystrzałów. Widocznie już walczyli. Skórzane Kurtki Marcusa, oszołomione atakiem Przekłętej Penitentki, zawahały się w obliczu nowego zagrożenia i Marcus wyczuł, że zaraz mogą rzucić się do ucieczki. Niech to szlag.

Miał tylko jedną możliwość, jeśli nie chciał, żeby to starcie zmieniło się w masakrę. Wskazał szablą chmurę dymu.

– Orzeszku, dopilnuj, żeby nie wstała. – Marcus nie wiedział, czy olbrzym usłyszał go przez wrzaski nadciągającej milicji, ale nie miał czasu się upewniać. Podniósł głos do ochryplego krzyku. – Wszyscy pozostali za mną!

Machnął szablą i ruszył biegiem na spotkanie nadciągającego tłumu ocków. Pomyślał, że jest to powrót do dawnych czasów, gdy podstawowym obowiązkiem dowódcy było prowadzenie

oddziału do ataku. Miał chęć zerknąć przez ramię i upewnić się, że ktoś podąża za nim, ale w ten sposób zdradziłby swoje wątpliwości. W każdym razie było już za późno. Jeśli nie idą za mną, to będzie naprawdę krótkie starcie...

Za plecami usłyszał huk pistoletowych wystrzałów i pierwszy szereg ocków padł. Marcus zacisnął zęby i skupił uwagę na nacierającym na niego mężczyźnie, chudym i żyłastym typie z rzadką bródką. Milicjant miał maczugę, którą wywijał nad głową w efektowny, ale niepraktyczny sposób.

Marcus starannie zaplanował atak, zwalniając i zatrzymując się na moment przed zderzeniem z chudzielcem. Ocek nie spodziewał się tego i jego opadająca maczuga tylko przeleciała nad głową Marcusa. D'Ivoire pozwolił, by przegub przeciwnika odbił się od jego ramienia, a rozpędzony milicjant nadział się na jego szablę. Biegnący tuż za nim jeszcze większy mężczyzna w długim rozwianym płaszczu zachwiał się i niezdarnie stanął, po czym próbował dźgnąć dzidą. Marcus uderzył wolną ręką, z chrzęstem łamiąc mu nos i zyskując dość czasu, żeby ciało umierającego zsunęło się z szabli. Uderzony, przyciskając rękę do twarzy, zadał nieudolne pchnięcie, a Marcus uchylił się i odciął mu dłoń w przegubie.

Zostawił okaleczonego i wrzeszczącego ocka, po czym spróbował się rozejrzeć. Skórzane Kurtki jednak poszły za nim, a przynajmniej duża ich część, i obie grupy starły się bezładnie i chaotycznie. Przez chwilę małe grupki walczyły ze sobą, zanim rozproszył je napór tłumu, i starcie zmieniło się w szereg indywidualnych pojedynków. Marcus zobaczył, jak jakaś nastolatka wypaliła z pistoletu prosto w twarz wielkiego brodacza, a potem zaatakowała innego ocka nożem rzeźnickim, omijając jego rozpaczliwą osłonę i rozcinając mu udo. Odwróciła się triumfalnie i kolejny przeciwnik wbił jej dzidę między żebra. Otworzyła usta do krzyku, lecz stłumił go strumień spienionej krwi.

Jakaś gospodyni domowa w fartuchu kopniakiem podcięła nogi przeciwnikowi i wbiła mu sztylet w oko tak zręcznie, jakby zarzynała kurę na rosół. Staruszek z bojowym okrzykiem jakiegoś dawno nieistniejącego pułku na ustach rzucił się do ataku, wymachując antycznym mieczem, ale potknął się o ciało zabitego ocka i upadł. Dwaj inni milicjanci natychmiast zaczęli tłuc go pałkami, aż tryskała krew. Przerażony mężczyzna odpełzał na bok, zostawiając ślad krwi płynącej ze zranionej nogi, lecz gdy jakiś ocek próbował go dobić, niedoszła ofiara zerwała się z ziemi i wbiła nóż w szyję napastnika.

Marcus, w mundurze i z szablą, najwidoczniej nie był zachęcającym celem. Milicjanci omijali go, nie chcąc stawiać mu czoła, więc zarąbał dwóch od tyłu, gdy pilnujący ich pleców kompani uciekli przed nim. Następny zaatakował go, zadając dzidą pchnięcie, które Marcus ledwie zdążył odbić, w przelocie uderzając go rękonożem szabli w rękę. Mężczyzna upuścił broń i zatoczył się, klnąc.

Coś opadło z pierwszego piętra budynku Srebrnego Orła – zwinna czarna postać, która wylądowała na ugiętych nogach za tłumem ocków. Dwaj najbliższej stojący odwrócili się, unosząc broń do ciosu, i w blasku ognia błysnęła stal. Obaj okęcili się i upadli, brocząc krwią, a Sothe wyprostowała się, trzymając w rękach dwa kordelasy.

Marcus obserwował jej walkę z czymś bliskim nabożnego podziwu. W wojsku umiejętność walki wręcz nie była najważniejsza i oficerowie, którzy rzeczywiście ćwiczyli swe szermiercze umiejętności, robili to w sztywnym formalnym stylu przyjętym w pojedynkach. Już raz widział, jak Sothe walczy, podczas krótkiej potyczki w Ohnlei, ale wtedy nie w pełni

docenił jej umiejętności. Nie tyle walczyła z ockami, ile przechodziła przez nich, dźgając i tnąc w tłumie, i ruszając dalej, zanim jej ofiary zdążyły upaść. Jakby obserwował pracę mistrza; każdy jej ruch był elegancki i skuteczny, bez marnowania energii i okazji.

Niebawem milicjanci zdali sobie sprawę z nowego zagrożenia, słysząc wrzaski konających, których pozostawiała za sobą. Kilku odwróciło się, żeby stawić jej czoło, i ci padli, brocząc krwią. Pozostali rozpierzchli się, czmychając przed tym przerażającym atakiem i nieustannie nacierającymi Skórzanymi Kurtkami. Ludzie Marcusa ryknęli radośnie, wymachując swoim prymitywnym orężem i obrzucając przekleństwami uciekających milicjantów.

Sothe machnęła kordelasami, zostawiając na ziemi rozbryzgi krwi, po czym wepchnęła broń do pochew. Była lekko osmalona i miała poparzony policzek, lecz nie zważając na to, skinęła głową Marcusowi.

– Przepraszam za zwłokę – powiedziała. – Schody się zapaliły.

– To... – Marcusowi zaschło w gardle. – To było...

Sothe spięła się, znów zaciskając dłonie na rękojeściach kordów. Szum płomieni zagłuszył wiwaty i Marcus poczuł na plecach podmuch rozgrzanego powietrza. Odwrócił się błyskawicznie i ujrzał buchające wysoko płomienie ogniska, a w nich ciemną sylwetkę z rękami rozłożonymi jak w geście błogosławieństwa. Ogniste zwoje otaczały czarny zwęglony kształt, który kiedyś mógł być ogromnym mężczyzną. Starucha machnęła ręką i płonące wici szarpnęły w przeciwne strony, rozrywając zwęglone ciało i rozrzucając wokół płonące kości.

Wiwaty zmieniły się w krzyki przerażenia. Tego było za dużo, nawet dla najdzielniejszych Skórzanych Kurtek. Marcus przekrzyczał gwar, choć głos mu już ochrypl.

– Grenadierzy! Rzucić! Pozostali kryć się!

Nie wiedział, ilu ich go usłyszało ani ilu pozostało po starciu z milicją. Gdy bicze płomieni znów opadły, zapalając każdego, kogo dotknęły. Skórzane Kurtki uciekły za osłonę budynków po obu stronach ulicy. Ludzie wrzeszczeli, płonąc jak ćmy w ogniu i miotając się, dopóki nie strawiły ich płomienie. Tu i ówdzie z hukiem wybuchał granat.

– Tędy – rzuciła Sothe.

Marcus pobiegł za nią w kierunku budynku Srebrnego Orła. Przykucnął i ognista wić przecięła powietrze nad jego głową, trafiając uciekającą ulicą kobietę w średnim wieku. Widocznie miała w sakwie granaty, które eksplodowały pod dotknięciem ognia, obsypując ziemię odłamkami metalu i strzępami ciała. Marcus zanurkował w jedno z rozbitych okien i przycisnął się do ściany, a Sothe zwinnie jak baletnica wykonała salto i wylądowała obok niego.

– Ktoś musi zanieść wiadomość Andy – powiedział Marcus. – Granaty nie załatwią tego potwora.

– Posłałam kogoś do niej, zanim zeskoczyłam na ulicę – odparła Sothe. – Powinna już być w drodze.

Marcus patrzył na wijącego się ognistego demona i czuł, że opuszcza go pewność siebie. Święci i męczennicy. Nie wiem, czy cokolwiek zdoła załatwić to coś. Nikt ze Skórzanych Kurtek nie został na ulicy, ale Marcus zauważył kilka osób, które schowały się w budynkach lub między gruzami. Demon teraz się nie spieszył i jakby przez chwilę zbierał siły, zanim puścił lancę płomieni w jakieś okno. Wewnątrz rozległy się krzyki.

– Załatwi nas jednego po drugim – mruknął. – Kurwa.

– Tylne drzwi są otwarte – zauważyła Sothe. – Moglibyśmy się wycofać.

Wtedy to wszystko byłoby daremne i spłonęłoby tysiące ludzi.

– Musimy mieć nadzieję, że drużyna Andy ją załatwi. Jednak potrzebna im będzie osłona, żeby mogli się przygotować.

Sothe skinęła głową.

– Zrobię, co będę mogła.

Spojrzała na niego, choć raz patrząc mu w oczy. Marcus nie wiedział, co kryje się za jej nieprzeniknioną twarzą. Rezygnacja? Żal?

– Jeśli mi się nie uda, ty zaopiekujesz się Raesinią – dodała.

– Ja...

Sothe nie czekała na odpowiedź. Wskoczyła przez rozbite okno, zrobiła przewrót w przód i zerwała się, trzymając w ręku nóż, którym błyskawicznie cisnęła w sam środek ogniska. Ogień zwinął się spiralą niczym zamykający się kwiat, a wszystkie płomienne wici zasiliły kulę niebiesko-białego ognia, która zapiszczała jak przegrzany czajnik. Coś zamigotało w jej środku i Marcus zobaczył, że przynajmniej kawałek noża trafił w cel, rozcinając pomarszczony policzek staruchy.

Kula ognia rozpadła się i sto ognistych promieni smagnęło ziemię w miejscu, gdzie stała Sothe. Ona jednak już je opuściła i biegła zygzakiem po twardej, zakrwawionej powierzchni placu, wyprzedzając o krok ogień pozostawiający dymiące kratery tuż za nią.

Nie mogę stać beczynnym. Sothe była szybka, ale w końcu się potknie. Marcus popatrzył na ciała leżące tam, gdzie Skórzane Kurtki starły się z ockami, i znalazł jedno z brązowym workiem z granatami. Ocenił wzrokiem odległość, napiął mięśnie i wyskoczył przez rozbite okno w chwili, gdy Sothe znów rzuciła nożem. Tym razem kula ognia sformowała się dalej od Przekłętej Penitentki i stopione kawałki noża rozleciały się na wszystkie strony, jak małe komety. Bicz płomieni pomknęły ku Sothe, jakby ognista ośmiornica próbowała zatłuc muchę.

Marcus dobiegł do martwej dziewczyny i przewrócił ją na brzuch, po czym wyjął z brązowego worka dwie pogięte blaszane kule. Jedną położył na ziemi, a drugą zważył w dłoni, zamachnął się i z całej siły rzucił tam, gdzie starucha unosiła się w płomieniach ogniska. Granat upadł nieco z boku, lecz trafiła go jakby odruchowo wypuszczona struga ognia i wybuch rozrzucił jej płonące strzępy po placu. Inne wici wstrzymały pogoń za Sothe, dając jej czas na rzucenie dwoma nożami jednocześnie, i ognisko przygasło, gdy płomienie zebrały się w jedną kulę dostatecznie dużą, żeby przechwycić oba.

Nie może jednocześnie atakować i się bronić, pojął Marcus. Złapał drugi granat i zaczął biec, ułamek sekundy przed tym, zanim długi bicz płomienia smagnął ziemię tam, gdzie stał. Słyszał syk zwęglonego mięsa i słabe jęki leżących w pobliżu rannych. Marcus pobiegł w kierunku narożnika budynku Srebrnego Orła, nie spuszczając staruchy z oczu. Kiedy szykowała się do następnego ataku, rzucił granat, celnym rzutem, który i tak przejechał w powietrzu.

W oddali usłyszał krzyk i turkot kół. Po chwili Andy i jej drużyna zjawily się w polu widzenia, ciągnąc coś, co wyglądało jak ręczny wózek z dwiema rurami i przymocowaną na górze rączką.

To Cora znalazła tę sikawkę, pleśniejącą w jakimś zapomnianym magazynie. Urządzenie było prymitywne: dwie płócienne rury połączone z pompą o dostatecznie długiej rączce, żeby mogły nią poruszać cztery osoby. Marcus podejrzewał, że pochodziła z czasów budowy

Nowego Miasta – racjonalści uwielbiali wszelakie silniki i maszyny – tak więc miała ponad osiemdziesiąt lat. Działała jednak, przynajmniej kiedy wyczyścili ją, naoliwili i zdrapali część rdzy.

Niektórzy członkowie drużyny Andy niewątpliwie byli zaskoczeni widokiem unoszącego się w płomieniach, ryczącego ognistego demona, lecz zbyt wiele razy ćwiczyli wszystkie czynności, żeby się pogubić. Jedna z młodych kobiet zeskoczyła z wózka i złapawszy koniec rury, podbiegła do Wielkiego Łuku. Tafla wody znajdowała się niecałe dwa metry niżej. Dziewczyna wrzuciła do rzeki obciążony koniec rury, który z pluskiem wpadł do wody i rura napięła się, pociągnięta przez prąd.

Dwaj nastoletni chłopcy wyjęli drugą rurę z uchwytu, rzucili ją na ziemię i chwycili za koniec. Reszta drużyny na komendę Andy złapała rączkę pompy i zaczęła nią energicznie poruszać.

Oczywiście to chwilę potrwa. Marcus poszukał wzrokiem następnego zabitego grenadiera i znalazł go pod ścianą budynku Srebrnego Orła, z którego dopiero co wyskoczył. Zawrócił, ledwie unikając smagnięcia ognistą wicią, które zatłukłoby go jak owada, i pędem oddalił się od drużyny Andy, aż fontanny krwawej mazi tryskały mu spod nóg. Sothe rzuciła następny nóż – i pomyśleć, że zastanawiałem się, czy nie nosi ich za dużo – a starucha zasłoniła się, znów wydając ten przeraźliwy pisk. Trzepnęła jedną macką na lewo od Sothe, chybiając o metr, ale zabójczyni musiała się zatrzymać, gdyż płomień wystrzelił w górę i w bok, tworząc szalejącą ścianę płomieni. Sothe odwróciła się, żeby pobiec w przeciwną stronę, lecz druga wić odcięła jej drogę, zamykając między ścianą budynku i dwiema ścianami ognia. Kolejne dwie wici uniosły się w górę, gotowe opaść i raz na zawsze zmiażdżyć nieuchwytnego przeciwnika.

Marcus rzucił granat niskim łukiem, jakby grał w kręgle na trawniku. Pocisk odbił się od ziemi, uderzył w jedną z ognistych ścian i eksplodował z hukiem. Tak jak poprzednio, wybuch rozproszył nadludzką moc Przekłętej Penitentki. Sothe zareagowała natychmiast, rzucając się w bok przez chmurę prochowego dymu i resztki ściany płomieni. Wyłoniła się po drugiej stronie, spowita dymem, w tłącym się czarnym stroju. Jednak wciąż była na nogach i błyskawicznym półobrotem rzuciła kolejnym nożem w staruchę nad ogniskiem.

Z końca rury wypłynęła strużka, szybko powiększając się w szeroką strugę rzecznej wody. Jeden z chłopców przykręcił zawór, zwiększając ciśnienie strumienia, a drugi skierował go w górę. Woda oblała ognisko, sycząc jak studzony w kuźni metal i wzbijając chmurę pary.

Starucha wrzasnęła, a może to płomienie ryknęły – trudno było to rozróżnić. Znów zwinęła wszystkie wici i wypuściła jedną w kierunku sikawki. Lanca ognia trafiła chłopaka trzymającego wąż i przeszła go na wylot, na moment zawieszając go na rozżarzonej do białości włóczni. Jej koniec skręcił się i smagnął kobiety trzymające rączkę pompy, które pospiesznie poszukały osłony. Jedna nie zrobiła tego dość szybko i silne uderzenie ognistego bicia wyrzuciło ją w powietrze niczym płonący i wrzeszczący meteor.

Ognista lanca strząsnęła płonące zwłoki chłopaka i uniosła się, żeby rozbić sikawkę. Z cienia wyleciał nóż i wbił się po rękojeść w plecy Przekłętej Penitentki, która jakby tego nie zauważyła. Marcus krzyknął i cisnął kolejny granat, celując w miejsce, gdzie lanca wychodziła z ogniska. Ładunek eksplodował i rozerwał płomień, obsypując piekielnym ognistym deszczem Andy i jej drużynę.

– Andy, lejcie na nią wodę! – Marcus zważył w dłoni ostatni granat, patrząc, jak wić znów

się formuje.

Andy podbiegła i złapała wąż, z którego woda wypływała na ziemię, a młode kobiety wróciły do pompy. Marcus był zdumiony odwagą uchodźców; nie byli zawodowymi żołnierzami, walczyli z czymś niepojętym, a jednak pozostali na swoich stanowiskach. Strumień wody znów trysnął na ognisko i syk pary zmienił się w szum.

Ognista macka wystrzeliła kolejny raz, lecz nie w kierunku sikawki. Zmierzała wprost na Marcusa, wyraźnie chcąc uniemożliwić mu dalsze nękanie, zanim rozprawi się z prawdziwym zagrożeniem. Marcus odruchowo rzucił granat i płonąca więc przechwyciła go zaledwie parę metrów od niego. Zdołał zamknąć oczy, nim świat zbieleł i huk eksplozji zagłuszył nawet ryk i trzask płomieni.

Nie stracił przytomności, ale minęła chwila, zanim odzyskał świadomość, leżąc wśród odłamków szkła i gruzu z budynku Srebrnego Orła. Choć miał zamknięte powieki, widział płonące kontury mroczków po wybuchu granatu. Zamrugał, przeganiając je, i spróbował usiąść.

Ognisko dogasało, kurcząc się i niknąc jak lodowa rzeźba na pustyni. Płomyki skupiały się w nim, usiłując utworzyć kulę białego ognia, ale pod uderzeniem silnego strumienia wody z rzeki z sykiem zmieniały się w parę. Andy polewała nią Przekłętą Penitentkę, ognisko pod nią oraz spaloną ziemię wokół, tworząc błotniste jezioro na środku skrzyżowania. Po chwili szalejący pożar zmienił się w słabą poświatę otaczającą staruchę, która osunęła się, poczerniała i dymiąca, na resztki kłód, z których rozpalono ognisko. Andy polewała ją wodą, aż zgasły ostatnie iskierki.

Marcus spróbował wstać, ale nie zdołał i ciężko usiadł na ziemi. Ze zdziwieniem uświadomił sobie, że czuje silny ból. Patrząc w dół, zobaczył szeroki na dwadzieścia centymetrów kawałek blachy – fragment jednego granatu – tkwiący w mięśniach jego lewego uda i powiększającą się ciemną plamę na spodniach munduru. Spróbował dotknąć odłamka palcem i nawet ten delikatny nacisk sprawił, że zobaczył wszystkie gwiazdy i oczy zaczęły mu łzawić.

Marcus już nieraz bywał ranny, czasem ciężko. Nigdy jednak żaden obiekt nie sterczał tak z jego ciała i na sam widok żołądek zaczął mu podchodzić do gardła. Podniósł głowę, z trudem przełykając ślinę, i zobaczył biegnące ku niemu Andy i Sothe. Na całym skrzyżowaniu Skórzane Kurtki wstawały i oniemiałe podchodziły do resztek ogniska. Ranni obu walczących stron modlili się, klęli i wzywali pomocy.

– Marcus! – zawołała Andy. – Nic ci... och, święci i pierdoleni męczennicy.

– Byłem trochę... za blisko ostatniego wybuchu. – Marcus próbował uśmiechnąć się sardonicznie, ale ból niemal mu to uniemożliwił. Z trudem łapał oddech. – Demon. Zabity?

Sothe klęknęła przy nim, odsunęła jego dłonie i delikatnie obmacała ciało wokół rany. Marcus o mało nie wrzasnął. Odwrócił wzrok i spojrzał na Andy, która też usilnie starała się patrzeć tylko na jego twarz.

– To... ona... nie żyje – powiedziała. – Tak. W popiołach nie zostało z niej nic prócz szkieletu.

– Czy...

– Oderwałam jej czaszkę i zmiażdżyłam ją – powiedziała Sothe. – Żeby mieć pewność.

– Ilu naszych... aach, niech to szlag!

– Przepraszam. – Sothe pokręciła głową. – Dobra wiadomość to ta, że nie wykrwawisz się zaraz na śmierć. Zła, że potrzebujesz medyka, inaczej wykrwawisz się, jeśli spróbujemy to wyjąć.

– Muszę... – Marcus zamknął oczy i pospiesznie je otworzył, zanim zdążyła go pochłonąć ciemność. – Janus. Trzeba powiedzieć Janusowi, że mają Raesinię.

– Nie powinniśmy go ruszać – powiedziała Sothe dźwięcznym, dalekim głosem.

– Może tylko wnieść go do budynku? – spytała Andy. – Jeśli umieścimy tam najciężej rannych, będziemy mogli się tam przycząić. Patrioci zamierzają się tędy wycofywać, więc oddziały Janusa powinny iść tuż za nimi.

– Każdy, kto może chodzić, niech zejdzie z ulicy – powiedziała Sothe. – Na wszelki wypadek.

– Racja. – Andy wstała. – Znajdę kilka ochotniczek do znoszenia rannych i zaczniemy od niego. Leż spokojnie, Marcusie. Zajmiemy się tobą.

Andy pobiegła, wołając kogoś w pobliżu. Sothe została tam, gdzie była, patrząc na Marcusa.

– Uratowałeś mi życie – rzekła w końcu.

– Tak? – Marcus ledwie cokolwiek pamiętał. – Taak. Chyba tak. Jednak ty też mnie uratowałaś, więcej niż raz. Jeszcze nie jesteśmy kwita.

– Ja... – Sothe potrząsnęła głową. – Nie. Chyba nie jesteśmy kwita.

– Byłbym... bardzo chciałbym teraz stracić przytomność – powiedział Marcus.

Na twarzy Sothe pojawiło się coś, co niemal było uśmiechem.

– Zajmiemy się wszystkim. Nie martw się.

Marcus skinął głową i zamknął oczy. Poczł, że ktoś go przytrzymuje, gdy osuwał się na ziemię, a potem ciemność spowiła go jak miękki koc.

Dwadzieścia sześć

Raesinia

W hotelu Ancerre nie było cel więziennych, tak więc najpierw zamknęli Raesinię w piwniczce na wino. Wzdłuż ścian ciągnęły się puste stojaki, a między nimi było tylko tyle miejsca, że zdołała usiąść ze skrzyżowanymi nogami. Siedziała tak przez jakiś czas, skupiając się na oddychaniu i czując, jak więź goi ostatnie rany. Przód koszuli wciąż miała ciężki od zaschniętej krwi i cuchnęła nią jak sklep rzeźnicki.

W końcu dwaj gwardziści otworzyli drzwi i brutalnie złapali ją pod ręce. Wywlekli ją na korytarz, gdzie z nikłym uśmiechem na wargach czekał Ionkovo. Pod jego czujnym spojrzeniem gwardziści poprowadzili Raesinię przez sale do drzwi pomieszczenia wyglądającego jak pokój gościnny, z pospiesznie zamocowaną żelazną zasuwą i kłódką. Było skromnie umeblowane: wąskie łóżko, stół oraz wąskie okienko, za małe, żeby się przez nie przecisnąć. Zapewne przeznaczone dla służącego, domyśliła się Raesinia. Jednak była tam umywalka z wodą, napełniła więc kubek i napiła się łapczywie.

– Pozostaniesz tu przez jakiś czas – oznajmił Ionkovo. – Dopóki nie zorganizujemy bezpiecznego transportu z miasta. Potem pojedziesz ze mną w odwiedzinach do Jego Eminencji pontifeksa Czerni.

– Mhm. – Raesinia podniosła rękę, kończąc pić wodę. – Jestem pewna, że dla wszystkich będzie to bardzo pouczające.

Penitent gapił się na nią przez chwilę.

– Jesteś zgubiona, wiesz.

– Zapewne. – Raesinia odstawiła kubek i spojrzała na niego uważnie.

– Armia twojego generała spłonie na ulicach. Nawet jeśli Maurisk zostanie obalony, tłum w końcu rozszarpie każdego, kto go zastąpi. My odzyskamy Tysiąc Imion, a ty do końca twoich dni będziesz naszym gościem w Elizjum.

– Wobec tego mam nadzieję, że jesteś gotowy przez długi czas znosić moje towarzystwo.

– Czy to było tego warte? Mogłaś oszczędzić Vordanowi tego wszystkiego.

– Zostając marionetką Orlanki? Wychodząc za jakiegoś Borelgaja?

Ionkovo wzruszył ramionami.

– Nie byłabyś pierwszą władczynią nieinteresującą się państwem, nawet w rodzinie Orboanów. I na pewno nie pierwszą, która gardzi współmałżonkiem. Czy to byłoby takie złe życie? Twierdzisz, że kochasz swoich rodaków, ale sprowadziłaś na nich chaos i śmierć.

– I uwolniłam od rządów takich jak ty.

– Mających w sobie demony?

– Zadufanych hipokrytów.

Penitent się roześmiał.

– Wątpię, czy jest gdzieś jakiś naród, który kiedykolwiek się ich pozbędzie.

Oczywiście, prawdopodobnie miał rację. Raesinia z westchnieniem usiadła na łóżku i skubnęła mokry gors koszuli.

– I czego ode mnie chcesz? Nie masz jakiejś wojny do toczenia?

– Chciałem cię o coś spytać. Nie spodziewam się odpowiedzi, ale pamiętaj, że dałem ci taką sposobność.

– Pytaj.

– Ten człowiek, który uratował was przed Skrętem. Ten stwór z piasku i ciemności. Kim on jest?

Raesinia uśmiechnęła się.

– Jest wiele rzeczy, których ci nie powiem, dla zasady, ale tego naprawdę nie wiem. Sama chciałabym zadać mu kilka pytań.

– Zobaczymy. – Ionkovo spojrział na nią z ukosa. – Mój kolega Łgarz ma sposób na wyciąganie informacji z opornych. Dotychczas nieodmiennie kończyło się to śmiercią indagowanego, więc jestem ciekaw, jak będzie w twoim wypadku.

– Czekam na to niecierpliwie – powiedziała Raesinia. – Jestem pewna, że to będzie nadzwyczaj bolesne.

– Mam nadzieję, że zachowasz tę brawurę, kiedy znajdziesz się pod kluczem w Elizjum – rzekł Ionkovo, otwierając drzwi. – To z pewnością rozbawi pontifeksa.

– Nie zamartwiaj się tym. Przyjaciele mówią mi, że jestem niepoprawna.

Trzasnęły drzwi. Po chwili usłyszała zgrzyt zasuwy i głośny trzask zamka.

Raesinia wstała i zrobiła głęboki wdech. Łatwo było jej drwić z Ionkovo; za każdym razem, gdy widziała uśmiech wykrzywający jego cienkie wargi, miała ochotę zdzielić go cegłą w łeb. Może jednak mieć rację, że sytuacja nie wygląda dobrze.

Miała nadzieję, że Marcus zdołał uciec. Ionkovo chciałby się, gdyby go złapano lub zabito. Jeśli wciąż był na wolności, to razem z Sothe i innymi spróbuje zapobiec pożarowi Doków i – miejmy nadzieję – ocali armię Janusa. A jeśli im się to uda, ona będzie miała szansę wydostać się stąd, zakładając, że zaatakują hotel Ancerre, zanim Ionkovo znajdzie sposób, żeby potajemnie wywieźć ją z miasta. Dużo tych jeśli.

Natomiast gdyby Marcusowi się nie udało i Janus zostałby pokonany, to najprawdopodobniej kapłani Czerni wywieźliby ją i uwięzili na wieki. To jak wzięte z jakiejś baśni. Tak naprawdę było to coś, od czego raczej wolałaby śmierć, ale nie miała możliwości wyboru.

Upłynęło sporo czasu, od kiedy Raesinia ostatnio bała się o siebie. Przywykła bać się o inne osoby z jej otoczenia, szczególnie takie, które czuły się zobowiązane poświęcić dla niej, próbując ratować jej życie, które straciła przed laty. Przynajmniej Marcus i Sothe znają prawdę. I tak pewnie to ich nie powstrzyma przed zrobieniem czegoś głupiego.

Zamknęła oczy i pomasowała palcami skronie. *No dobrze. Dość użalania się nad sobą. Po kolei.*

Najpierw rozebrała się, rzucając w kąt zniszczoną, zakrwawioną koszulę. Na spodniach były tylko małe plamki krwi, chyba więc jeszcze posłużą. Obok umywalki leżał ręcznik, tak więc ponownie napełniła kubek i wykorzystwała resztę wody, żeby się umyć. Przynajmniej częściowo. Kiedy usunęła najgorsze plamy krwi i obmyła dłonie w różowej teraz wodzie, wciągnęła spodnie i zdjęła z łóżka prześcieradło, którym okryła się jak płaszczem.

Następnie dokładnie przeszukała pokój, na wypadek gdyby było w nim coś przydatnego, co przeoczyła. Znalazła tylko egzemplarz Mądrości oprawiony w miękką skórę, zapomniany pod łóżkiem przez jakiegoś pobożnego lokaja. Raesinia przejrzała kilka przypadkowo wybranych

stron, po czym doszła do wniosku, że nie jest w nastroju do studiów teologicznych, i położyła książkę na łóżku.

Robiła drugi obchód, szczególną uwagę poświęcając tapecie, w poszukiwaniu kawałka luźnego tynku gdzieś pod nią, gdy szcęknął zamek i drzwi się otworzyły. Odwróciła się, przytrzymując pod szyją prowizoryczne okrycie i usiłując przybrać wyniosłą minę. W drzwiach stanął Maurisk, jak zwykle w swym czarno-szarym stroju, z haftowaną szarfą deputowanego i kilkoma błyskotkami wskazującymi na jego pozycję w Dyrektoracie. Towarzyszyli mu dwaj gwardziści z muszkietami, ale wchodząc do środka, odprawił ich machnięciem ręki.

– Zamknijcie drzwi – rozkazał. – I niech nikt mi nie przeszkadza.

Gwardziści zaszalutowali i trzasnęły drzwi. Maurisk patrzył na Raesinię z wściekłością w oczach. Zauważyła, że lekko się chwieje. Jest pijany?

– Jest ogólnie przyjęte kłaniać się królowej – zauważyła.

Maurisk wykrzywił usta. Dwoma susami przemknął przez pokój, złapał za prześcieradło i zdarł z jej ramienia, odsłaniając pierś. Poczula na sobie jego wzrok i ścisnęła ją w gardle.

– Nigdy nie myślałam, że jesteś taki – zdołała wykrztusić, pozwalając prześcieradłu upaść na podłogę.

Powstrzymała chęć zasłonięcia się rękami. Przez całe życie rozbierana i ubierana przez służące Raesinia nie była nadmiernie wstydliva, lecz stojąc półnaga przed Mauriskiem, poczuła się mała i bezbronna. Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

– No?

Wyciągnął lewą rękę i położył jej na ramieniu. Świerzbiła ją ręka, ale zachowała spokój. Podejdź bliżej, a wydrapię ci oczy.

Maurisk wyjął z kieszeni drugą rękę, w której trzymał sztylet o długiej i cienkiej klindze. Raesinia ledwie zdążyła drgnąć, gdy uderzył, wbijając sztylet w miękkie ciało pod jej piersią i kierując go w górę, przez płuco ku sercu.

Nagle jej ciało stało się ciężkie i sztywne. Na jej wargach z następnym oddechem pojawiła się pienista krew i spłynęła po brodzie. Maurisk wyrwał sztylet, a Raesinia zrobiła chwiejny krok do tyłu i ciężko usiadła na brzegu łóżka, gdy jej nogi nagle zmieniły się w galaretę. Więź już zabrała się do pracy, zamykając ranę i powodując swędzenie w tkankach, które uszkodził sztylet, lecz ponieważ jej serce się zatrzymało, mięśnie na moment przestały reagować. Upadła na wznak z rozłożonymi rękami, patrząc w sufit.

Maurisk czekał. Krew kapiała z klingi jego sztyletu. Nim minęła minuta, Raesinia zadrżała, wykrztusiła trochę krwi i głośno wciągnęła powietrze. Uniosła głowę. Krew zmieszana ze śliną pociekła jej z kącika ust.

– I co? – wyrzęziła. – Jesteś zadowolony?

Maurisk kiwnął głową, nie odrywając od niej oczu. Raesinia ze znużeniem wstała z łóżka i chwiejnie podeszła do umywalki, splunęła do niej kilka razy, po czym przepłukała usta wodą z kubka. Wzięła brudny ręcznik i otarła nim wargi, a potem miejsce, gdzie wbił sztylet. Czują, jak gapi się na miejsce, gdzie była rana, a teraz skóra znów była cała i różowa. Uspokojona, że nie zakrwawi się cała, podniosła prześcieradło i tym razem owinęła się nim i zawiązała je na supeł. Trudniej je ściągnąć i mam wolne ręce.

– Ionkovo mi powiedział... kim jesteś – rzekł Maurisk. Lekko bełkotał, ale jego oczy

patrzyły trzeźwo. – Musiałem sam to zobaczyć.

– Demonem – powiedziała Raesinia. – Potworem. Wiem.

– Nie było żadnego sobowtóra tamtej nocy w Vendre. – Tak wyjaśniła swoją „śmierć” z ręki zdrajcy Faro. – To byłaś ty. Strzelił ci w głowę, a ty pociągnęłaś go w przepaść.

– Mogłabym się spierać co do kolejności wydarzeń, ale owszem. Spadliśmy na bardzo ostre skały. Jeśli to cię pocieszy, bolało jak diabli.

– Od jak dawna jesteś taka?

– Od lat – odparła Raesinia. – Można przywyknąć.

– Od lat. – W głosie przewodniczącego słyszała gniew i urazę. – Jeszcze zanim nas poznałaś. Nasz mały klub na zapleczu Niebieskiej Maski, bawiący się w rewolucję.

– Ja nigdy nie traktowałam tego jak zabawę. Ben też nie. I ty także.

– Ja ryzykowałam życie. Tak samo Ben i Faro, i Cora. A co, do diabła, ty ryzykowałaś? Że dostaniesz klapsa? – Maurisk potrząsnął głową. – Co z tego miałaś, do cholery? Czy to była tylko taka gra?

– Oczywiście, że nie – odrzekła Raesinia. – Mój ojciec był umierający, Maurisk. Po jego śmierci Orlanko ogłosiłby się regentem i zagarnął tron. Nie chciałam spędzić reszty życia poślubiona jakiemuś Borelgajowi, z Vordanem pod butem Kościoła Zaprzysiężenia.

– Dlatego przyszedł do nas. Bandy głupich pionków, do wykorzystania i porzucenia, kiedy przestaną być przydatne. – Uśmiechnął się złośliwie. – Przykro mi, że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

– Szło, dopóki nie podporządkowałeś sobie Zjazdu Generalnego. – Raesinia założyła rękę na piersi. – Bomba na placu to twoja robota. Nie zaprzeczaj.

– Teraz nie ma sensu zaprzeczać – odparł z dziwną uciechą Maurisk. – Teraz to już i tak jest bez znaczenia. Właśnie kazałem pierdolonej wiedźmie spalić pół mojego miasta. Przeklęty Janus bet Vhalnich po prostu nie zrezygnuje, co? Kurwa.

– Wiesz, że dla ciebie to już koniec. Jeśli wygra Janus, skończysz na swoim Kolcu. Jeśli przegra, to będą rządzić kapłani Czerni, którzy może zechcą cię trzymać jako marionetkę, a może nie. Sprzedałeś im Vordan i za co? Za kilka przysług? Za pozbycie się wszystkich, którzy stali ci na drodze?

– Za pokój! – Maurisk rąbnął pięścią w ścianę, zostawiając ślad w tynku. – Kościół każe Borelgajom i ich cesarzowi zakończyć wojnę. Vordan potrzebuje pokoju, na jakichkolwiek warunkach. Twój przyjaciel Vhalnich nie może go zapewnić, obojętnie ile wygra bitew, ale Ionkovo może. – Uspokoił się i zaczerpnął tchu. – Chciał tylko ciebie, jakieś khandarskie błyskotki i samego Janusa. Wydawało się, że to dobry interes. Nadal taki jest, moim zdaniem.

Najgorsze, że nie mogła powiedzieć, że całkowicie się myli. Z wyjątkiem...

– Zakładając, że Ionkovo spełni swoje obietnice. Kiedy dostanie, czego chce, co powstrzyma Kościół przed przejściem władzy?

– To i tak lepsze od tego, co proponujecie ty i Vhalnich. Czy może naprawdę myślisz, że on zdoła pokonać Borel i Murnsk razem wzięte, a na dodatek Ionkovo i jemu podobnych? – prychnął Maurisk. – Zastanawiam się, czy jego szaleństwo jest posunięte tak daleko.

– Wiem, że ja wolałabym walczyć, niż zdać się na łaskę pontifeksa Czerni.

– Ty wolałabyś walczyć. Tylko że nic nie ryzykujesz, no nie? A ci wszyscy biedni dranie w niebieskich mundurach mają tylko jedno życie.

To był celny cios. Raesinia odwróciła wzrok i nic nie powiedziała.

Maurisk pokręcił głową i z przesadną ostrożnością zastukał w drzwi.

– Doktor Sarton był nadzwyczaj zainteresowany, słysząc o twoim... stanie – powiedział, gdy szczęknął otwierany zamek.

– Powiedziałaś Sartonowi? – spytała Raesinia.

Maurisk wzruszył ramionami.

– Sądzę, że chciałby poznać subiektywne odczucia ofiar Kolca. Już intensywnie pracuje nad ulepszonym modelem. Jeśli będzie czas, może będziesz miała okazję mu pomóc.

– Jestem pewna, że te ulepszenia będą ogromnie pocieszające, kiedy ciebie przywiążą do stołu – warknęła Raesinia.

Maurisk prychnął. Stojący na zewnątrz gwardziści otworzyli drzwi, a on przepchnął się między nimi bez słowa, zostawiając im zamknięcie celi.

Raesinia usiadła na łóżku, z rękami założonymi na piersi. Wciąż czuła to miejsce, gdzie wbił się sztylet Mauriska, lekkie mrowienie pracującej więzi.

O ile Kolec może być gorszy od tego? Zamknęła oczy i próbowała o tym nie myśleć.

Jakiś czas później z samotnych rozmyślań wyrwało ją stukanie w okno.

Gwardziści byli bardzo zajęci, biegając tam i z powrotem po korytarzach i pokrzykując na siebie. Ściany za bardzo tłumiły dźwięki, żeby Raesinia mogła zrozumieć, co mówili, lecz było oczywiste, że coś się stało, i domyślała się, że nic dobrego. Uznała to za pomyślny znak – wszystko, co martwiło gwardzistów, budziło nadzieję.

Stukanie w okno zaskoczyło ją, gdyż wcześniej, stając na palcach i spoglądając przez maleńką szybkę, odkryła, że ten pokój znajduje się co najmniej na czwartym piętrze, na samej górze hotelu. Sothe jednak mogłaby się tu wspiąć. Z mocno bijącym sercem Raesinia zerwała się z łóżka i podeszła do okienka, po czym przysunęła pod nie kuferek, żeby na nim stanąć i popatrzeć.

Nie zobaczyła niczego niezwykłego. Było późne popołudnie i słońce już chyliło się ku zachodowi. Okienko wychodziło na północny zachód, miała więc widok na północny brzeg i Baśniowe Zamki, gdzie wszystkie okna były ciemne i pozamykane okiennicami.

Znowś stuk i szmer, jakby ktoś rzucił kamykiem w szybę. Odgłos się powtórzył i Raesinia zmarszczyła brwi, a potem wzruszyła ramionami. W każdym razie odrobina świeżego powietrza nie zaszkodzi.

Odsunęła zasuwkę i pociągnęła okno do siebie. Było maleńkie, może piętnaście centymetrów na dwadzieścia, więc nie było mowy, żeby się przez nie precisnąć. Jednak wpadł przez nie miejski szum i Raesinia ze zdziwieniem odkryła, że słyszy huk dział, głuchy łoskot niosący się po rzece nie wiadomo skąd. To było dziwnie krzepiące. Janus wciąż walczy. To jeszcze nie koniec.

Coś ukuło ją w policzek, a potem podrapało w nos. Dotknęła go ręką, a kiedy ją odjęła, zobaczyła na dłoni kilka ziarenek kolorowego piasku. Jednocześnie poczuła znajomy ból głowy. Och.

Raesinia zeskoczyła z kufereka i cofnęła się od okna, a piasek wpadł do wewnątrz nagłym strumieniem, grzechocząc o szybę i tworząc miniaturową trąbę powietrzną nad dywanem. W środku tego wiru zbierał się w kopczyk wielkości człowieka; nagle wiatr ucichł i piasek osypał się na podłogę, odsłaniając postać w masce, która już raz uratowała ją, Feor i Marcusa

przed olbrzymim Przeklętym Penitentem.

– Zastanawiałam się, co się z tobą stało – powiedziała Raesinia. – Myślałam, że chcesz mnie chronić przed Ionkovo.

– Nie spodziewałem się, że wpadniesz w jego ręce – odparł mężczyzna, po czym przechylił głowę i gładka maska zabłysła słabo w świetle lampy. – Ponadto na wodzie moja moc jest... ograniczona.

– No tak. Zmieniłbyś się w błoto. – Raesinia usiadła na łóżku. – Czy Ionkovo nie dowie się, że tu jesteś?

– Teraz jest zajęty czym innym. Janus najwidoczniej wymknął się z zastawionej pułapki i armia Wschód wkracza do miasta.

Ciężar w piersi Raesinii nieco zelżał.

– Zatem Marcus i reszta dokonali tego, co zamierzali.

Mężczyzna wzruszył ramionami, przy czym piach osypał się z fałd jego szaty.

– Pomyślałem, że skorzystam z okazji, żeby z tobą porozmawiać.

– Dobrze. Nazywasz się jakoś?

– Kiedyś zwałem się Jaffa-dan-Iln. Teraz jestem Malik-dan-Belial. W waszym języku Stalowy Duch.

– Chyba Marcus o tobie wspominał. Rozumiem, że jesteś Khandarczykiem? Co tu robisz?

Duch zamilkł, jakby coś rozważał.

– Należałem do... czegoś w rodzaju zakonu – rzekł po chwili. – Bardzo starego i strzegącego wiedzy o naath... wy powiedzielibyście „czarach”... do czasu, aż będzie potrzebna. Jednym z naszych podstawowych obowiązków było strzeżenie Tysiąca Imion.

– Dopóki nie zjawił się Janus? – odgadła Raesinia.

– Vhalnich tylko wykorzystał naszą słabość – powiedział Duch. – Staliśmy się zbyt... pewni siebie. Bezpieczni, ukryci na świętym wzgórzu wśród innych religii. Gdy Odkupiciele zwrócili całe miasto przeciwko nam, większość z nas wymordowano. Wiedzieliśmy... nasza przywódczyni wiedziała... że wykorzystując naszą słabość, nasi wrogowie prędzej czy później przyjdą odebrać nam skarb, którego zawsze pożąдали.

– Wasi wrogowie. Kapłani Czerni?

– Tak. Abh-naathem, ci, którzy deprawują moc. Przekłęci Penitenci, jak sami się nazywają. Spodziewaliśmy się ich, ale nie Vhalnicha, który szukał archiwum dla siebie.

– Nie dla siebie. – Janus wyjaśnił jej swoje powody. – Pracował dla mojego ojca. Mam w sobie... naath, demona, i mój ojciec chciał znaleźć jakiś sposób, żeby mnie od niego uwolnić. Poprosił Janusa, żeby go znalazł, a Janus myślał, że Tysiąc Imion może zawierać jakąś wskazówkę.

– Nie – rzekł Duch i to słowo dziwnie zadźwięczało pod stalową maską. – To nie jest cała prawda. Jestem pewny, że Vhalnich ma jakiś inny cel.

– Dlaczego więc nam pomagasz?

Duch westchnął w dziwnie ludzki sposób.

– Nasza przywódczyni nosiła naath, którego teraz ja noszę... przekazała mi go wraz z taką wiedzą, jaką zdołała. Była zbyt słaba, żeby zrobić to, co trzeba. Tak więc przybyłem tu sam i muszę kroczyć po ostrzu noża. Jeśli Tysiąc Imion wpadnie w ręce abh-naathem, może to oznaczać koniec świata.

Raesinia się zaśmiała.

– Koniec świata? No wiesz, z pewnością Kościół bardzo chciałby położyć ręce na kolejnych zaklęciach, ale... – Zamilkła pod jego nieruchomym spojrzeniem. – Mówisz serio?

– Tak.

– Jak miałyby się to stać?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Ponieważ twoja wiara ci tego zabrania?

– Ponieważ ci nie ufam – odparł bez ogródek Duch. – Nie można pozwolić, żeby abhnaathem zdobyli Imiona. Vhalnich jednak ma jakiś własny cel, którego nie znam, a ty jesteś jego sojuszniczką. Gdybym powiedział ci zbyt wiele, mogłoby to skończyć się taką samą katastrofą.

– Jestem królową, wiesz. – Pokazała małeńki pokoik, jakby podkreślając ironię tego stwierdzenia w tych okolicznościach. – Janus pracuje dla mnie, nie ja dla niego.

Gładka maska pytająco przechyliła się na bok.

– Jesteś pewna?

Na korytarzu dał się słyszeć tupot ciężkich buciorów.

– Ionkovo wrócił – rzekł Duch. – Albo jego sprzymierzeńcy wyczuli moją obecność. Żałuję, że nie mogę pomóc ci uciec.

– Przeżyję. Nie mam innego wyjścia.

Piasek znów zawirował wokół Ducha, unosząc się w górę.

– Strzeż się Vhalnicha – powiedział przez świst wiatru. – On ma swoje plany.

Wiatr wzmógł się i piach uniósł się w powietrze, po czym wyleciał przez okno, jak woda wypuszczona z wanny. Raesinia podniosła się z łóżka i stanęła na kufierku, gdy zniknął, a drzwi się otworzyły i stanął w nich krępy gwardzista.

– Co robisz? – zapytał, podejrzliwie rozglądając się po pokoju.

Raesinia posłała mu swój najbardziej niewinny uśmiech.

– Oddycham świeżym powietrzem.

W oddali wciąż słyszała huk dział.

Winter

– Medyk mówi, że Marcus się ocknął – powiedziała Cyte.

Winter z trudem się powstrzymała, by nie zerknąć po raz setny na słońce. Prawie chowało się za horyzontem i zmieniło blask na płynne złoto późnego popołudnia. Jeszcze godzina i będzie ciemno. Nocna bitwa na ulicach miasta byłaby katastrofą, gdyż nie można by uniknąć zasadzek lub przypadkowych potyczek z własnymi oddziałami. Po zapadnięciu zmroku nie miałyby innego wyjścia, jak kazać swoim oddziałom zająć obronne pozycje i czekać do rana. Dając im czas na okopanie się.

– Co z nim? – zapytała.

– Stracił sporo krwi i nieprędko stanie na nogi. Jednak mówią, że rana powinna się zagoić, jeśli nie zacznie się jątrzyć. – Cyte się zawahała. – Prosił, żeby cię wezwać. Zrozumiałam, że to pilne.

Winter skręciła na północ, gdzie Wielki Łuk ciągnął się ku ciemnemu konturowi Wyspy. Na samym moście nie było żołnierzy – gwardziści położyli na nim zaporowy ogień z moździerzy, gdy tylko Pierwszy Dziewczęcy zajął ten jego koniec, i pomimo starań kapitana Archera ich

pociski wciąż co kilka minut przelatowały w powietrzu, po czym rozpryskiwały się na moście w kłębach dymu i ognia lub z sykiem wpadały do rzeki. Królewscy przeszli godzinę wcześniej, przebiegając grupkami po każdym takim wybuchu, a artyleria za nimi, gorączkowo popędzając zaprzęgi. Moździerze Archera, wciąż po tej stronie rzeki, ostrzeliwały drugi koniec mostu, przygotowując teren do natarcia.

Na razie wszystko szło dobrze. Królewscy natarli na wroga na tym końcu i przegnali go, chociaż ponieśli ciężkie straty, atakując na otwartym terenie. Działa Archera odparły próbę kontrataku, a Winter szybko posłała tam obiecane przez Janusa posiłki z pierwszego pułku, żeby wzmocnić zdobyty przyczółek. Wkrótce Sevrans znów zaczął posuwać się naprzód, ale irytująco wolno. Na Zielonej Drodze gwardziści łatwo ustąpili pod naporem, ale tu uparcie trwali na barykadach, mając wsparcie artylerii.

Zamiast tracić ludzi w krwawych atakach, Sevrans ściągnął swoje działa i najpierw rozbijał barykady. Winter aprobowała to, lecz była to czasochłonna strategia. Pierwszy Dziewczęcy, odpoczywający po wcześniejszych walkach na Zielonej Drodze, miał jako następny przejść przez most, a kiedy to nastąpi, Winter albo nakaże frontalny atak, godząc się na ciężkie straty w ludziach, albo stanie przed koniecznością przeczekania nocy na ulicach i pod ostrzałem. Obie ewentualności nie były zachęcające.

– Jakie są ostatnie wieści od Sevrana? – zapytała.

– Wciąż atakuje barykadę przecnicę na południe od placu Farusa. Mówił, że już prawie przeszedł, ale tamci mają cały plac pod ostrzałem. Będziemy potrzebowali więcej dział albo będziemy zmuszeni go obejść.

Jedno i drugie wymagało więcej czasu, niż mieli. Niech to szlag. Winter się skrzywiła.

– Mogę poświęcić Marcusowi kilka minut, skoro czekamy.

Rannymi zajmowano się w budynku z szyldem Srebrnego Orła, firmy najwyraźniej będącej matecznikiem biurokratów. Żołnierze Winter wynieśli biurka i rozłożyli na podłodze materace, a chirurdzy robili swoje skalpelami i piłami do kości przy typowym akompaniamencie krzyków, jęków i modlitw. Było tu tylko kilka pacjentek z Pierwszego Dziewczęcego, który dotychczas poniósł lekkie straty; przeważali gwardziści lub milicjanci oraz kilku królewskich, którzy o własnych siłach przywlekli się z przyczółka. Było także trochę cywilów, których znaleziono obok rannych milicjantów. W obu grupach było bardzo wielu poparzonych i znaleziono kilka ciał, z których pozostały tylko zwęglone szkielety, lecz ponieważ żaden z pobliskich budynków się nie spalił, medycy nie potrafili tego wytłumaczyć. Może Marcus zdoła rzucić trochę światła na ten fakt.

W gabinetach urządzono sale operacyjne, ale Cyte zaprowadziła ją do ostatniego, gdzie na materacu leżał Marcus. Stojące pośrodku pokoju biurko odsunięto pod ścianę. Siedziała na nim jakaś nastolatka w niebieskim mundurze, z zaniepokojoną miną. Przy Marcusie siedziała ze skrzyżowanymi nogami nieco starsza kobieta w obcisłym czarnym stroju, zakrwawionym i obsypanym popiołem. Czekająca przy drzwiach Bobby zaszalutowała Winter i odsunęła się, przepuszczając ją.

Marcus wciąż miał na sobie mundur, ale jedna nogawka spodni była obcięta, a jego udo owinięte bandażem. Siedział oparty o poduszkę, trochę blady, lecz niewątpliwie przytomny.

Dziwnie było znów go zobaczyć, szczególnie w takim stanie. W trakcie khandarskiej kampanii, a nawet podczas rewolucji, Marcus był prawą ręką Janusa i zajmował o wiele

wyższe stanowisko niż Winter. Jako szeregowy żołnierz traktowała wyższych oficerów tak jak Khandarczycy swoich bogów, uważając ich za niepojęte, kapryśne istoty, których należy unikać.

Teraz jednak też miała orły na naramiennikach, chociaż ze względu na starszeństwo formalnie stał wyżej w hierarchii. Jednak nie dowodził żadnym oddziałem, a w tym stanie, rannego i wyczerpanego, Winter ujrzała go w nowym świetle. Był tylko człowiekiem, zmęczonym i cierpiącym. Zawsze. Właśnie tę tajemnicę oficerowie ukrywali przed szeregowymi żołnierzami: wydajesz rozkazy, ponieważ to twoje zadanie, ale to wcale nie oznacza, że wiesz wszystko lepiej. Po prostu robimy co możemy w danych okolicznościach.

Spojrzał na nią i zastanawiała się, czy ta zmiana ich wzajemnych relacji skłoniła go do podobnych przemyśleń. Jeśli tak, to ich nie zdradził. Spojrzał na otwarte drzwi i odkasznął.

– Dobrze pana widzieć, pułkowniku Ihernglass.

– I wzajemnie, pułkowniku d'Ivoire.

– Muszę porozmawiać z panem na osobności, jeśli to możliwe. – Nieznacznie uniósł brew, co zapewne miało być delikatną sugestią. – To dotyczy... tamtej desoltajskiej świątyni.

Magii, innymi słowy. Tysiąc Imion. Winter skinęła na Bobby, która zamknęła drzwi.

– Myślę, że zna pan porucznik Forester z kolonialnych – powiedziała. – To jest porucznik Cytomandiclea. Obie kilka tygodni temu broniły mnie przed Przeklętymi Penitentami, którzy próbowali mnie zabić, i w rezultacie wiedzą o... związanych z tym sprawach. – Winter spojrzała na kobiety towarzyszące Marcusowi. – Zakładam, że to samo dotyczy pańskich towarzyszek... chwileczkę. – W końcu przypomniała sobie tę dziewczynę. – Andy?

Andy przez moment spoglądała na Winter, nie pojmując, a potem szeroko otworzyła oczy.

– Och. Och! Ty jesteś... – Urwała stropiona. – Jesteś Winter.

– Co tutaj robisz? Mówiono, że zostałam ranna pod Midvale.

– Kiedy wydobrzałam, Kaznodzieja wysłał mnie do pomocy Marcusowi. – Andy nachyliła się i spytała z nadzieją w głosie: – Pozostałe też tu są? I Jane?

– Większość jest – odparła Winter, usiłując nie pokazać po sobie bólu, jaki wywołało to pytanie. – Obozują kawałek dalej, przy drodze. – Patrząc na drugą kobietę, Winter uświadomiła sobie, że ją również zna z desperackiej akcji w Vendre. – A ty jesteś... Róża, tak?

– Naprawdę mam na imię Sothe – wyjaśniła kobieta. – Pracuję u królowej.

– Ona jest... – zaczął Marcus, usiłując znaleźć odpowiednie słowa.

– Widziałem ją przy pracy – powiedziała Winter.

– Obie wiedzą, co się dzieje – rzekł Marcus. – Przekłęci Penitenci współpracują z Mauriskiem albo kierują tym wszystkim. Próbowali wykraść Tysiąc Imion i udaremniliśmy im to, ale Raesinia została przy tym schwytana. Musimy ją odbić, zanim zdążą wywieźć ją z miasta.

– Dlaczego mieliby wywozić ją z miasta? – spytała Winter. – Jeśli użyją jej jako zakładniczki...

– Ona ma w sobie demona, który czyni ją nieśmiertelną – wyjaśniła Sothe. – Przekłęci Penitenci chcą zawlec ją do Elizjum.

– Ach tak – mruknęła Winter, przyswajając sobie tę rewelację.

– Czy pana oddziały dotrą do hotelu Ancerre przed zmrokiem? – zapytał Marcus.

Winter pokręciła głową.

– Wątpię. Tamci trzymają się jak kleszcze. Myślę, że będziemy musieli się okopać i przeczekać noc. Rano Janus ściągnie więcej artylerii i rozwali całą Wyspę, jeśli będzie musiał.

Uświadomiła sobie, że w ciągu kilku ostatnich minut bezwiednie podjęła decyzję. Zmasowany atak na hotel mógł się powieść, ale szanse na to były niewielkie, a niewątpliwie spowodowałyby ciężkie straty, do czego nie zamierzała doprowadzić, podejmując tak ryzykowne działanie.

– Do rana już ją wywiozą – powiedziała Sothe. Zerknęła na Marcusa. – Zamierzam ją odbić. Sama, jeśli będzie trzeba.

– Jak? – zapytała Winter. – Gwardia Patriotyczna ma pod ostrzałem cały plac Triumfu Farusa, a okoliczne ulice są zabarykadowane.

– Znajdę jakąś drogę – odparła Sothe, lecz ton jej głosu świadczył, że wcale nie jest tego pewna.

– Nawet jeśli tak – zauważyła Andy – to zapewne są tam ci Przekłęci Penitenci, prawda? Ten potwór, który próbował zabić Marcusa, i ten, z którym ty walczyłaś.

– I Ionkovo – dodał Marcus. – Ona ma rację. Sama nie zdołasz ich pokonać. – Spojrzał na Winter. – Czy mały oddział nie mógłby się tam przekraść? Wystarczyłoby wedrzeć się do hotelu i zaraz się wycofać. Może rzeką...

Winter pokręciła głową.

– Mają obserwatorów na brzegu.

Wcześniej wysłali kilka łodzi, w nadziei znalezienia dogodnego miejsca, żeby wysadzić tam kompanię piechoty i uderzyć na barykady z flanki, ale zostały ostrzelane z dachów.

– Po zmroku – zauważyła Sothe – mała grupka mogłaby przekraść się przez plac.

– Byliby głupi, gdyby nie zapalili latarni...

– Wiem, jak przejść – oznajmiła Cyte.

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na nią, a ona lekko się stropiła, ale zaraz nabrała tchu.

– Jest tam tunel – ciągnęła. – Pod placem. Biegnie z południa na północ, pod samą fontanną. Jest w nim zaledwie tyle miejsca, żeby iść gęsiego. Wykorzystują go do konserwacji rur. Wylot jest przy tylnej ścianie Ancerre.

Sothe zmarszczyła brwi.

– Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– Niewielu słyszało. Od pięćdziesięciu lat kontrakt na obsługę fontanny ma ta sama firma i woli tego nie rozgłaszać.

– Zatem skąd ty o tym wiesz? – zapytała Andy.

– Książę Nicpoń, drugi syn Farusa Piątego, wykorzystywał ten tunel do wymykania się strażnikom ojca i sprowadzania kochanek do hotelu Ancerre. – Cyte zarumieniła się lekko. – Pisałam o tym pracę na uniwersytecie.

– Czy ten tunel nadal tam jest? – zapytał Marcus. – Przecież to było kilkadziesiąt lat temu.

– Wejście jest – odparła Cyte. – Poszłam tam i znalazłam je. Jest zamknięte, ale nietrudno byłoby się włamać.

Marcus spojrział na Winter, a ona powoli skinęła głową.

– Warto spróbować – uznała. – Zbiorę drużynę z Pierwszego Dziewczęcego.

Sothe wstała i rozprostowała ramiona.

– Zatem pójdę się przygotować.

– Ja też.

Andy zeskoczyła z biurka i przeciągnęła się.

– Nie musisz tam iść... – zaczął Marcus.

– Jeśli zamierzacie walczyć z Przekłętymi Penitentami, to lepiej mieć jak najwięcej ludzi, którzy wiedzą, co oni potrafią, no nie? – Andy się uśmiechnęła. – Poza tym ominęła mnie większość bitwy z tamtą starą wiedźmą. Wciąż muszę odplacić tym pierdolonym Penitentom za Hayvera.

– Chciałbym do was dołączyć – powiedział Marcus. – Tylko wątpię, czy w tym stanie byłby ze mnie jakiś pożytek.

– Musisz odpocząć. – Winter wskazała pozostałym drzwi. – Zaczniście się przygotowywać. Dołączę do was za chwilę.

Kiedy zostali sami, Winter spojrzała na Marcusa. Otrzymała kilka dziwnych raportów od swoich zwiadowców, a teraz ostatnie fragmenty łamigłówek znalazły się w końcu na swoich miejscach. Obraz, który utworzyły, budził dreszcz zgrozy.

– Walczyliście tu z Przekętym Penitentem, prawda? – *Te wszystkie zwęglone szkielety. Zastanawialiśmy się, czy gwardziści oblewali cywilów naftą i palili żywcem. – Z jakimś ognistym demonem.*

Marcus ze znużeniem skinął głową.

– Umieścili w budynkach ładunki prochu błyskowego.

– Znaleźliśmy je – powiedziała Winter. Oczami duszy ujrzała szalejące płomienie. – Tak więc kiedy wmaszerowalibyśmy...

– Demon zamieniłby całą dzielnicę w morze ognia – rzekł Marcus.

– Święci i męczennicy.

Winter z sykiem wciągnęła powietrze, czując, że dostaje gęsiej skórki na samą myśl o tym, jak bliscy byli katastrofy. A na ulicy było tyle ciał...

– Ochotnicy – rzekł Marcus, właściwie odczytując jej wyraz twarzy. – Ludzie z Doków, uchodźcy. Mężczyźni i kobiety. Raesinia i ja poprosiliśmy ich o to. – Uśmiechnął się słabo. – Nie mogliśmy pozwolić, żeby was usmażyli, prawda?

– Ja... – Winter poczuła, że się czerwieni, i odkaszlnęła. – „Dziękuję” to w tym wypadku za mało. Wielu ludzi zawdzięcza panu i tym ochotnikom życie.

– Robiłem, co musiałem – powiedział Marcus. Oczy miał przekrwione, a powieki ciężkie ze zmęczenia. – Posłuchaj. Pomóż Raesinii. Proszę. Najszybciej, jak możesz. – Zacisnął pięść, mnąc w palcach prześcieradło. – Ona nie może umrzeć, ale odczuwa ból. Jeśli wywiozą ją z miasta...

– Znajdziemy ją – powiedziała Winter.

– Dziękuję. – Marcus odetchnął i rozluźnił palce. Uśmiechnął się słabo. – Orły ci pasują.

Winter dotknęła złotych insygniów na naramiennikach.

– Są cięższe, niż się spodziewałem.

Uśmiechnął się nieco szerzej.

– Zawsze.

– Prześpij się trochę – poradziła Winter, wstając. – Kiedy dotrze tu Janus, powiedz mu, że jestem na przedzie.

Cyte i Bobby czekały na nią przed drzwiami, a ona wskazała im pusty gabinet obok. Kiedy wszystkie trzy tam weszły, zamknęła drzwi.

– Idę z wami – powiedziała. – Wiecie, że muszę.

– Trudno to będzie wyjaśnić komuś, kto nie wie o... wszystkiego – zauważyła Cyte. – Co powiesz Abby?

– Spróbuję jej unikać. Bobby, jesteś z nami? Przydałaby nam się twoja pomoc.

Bobby skinęła głową, spoglądając na swoje ręce. Winter zmarszczyła brwi, a potem zwróciła się do Cyte.

– Ty zostajesz. – Cyte otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Winter nie dopuściła jej do głosu. – Proszę, nie dyskutuj. Zostawiam ci dowodzenie.

– Dowodzenie? – Cyte zrobiła wielkie oczy. – To śmieszne. A co z Abby i Sevranem?

– Mają własne problemy, z którymi muszą się uporać. Ty musisz tylko wysłać przez most kolejne przybywające oddziały, żeby okopywały się na przyczółku. Janus będzie tu za parę godzin i przejmie dowodzenie. Chcę, żebyś tu była i poinformowała go o sytuacji.

Cyte wahała się, ale wiedziała, że to jest rozsądny plan.

– Uważaj. Potrzebujemy cię.

– Postaram się. – Winter uśmiechnęła się z przymusem. – Możesz pójść i poprosić Abby, żeby wybrała kilku żołnierzy dobrych w walce wręcz? I niech będą także dobrze uzbrojeni.

– Tak jest, pułkowniku!

Cyte zasalutowała i pospiesznie wyszła, zamykając za sobą drzwi. Winter popatrzyła na Bobby i milczała chwilę.

– Dobrze się czujesz? – zapytała w końcu. – Byłaś bardzo milcząca.

– Przepraszam. Ja tylko... rozmyślałam. Wbiłam sobie do głowy, że wkrótce będzie po wszystkim. Może kiedy pozbedziemy się Mauriska. Kiedy jednak zaczęłaś mówić o Przeklętych Penitentach, pomyślałam, że to się nigdy nie skończy, prawda? Nie dla nas.

Spoglądała na swoją dłoń, tę, którą złapała miecz, który rozplątałby Winter. Teraz nosiła na niej obcisłą czarną rękawiczkę, lecz Winter wiedziała, że ślad po ranie jest biały i lśniący jak marmur.

Pod wpływem nagłego impulsu Winter podeszła i objęła dziewczynę. Od nocy pożaru w Khandarze po raz pierwszy znalazły się tak blisko i niemal oczekiwała, że Bobby się odsunie, ale ona tylko oparła głowę na jej ramieniu.

– Nie – powiedziała. – Masz rację. Jednak cokolwiek się stanie, obiecuję, że będę przy tobie.

– Ja... – zaczęła Bobby ochryplym głosem. – John mówi o tym, co chce robić, kiedy wojna się skończy.

– Idź się z nim zobacz – powiedziała Winter. – Mamy mało czasu.

Bobby odsunęła się, otarła oczy i kiwnęła głową. Widocznie wyczytała coś z twarzy Winter, bo powiedziała:

– Znajdziemy Jane, kiedy to się skończy. Wiem, że tak. A ona...

Winter znów zmusiła się do uśmiechu.

– Wiem. Idź.

Dwadzieścia siedem

Winter

W końcu było ich dziewięć. Winter, Bobby, Sothe i Andy oraz sierżant i cztery szeregowce z Pierwszego Dziewczęcego. Sierżant nazywała się Maura. Była to wysoka i mocno zbudowana kobieta, którą Winter słabo pamiętała jako mieszkankę Doków z czasów Skórzanych Kurtek. Oprócz szabli i pary pistoletów, w które wszystkie były uzbrojone, sierżant miała długą drewnianą pałkę, którą najwidoczniej potrafiła się posługiwać. Winter ze zdziwieniem zobaczyła wśród wybranych przez Abby dwie Deslandki, Joannę i Barley.

– Bardzo chciały pomóc – powiedziała Maura, zaskakująco wysokim głosem u osoby o jej posturze. – Widziałam, jak dobrze walczyły w lasach pod Jirdos. Kogo uderzy Jo, ten nie wstanie. A Barley umie się posługiwać swoimi nożami.

Winter zamrugła lekko stropiona.

– Myślałem, że nazywasz się...

– Nazywają mnie Barley* – powiedziała z cichym westchnieniem szczupłutka dziewczyna.

– Ponieważ prawie jej nie widać – wyjaśniła Maura. – Jasne?

– Możecie do nas dołączyć. I tak trudno byłoby je powstrzymać, panie pułkowniku.

Dwóch pozostałych, Jenny i Vicky, Winter nie знаła. Myśl o tym, że ma pod swoją komendą kobiety, których nigdy nie spotkała i nie zna ich nazwisk, wywołała chwilowe poczucie winy, ale stłumiła je. Obie były Vordanajkami i zgłosiły się na ochotnika po wybuchu wojny. Jenna była mieszkanką Doków mniej więcej w wieku Winter, o przedwcześnie posiwiiałych włosach zaplecionych w warkocz i upiętych w kok. Vicky pochodziła z północnego brzegu i była córką majątnego właściciela stajni, która uciekła i zaciągnęła się do wojska na wieść o powstaniu Pierwszego Dziewczęcego. Obie zaszalutowały jej słuźbiście, lecz patrząc na ich twarze, Winter poczuła się nieswojo. Miały miny osób, które spotkały żywą legendę. Kiedy stałam się legendarną postacią?

Zaczekały przed mostem, aż słońce skryje się za horyzont. Kilka pocisków móździerzowych przeleciało nad nimi i z pluskiem wpadło do rzeki. Potem – z Sothe na przedzie – pobiegły co sił w nogach po spękanych płytach Wielkiego Łuku. Tu i ówdzie na moście leżały ciała pechowców zabitych przez wybuchające pociski. Winter biegła z pochyloną głową, patrząc pod nogi. Most miał prawie pół mili długości i zanim znalazły się pod osłoną budynków na drugim brzegu, z zadowoleniem zauważyła, że nie tylko ona ciężko dyszy. Jednak Sothe i Bobby wyglądają tak, jakby mogły biec cały dzień.

Wejście było dokładnie tam, gdzie zapowiedziała Cyte, w zaułku za rzędem kawiarni. Większość z nich miała zamknięte metalowymi kłapami zejścia do piwnic, którymi wnoszono dostarczone towary, a wejście do tunelu wyglądało jak jedno z nich i było zamknięte sfatygowaną kłódką. Sothe szybko otworzyła ją dwoma drutami i Winter z ulgą zobaczyła, że są w dobrym miejscu. Zamiast piwnicy jakiejś kawiarni zobaczyła drabinkę prowadzącą w dół, w ciemność.

Andy niosła dwie lampy; jedną dała Sothe, a drugą przyczepiła sobie na plecach. Zabrała

także sakwę z brązowego płótna wypchaną czymś nieporęcznym, ale nie powiedziała czym. Sothe poszła przodem, jedną ręką przytrzymując się drabinki, a Andy zamykała pochód z lampą zwisającą z szelek.

Szyb opadał niżej, niż Winter się spodziewała, co najmniej dziesięć metrów w dół, i kończył się śliską kamienną podłogą. Światło lamp ukazało wąskie przejście z żelazną rurą przymocowaną do sklepienia. Cyte nie przesadziła, mówiąc o ciasnocie – tunelem można było iść tylko gęsiego, w dodatku zgiąwszy się niemal wpół. Zanim Winter zeszła z drabinki, Sothe już przeszła spory kawałek i nie pozostawało im nic innego, jak iść za nią.

To była pierwsza przeszkoda. Gdyby gwardziści wiedzieli o tym tunelu, byłoby dziecinnie łatwe zatarasowanie go lub zastawienie zasadzki na jego drugim końcu. W tak ciasnej przestrzeni były praktycznie bezbronne i przez całą drogę Winter miała serce w gardle. W myślach liczyła kroki, zapewniając samą siebie w duchu, że ten tunel musi się gdzieś kończyć. W pewnym miejscu plama światła wskazywała na otwór w górze i Winter domyśliła się, że przechodzą pod posągami na środku placu. W połowie drogi. Na górze huczały i warczały działa, ledwie słyszalne przez warstwę ziemi.

– Znalazłam drabinę – oznajmiła jakiś czas potem Sothe. – Wchodzę. – Gdy Winter dotarła na dno szybu i zaczęła się wspinać, z góry doleciał ją ostry, metaliczny szczęk. – Musiałam rozbić zamek – zameldowała Sothe. – Na górze czysto.

Jedna po drugiej wyszły przez kolejny właz udający zejście do piwnicy i znalazły się za imponującym ceglany masywem hotelu Ancerre. Winter zauważyła, że Joanna wyszła z tunelu na wyraźnie uginających się nogach, a idąca za nią Barley ujęła jej dłoń i mocno ścisnęła.

– Wszystko w porządku? – zapytała Winter.

Postawna kobieta niemo skinęła głową, sapiąc.

– Ona nie lubi zamkniętych przestrzeni – wyjaśniła Barley. – Raz, kiedy byliśmy małe...

Joanna machnęła ręką, zdecydowanie ucinając temat. Barley wzruszyła ramionami.

– Nic jej nie będzie – powiedziała. – Tylko dajmy jej chwilkę.

– Tam są kuchenne drzwi. – Sothe wskazała gestem. – Ja pójdę pierwsza. Reszta z was wejdzie, kiedy powiem.

Wszystkie pozostałe popatrzyły na Winter, która skinęła głową. Widziała Sothe w akcji pod Vendre i z przyjemnością pozwoliła jej objąć dowodzenie. Przycisnęły się do ściany, po cztery z obu stron drzwi, a Sothe otworzyła je bezszelestnie i wśliznęła się do środka. Po chwili usłyszeli jej głos.

– Wszyscy siedzieć cicho! Wy na zewnątrz, wejdźcie!

Winter otworzyła drzwi. Hotelowa kuchnia była rozległa, ale najwyraźniej słabo wykorzystywana – tylko na jednym z trzech palenisk palił się ogień, a większość długich drewnianych stołów zajmowały stosy brudnych naczyń i resztek jedzenia, których nikt nie uprzątnął. Cztery kobiety w brudnych fartuchach stały przy wannie z pianistą wodą, ze szczotkami w dłoniach. Wszystkie patrzyły na podwójne wahadłowe drzwi, w których stała Sothe. Trzymała za kark mężczyznę w hotelowej liberii, przyciskając mu do szyi zakrwawiony sztylet. W drugiej ręce trzymała pistolet wycelowany w najbliższej stojącą kobietę. Na podłodze obok inny mężczyzna z szarfą Gwardii Patriotycznej jeszcze dygotał w konwulsjach w kałuży krwi z poderżniętego gardła.

– Nie rób mu krzywdy! – zawołała jedna z kobiet, upuszczając szczotkę do wanny. – Proszę, my...

– Cicho! – Sothe nie omawiała z nią swego planu, ale Winter odgadła jego zarysy. – Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli nie narobicie hałasu.

– Nie jesteśmy z Gwardii Patriotycznej – powiedziała jedna z kobiet, gdy reszta drużyny Winter weszła do pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi. – My tu tylko pracujemy, przysięgam.

– Wiem. Współpracujcie, to was wypuścimy.

– Będzie trzeba ich związać – powiedziała Sothe. – Na wszelki wypadek.

– Nie pytali nas o zdanie – rzekł mężczyzna, którego trzymała za kark. – Kierownik powiedział nam, że się tu wprowadzą i...

– Więźniowie – przerwała mu Sothe. – Gdzie trzymają więźniów?

Zapadła chwila ciszy, przerywana trzaskiem ognia na palenisku.

– Nie ma tu żadnych więźniów – odpowiedziała niepewnie jedna z kobiet. – Nie ma cel ani nic takiego.

Winter ścisnęło w gardle, ale Sothe potrząsnęła głową.

– Maurisk nie spuściłby jej z oka. On tu jest, prawda? Przewodniczący Dyrektoriatu?

– Na piątym piętrze – odparł mężczyzna. – Już nie wolno nam tam wchodzić. Zostawiamy posiłki żołnierzom.

– Zatem to musi być tam – zdecydowała Winter.

– Można tam dojść jakimś niepilnowanym przejściem? – zapytała Sothe.

– My chodzimy tylnymi schodami – odparła jedna z kobiet. – Ale tam stoi strażnik, dzień i noc.

– Tylko jeden? – spytała Sothe.

Kobieta skinęła głową.

– Ja się nim zajmę – rzuciła Sothe. – Winter, każ je związać i zakneblować. To nie potrwa długo. – Odjęła sztylet od szyi mężczyzny i rozkazała: – Pokaż mi drogę. Jeśli krzykniesz, wbiję ci go w nerkę.

Gorączkowo pokiwał głową, blady jak ściana, po czym zniknęli oboje za wahadłowymi drzwiami. Winter spojrzała na kobiety i uśmiechnęła się przepraszająco.

– Przykro mi – powiedziała – ale nie możemy tak po prostu was tu zostawić.

Ta, która wcześniej się odezwała, teraz popatrzyła na pozostałe trzy, przełknęła ślinę i westchnęła.

– Chyba nie, prawda?

Bobby i Andy zajęły się wiązaniem, używając kuchennego sznurka. Nawet jeśli nikt ich nie znajdzie, pomyślała Winter, nietrudno im będzie obluźować więzy. Ledwie skończyły kneblować kucharki, gdy Sothe znów się zjawiała, wciąż prowadząc swojego jeńca. Bobby jego też związała i posadziła obok paleniska z innymi.

– Na schodach czysto – oznajmiła Sothe – na razie. – Pochyliła się, sprawdzając, czy gwardzista leżący przy drzwiach nie żyje, po czym otarła sztylet o jego ubranie i wepchnęła do pochwy. – Myślę, że możemy nimi dojść na podest piątego piętra.

– Prowadź.

Winter skinęła na pozostałe i rzędem ruszyły za Sothe. Winter nie uważała się za niezdarę,

lecz podążając za Sothe, która bezszelestnie przemykała korytarzami dla służby, czuła się jak dziecko w zbyt dużych butach. Minęli załom korytarza, minęli kolejne drzwi i znaleźli się na klatce schodowej, wąskiej i bez okien. Następny mężczyzna z szarfą Gwardii Patriotycznej leżał oparty o ścianę, z ciemną plamą na piersi.

– Nie wiem, ile mamy czasu do zmiany warty – powiedziała Sothe tonem świadczącym, że uważa to za swoje niedopatrzenie. – Lepiej więc się pospieszmy.

Na szczęście na każdym piętrze zamknięte drzwi oddzielały klatkę schodową od korytarza i weszły na górę, nie napotykając kolejnych gwardzistów. Winter bardziej obawiała się natknięcia się na kogoś ze służby, ale hotel wydawał się pusty. Większość już zapewne uciekła. Dziwnie było znaleźć się w głównej kwaterze wroga, do której powoli zbliżały się własne wojska.

Słyszała jednak, że działa strzelają już coraz rzadziej. Z nadejściem nocy Cyte pewnie rozkazała okopać się i czekać do rana.

Na piątym piętrze stanęły przed następnymi drzwiami. W tych był niewielki wizjer i Sothe zerknęła przezzeń, po czym pokazała Winter, żeby zrobiła to samo.

Wyglądało na to, że drzwi zamaskowano tak, by wyglądały na fragment ściany, zapewne aby ukryć obecność służby przed prominentnymi gośćmi. Na wprost nich biegły łukiem w górę główne schody, za złożonymi rzeźbionymi poręczami, wyłożone czerwonym dywanem. Na górze, w odległości około pięciu metrów, stali dwaj gwardziści z bagnetami na lufach muszkietów. Na lewo zamknięte podwójne drzwi zapewne prowadziły do wspaniałego apartamentu zajmującego większą część tego piętra, a przed nimi stali czterej kolejni wartownicy z szarfami.

– Sześciu – podsumowała Winter.

– I kto wie ilu pod nami i za tymi drzwiami – dodała Sothe. – Nie zdołamy zdjąć po cichu wszystkich.

– No dobrze – rzekła Winter, robiąc głęboki wdech. – Zatem pora walczyć.

– Mogę zdjąć tych dwóch na schodach – stwierdziła Sothe.

Winter skinęła głową.

– Sierzancie?

– Panie pułkowniku? – cicho spytała Maura.

– Weź Jenę oraz Vicky i idźcie za Sothe. Pozbierajcie muszkiety, jeśli zdołacie. Kiedy narobimy hałasu, spróbują przybiec tu głównymi schodami, ale będziecie miały dobrą pozycję i osłonę. Zatrzymujcie ich, jak długo się da.

– Tajest.

– Joanna i Barley, wy idźcie z Andy, Bobby i ze mną. Oddamy salwę z pistoletów do gwardzistów po lewej, a potem załatwimy tych, którzy przeżyją.

– Zrozumiano, panie pułkowniku – powiedziała Barley.

– W porządku. – Winter położyła dłoń na klamce i nacisnęła, aż usłyszała cichy szcęk. Drugą ręką wyjęła pistolet. – Gotowe? Trzy, dwa, jeden...

Rąbnęła barkiem w drzwi, otwierając je na oścież, po czym przeleciała przez nie, robiąc przejście pozostałym. Sothe wpadła za nią i machnęła ręką, rzucając nożem. Wbił się w szyję jednego ze stojących przy schodach gwardzistów, który zatoczył się w tył, bulgocząc. Jego kompan z krzykiem wymierzył muszkiet, lecz Sothe już pokonała dzielącą ich odległość,

chwytnąjąc broń za lufę i unosząc ją szarpnięciem, zanim zdążył nacisnąć spust. Huknął strzał i kula trzasnęła w tynk na suficie, a siła odrzutu wyrwała z rąk gwardzisty muszkiet, który z łoskotem stoczył się po schodach. Rozległ się nieprzyjemny chrzęst, gdy Sothe uderzyła przeciwnika nasadą dłoni w szczękę, rzucając go na ścianę i wykańczając drugim nożem, nim zdążył złapać oddech.

Winter przerzuciła pistolet z lewej ręki do prawej, opierając się o balustradę schodów, żeby pewniej stać na nogach. Starannie wycelowwała – pięć metrów, łatwy strzał – i ściągnęła spust. Gwardziści dopiero zaczęli reagować, zdejmując z ramion muszkiety, a jej kula trafiła jednego w pierś, odrzucając go na drzwi. Po lewej ręce Winter huknęły inne pistolety i jeden z gwardzistów upuścił muszkiet, łapiąc się za ramię. W drzwiach pojawiły się poszarpane dziury wybite niecelnymi strzałami.

Winter już tam pędziła przez rzadką chmurę dymu, rzuciwszy pistolet i wyciągając szablę. Drgnęła, gdy wypalił muszkiet, głośniejszy od pistoletu, ale biegła dalej. Drugi gwardzista nastawił broń, zamierzając przeszyć ją lśniącym bagnetem, ale uskoczyła w bok, unikając pchnięcia, i odpowiedziała cięciem wymierzonym w jego głowę. Zdążył odparować cios, podnosząc muszkiet, i ostrze jej szabli zostawiło ślad w drewnie, ale Joanna była tuż za nią. Wbiła mu swą wielką pięść w brzuch, a kiedy zgiął się wpół, uderzyła łokciem w tył głowy. Andy i Bobby, obie z szablami w dłoniach, natarły na innego gwardzistę, który rozpaczliwie machał bagnetem, gdy zachodziły go z dwóch stron. Przypuścił desperacki atak na Andy, która z łatwością odbiła pchnięcie, a Bobby zarąbała go od tyłu.

– Odsunąć się od drzwi! – krzyknęła Winter, uskakując w głąb korytarza.

Pozostałe usłuchały na moment przed tym, nim wewnątrz huknęły strzały. Wielkie kawałki desek posypały się z drzwi, gdy kule z muszkietów rozbiły cienkie drewno, obsypując korytarz drzazgami.

– Bobby, otwórz je! – krzyknęła Winter. – Maura, zostań tu, jak długo możesz, a potem wycofaj się do nas. Sothe...

Sothe już do nich biegła. Bobby stanęła przed jeszcze dymiącymi drzwiami i naparła ramieniem w miejscu, gdzie się spotykały podwoje. Winter nie wiedziała, czy są zamknięte czy nie, lecz to nie miało znaczenia; zamek wyleciał jak wystrzelony z armaty, Bobby wpadła do pokoju, a Joanna i Barley za nią, z pistoletami w rękach.

Za drzwiami znajdowało się rozległe foyer z wielkim stołem na środku i skupiskiem foteli na końcu. Dwoje drzwi było po jednej, a troje po drugiej stronie. Bardziej interesujący od wystroju był widok sześciu gwardzistów, którzy dopiero co oddali salwę na oślep przez drzwi. Obie szeregowe odruchowo wystrzeliły z pistoletów, ale chybiły; oparta o futrynę Winter wycelowwała starannie i wpakowała kulę w czoło jednego, gdy pozostali zbierali odwagę do ataku na bagnety.

Joanna i Barley tworzyły zgrany duet. Gdy trzej gwardziści zblizali się do nich, postawna Joanna wysunęła się naprzód, czekając do ostatniej chwili, żeby uskoczyć. Udało jej się uniknąć dwóch pchnięć, a trzecie tylko prześliznęło się po jej żebrach. Gdy ostatni przeciwnik był pochylony w wypadzie, złapała jego broń i pociągnawszy do siebie, pozbawiła go równowagi. Barley wyskoczyła zza jej pleców, cięciem długiego noża rozplątała mu brzuch i przypadła do ziemi, unikając zadanego przez drugiego przeciwnika ciosu kolbą, który miał roztrzaskać jej czaszkę. Przecięła mu łydkę do kości, przemknęła pod nim, kiedy się zatoczył,

po czym wbiła nóż po rękojeść w pierś trzeciego, zanim zdążył odzyskać równowagę.

Przeciwnik Winter, wystraszony młodzieniec, wyraźnie nie miał serca do walki i pospiesznie odskoczył przed jej fintą wymierzoną w jego oczy. Zignorowała go na moment, obracając się, żeby ciąć energiczniejszego gwardzistę, który próbował przebić mieczem wyjmującą szablę Bobby. Padł z krzykiem, a Winter odwróciła się na pięcie, by stawić czoło młodzieńcowi, lecz ujrzała rękojeść tkwiącego w jego szyi noża, który pojawił się tam w jakiś magiczny sposób. Muszkiet wypadł mu z pozbawionych czucia palców, a gwardzista oparł się o ścianę i powoli opadł na podłogę. Idąca za Winter Sothe już miała w ręce następny nóż.

– Schodami idzie ich więcej – powiedziała. – Zablokowałam drzwi na tylne schody, a Maura próbuje ich zatrzymać. Musimy się spieszyć.

Gdy to mówiła, za ich plecami huknęły muszkiety i nieco cichsze wystrzały z pistoletów, którym zawtórowały przeraźliwe krzyki na dole.

Winter pokazała palcem. Jedne drzwi, daleko po prawej, miały niedbale przytwierdzoną zasuwę z kłódką.

– Jeśli tu jest, to tam..

Drzwi naprzeciwko otworzyły się i Winter poczuła, że Wszystkożerca porusza się w głębi jej jaźni, gdy przecisnął się przez nie olbrzym dwukrotnie wyższy od niej. Tak jak wtedy, kiedy widziała go ostatnio, miał na sobie czarny strój i błyszczącą obsydianową maskę. Gdy ruszył naprzód, dwaj następni podobnie ubrani szli za nim, kryjąc się za jego szerokimi barami. Jednym był ten młodzieniec, z którym Winter walczyła w Deslandzie, a drugim starszy mężczyzna z długimi białymi paznokciami. On właśnie przemówił po vordanajsku z silnym murnskajskim akcentem.

– Jesteś zuchwalszy, niż sądziliśmy, Ihernglass – powiedział. – Oczywiście wyczuliśmy cię, gdy tylko się pojawiłeś, i cel twego przybycia nietrudno było odgadnąć. Myślałem, że będzie trzeba na ciebie zapolować, ale uprzejmie sam do nas przyszedłeś.

– Strasznie jesteś zuchwały jak na kogoś, kto ratował się ucieczką podczas ostatniego spotkania – odparła Winter, starając się uspokoić oddech. Jej demon miotał się, ryczał jak zwierzę w klatce, wietrzące żer. Trzej Przekłęci Penitenci. Z trudem przełknęła ślinę. Jeśli tylko zdołam ich dotknąć... – Przyszliśmy po królową. Zejdźcie nam z drogi.

– Ostatnim razem miałeś przewagę zaskoczenia – odparł mężczyzna. – Tym razem sądzę, że dobrze się rozumiemy. Złożę ci kontrpropozycję. Poddaj się, a twoi towarzysze będą mogli odejść.

– To... – zaczęła Winter.

– Gra na zwłokę – prychnęła Sothe.

Jednocześnie cisnęła trzymanym w dłoni nożem, mierząc prosto między jego oczy. Jednak w chwili, gdy nóż śmignął w powietrzu, młodszy Penitent przyciągnął kompana do siebie, tak że nóż przebił tapetę i utkwiał w ścianie, wibrując.

Sothe, która najwidoczniej spodziewała się tego, już wyciągała zza pasa dwa kordelasy. Olbrzymi Przekłęty Penitent zrobił krok naprzód, przy czym podłoga zatrzęsała się pod jego ciężarem, a potem złapał oburącz wielki stół. Podniósł go i zamachnął się jak ogromną maczugą, żeby rozgnieść nim o ścianę Winter, Sothe i Bobby. Bobby jednak złapała drugi brzeg stołu i zatrzymała cios. Trzask uderzenia drewna o jej dłoń przebił się przez coraz głośniejszą palbę na korytarzu. Zaczęła mocować się z Penitentem, a drewno jęczało i pękało

przez chwilę, po czym trzasnęło z hukiem wystrzału z muszkietu, sypiąc efektownym deszczem drzazg.

Jakby na sygnał z pistoletu startowego dwaj pozostali Przekłęci Penitenci wyszli zza pleców swego olbrzymiego kompana, stając po jego bokach. Joanna wyszła na spotkanie starego, zadając błyskawiczny cios pięścią wymierzony w jego twarz, ale Penitent był szybki. Uchylił się przed ciosem, który przeleciał mu nad głową, i zacisnął palce na ręce Joanny, zakrzywionymi pazurami przebijając ciało tak łatwo, jakby było z masła. Rosła kobieta otworzyła usta w bezgłośnym krzyku, gdy stary doskoczył do niej, szykując się do zabójczego ciosu, ale pospiesznie umknął, gdyż Barley zagroziła mu drogę, zadając nożem cięcie wymierzone w jego głowę.

Olbrzym oderwał kawałek stołu, żeby użyć go jako pałki, i zamachnął się na Bobby, która uchyliła się i próbowała złapać go za rękę. Jednak tym razem Penitent najwyraźniej postanowił unikać zwarcia. Odskoczył, ponownie się zamachnął, a gdy Bobby próbowała go dopaść, zamachowym ciosem uderzył ją pałką w żebra. Rozległ się trzask łamanych kości. Bobby zachwiała się, ale nie upadła, a olbrzym ruszył na nią. Andy, która złapała jeden z upuszczonych muszkietów, w przelocie wbiła go w bok Przekłętego Penitenta, lecz ten zignorował dźgnięcie jak ukąszenie pchły.

Sothe starła się z trzecim Przekłym Penitentem, tak jak ona trzymającym w obu rękach długie noże. Oboje utworzyli migotliwy wir stali, poruszając się tak szybko, że trudno było uchwycić okiem ciosy. Jednak szanse nie są równe, pomyślała Winter. Sothe była szybka, szybsza, niż Winter uważałaby za możliwe, tak że zdawała się mieć cztery ręce i ostrza zamiast dwóch. Jednak młodzieniec zawsze wyprzedzał ją o pół kroku, uchylając się tak, że każdy jej cios chybiał o centymetry, albo parował je i zostawiał długie rany na jej przedramionach. W pewnym momencie zanurkował pod jej wyciągniętą ręką i zadał wymierzone do góry pchnięcie w brzuch, które Sothe odparowała w ostatniej chwili i cofnęła się o krok.

Winter z szablą w dłoni stanęła obok odzianej w czerń zabójczynie i wymieniły spojrzenia. To wystarczyło i Winter odeszła w lewo, a Sothe w prawo. Chociaż Winter nie była tak szybka jak Sothe, większy zasięg broni dawał jej przewagę, a jej pusta dłoń mogła być równie niebezpieczna. Przekłety Penitent już raz, w Deslandzie, ledwie uszedł Wszystkożercy i nie miał ochoty powtarzać tego doświadczenia. Pomimo niesamowitej zręczności przeszedł do obrony, odskakując i robiąc uniki, i tylko sporadycznie udawało mu się zadawać ciosy. Jednak ilekroć próbowały wykorzystać swoją przewagę, nie mogły go dosięgnąć. Na prawej ręce, w której Winter trzymała szablę, pojawiały się kolejne skaleczenia, a z rozciętego ramienia Sothe kapała krew, podczas gdy ich przeciwnik pozostawał nietknięty.

Bobby, wciąż oszołomiona, cofała się przed silnymi uderzeniami przeciwnika, ustępując pola. Nadepnęła na wyciągniętą rękę jednego z zabitych gwardzistów, potknęła się i zatoczyła do przodu, jakby chciała wpaść w ramiona Penitenta. Ten zamachnął się, celując w jej głowę, ale uniknęła ciosu, opadając na kolana. Przekłety Penitent podniósł pięści i ryknął, gdy Andy znów doskoczyła i wbiła mu bagnet w kark. Jedną ręką złapał broń, złamał ją w palcach i odrzucił na bok, po czym znów skupił uwagę na Bobby.

Bobby, wykorzystując chwilę jego nieuwagi, złapała go za nogę w kostce. Ledwie zdołała ją objąć palcami obu rąk, ale mocno je zacisnęła, z całą nadludzką siłą magii Feor. Coś pękło z

trzaskiem i olbrzym się zachwiał. Uderzył ją wielką pięścią w plecy między łopatkami i znów rozległ się trzask łamanych kości, ale Bobby nie puszczała, miażdżąc palcami kawałki jego nogi.

Barley, chociaż zręcznie posługiwała się nożami, nie była Sothe. Jej wściekły atak zmusił Przekłętego Penitenta do odskoku, ale stary był żywotniejszy, niż się wydawał. Zablokował cięcie wymierzone w głowę i szarpnął pazurami jej przedramię, zostawiając krwawe ślady. Barley wrzasnęła i wypuściła jeden nóż, a Penitent zacisnął dłoń na jej przegubie i cisnął ją o ścianę tak mocno, że uderzyła w nią głową, pozostawiając wgłębienie w tynku. Rozcapiерzył palce, mierząc w jej twarz, ale odwrócił się na pięcie, ostrzeżony podmuchem za plecami.

Joanna znów stała na nogach, z zakrwawioną ręką, ciężko dysząc. Stary kapłan zamarkował cios w jej zraniony bok, szykując się do uderzenia drugą ręką, gdy rosła kobieta zrobi unik, ale ona nie zamierzała go robić. Choć jego pazury wbiły się w jej bok, przecinając skórę, mięśnie i drapiąc kość, dopadła go i z całej siły uderzyła pięścią w twarz. Krew trysnęła mu ze złamanego nosa i zatoczył się w tył, po czym otrzymał drugi silny cios w skroń, po którym padł na ciało jednego z leżących na podłodze gwardzistów.

Przeciwnik Winter, przyparty do ściany, uskoczył przed atakiem Sothe i odsłonił się. Niemal instynktownie pchnęła szablą, zbyt późno pojmując, że to podstęp. Już się odsunął, a jej szabla przecięła tapetę oraz cienką warstwę tynku, po czym uwięzła w drewnianej belce. Jeden z jego noży już zmierzał w kierunku jej przegubu i tylko pospiesznie wypuszczając szablę, uniknęła utraty dłoni. Cofnęła się, szukając innej broni, a Sothe wysunęła się przed nią.

W odzianej w czerń zabójczynie zaszła jakaś zmiana. Jej styl walki, wcześniej niemal desperacki, znów odzyskał ten lodowaty chłód, z jakim likwidowała gwardzistów. Ruchy stały się ostrożne i precyzyjne i choć żaden z ciosów nie dosięgał Penitenta, musiał on przejść do obrony i cofać się. Gdy ją mijali, Winter ze zdumieniem zobaczyła, że Sothe ma zamknięte oczy i jej ręce jakby instynktownie poruszają się w skomplikowanym tańcu ostrzy.

Penitent cofnął się o kolejny krok, szykując atak, przy czym nadepnął na lufę leżącego muszkietu. Sothe błyskawicznie otworzyła oczy i runęła naprzód, przyjmując cios, który rozciął jej plecy, i kierując oba swe noże w twarz młodzieńca. Ten zrobił krok w tył i muszkiet przekręcił się pod nim – nieznacznie, ale wystarczająco, by pozbawić go równowagi. Młodzian poleciał do tyłu, ku Winter, która objęła go w talii.

Tym razem nie ujdiesz. Przytrzymała go mocno, jak w czułym uścisku, i spuściła Wszystkożercę ze smyczy. Demon wypadł z niej i wniknął w Penitenta, rozjuszony długim postem. Przez moment oba stwory zmagaly się ze sobą, lecz nie trwało to długo. Niebawem Wszystkożerca pędem wrócił w nią, wzmocniony swym żerem. Winter poczuła, że młodzieniec bezsilnie zwisa w jej objęciach. Jego twarz była zalana krwią, która strumieniami wypływała mu z oczu, niczym łzy. Gdy go puściła, bezwładnie osunął się na podłogę.

Został jeszcze olbrzym. Oderwał dłonie Bobby od swojej kostki, przy czym jedna jej ręka pozostała pod dziwnym kątem wygięta w łokciu. Podniósł ją w powietrze, trzymając za ramiona, i choć sprawną ręką zadawała mu ciosy, w które wkładała całą swą nadludzką siłę, nie puszczał. Przez moment Winter myślała, że rozerwie Bobby na dwoje jak kartkę papieru i zapewne nawet naath Feor nie zdoła jej potem uleczyć...

Nagle olbrzym puścił dziewczynę i okręcił się na jednej sprawnej nodze. Na jego plecach wisiała brązowa sakwa przyszpilona tam szablą, którą Andy do połowy wbiła w jego ciało.

Dziewczyna cofała się z pistoletem w rękę, a olbrzym kręcił się, usiłując dosięgnąć białej w jego plecy broni.

– Wszyscy padnij! – wrzasnęła Andy.

Bobby, z jedną ręką zwisającą bezwładnie, odskoczyła od olbrzyma. Winter i Sothe przypadły do podłogi, a Joanna zasłoniła Barley własnym ciałem. Andy wypaliła i Winter usłyszała brzęk metalu o metal, gdy kula uderzyła w sakwę przybitą do pleców olbrzymiego kapłana. Rozległ się huk, tak głośny, że poczuła go w mostku i pod czaszką, a gorący podmuch osmaliał jej brwi.

Winter powoli podniosła się i rozejrzała. Olbrzym wciąż stał, ale nie miał już prawej ręki i barku, a z zakrwawionej i dymiącej masy tkanek sterczały żebra niczym zeschnięte rośliny skute mrozem. Czarna maska na twarzy została poszarpana tak jak skóra pod nią i strzępy obu zwisały płatami z jego czaszki.

A mimo to nie umarł. Może nie mógł umrzeć. Winter zobaczyła, że odwraca się, przy czym widać było, jak poruszają się jego odsłonięte przez zerwaną skórę mięśnie nogi. Jedno oko znikło i z oczodołu sączyła się paskudna krwawa maź, ale drugie patrzyło na nią, płonąć szaleńczą wściekłością. Pozostała ręka słabo poruszała się, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za broń.

Wciąż dzwoniło jej w uszach i świat kołysał się wokół niej, ale Winter zrobiła krok naprzód i położyła dłoń na piersi olbrzyma. Poczuła, jak demon w niej ożywia się w pobliżu jednego ze swych pobratymców, poczuła jego nienasycony głód, i nakazała mu przepłynąć przez swoją rękę do Przekłętego Penitenta. Jeszcze raz. Dwa demony spotkały się i splątały w walce, lecz i tym razem była ona krótka. Wszystkożerca, demon żywiący się swoimi krewniakami, rozproszył się w ciele drugiego demona jak kropla krwi rozchodząca się w czystej wodzie, błyskawicznie przekształcając go w siebie. Kiedy z olbrzymiego demona nie pozostało już nic, Wszystkożerca przemknął z powrotem przez jego ogromne ciało i rękę Winter, ponownie kryjąc się w najciemniejszych zakamarkach jej duszy. Olbrzym mrugnął jedynym pozostałym okiem, postawił je w słup, po czym runął na wznak między szczątki rozbitego stołu i znieruchomiał.

Strzelanina na korytarzu nie ucichła, ale zrobiło się ciszej. Winter wciąż dzwoniło w uszach od wybuchu, a liczne skaleczenia i ranki na ciele zaczynały dawać o sobie znać. Skulona pod ścianą Andy podniosła głowę, a Bobby, której złamana ręka już znów była sprawna, wstała z osmalonej podłogi. Joanna znajdowała się najbliżej wybuchu, po którym mundur na plecach miała podarty i zakrwawiony, ale chwiejnie zdołała się podnieść.

– Wszyscy... – zaczęła Winter i urwała. „Cali” wydawało się lekką przesadą, zważywszy na sytuację. – Nadal żywi?

Joanna wskazała Barley, która wciąż leżała pod ścianą. Winter pospiesznie ruszyła do niej, lecz nagle spostrzegła, że trzeci Penitent, leżący tam, gdzie ogłuszyła go Joanna, jeszcze żyje.

– Bobby! – Pokazała jej go. – Przebij go bagnetem, jeśli się poruszy.

Bobby skinęła głową, podniosła muszkiet i wycelowała go w Penitenta. Gdy Winter uklękła przy Barley, Andy podeszła do Joanny, której z ręki wciąż miarowo kapła krew, pozostawiając szkarłatny wzór na podłodze.

– Ja otworzę te drzwi – powiedziała Sothe, pochylając się, żeby obejrzieć kłódkę.

Krew sączyła się z rozciętej skóry na głowie Barley i Winter delikatnie obmacała miejsce

wokół rany. Była długa, lecz płytka, a czaszka pod nią wydawała się nietknięta.

– Myślę, że nic jej nie będzie – powiedziała do Joanny, gdy Andy bandażowała jej zranione ramię. – Nic nie jest złamane. Zaniesiemy ją do medyków, kiedy się stąd wydostaniemy...

– Pułkowniku! – doleciał ją krzyk z korytarza. – Pułkowniku, nadchodzą!

– Na jaja pierdolonej Bestii – zaklęła Winter, odwracając się do drzwi.

Jedna z szeregowych, Vicky, trzymała sierżant Maurę pod pachy, ciągnąc ją do drzwi i pozostawiając ciemniejszy ślad na czerwonym dywanie. W chmurze prochowego dymu na końcu schodów leżało nieruchome ciało w niebieskim mundurze, a tupot buciorów mieszał się z triumfalnymi okrzykami wbiegających po schodach gwardzistów.

– Joanna, pilnuj starego! – rozkazała Winter. – Bobby, Andy, ładujcie muszkiety!

Złapała broń jednego z zabitych gwardzistów, z ładownicy przy jego pasie wzięła garść nabożów i rozerwała jeden zębami. Minęło sporo czasu, od kiedy ćwiczyła strzelanie z muszkietu, ale jej mięśnie pamiętały czynności: proch na panewkę, odciągnąć kurek, reszta prochu do lufy, wypluć do niej kulę, przybić wszystko stemplem. Przyłożyć broń do ramienia...

Tuzin gwardzistów dotarł na górę schodów i sądząc po odgłosach, już biegli następni. Winter wycelowała i strzeliła; biegnący w środku grupy mężczyzna padł. Pozostali poszukali osłony, chowając się za balustradą lub przyciskając do podłogi. Jeden wypalił i Winter usłyszała świst przelatującej wysoko kuli. Wyglądało na to, że pozostali nie naładowali ponownie broni przed triumfalnym atakiem i teraz szamotali się z nieporęcznymi długimi muszkietami.

Andy też wystrzeliła, wzbijając snop drzazg z poręczy. Winter odwróciła się do Bobby i wyciągnęła rękę, a dziewczyna podała jej nabitą broń.

– Przynieś kilka foteli – poleciła Winter. – Musimy zabarykadować te drzwi.

Bobby skinęła głową i pobiegła na drugi koniec pokoju. Winter wycelowała i strzeliła do pierwszego, który wystawił głowę; chybiła, ale zmusiła go do ponownego przytulenia się do podłogi. Zanim pozostali odzyskali odwagę, podbiegła i zatrzasnęła podwójne drzwi, gdy tylko Vicky przeciągnęła Maurę przez próg. Same drzwi nie były żadną przeszkodą, cienkie i podziurawione kulami, lecz zaraz zjawiała się Bobby, niosąc ciężki, obity skórą fotel. Andy przytaszczyła drugi i obie poszły po następne. Vicky odciągnęła ranną sierżant od drzwi.

– Winter! – zawołała Sothe, stojąca przy nieprzytomnym Przeklętym Penitencie. – Muszę uwolnić Raesinię.

I co potem? Jedne i drugie schody znajdowały się za zabarykadowanymi drzwiami. Może oknem? To piąte piętro, ale sąsiedni budynek stał blisko. Może udałoby się przeskoczyć...

– Idź! – powiedziała Winter. – Joanna, możesz przyłożyć ostrze do gardła tego drania?

Joanna kiwnęła głową z mściwym uśmiechem. Poklepała Barley i wyjęła jej nóż, niezdarnie przekładając go do sprawnej ręki. Sothe znów pochyliła się nad kłódką, a Andy i Bobby ustawiły kolejne fotele przy drzwiach.

– Ty jesteś o wiele twardsza, niż się zdaje – powiedziała Andy do Bobby, gdy szły po ostatnie dwa.

– Gotowe – zameldowała Sothe.

Drzwi się otworzyły.

Winter widywała królową Vordanu tylko z okazji świąt państwowych, w uroczystej żałobnej sukni. Wprawdzie nie spodziewała się znaleźć jej uwięzionej w takiej obszernej szacie, ale na

pewno nie wyobrażała sobie niskiej, szczupłej dziewczyny w chłopięcych spodniach, z odsłoniętymi ramionami i torsem owiązanym prześcieradłem. Sothe przyklękła i pochyliła głowę.

– Cześć – powiedziała Raesinia. – Co tak długo?

– Napotkaliśmy... pewne trudności. – Sothe nie podnosiła głowy. – Przepraszam. Nie powinnam była...

– Robić tego, co ci kazałam? – dokończyła z uśmiechem Raesinia.

– Tak. – Sothe spojrzała na nią i Winter nie wiedziała, co było bardziej szokujące, łzy w jej oczach czy uśmiech na twarzy. – W żadnym razie nie powinnam była tego robić.

Raesinia wyciągnęła rękę do swej służącej i pomogła jej wstać, a potem wzięła w objęcia. Kiedy w końcu oderwały się od siebie, jakby dopiero teraz zobaczyła otaczające ją pobojozisko.

– Och – powiedziała. – Słyszałam odgłosy walki, ale nie wiedziałam... – Nabrała tchu i spojrzała na Winter. – Ty tu dowodzisz?

Winter nie wiedziała, czy powinna zsalutować, czy nie. Poprzestała na ukłonie.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Pułkownik Winter Ihernglass.

Już raz, pod Vendre, czuła, jak w obecności Raesinii budzi się Wszystkożerca. Choć obżarty dwoma posiłkami, znów poruszył się niespokojnie. Winter zadała sobie pytanie, czy jego głód ma jakieś granice, i postanowiła nie dotykać królowej, jeśli tylko będzie to możliwe. Wprawdzie sądziła, że potrafi powstrzymać demona, ale lepiej nie ryzykować.

– Wszyscy pańscy ludzie są cali? – Raesinia popatrzyła na leżące wokół okaleczone ciała, nie okazując cienia nadwrażliwości, jakiej można by oczekiwać od szlachetnie urodzonej panny. – To wygląda tak, jakby wybuchła tu bomba.

– Mniej więcej tak właśnie było. Straciliśmy jedną z naszych na schodach i... – Winter spojrzała na Vicky, która stała nad leżącą pod ścianą sierżant. Szeregową pokręciła głową. Łzy żłobiły bruzdy na jej okopconej od prochu twarzy. – Dwie. Wszyscy pozostali powinni przeżyć, jeśli zdołamy się stąd wydostać.

Raesinia milczała chwilę, zaciskając zęby, a potem odetchnęła.

– Macie jakiś plan?

Raesinia

Jeszcze dwie, które zginęły za mnie. Kolejne, które poświęciły się w obronie osoby, która tak naprawdę nie żyje. Raesinia opanowała burzę uczuć i zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy.

Winter miała niewyraźną minę.

– Jeszcze... nie. Za tymi drzwiami jest około dwudziestu gwardzistów.

Ci już na nie napierali, chociaż ciężkie fotele tylko lekko się kołysały. Raesinia słyszała bębnienie pięści w drewno i podniesione głosy.

– Co z Mauriskiem? – zapytała. – Znaleźliście go?

Winter pokręciła głową. Sothe pospiesznie otworzyła dwoje pozostałych drzwi po tej stronie pokoju, po której znajdowała się cela Raesinii, znajdując następną sypialnię dla służącej i toaletę, obie puste. Otwarte drzwi, z których wyszli Przekłęci Penitenci, prowadziły do jadalni i szybki rzut oka ujawnił, że i tam nikogo nie ma. Został tylko jeden pokój.

Sothe położyła dłoń na klamce, lecz Raesinia odpędziła ją machnięciem ręki.

– Wasza Królewska... – zaczęła Sothe.

– Obie wiemy, że jeśli on tam siedzi z pistoletem, to lepiej będzie, jeśli ja otworzę te drzwi – powiedziała Raesinia. – Jednak trzymaj się blisko, na wszelki wypadek.

Nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi. Za nimi był gabinet z ładnymi, błyszczącymi politurą i złoceniami meblami z tekowego drewna, z regałami pełnymi jednakowej wielkości książek oprawionych w skórę. Na wprost drzwi stał ulizany młodzieniec ze szpadą w ręku, czekając w zabawnie sztywnej pozie wyuczonej w szkole fechtunku. Za ogromnym biurkiem, niedbale rozwalony w fotelu, siedział przewodniczący Dyrektoriatu z prawie pustą butelką winą w jednej ręce.

– Kto tam, Kellerman? – spytał Maurisk, nie podnosząc głowy.

– To... – Młodzian zamrugął i szpada zadrżała mu w ręku. – To, hmm, królowa. Tak myślę.

– Ach. Możesz więc odejść.

– Panie przewodniczący – rzekł Kellerman, zerkając przez ramię Raesinii. – Wymordowali gwardzistów...

– Odejdź – powiedział ze stalową nutą w głosie Maurisk. Podniósł butelkę do ust i przechylił, a potem pozwolił jej z głuchym stuknięciem upaść na dywan. – Wasza Królewska Mość. Nie spodziewałem się zobaczyć cię w takich okolicznościach.

– Natomiast ja muszę przyznać, że miałam nadzieję na coś takiego – odparła Raesinia. Ruszyła naprzód, gdy Kellerman opuścił szpadę i usunął się z drogi. Maurisk skupił na niej spojrzenie załzawionych oczu. – Obawiam się, że będę musiała rozczarować doktora Sartona.

Maurisk się zaśmiał.

– On i tak dostanie, co chce, tak czy inaczej. Kaci i grabarze to prawdziwi zwycięzcy każdej wojny.

– Czarujące. – Wskazała drzwi. – No już. Wstań.

– Po co? – Zmarszczył brwi.

– Na zewnątrz jest wielu gwardzistów. Powiesz im to samo co Kellermanowi. To koniec.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – Maurisk wyprostował się, chociaż miał kłopot z trzymaniem głowy prosto. – Może zaryzykuję i zaczekam, aż tutaj wpadną.

– Jeśli do tego dojdzie, ty tego nie doczekasz – powiedziała Raesinia. – Składam ci propozycję, która jest ważna tylko kilka minut. Albo powiesz swoim ludziom, żeby natychmiast złożyli broń, albo zginiesz. Nie będzie więzienia, procesu, żadnych szans. – Nachyliła się do niego. – Pożyczę od Sothe sztylet i wbiję ci go w twoje pierdolone oko. Rozumiesz?

Milczał chwilę, mierzając ją wzrokiem. Kellerman znów uniósł szpadę, a Raesinia zerknęła na niego, co wystarczyło, żeby wypuścić ją z ręki.

– Wiesz, że to zrobię – powiedziała do Mauriska. – W końcu tylko zrewanżuję ci się za twoją grzeczność.

– Ja chyba dźgnąłem cię w serce – mruknął Maurisk. – Które, jak twierdzi doktor Sarton, jest siedzibą wszystkich uczuć, tak więc jego uszkodzenie powoduje bezbolesną śmierć.

– Możemy później porównać notatki – odrzekła Raesinia. – Jestem jednak pewna, że mnie rozczarujesz i wybierzesz to drugie wyjście.

– Ach tak? – rzekł Maurisk. – Czemuż to?

– Ponieważ jesteś tchórzem – wypaliła bez ogródek. – Zawsze byłeś. Chętnie pisałeś

przemówienia i drukowałaś ulotki, podczas gdy Faro, Ben i ja robiliśmy wszystko, co było choć trochę niebezpieczne. A potem, kiedy w końcu miałeś okazję wprowadzić w życie twoje ukochane zasady, zignorowałaś je, gdy tylko stały się zagrożeniem dla twojego stanowiska.

– Musiałem prowadzić cholerną wojnę – rzekł lekko bełkotliwie Maurisk. – Czy to mnie choć trochę nie usprawiedliwia?

– Nie w moich oczach. Nie winię cię za to, że mnie nienawidzisz. Może sama bym siebie nienawidziła, będąc na twoim miejscu. Jednak nie chodzi tylko o mnie. – Raesinia zniżyła głos. – Była pewna młoda kobieta, która stała obok mnie i obserwowała egzekucje. Znalazła się w złym miejscu, w złym czasie. Musiałam odrywać jej syna od jej ciała.

Będzie dorastał bez matki. Nikt nie zasługuje na taki los. Jeszcze jedna ofiara, jeszcze jedno życie legło w gruzach, bo ktoś znalazł się za blisko Raesinii Orboan.

– ...ty zrobiłaś to prawie każdemu... – mówił Maurisk, ale Raesinię nagle zmęczyła ta rozmowa. Dobrze było przyjść tu i powiedzieć mu to, ale w ostatecznym rozrachunku nie miało to żadnego znaczenia. Na pewno nie dla Claudii i Emila.

– Dość tego – ucięła. – Koniec rozmowy. Odwołasz ich czy mam znaleźć sztylet?

Maurisk jeszcze przez moment patrzył jej w oczy, a potem odwrócił wzrok.

– Zacaros? Zacaros, jesteś tam?

Walenie w drzwi ustało i po chwili odpowiedział mu basowy głos.

– Przewodniczący Maurisk?

– Pan i pańscy ludzie macie skapitulować. Złóżcie broń i opuście hotel. Wyśle pan wiadomość innym oddziałom Gwardii. Koniec walk.

– Nie mówi pan poważnie?! – niemal rozpaczliwie wykrzyknął Zacaros. – Jeśli trzymają panu nóż na gardle, to nie będę miał innego wyjścia, jak przejąć dowodzenie.

– Królowa i ja doszliśmy do... porozumienia. Będziemy negocjować z generałem Vhalnichem. To koniec.

– Królowa?

Raesinia usłyszała pomruki żołnierzy na korytarzu i podniosła głos:

– Jestem tutaj. A przewodniczący Maurisk ma rację. Czas przestać walczyć.

To chyba przeważało szalę. Raesinia domyśliła się, że większość gwardzistów nic nie wiedziała o zamachach Mauriska na jej życie, tak samo jak o jego przymierzu z Przekłętymi Penitentami. Oni uważali, że wciąż walczą w obronie królowej i prawowitej władzy, przeciwko zbuntowanemu generałowi.

Niemal słyszała trybiki obracające się w głowie Zacarosa, nawet przez grube drzwi. Gdyby postanowił zignorować rozkaz Mauriska i zabić wszystkich obecnych, mógłby sam przejąć władzę, ale nie miał pewności, czy jego żołnierze usłuchają rozkazu i zechcą zlikwidować władczynię. A jeśli królowa postanowiła położyć kres walkom...

Nie miał innego wyjścia, jak posłuchać. Pomimo to Raesinia na moment wstrzymała oddech.

– Rozumiem – rzekł Zacaros. – Złóżcie broń, ludzie. Przekażę ten rozkaz innym. – Zawahał się. – Jeszcze trwają walki między naszymi a buntownikami. Czy mam pozwolenie na wywieszenie białej flagi?

– Oczywiście. Proszę im podziękować i niech idą do domów.

Raesinia wątpiła, żeby to zrobił, ale to nieważne. Rano oddziały Janusa wejdą do miasta, zbyt liczne, żeby ktoś zdołał im się oprzeć. Dobre i to. Zwróciła się do Winter.

– Będę wdzięczna, pułkowniku, jeśli pańscy żołnierze odejdą od drzwi. Ponadto... Sothe, może lepiej zabierz przewodniczącego w jakieś ciche miejsce, dopóki sytuacja tutaj się nie uspokoi.

– Chętnie – warknęła Sothe i złapawszy Mauriska za ramię, pociągnęła go ku niedawnej celi Raesinii.

Dwie szeregowy zaczęły usuwać fotele, którymi zabarykadowały drzwi. Raesinia zobaczyła, że Andy jest wśród żołnierzy, którzy przyszedli ją uratować, dopiero wtedy, gdy dziewczyna przystanęła przed nią, idąc im pomóc.

– Marcus mówił mi, że nic ci nie będzie – rzekła Andy. – Nie wiem, czy naprawdę mu uwierzyłam. Widziałam... wydawało mi się, że widzę...

– To długa opowieść – powiedziała Raesinia, klepiąc ją po ramieniu. – Ale nic mi nie jest. Cieszę się, że tu jesteś.

– Ja... – Andy skłoniła się. – Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Inna szeregowy, wielka kobieta z ręką w bandażach, pociągnęła Winter za rękaw, żeby zwrócić jej uwagę. Pokazała miejsce pod ścianą, gdzie bezwładnie leżał mężczyzna w czarnej obsydianowej masce. Teraz usiadł chwiejnie, przebierając palcami. Jego kilkucentymetrowej długości paznokcie były zakrwawione, jakby zanurzył je w czerwonej farbie.

Winter nachyliła się i zerwała mu maskę, podczas gdy kobieta trzymała bagnet przy jego szyi. Bez maski Przekłęty Penitent wyglądał zupełnie zwyczajnie: starszy człowiek o przerzedzonych włosach i kanciastych murńskajskich rysach twarzy. Zamrugnął, spojrzał na nich i westchnął.

– Jak się zwiesz? – spytała Winter. – Wiem, że mówisz po vordanajsku.

Skinął głową.

– W Elizjum nazywają mnie Łgarzem.

Raesinia uniosła brew.

– Chyba niezbyt cię tam lubią.

– Co tu robiliście? – zapytała Winter.

– Dbaliśmy o sprawy Pana – odparł Łgarz. – Mieliśmy odzyskać Tysiąc Imion. Zabić Ihernglassa i jego pana za zbrodnię czarów i sprowadzić cię do Elizjum z tego samego powodu.

– Czarów – z goryczą powtórzyła Raesinia. – Mówisz, jakbym miała jakiś wybór.

– Grzech to zawsze wybór. – Łgarz oparł głowę o ścianę. – Ja go wybrałem, ponieważ wiedziałem, że tak najlepiej mogę przysłużyć się moim braciom, nawet jeśli dla mnie oznacza to wieczyste potępienie. Wszyscy Przekłęci Penitenci...

– Oszczędź mi tego samobiczowania i teologicznych wywodów – warknęła Raesinia. – Gdzie jest Ionkovo? – A widząc spojrzenie Winter, wyjaśniła: – To ich przywódca, albo tak się zdaje. Nie widziałam go tutaj.

– Cień dalej walczy o sprawę Wszechmocnego na swój własny sposób. – Łgarz powiódł po nich wzrokiem. – Myślicie, że wygraliście, tak? Ponieważ pokonaliście nas w tej potyczce. Ta gra jest znacznie większa. Wasz wspaniały generał nie uratuje Vordanu, jeśli będziecie trwać w tym szaleństwie. Co wam zostanie, kiedy was zawiedzie? Tylko poddanie się Wszechmocnemu może was uratować.

– Janus będzie chciał z nim pomówić – rzekła Raesinia. – Musimy związać mu ręce...

– Nie sądzę. – Łgarz zaczerpnął tchu i powiedział wyraźnie: – Ahdon ivahnt vi, ignahta sempria.

A potem, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, poderwał dłoń do góry, wbijając długie paznokcie w miękkie ciało pod swoją brodą. Trysnęła krew, a jego następny oddech przeszedł w zduszony bulgot. Osunął się na ścianę, szeroko otwartymi oczami patrząc na coś w oddali.

– Właśnie dlatego – powiedziała Winter do całego świata – nienawidzę fanatyków. Najpierw Odkupiciele, teraz ci szaleńcy. Co jest z tymi ludźmi nie tak?

– Powinieneś wrócić do Janusa – rzekła Raesinia. – Powinien się dowiedzieć, co tu się stało.

Winter spojrzała na martwego Przekłętego Penitenta i powoli skinęła głową.

* Nieprzetłumaczalna gra słów: barely (ang.) – ledwie, zaledwie, prawie nie.

Dwadzieścia osiem

Winter

Ponieważ Raesinia nalegała, Sothe zeszła z Winter po schodach, na wypadek gdyby jacyś gwardziści zignorowali rozkaz swego dowódcy i postanowili walczyć do ostatniego tchu. Poszły schodami dla służby, prowadzącymi do kuchni, wąskimi i ciemnymi.

– No dobrze – powiedziała Winter, gdy Sothe podejrzliwie sprawdziła kolejny rząd schodów, zanim dała jej znak, że może iść dalej. – Muszę zapytać.

– Hmm? – mruknęła Sothe. Rękawy miała wilgotne od krwi z ran zadanych przez Przekłętego Penitenta, ale nie zwracała na to uwagi.

– Kiedy walczyłeś z Penitentem, pod koniec. Miałaś zamknięte oczy.

– Och. – Sothe przystanąła dziwnie zmieszana. – Zauważyłeś?

Winter skinęła głową. Sothe westchnęła i przyglądała włosy.

– Ja... tak naprawdę to zgadywałam. Walczył bardzo przewidywalnie, reagując za każdym razem tak samo na moje ruchy. Tak więc mogłam na kilka sekund zamknąć oczy, dopóki miałam inicjatywę. Gdybym próbowała robić to dłużej, zabiłby mnie.

– Ale dlaczego je zamknęłaś?

– Miałam przecucie. Poruszał się tak, jakby wcześniej ode mnie wiedział, co zrobię. Zauważyłam jednak, że kiedy musiał walczyć jednocześnie z tobą i odwrócił wzrok, nie był taki szybki. Myślę, że miał... moc czy demona, który pozwalał mu... lepiej widzieć? Lub dostrzegać więcej szczegółów. – Sothe zmarszczyła brwi. – Nie znam się na magii, ale odgadłam, że on nie patrzy w przyszłość ani nie czyta w moich myślach, tylko rozumie mowę mojego ciała. Każdy ją ma, drobne gesty, których nie uda się ukryć. Najważniejsze są oczy. Wiedziałam, że cofając się, potknie się o muszkiet, ale mógłby wyczytać to z moich oczu, więc na kilka sekund...

Winter spojrzała na nią ze zdumieniem, a Sothe tylko wzruszyła ramionami.

– Nie miałam pojęcia, czy to zadziała. Nie mogłam go pokonać w inny sposób, więc pomyślałam, że warto spróbować.

– To... – Winter pokręciła głową. – Pewnego dnia opowiesz mi, gdzie nauczyłaś się tak walczyć.

– To długa historia – mruknęła Sothe.

Związane przez nie kucharki wciąż były w kuchni, skulone w kącie. Winter zostawiła Sothe uwolnienie ich i poszła do stajni, gdzie wybrała sobie konia i uprząż. Pojechała z powrotem ulicami, cichymi po zamilknięciu dział, gdyż wiadomość już rozeszła się z hotelu. Wyprzedziła ją, szybciej niż pożar rozchodząc się po ogarniętym wojną mieście, gnając z wiatrem radosnych okrzyków i wiwatów. Jak zwykle nie znano szczegółów, ale przekazywano najważniejsze: walki się zakończyły. Winter słyszała, jak żołnierze armii Wschód wznoszą triumfalne okrzyki lub klną, że dowódcy zatrzymali ich przed ostatecznym zwycięstwem. Nawet jednak ci ostatni z wyraźną ulgą przyjęli wieść, że nie czeka ich bezładna, długa walka po ciemku, i w obozowiskach już zaczęto świętować.

Budynek Srebrnego Orła tętnił gorączkową aktywnością, gdy podjechała tam, zeskokczyła z siodła i zostawiła konia zaskoczonemu adiutantowi. Wartowniczkę z Pierwszego Dziewczęcego stały przy drzwiach, ale rozmawiały podekscytowane, zamiast obserwować ulicę, i Winter musiała odkaszląć, zanim ją zauważyły.

– Panie pułkowniku! – krzyknęła jedna i zasalutowała niezgrabnie, a druga pospiesznie otworzyła drzwi.

– Czy jest tu generał?

– Tak jest, panie pułkowniku – odparła kobieta. – A kapitan Giforte chce z panem mówić.

Abby istotnie już zauważyła Winter i szła ku niej korytarzem, omijając rzędy leżących na materacach rannych. Wyglądała na rozwścieczoną i Winter mimowolnie cofnęła się o krok.

– Hej – warknęła Abby – panie pułkowniku. Pozwoli pan na słówko, proszę?

– Muszę się zobaczyć z Janusem – powiedziała Winter.

– Pytał o ciebie. – Winter pospieszyła za odchodzącą. Abby powiedziała ściszym głosem:

– Kiedy prosiłaś mnie o wybranie drużyny do misji specjalnej, nie powiedziałaś mi, że ty też idziesz.

– Pomyślałam, że będziesz przeciwna – mruknęła Winter.

– I miałaś cholerną rację – stwierdziła Abby. – Jesteś pułkownikiem tego regimentu, a nie jakimś przeklętym szeregowcem. Nie powinnaś się przekradać tunelami za linię wroga.

– Przepraszam. Trudno to wytłumaczyć.

– Będziesz musiała wytłumaczyć to Janusowi – rzekła Abby.

Winter przyjęła te słowa z ulgą, gdyż Janus przynajmniej zrozumie powód, dla którego musiała tam pójść. To ja mam w sobie Wszystkożercę. Nie mogę posyłać ludzi przeciwko Przeklętym Penitentom, a sama zostawać na tyłach. Demon wydawał się bardziej ożywiony niż zwykle, poruszając się w jej podświadomości jak drżący mięsień, nieprzynależny do żadnej części jej ciała. Może to obfitość pożywienia tak go podnieciła.

– Uratowaliśmy królową – powiedziała Winter, gdy wchodziły po schodach na mniej zatłoczone piętro budynku. – I pojмалиśmy przewodniczącego Dyrektoriatu. Mam nadzieję, że to się liczy?

– Być może. – Nachmurzoną twarz Abby rozjaśnił uśmiech. – O tym zdecyduje generał.

– Kapitanie! – zawołał ktoś z dołu. – Kapitanie Giforte!

– Obowiązek wzywa – powiedziała Abby. – Janus urzęduje w gabinecie na końcu korytarza. Kiedy skończysz, chcę usłyszeć całą tę historię, więc bądź przygotowana.

Na piętrze znajdowały się głównie biura oddzielone cienkimi przepierzeniami. Większość była ciemna i cicha, lecz na jednym końcu korytarza paliły się lampy i Winter dostrzegła uzbrojonego w muszkiet wartownika stojącego przed drzwiami. Dobrze było wiedzieć, że Janus wreszcie zaczął poważnie traktować swoje bezpieczeństwo, nawet w przyjaznym otoczeniu. Winter podeszła tam, a wartowniczkę, kobietę, którą skądś znała, zasalutowała jej.

– Panie pułkowniku – odezwała się. – Przepraszam, ale generał kazał mi nikogo nie wpuszczać.

– Chciał jak najszybciej się ze mną widzieć – wyjaśniła Winter. – Możesz mu powiedzieć, że tu jestem?

– Mam wyraźny rozkaz, żeby mu nie przeszkadzać, panie pułkowniku.

Wartowniczkę była zdenerwowana, co Winter uznała za zrozumiałe. Nigdy nie jest łatwo

odmawiać dowodzącemu oficerowi. Posłała jej uśmiech, mając nadzieję, że jest krzepiący.

– W porządku. Zaczekam więc. – Drzwi do sąsiedniego biura były otwarte i Winter dostrzegła przez nie dwa wygodne fotele. Natychmiast dotkliwie poczuła całe zmęczenie minionych godzin i nogi ugięły się pod nią, jakby były z rozgotowanego makaronu. – Zaczekam tam. Daj mi znać, kiedy będzie gotowy.

Wartownicza miała taką minę, jakby chciała się sprzeciwić, ale nic nie powiedziała. Winter z ulgą usiadła na fotelu, zapadając się w jego miękką skórzaną tapicerkę. Skaleczenia i siniaki na całym jej ciele zaczynały dawać znać o sobie. Kąpiel, potrzebuję kąpeli. Uniosła rękę i popatrzyła na zakrwawiony rękaw. I może kilka szwów. Myślę, że Abby ma rację. Koniec z prowadzeniem oddziałów.

Odchyliła się do tyłu, lekko uderzając głową o ścianę biura. W tym momencie uświadomiła sobie, że słyszy głosy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia, stłumione, lecz zrozumiałe.

– ...czy tego chcesz? – powiedział Janus.

Winter usiadła prosto, nie chcąc podsłuchiwać, lecz drugi głos zmroził jej krew w żyłach. Nawet przez ścianę brzmiał bardzo znajomo.

– Chcę, żebyś pozwolił Winter odejść.

Jane.

– Pozwolił odejść? – powtórzył Janus. – Nie byłem świadom, że przetrzymuję pułkownik Ihernglass wbrew jej woli.

Jane prychnęła.

– Ona też tego nie wie. Tak właśnie usidlasz ludzi. Mieszasz im w głowach tak, że robią, co ty chcesz, i uważają, że to ich pomysł. Widziałam, jak to się działo z moimi dziewczynami.

– I pewnie nie dopuszczasz myśli, że słuchają mnie, ponieważ uważają, że postępują słusznie?

– Słuchają cię, ponieważ popieprzyłeś im w głowach – powiedziała Jane. – Sprytny z ciebie skurwieli, bez wątpienia. Jednak nie możesz mieć Winter.

Winter przysunęła fotel bliżej ściany, nie zważając już na nakazy przyzwoitości. Jane jest tutaj? Jak Abby mogła mi nie powiedzieć?

W następnej chwili przyszła jej do głowy odpowiedź i dreszcz przebiegł jej po plecach. Abby nie wie. Za późno przypomniała sobie, jak nazywa się wartownicza – kobieta imieniem Coin należała do Skórzanych Kurtek Jane i była jej oddana w sposób graniczący z nabożnym podziwem. Zawsze dziwiło mnie, że nie odeszła z Jane i innymi. Zapewne nie ona jedna. W Pierwszym Dziewczęćym zapewne są jeszcze inne wierne Jane, które z rozmysłem pozostały, żeby czekać na okazję do... czego?

– Pozostaje faktem – mówił Janus – że nie wierzę, aby pułkownik Ihernglass opuściła pułk, nawet gdybyś ją o to poprosiła.

– Właśnie. Zbyt głęboko wbiłeś w nią szpony. To dlatego wydasz jej rozkaz, żeby to zrobiła. Powiedz jej, że jest po wszystkim i już jej nie potrzebujesz. Niech odejdzie z wojska, a ja zajmę się resztą. Kiedy przejrzy na oczy, jeszcze mi podziękuje.

– Bardzo niechętnie straciłbym oficera o jej zdolnościach...

– Zdobyłeś stolicę – powiedziała z błagalną nutą w głosie Jane. – Możesz ogłosić się królem, jeśli tego chcesz. Już nie jest ci potrzebna.

– Kryje się za tym coś więcej. Wiesz, jak sądzę, co zrobiła w Khandarze.

– O demonie? – Jane powiedziała to, jakby chciała splunąć. – Wiem.

– Kapłani Czerni nie zostawią jej w spokoju.

– Tak mi powiedziała. Jednak mamy na to tylko twoje słowo, no nie? Może kapłani Czerni interesują się nią tylko dlatego, że jest z tobą. – Jane zamilkła na chwilę. – W każdym razie jakkolwiek jest, możemy sobie z tym poradzić. Poradziłyśmy sobie w Deslandzie, nie dzięki tobie.

– Zatem chcesz, żebym zrobił to z dobrego serca? – zapytał Janus. – Czy może ma mnie przekonać ten pistolet?

Och, na jaja pierdolonej Bestii. Winter zerwała się z fotela i zmęczenie znikło natychmiast pod falą adrenaliny. Na korytarzu Coin wciąż pilnowała drzwi gabinetu Janusa, jeszcze bardziej zdenerwowana.

– Panie pułkowniku – powiedziała – on wciąż...

– Wiem – odrzekła Winter. – Uświadomiłem sobie, że nie zabrałem notatek. Wrócę za chwilę.

Pewnym krokiem odeszła korytarzem, skręciła w bok, a potem pobiegła do głównych schodów. Pierwsze piętro było prawie puste, ale dwie szeregowce schodziły po schodach, rozmawiając i śmiejąc się. Winter złapała jedną za ramię.

– Hej... hmm, panie pułkowniku? – Zaskoczona kobieta zamarła, a jej towarzyszka zasalutowała niezgrabnie. – Co się stało?

– Idźcie i znajdźcie Abby – syknęła Winter. – Powiedzcie, żeby przysłała pół tuzina żołnierzy do gabinetu Janusa. Już. I po cichu, bez krzyków.

– Panie pułkowniku...

– Idź!

Winter puściła ją i odwróciła się, żeby wrócić korytarzem. Mijając jego załom, zwolniła i niedbałym krokiem podeszła do Coin.

– Panie pułkowniku – powiedziała młoda kobieta, gdy dochodziła do niej – może zaczeka pan na dole, a ja poślę po pana...

Winter szła dalej i Coin szeroko otworzyła oczy, o ułamek sekundy za późno pojmując, że jej dowódca nie zamierza się zatrzymać. Próbowwała zdjąć z ramienia muszkiet, lecz Winter była za blisko; doskoczyła do niej i zadała szybki, silny cios w brzuch. Powietrze ze świstem uszło z płuc wartowniczeki i upadła na podłogę, a Winter przemknęła obok niej.

Nacisnęła klamkę i odkryła, że drzwi nie są zamknięte. Bardzo wolno uchyliła je odrobinę i przycisnęła oko do szpary.

Janus stał za swoim biurkiem na drugim końcu pokoju, opierając dłonie o bibularz. Jane stała w kącie, trzymając w ręce pistolet z odwiedzionym kurkiem, wycelowany w jego pierś. Rude włosy miała w strąkach, a mundur przepocony, lecz na jej widok Winter miała chęć załamać się i wybuchnąć płaczem.

Jane, Jane, co ty, kurwa, wyprawiasz?

– Napiszesz rozkaz – instruowała generała Jane. – Potem zostaniesz tutaj, dopóki nie pokażę go Winter i nie odjedziemy. Później możesz sobie robić, co chcesz, byleś trzymał się od nas z daleka.

Coin poruszyła się, sięgając po muszkiet. Winter kopnęła ją w skroń, nabrała tchu i pchnęła drzwi. Jane odruchowo skierowała pistolet w jej stronę i wchodząca Winter przygotowała się

na uderzenie kuli. Strzał jednak nie padł.

– Kurwa! – zakląła Jane, pospiesznie znów celując do Janusa. – Święci i męczennicy, o mało cię, kurwa, nie zabiłam. Jak się tu dostałaś? Kazałam Coin...

– Jane, co ty, do diabła, robisz? – spytała Winter.

– Ratuję cię – odrzekła Jane. – Znowu.

– Pułkowniku... – zaczął Janus, ale Jane przerwała mu groźnym warknięciem.

– Jeszcze słowo, a zastrzelę – zagroziła. – Nie będziesz nią manipulował.

– To szaleństwo. – Winter zamknęła drzwi i odeszła od nich, poruszając się powoli. – Co chcesz osiągnąć, mierząc z pistoletu do Janusa?

– Szalone jest to, co on z tobą zrobił. Wykorzystywał cię cały ten czas, a ty mu za to dziękujesz. Uwikłał cię w to wszystko, umieścił demona w twojej głowie, a ty słuchasz go we wszystkim. – Jane wykrzywiła usta w gniewnym grymasie. – Nie wiem, jak on to robi, ale to się musi skończyć, choćbym miała sama to zakończyć.

– Odłóż broń, Jane.

– Co on dla ciebie zrobił? – nie ustępowała Jane. – Co zrobił dla kogokolwiek z nas, żeby domagać się nieustannych poświęceń...

– Janus uratował mi życie, niejednym raz – przerwała jej Winter. – Bez niego wszyscy zginęlibyśmy na pustyni...

– Bez niego nie bylibyście na tej pustyni! Bez niego to wszystko by się nie zdarzyło! – Jane miała łzy w oczach. – W końcu wszystko szło dobrze. Te lata po pani Wilmore były złe, ale w końcu wszystko zaczęło iść dobrze, a wtedy zjawia się ten skurwiel i wszystko niszczy. Moje dziewczęta idą pod armatnie kule, dają sobie ucinać ręce i nogi tępymi nożami i jeszcze mu za to dziękują.

– To moja wina – powiedziała Winter. Zrobiła następny krok naprzód, podnosząc rękę. – To ja przysłałam do Skórzanych Kurtek.

– Bo cię do nas przysłał! Myślisz, że coś go, kurwa, obchodzi los twój, mój czy innych? Potrzebował nas, więc wykorzystał cię, żeby dostać to, co chciał.

– To ty je namówiłaś, żeby się zaciągnęły – warknęła Winter.

Nie powinna była tego mówić, gdyż to w niczym nie pomogło, ale nie mogła się powstrzymać.

– Ponieważ we mnie też wbił swe szpony – odparła Jane. – Długo trwało, zanim znalazłam wyjście. Jednak teraz już jestem wolna i ty też będziesz. – Zniżyła głos, prawie do szeptu. – Chodź ze mną, Winter. Jak najdalej od tego, od wojska, od wszystkiego. Tylko ty i ja, tak jak zawsze powinno być. Proszę. Proszę.

Winter miała wrażenie, że coś w niej pęka.

– Nie mogę – szepnęła. – Wiesz, że nie mogę.

– Kocham cię, Winter. Najbardziej na świecie. Proszę.

– Nie... – Winter nie była w stanie nic wykrztusić przez ściśnięte gardło.

Jane, wciąż celując z pistoletu w Janusa, spoglądała na nią i Winter zobaczyła, że jej spojrzenie twardnieje. Wyglądała tak jak tamtej nocy, gdy schwytali Krwawego Cecila i Winter ledwie zdołała ją powstrzymać przed zabiciem więźnia. Szalona Jane.

– Kurwa – zakląła pod nosem. – No dobrze. Nowy plan. Zabiję tego skurwiela i wywieziemy cię stąd, żeby przeszło ci to, co ci zrobił.

– Jane, nie.

– Dlaczego nie? – Głos Jane brzmiał teraz piskliwie, na granicy hysterii. – Jest zdrajcą, no nie? Widziałam oficjalną deklarację rządu. Byłabym bohaterką.

Winter zrobiła długi krok, stając przed biurkiem, na linii strzału. Jane spojrzała jej w oczy. Dłoń, w której trzymała pistolet, zadrżała. Zapadła długa chwila ciszy.

– Dlaczego? – szepnęła Jane. – Dlaczego zrobiłabyś to dla niego?

– Ponieważ odpowiadam za żołnierzy z mojego pułku. Za resztę armii. Za wszystkich. Potrzebujemy go. Vordan go potrzebuje.

– Nigdy nie wierzyłaś w te bzdury o zaszczytnej śmierci za króla i ojczyznę – przypomniała Jane. – Śmiałyśmy się z tego w więzieniu, czytając te stare książki! To Vordan nas tam umieścił. To Korona pozwoliła na moje „małżeństwo” z Ganhidem, pozwoliła, żeby ten pierdolony brutal gwałcił mnie co noc. Chcesz wiedzieć, co mi robił?

– Zabiłaś go, prawda? – Winter zaczęła widzieć Jane w zupełnie nowym świetle.

– Oczywiście, że go, kurwa, zabiłam – odparła Jane. – Spaliłam go żywcem i śmiałam się przy tym. Potem poszłam do pani Wilmore i poderznięłam gardło tej starej kurwie jak pierdolonej świni. Gdybym mogła, kazałabym ich gwałcić raz za razem, za każdą dziewczynę, którą sprzedali jakiemuś staremu skurwielowi...

– Jane, przestań. – Winter czuła, że łzy stają jej w oczach. – Proszę.

– Nie udawaj świętoszki – prychnęła Jane. – Zabiłaś sierżanta Davisa, czyż nie? I Bóg wie ilu innych, ludzi, za których jesteś „odpowiedzialna”, a wysyłasz ich na śmierć, kiedy Janus wydaje rozkaz, no nie? Nie waż się prawić mi morałów.

– Po prostu... przestań.

– Gdybym była na twoim miejscu, rzuciłabym to wszystko. Wiesz o tym, prawda? Zrezygnowałabym ze wszystkiego dla ciebie.

– Wiem. – Winter oddychała z trudem. – Jednak ja nie mogę.

Zamilkły. W ciszy Winter usłyszała tupot butów na korytarzu i podniesione głosy. Dłoń Jane drżała i lufa pistoletu się chwiała.

– Powinnam była wiedzieć – powiedziała Jane. – Gdybyś kochała mnie tak jak ja ciebie, zabiłabyś pierdolonego Ganhide’a, kiedy kazałam ci to zrobić.

Drzwi otworzyły się z impetem. Palec Jane nerwowo szarpnął spust.

Już dwukrotnie Winter spoglądała w lufę pistoletu, wiedząc, że zaraz umrze. Za pierwszym razem uratowała ją nieudolność zauszników Davisa. Za drugim, pod Vendre, ocaliła ją Sothe. Tym razem...

... kurek opadł, krzesząc skry...

...proch na panewce zapalił się, zasyczał i buchnął dymem...

...i to wszystko. Broń nie wypaliła.

Łut szczęścia.

Osunęła się na kolana, nic nie widząc przez łzy. Gdy żołnierze wpadli do pokoju i Janus zaczął wydawać rozkazy, ona jak z oddali słyszała tylko histeryczny śmiech Jane.

Dwadzieścia dziewięć

Raesinia

Ponieważ hotel Ancerre zajmowały oddziały Janusa, Sothe zarekwirowała apartament w Grandzie dla pospiesznie „wracającej” z wygnania na wsi królowej.

Był to ten sam hotel, z którego kiedyś spoglądała na Giełdę i obserwowała, jak Cora doprowadza do ruiny jeden z najpotężniejszych borelgajskich domów bankierskich, wykorzystując jedynie plotki i magiczny głos Dantona Aurenne’a. Obecnie jedzenie i obsługa nie były już takie jak dawniej, gdyż wojna najwyraźniej zrobiła swoje, ale przynajmniej było mnóstwo wina.

Rozlokowanie armii Wschód tak, by kontrolowała stolicę i strzegła jej przed ewentualnymi atakami twarogłowych zwolenników Dyrektoriatu, zajęło większość dnia, tak więc Raesinia miała czas posłać do Ohnei po trochę swoich rzeczy. Co oznaczało, że mogła chociaż przyjąć Janusa w stroju królowej, a nie chłopczycy-rewolucjonistki. Wybrała suknię nieco mniej skromną, niż nosiła dotychczas, wciąż w żałobnym czarnym kolorze ze względu na pamięć ojca, ale ze srebrnymi akcentami i odrobiną koronki. Sothe, z bandażami starannie ukrytymi pod elegancką kreacją, pomogła jej się ubrać bez komentarzy.

Teraz, czekając w jadalni obok ogromnego i pustego stołu, nagle poczuła zdenerwowanie. Janus nigdy nie dał jej powodu do podejrzeń, że może nie być oddanym sługą Korony, lecz mógł teraz robić, co chciał – przynajmniej przez jakiś czas.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi i usłyszała głos hotelowego lokaja.

– Wasza Królewska Mość, przybył generał Vhalnich.

– Wpuść go – poleciła Raesinia.

Ku jej zdziwieniu Janus był sam, bez zwykłej świty złożonej z gwardii przybocznej i adiutantów. Miał na sobie galowy niebieski mundur vordanajskiego żołnierza oraz szkarłatny mierantajski płaszcz i szpadę u boku. Lokaj, w olśniewającej liberii hotelowej, szedł tuż za nim.

– Czy Wasza Królewska Mość czegoś potrzebuje? – zapytał.

– Nie – odrzekła Raesinia. – Dopilnuj, żeby nam nie przeszkadzano.

– Oczywiście.

Lokaj skłonił się i odszedł. Na skinienie Raesinii Janus przeszedł przez foyer i stanął przed nią w jadalni. On również się skłonił, bardzo nisko.

– Wasza Królewska Mość – rzekł. – Nie potrafię wyrazić, jak dobrze jest widzieć cię w dobrym zdrowiu.

Szukała na jego twarzy choć odrobiny szyderstwa, lecz nie znalazła. A przecież jak mało kto wiedział, że nie trzeba martwić się o jej zdrowie.

– Pana również, generale – odrzekła Raesinia. – Usiądź, proszę. Przepraszam za brak gościnności, ale pomyślałam, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy.

Byli sami w wielkim apartamencie. Sothe już wcześniej odprawiła całą służbę, a potem sama też wyszła sprawdzić, czy środki ostrożności podjęte przez Janusa są wystarczające. Mierantajscy strażnicy przemierzali korytarze, a żołnierze armii Wschód w niebieskich

mundurach stali na warcie przy drzwiach i schodach.

– Przyda mi się chwila wytchnienia od nieustannego napychania przekąskami – powiedział Janus, zajmując krzesło naprzeciw niej. – Chyba wszyscy w Vordanie chcą mnie zaprosić na biesiadę. Czasem mam wrażenie, że tuczą mnie na rzeź.

– Są wdzięczni – rzekła Raesinia. – Ja też jestem wdzięczna. Powiem to oficjalnie oczywiście, ale chcę, żeby pan wiedział, że prywatnie też jestem wdzięczna. Pan i pańska armia uwolniliście miasto od Mauriska i kapłanów Czerni, a mnie przed Bóg wie jakim losem.

– Pułkownicy d'Ivoire i Ihernglass bardzo się do tego ostatniego przyczynili – rzekł Janus. – Szczerze mówiąc, przybyłem za późno, żeby na coś się przydać.

– Oczywiście im również przekażę moje podziękowania. – Przechyliła głowę. – Zdoła pan odzyskać Tysiąc Imion?

– Och tak. Rzeka w tym miejscu ma niecałe pięć metrów głębokości, a prąd nie zdoła znieść stalowych tablic. Wyciągnięcie ich nie powinno długo potrwać.

– To dobrze. – Raesinia zamilkła, usiłując zdecydować, jak poruszyć najważniejszy temat. Widocznie z jej twarzy dało się wyczytać to niezdecydowanie, gdyż przez twarz Janusa przemknął uśmiech krótki jak letnia błyskawica.

– Chcesz wiedzieć, co zrobię ze stolicą – powiedział – kiedy już ją zdobyłem.

– To pytanie przyszło mi do głowy – odparła z dziwną ulgą Raesinia. Poczuli się zaskakująco wolna, choć tak bezsilna. Nie miała armii, oddanych zwolenników, niczego, co mogłoby się równać z wielotysięczną armią gotową maszerować na rozkaz Janusa. Tylko dokąd?

– Zjazd Generalny nie może się pozbierać po rozwiązaniu Dyrektoriatu – podjęła. – Maurisk aresztował większość pracowników ministerstwa wojny i teraz ich uwolniono, ale wydaje się, że nikt tam nie ma pojęcia, co robić.

Giles Durenne był jedną z ostatnich ofiar Kolca. Jego zastępca, kapitan Robert Englise, próbował utrzymać na chodzie tę podstawową logistyczną strukturę, jaką było ministerstwo, ale nie było to łatwe zadanie.

– Sytuacja jest niejasna – przyznał Janus. – Myślę, że w tym momencie kraj potrzebuje silnej ręki, która nim pokieruje.

Zatem nadeszła ta chwila. Koniec dynastii Orboanów, moment, gdy Janus z generała mianuje się królem. Ciekawe, co zrobi ze mną.

– Ja... nie przeczę – odparła ostrożnie. – Jednak...

– Proszę pozwolić mi powiedzieć to jasno, Wasza Królewska Mość. – Janus położył dłonie na stole. – Nie zasiądę na tronie. Nie tylko byłoby to sprzeczne z każdą przysięgą, którą złożyłem jako oficer i szlachcic, ale po prostu tego nie chcę. – Wskazał na swój mundur. – Wojna jest tym, na czym się znam i co mnie interesuje. Po przywróceniu pokoju chcę się... wycofać.

Raesinia zamrugła.

– Zatem co zamierzasz zrobić teraz?

– To, co przysiągłem twojemu ojcu. I to, co ci obiecałem przed rewolucją. – Znow błysnął zębami w uśmiechu, który pojawił się i znikł. – Zamierzam wygrać tę wojnę i uczynić cię taką królową, jaką chciałby zobaczyć twój ojciec.

Marcus

Rozległo się pukanie do drzwi. Marcus odłożył egzemplarz jednej z na nowo wychodzących gazet – czytał akurat dość ponury opis bitwy pod Jirdos – i poprawił się na łóżku. Udo bolało go okropnie przy każdym ruchu, a skóra pod grubymi bandażami swędziała, co było chyba jeszcze gorsze.

– Tak? – powiedział.

– Zastanawiałem się – usłyszał głos Janusa – czy mógłbyś mi poświęcić kilka minut.

– Och! Proszę wejść, generale.

Drzwi się otworzyły i generał wszedł. Marcus z lekkim zdziwieniem zobaczył, że Janus ma na sobie galowy mundur, który nosił na spotkaniach gabinetu przed rewolucją.

Zasalutował najlepiej jak mógł, siedząc na łóżku.

– Przepraszam, że nie stanę na baczość, generale – powiedział – ale...

Janus niedbale machnął ręką.

– Wystarczy. Jak się czujesz?

– Nie tak źle jak przedtem. – O mało nie przegryzł knebla, kiedy chirurg wyjmował ten kawałek metalu z jego uda. – Doktor profesor Haartgen twierdzi, że gdyby rana miała się jątrzyć, to już by się stało, tak więc prawdopodobnie zachowam nogę. Mówi, że mogę trochę utykać, ale zważywszy na okoliczności, mogę się uważać za szczęściarza.

– Miło mi to słyszeć.

Janus wziął krzesło z drugiego końca pokoju i postawił je obok łóżka, po czym usiadł, uważając, by nie zaplątać płaszcza czy ozdobnej szpady u boku. Znów byli na uniwersytecie, co Marcus uważał za lekko niepokojące po tym, co się stało, ale Haartgen uparł się, że tu jest lepsze wyposażenie. Marcus musiał przyznać, że jest mu wygodniej niż na pryczy w zamienionym na prowizoryczny szpital biurowcu, gdzie umieszczono większość rannych, aczkolwiek ogromne i rozbrzmiewające echemi puste sale świadczyły jak niewielu studentów wróciło w te mury.

– Dobrze pana widzieć, generale – rzekł Marcus.

– I wzajemnie – odparł Janus. – Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej, ale sytuacja jest... niepewna, jak łatwo można sobie wyobrazić. I obawiam się, że nie mogę zostać długo.

– Rozumiem, generale. – Marcus znał najświeższe wiadomości jedynie z plotek, pogłosek i historycznych artykułów w gazetach, ale jakoś poskładał je w całość. – Sądzę, że należą się panu gratulacje.

– Pewnie tak. Za godzinę mam się stawić przed Zjazdem Generalnym, który przegłosuje... cóż, formalności są dość skomplikowane. Uczni od prawa przez całą noc przeglądali precedensy.

– Oddają panu władzę – domyślił się Marcus.

– Mniej więcej. – Janus spuścił głowę, trzymając dłonie na podolku. – Dyrektoriat został formalnie rozwiązany. Królowa i ja wynegocjowaliśmy...

Zamilkł. Marcus zmarszczył brwi.

– Czy coś się stało, generale?

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o polityce – odparł Janus. – Chciałem... czułem, że powinienem przeprosić. Uważam, że nie byłem wobec ciebie w porządku.

– Generale? – Marcus potrząsnął głową. – Jeśli już, to ja powinienem przeproszać. Zostawił mnie pan tutaj, żebym chronił królową i Tysiąc Imion, a ja je straciłem.

– Dałem ci niewykonalne zadanie – odparł Janus. – Miałem nadzieję, że zdołam utrzymać w tajemnicy miejsce ukrycia Imion, lecz patrząc z perspektywy, jest oczywiste, że kapłani Czerni mają nadzwyczajne sposoby zdobywania informacji. Z takimi siłami, jakimi dysponowałeś, nie mogłem oczekiwać, że stawisz czoło Przeklętym Penitentom.

Marcus pokręcił głową, nie wiedząc, co powiedzieć. W głębi duszy żywił takie samo przekonanie, ale odkrył, że nie może tego zdradzić Janusowi.

– A jednak – ciągnął generał – naprawdę stawiliś im czoło. Słyszałem o waszym ataku na ognistego demona i widziałem ładunki podłożone przez Gwardię Patriotyczną. Tysiące moich żołnierzy zawdzięcza ci życie.

– Miałem wielu pomocników – rzekł Marcus. – To Raesinia... to znaczy królowa, tak naprawdę przejęła dowodzenie. A akcja udała się dzięki Sothe, Andy i innym. Skórzanym Kurtkom i uchodźcom. – Przełknął ślinę. – Zginęło przy tym wielu dobrych ludzi.

– Zginęło bardzo wielu ludzi – sprostował Janus – zarówno dobrych, jak złych, żebyśmy zaszli tak daleko. Jednak to jeszcze nie koniec.

– Nadal toczymy wojnę – przypomniał Marcus.

– Spodziewam się, że Hamveltajczycy poproszą o pokój, a reszta Ligi pójdzie w ich ślady. Zawsze mieli najmniej serca do walki, a od kiedy Antova i Desland są w naszych rękach, mają niewielkie możliwości ataku. Jednak Borel i Murnsk jeszcze nie podjęły walki, a zwłaszcza cesarz dopiero zaczął zbierać swe siły. – Janus milczał chwilę. – Jednak nie to jest najważniejsze. Królowa mówi mi, że znasz jej tajemnicę.

Marcus skinął głową.

– Ma w sobie demona.

– Tysiąc Imion może w końcu dostarczyć klucz do rozwiązania tego problemu. Jednak kapłani Czerni nie zechcą zawrzeć pokoju, nie teraz. Wiedzą, że mamy Imiona i że na tronie Vordanu zasiada osoba o demonicznych zdolnościach. Wiary nie można zniszczyć kulami armatnimi.

– Zatem jak ich pokonamy?

– Musimy wejść do Elizjum – odrzekł Janus. – Musimy zdusić ich potęgę u samego źródła, inaczej nigdy nie zaznamy pokoju.

– Elizjum. – Marcus spojrział ze zdumieniem. – Pan... oczywiście, że mówi pan poważnie. Jak zawsze. Jednak...

– Rozumiem zastrzeżenia – powiedział Janus, uciszając go uniesioną dłonią. – Elizjum leży w głębi imperium Murnska, otoczone cesarskimi armiami i morzem wrogich nam fanatyków. To miasto twierdza, które nigdy nie zostało zdobyte, nawet podczas Wojen Demonów, kiedy Kościół Zaprzysiężenia był młody. I pełno tam takich stworów jak ten, z którym walczyliście na Zielonej Drodze.

– To chyba doskonałe podsumowanie sytuacji, tak – rzekł Marcus. – Zatem jak tam wejdziemy?

Przelotny uśmiech przemknął po twarzy Janusa.

– Tak samo, jak weszliśmy wszędzie, pułkowniku. Krok za krokiem. – Jego oczy skrzyły się, ale twarz znów spoważniała. – Chciałem zapytać, czy jest pan ze mną. Po tym, co się tu stało, nikt nie miałby panu za złe, gdyby chciał pan odejść, a już najmniej ja. Mogę załatwić panu jakąś synekurę lub przejście w stan spoczynku, co pan woli.

– Ja...

Marcus pokręcił głową.

Zawsze uważał się za wiernego Koronie i ojczyźnie, ale było to niejasne, niesprecyzowane uczucie, przytłoczone pilniejszymi sprawami. W Khandarze walczył, żeby przeżyć, choć wydawało się, że szanse na to są niewielkie. Wrócił z Janusem do kraju, a kiedy wybuchła rewolucja, kierowało nim głównie poczucie obowiązku wobec ludzi pod jego komendą, Strażników, którymi dowodził.

Teraz Janus był gotów uwolnić go od wszelkiej odpowiedzialności. Jednak choć koncepcja ojczyzny wydawała się bardziej niejasna niż kiedykolwiek – gdyż Marcus nie wiedział już, czym naprawdę jest Vordan – to królowa stała się bardzo konkretną postacią. Nie jakimś abstrakcyjnym pojęciem, władczynią, której obronę nakazywał mu honor i złożone przysięgi. Była niską, śliczną kobietą skora do uśmiechu, która nosiła zabawne chłopięce spodnie, ilekroć miała okazję, nigdy nie słuchała dobrych rad i głęboko przeżywała cierpienia tych, którzy zostali zranieni, próbując ją chronić. Została przemocą umieszczona w tym świecie demonów, Przeklętych Penitentów, i za to, że przeżyła, kapłani Czerni chcieli na wieczność zamknąć ją w lochu.

Marcus pragnął ją chronić. Jednak najlepszym miejscem do tego było pole bitwy.

– Jestem z panem, generale – rzekł. Jakby kiedykolwiek były co do tego jakieś wątpliwości. Zastanawiał się, czy Janus wiedział z góry, co on odpowie, i pytał tylko dla formalności. – Czy jednak mogę o coś prosić?

– Oczywiście – odparł generał.

– Koniec ze skradaniem się po ciemnych zaułkach. Proszę dać mi dowodzić w polu. Batalion dobrych żołnierzy. – Marcus rozłożył ręce, jakby obejmował całe miasto. – Mam dość takiej wojny.

– Myślę, że znajdę coś znacznie lepszego niż batalion – uspokoił go Janus. – Armia wkrótce pójdzie na zimowe kwatery, co da czas na potrzebny odpoczynek i okazję do reorganizacji. Znajdę jakieś stanowisko godne pańskich talentów.

– Dziękuję, generale.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Czy są jakieś wieści o Aleku Giforte'em lub Kaznodziei?

– Rad jestem, mogąc powiedzieć, że obaj mają się dobrze. Kapitan Giforte zabrał swoich ludzi w głąb lasu i zdołał się wymknąć ścigającej ich Gwardii Patriotycznej, aczkolwiek prosił mnie o przekazanie jego ubolewania, że nie mógł być bardziej pomocny. Kapitan Vahkerson jeszcze czekał na proces o zdradę, kiedy zajęliśmy więzienie Dyrektoriatu. Najwyraźniej gdzieś się zapodziały jego akta.

– Miło mi to słyszeć, generale. Obaj byli ogromnie pomocni.

Janus skinął głową i wstał, wygładzając płaszcz, który zakrył szpadę.

– Cóż. Muszę wziąć udział w uroczystości, a pan musi odpocząć. Przekażę pańskie wyrazy uszanowania królowej. Nawiasem mówiąc, często o pana pyta.

– Proszę jej podziękować w moim imieniu. – Marcus się zawahał. – Za... wszystko.

– Podziękuję.

Janus odwrócił się i odszedł, w powiewającym za nim czerwonym płaszczu.

Raesinia

Zjazd Generalny nie szczędził pieniędzy. Raesinia odgadła, że jednym z powodów była chęć ukrycia własnej bezsilności. Po rozwiązaniu Dyrektoriatu i rozpuszczeniu Gwardii Patriotycznej oraz wobec popularności bohaterskiego generała legislatura nie mogła się przeciwstawić żądaniom Janusa i dobrze o tym wiedziała. Chcąc zapewnić sobie poczucie własnej ważności, rozpoczęli gorączkowe przygotowania do pompatycznej ceremonii. W dawnej katedrze Zaprzysiężenia pojawił się tłum rzemieślników naprawiających, wymieniających i czyszczących, aż każdy element snycerki błyszczał, a każdy rzeźbiony święty zdawał się ożywać.

Teraz, gdy walki się zakończyły, wielcy i wpływowi znów napływali do stolicy, chcąc jak najszybciej znów przyssać się do państwowego cycka. Na placu przed katedrą powozy stały w czterech rzędach, a żołnierze armii Wschód utworzyli żywy kordon powstrzymujący tłumy. Królewski orszak jednak przepuszczono bez kolejki i stangret zatrzymał karetę na wprost głównych drzwi, w zarezerwowanym miejscu pilnowanym przez dwie kobiety w niebieskich mundurach. Obok czekała kobieta w randze kapitana, a kolejna przystawiła wyłożone dywanem schodki, które pozwoliły Raesinii wysiąść bez zeskakiwania.

– Wasza Królewska Mość – powiedziała kapitan, salutując.

– Kapitanie – rzekła Raesinia.

– Czy mogę powiedzieć, jaka jestem zaszczycona, że Wasza Królewska Mość wybrała nasz batalion jako swoją eskortę?

– Wydawało się to najwłaściwsze – odrzekła Raesinia. – Czy jest tu pułkownik Ihernglass?

– Obawiam się, że nie, Wasza Królewska Mość – odparła kapitan, lekko marszcząc brwi. – Pułkownik... odpoczywa.

– Zrozumiałe. Czy mogę zatem spytać o pani nazwisko?

– Kapitan Abigail Giforte. – Dziewczyna znów zasalutowała, a potem wyciągnęła rękę. – Wasza Królewska Mość pozwoli za mną?

Gdy wchodziły do środka, szeregowie maszerowały za nimi. Inni żołnierze utworzyli szpaler, a za nimi zebrała się śmietanka Vordanu, żeby gapić się na młodą królową. Raesinia od razu przypomniała sobie dawne nawyki: szła sztywno wyprostowana i nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego, tak jak nauczyły ją guwernantki. Daj im się gapić. Po to tutaj jesteś. Nie wysyłaj żadnych sygnałów, których nie chcesz wysłać. Wpajano jej to tak długo, że stało się instynktowne.

– Zatem służysz pod rozkazami pułkownika Ihernglassa? – zapytała Raesinia, majestatycznie podążając długą nawą.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Dowodzę Pierwszym Dziewczęcym... to znaczy pierwszym batalionem trzeciego pułku liniowego.

– Bardzo wiele zawdzięczam twoim ludziom... twoim żołnierzom.

Kapitan skłoniła głowę.

– Będą zaszczytzeni, słysząc to, Wasza Królewska Mość.

Przed nimi był wielki łuk, a za nim główna sala. Kiedy Raesinia była tu ostatnio, katedra była zdemolowana, ale Zjazd Generalny wyremontował swoje miejsce posiedzeń i niemal nie zostawił żadnego śladu jego oryginalnego sakralnego przeznaczenia. Dwa rzędy ław pod ścianami były przeznaczone dla deputowanych, natomiast galeria dla gości znajdowała się tam, gdzie niegdyś był ołtarz i ambona. Między nimi stała teraz mównica, ustawione na

marmurowym postumencie podium z polerowanego drewna, na którym było miejsce dla pięciu lub sześciu osób. Sothe już tam była, wraz z czterema kolejnymi kobietami w niebieskich mundurach. Ochmistrzyni Raesinii dygnęła przed nadchodzącą panią, po czym nachyliła się, żeby szepnąć jej coś do ucha.

– Sprawdziłam każdy centymetr tego miejsca, gdybyś się niepokoiła.

– Tym razem nie ma żadnych bomb? – równie cicho spytała Raesinia.

– Tylko kilka szurów.

Na polecenie Raesinii żołnierzami stojącymi obok niej na mównicy były te cztery, które przeżyły akcję w hotelu Ancerre. Andy, sztywna jak deska, wydawała się bliska paniki, gdy skupiły się na nich spojrzenia wszystkich obecnych. Joanna, z jedną ręką wciąż owiniętą bandażem, zdawała się ze spokojem znosić te oględziny, ale wciąż ukradkiem zerknęła na swoją mniejszą towarzyszkę – Barely czy może Barley, Raesinia nie była pewna, a nie wiedziała, jak o to uprzejmie zapytać – która z kolei miała obandażowaną głowę. Vicky, ostatnia z nich, miała elegancko skrojony mundur, połączoną szablę oraz bardzo zmieszana minę.

Nowym przewodniczącym Zjazdu Generalnego był ponadosiemdziesięcioletni kapłan Wolnego Kościoła z Essyle, uśmiechnięty, choć nieco zapominalski człowiek, którego największą zaletą było to, że jako zupełnie nieliczący się polityk był przez wszystkie partie uważany za bezpiecznego kandydata. Teraz przydreptał do podium, złożył niski ukłon Raesinii, a potem znów się wyprostował, choć z jakimś trudem. Ulokowawszy się za podium, odchrząknął i lekko zachrypniętym głosem rzekł:

– Ogłaszam sto osiemdziesiąte posiedzenie Zjazdu Generalnego Vordanu za otwarte.

Mówił coś jeszcze, o procedurach i tym podobnych rzeczach, lecz jego słowa utonęły w owacjach. Deputowani po obu stronach nawy wstali, oklaskując Raesinię, siebie samych lub Vordan jako taki. Przewodniczący nadal mówił, nie zważając na to, że nikt go nie usłyszy, a tłum zaczął milknąć, dopiero gdy kończył przydługi wstęp.

– Na początku dzisiejszego posiedzenia – rzekł przewodniczący – nasza uwielbiana władczyni, królowa Raesinia Orboan, przybyła wygłosić przemówienie. Wasza Królewska Mość?

– Dziękuję – powiedziała Raesinia.

Sothe, efektywna jak zawsze, dyskretnie podstawiała za podium stopień, na którym Raesinia mogła stanąć, żeby wydać się wyższa. Zajęła miejsce na tej grzędzie i spojrzała na morze twarzy, deputowanych w ich łóżach i balkony pełne widzów oraz salę zatłoczoną tymi, dla których zabrakło miejsc siedzących. A za nimi był naród, czekający na gazetki, które poniosą jej słowa setki mil stąd.

To dobrze, pomyślała, że nie mam tremy. Ostrożnie oderwała dłonie kurczowo zaciśnięte na krawędzi mównicy i zaczęła przemawiać.

Było to dobre przemówienie – nie jej najlepsze, ale jako mówczyni Raesinia nie była Dantonem Aurenne'em. Cudowna akustyka katedry niosła jej słowa do każdego zakątka ogromnej sali i zagłuszała szmer rozmów w tłumie. Raesinia podziękowała deputowanym za ich wysiłki, co wywołało kolejną burzę oklasków, a zabitym i rannym żołnierzom za ich poświęcenie, co skwitowano należycie poważną ciszą. Wyrecytowała obowiązkowe formułki o nadziei na pokój i pomyślność – czy jakiś władca chciał kiedyś katastrof i nieszczęść? –

jednocześnie zapewniając o woli odparcia inwazji.

Realizowała scenariusz, a słuchacze kiwali głowami, jak koneserzy w teatrze na dobrze znanej sztuce, wychwytyjący wszelkie niuanse spektaklu. Mówiła pewne rzeczy, ponieważ zapamiętano by, gdyby ich nie powiedziała. Wybiegła myślami naprzód, do końca przemówienia, który był najistotniejszy. Większość słuchaczy już wiedziała lub odgadła, co się zdarzy, ale ona musiała powiedzieć te słowa, żeby stały się rzeczywistością. Jakbym była czarodziejką, pomyślała i z najwyższym trudem powstrzymała chichot.

– Wydarzenia kilku ostatnich miesięcy – powiedziała, zmierzając do sedna sprawy – jasno dowiodły, że vordanajska armia potrzebuje jednej silnej ręki, jednej woli, która wykuje z niej miecz godzący w serca wrogów naszego królestwa. Nie może być więcej oskarżeń o zdradę ani zwaśnionych generałów. Mój ojciec, gdyby żył, sam podjąłby się tego zadania.

Tylko że kiedy to zrobił, pomyślała Raesinia, rezultat był katastrofalny. Jej ojciec był wspaniałym i odważnym człowiekiem, ale nie miał żadnych talentów wojskowych.

– Mamy jednak nową erę – ciągnęła. – Vordan ma konstytucję, a prawdziwą i najwyższą władzę sprawuje lud reprezentowany przez swych deputowanych do tego zgromadzenia. Władca nie może dowodzić wojskami, w przeciwnym razie byłby skłonny ignorować wolę wybranych przez lud przedstawicieli. Lecz nie możemy pójść błędną drogą Dyrektoriatu i siłą wprowadzać w cywilnych sprawach żelazną wojskową dyscyplinę. Odpowiedź znalazłam w historii. Starożytne republiki Starego Wybrzeża mądrze rozwiązały tę kwestię, jak i wiele innych. W obliczu groźby wojny lub innej katastrofy wyznaczały jednego przywódcę najlepiej potrafiącego uporać się z danym problemem, człowieka, który usuwał się w cień po rozwiązaniu kryzysu. Dzisiaj proszę Zjazd Generalny o pójście za ich przykładem i mianowanie hrabiego generała Janusa bet Vhalnicha Mierana pierwszym konsulem królestwa Vordanu!

Nieźle, pomyślała, gdy wybuchły brawa. Ten fragment o konstytucji – która praktycznie nadal istniała jedynie w ogólnym zarysie – z pewnością musiał zostać dobrze przyjęty przez ludzi, którzy w większości odpowiadali za jej uchwalenie. Podkreślając ograniczenia nowego stanowiska konsula, a nie związaną z nim ogromną władzę, ułatwiła zaakceptowanie tej propozycji w mieście, które tak niedawno pozbyło się krwawego tyrana.

Tytuł konsula był pomysłem Raesinii. Miał historyczne konotacje, wiązał się z wielkimi ludźmi, którzy bezinteresownie pracowali dla swej republiki, a potem usuwali się w cień. A Vordan naprawdę potrzebował Janusa mającego praktycznie nieograniczoną władzę, jeśli miał mieć jakieś szanse, gdy dotrą doń liczne, powoli nadciągające legiony Murnska, a Borel wciąż utrzymuje blokadę portów.

Teraz pojawił się sam Janus, w nienagannym niebieskim mundurze i czerwonym płaszczu swojego rodzinnego okręgu. Szedł nawą pomiędzy deputowanymi, eskortowany przez czterech mierantajskich ochotników w czerwonych mundurach i z długimi karabinami na ramionach. Zatrzymali się, wyprężyli na baczność i zasalutowali, podczas gdy Janus przeszedł jeszcze kilka kroków, a potem przyklęknął.

– Hrabio Mieran – powiedziała Raesinia. – Jeśli Zjazd Generalny spełni moją prośbę, czy będziesz pełnił stanowisko konsula tak długo, jak będzie to konieczne?

– Będę, Wasza Królewska Mość – rzekł Janus, a jego zwykle cichy głos rozszedł się po całej sali.

– I czy przysięgasz, na swój honor wykorzystać nadaną ci władzę wyłącznie do obrony Vordanu i w jego interesie?

– Przysięgam, Wasza Królewska Mość.

– I czy przysięgasz, że po szczęśliwym zakończeniu wojny zrezygnujesz ze swego stanowiska i oddasz się pod rozkazy tego zgromadzenia, które sprawuje pełnoprawną władzę?

– Przysięgam, Wasza Królewska Mość.

– Zatem przedkładam moją propozycję Zjazdowi Generalnemu – powiedziała Raesinia, zwracając się do przewodniczącego. – Domagam się głosowania.

Cofnęła się, a staruszek znów zajął miejsce na podium, żeby zachować pozory. Rzecz jasna to głosowanie było tylko formalnością. Nawet gdyby oddziały Janusa nie stacjonowały w stolicy, ulica nie wyobrażała sobie, żeby ich bohater nie miał dowodzić wszystkimi wojskami Vordanu. Deputowani już raz zakosztowali gniewu ludu, nie oddając dowodzenia Janusowi, wątpiła więc, by któryś z nich chciał powtórki.

Jednak patrząc na niego, Raesinia poczuła nagły przyptyw zwątpienia. To była słuszna decyzja i żadnej innej nie mogła podjąć, ale nagle doznała okropnego wrażenia, że stanęła na skraju przepaści i zrobiła krok naprzód. Janus spoglądał na nią tymi szarymi, wielkimi i jasnymi oczami, i po jego twarzy przemknął przelotny uśmiech.

Strzeż się Vhalnicha, powiedział Duch. On ma swoje plany.

Epilog

Cień

Kiedy strażniczka się odwróciła, Adam Ionkovo wyskoczył z cienia i z najcichszym szmerem skórzanego stroju ocierającego się o kamień wylądował na płytach posadzki. Kobieta w niebieskim żołnierskim mundurze i z muszkietem na ramieniu nadal patrzyła w kierunku schodów, słuchając stłumionych odgłosów rozmowy w znajdującej się wyżej wartowni.

Pilnowała cel pod Strażnicą, dawną siedzibą Straży, gdzie armia Wschód Janusa trzymała ważnych więźniów. Piętro niżej przebywał Maurisk z resztą Dyrektoriatu, wraz z innymi zdrajcami, którzy zostali zgarnięci lub sami się poddali. Natomiast ten poziom podziemi nie był używany z wyjątkiem tej jednej celi.

Zaledwie parę kondygnacji niżej był przetrzymywany Ionkovo, kiedy prowadził swoją grę z d'Ivoire'em. Przeklęty Penitent dostrzegł zabawny aspekt tej sytuacji.

Starannie wybrał ten moment. Przez kilka ostatnich dni infernai, mieszkaniec pustyni służący Bestii, niweczył jego plany, szczególnie próby zbliżenia się do Vhalnicha lub królowej. Piaskowy stwór nie mógł udaremnić Ionkovo ucieczki, ale on też nie mógł go zranić. Patowa sytuacja, dla Penitenta głęboko frustrująca. Tego wieczoru jednak, gdy królowa i Vhalnich udali się do katedry Zaprzysiężenia, zakładał, że infernai też tam będzie, dając mu przynajmniej chwilową swobodę działania w innych sprawach.

Kilka kroków i znalazł się za plecami wartowniczkii. Wyciągnął prawą rękę nad jej ramieniem i ścisnął szyję, tłumiąc krzyk, a lewą wyjął z pochwy sztylet i wepchnął jej między żebra. Przez moment szarpała się i wiała, po czym znieruchomiała, a on przytrzymał ją jeszcze chwilę, zanim wyjął ostrze i pozwolił ciału osunąć się na posadzkę. Otarł sztylet o jej bluzę, wsunął do pochwy i odczepił wiszące na pasie klucze.

W drzwiach było zakratowane okienko, przez które zobaczył, że więźniarka nie śpi. Rude włosy Jane Verity były pozlepiane w strąki, a odzienie podarte. Zielone oczy spoglądały trzeźwo, choć wyglądało na to, że niedawno płakała.

Najbliższa lampa znajdowała się kilka metrów dalej, wypełniając korytarz mnóstwem przyjemnych, głębokich cieni. Ionkovo wśliznął się w jeden z nich, zanurzając się niczym nurek w wodzie, żeby wyjść na powierzchnię dwa metry dalej, w celi. Wyszedł z cienia na ścianie, a Jane cofnęła się, szeroko otwierając oczy.

– Jesteś jednym z nich – powiedziała. – Przeklętym Penitentem.

– Jestem – rzekł Ionkovo. Wprawdzie nie nosił swojej maski, ale teraz nie było sensu zaprzeczać. – Możesz nazywać mnie Cieniem, jeśli chcesz.

– Przyszedłeś mnie zabić? – Zerknęła w stronę drzwi i zrozumiał, że widziała, jak zabił strażniczkę.

Pokręcił głową.

– Obawiam się, że jesteś nam potrzebna. Winter Ihernglass budzi ogromne zainteresowanie pontifeksa, a zapewniano mnie, że ty znasz ją najlepiej.

Ponadto musimy coś uratować z tej katastrofy. Jeśli nie da się wygrać bitwy, trzeba

zapewnić sobie przewagę, która zapewni zwycięstwo następnym razem.

– Nic ci nie powiem – prychnęła Jane. Uśmiechnęła się złowrogo i rozłożyła ręce. – Jeśli chcesz, równie dobrze od razu możesz mnie zabić. Jeśli zdołasz.

– Nie wątpię w twoją determinację – powiedział Ionkovo. – Gdyby był tu mój kolega Łgarz, moglibyśmy to zrobić na miejscu, ale obawiam się, że zmarł nieoczekiwanie. Tak więc żeby uzyskać to, czego chcę, będę musiał zabrać cię ze sobą.

– Nigdzie z tobą nie pójdę ani po...

W razie potrzeby Ionkovo potrafił się poruszać bardzo szybko. Podczas rozmowy wyjął inny sztylet, małeńki i cienki jak igła, i trzymał go w opuszczonej ręce. Teraz błyskawicznym rzutem wbił go w szyję Jane, tuż nad obojczykiem. Machnięciem ręki wyrwała z rany sztylecik, który pozostawił zaledwie ślad ukłucia. Kiedy znów spojrzała na Ionkovo zaskoczona, zobaczyła, że toksyna już działa. Jane miała rozszerzone źrenice i chwiała się lekko.

– Co... – zdołała wykrztusić, zanim bezwładnie osunęła się na posadzkę.

– Coś, czego używamy w Elizjum – rzekł. – Transport opętanych przez demony bywa ryzykowny, tak więc opracowaliśmy kilka użytecznych metod obezwładniania więźniów. Teraz śpij.

Ionkovo policzył w myślach do pięćdziesięciu, nim się upewnił, że Jane ma zamknięte oczy oraz regularny oddech. Potem z pewnym trudem zarzucił ją sobie na ramię i się skupił.

Nie mógł zabierać ludzi w cień, jeśli byli przytomni. Podejrzewał, że ich wola zakłóca potrzebny mu do tego spokój ducha. Z najwyższym trudem mógł uchylić drzwi na tyle, żeby przedostać się przez nie wraz ze swą nieprzytomną towarzyszką, chociaż nawet po krótkiej wycieczce będzie wyczerpany i zdyszany. Teraz już zawsze usypiał swoich przyszłych pasażerów. Kiedyś pewien niesiony przez niego chłopak ocknął się po drugiej stronie cienia i rezultaty tego były niepokojące nawet dla kogoś takiego jak Ionkovo, zahartowanego przez lata służby.

Jane jednak była nieprzytomna i tak miała pozostać przez kilka godzin. Ionkovo siłą woli odsunął zasłonę cienia, wracając tą samą drogą, którą przyszedł. Zabrał ze sobą klucze. To nie było konieczne, lecz ich brak przy zamordowanej strażniczce zasugeruje, że Jane zdołała uciec z celi. Uważał, że to wywoła lekką konsternację.

To wszystko pomaga naszej sprawie. Uśmiechnął się do siebie, przemykając przez wieczny mrok.

Spis treści

Podziękowania

Prolog

CZEŚĆ PIERWSZA

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

CZEŚĆ DRUGA

Interludium

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

CZEŚĆ TRZECIA

Czternaście

Piętnaście

Szesnaście

Interludium

Siedemnaście

Osiemnaście

Dziewiętnaście

CZEŚĆ CZWARTA

Dwadzieścia

Dwadzieścia jeden

Dwadzieścia dwa

Dwadzieścia trzy

Dwadzieścia cztery

Dwadzieścia pięć

Dwadzieścia sześć

Dwadzieścia siedem

Dwadzieścia osiem

Dwadzieścia dziewięć

